

Pewnego ranka, którego nigdy nie zapomni, Cynthia Archer budzi się z okropnym kacem i poczuciem, że czekają przeprosiny z rodzicami. Tymczasem dom jest pusty. Rodzice i starszy brat zniknęli bez śladu. Poszukiwania zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Dziewczyna nie znalazła odpowiedzi na dręczące ją pytania: Czy rodziców i brata zamordowano? Jeśli tak, to czemu jej darowano życie? A jeśli żyją, dlaczego porzucili ją w tak okrutny sposób?

Dwadzieścia pięć lat później Cynthia zgadza się wziąć udział w telewizyjnym programie dokumentalnym, w nadziei, że ktoś sobie coś przypomni o tamtej sprawie sprzed lat.

Pewnego dnia dostaje list.

Jego treść nie ma sensu, a mimo to Cynthię przechodzi dreszcz...

Linwood Barclay

Bez śladu

Z angielskiego przełożył Andrzej Leszczyński

Świat Książki

Tytuł oryginału NO TIME FOR GOODBYE

Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka Redakcja Hanna Smolińska Redakcja techniczna Julita

Czachorowska Korekta Jadwiga Piller Elżbieta Jawszuk Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © Linwood Barclay 2007

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2009

Świat Książki Warszawa 2009

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa Skład i łamanie Druk i oprawa GGP Media GmbH, Póssneck ISBN 978-83-247-0970-0

Nr 6261

Mojej żonie Neece  
Maj 1983

Kiedy Cynthia się ocknęła, w domu było tak cicho, że przyszło jej na myśl, że to musi być sobota. Albo coś w tym rodzaju.

Jeśli tylko istniało coś w rodzaju soboty albo innego dnia wolnego od szkoły, niebędącego sobotą. Jej żołądek wciąż od czasu do czasu próbował zrobić salto, a w głowie miała coś na podobieństwo wielkiej bryły cementu, toteż musiała się zdobyć na spory wysiłek, żeby pozostać w pozycji leżącej, dźwigając się na łokciu.

Jezu, cóż to takiego ciemniało w koszu na papierach, stojącym przy jej łóżku? Nie mogła sobie przypomnieć, żeby wymiotowała w nocy, ale dowody występku przemawiały same za siebie.

Musiała jak najszybciej zrobić z tym porządek, zanim wejdą tu rodzice. Spuściła nogi z łóżka, wstała, przez chwilę łapała równowagę, po czym chwyciła jedną ręką mały plastikowy kosz, a drugą ostrożnie uchyliła drzwi. W korytarzu nikogo nie było. Prześliznęła się więc przed otwartymi szeroko drzwiami sypialni, najpierw brata, potem rodziców, weszła na palcach do łazienki i po cichu zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę.

Opróżniła kosz do klozetu, oplukała go pod prysznicem i dopiero potem spojrzała w lustro, na swoje podkrążone i zaczerwienione oczy. Wiedziała wreszcie, jak wygląda czternastolatka na kacu gigancie. Nie był to przyjemny widok. Ledwie mogła sobie przypomnieć, co poprzedniego wieczoru Vince dawał jej na spróbowanie, a co wcześniej wykradł z barku rodziców. Najpierw opróżnili kilka puszek piwa, potem pili wódkę i gin, wreszcie dokończyli otwartą już butelkę czerwonego wina. Ona z kolei obiecała przynieść trochę rumu z zapasów ojca, ale pod koniec imprezy stchórzyła.

Coś ją nagle uderzyło. Coś mającego związek z otwartymi sypialniami.

Spryskała sobie twarz zimną wodą i wytarła ręcznikiem.

Wzięła kilka głębszych oddechów, zbierając w sobie całą odwagę na wypadek, gdyby tuż za drzwiami już czekała na nią matka.

Ale nie czekała.

Cynthia ruszyła z powrotem do swojego pokoju o ścianach poobklejanych plakatami grupy Kiss i innych śmiertelnie nudnych zespołów, akceptowanych przez jej rodziców. Gruby sznurkowy dywan zakłuł ją w bose stopy. Po drodze zajrzała do sypialni rodziców i Todda. Łóżka były posłane. Matka najczęściej przystępowała do ich śłania dopiero przed południem.

Todd nigdy nie zaprzętał sobie głowy swoim, ona robiła wszystko za niego, nie zwracając mu nawet uwagi. W dodatku teraz były nie tylko posłane, ale sprawiały takie wrażenie, jakby nikt w nich nie spał tej nocy.

Poczuła narastającą falę paniki. Czyżby już była spóźniona do szkoły? Która to godzina?

Ze środka swego pokoju dojrzała budzik stojący na nocnym stoliku w sypialni Todda. Była za dziesięć ósma. Miała jeszcze prawie pół godziny do chwili, kiedy zazwyczaj wychodziła do szkoły.

W domu panowała grobowa cisza.

O tej porze zawsze z kuchni dolatywały już odgłosy krzątania rodziców. Nawet jeśli ze sobą nie rozmawiali, co zresztą było nagminne, to rozlegały się trzaski otwieranej i zamykanej lodówki, szorowanie łypatką po patelni, podzwanianie naczyń wstawianych do zlewu. Ktoś, zazwyczaj ojciec, przerzucał poranną gazetę, kwitując pomrukami co bardziej irytujące wiadomości.

Dziwne.

Zamknęła drzwi i weszła głębiej do pokoju. Musisz się wziąć w garść, nakazała sobie w duchu. Powinna zejść na śniadanie, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło; udawać, że nie doszło do żadnej awantury; zachowywać się tak, jakby ojciec wcale nie musiał jej wyciągać za kark z samochodu starszego o kilka lat chłopaka i wlec przez trawnik do domu.

Jej wzrok padł na leżący na biurku otwarty podręcznik i formularz testu kwalifikacyjnego z dziewiątej klasy. Poprzedniego wieczoru przed wyjściem z domu zdażyła odpowiedzieć tylko na połowę pytań, łudząc się nadzieją, że wstanie dzisiaj wcześniej i dokończy test.

Tak, powinna go teraz dokończyć.

Todd zwykle o tej porze już hałasował, biegał do łazienki i z powrotem, puszczał głośno nagrania swojej ulubionej grupy Led Zeppelin, krzyczał ze szczytu schodów do matki, pytając, gdzie położyła jego spodnie, głośno bekał czy też dobijał się do drzwi pokoju Cynthii, ściągając ją z łóżka.

Nie mogła sobie przypomnieć, żeby wczoraj wspominał coś o chęci wcześniejszego wyjścia do szkoły, ale dlaczego miałby ją uprzedzać o czymkolwiek? Zresztą często chodzili oddzielnie.

Traktował ją z pogardą należną „zasmarkanej dziewiętoklasistce”, chociaż bardzo się starała dotrzymać mu kroku we wszystkim, co niedozwolone. Toteż nie mogła się wręcz doczekać, kiedy będzie miała okazję mu opowiedzieć, jak to po raz pierwszy spiła się do nieprzytomności. Nie, chwileczkę, przecież

zaraz by o wszystkim wypaplał, bo sam był obecnie w niełasce i musiał za wszelką cenę punktować, pewnie dlatego...

No, dobra, założmy, że Todd faktycznie wyszedł wcześniej do szkoły. Ale gdzie się podzieli rodzice?

Ojciec mógł zaraz po wschodzie słońca wyjechać w kolejną podróż służbową. Ostatecznie często brał delegacje i nie byłoby w tym nic niezwykłego. Mogła tylko żałować, że był w domu wczorajszego wieczoru. A matka? Powiedzmy, że z jakiejś przyczyny postanowiła zawieźć Todda do szkoły.

Cynthia ubrała się, wciągnęła dżinsy i sweter, po czym zrobiła sobie makijaż. Starła się nie przesadzić, tylko zamaskować podkrążone oczy, żeby matka znów nie zaczęła pomstować, że »robi się na ladacznice«.

Zeszła na dół i w drzwiach kuchni stanęła jak wryta.

Na stole nie było pudełek z płatkami śniadaniowymi ani kartonów z sokiem, nie było też kawy w zaparzacze. Nie stały rozstawione talerze, nie czekały na nią tosty w opiekaczu, nie ujrzała ani jednego kubka. W zlewie nie było nawet śladu po resztkach mleka i rozmoczonych płatkach. Wszystko tu wyglądało dokładnie tak, jak poprzedniego wieczoru, gdy matka uporała się ze sprzątaniami po obiedzie. Rozejrzała się, szukając wiadomości. Matka uwielbiała zostawiać karteczki z wiadomościami przed wyjściem z domu. Robiła to nawet wtedy, gdy była na nią zła. Najwyżej ograniczała się do lakonicznej informacji: „Dzisiaj jesteś zdana na siebie” albo „Usmaż sobie jajecznicę, pojechałam z Toddem” czy choćby:

„Wrócę później”. Jej nastrój też łatwo było odgadnąć, gdy zamiast zwykłego „Buziaki, mama” pisała tylko „B, mama”.

Ale tym razem nie było żadnej wiadomości.

Cynthia zdobyła się na odwagę i zawołała:

- Mamo!

Jej głos dla niej samej zabrzmiał obco. Czyżby dlatego, że wyczuwało się w nim coś, do czego wołała się nie przyznawać?

Kiedy jej okrzyk nie przyniósł żadnej reakcji, zawołała:

- Tato!

I tym razem nie było odpowiedzi.

Doszła do wniosku, że właśnie w ten sposób została ukarana.

Rozwścieczyła rodziców, sprawiła im zawód, dlatego postanowili się zachowywać, jakby nie istniała.

Znaczące milczenie i atmosfera jak w silosie atomowym.

W porządku, była w stanie to znieść. I tak lepsze to od wrzasków i pretensji z samego rana.

Miała pewność, że jakiegokolwiek śniadanie jej tylko zaszkodzi, toteż zgarnęła książki oraz zeszyty i ruszyła do wyjścia.

Przed drzwiami, niczym kłoda na jej drodze, leżał zrolowany i ściśnięty gumką egzemplarz „The Journal Courier”.

Czubkiem buta zepchnęła gazetę na bok, nie zaprzatając sobie nią głowy, i zbiegła na pusty podjazd, na którym nie było ani dodge'a ojca, ani forda escorta, którym jeździła matka.

Energicznym krokiem poszła w kierunku szkoły średniej Milford South. Rozmyślała, że gdy złapie brata w szkole, może od niego się dowie, o co chodzi i w jak poważnych tarapatach się znalazła.

A podejrzewała, że są naprawdę poważne.

Poprzedniego wieczoru nie wróciła do domu o wyznaczonej porze, to znaczy na ósmą. Nie dość, że był to dzień powszedni, to jeszcze wcześniej zadzwoniła pani Asphodel z informacją, że nie zaliczy jej semestru, jeśli nie dostanie zaległego wypracowania z angielskiego. Cynthia nakłamała więc, że idzie do Pam, żeby razem z nią pisać zaległą pracę, bo obiecała koleżance pomóc w gramatyce, chociaż jej zdaniem to głupota i zwykła strata czasu. No i rodzice wyrazili zgodę, zastrzegając jednak, że ma wrócić przed ósmą. Próbowała się jeszcze spierać, tłumacząc, że w tak krótkim czasie nie da rady skończyć wypracowania, więc może naprawdę nie zaliczyć semestru, skoro im właśnie na tym zależy. Ale ojciec był nieugięty, kazał jej wrócić do ósmej i ani minuty później.

Mam to gdzieś, pomyślała wtedy, wychodząc. Wrócę do domu o godzinie, o której wrócę.

Kiedy nie pojawiła się kwadrans po ósmej, matka zadzwoniła do domu Pam, a usłyszawszy głos jej matki, zagadnęła:

- Dobry wieczór, mówi Patricia Bigge, mama Cynthii. Czy mogłabym z nią rozmawiać?

Na co matka Pam zdołała tylko wydusić:

- Słucham?

No i wyszło na jaw, że Cynthii wcale tam nie było, bo nawet Pam wyszła sama wieczorem.

Wówczas jej ojciec złapał fedorę, bez której nie ruszał się z domu, wskoczył do dodge'a i zaczął jeździć po okolicy, wypatrując jej wszędzie. Podejrzewał, że umówiła się z Vince'em Flemingiem, siedemnastolatkiem z jedenastej klasy, który miał już prawo jazdy i codziennie krążył po mieście rozklekotanym czerwonym mustangiem z roku 1970. Clayton i Patricia Bigge nie byli o nim najlepszego zdania. Uważali go za krnąbrnego chłopaka z kiepskiej rodziny, mającego tendencję ulegania złym wpływom. Pewnego wieczoru Cynthia podsłuchiwała, jak rozmawiali o ojcu Vince'a, przekonując się nawzajem, że to łobuz i nicpoń, uznała jednak, że powtarzają tylko zasłyszane plotki. Przez czysty przypadek ojciec zauważył ich samochód na odległym skraju parkingu za budynkiem poczty, w bok od Post Road, niedaleko kina samochodowego. Mustang stał przy samym krawężniku, a ojciec zatrzymał wóz tuż przed jego maską, blokując mu drogę. Cynthia domyśliła się, że to ojciec, jak tylko zobaczyła wysiadającego kierowcę w fedorze.

- Cholera! - syknęła.

I tak mogła mówić o szczęściu, że nie pojawił się dwie minuty wcześniej, kiedy się namiętnie całowali, czy zaraz potem, gdy Vince chwalił się przed nią swoim nowym nożem sprężynowym, w którym wystarczyło tylko nacisnąć guzik i... Jezu! Nie wiadomo skąd pojawiało się błyskawicznie piętnastocentymetrowe ostrze! W dodatku Vince trzymał nóż przed sobą, uśmiechając się chytrze, jakby coś już kombinował. Pozwolił nawet, żeby i ona ze śmiechem zamachnęła się nim kilka razy w powietrzu.

- Ostrożnie - mruknął ostrzegawczo, odbierając jej nóż. - Można tym narobić wiele szkody.

Wtedy właśnie Clayton Bigge podszedł do prawych drzwi auta i otworzył je gwałtownie, aż głośno zaskrzypiały.

- Hej, tylko spokojnie, koleś! - zawołał Vince, błyskawicznie schowawszy nóż, ale w drugim ręku trzymał butelkę piwa, co było tak samo naganne.

- Nie jestem twoim kolesiem! - warknął ojciec, łapiąc Cynthię pod rękę i wyciągając z samochodu. - Boże, ale ty cuchniesz! - rzucił, ciągnąc ją do swojego dodge'a.

Miała wtedy ochotę paść trupem na miejscu.

Nie odezwała się ani jednym słowem i nawet nie spojrzała na niego, gdy rozpoczął tyradę na temat tego, że przysparza coraz większych kłopotów i jeśli w porę nie weźmie się w garść, dokumentnie spięprzy sobie całe życie, a on przecież nie ma błędnego pojęcia, co sknocił z jej wychowaniem, skoro tylko chciał jej zapewnić szczęście oraz dostatek, i tak dalej, i tak dalej, przy czym mimo zdenerwowania prowadził tak, jakby zdawał egzamin na prawo jazdy, to znaczy kurczowo trzymał się dozwolonej prędkości i dużo przed czasem włączał kierunkowskaz, aż trudno było w to uwierzyć.

Gdy tylko skręcił na podjazd przed domem, wyskoczyła z auta, nie czekając nawet, aż zatrzyma je na dobre. Energicznym krokiem ruszyła do drzwi, usiłując nie zwracać uwagi na matkę, która stanęła na ganku, chyba bardziej zmartwiona niż wściekła, i zaczęła:

- Cynthia! Gdzieś ty...

Minęła ją bez słowa i pobięła na piętro do swojej sypialni.

Z dołu ojciec zawołał jeszcze:

- Wracaj tu natychmiast! Musimy porozmawiać!

- Po moim trupie! - wrzasnęła, z traskiem zamykając drzwi.

Przypomniała sobie to wszystko w drodze do szkoły. Natomiast pozostała część wieczoru majaczyła w jej pamięci jak gdyby za mgłą.

Pamiętała, że przez pewien czas siedziała na brzegu łóżka, próbując opanować zawroty głowy. Była zanadto zmęczona, by odczuwać zakłopotanie. Postanowiła kłamać w żywe oczy, byle tylko przeczekać do rana, od którego dzieliło ich dobre dziesięć godzin.

Mnóstwo mogło się jeszcze w tym czasie wydarzyć.

W pewnym momencie, wybudzona ze snu, odniosła wrażenie, że ktoś stoi przed drzwiami jej pokoju, jakby nie mógł się zdecydować, czy wejść do środka.

Później, po pewnym czasie, odniosła to wrażenie po raz drugi.

Nie mogła sobie jednak przypomnieć, czy wstała z łóżka, żeby zobaczyć, kto jest przed drzwiami. Nie pamiętała nawet, czy w ogóle próbowała się zwlec z łóżka. Nic nie pamiętała.

A teraz była już prawie pod szkołą.

Problem polegał na tym, że miała wyrzuty sumienia. Poprzedniego wieczoru złamała niemal każdą domową regułę, poczynając od kłamstwa dotyczącego wyjścia do Pam. Była to jej najlepsza przyjaciółka, regularnie widywana w domu, spędzająca z nią niemal co drugą sobotnią noc. Matka naprawdę ją lubiła, darzyła nawet zaufaniem. Wciągając Pam w tę intrygę, Cynthia miała nadzieję zyskać choć trochę na czasie, nie przypuszczała bowiem, że Patricia Bigge tak szybko zatelefonuje do domu jej przyjaciółki. Ale

ta część planu spaliła na panewce.

Niestety, nie był to koniec jej zbrodni. Przede wszystkim złamała zakaz wyjścia z domu. I została nakryta na parkingu w samochodzie chłopaka. Siedemnastoletniego! W dodatku chłopaka, który podobno rok wcześniej powybijał okna w budynku szkoły i miał na sumieniu kradzież samochodu sąsiada.

Jej rodzice nie byli aż tacy źli. Przynajmniej zazwyczaj.

Szczególnie matka. Zresztą ojca też nie mogła nazwać złym, jeśli, naturalnie, był w domu.

Może faktycznie Todd poprosił o podwiezienie do szkoły. Jeżeli rzeczywiście namówił matkę do porannego wyjazdu z domu, to ona spod szkoły zapewne ruszyła na zakupy. Albo siedziała przy kawie w cukierni Howarda Johnsona. Zaglądała tam od czasu do czasu.

Pierwsza lekcja, historia, okazała się dla Cynthii katorgą.

A druga, matematyka, była jeszcze gorsza. Na niczym nie mogła się skupić, walcząc z dokuczliwym bólem głowy.

- Jak byś odpowiedziała na to pytanie, Cynthia? - zwrócił się do niej w pewnej chwili nauczyciel.

Nawet nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

W czasie przerwy na lunch natknęła się na Pam, która rzuciła gniewnie:

- Jezu, mogłabyś mnie przynajmniej uprzedzić, że mam cię kryć. Nawet na poczekaniu wymyśliłabym dla matki jakąś bajeczkę.

- Przepraszam - odparła Cynthia. - Miałaś awanturę?

- Jak tylko wróciłam.

Wymknęła się ze stołówki i z budki na ulicy zadzwoniła do domu, mając nadzieję, że zdoła jakoś udobruchać matkę, tłumacząc, jak bardzo jest jej przykro. Potem chciała poprosić o zgodę na powrót do domu, zasłaniając się niedyspozycją. Wiedziała, że zatroskana matka się zgodzi. Nie potrafiła długo się na nią wściekać, wiedząc, że córka nie czuje się najlepiej. Zazwyczaj szykowała dla niej smakowitą zupę. Odwiesiła słuchawkę po piętnastym sygnale, podejrzewając, że nakręciła zły numer. Spróbowała jeszcze raz, ale też bez skutku.

Nie знаła na pamięć numeru do pracy ojca, zresztą i tak najczęściej był poza miastem i musiałyby czekać, aż się zgłosi ktoś z dyspozytorni, żeby zdobyć numer motelu, w którym wynajął pokój.

Po zajęciach stała jeszcze przed szkołą z grupką przyjaciół, gdy podjechał Vince Fleming swoim mustangiem.

- Przykro mi z powodu tej wpadki wczoraj wieczorem - rzeki. - Jezu, twój stary to niezły numer.

- Zgadza się, niezły - odparła.

- Co było, jak wróciliście do domu? - powiedział to takim tonem, jakby już znał prawdę.

Cynthia wzruszyła ramionami i pokręciła głową, nie mając ochoty rozmawiać na ten temat.

- Co się stało twojemu bratu? - zapytał Vince.

- A co się miało stać?

- Rozchorował się i został w domu?

Okazało się, że Todda nie było tego dnia w szkole. Fleming przyznał otwarcie, że chciał go po cichu wypytać, jak poważne konsekwencje grożą jej po wczorajszej eskapadzie i na jak długo zostanie uziemiona, bo miał nadzieję, że wybiorą się gdzieś razem w piątek albo jeszcze lepiej w sobotę, kiedy to jego przyjaciel Kyle obiecał zorganizować całą skrzynkę piwa, przy której dobrze byłoby posiedzieć na wzgórzu, nawet w samochodzie, i popatrzeć na gwiazdy, co nie?

Cynthia pobiegła do domu. Nie poprosiła nawet Vince'a, żeby ją podwiózł, chociaż przyjechał samochodem. I nie zawiadomiła wychowawczynie, że nie będzie jej na pozostałych lekcjach.

Pognała, jakby ją ktoś ścigał, przez całą drogę powtarzając w myślach: Żeby tylko jej samochód stał przed domem, żeby tylko jej samochód tam był.

Ledwie wypadła zza rogu Pumpkin Delight Road i skręciła w Hickory Street, spojrzała na podjazd przed jej rodzinnym dwupiętrowym domem, ale nie było na nim żółtego forda matki. A gdy tylko otworzyła drzwi i złapała oddech, zaczęła nawoływać po imieniu najpierw matkę, potem brata.

Chwilę później zaczęła dygotać ze strachu, nie mogąc nad tym zapanować.

To wszystko nie miało żadnego sensu. Bez względu na to, jak bardzo rozzłościła rodziców wczorajszą eskapadą, nie powinni byli jej tego robić, pod żadnym pozorem. Jak mogli tak po prostu zniknąć?

Wyjechać gdzieś, nie zostawiając jakiegokolwiek wiadomości? I jeszcze zabrać ze sobą Todda?

Poczuła się głupio, lecz mimo to zadzwoniła do drzwi mieszkających po sąsiedzku Jamisonów. Wciąż miała nadzieję, że cała ta sprawa da się w prosty sposób wyjaśnić, że o czymś zapomniała, na przykład o wizycie u dentysty albo czymś w tym rodzaju, i lada chwila jej matka skręci z ulicy na podjazd przed domem. Czowała się jak ostatnia idiotka, ale mogła za to winić wyłącznie siebie.

Zaczęła trąkotać jak nakręcona, ledwie pani Jamison otworzyła drzwi. Powiedziała, że gdy się obudziła, nikogo nie było w domu, a w szkole się przekonała, że Todd tego dnia w ogóle nie pojawił się na zajęciach, tymczasem jej matki...

Sąsiadka przerwała jej taktownie i oznajmiła, że matka prawdopodobnie wybrała się na zakupy. Odprowadziła ją do domu, lecz obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem leżącą obok drzwi gazetę, wciąż zapakowaną. Razem rozejrzały się po całym piętrze, potem zeszły do garażu i sprawdzili tylne podwórze.

- To rzeczywiście dziwne - oznajmiła w końcu pani Jamison.

Najwyraźniej sama nie wiedziała, co o tym myśleć, gdyż z wyraźnym ociąganiem zadzwoniła na komendę policji w Milford.

Funkcjonariusz, który odpowiedział na wezwanie, też z początku próbował wszystko lekceważyć. Wkrótce jednak pojawili się inni policjanci, a do wieczora wokół jej domu aż zrobiło się od radiowozów. Cynthia słuchała jednym uchem, jak gliniarze dyktują przez radio opisy obu samochodów należących do jej rodziny i kontaktują się z izbą przyjęć szpitala w Milford.

Spoglądała na policjantów chodzących od jednego domu do drugiego i rozpytujących sąsiadów.

- Na pewno nie wspominali, że wybierają się gdzieś za miasto? - zapytał po raz kolejny facet, który przedstawił się jako detektyw Findley albo Finlay i który w przeciwieństwie do pozostałych nie nosił policyjnego munduru.

Naprawdę podejrzewał, że mogłaby o czymś takim zapomnieć? Nie wytrzymała i wybuchnęła:

- Ach, tak, już sobie przypominam! Mieli odwiedzić siostrę mojej matki, ciotkę Tess!

- No widzisz? - bąknął detektyw. - Wcale nie wygląda na to, że rodzice w pośpiechu się spakowali, zabrali twojego brata i odjechali w nieznanym kierunku. Przecież zostawili wszystkie swoje ubrania, a torby podróżne leżą na półce w piwnicy.

Zasypywano ją pytaniami. Kiedy po raz ostatni widziała rodziców? O której położyła się spać? Jak się nazywa chłopak, z którym spędziła wieczór? Próbowała odpowiadać spokojnie i po kolei, przyznała nawet, że pokłóciła się wieczorem z rodzicami, choć nie tłumaczyła, że powodem kłótni było jej doświadczenie z nadmiarem alkoholu, przez który rzuciła matce i ojcu w twarz, że nie chce ich więcej widzieć na oczy.

Detektyw wydał jej się dość sympatyczny, gdyż powstrzymał się od pytań, których najbardziej się obawiała. Z jakiego powodu jej rodzice razem ze starszym bratem mieliby zniknąć bez pożegnania?

Dokąd mieliby wyjechać? I dlaczego bez niej?

Nagle, w przypiływie frustracji, zalewając się łzami, zaczęła przewalać do góry nogami kuchnię, przekładać talerze, zaglądać pod wszystkie sprzęty, a nawet w szpary między szafkami.

- O co chodzi, skarbie? - zapytał miękko detektyw. - Co ty wyrabiasz?

- Gdzie jest ta kartka z wiadomością? - zwróciła się do niego błagalnym tonem. - Gdzieś musi być. Moja mama nie rusza się z domu, nie zostawiwszy wiadomości.

Cynthia przystanęła i popatrzyła na dwupiętrowy dom jednorodzinny na rogu Hickory Street. Nie po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat patrzyła na swój rodzinny dom. Nadał mieszkała w Milford. Przyjeżdżała tu w najbardziej niezwykłych chwilach swego życia. Pokazała mi ten dom raz, tuż przed naszym ślubem, i to przez okno samochodu.

- To tutaj - powiedziała, nawet nie zwolniwszy. Rzadko się przed nim zatrzymywała. A jeśli nawet, to nigdy dotąd nie wysiadała z auta. Nigdy nie stawała na chodniku u końca podjazdu i nie obrzucała tego domu takim wzrokiem.

Nie wątpiłem, że minęło mnóstwo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni stanęła na jego progu.

Teraz jednak sprawiała wrażenie, jakby ją wmurowało, jak gdyby nie mogła zrobić nawet jednego kroku.

Aż zapragnąłem wziąć ją pod rękę i towarzyszyć jej do drzwi. Podjazd miał najwyżej dziesięć metrów długości, ale prowadził ćwierć wieku w przeszłość. Podejrzewałem, że dla Cynthii było to jak patrzenie przez okulary z odwróconymi soczewkami, w których można by chodzić cały dzień i nie dotrzeć do bliskiego celu.

Zostałem jednak na swoim miejscu, to znaczy po drugiej stronie ulicy, wpatrując się w jej przygarbione plecy i krótko przyszczyżone rude włosy. Dostałem wyraźne polecenie.

Tymczasem Cynthia stała, jakby czekała na czyjąś zgodę, by móc podejść bliżej. I doczekała się.

- Wszystko w porządku, pani Archer? Proszę iść dalej. Tylko nie za szybko. Jak gdyby z ociąganiem... No, wie pani, jakby znalazła się tu pani po raz pierwszy od ukończenia czternastego roku życia.

Cynthia zerknęła przez ramię na kobietę w dżinsach i sandałach, z końskim ogonem przeciągniętym przez otwór w czapeczce baseballowej, która należała do trójki współproducentów.

- Bo to jest pierwszy raz - bąknęła nieśmiało.

- Tak, jasne, tylko proszę nie patrzeć na mnie - odparła tamta ze złością. - Niech pani patrzy na dom i idzie



powoli podjazdem, jakby wspominała pani tamten dzień sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy to się wydarzyło. Dobra?

Cynthia zerknęła na mnie i skrzywiła się, na co odpowiedziałem jej przez całą szerokość ulicy skąpym uśmiechem mającym oznaczać pytanie: „I co ty na to?”.

Zgodnie z poleceniem ruszyła podjazdem, bardzo wolno. Zaciekawilo mnie, czy gdyby kamera nie była włączona, też by szła tak wolno, z takim samym wahaniem czy wręcz lękiem.

Niewykluczone. Teraz jednak jej zachowanie wydało mi się sztuczne, wymuszone.

Ale kiedy weszła na ganek i wyciągnęła rękę do klamki, dostrzegłem wyraźne drżenie palców. I to było autentyczne. Co oznaczało zapewne, że kamera tego nie wychwyci.

Zacisnęła rękę na gałce, obróciła ją i już miała otworzyć drzwi, kiedy dziewczyna z końskim ogonem zawołała:

- W porządku! Doskonale! Proszę zaczekać! - Po czym zwróciła się do kamerzysty: - Dobra, wnoście graty do środka.

Nakręcimy stamtąd, jak wchodzi.

- To ma być jakiś pieprzony żart?! - zagadnąłem na tyle głośno, żeby słyszała to cała kilkunastoosobowa ekipa, w tym także Paula Malloy, ta z zębami o lustrzanym połysku, ubrana w garsonkę od Donny Karan, występująca przed kamerą jako prowadząca i narratorka z za planu.

I to ona podeszła do mnie.

- Panie Archer - zaczęła miękko, oburącz chwytając mnie delikatnie za ramiona, a właściwie trochę niżej, co znałem już jako jej znak firmowy. - Wszystko w porządku?

- Jak możecie traktować ją w ten sposób? - zapytałem. - Moja żona z trudem znalazła w sobie odwagę, żeby zbliżyć się do tego domu po raz pierwszy od zniknięcia bez śladu całej jej rodziny, a wy tak po prostu robicie sobie cięcie?

- Terry... - syknęła, jakby ten przejaw zażyłości był dla niej obrazą. - Bo mogę ci mówić po imieniu, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- A więc, Terry, jest mi przykro, że musimy umieścić kamerę w innym miejscu, żeby uchwycić wyraz twarzy Cynthii, kiedy wejdzie do środka po tak długiej przerwie, ale chcemy, by wypadło to naturalnie. Nie chodzi nam o udawaną reakcję. Wydawało mi się, że obojgu nam tak samo na tym zależy.

To mi się spodobało. To, że reporterka telewizyjnych wiadomości i gwiazda programu rozrywkowego Deadline, która w przerwach między przypominaniem niezwykłych i niewyjaśnionych zagadek sprzed lat uganiała się za modelkami i gwiazdkami lokalnych scen muzycznych zatrzymanymi podczas prowadzenia po pijanemu albo ukaranymi mandatem za jazdę z małym dzieckiem niezapiętym w specjalnym foteliku, teraz odwoływała się do mojego poczucia autentyczności.

- Pewnie - mruknąłem zniechęcony, przypomniawszy sobie o przyświecającym mi nadrzędnym celu, a mianowicie nadziei, że po tylu latach wystąpienie w reportażu telewizyjnym może się przyczynić do wyjaśnienia nękającej Cynthii tajemnicy. - Oczywiście.

Paula oślepiła mnie błyskiem idealnie równiutkich zębów i energicznym krokiem wróciła na tamtą stronę ulicy, głośno stukając obcasami o płyty chodnikowe.

Usiłowałem za wszelką cenę trzymać się na uboczu od chwili, kiedy przyjechaliśmy tu z Cynthią. W szkole załatwiłem sobie dzień wolny. Dyrektor i długoletni przyjaciel Rolly Carruthers doskonale wiedział, jak ważny jest dla Cynthii udział w tym programie, dlatego znalazł zastępstwo na prowadzone przeze mnie zajęcia z angielskiego i twórczego pisarstwa. Moja żona też dostała dzień wolny od Pameli, właścicielki sklepu z odzieżą, w którym pracowała. Po drodze podrzuciliśmy do szkoły Grace, naszą ośmioletnią córkę. Ona również była zaintrygowana przygotowaniem ekipy filmowej do kręcenia reportażu, lecz jej zaproszenie na plan zdjęciowy w żadnej mierze nie mieściło się w zakresie osobistej tragedii matki.

Ludzie mieszkający obecnie w tym domu - małżeństwo emerytów, którzy mniej więcej przed dziesięcioma laty przenieśli się tu z Hartford, aby być bliżej przystani w Milford, skąd wyruszali na ulubione wyprawy jachtem - dostali od producentów reportażu gażę za zgodę na wykorzystanie ich domu. Następnie technicy przystąpili do usuwania ich rzeczy osobistych, głównie zdejmowania ze ścian oprawionych fotografii, żeby choć trochę upodobnić wnętrza do stanu, w jakim były, gdy mieszkała tu Cynthia.

Zanim obecni właściciele popłynęli w kolejny rejs, na trawniku przed frontonem powiedzieli kilka słów do kamery.

On:

- Trudno sobie wyobrazić, co mogło się stać przed laty w tym domu. Aż nachodzą mnie obawy, że cała rodzina leży poćwiartowana gdzieś w ziemi, pod podłogą piwnicy, czy coś w tym rodzaju.

Ona:

- Czasami słyszy się różne odgłosy, tak jak gdyby duchy wciąż się przechadzały po tym domu. Na przykład siedzę przy kuchennym stole, a tu nagle czuję dreszcz na plecach, jakby gospodyni... czy też jej mąż albo syn... jakby któreś z nich przeszło obok mnie.

On:

- O niczym nie wiedzieliśmy, kupując ten dom, nie mieliśmy pojęcia, co się tu stało. Ktoś go nabył od dziewczyny, potem odsprzedał, aż w końcu my go kupiliśmy od obcych ludzi.

Ale jak tylko się dowiedziałem, co tu zaszło, przeczytałem wszystko o tej sprawie w miejskiej bibliotece w Milford. Dlatego nie mogę się uwolnić od pytania, jakim cudem ona przeżyła.

No, jakim? Dla mnie to bardzo dziwne, nie sądzicie?

Cynthia, która przysłuchiwała się temu zza rogu jednego z wozów ekipy telewizyjnej, nie wytrzymała i krzyknęła:

- Wypraszam sobie! Co to niby ma znaczyć?!

Jeden z techników odwrócił się na pięcie i próbował ją uciszyć, ale Cynthia potraktowała go jak należy.

- Nie będę cicho, do cholery! - krzyknęła jeszcze głośniej, po czym zwróciła się do emeryta: - Co pan sugeruje?!

Facet wybałuszył oczy ze zdumienia. Najwyraźniej nie miał pojęcia, że osoba, o której mówi, jest w pobliżu. Producentka z końskim ogonem złapała Cynthię pod ramię i próbowała ją delikatnie, lecz stanowczo odciągnąć z powrotem za samochód.

- Co to za parszywe bzdury?! - ciągnęła Cynthia. - Co on próbuje zasugerować?! Że miałam coś wspólnego ze zniknięciem całej mojej rodziny? Przez tyle lat walczyłam z podobnymi...

- Proszę się nim nie przejmować - przerwała jej producentka.

- Przecież tłumaczyła pani, że ten reportaż ma mi pomóc, ma służyć ustaleniu, co się stało z moją rodziną. Tylko dlatego zgodziłam się wystąpić w nagraniu. A tymczasem co wy robicie? Czemu nagrywacie te bzdury? Co ludzie pomyślą, gdy usłyszą w telewizji takie kretyńskie gadki?

- Proszę się tym nie przejmować - zapewniła ją tamta. - Wytniemy tego rodzaju wypowiedzi.

Cynthia i tak żyła w strachu przed tą konfrontacją, jeszcze zanim powstała choćby minuta nagrania, toteż potrzeba było licznych zapewnień i namów, a przede wszystkim obietnic, że gdy reportaż ukaże się w telewizji, na pewno odezwie się ktoś, kto coś widział. Podobno działało się tak za każdym razem. Podobno dzięki takim reportażom udało się wielokrotnie wyręczyć policję w rozwikłaniu starych spraw.

Kiedy wreszcie dała się przekonać, że intencje ekipy telewizyjnej są godne najwyższego szacunku i że obecnych gospodarzy nie będzie w domu podczas nagrania, wyraziła zgodę na udział w reportażu.

Poszedłem za dwoma kamerzystami do domu. Starłem się schodzić im z drogi, gdy ustawiali aparaturę tak, żeby z różnych stron uchwycić wyraz twarzy mojej żony w chwili powrotu do przeszłości. I tak byłem przekonany, że gdy reportaż pojawi się na antenie, ten fragment będzie mocno przetworzony, na przykład ukaże się jako ziarnisty obraz czarno-biały, żeby za pomocą całej gamy współczesnych sztuczek wydobyć coś, co producenci filmowi sprzed lat uznaliby za wystarczająco dramatyczne w swojej wymowie.

Później zaciągnęli Cynthię na piętro, do jej dawnej sypialni.

Rozejrzała się po niej z obojętną miną. Bardzo im zależało, by uchwycić jej wejście do pokoju, toteż trzeba było powtórzyć ujęcie, bo operator czekający za zamkniętymi drzwiami spóźnił się z uruchomieniem kamery. Za drugim razem towarzyszyła jej jeszcze druga kamera, przenośna, rejestrująca wejście do pokoju sponad jej ramienia. Wtedy pomyślałem, że te ujęcia przerobią pewnie tak, żeby dodać scenie tajemniczości i takiej atmosfery, jakby lada moment zza drzwi miał wyskoczyć Jason w drucianej masce hokejowego bramkarza.

Paula Malloy, która zaczynała karierę od zapowiadania pogody, pojawiła się na górze z odświeżonym makijażem i utapirowanymi na nowo blond włosami. Ona i Cynthia zostały wyposażone w mikroporty z nadajnikami przyczepianymi do garderoby gdzieś na plecach, z kabelkami ukrytymi pod bluzkami, wychodzącymi spod kołnierza na karku pod włosami. Wreszcie Paula lekko trąciła Cynthię ramieniem, niczym stara dobra kumpelka, która ma ochotę powspominać stare wpadki z dawnych dobrych czasów. Kiedy zeszyły do kuchni, przed kamerami Paula zapytała:

- Co wtedy myślałaś? W całym domu panowała grobowa cisza, jeśli dobrze pamiętam. Twojego brata nie było w sypialni, dlatego zeszedł na dół, do kuchni, ale tu nie znalazłaś najmniejszych śladów życia.

- Nie miałam jeszcze pojęcia, że coś się stało - wyznała półgłosem Cynthia. - Myślałam, że wszyscy musieli wcześniej wyjść z domu, że mój tata znowu wyjechał w delegację, a mama przy okazji odwiozła brata do szkoły, bo miała coś załatwić na mieście. Sądziłam, że wszyscy są na mnie źli za niewłaściwe zachowanie poprzedniego wieczoru.

- Czy jako nastolatka sprawiałaś dużo problemów rodzicom? - zaciekała się Paula.

- No cóż, miewałam... gorsze i lepsze chwile. Poprzedniego wieczoru byłam poza domem z chłopakiem, którego moi rodzice nie akceptowali, no i razem trochę wypiliśmy. Ale poza tym nie byłam taka, jak inne dzieciaki, to znaczy... bardzo kochałam rodziców i uważam... - głos zaczynał jej się łamać - ...że oni także mnie kochali.

- Zapoznaliśmy się z policyjnymi raportami z tamtego okresu, jak również z twoimi zeznaniami, i wynika z nich, że miałaś sprzeczkę z rodzicami.

- Owszem - przyznała Cynthia. - Poszło o to, że nie wróciłam do domu na czas i ich okłamałam. Rzeczywiście powiedziałam im wtedy parę przykrych rzeczy.

- Na przykład?

- Och... - zawiesiła na chwilę głos - ...no, wiecie... Dzieci dość często robią rodzicom bardzo przykre uwagi, które nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością.

- Jak ci się zdaje, gdzie oni teraz są, dwadzieścia pięć lat po tamtych zdarzeniach?

Cynthia ze smutkiem pokręciła głową.

- Ciągle zadaję sobie to pytanie. Nie ma dnia, żebym nie łamała sobie nad tym głowy.

- Gdybyś mogła im coś powiedzieć, właśnie w tej chwili, za pośrednictwem programu Deadline, oczywiście przy założeniu, że wciąż żyją, co by to było?

Cynthia, całkiem skonsternowana, odwróciła głowę i w desperacji wyrzała przez kuchenne okno.

- Patrz w obiektyw kamery - upomniała ją Paula Malloy, kładąc rękę na jej ramieniu. Stałam zdecydowanie za daleko na to, żeby właśnie w takiej chwili wkroczyć na plan i pokazać widzom, jak wygląda Paula bez swojej sztucznej twarzy, którą zawdzięczała wyłącznie charakterystyce. - Spróbuj zapytać ich o to, o co przez te wszystkie minione lata chciałaś zapytać.

Cynthia obróciła błyszczące oczy do kamery i zrobiła to, o co ją proszono, choć na początku jej pytanie zabrzmiało aż nazbyt lakonicznie:

- Dlaczego?

Paula odliczyła w pamięci sekundy dramatycznej pauzy, po czym rzuciła:

- Co dlaczego, Cynthia?

- Dlaczego... - powtórzyła moja żona głównie po to, by wziąć się w garść - ...musieliście ode mnie uciec? Jeśli tylko jest to możliwe... jeśli nadal żyjecie, dlaczego nie skontaktujecie się ze mną? Dlaczego nie zostawiliście... chociażby krótkiej wiadomości? Dlaczego nie stać was było na to, żeby się przynajmniej pożegnać?

Wyczuwałam napięcie łączące całą ekipę, od operatorów po producentów reportażu. Nikt z nich nie odważył się nawet westchnąć. Dobrze jednak wiedziałem, co sobie myślą. Po prostu musiał im z tego wyjść szokujący reportaż. Nienawidziłem ich za zgłębianie tragicznej tajemnicy Cynthii, za ustawiczne odwoływanie się do wymogów programowych, ale w końcu to była ich profesja. Ostatecznie chodziło jedynie o przyciągnięcie uwagi widza, o rozrywkę. Nie odzywałem się, przekonany, że Cynthia doskonale to rozumie, zdaje sobie sprawę, że beczelnie wykorzystują swoją przewagę, bo ona dla nich jest tylko bohaterką jeszcze jednej półgodzinnej audycji, sposobem na zapełnienie grafiku pracy na antenie. Ale była gotowa poświęcić się temu reportażowi bez reszty, jeśli rzeczywiście któryś z widzów pomógłby jej w rozwikłaniu tajemnicy sprzed lat.

Na potrzeby reportażu ściągnęła ze strychu dwa pudełka po butach, wypełnione pamiątkami z dzieciństwa. Były tam wycinki z gazet, wyblakłe zdjęcia z polaroida, fotografie klasowe, świadectwa szkolne, krótko mówiąc, wszystkie drobiazgi, jakie zdołała zabrać ze sobą z rodzinnego domu, nim została oddana pod opiekę ciotki, siostry matki, niejakiej Tess Berman, i zamieszkała u niej.

Kazali Cynthii usiąść przy kuchennym stole i wyciągać z tych pudełek kolejne rzeczy, rozkładać je na blacie jak elementy łamigłówki, szukać wśród nich tych, które ułatwiłyby rozeznanie się w całości obrazu, by od nich posuwać się ze wszystkich stron ku jego środkowi.

Tyle że w pudełkach Cynthii nie było ani jednego takiego kawałka. Nie było od czego zacząć pracy nad układanką. Wyglądało to tak, jakby zamiast tysiąca elementów jednego puzzla udało jej się zgromadzić po jednym kawałku z tysiąca puzzli.

- To my - odezwała się, spoglądając na fotkę z polaroida - na kempingu w Vermoncie.

Zbliżenie kamery musiało wychwycić rozczochranego Todda oraz Cynthię stojących po obu bokach matki na tle rozstawionego namiotu. Moja żona wyglądała na pięciolatkę, Todd mógł zatem mieć siedem lat, przy czym oboje byli umorusani ziemią, a ich matka w kraciastej, czerwono-białej chustce na głowie

patrzyła w obiektyw z dumnie zadartą brodą.

- Nie mam żadnych zdjęć ojca - dodała ze smutkiem w głosie. - To on zawsze nas fotografował, dlatego muszę polegać tylko na swoich wspomnieniach, chcąc go opisać. Niemniej wciąż mam go przed oczyma, wysokiego i postawnego, zawsze w kapeluszu na głowie, w swojej ulubionej fedorze, z drobnym wąsikiem na górnej wardze. Był naprawdę przystojny. Todd odziedziczył po nim urodę.

Sięgnęła po pożółkłą kartkę z gazety.

- A tu mam wycinek - ciągnęła, ostrożnie rozkładając kruchy papier. - Znalazłam go wśród kilku szpargałów w prawie całkiem pustej szufladzie biurka ojca.

Operator nakierował obiektyw kamery na niewyraźne, ziarniste czarno-białe zdjęcie szkolnej drużyny baseballowej. Było na niej kilkunastu chłopców, niektórzy się uśmiechali, inni robili głupie miny.

- Widocznie tata je zostawił, bo jest na nim Todd, jeszcze mały i niewyrośnięty, ale jego imię i nazwisko znalazło się w podpisie. Był z tego strasznie dumny. Oczywiście mówię o ojcu. Co rusz nam o tym opowiadał. Przy okazji lubił żartować, że jesteśmy najlepszą rodziną, jaką do tej pory miał.

Do reportażu zaplanowano też włączyć wywiad z dyrektorem mojej szkoły Rollym Carruthersem.

- To wielka zagadka - powiedziała. - Znałem Clayтона Bigge'a. Kilka razy wybraliśmy się wspólnie na ryby. To był zacy człowiek. Nie potrafię sobie wyobrazić, co się z nim stało. Może mamy do czynienia z wypadkiem podobnym do rodziny Mansona? No, wiecie, z zabójcami podróżyjącymi po kraju, którym na drodze stanęła rodzina Cynthii tylko dlatego, że znalazła się w niewłaściwej chwili i niewłaściwym miejscu. Nagrano także rozmowę z ciotką Tess.

- Straciłam siostrę, szwagra i siostrzeńca - wyznała. - Ale Cynthia straciła znacznie, znacznie więcej. Na szczęście zdołała się z tego otrząsnąć i wyrosła ze wspaniałej dziewczyny na wspaniałą żonę i matkę. Jeśli producentka reportażu zamierzała dotrzymać słowa i wyciąć złośliwy komentarz emeryta mieszkającego obecnie w domu Cynthii, rzucającego na nią cień podejrzania, że miała coś wspólnego ze zniknięciem całej swojej rodziny, mogła w to miejsce wstawić parę życzliwych uwag tychże rozmówców. Kiedy parę tygodni później reportaż ukazał się na antenie, Cynthia przyjęła go w osłupieniu, gdyż na początku pokazano detektywa, który przesłuchiwał ją w rodzinnym domu zaraz po tym, jak sąsiadka, pani Jamison, wezwała policję. Był już na emeryturze i mieszkał w Arizonie, a napis na dole ekranu: „emerytowany śledczy Bartholomew Finlay”, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To on prowadził dochodzenie, dopóki nie zamknął go po roku, nie mając nawet cienia poszlak. Producenci reportażu wysłali pod wskazany adres ekipę z zaprzyjaźnionej stacji telewizyjnej z Phoenix, która zarejestrowała wypowiedź byłego policjanta na tle błyszczącej w słońcu aluminiowej przyczepy mieszkalnej.

- Od początku tego dochodzenia dręczyło mnie pytanie, dlaczego ocalała właśnie ta dziewczyna. Bo zakładałem, rzecz jasna, że reszta rodziny zginęła. Jakoś nigdy nie mogłem się pogodzić z teorią, że wszyscy nagle potajemnie wyjechali, zostawiając ją samą w domu. Przyjąłbym w ciemno, że rodzina wyrzuca z domu sprawiającą problemy nastolatkę, bo takie rzeczy zdarzają się nagminnie. Ale żeby wszyscy zniknęli bez śladu, by nie mieć więcej do czynienia z kłopotliwym dzieckiem? Dla mnie nie miało to żadnego sensu. A to oznaczało, że w grę wchodzi jakaś brudna rozgrywka. Stąd ciągle wracałem do pierwotnego pytania: dlaczego tylko ona ocalała? Przy takim założeniu nie ma zbyt wielu możliwości.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała Paula Malloy zza kamery, z której pola widzenia Finlay nie zniknął nawet na chwilę. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że pytanie reporterki musiało zostać dodane z taśmy, gdyż jej nie wysłano do Arizony na rozmowę z detektywem.

- Proszę się domyślić - odparł gliniarz.

- Na jakiej podstawie mielibyśmy się czegoś domyślać? - zapytała Malloy.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Cynthia, gdy tylko to usłyszała, omal nie wpadła w szal.

- Jezu! Znowu to samo?! - krzyknęła w stronę telewizora. - Ten sukinsyn sugeruje, że miałam coś wspólnego z tą sprawą!

Od lat już nie słyszałam tego rodzaju opinii! Przecież ta cholerna Paula Malloy obiecywała, że wytną tego rodzaju wypowiedzi!

Szybko udało mi się ją uspokoić, bo następny segment reportażu był dla niej pozytywny. Później ona sama pojawiła się na ekranie, kiedy chodząc po domu, opowiadała Pauli ze szczegółami, co ją spotkało tamtego dnia. Wypadła absolutnie naturalnie i przekonująco.

- Jeśli ogląda to ktoś, kto coś wie w tej sprawie - zapewniłem ją - nie powinien zwracać uwagi na idiotyczne podejrzenia jakiegoś emerytowanego gliniarza. Prawdę mówiąc, jego insynuacje może tym

bardziej zachęca do ujawnienia się kogoś, kto ma coś do powiedzenia.

Reportaż wyjątkowo szybko dobiegł końca i ustąpił miejsca nadawanej na żywo transmisji z jakiegoś debilnego reality show, w którym garstka niezbyt znanych gwiazd estrady rywalizowała w tyciu, to znaczy zgromadzona w jednym miejscu i pod jednym dachem ściagała się w tym, kto szybciej i bardziej utyje, żeby zdobyć kontrakt ufundowany przez wytwórnę płytową. Cynthia z niecierpliwością czekała na telefon do zakończenia tego programu, mając nadzieję, że jeśli ktokolwiek coś wie w jej sprawie, natychmiast zadzwoni do studia pod podany numer. Producenci obiecywali, że nim słońce wzejdzie następnego dnia, zagadka zniknięcia jej rodziny zostanie wyjaśniona, a ona w końcu dowie się prawdy.

Nikt jednak nie zadzwonił, nie licząc jakiejś kobiety utrzymującej, że jej najbliżsi także zostali porwani przez kosmitów, oraz faceta, który obszernie tłumaczył, że rodzice Cynthii musieli zniknąć w jakiejś dziurze czasoprzestrzeni, więc zapewne albo musieli uciekać przed krwiożerczymi dinozaurami, albo skończyli z wypranymi mózganymi w świecie podobnym do przedstawionego w Matriksie.

Nikt nie zadzwonił z informacją dającą choćby najmniejszy punkt zaczepienia.

Najwyraźniej wśród widzów reportażu nie było nikogo, kto by cokolwiek wiedział o tej sprawie. A jeśli nawet ktoś taki był, to nie zamierzał mówić.

Przez pierwszy tydzień Cynthia dzwoniła do redakcji Deadline codziennie. Odpowiadano jej uprzejmie, że nie ma żadnego odzewu widzów, ale powinna pozostać w kontakcie. Przez drugi tydzień dzwoniła już co drugi dzień, ale producenci reportażu zbywali ją ogólnikami, tłumacząc, że nie ma po co do nich dzwonić, bo jeśli ktoś się odezwie, oni natychmiast się z nią skontaktują.

Ale nikt się nie odezwał i tajemnicza historia Cynthii szybko poszła w zapomnienie.

Grace popatrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, ale wycedziła z pełną powagą:

- Tato! Mam... już... osiem... lat!

Nie miałem pojęcia, gdzie się nauczyła owej techniki rozkładu zdań na poszczególne akcentowane wyrazy w celu nasilenia efektu dramatycznego. Ale chyba nawet nie musiałem o to pytać. W naszym domu wisiało w powietrzu wystarczająco wiele podobnych elementów, by stworzyć dowolny dramat.

- Zgadza się - odparłem własnej córce. - Jestem tego aż nazbyt świadomy.

Zwróciłem uwagę, że jej nietknięte czekoladowe płatki śniadaniowe rozmiękły w obrzydliwą brunatną papkę kontrastującą z również nietkniętym sokiem pomarańczowym w kubeczku.

- Dzieciaki się ze mnie śmieją - dodała.

W zamyśleniu pociągnąłem łyk kawy. Ledwie nalałem jej z zaparzaczką, a już była niemal zimna. Nic dziwnego, skoro zaparzaczką stała na lodówce. Szybko postanowiłem zastąpić ją kubeczkiem wrzątku z baru „Dunkin Donuts” w drodze do szkoły.

- Kto się z Ciebie śmieje? - zapytałem.

- Wszyscy - wyjaśniła Grace.

- Aha, wszyscy - powtórzyłem. - A jak to robią, konkretnie?

Organizują specjalne szkolne akademie? Piszą petycje do dyrektora, żeby w przemówieniu kazał uczniom się z Ciebie natrzęsać?

- Teraz to ty się ze mnie wyśmiewasz!

Pod tym względem miała rację.

- Przepraszam. Próbuję tylko ustalić, jak szeroki zasięg ma zgłoszony przez Ciebie problem. Podejrzewam bowiem, że naprawdę nie chodzi o wszystkich, że tylko ty to odbierasz, jakby wszyscy się z Ciebie nabijali, a tak naprawdę chodzi jedynie o garstkę, chociaż domyślałam się, że ich zachowanie może być bardzo denerwujące.

- Jest denerwujące!

- To twoi przyjaciele?

- Tak. Mówią, że mama traktuje mnie jak dzidziusia.

- Twoja mama jest tylko nadzwyczaj troskliwa - odparłem. - Ponieważ bardzo Cię kocha.

- Tak, wiem, ale ja mam już osiem lat!

- Twoja mama dba tylko o to, żebyś bezpiecznie docierała do szkoły, nic poza tym.

Grace westchnęła głośno i spuściła głowę w wyrazie rezygnacji, aż pasemka ciemnoblonde włosów zasłoniły przed moim wzrokiem jej piwne oczy. W zamyśleniu pogrzebała łyżką wśród rozmiękłych płatków pływających w mleku.

- Ale przecież nie musi mnie odprowadzać. Tylko do przedszkola mamy odprowadzają dzieci, trzymając je za rękę.

Przerabialiśmy to już wcześniej i próbowałem przekonać Cynthię, wytłumaczyć jej tak delikatnie, jak to tylko możliwe, że Grace, która rozpoczęła naukę w czwartej klasie, naprawdę powinna już sama chodzić

do szkoły. Ostatecznie i tak nigdy nie byłaby sama, skoro mnóstwo jej rówieśników chodziłoby razem z nią.

- Może ty byś zaczął mnie odprowadzać? - zasugerowała Grace z szelmowskim błyskiem w oku. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy zdarzało mi się ją odprowadzać, zostawałem dobre kilkadziesiąt metrów z tyłu, by ewentualni znajomi byli przekonani, że jestem na zwykłym spacerze i wcale nie troszczę się o córkę, nie dbam o to, żeby dotarła bezpiecznie do szkoły. I ani razu żadne z nas nie napomknęło o tym Cynthii. Moja żona przyjmowała za pewnik, że odprowadzałem Grace, trzymając ją za rękę, aż pod same drzwi szkoły Fairmont Public, a potem jeszcze czekałem na chodniku, dopóki nie zniknie mi z oczu w drzwiach do szatni.

- Nie mogę - odparłem. - Muszę być w swojej szkole o ósmej. Gdybym cię odprowadzał tak, żeby zdążyć na czas, musiałabyś czekać w szatni na rozpoczęcie zajęć co najmniej godzinę. Mama zaczyna pracę dopiero o dziesiątej, dlatego jej łatwiej odprowadzić cię o właściwej porze. Nadal będę mógł cię odprowadzać tylko od czasu do czasu, gdy ominą mnie zajęcia z pierwszą klasą i nie będę musiał pełnić żadnego dyżuru.

Szczerze mówiąc, Cynthia tak ustawiała sobie godziny pracy w sklepie Pameli, żeby zawsze być na pierwszej zmianie, a więc móc dopilnować, by Grace bezpiecznie wracała ze szkoły do domu. Co prawda praca w sklepie odzieżowym, do tego należącym do jej najlepszej przyjaciółki z liceum, nigdy nie była szczytem marzeń mojej żony, ale pozwalała jej dowolnie manipulować częścią wykonywanego etatu, dzięki czemu zawsze mogła być w domu, gdy mała wracała ze szkoły. Z powodu stanowczych sprzeciwów Grace Cynthia nigdy nie czekała na nią przed drzwiami szkoły, tylko na ulicy, tuż za bramą. Znalazła sobie takie miejsce, skąd mogła błyskawicznie dostrzec w tłumie wychodzących uczesaną w kucyki córkę, i próbowała nawet przekonać Grace, że jeśli wybiegnie przed bramę z pierwszą falą, będzie mogła ją niepostrzeżenie wpuścić do samochodu, mimo to mała wciąż się skarżyła na zbyt dużą troskliwość matki.

Prawdziwy problem powstałby dopiero wtedy, gdy któryś z nauczycieli poprosiłby klasę o pozostanie w ławkach po dzwonku. Nieważne, czy chodziłoby o zbiorową karę, czy jakieś niezbędne wyjaśnienia co do pracy domowej, ale Grace bez wątpienia wpadłaby w panikę, i to wcale nie z powodu tego, że matka będzie się o nią martwiła, lecz z obawy, że Cynthia przerażona jej opóźniającym się wyjściem wpadnie jak burza do szkoły i przystąpi do energicznych poszukiwań.

- Do tego mój teleskop się zepsuł - oznajmiła Grace.

- Co się stało?

- Połamały się te patyki, które trzymały rurę teleskopu na podstawce. Jakoś je naprawiłam, ale pewnie znów popękają.

- Przyjrzę się im.

- Muszę stale śledzić zabójcze asteroidy - dodała. - A nie będę mogła tego robić przez zepsuty teleskop.

- Rozumiem. Obiecałem, że się nim zainteresuję.

- Czy wiesz, że gdyby jakaś asteroida spadła na Ziemię, efekt byłby taki, jakby wybuchło milion bomb atomowych?

- Nie sądzę, żeby było ich aż tyle w arsenałach - odparłem. - Domyślam się jednak, że chciałaś mi unaocznić, jak straszliwy byłby to kataklizm.

- Kiedy w sennych koszmarach mam wizję upadku asteroidy na Ziemię, mogę się od niej łatwo uwolnić, jeśli przed pójściem do łóżka sprawdzę przez teleskop, że żadna z nich nie nadlatuje.

Pokiwałem głową. Problem polegał na tym, że nie kupiliśmy

jej teleskopu z prawdziwego zdarzenia, wręcz przeciwnie, jeden z tańszych, bardziej zabawkę niż porządny przyrząd. Nie chodziło nawet o to, że nie warto wydawać dużych pieniędzy na coś, co dziecku może się bardzo szybko znudzić. Po prostu nie mieliśmy aż tyle pieniędzy, by je wydawać na tego typu rzeczy.

- A co z mamą? - zapytała Grace.

- Nie rozumiem.

- Normalnie pójdzie ze mną do szkoły?

- Porozmawiam z nią.

- Czyli z kim? - zaciekawiła się Cynthia, wchodząc do kuchni.

Tego ranka wyglądała wspaniale. Wręcz oszałamiająco. Była naprawdę piękną kobietą i nigdy nie miałem dość patrzenia w jej zielone oczy, przyglądania się gładkiej cerze czy płomiennorudym włosom. Była dla mnie tak samo pociągająca jak wtedy gdy się poznaliśmy, tyle że bez młodzieńczego dramatyzmu.

Mnóstwo osób uważało, że musi szczególnie dbać o sylwetkę, ale według mnie to ciągła obawa chroniła

ją przed tyciem. Spalała nadmiar kalorii przez nieustanne zaniepokojenie. Nie uprawiała joggingu, nie ćwiczyła w siłowni. Szczerze mówiąc, nawet nie byłoby nas stać na wszystkie opłaty związane ze stałym członkostwem w klubie prowadzącym siłownię.

Jak już wspominałem, uczę angielskiego w szkole średniej, a Cynthia pracuje w sklepie odzieżowym, chociaż skończyła studia socjologiczne i przez jakiś czas pracowała w pomocy społecznej. Tak czy inaczej, nie opływamy w dostatki. Mamy własny dom, wystarczająco duży dla naszej trójki, położony w osiedlu domków rodzinnych niedaleko okolicy, w której wychowywała się Cynthia. Z pozoru można by sądzić, że powinna trzymać się z dala od rodzinnego domu, ale, moim zdaniem, zależało jej na tym, żeby osiedlić się w sąsiedztwie, na wypadek, gdyby ktoś jednak wrócił i chciał odnowić zerwany kontakt. Oba nasze samochody mają po dziesięć lat, wczasy wykupujemy w najtańszych firmach. Co roku wyjeżdżamy na tydzień do domku letniskowego mojego wuja niedaleko Montpellier, a trzy lata temu, gdy Grace skończyła pięć lat, wybraliśmy się do Walt Disney World i nocowaliśmy w tanim motelu w Orlando, gdzie o drugiej w nocy świetnie było słyszeć przez ścianę, jak facet w sąsiednim pokoju prosi dziewczynę, żeby uważała, bo ma ostre zęby.

Jednakże, jak sądzę, powodzi nam się nieźle i mniej więcej jesteśmy szczęśliwą rodziną. Przynajmniej przez większość dni.

Za to nocami, przynajmniej niekiedy, bywa ciężko.

- Z nauczycielką Grace - odparłem.

- O czym chcesz rozmawiać z jej nauczycielką? - zapytała Cynthia.

- Mówiłem tylko, że podczas następnego dnia otwartego pójdę do szkoły i porozmawiam z panią Enders - powiedziałem z naciskiem. - Ostatnio ty byłaś na wywiadówce, bo równocześnie był dzień otwarty w mojej szkole. Ciągłe coś nam staje na przeszkodzie.

- Przecież ona jest bardzo miła - wyjaśniła moja żona. - Moim zdaniem, o wiele sympatyczniejsza od tej nauczycielki sprzed roku. Jak ona się nazywała?... Aha, pani Phelps. Uważam, że była zbyt surowa.

- Nie znosiłam jej - wtrąciła Grace. - Kazała nam stać przez całą lekcję na jednej nodze, jak ktoś się źle zachowywał.

- Muszę iść - mruknąłem, dopijając ostatni łyk wystygłej kawy. - Cyn, podejrzewam, że musimy sobie sprawić nową zaparzaczkę.

- Rozejrzę się - obiecała Cynthia.

Nie zdążyłem jeszcze wstać od stołu, gdy Grace obrzuciła mnie desperackim spojrzeniem. Dobrze wiedziałem, co oznacza ten wzrok: „Porozmawiaj z nią. Błagam, spróbuj ją przekonać”.

- Terry, nie pamiętasz, gdzie jest zapasowy klucz? - zapytała żona.

- Hmm - mruknąłem.

Ruchem głowy wskazała pusty haczyk na ścianie za drzwiami kuchennymi wychodzącymi na małe tylne podwórko.

- Nie ma go? - zdziwiłem się, gdyż był to klucz, po który sięgaliśmy, wychodząc na krótkie spacerki, by nie zabierać całego pęku łącznie z kluczami do pracy i pilotami od samochodów. - Nie mam pojęcia, gdzie jest. Grace, nie brałaś go? - Grace nie nosiła jeszcze własnego klucza, zresztą nie potrzebowała, skoro Cynthia zawsze ją odprowadzała i odbierała ze szkoły.

Mała pokręciła głową, wciąż patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

Wzruszyłem ramionami.

- Może sam go wzięłem. Niewykluczone, że zostawiłem na stoliku w sypialni. - Przystanąłem tuż obok Cynthii, żeby na odchodne wciągnąć w nozdrza zapach jej włosów. - Odprowadzisz mnie? - zapytałem.

Wyszła za mną przed drzwi.

- Coś się dzieje? - zaczęła. - Z Grace wszystko w porządku?

Była dziś rano dziwnie małomówna.

Skrzywiłem się i pokręciłem głową.

- To samo, co zwykle. Ma już osiem lat, Cyn.

Odsunęła się na krok, lekko najeżona.

- Skarżyła ci się na mnie?

- Potrzeba jej odrobinę więcej niezależności.

- A więc o to chodzi. Chciała, żebyś porozmawiał ze mną, a nie z nauczycielką.

Uśmiechnąłem się niepewnie.

- Mówi, że inne dzieci się z niej śmieją.

- Jakoś to przeżyje.

Chciałem jeszcze coś dodać, ale zreflektowałem się, bo już tyle razy wszczynaliśmy dyskusję na ten

temat, że wyczerpałem wszelkie argumenty.

Za to Cynthia ochoczo przerwała milczenie:

- Dobrze wiesz, ile złych ludzi kręci się po okolicy. Można ich spotkać na każdym kroku.

- Tak, wiem, Cyn, dobrze wiem. - Bezskutecznie próbowałem wyeliminować wpływ frustracji i zniechęcenia na brzmienie mego głosu. - Tylko jak długo chcesz ją prowadzić za rączkę do szkoły? Aż skończy dwanaście lat? A może piętnaście? Czy tak samo zamierzasz ją odprowadzać do szkoły średniej?

- Jakoś to załatwię, gdy nadejdzie odpowiednia pora - odparła i na chwilę zawiesiła głos. - Już widziałam ten samochód.

No tak, samochód. Bezustannie widywała podejrzane samochody.

Zapewne wyczytała z mojej miny, że nie wierzę, by cokolwiek się za tym kryło.

- Myślisz, że zwariowałam?

- Nie, wcale tak nie myślę.

- Naprawdę widziałam go już dwa razy. Ten sam, brązowy.

- Jakiej marki?

- Nie wiem. Zwykły samochód. Z przyciemnionymi szybami.

- I jak często go tu widzujesz?

- Widziałam go co najmniej dwa razy. Przejeżdżał obok nas, gdy szliśmy z Grace. I nawet wyraźnie zwalniał.

- Jak wyglądał kierowca?

- Przecież mówiłam, że szyby były przyciemnione. W ogóle nie widziałam, kto siedzi za kierownicą.

- Zatrzymał się? A może kierowca próbował cię zaczepić?

- Nie.

- Zapamiętałaś numer rejestracyjny?

- Nie. Za pierwszym razem w ogóle nie zwróciłam na niego uwagi. A za drugim byłam zbyt zdenerwowana, żeby się przyglądać tablicy.

- Cyn, to prawdopodobnie samochód kogoś mieszkającego w tej okolicy. Ludzie często tu zwalniają.

Przed szkołą jest ograniczenie prędkości. Pamiętasz, jak kiedyś policja ustawiła się tam z radarem?

Skutecznie wybiła ludziom z głowy pośpiech na tym odcinku, zwłaszcza w ciągu dnia.

Cynthia odwróciła głowę i skrzyżowała ręce na piersi.

- Ty nie chodzisz tędy tak często jak ja, więc nie wiesz, jak jest naprawdę.

- Ale wiem za to - odparłam z naciskiem - że tylko zrobisz Grace na złość, jeśli nie dasz jej trochę więcej samodzielności.

- Aha, sugerujesz zatem, że jeśli ten facet będzie próbował ją wciągnąć do samochodu, ona sama zdoła się przed nim obronić? Ośmioletnia dziewczynka?

- Jakim cudem przeskoczyliśmy od przejeżdżającego tędy brązowego samochodu do złoczyńcy wciągającego małe dzieci do swego auta?

- Nigdy nie traktujesz tych spraw równie poważnie, jak ja. - Zrobiła teatralną pauzę. - Podejrzewam, że dla ciebie to całkiem naturalne.

Wydałam policzki i głośno syknąłem przez zęby.

- Dobra, chyba i tak nie rozsądzimy tego w tej chwili, a ja muszę jechać.

- Jasne - mruknęła, wciąż nie patrząc na mnie. - Więc pewnie będę musiała znów do nich zadzwonić.

Zawahałam się.

- To znaczy do kogo?

- Do redakcji programu Deadline.

- Cyn, daj spokój. Ile to minęło? Trzy tygodnie od emisji reportażu? Gdyby ktoś zdecydował się zadzwonić w tej sprawie, już by to zrobił. A gdyby tak się stało, redakcja z pewnością natychmiast by cię o tym zawiadomiła. Zawsze z przyjemnością kręcą ciąg dalszy każdej sprawy.

- I tak do nich zadzwonię. Nie dzwoniłam przez parę dni, więc może nie potraktują mnie z takim lekceważeniem jak ostatnio. Możliwe, że dostali jakąś wiadomość, którą uznali za mało istotną, na przykład telefon od jakiegoś fanatyka, a dla mnie może mieć ona znaczenie. Mieliśmy wystarczająco dużo szczęścia, że jakiś gryziپیórek przekopujący się przez stare śledztwa zechciał zapoznać się z moim przypadkiem i uznał, że warto na tej podstawie zrobić reportaż.

Delikatnie obróciłam jej głowę do siebie i uniosłam brodę, żeby spojrzała mi prosto w oczy.

- W porządku, zrobisz, co uważasz za stosowne - odparłam. - Pamiętaj tylko, że cię kocham.

- Ja też cię kocham - odparła. - I... dobrze wiem, że niełatwo ci żyć z takim bagażem. Wiem też, jak trudno



znosi to Grace. Zdaję sobie sprawę z własnych obsesyjnych lęków, które uprzykrzają jej codzienne życie. Ale ostatnimi czasy, po emisji tego reportażu, cała historia znów stała się dla mnie aż za bardzo realna.

- Rozumiem. Chciałbym tylko, żebyś mogła też żyć teraźniejszością, a nie fiksowała na punkcie przeszłości.

Przygarbiła się lekko.

- Fiksowała? Więc tak oceniasz moje postępowanie?

Znów źle dobrałem określenie. Jako nauczyciel angielskiego powinienem mieć znacznie większą swobodę w doborze słów.

- Tylko nie traktuj mnie protekcyjnie - dodała Cynthia, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Wydaje ci się, że wszystko wiesz. Ale o niczym nie masz pojęcia.

Na pewno nie miałem pojęcia, jak na to zareagować, gdyż jej stwierdzenie było zgodne z prawdą.

Pochyliłem się więc tylko, pocałowałem ją i ruszyłem do pracy.

Pragnęła, aby to, co musi powiedzieć, zabrzmiało pocieszająco, ale jednocześnie musiała być stanowcza.

- Naprawdę mogę zrozumieć, że sam ten pomysł wprawia cię w zakłopotanie. Świetnie pojmuję, że twoja wrażliwość każe ci się buntować, ale ja już przez to przechodziłam i możesz mi wierzyć, że wszystko sobie dobrze przemyślałam, a to skłoniło mnie do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Tak to już bywa w rodzinie. Ktoś musi zrobić to, co zrobić trzeba, choćby to było bardzo trudne czy nawet bolesne. Nie mam złudzeń, że to, co musimy teraz zrobić, będzie bardzo trudne, ale powinieneś spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy. Trochę mi to przypomina stare powiedzenie... może jesteś za młody, żeby je pamiętać... że czasem trzeba zniszczyć wioskę, żeby ją uratować.

Jesteśmy w podobnej sytuacji. Pomyśl o swojej rodzinie jak o takiej wiosce. Musimy zrobić wszystko, co konieczne, żeby ją ratować.

Bardzo lubiła posługiwać się liczbą mnogą, bo czuła się przez to jak rzeczywisty członek zespołu.

Kiedy po raz pierwszy wyłowiła mnie z tłumu studentów Uniwersytetu Connecticut, mój przyjaciel Roger szepnął:

- Tylko dobrze się zastanów, Archer. Ta dziewczyna ma zdrowo poprzesławiane pod sufitem. Wiem, że jest łakomym kąskiem, choćby przez te jej płomienne włosy, ale jest raczej nieźle porąbana.

Cynthia Bigge siedziała w drugim rzędzie auli wykładowej i pilnie robiła notatki na temat Holokaustu, natomiast ja i Roger siedzieliśmy jak zwykle na samej górze, blisko wyjścia, żeby wyśliznąć się na korytarz, jak tylko wykładowca zacznie swoim zwyczajem przynudzać.

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest porąbana? - zapytałem również szeptem.

- Nie pamiętasz tej głośnej sprawy sprzed kilku lat, kiedy to uratowała się tylko dziewczyna, a cała reszta jej rodziny zniknęła bez śladu?

- Nie - odparłem, gdyż w tamtym okresie w ogóle nie czytałem gazet i nie oglądałem wiadomości telewizyjnych. Jak większość rówieśników byłem zajęty głównie sobą, widziałem się jako drugiego Philipa Rotha, Robertsona Daviesa czy Johna Irvinga. Koncentrowałem się na procesie skracania tej listy, obojętny na wszystko, może poza okazijnymi zgromadzeniami na terenie kampusu, kiedy to takie czy inne radykalne ugrupowanie mobilizowało studentów do takiego czy innego masowego protestu. Ale udzielałem się w tych protestach tylko dlatego, że widziałem w nich wyjątkową okazję, aby poznać nową dziewczynę.

- Zatem jej rodzice, siostra i chyba także brat, już dobrze nie pamiętam, nagle zniknęli bez śladu.

Pochyliłem się bardziej ku niemu i zapytałem:

- Chcesz powiedzieć, że to ona ich wymordowała?

Roger wzruszył ramionami.

- Kto to wie, do cholery?! I to właśnie nadaje pieprzyku tej sprawie. - Skinął głową w kierunku Cynthii. - Możliwe, że tylko ona zna prawdę. Niewykluczone, że sama pozbyła się najbliższych. A ty nigdy nie miałeś ochoty wykończyć całej swojej rodziniki?

Teraz to ja wzruszyłem ramionami. Wydawało mi się, że każdy w naszym wieku miewał tego typu pragnienia.

- Wiesz, co myślę? Że ona zwyczajnie zadziera nosa - mruknął Roger. - Nie da ci najmniejszych szans.

Wciąż zajęta jest tylko własnymi sprawami, godzinami przesiaduje w bibliotece, jakby stała się coś pilnego do zrobienia. Z nikim się nie spotyka, nie pojawia się na prywatkach. Choć przyznaję, że to niezła sztuka.

Mnie wydawała się po prostu piękna.

To były jedyne zajęcia, na które chodziliśmy razem. Ja byłem na kierunku pedagogicznym i szykowałem się do zawodu nauczyciela, na wypadek, gdyby wielki sukces literacki przyszedł z opóźnieniem. Oboje

moi rodzice, będący już na emeryturze i mieszkający w Boca Raton, też byli nauczycielami i całkiem sobie chwalili tę profesję. Była przynajmniej odporna na wszelkie recesje i kryzysy gospodarcze. Kiedy zacząłem rozpytywać, dowiedziałem się, że Cynthia jest z socjologii, z kampusu Storrsa, i specjalizuje się w naukach o rodzinie. Do jej podstawowych przedmiotów należała seksuologia, nauka o małżeństwie, opieka nad starszymi, ekonomia gospodarstwa domowego i temu podobne zajęcia.

Pewnego dnia, ubrany w zwykłą bawełnianą koszulkę, siedziałem przed księgarnią uniwersytecką i przeglądałem swoje notatki dotyczące lektur, kiedy wyczułem, że ktoś stanął przede mną.

- Dlaczego o mnie rozpytujesz? - zapytała Cynthia.

Był to pierwszy raz, kiedy się do mnie odezwała, wcześniej nie znałem jej łagodnego, ale brzmiącego dość stanowczo głosu.

- Słucham? - bąknąłem zaskoczony.

- Dowiedziałam się, że o mnie rozpytujesz - powtórzyła. - To ty jesteś Terrence Archer, prawda?

Skinąłem głową.

- Terry.

- Więc może mi wyjaśnisz, czemu o mnie wypytujesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem...

- Czego nie wiesz? Jest coś, co chciałbyś o mnie wiedzieć?

Jeśli tak, to czemu nie przyjdiesz i nie zapytasz wprost? Strasznie nie lubię, jak ludzie gadają o mnie za moimi plecami. Potrafię to wyczuć na odległość.

- Posłuchaj... Przepraszam, chciałem tylko...

- Myślisz, że nie wiem, kiedy ludzie mnie obgadują?

- Boże, o co ci chodzi? Jesteś paranoiczką? Wcale cię nie obgadywałem. Ciekawiło mnie tylko...

- Czy jestem właśnie tą, której cała rodzina zniknęła bez śladu? No więc jestem. A teraz bądź łaskaw zająć się swoimi sprawami i...

- Moja mama też ma rude włosy - przerwałem jej. - Nie tak rude, jak twoje, bardziej wpadające w blond.

Ale twoje mi się bardzo podobają. - Zamrugnęła szybko ze zdziwienia. - Więc tak, to prawda, że pytałem parę osób o ciebie, bo ciekawiło mnie, czy masz kogoś. Dowiedziałem się jednak, że nie, a teraz już rozumiem z jakiego powodu.

Spoglądała na mnie z niedowierzaniem.

- A zatem... - przystąpiłem do prawdziwego przedstawienia z chowaniem notatek i książek do plecaka oraz układaniem go na ramieniu - ...wybacz, ale muszę iść.

Wstałem i ruszyłem ulicą.

- To prawda - rzuciła za mną Cynthia.

Przystanąłem.

- Co jest prawdą?

- Ze z nikim się nie spotykam.

Głośno przełknęła ślinę. A ja poczułem, że się czerwienię.

- Nie chciałem, żebyś mnie wzięła za zwykłego dupka - dodałem. - Ale wydaje mi się, że jesteś trochę... no, wiesz, przewrażliwiona.

Szybko ustaliliśmy, że ona faktycznie jest przewrażliwiona, a ja, niestety, jestem zwykłym dupkiem, ale jakimś sposobem skończyliśmy przy kawie w naszym uniwersyteckim barku i dowiedziałem się od Cynthii, że mieszka teraz z ciotką, siostrą matki.

- Tess jest w porządku - przyznała. - Nigdy nie wyszła za męża, nie ma dzieci, więc gdy się do niej sprowadziłam, kiedy moja rodzina zniknęła, cały jej świat mniej więcej wywrócił się do góry nogami. Ale dzielnie to zniosła. Zresztą co miała zrobić? W końcu i ona przeżyła tragedię, w jednej chwili straciła siostrę, szwagra i siostrzeńca.

- A co się stało z twoim domem? Nie mogłaś dłużej mieszkać tam, gdzie przedtem?

Całkiem nieźle, jak na życiowego pragmatyka, prawda?

Ona straciła całą rodzinę, a ja się dopytuję o stan prawny nieruchomości.

- Nie mogłam tam mieszkać sama - odparła Cynthia. - Nie było komu opłacać czynszu i innych rzeczy, nie mówiąc już o ratach kredytu hipotecznego. Kiedy nikt z mojej rodziny się nie pojawiał, bank po prostu przejął nasz dom. Włączyli się do sprawy adwokaci i zażądali zwrotu tych pieniędzy, które moi rodzice zdążyli wpłacić, ale po odliczeniu kosztów okazało się, że są to marne grosze. Niemniej zostały przelane na mój fundusz powierniczy. Teraz, gdy minęło już tyle lat, moi rodzice zostali uznani za zmarłych.

Przynajmniej pod względem prawnym. - Uniósła wzrok do nieba i skrzywiła się boleśnie.

Co miałem powiedzieć?

- Tak więc tylko dzięki ciotce Tess mogłam zacząć studia.

Oszczędzam i pracuję w wakacje, lecz niewiele z tego mam. Nie wiem doprawdy, jak ona wiąże koniec z końcem. Nie dość, że mnie wychowała, to jeszcze opłaca czesne na uczelni. Musi siedzieć w długach po uszy. Mimo to ani razu nie słyszałam od niej jednego słowa skargi.

- Rety - mruknąłem, pociągając łyk kawy.

Cynthia po raz pierwszy uśmiechnęła się do mnie.

- Rety? - powtórzyła zdziwiona. - Tylko tyle masz do powiedzenia, Terry? Rety? - Jej uśmiech zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. - Przepraszam. Sama nie wiem, jakich reakcji się spodziewać. Nie mam najmniejszego pojęcia, co bym sama powiedziała, gdybym siedziała na twoim miejscu.

- A ja nie wiem, jak to wszystko znosisz.

Upiła drobny łyżeczek herbaty.

- Przyznam szczerze, że czasami mam ochotę się zabić. Ale zaraz myślę sobie, że a nuż następnego dnia po mojej śmierci się odnajdą. - Znowu uśmiechnęła się leciutko. - Czy to nie byłby tragiczny zbieg okoliczności?

I tym razem uśmiech zniknął z jej warg jakby zdmuchnięty delikatnym, niewyczuwalnym wiatrem.

Kosmyk ogniście rudych włosów zsunął jej się na oczy, toteż wdzięcznym gestem wetknęła go z powrotem za ucho.

- Problem polega na tym - ciągnęła - że być może są martwi, skoro nie mieli nawet szansy, żeby się ze mną pożegnać, ale równie dobrze mogą gdzieś żyć, co by oznaczało, że nic ich nie obchodzi. - Odwróciła głowę i popatrzyła za okno. - Nie umiem rozsądzić, które wyjaśnienie byłoby dla mnie gorsze.

Milczeliśmy chyba dobrą minutę. W końcu Cynthia przyznała:

- Jesteś miły. Gdybym się miała z kimś umawiać, chętnie umówiłabym się z kimś takim, jak ty.

- Fajnie. Zatem jak popadniesz w desperację, wiesz, gdzie mnie szukać.

Znowu wyjrzała przez okno na kierującą się do wejścia gromadkę studentów. Tym razem milczała tak długo, że już zacząłem nabierać podejrzeń, iż zasnęła z otwartymi oczami.

- Czasem mi się zdaje - zaczęła niespodziewanie - że widzę któreś z nich.

- Niby jakim cudem? - zdziwiłem się. - Tak jak ducha albo coś w tym rodzaju?

- Nie, skądże - odparła, wciąż nie patrząc na mnie. - Dostrzegam nagle na ulicy kogoś, kto wygląda jak mój ojciec albo matka. Powiedzmy, od tyłu. Coś przykuwa mój wzrok, na przykład lekkie przekrzywienie głowy albo sposób chodzenia wydają mi się znajome i nabieram przekonania, że to któreś z nich.

Albo dostrzegam chłopaka, najwyżej o rok starszego ode mnie, który według mnie wygląda dokładnie tak, jak mój brat przed siedmioma laty, tylko wyrosnięty. Moi rodzice wyglądaliby dzisiaj bardzo podobnie, prawda? Niewiele by się zmienili przez lata. Ale brat mógłby się wydawać kimś całkiem obcym, chociaż i tak pewne elementy w jego wyglądzie pozwoliłyby mi go rozpoznać, nie sądzisz?

- Pewnie tak - przyznałem.

- Więc jak widzę kogoś takiego, podbiegam i zaglądam w twarz, czasem nawet łapię za ramię i odwracam do siebie, żeby się dokładnie przyjrzeć. - Wreszcie oderwała się od widoku za oknem, ale wbiła wzrok w swój kubeczek z herbatą, jakby miała nadzieję w nim znaleźć odpowiedź. - Ale okazuje się, że są to obcy ludzie.

- Może po pewnym czasie przestaniesz to robić.

- Jeśli natrafię na któreś z nich - odparła.

Zaczęliśmy się spotykać. Chodziliśmy do kina, razem pracowaliśmy w bibliotece. Ona próbowała mnie zainteresować tenisem.

Nigdy nie miałem serca do tej gry, ale postanowiłem zaryzykować. Cynthia na wstępie zaznaczyła, że też nie jest wytrawną tenisistką, tylko zapaloną amatorką, odznaczającą się podobno niezłym bekhendem.

Wystarczyło to jednak, żeby zamiast mnie zachęcić, jeszcze bardziej napędziła mi strachu. No i jak tylko zaserwowałem, po czym ujrzałem jej charakterystyczny ruch prawą ręką zza lewego ramienia, w jednej chwili straciłem nadzieję, że uda mi się odbić tę piłkę, jeśli w ogóle ją zauważę pędzącą w moim kierunku.

Któregoś dnia siedziałem pochylony nad maszyną do pisania marki Royal - już wtedy zasługującą na miano antyku, wielką i masywną, z żelazną pokrywą lakierowaną na czarno, garbatą niczym tył volkswagena, spod której „e” wychodziło prawie jak „c”, nawet gdy zakładałem świeżą taśmę - i próbowałem dokończyć esej o Thoreau, który obchodził mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg, a w czym ani trochę nie pomagała mi świadomość, że obok na wąskim tapczaniku mojego jednoosobowego pokoju w akademiku leży Cynthia, co prawda kompletnie ubrana, zmorzona snem podczas lektury podniszczonego kieszonkowego wydania Misery Stephena Kinga. Nie była wybredna w literaturze angielskiej i często

sięgała po coś, na co przyszła jej właśnie ochota, lubiła jednak opowieści o ludziach, którzy przeszli przez coś gorszego niż to, co spotkało ją.

Wcześniej sam ją zaprosiłem, żeby wpadła i popatrzyła, jak będę pisał ten esej.

- Na pewno cię zaskoczę - rzekłem z dumą - bo piszę na klawiaturze dziesięcioma palcami.

- Równocześnie? - zdziwiła się.

Skinąłem głową.

- Rzeczywiście muszę to zobaczyć - przyznała.

Zabrała jakąś swoją robotę, po czym w milczeniu usiadła na moim łóżku, oparłszy się plecami o ścianę. W tym czasie już dobrze wyczuwałem, kiedy mi się uważnie przygląda. Coraz więcej czasu spędzaliśmy razem, coraz częściej chodziliśmy do kina, lecz prawie wcale się nie dotykaliśmy. Czasami tylko pozwalałem sobie musnąć palcami jej ramię, kiedy odsuwałem jej krzesło w uniwersyteckiej stołówce, no i podawałem rękę, gdy wysiadała z autobusu. Kiedy indziej raczej przypadkiem stykaliśmy się ramionami, spoglądając w rozgwieżdżone niebo.

Nic poza tym.

Odniosłem wrażenie, że słyszę szelest odsuwanej koca, ale byłem pochłonięty ważnym przypisem.

Kiedy więc stanęła nade mną, odebrałem jej bliskość niczym wstrząs elektryczny. Położyła mi dłoń na ramionach, przesunęła nimi po piersi, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. Szybko obróciłem się tak, żeby nasze usta znalazły się na wprost siebie. Później, gdy już leżeliśmy pod kocem, lecz jeszcze zanim do czegośkolwiek doszło, Cynthia oznajmiła:

- Nie możesz mnie skrzywdzić.

- Wcale nie zamierzam robić ci krzywdy - odparłem. - Postaram się być delikatny i ostrożny.

- Nie o to mi chodzi - szepnęła. - Jeśli postanowisz mnie rzucić, uznasz, że masz mnie już dość, niczym się nie przejmuj.

Nic nie może być bardziej bolesne od tego, co już przeżyłam.

Przyszłość miała pokazać, że się myliła.

W miarę zacieśniania naszej znajomości, a więc wzrostu zaufania Cynthii do mnie, dowadywałem się coraz więcej o jej zaginionej rodzinie, o Claytonie i Patricii, o starszym bracie Toddzie, którego raz kochała, a raz nienawidziła, zależnie od sytuacji.

Mówiąc o nich, często gryzła się w język.

- Moja matka miała na imię... ma na imię Patricia.

Wciąż walczyła z tą częścią świadomości, która już dawno zaakceptowała fakt, że cała trójka nie żyje.

Wciąż podsycala żar tłącego się jeszcze ognika nadziei, jakby rozdmuchiwała dogasające szczapy porzuconego przez kogoś ogniska.

Tak więc należała do rodziny Bigge'ów. Oczywiście sama traktowała to jak żart, wzięwszy pod uwagę, że jakakolwiek dalsza rodzina, przynajmniej ze strony ojca, po prostu nie istniała. Clayton Bigge nie miał rodzeństwa, jego rodzice umarli, gdy był młodzieńcem, i nigdy nie wspominał o żadnych ciotkach bądź wujkach. Nie miał też żadnej dalszej rodziny, co pozwalało uniknąć kłótni między Claytonem a Patricia o to, u której rodziny tego roku powinni spędzić święta Bożego Narodzenia. Zdarzało się tylko, że on musiał wyjechać na delegację na okres świąt.

- Muszę wam wystarczyć - mawiał z dumą. - Za całą moją rodzinę. Poza mną nie ma nikogo.

Nie miał też żadnych sentymentalnych pamiątek. Nie trzymał rodzinnych albumów z wcześniejszych pokoleń, nie chwalił się zdjęciami z dzieciństwa, nie chował listów od byłych dziewczyn, które Patricia chciała wyrzucić zaraz po ślubie.

Kiedy miał piętnaście lat, rozżarzone węgle wysypały się z rusztu kuchni i jego rodzinny drewniany dom poszedł z dymem.

Pożar strawił także wszystkie pamiątki rodzinne. Clayton wyrósł więc na człowieka żyjącego chwilą obecną i nieoglądającego się za siebie.

Patricia także nie miała zbyt licznej rodziny, ona jednak dysponowała wieloma pamiątkami, przede wszystkim mnóstwem zdjęć - zarówno poukładanych w albumach, jak i poupychanych w pudełkach od butów - przedstawiających oprócz jej rodziców członków dalszej rodziny oraz przyjaciół z dzieciństwa.

Jej ojciec zmarł na polio, kiedy była mała, ale matka wciąż żyła, gdy ona związała się z Claytonem. Matka uważała zięcia za uroczego, tylko trochę zbyt wstydliwego. Zdołał namówić Patricię na cichy ślub, nie było zatem oficjalnego wesela, nie musiał więc występować przed jej dalszą rodziną.

Tylko jej siostra Tess nie była pod wrażeniem. Z pogardą wyrażała się o pracy Clayтона, przez którą bywa! w domu średnio co drugi dzień, zatem przez większość czasu Patricia musiała wychowywać dzieci samotnie. Niemniej uczciwiełożył na utrzymanie rodziny i otaczał żonę szczerą troskliwą miłością.

Patricia Bigge znalazła pracę w sklepie wielobranżowym w Milford, przy North Broad Street, na obrzeżu miejskiego parku, w pobliżu starej biblioteki, z której stale wypożyczała nagrania z bogatej kolekcji muzyki klasycznej. Rozkładała towary na półkach, obsługiwała klientów przy kasie, czasem nawet pomagała aptekarzowi, ale tylko w podstawowych czynnościach. Nie przeszła specjalistycznego szkolenia, choć świetnie zdawała sobie sprawę, że powinna zapisać się na jakiś kurs, nauczyć się choćby podstaw handlu, ale wychodząc z pracy, natychmiast zapomniała o tych planach, koncentrując się na sprawach utrzymania rodziny. Podobnie reagowała jej siostra Tess, która pracowała w pobliskim Bridgeport, w fabryce wytwarzającej podzespoły do produkcji radioodbiorników.

Pewnego dnia do sklepu wkroczył Clayton, spragniony batonika Mars.

Później Patricia często powtarzała, że gdyby mąż nie nabrał aż tak zdumiewającej ochoty na marsa właśnie tamtego dnia, w lipcu 1967 roku, przejeżdżając przez Milford w trakcie jednej ze swoich licznych podróży służbowych, jej życie zapewne potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Niemniej z punktu widzenia Patricii wszystko ułożyło się doskonale. Romans błyskawicznie nabierał tempa i już po kilku tygodniach zaszła w ciążę, z Toddem. Clayton wyszukał skromny dom przy Hickory Street, tuż za skrzyżowaniem z Pumpkin Delight Road, zaledwie o rzut kamieniem od plaży nad cieśniną Long Island. Zależało mu, by żona i dziecko mieli godziwe warunki, kiedy on będzie dalej jeździł w delegacje po kraju. Ponoślił całkowitą odpowiedzialność za obroty swojej firmy w korytarzu od Nowego Jorku do Chicago, sięgającym na północ aż do Buffalo, a zajmował się sprzedażą olejów silnikowych i smarów do większości maszyn. Nic specjalnego. Ale miał stałe zajęcie.

Dwa lata po narodzinach Todda na świat przyszła Cynthia.

Rozmyślałem o tym wszystkim, jadąc do szkoły średniej Old Fairfield. Ilekroć pograżałem się w takich głębszych rozważaniach, z reguły dotyczyły one przeszłości mojej żony, okresu jej dorastania, członków najbliższej rodziny, których nie dane mi było poznać i na co, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie miałem już żadnych szans.

Może gdybym mógł spędzić z nimi trochę czasu, łatwiej byłoby mi zrozumieć Cynthię. Tymczasem rzeczywistość wyglądała tak, że kobieta, którą znałem i kochałem, została bardziej ukształtowana przez to, co ją spotkało po utracie całej rodziny - a raczej po tym, kiedy najbliższa rodzina ją porzuciła - niż przez lata młodości spędzonej w domu rodzinnym.

Wpadłem do ciastkarni po kawę, ledwie mogąc się powstrzymać od zakupu aromatycznych pączków z nadzieniem cytrynowym, i szedłem z firmową papierową torbą, niosąc na ramieniu plecak wyładowany pracami domowymi moich uczniów, gdy na korytarzu natknąłem się na Rolanda Carruthersa, dyrektora szkoły i chyba mojego najlepszego przyjaciela od czasu podjęcia przeze mnie pracy w tej szkole.

- Cześć, Roily - zagadnąłem.

- A dla mnie? - zapytał, wskazując ruchem głowy papierową torbę z cukierni.

- Jeśli zajmiesz się moimi pierwszoklasistami, zaraz przyniosę też kawę dla ciebie.

- Gdybym się zajął twoimi pierwszoklasistami, potrzebowałbym czegoś mocniejszego od kawy.

- Wcale nie są tacy źli.

- To dzikusy - oznajmił Rolly ze śmiertelnie poważną miną.

- Przecież nawet nie masz pojęcia, kto jest w mojej pierwszej klasie - zaoponowałem.

- Nieważne. Jeśli chodzą do niej uczniowie zapisani do tej szkoły, muszą być dzikusami - odparł bez cienia uśmiechu.

- Co się dzieje z Jane Scavullo? - zapytałem.

Jane, która uczęszczała na moje zajęcia z twórczego pisania, przysparzała sporo kłopotów. Pochodziła z „bardzo niewyraźnej” rodziny, jak mawiały sekretarki, z którymi musiała bardzo często przesiadywać przed gabinetem dyrektora. Ale zarazem pisała jak prawdziwy anioł. Mało mnie obchodziło, że ten anioł jest zdolny powybić wszystkie szyby w moim domu, bo interesowałem się głównie jej talentem literackim.

- Powiedziałem jej, że jest o tyle od zawieszenia - rzekł Rolly, pokazując dwa palce rozstawione na centymetr.

Kilka dni wcześniej przed wejściem do szkoły Jane wdała się w gwałtowną bójkę z inną dziewczyną. Prawdopodobnie poszło o chłopaka. Bo i o cóż innego? W każdym razie zgromadził się wokół nich pokaźny tłumek, przy czym większości gapiów było wszystko jedno, która wygra, byle widowisko trwało jak najdłużej. Przerwał je Rolly, brutalnie wkraczając do akcji.

- A co ona na to?

Poruszał energicznie żuchwą, naśladując żucie gumy i wzbogacając je o efekty głośniego mlaskania oraz strzelania.

- Jasne - mruknąłem.

- Widzę, że ją lubisz.

Wyciągnąłem z torby kubeczek, zdjąłem pokrywkę i ostrożnie pociągnąłem łyk gorącej kawy.

- Bo ona coś w sobie ma - odparłem.

- Nigdy nie należy na nikogo machnąć ręką - przyznał. - Ale nie można też być za miękkim.

Moja przyjaźń z Rollym była, że się tak wyrażę, wielopłaszczyznowa. Traktowałem go jak kumpla po fachu, ale że był sporo starszy ode mnie, widziałem w nim również kogoś w rodzaju ojca. Chętnie zagłębiałem do niego na rozmowę, gdy potrzebowałem jakiejś rady albo, jak często mawiałem, spojrzenia z perspektywy stuleci. Poznałem go przez Cynthię. Tak jak dla mnie pełnił nieformalnie rolę ojca, dla niej był nieformalnym wujkiem, gdyż przyjaźnił się z jej ojcem Claytonem przed jego zniknięciem i poza ciotką Tess stanowił dla niej jedyny łącznik z przeszłością.

Wkrótce miał przejść na emeryturę i niekiedy widać było po nim, że już się do tego szykuje, że odlicza dni dzielące go od przeprowadzki na Florydę, od zamieszkania w nowiutkiej przyczepie mieszkalnej zaparkowanej gdzieś w okolicy Bradenton, skąd wypływają łodzie na połowy marlinów, mieczników czy co tam jeszcze wyciąga się z wody.

- Mogę do ciebie zajrzeć później? - zapytałem.

- Tak, pewnie. A o co chodzi?

- Takie tam... drobiazgi.

Pokiwał głową. Świetnie wiedział, co mam na myśli.

- Wpadnij po jedenastej, powinienem być już wolny. Wcześniej mam spotkanie z kuratorem.

Poszedłem do pokoju nauczycielskiego, zajrzałem do swojej przegródki na korespondencję, a nie znalazłszy niczego, odwróciłem się, żeby wyjść z powrotem na korytarz, i o mało nie wpadłem na Lauren Wells, która także sprawdzała przegródkę na korespondencję.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Cześć - rzuciła odruchowo Lauren, zanim jeszcze spojrzała, kto chciał ją staranować, a kiedy zobaczyła mnie, uśmiechnęła się ciepło, zaskoczona. Miała na sobie elastyczny jednoczęściowy dres lekkoatletyczny i białe adidasy, była już przygotowana do lekcji wychowania fizycznego. - Cześć - powtórzyła. - Co słychać?

Lauren osiadła w Old Fairfield cztery lata wcześniej, rzuciwszy szkołę średnią w New Haven, gdzie nauczał jej były mąż.

Kiedy ich małżeństwo się rozpadło, uznała, że nie chce pracować dalej w tym samym budynku, co on, a przynajmniej tak głosiła plotka. Mając reputację wyróżniającej się trenerki, której uczniowie wygrywali w kilku różnych zawodach okręgowych, mogła pewnie do woli wybierać w ofertach innych szkół, gdyż niewątpliwie wszyscy dyrektorzy przyjęliby ją do pracy z otwartymi ramionami.

W tej konkurencji wygrał Rolly. Wyznał mi w tajemnicy, że zatrudnił ją ze względu na wszystko, co Lauren mogła wnieść do naszej szkoły, a co obejmowało też, ma się rozumieć, „oszałamiającą figurę, faliste kasztanowe włosy i niesamowite piwne oczy”.

Zdziwiłem się wtedy:

- Kasztanowe włosy? Kto ci to powiedział?

Widocznie gapiłem się na niego w osłupieniu, gdyż poczuł się zobligowany do przybrania oficjalnego tonu:

- Spokojnie, to tylko zwykła uwaga. Jedyny przyrząd, na którym jeszcze zaciskam palce, to wędka do połowu okoni.

Od chwili przybycia do szkoły Lauren Wells zdawała się mnie nie zauważać, ale tylko do czasu emisji reportażu o zaginięciu rodziny Cynthii. Teraz, ilekroć się spotykaliśmy, zawsze pytała z zaciekawieniem, co nowego.

- Są jakieś ciekawe kąski? - dodała.

- Słucham? - bąknąłem zdziwiony, rozglądając się po stolikach, jakby rzeczywiście chodziło jej o jakieś łakocie. Ostatecznie bywały dni, że jakimś cudem w sali nauczycielskiej pojawiała się taca pełna pączków.

- Po reportażu w telewizji - wyjaśniła. - Minęło już kilka tygodni, prawda? I co? Nikt się nie zgłosił z żadnymi informacjami pozwalającymi wyjaśnić, co się stało z rodziną Cynthii?

O mało się nie zaśmiałem, gdy z jej ust padło imię Cynthii, jakby się bała mówić o „mojej żonie”. Można było odnieść wrażenie, że świetnie się znają z Cynthią, chociaż ani razu się nie spotkały, a przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie mogłem wykluczyć, że w ciągu tych czterech lat poznała moją żonę na jakimś przyjęciu czy zabawie, gdzie zazwyczaj bywaliśmy razem.

- Nie - odparłem.

- Podejrzewam więc, że Cynthia jest bardzo rozczarowana - powiedziała, współczującym gestem kładąc dłoń na moim ręku.

- A, tak, owszem, na pewno byłoby lepiej, gdyby ktoś się jednak odezwał. W końcu ktoś powinien coś pamiętać mimo upływu lat.

- Niemal bez przerwy myślę o tej sprawie - przyznała Lauren. - Przedwczoraj wieczorem opowiedziałam znajomemu o waszym przypadku. Dlatego ciekawa jestem, jak się trzymacie. U siebie wszystko w porządku?

- U mnie? - zapytałem zdumiony. - Oczywiście, że wszystko w porządku.

- Bo czasami wyglądasz tak - dodała ściszym głosem - jakbyś... no, sama nie wiem... może nie powinnam o tym mówić, ale czasami w pokoju nauczycielskim wyglądasz, jakbyś był tym wszystkim zmęczony. I zasmucony.

Nie potrafiłem określić, co z tego, co mnie uderzyło, jest bardziej znaczące: czy to, że Lauren uważa, iż wyglądam na zmęczonego i zasmuconego, czy to, że w czasie przerw obserwuje mnie w pokoju nauczycielskim.

- Nic mi nie jest - zapewniłem. - Naprawdę.

Uśmiechnęła się.

- To dobrze, bardzo dobrze. - Odchrząknęła. - No cóż, muszę już iść na salę gimnastyczną. Kiedyś powinniśmy dłużej porozmawiać. - Po raz kolejny wyciągnęła rękę, położyła mi na ramieniu, przytrzymała chwilę, po czym cofnęła szybko, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju nauczycielskiego.

Idąc na zajęcia z pisarstwa kreatywnego w mojej pierwszej klasie, pomyślałem, że ktoś, kto układał plan zajęć na ten semestr i uznał, że coś „kreatywnego” może się odbyć na pierwszej godzinie lekcyjnej, musiał mieć albo całkiem mylne wyobrażenie o kondycji uczniów szkoły średniej, albo odznaczał się upiornym poczuciem humoru. Wspomniałem już o tym Rolly'emu, który zaznaczył tylko:

- Chyba właśnie dlatego te zajęcia nazywają się twórczymi.

Bo przecież trzeba być twórczym, żeby przyciągnąć uwagę uczniów o tak wczesnej porze. Nie wątpię, Terry, że nikt poza tobą nie jest zdolny do takiego wyczynu.

Kiedy wszedłem do sali, znajdowało się w niej dwadzieścia jeden ciał, z których połowa siedziała z głowami ułożonymi na rękach, często w takich pozycjach, jakby w nocy ktoś czarodziejskim sposobem uelastyczył ich kręgosłupy. Ostrożnie postawiłem kawę na biurku i spuściłem na nie ciężką torbę z głośnym hukiem. To natychmiast przykuło ich uwagę, gdyż domyślali się już, co mam w środku.

Na końcu sali siedemnastoletnia Jane Scavullo siedziała z wyciągniętymi daleko nogami, nisko zsunięta na krzeselku, pewnie po to, żebym nie zobaczył opatrunku na jej brodzie.

- No, dobrze - zacząłem. - Zapoznałem się z waszymi opowieściami i natrafiłem na kilka całkiem niezłych. Część z was zdołała sklecić nawet cały akapit, nie używając ani razu słowa „kurwa”.

Rozległo się kilka stłumionych chichotów.

- Nie naraża się pan na to, że mogą pana wylać za takie słownictwo? - zaciekawiał się niejaki Bruno siedzący w pierwszej ławce pod oknem, któremu z uszu wychodziły białe kabelki znikające pod kołnierzykiem mundurka.

- Chyba nawet, kurwa, powinienem mieć taką nadzieję - odparłem, po czym wskazałem palcami na swoje uszy. - Czy byłbyś łaskaw, Bruno, odłączyć się na chwilę?

Wyjął z uszu miniaturowe słuchawki.

Wyciągnąłem z torby plik prac, z których większość była wydrukowana na komputerze, a tylko parę zostało napisanych odręcznie, i wyłuskałem z niego jedną.

- Zapewne pamiętacie, jak wam tłumaczyłem, że niekoniecznie musicie pisać o ludziach strzelających do siebie nawzajem, o terrorystach dysponujących bombą atomową albo inwazji obcych wychodzących ludziom z klatki piersiowej, lecz raczej powinniście się skupić na szukaniu ciekawego tematu w naszej szarej rzeczywistości.

Jedna ręka błyskawicznie powędrowała ku górze. Bruno.

- Jakiej?

- Szarej. To znaczy zwykłej.

- To dlaczego pan nie mówi, że chodzi o zwykłą? Czemu zawsze wtrąca pan jakieś dziwne słowo oznaczające to samo, co „zwykłe”, kiedy zwykłe słowo by tu w zupełności wystarczyło?

Uśmiechnąłem się.

- Więc nie słuchaj takich słów. Udawaj, że ich nie słyszysz.

- Wykluczone, bo mógłbym w ten sposób przeoczyć coś naprawdę odłotowego.

- Zatem pozwól, że coś ci przeczytam. - Wyciągnąłem pracę, której szukałem. Zwróciłem uwagę, że Jane uniosła nieco głowę. Być może rozpoznała typowy papier podaniowy w linię pokryty odręcznym pismem, zdecydowanie różny od pozostałych kartek zadrukowanego papieru.

- „Jej ojciec - a w każdym razie facet, który wystarczająco długo sypia z jej matką, żeby sądzić, iż zasługuje na to, by go tak nazywać - wyciąga z lodówki kartonowy pojemnik z jajkami i jedną ręką szybko wybija dwa do miseczki. Boczek już skwierczy na rozgrzanej patelni i kiedy ona wchodzi do kuchni, on lekko przechyla głowę, jakby chciał w ten sposób dać jej do zrozumienia, żeby już usiadła przy stole. Pyta, czy lubi jajka mocniej wysmażone, czy słabiej, a ona odpowiada, że wszystko jedno, bo w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, co odpowiedzieć, gdyż nikt jej dotąd nigdy nie pytał, jakie lubi smażyć jajka. Do tej pory znała jedynie to, co przyrządzała jej matka, a co tylko z nazwy kojarzyło się ze smażonymi jajkami, na przykład grzane w tosterze mrożone tosty francuskie marki Eggo. Błyskawicznie dochodzi więc do wniosku, że cokolwiek on może jej zaserwować, i tak musi być lepsze od cholernych mrożonych tostów Eggo”.

Uniosłem głowę znad kartki i zapytałem:

- Jakież komentarze?

Chłopak siedzący za Brunonem rzucił:

- Ja tam lubię jajka na miękko.

Dziewczyna spod ściany wtrąciła:

- Mnie się podoba. Każdy chciałby wiedzieć, jaki naprawdę jest facet, a więc, na przykład, czy obchodzi go śniadanie, bo to może świadczyć, że nie jest dupkiem. Wszyscy faceci, których moja matka sprowadza do domu, okazują się dupkami.

- A może ten facet robi jej śniadanie, bo chce mieć nie tylko ją, ale także jej matkę - podsunął Bruno.

Klasa zareagowała gromkim śmiechem.

Godzinę później, kiedy wysypywali się już na korytarz, zagadnąłem:

- Jane? - Z ociąganiem zawróciła i stanęła przy moim biurku. - Jesteś na mnie zła?

Wzruszyła ramionami i mimowolnie zakryła dłonią opatrunek na brodzie, przez co dodatkowo zwróciła nań moją uwagę, mimo że chciała go ukryć przed moim wzrokiem.

- To było bardzo dobre. Dlatego odczytałem ten fragment przed całą klasą.

Jeszcze raz wzruszyła ramionami.

- Słyszałem, że grozi ci zawieszenie w prawach ucznia.

- To przez tę cholerną sukę, która zaczęła - syknęła Jane.

- Świetnie piszesz - powiedziałem. - To drugie twoje opowiadanie wystawiłem do miejskiego konkursu na nowelę w kategorii przeznaczonej dla licealistów.

Szybko spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo.

- Twoja proza fragmentami przypomina mi pisarstwo Oates - dodałem. - Czytałaś coś Joyce Carol Oates?

Pokręciła głową.

- To sięgnij po Foxfire, czyli zwierzenia dziewczyny z gangu - zaproponowałem. - Pewnie w naszej bibliotece tego nie ma ze względu na wulgarne słownictwo, ale mam nadzieję, że znajdziesz tę powieść w bibliotece miejskiej w Milford.

- To wszystko? - zapytała.

Skinąłem głową, więc zawróciła na pięcie i wyszła z sali.

\* \*

Rolly siedział w swoim gabinecie przed komputerem i gapił się na obraz wyświetlony na monitorze.

Wskazał mi palcem ekran i rzekł:

- Domagają się zwiększenia liczby sprawdzianów. Już niedługo w ogóle zabraknie nam czasu, żeby czegokolwiek ich nauczyć. Będziemy tylko sprawdzać zakres wiedzy, jaką sobie przyswoili od chwili wyjścia ze szkoły do powrotu następnego dnia rano.

- Ile ona ma już na sumieniu? - zapytałem, jakbym chciał, żeby mi przypomnieli, o kim właściwie mamy mówić.

- Jane Scavullo? Aż wstyd powiedzieć - mruknął. - Coś mi się zdaje, że chyba nawet nie mamy jej aktualnego adresu. Ten ostatni, pod którym kontaktowaliśmy się z jej matką, pochodzi sprzed kilku lat. A skoro ona sprowadziła się do kolejnego faceta, na pewno ściągnęła też ze sobą córkę.

- Co do tej bójki przed wejściem... - zacząłem. - Wydawało mi się, że przez parę ostatnich miesięcy wyraźnie poprawiła swoje zachowanie. Nie sprawiała już tylu kłopotów i nie była aż tak opryskliwa. Może to wpływ tego nowego faceta? Może jej nowy... ojczym pozytywnie na nią podziałał?

Rolly wzruszył ramionami. Otworzył stojące na biurku blaszane pudełko na ciasteczka z promocyjnej serii „Girl Guide”

i przechylił ją w moim kierunku.

- Masz ochotę?



Wybrałem herbatnika waniliowego.

- To wszystko mnie strasznie przygnębia - rzekł. - Teraz jest zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zaczynałem pracę w szkole.

Masz pojęcie, na co się natknąłem przedwczoraj na tyłach sali gimnastycznej? Żeby tylko na niedopałki skrętów czy fikki po cracku, ale to był prawdziwy rewolwer. Nie wiem, czy komuś tylko wypadł z kieszeni, czy został tam celowo ukryty.

Teraz to ja wzruszyłem ramionami. Nie była to dla mnie szokująca nowina.

- Nawiasem mówiąc, jak się czujesz? - wtrącił Rolly. - Bo wyglądasz... ja wiem?... jak nie z tego świata. Wszystko w porządku?

- Mniej więcej - odparłem. - Rodzinne sprawy. Cyn z wielkim trudem podejmuje każdą decyzję mającą zapewnić Grace więcej swobody.

- Mała nadal wypatruje asteroid? - zapytał. Kilkakrotnie był u nas z żoną Millicent i bardzo polubił Grace, która z dumą chwaliła mu się swoim teleskopem. - Spryziula. Musiała odziedziczyć intelekt po matce.

- Chyba ją nawet rozumiem. To znaczy... gdyby mnie spotkało coś takiego, jak Cyn, pewnie i ja trochę za sztywno traktowałbym pewne sprawy. Zresztą... sam nie wiem. Teraz mówi, że widuje podejrzany samochód.

- Samochód?

- Tak, brązowy. Podobno widziała go już parę razy, kiedy odprowadzała Grace do szkoły.

- I coś się stało?

- Nie. Kilka miesięcy temu w oko wpadła jej zielona terenówka. A w ubiegłym roku, mniej więcej o tej samej porze, twierdziła, że jakiś facet z brodą przez trzy dni z rzędu obserwował je ukradkiem, podobno przyglądał im się z dziwnym uśmiechem na ustach.

Rolly ugryzł kęs herbatnika.

- Pewnie dlatego... zgodziła się wystąpić... w telewizji.

- Chyba tak. Mija właśnie dwadzieścia pięć lat od zniknięcia jej rodziny i widzę, że nie najlepiej sobie radzi z tą świadomością.

- Zatem powinienem z nią porozmawiać - oświadczył Rolly. - Pora znów wybrać się na plażę.

W pierwszych latach po wypadku Rolly od czasu do czasu przejmował od Tess opiekę nad Cynthią, chodził z nią na lody do Carvel na rogu Bridgeport Avenue i Clark Street, po czym wybierali się nad cieśninę Long Island i przesiadywali na plaży, często nie zamieniając ze sobą ani słowa.

- To chyba niezły pomysł - przyznałem. - Poza tym raz na jakiś czas spotykamy się z psychoterapeutką i rozmawiamy z nią o różnych rzeczach. Mówię o doktor Kinzler, Naomi Kinzler.

- Pomagają te spotkania?

Wzruszyłem ramionami.

- Jak myślisz, Roily, co się wtedy naprawdę stało?

- Ile razy już mnie o to pytałeś, Terry?

- Bardzo bym chciał, żeby to wszystko się wreszcie dla niej skończyło, żeby znalazła jakieś wyjaśnienie. Zdaje się, że pokładała wielką nadzieję w tym reportażu. - Urwałem na chwilę. - Chodzi o to, że znałeś Claytona. Jeździłeś z nim na ryby. Tylko ty możesz powiedzieć, jakim naprawdę był człowiekiem.

- Znałem też Patricię.

- Sprawiali wrażenie ludzi zdolnych do tego, żeby wyjechać gdzieś bez słowa, nie zostawiając córce nawet lakonicznej wiadomości?

- Nie. Według mnie, o czym jestem przekonany od samego początku, zostali zamordowani. Powiedziałem to już przed kamerą. Jakby natknęli się na seryjnego mordercę albo coś w tym rodzaju.

W zamyśleniu pokiwałem głową, chociaż policja nigdy nie przywiązywała większej wagi do tej poszlaki. Żaden fakt wiążący się ze zniknięciem rodziny Cynthii nie kojarzył się z innymi zapisami w raportach z tamtego okresu.

- Problem polega na tym, że jeśli faktycznie jakiś seryjny zabójca włamał się do domu, wyciągnął z niego mieszkańców i pomordował, to czemu oszczędził Cynthię? Dlaczego zostawił ją w spokoju?

Na to Rolly nie umiał odpowiedzieć.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne - odparłem.

- Jak ci się zdaje, dlaczego nasza wspaniale wypielęgnowana trenerka zostawiła kartkę z wiadomością w twojej przegródce, ale cofnęła się po minucie i ją zabrała?

- Słucham?

- Nie zapominaj, Terry, że masz żonę i córkę.

Kiedy Rolly skończył mi relacjonować, co zobaczył z odległego końca pokoju nauczycielskiego, udając całkowicie pochłoniętego lekturą gazety, dodał też dobrą wiadomość. Sylvia, nauczycielka sztuki scenicznej, nazajutrz od pierwszej lekcji miała prowadzić przesłuchania do corocznego wielkiego szkolnego przedstawienia, którym tego roku miało być Damn Yankees.

Chciała w nim wziąć udział ponad połowa uczniów z mojej pierwszej klasy twórczego pisania, toteż prowadzenie zajęć z garstką pozostałych nie miało sensu i on już odwołał lekcję.

Następnego ranka, jak tylko Grace nałożyła sobie na talerz tosta i sięgnęła po dżem, powiedziałem:

- Zgadnij, kto cię dzisiaj odprowadza do szkoły?

Natychmiast się rozpromieniła.

- Ty? Naprawdę?

- Naprawdę. Już uzgodniłem to z mamą. Nie muszę być dzisiaj na pierwszej lekcji, dlatego mogę cię odprowadzić.

- I co? Tak samo pójdziesz ze mną, jak mama, trzymając mnie za rękę?

Usłyszałem kroki Cynthii na schodach i szybko przytknąłem palec do warg, błyskawicznie uciszając Grace.

- A zatem, koteczku, dzisiaj pójdziesz z tatą do szkoły - powiedziała głośno. Specjalnie użyła przy tym słowa „koteczku”, gdyż świetnie wiedziała, że właśnie tak zwracała się do Cynthii jej matka. - Nie masz nic przeciwko temu? Skądże znowu!

Cynthia weszła do kuchni i zmarszczyła brwi.

- Chyba już rozumiem. Nie lubisz mojego towarzystwa.

- Mamo... - jęknęła Grace.

Cynthia uśmiechnęła się szeroko. Jeśli naprawdę poczuła się obrażona, nie zamierzała tego okazywać córce. Toteż Grace, już mniej pewnym głosem, dodała:

- Po prostu śmiesznie jest od czasu do czasu pójść do szkoły z tatą.

- Co tam znalazłeś ciekawego? - zwróciła się do mnie żona.

Trzymałem przed sobą gazetę otwartą na stronach z ogłoszeniami dotyczącymi sprzedaży nieruchomości.

- Nic takiego.

- To znaczy? Chciałbyś zmienić dom?

- Ja nie chcę się nigdzie przeprowadzać - oznajmiła stanowczo Grace.

- Nie ma mowy o przeprowadzce - odparłem. - Tylko od czasu do czasu sprawdzam ceny domów, w których mielibyśmy więcej przestrzeni.

- Jak mielibyśmy sobie pozwolić na większy dom, a jednocześnie nigdzie się nie przeprowadzać? - zdziwiła się nasza córka.

- No, dobra - oznajmiłem stanowczo. - I tak musielibyśmy się przeprowadzić, jeśli chcielibyśmy mieć więcej miejsca w domu.

- Chyba że zafundowalibyśmy sobie przybudówkę - dorzuciła Cynthia.

- Och!... - zachłusnęła się Grace, tknięta nagłą myślą. - Moglibyśmy w niej urządzić obserwatorium!

Cynthia nie zdołała się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem, ale zaraz się opanowała i dodała:

- Wolałabym w dobudówce urządzić drugą łazienkę.

- Nie ma mowy - wycedziła Grace, nie zamierzając się poddawać. - Gdybyśmy dobudowali pokój bez dachu, z którego łatwo można by obserwować gwiazdy po zmroku, a ja dostałabym większy teleskop, nie musiałabym patrzeć przez okno, bo to strasznie obciachowe.

- Nie używaj słowa „obciachowe” - odparła z uśmiechem Cynthia.

- No, dobra - zgodziła się Grace. - Założmy, że zrobiłam fopa.

W naszym domu fop - pochodzący, rzecz jasna od francuskiego faux pas - od tak dawna funkcjonował między mną a Cynthią jako specyficzny żart, że Grace chyba naprawdę zaczęła wierzyć, iż jest to słowo oznaczające przejęzyczenie.

- Nie, skarbie, nie popełniłaś fopa - odparłem. - Użyłaś tylko słowa, którego nie chcielibyśmy słyszeć w tym domu.

Grace, wchodząc na wyższy bieg, zapytała:

- Gdzie oświadczenie?

- Jakie oświadczenie? - zdziwiła się Cynthia.

- Na temat wycieczki - burknęła mała. - Miałaś mi napisać oświadczenie.

- Skarbie, pierwszy raz słyszę o jakimś oświadczeniu i wycieczce. - Nie możesz nas zaskakiwać takimi rzeczami w ostatniej chwili.

- O co chodzi? - wtrąciłem.

- Mamy iść dzisiaj z wycieczką do remizy strażackiej, ale pójdą tylko ci, którzy przyniosą odpowiednie oświadczenia ze zgodą rodziców.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym...

- Nie ma sprawy - wtrąciłem pospiesznie. - Ja ci napiszę to oświadczenie.

Pobiegnę na górę do naszej gościnnej sypialni, która z czasem przekształciła się w skrzyżowanie pokoju do szycia z gabinetem. W rogu stało biurko z naszym domowym komputerem, na którym wypisywałem zestawienia ocen i plany lekcji. Na tym samym biurku stała jeszcze moja maszyna do pisania z czasu studiów, z której nadal korzystałem do sporządzania krótkich notatek, gdyż odznaczałem się fatalnym charakterem pisma, a łatwiej mi było wkręcić kartkę papieru do maszyny niż uruchamiać komputer, włączać Worda, formatować nowy dokument, drukować go, i tak dalej, i tak dalej.

Toteż wystukałem na maszynie krótkie oświadczenie dla nauczycielki Grace, w której wyrażałem zgodę na wyjście córki razem z całą klasą poza teren szkoły i zwiedzanie remizy strażackiej. Miałem tylko nadzieję, iż fakt, że litera „e” bardziej przypomina „c”, nie spowoduje żadnego nieporozumienia, na przykład co do imienia mojej córki, które, niestety, zdecydowanie wyglądało jak „Grace”.

Wróciłem na dół i podałem córce złożoną kartkę, mówiąc, żeby od razu włożyła to oświadczenie do plecaka, bo jeszcze mogłaby je zgubić.

Już w drzwiach Cynthia poleciała mi szeptem:

- Tylko upewnij się koniecznie, że wejdzie do budynku.

Na szczęście Grace była już daleko, na końcu podjazdu, gdzie kręciła się wokół własnej osi jak primabalerina na dobrym haju.

- A jeśli pierwsze będą zajęcia na boisku? - zapytałem. - Kiedy nauczycielka zauważy kogoś takiego kręcącego się przy szkolnej bramie, może wezwać policję.

- Gdybym ja cię zobaczyła, kręcącego się przy szkolnej bramie, aresztowałabym cię bez pytania - odparła Cynthia. - Będzie lepiej, jeśli po prostu wyjdiesz na boisko. To wszystko. - Przyciągnęła mnie do siebie. - A o której dokładnie musisz się stawić w swojej szkole?

- Dopiero na przerwie po pierwszej lekcji.

- Więc masz prawie godzinę luzu - mruknęła, obrzucając mnie spojrzeniem, który widywałem u niej zdecydowanie rzadziej, niżbym sobie tego życzył.

- Zgadza się - odparłem ze stoickim spokojem. - Ma pani absolutną rację, pani Archer. Wolno mi się domyślać, co pani chodzi po głowie?

- Niewykluczone, panie Archer - uśmiechnęła się, a następnie pocałowała mnie delikatnie.

- Chyba nie chce pani, żeby Grace nabrała jakichś podejrzeń, gdy jej powiem, że wyjątkowo musimy pokonać całą drogę do szkoły biegiem?

- Lepiej już idź - odparła, popychając mnie lekko.

- Więc jaki jest plan? - zapytała Grace, jak tylko ją dogoniłem na chodniku na wylotu podjazdu.

- Plan? - zapytałem zdziwiony. - Nie ma żadnego planu.

- Chciałabym wiedzieć, jak daleko zamierzasz ze mną iść.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie wejść razem z tobą do klasy i przesiedzieć obok ciebie co najmniej pierwszą lekcję.

- Nie żartuj, tato.

- A kto powiedział, że żartuję? Naprawdę chciałbym usiąść przy tobie w klasie, żeby mieć oko, czy wszystko robisz, jak należy.

- Nawet byś się nie zmieścił na krzeselku - burknęła Grace.

- To mógłbym siedzieć na ławce - odparłem. - Nie jestem wybredny.

- Mama wyglądała dziś rano na bardzo zadowoloną.

- To rozumiałe. Mama bardzo często jest szczęśliwa.

Grace obrzuciła mnie spojrzeniem mówiącym jednoznacznie, że nie jestem z nią całkiem szczery.

- Mama ostatnio ma wiele zmartwień. To nie jest dla niej najłatwiejszy okres.

- Dlatego, że mija równo dwadzieścia pięć lat? - zapytała od niechcienia.

- Owszem - przyznałem.

- I dlatego, że reportaż w telewizji nie przyniósł żadnych rezultatów - dodała. - Nie rozumiem, dlaczego nie chcecie powiedzieć mi tego wszystkiego wprost. Nagrałeś ten reportaż na kasetę, prawda?

- Mama po prostu nie chce przysparzać ci zmartwień - odrzekłem. - Nie chce cię wciągać w to, co jej się przydarzyło.

- Jedna z moich koleżanek też go nagrała - rzuciła półgłosem Grace. - I obejrzałam go prawie od początku do końca - wtrąciła takim tonem, jakby chciała wykrzyknąć: „Wiem o wszystkim!”.

- Kiedy go obejrzałaś? - zapytałem spokojnie.

Cynthia trzymała ją na bardzo krótkiej smyczy, nie tylko odprowadzała do szkoły i przyprowadzała do domu, lecz ściśle sprawdzała także jej koleżanki. Dlatego naszło mnie podejrzenie, że Grace przemyciła do domu kasetę nagrałą przez koleżankę i obejrzała nagranie z wyłączonym dźwiękiem, kiedy byliśmy z Cynthią w innym pokoju.

- Byłam u niej w czasie długiej przerwy na lunch.

Cóż, nawet przed ośmiolatką nie da się utrzymać pewnych spraw w tajemnicy. A przecież dopiero za pięć lat Grace miała zostać w pełni rozwiniętą nastolatką. Matko Boska...

- Nie powinnaś była tego oglądać - powiedziałem.

- Moim zdaniem ten gliniarz był podły.

- Jaki gliniarz? O czym ty mówisz?

- Nie zwróciłeś uwagi? Ten, który mieszka w przyczepie, takiej dużej i błyszczącej. Powiedział, że to dziwne, iż tylko mamusia ocalała. Dobrze wiem, co chciał zasugerować. Dawał do zrozumienia, że mama maczała w tym palce, że to ona zabiła całą swoją rodzinę.

- No tak, masz rację, zachował się jak ostatni palant.

Grace zadarła głowę i popatrzyła na mnie.

- Fopa - oznajmiła stanowczo.

- Przekleństwa nie są zwykłymi fopa - odparłem, kręcąc głową, gdyż nie miałem ochoty zagłębiać się w ten temat.

- Czy mama lubiła swojego brata? Tego... Todda?

- Owszem. Kochała go. Czasami się z nim biła, jak to zwykle bywa wśród rodzeństwa, ale go kochała. I na pewno go nie zabiła, podobnie jak swojej matki czy ojca. Bardzo żałuję, że widziałas ten reportaż i słyszałaś wypowiedź tego dupka... dokładnie tak: dupka... stetryczalego gliniarza, plotącego, co mu ślina na język przyniesie. - Urwałem na krótko. - Zamierzasz powiedzieć mamie, że widziałas reportaż z kasety?

Grace, chyba lekko oszołomiona użyciem przeze mnie całkiem niecenzuralnego słowa, tylko pokręciła głową.

- Nie miałabym odwagi - przyznała.

Było to szczere wyznanie, tyle że nie zamierzałem jej tego mówić.

- Może jednak powinnaś kiedyś porozmawiać z mamą o tej sprawie, zwłaszcza wtedy, gdy wszyscy będziemy w świetnym nastroju.

- Dzisiaj zapowiada się nieźle - odparła Grace. - Wczoraj wieczorem nie widziałam żadnych asteroid, więc przynajmniej do wieczora nic nam nie grozi.

- Dobrze wiedzieć.

- Chyba nie powinieneś już dalej iść ze mną - oznajmiła Grace, gdy przed nami wyłoniła się gromadka dzieciaków, mniej więcej w tym samym wieku, może nawet jej przyjaciół.

A z przecznicy i alejek dojazdowych wychodziły na ulice kolejne grupki. Byliśmy zaledwie o trzy ulice od szkoły.

- To już niedaleko - dodała. - Stąd też będziesz widział, czy wejdziesz do budynku.

- W porządku - mruknąłem. - Zatem postąpimy jak zwykle, ty pójdziesz szybciej przodem, a ja z tyłu, krokiem zmęczonego życiem staruszka, jak Tim Conway.

- Kto?

Zacząłem ciągać stopami po chodniku i Grace zachichotała.

- Na razie, tato - rzuciła przez ramię i puściła się biegiem.

Starąłem się nie stracić jej z oczu, drepcząc niemal w miejscu, otoczony coraz gęściejszym strumieniem dzieci idących chodnikiem, jadących na rowerach, deskorolkach czy łyżworolkach.

Nawet się nie obejrzała. Skręciła w stronę jakiejś gromadki znajomych, wołając:

- Zaczekajcie!

Wsadziłem ręce do kieszeni, pograżając się w rozmyśleniach o plusach jak najszybszego powrotu do domu i spędzenia paru intymnych chwil sam na sam z żoną.

Ale marzenia te prysły, gdy tylko minął mnie brązowy samochód.

Był to jeden ze starszych amerykańskich modeli, niezbyt charakterystyczny, bodajże chevrolet impala.

Nieco przerdzewiały, zwłaszcza na błotnikach. Szyby miał przyciemnione, oklejone tanią samoprzylepną folią półprzezroczystą, pod którą zostało mnóstwo bąbelków powietrza, co nasuwało wrażenie, że auto miało wysypkę.

Zatrzymałem się i odprowadziłem je wzrokiem, dopóki prawie nie zniknęło mi z oczu w głębi ulicy, za

lekkim zakrętem na wysokości szkoły, przed którą Grace właśnie plotkowała z dwiema swoimi przyjaciółkami.

Zatrzymało się tam jednak przed skrzyżowaniem, zaledwie kilkanaście metrów od mojej córki, przez co serce natychmiast Podeszło mi do gardła.

Zaraz jednak włączył się kierunkowskaz, samochód skręcił w prawo i zniknął mi z oczu w bocznej ulicy. Grace wraz z przyjaciółkami, pod strażą woźnego w jaskrawopomarańczowej kamizelce, z wielkim znakiem stopu w ręku, przeszła na drugą stronę jezdni i wkroczyła na teren szkoły. Ku memu zdumieniu obejrzała się i pomachała mi ręką. Odpowiedziałem takim samym gestem.

Tak więc sam się przekonałem, że faktycznie jeździł tędy brązowy samochód. Ale nikt z niego nie wyskoczył i nie rzucił się na moją córkę, tak samo jak nie rzucił się na żadne inne dziecko, jeśli chodzi o ścisłość. Jeśli nawet kierowca był zwariowanym seryjnym zabójcą - oczywiście niemającym nic wspólnego z trzeźwym i inteligentnym zabójcą - to widocznie postanowił tego ranka zrezygnować z kolejnego morderstwa.

Byłem jednak przekonany, że to całkiem normalny człowiek jeżdżący akurat tędy do pracy.

Stałem jeszcze przez chwilę, spoglądając na Grace słabo już widoczną w coraz gęściejszej rzeszy uczniów przed drzwiami, i nagle ogarnął mnie smutek. W świecie Cynthii każdy nieznanomy mógł uchodzić za spiskowca pragnącego jej odebrać wszystkich najbliższych.

Gdyby nie takie ponure rozważania, pewnie ruszylibym zdecydowanie energiczniejszym krokiem w drogę powrotną do domu. Już bliżej celu podjąłem intensywniejsze starania, żeby uwolnić się od pochmurnego nastroju i z większym optymizmem spojrzeć na życie. Ostatecznie w domu czekała na mnie żona, może nawet już w pościeli.

Ostatnich kilkadziesiąt metrów pokonałem truchtem, biegiem przemierzyłem podjazd i już w drzwiach zawołałem głośno:

- Wróciłem!

Nie odpowiedziała.

Uznałem to za dowód, że rzeczywiście wróciła do łóżka i czeka na mnie w sypialni na górze, lecz gdy tylko skręciłem na schody, z kuchni doleciał mnie jej stłumiony głos:

- Tu jestem - mruknęła głucho.

Stanąłem w przejściu. Siedziała przy kuchennym stole, gapiąc się tępo w leżący przed nią telefon. Można było odnieść wrażenie, że cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Co się stało? - zapytałem.

- Miałam telefon - powiedziała cicho.

- Od kogo?

- Nie przedstawił się.

- W jakiej sprawie dzwonił?

- Powiedział, że ma dla mnie wiadomość.

- Jaką wiadomość?

- Że mi wybaczą.

- Nie rozumiem.

- Przekazał wiadomość od mojej rodziny. Powiedział, że mi wybaczą to, co zrobiłam.

Usiadłem obok niej przy stole. Położyłem rękę na jej dłoni i wyczułem, że palce jej dygoczą.

- Dobra. Spróbuj sobie dokładnie przypomnieć, co powiedział.

- Już ci mówiłam - wycodziła z naciskiem. Na chwilę przygryzła wargi, po czym zaczęła: - Powiedział, że...

zaczekaj chwilę. - Wzięła głębszy oddech, usiłując zebrać się w garść. - Zadzwoń telefon. Podniosłam słuchawkę i powiedziałam „Halo”, a on zapytał: „Czy to Cynthia Bigge?”. Od razu mnie uderzyło, że posłużył się moim panieńskim nazwiskiem, ale odparłam, że tak. On zaś na to... Aż nie chciałam wierzyć własnym uszom... Powiedział: „Twoja rodzina ci wybacza. - Urwała na moment. - To, co zrobiłaś”... Nie wiedziałam, jak zareagować. Chyba jak głupia zapytałam, kto mówi i o co chodzi.

- I co odpowiedział?

- Nic. Nie odezwał się więcej. Odłożył słuchawkę. - Po jej policzku stoczyła się samotna łza, lecz mimo to wciąż patrzyła mi w oczy. - Dlaczego powiedział coś takiego? Co miał na myśli, mówiąc, że mi wybaczą?

- Nie wiem - odparłem. - To pewnie jakiś czubek. Ktoś, kto oglądał reportaż, i postanowił zabawić się twoim kosztem.

- Ale dlaczego ktoś miałby dzwonić i mówić coś takiego? Co chciałby w ten sposób osiągnąć?

Przysunąłem sobie aparat. Było to bodajże jedyne nowoczesne urządzenie elektroniczne w naszym

domu, wyposażone w niewielki ekranik, na którym wyświetlały się nazwiska i numery rozmówców.

- Dlaczego miałby mówić, że moja rodzina mi wybacza? Co takiego zrobiłam? Nie rozumiem. Jeśli nawet moja rodzina uznała, że wyrządziłam jej krzywdę, czemu dopiero teraz miałaby przekazać, że mi wybacza? To przecież nie ma żadnego sensu, Terry.

- Masz rację. To nie trzyma się kupy. - Wciąż wpatrywałem się w aparat. - Nie zwróciłaś uwagi, spod jakiego numeru dzwonił ten człowiek?

- Patrzyłam, ale nic się nie wyświetliło, a gdy przerwał połączenie, próbowałam wywołać z pamięci numer ostatniego rozmówcy.

Wcisnąłem klawisz udostępniający szczegóły ostatnich połączeń. Nie było żadnego wpisu dotyczącego ostatniej rozmowy.

- Nic tu nie ma - powiedziałem.

Cynthia prychnęła z pogardą, otarła łzy z policzków i pochyliła się nad aparatem.

- Musiałam... Co ja takiego zrobiłam? Kiedy sprawdzałam, skąd dzwonił ów człowiek, wcisnęłam ten klawisz, żeby zapisać kontakt w pamięci.

- I w ten sposób go skasowałaś - powiedziałem.

- Jak to?

- Po prostu wykasowałaś z pamięci informacje dotyczące ostatniego połączenia.

- Jasna cholera - syknęła. - Widocznie byłam tak oszołomiona i zdenerwowana, że nie bardzo wiedziałam, co robię.

- Jasne - bąknąłem. - Rozpoznałabyś głos tego człowieka?

Ale ona mnie już nie słuchała. Siedziała pogrążona w zadumie, oczy zaszyły jej mgłą.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Jak mogłam wykasować jego numer z pamięci? Ale możesz mi wierzyć, że na ekranie 1 tak nie było żadnych informacji. Pewnie sam się nieraz zetknąłeś z tym, że wyświetla się napis o „nieznanym zewnętrznym połączeniu”.

- W porządku, zapomnijmy o tej sprawie. Pytałem, czy wychwyciłaś jakieś charakterystyczne cechy w głosie tego człowieka.

Cynthia uniosła obie ręce w geście bezradności.

- To był zwykły męski głos. Mówił przyciszonym basem, no wiesz, jakby chciał zamaskować prawdziwe brzmienie. Ale nie było w nim niczego szczególnego... - Umilkła na chwilę, lecz zaraz w jej oczach pojawiły się żywe rozbłyski. - Czy nie powinniśmy się skontaktować z naszą centralą telefoniczną? Może tam zostały utrwalone jakieś informacje dotyczące tej rozmowy? Może nawet jest jej nagranie?

- Żaden operator nie nagrywa wszystkich rozmów swoich klientów - odparłem - nawet jeśli niektórzy myślą co innego.

Zresztą jak mielibyśmy uzasadnić swoją prośbę? Odebrałaś pierwszy i jak dotąd jedyny telefon od tego człowieka, prawdopodobnie czubka, który oglądał reportaż w telewizji. Nie groził ci, nie używał nawet nieprzyzwoitych wyrazów... - Wsunąłem dłoń pod ramię Cynthii. - Więc lepiej... nie zwracaj sobie tym głowy. I tak już za dużo ludzi wie, co cię spotkało. Niepotrzebnie wystawiasz się na ryzyko. Wiesz, czym powinniśmy się teraz zainteresować?

- Nie. Czym?

- Zastrzeżeniem naszego numeru telefonicznego. Gdyby nasz numer został zastrzeżony, nie byłabyś narażona na tego rodzaju telefony.

Cynthia energicznie pokręciła głową.

- Nie, to nie wchodzi w rachubę.

- Nie sądzę, żeby abonament kosztował nas drożej, a poza tym...

- Nie pozwolę zastrzec naszego numeru.

- Dlaczego?

Przełknęła ślinę.

- Bo gdy nadejdzie odpowiednia pora, gdy moja rodzina będzie wreszcie gotowa odnowić ze mną kontakt, nie może mieć żadnych kłopotów z uzyskaniem naszego numeru.

\* \*

Miałem też wolną godzinę po przerwie na lunch, wymknąłem się więc ze szkoły, pojechałem na drugi koniec miasta do lokalu Pameli i wkroczyłem do sklepu z czterema kubeczkami kawy na wynos.

Trudno było nazwać ten sklep salonem odzieżowym, a Pamela Forster, która w szkole średniej była przez pewien czas najlepszą przyjaciółką Cynthii, nie adresowała swojej oferty do młodej i skorej do robienia zakupów klienteli. Na półkach piętrzyły się stosy dość tradycyjnych ubrań, mniej więcej takich, jak czasem żartowaliśmy z żoną, jakie preferują kobiety niekupujące już butów na wysokich obcasach.

- Masz rację, to nie jest salon sieci Abercrombie & Fitch - oponowała Cynthia - ale w takim salonie nie mogłabym dowolnie ustalać sobie godzin pracy, więc nie mogłabym odbierać Grace po szkole, a Pam mi na to pozwala.

To ucinając jakiegokolwiek dalsze dyskusje.

Cyn stała w głębi sklepu, obok przymierzalni, i przez uchyloną zasłonkę rozmawiała z klientką.

- Chce pani przymierzyć rozmiar dwunasty? - zapytała.

Nie zauważyła mnie, ale Pam stojąca przy kasie na mój widok uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Cześć.

Wysoka i szczupła, z dziewczęcym biustem, doskonale się czuła na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Miała na sobie turkusową sukienkę do kolan, na tyle elegancką, że po prostu nie mogła pochodzić z jej sklepu. To, że starała się zwabić klientelę nieobebraną z najnowszym numerem „Vogue”, nie oznaczało przecież, że musi się do niej upodobać.

- Jesteś szalenie miły - dodała, zauważywszy w moim ręku cztery kubeczki z kawą - ale obecnie tylko we dwie z Cynthią bronimy fortu, Anna ma przerwę.

- Może kawa będzie jeszcze ciepła, kiedy wróci.

Pam energicznie rzuciła z kubeczka plastikową pokrywkę, rozerwała paczuszkę słodziku i wsypała go do środka.

- Co u ciebie?

- W porządku.

- Cynthia milczy jak grób od czasu emisji tego reportażu.

Dlaczego wszyscy chcieli rozmawiać tylko o tym? Najpierw Lauren Wells, potem nasza córka, a teraz Pamela Forster.

- Bo nie ma o czym mówić - odparłem.

- Namawiałam ją, żeby nie występowała przed kamerą. - Pam pokręciła głową.

- Poważnie? - Wcześniej o tym nie słyszałem.

- I to od dawna, jak tylko odebrała pierwszy telefon w tej sprawie. Powiedziałam jej wtedy: „Skarbie, lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Nie ma sensu rozdrapywać starych ran”.

- Tak, jasne - mruknąłem.

- Tłumaczyłam, że przecież minęło dwadzieścia pięć lat. Cokolwiek się wtedy stało, to się nie odstanie, bo jeśli nadal nie można sobie poradzić z własnym życiem, nawet jeśli już tyle wody upłynęło w rzece, to co będzie za pięć lat albo dziesięć?

- Ani razu mi nie wspomniała o tej rozmowie - przyznałem.

Cynthia dopiero teraz zauważyła, że rozmawiam z Pam, i pomachała mi ręką, ale nie ruszyła się na krok ze swego posterunku obok przymierzalni.

- Trafiła się jakaś klientka, która na siłę próbuje się wbić w za małą sukienkę - wyjaśniła szeptem Pamela.

- Już raz wyniosła jakieś ciuchy, nie płacąc za nie, dlatego teraz nie spuszcza jej z oka. Jest pod specjalnym nadzorem.

- To złodziejka? - zdziwiłem się.

- Ciszej, Terry.

- Skoro już raz coś ukradła, czemu ją obsługujecie? Dlaczego w ogóle wpuściliście ją do sklepu?

- Bo nie możemy jej nic udowodnić. To tylko przeczucie.

Nie spuszcza jej z oka, próbując dać w ten sposób do zrozumienia, że wiemy o jej skłonnościach.

Wyobraziłem sobie ową „klientkę” w przymierzalni jako młodą, niezbyt zadbaną, bezczelną i arogancką, a więc taką, którą doświadczony ochroniarz natychmiast wyłowi w kolejce, na przykład po tatuażu na ramieniu...

Zasłonka odsunęła się gwałtownie i wyszła zza niej niska przysadzista damulka pod pięćdziesiątkę, a może nawet po pięćdziesiątkę, i teatralnym gestem oddała mojej żonie kilka przymierzanych sukienek.

Gdybym miał oceniać jej zawód po wyglądzie, uznałbym ją za bibliotekarkę.

- Nie znalazłam dzisiaj nic ciekawego - oznajmiła i z dumnie podniesionym czołem przedelfowała do wyjścia obok mnie i Pameli.

- To na pewno ona? - zapytałem zdumiony.

- Klasyczna kobieta kot - syknęła Pam.

Cynthia podeszła, cmoknęła mnie w policzek i zapytała:

- Kawowe prezenty? Z jakiej okazji?

- Znalazłem parę centów kieszonkowego. No i pomyślałem, że was odwiedzę.

Pamela przeprosiła nas, zabrała kawę i wycofała się na zaplecze.

- Z powodu dzisiejszego ranka - szepnęła Cynthia.
- Byłaś nieco wstrząśnięta po tym telefonie, dlatego chciałem zobaczyć, jak się trzymasz w pracy.
- Nic mi nie jest - odparła, choć niezbyt przekonująco. Pociągnęła łyk kawy i powtórzyła pewniejszym głosem: - Nic mi nie jest.
- Dowiedziałem się od Pam, że próbowała ci wyperswadować wystąpienie w reportażu Deadline.
- Ty też nie byłeś do końca przekonany, że to dobry pomysł.
- Ale nawet nie wspomniałaś, że ona próbowała cię od tego odwieść.
- Znasz Pamelę, zawsze jest pierwsza w wypowiedaniu swojej opinii na każdy temat. Na przykład mówi o tobie, że powinieneś zrzucić parę kilogramów.

Tym prostym sposobem wytrąciła mnie z uderzenia.

- A ta damulka, którą obserwowałaś w przymierzalni, naprawdę jest złodziejką?
  - Z takimi jak ona po prostu nigdy nic nie wiadomo - odparła Cynthia i pociągnęła kolejny łyk kawy.
- f ego dnia po pracy mieliśmy umówioną wizytę u doktor Naomi Kinzler. Cynthia jak zwykle podrzuciła po szkole Grace do domu jej przyjaciółki i przyjechała do gabinetu terapeutki. Widywaliśmy się z doktor Kinzler raz na dwa tygodnie już od czterech miesięcy, to znaczy od chwili, gdy zalecił nam to nasz lekarz rodzinny. Bezskutecznie próbował pomóc Cynthii uwolnić się od stanów lękowych, w końcu doszedł do wniosku, że zamiast wypisywania recept na kolejne specyfiki lepiej odda pacjentkę, a właściwie nas oboje, w ręce specjalistki.

Od początku nie byłem przekonany, że te sesje z psychoterapeutką w czymkolwiek pomogą, i po dziesięciu wizytach ani trochę nie zmieniłem swojego sceptycznego stosunku. Doktor Kinzler miała gabinet w budynku przychodni na wschodnim końcu Bridgeport, z jego okien, jeśli tylko żaluzje były podniesione, jak tego dnia, rozciągał się widok na miejską obwodnicę.

Doktor chyba zwróciła uwagę podczas wcześniejszych spotkań, że chętnie wyglądam przez okno, jakbym odnajdywał spokój ducha w liczeniu ciężarówek przejeżdżających autostradą.

Zazwyczaj spotykaliśmy się we trójkę, ale zdarzało się też, że jedno z nas wychodziło do poczekalni, by doktor Kinzler mogła zamienić z drugim parę słów na osobności.

Nigdy wcześniej nie miałem kontaktów z psychoanalitykami i prawie cała moja wiedza o tej dziedzinie pochodziła z telewizyjnego serialu Rodzina Soprano, w którym doktor Melfi pomagał Tony'emu uporać się z jego problemami. Nie mogłem tylko pozbyć się wrażenia, że nasze problemy są poważniejsze od ukazanych w filmie. Tony nie mógł przeboleć, że co rusz znikają jacyś ludzie z jego otoczenia, ale to on sam był często inicjatorem owych zniknięć. No i miał tę przewagę, że doskonale wiedział, co się stało z zaginionymi.

Naomi Kinzler nie za bardzo przypominała doktora Melfiego. Była niska i gruba, siwe włosy zaczesywała do tyłu i tam jakąś spinką zmuszała je do uległości. Według mnie dobiegała siedemdziesiątki, miała więc wystarczająco dużo doświadczenia, żeby nie angażować się zbyt osobiście w problemy swoich pacjentów, a tym samym utrzymywać się wciąż na rynku.

- Co nowego od czasu naszego ostatniego spotkania? - zapytała.

Nie wiedziałem, czy Cynthia zamierza powiedzieć o odebranym rano telefonie. Ze swojej strony wolałem uniknąć rozmowy na ten temat, gdyż sądziłem, że nic wielkiego się nie stało, poza tym miałem wrażenie, że sprawa została zażegnana podczas mojej wizyty w sklepie, toteż nim żona zdążyła otworzyć usta, odparłem:

- Wszystko w porządku. W jak najlepszym porządku.
- A co z Grace?
- Miewa się doskonale - wyjaśniłem. - Odprowadzałem ją dziś rano do szkoły. Pogawędziliśmy sobie jak starzy kumple.
- O czym? - zapytała Cynthia.
- O tym i owym. Po prostu tak sobie...
- Czy ona wciąż wpatruje się nocami w niebo? - zaciekała się doktor Kinzler. - Nadal wypatruje meteorów?

Lekceważąco machnąłem ręką.

- To nic takiego.
- Tak pan sądzi?
- Oczywiście. Zwyczajnie przeżywa okres wielkiego zainteresowania Układem Słonecznym, przestrzenią kosmiczną, innymi planetami...
- Ale to wy kupiliście jej teleskop?
- Jasne.



- Ponieważ bardzo się martwiła, że jakaś asteroida może zniszczyć całą Ziemię? - przypomniała doktor Kinzler.

- W ten sposób pomogliśmy jej zwalczyć te obawy, a w dodatku nauczyliśmy ją obserwować gwiazdy i planety - wyjaśniłem. - No i naszych najbliższych sąsiadów, jeśli się nie mylę. - Uśmiechnąłem się szeroko.

- Jak zmienił się przez to ogólny stopień jej zaniepokojenia?

Bylibyście skłonni uznać, że jeszcze się powiększył czy też raczej zmalął?

- Zdecydowanie zmalął - powiedziałem.

A równocześnie Cynthia rzuciła:

- Nadal jest bardzo wysoki.

Doktor Kinzler zmarszczyła brwi. Nie cierpiałem, kiedy to robiła.

- Przynajmniej tak mi się wydaje, że wciąż jest zaniepokojona - dodała Cynthia, zerkając na mnie. -

Niekiedy nachodzą mnie obawy, że jest aż nadto wrażliwa.

Terapeutka w zamyśleniu pokiwała głową. Nie spuszczać oczu z mojej żony, zapytała:

- A co jest tego powodem, waszym zdaniem?

Cynthia nie była głupia, od razu musiała się domyślić, do czego zmierza doktor Kinzler. W końcu już to przerabialiśmy.

- Sądzę, że niepokoi się przede mną.

Terapeutka ledwie zauważalnie uniosła ramiona, jakby z trudem powstrzymywała się od wzruszenia nimi.

- Nie próbujesz temu zapobiec?

- Staram się nie okazywać przy niej zaniepokojenia. Oboje staramy się nie rozmawiać o tej sprawie przy małej.

Mimowolnie wyrwało mi się pogardliwe prychnięcie, którego nie zdołałem w porę stłumić.

- Tak? - zaciekawiła się Kinzler.

- Ona świetnie zna prawdę - odparłem. - Grace wie znacznie więcej, niż można by podejrzewać. Widziała ten reportaż.

- Jakim sposobem? - zdziwiła się Cynthia.

- U przyjaciółki.

- U której? - syknęła władczo moja żona. - Podaj nazwisko.

- Nie wiem u której. Uważam też, że nie ma większego sensu wyciąganie tych informacji od Grace.

Spojrzałem na terapeutkę. Przyznała mi rację skinieniem głowy.

Cynthia przygryzła dolną wargę.

- Ona nie jest na to gotowa. Nie musi jeszcze nic wiedzieć o mojej tragicznej tajemnicy. Jest na to za wcześnie. Powinniśmy ją przede wszystkim chronić.

- Owszem, ale to jedno z najpoważniejszych wyzwania dla każdego rodzica - odparła doktor Kinzler. -

Przed wszystkim trzeba sobie uświadomić, że nie zdoła się uchronić dziecka przed wszystkimi zagrożeniami.

Cynthia zamyśliła się na chwilę, po czym rzuciła desperacko:

- Odebrałam dzisiaj rano telefon.

Nie ujawniając jeszcze żadnych szczegółów, sprytnie nakierowała uwagę terapeutki na inne zagadnienie.

Kinzler zadała jej kilka pytań, mniej więcej takich samych, jak ja zaraz po powrocie do domu. Czy poznała rozmówcę po głosie? Na pewno nie dzwonił nigdy wcześniej? Wreszcie zapytała:

- Co, twoim zdaniem, ten mężczyzna miał na myśli, mówiąc, że twoja rodzina jest gotowa ci wybaczyć?

- Chyba nic konkretnego. Użył tylko takiego zwrotu...

Doktor Kinzler obrzuciła mnie spojrzeniem mówiącym wyraźnie: „Gęba na kłódkę!”.

- Zresztą sama się nad tym bez przerwy zastanawiam - ciągnęła Cynthia. - Naprawdę nie mam pojęcia, co chcieliby mi wybaczyć. To, że ich nie odnalazłam? Że za mało starałam się dociec, co ich spotkało?

- Trudno byłoby tego po tobie oczekiwać. Byłaś wtedy dzieckiem. Bo przecież czternastolatka to jeszcze dziecko.

- Ale później przyszło mi do głowy, że mogli właśnie mnie obarczyć winą za to, co się stało. Tylko co takiego mogłam zrobić, żeby mnie zostawili? Czy w ogóle mógł istnieć sensowny powód porzucenia córki w środku nocy?

- Na pewno podświadomie w jakimś stopniu obarczasz się

winą za ich zniknięcie - wyjaśniła doktor Kinzler. - Czujesz się na swój sposób odpowiedzialna za ich los.

- Chwileczkę - wtrąciłem, nim Cynthia zdążyła odpowiedzieć. - To był zwykły telefoniczny wygłup.

Mnóstwo ludzi widziało reportaż w telewizji. Wcale bym się nie dziwił, gdyby znalazło się wśród nich paru

czubków, którzy postanowili zabawić się naszym kosztem.

Doktor Kinzler westchnęła cicho i spojrzała na mnie.

- Terry, może w tej sytuacji byłoby lepiej, gdybyś pozwolił nam z Cynthia porozmawiać na osobności?

- Nie, wszystko w porządku - odezwała się moja żona. - Nie musi wychodzić.

- Terry - wycedziła ponownie terapeutka, usiłując dać mi do zrozumienia, że tylko sili się na cierpliwość, gdyż w rzeczywistości jest zdrowo wkurzona. - Oczywiście, że mógł to być zwykły telefoniczny wygłup, ale to, co powiedział ten mężczyzna, pobudziło w Cynthia bardzo silne doznania, a zrozumienie przyczyn tak silnej reakcji na usłyszane słowa może pomóc nam wszystkim szybciej przez to przebrnąć.

- A w zasadzie przez co próbujemy teraz przebrnąć? - zapytałem, celowo wcielając się w rolę wiecznego sceptyka. Niemniej naprawdę chciałem wyjaśnić tę sprawę. - Nie chcę pełnić w tym gronie roli wiejskiego głupka, ale mam wrażenie, że straciłem z oczu zasadniczy cel, jaki przyświeca naszym spotkaniom.

- Głównym celem naszych spotkań jest udzielenie Cynthia pomocy wobec traumatycznego wypadku z dzieciństwa, który silnie rzutuje na jej teraźniejszość, i to nie tylko ze względu na nią, ale także dla dobra waszego związku.

- Nasz związek ma się doskonale - sparowałem.

- On często mi nie wierzy - rzuciła desperackim tonem Cynthia.

- Słucham?

- Często mi nie wierzysz - powtórzyła. - Co do tego nie mam żadnych złudzeń. Weź choćby tę sytuację, kiedy ci powiedziałam o podejrzanym brązowym samochodzie. Chyba nawet nie uwierzyłeś w jego istnienie. A kiedy dziś rano zadzwonił ten facet, a ty nie mogłeś tej rozmowy przypisać do jakichkolwiek wydarzeń z przeszłości, zaczęłaś powątpiewać, czy w ogóle ktoś do mnie dzwonił.

- Nigdy niczego takiego nie powiedziałem - sprzeciwiłem się ostro. Spojrzałem na doktor Kinzler, jakby była sędzią prowadzącym rozprawę, a ja adwokatem usiłującym za wszelką cenę dowieść niewinności mojej klientki. - To nieprawda. Nigdy się tak nie zachowywałem.

- Ale dobrze wiem, co sobie myślałeś - dodała Cynthia, choć już głosem wyzbytym z jakiegokolwiek urazy. Delikatnie położyła mi rękę na ramieniu. - Szczerze mówiąc, wcale nie obarczam cię winą. Dobrze wiem, jaka jesteś. Zdaję sobie sprawę, że nie należę do osób, z którymi łatwo żyć. Przynajmniej od kilku miesięcy, jeśli nie od chwili zawarcia naszego małżeństwa. Staram się to maskować, jakbym upychała jakieś stare ciuchy na dnie szafy, ale zdarza się od czasu do czasu, że gdy tylko otworzę drzwi, cała sterta wysypuje się na podłogę.

Kiedy się poznaliśmy...

- Daj spokój, Cynthia...

- Kiedy się poznaliśmy, dobrze wiedziałam, że przez nasz związek tylko ucierpisz od tego, co stale nie dawało mi spokoju, ale byłam samolubna. O wiele bardziej zależało mi na tym, żebyś odwzajemnił moje uczucie, niż żebyś był wolny od bólu, który stale odczuwałam.

- Cynthia...

- W dodatku byłeś taki cierpliwy... Między innymi za to cię pokochałam. Wydawałeś mi się najcierpliwszym człowiekiem na świecie. Ja na twoim miejscu byłabym dogłębnie rozgoryczona kimś takim, jak ja. I szybko bym się poddała. Powinna była dawno puścić w niepamięć stare zdarzenia. Jak radziła Pam, odpieprzyć się wreszcie od nich...

- Ja nigdy nie powiedziałem niczego podobnego.

Doktor Kinzler popatrzyła na mnie z uwagą.

- Ale ja powiedziałam to sobie - oznajmiła Cynthia. - Powtarzałam to setki razy. I do dzisiaj wierzę, że tak powinno się stać. Ale czasami świetnie rozumiem, że takie deklaracje brzmią po prostu śmiesznie...

Oboje z doktor Kinzler milczeliśmy jak zakłęci.

- Czasami ich słyszę, mam wrażenie, że rozmawiają, a zwłaszcza moja matka i brat... Także tata... Słyszę ich tak, jakby byli obok mnie, w tym samym pokoju, jakby rozmawiali ze sobą...

Terapeutka pierwsza przerwała milczenie.

- A ty z nimi nie rozmawiasz?

- Może próbuję - bąknęła niepewnie Cynthia.

- I śniesz o tym, co dzieje się później? - zapytała Kinzler.

Cynthia popadła w zadumę.

- Pewnie tak. Bo przecież... teraz ich nie słyszę. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie słyszałam ich też w samochodzie, gdy tu jechaliśmy.

Gdzieś w głębi ducha głośno odetchnąłem z ulgą.

- Więc może odwiedzają mnie tylko w snach... podczas snu... Mimo to mam wrażenie, że są tuż obok,

jakby specjalnie chcieli rozmawiać ze mną.

- I co usiłują ci powiedzieć? - zapytała psychoterapeutka.

Cynthia zdjęła rękę z mojej dłoni i splotła palce na brzuchu.

- Nie wiem. To zależy... Czasami to tylko zwykła, niewiążąca rozmowa. O niczym szczególnym.

Chociażby o tym, co jedliśmy na obiad, co jest w telewizji... Nic ważnego. Ale kiedy indziej...

Miałem chyba taką minę, jakbym pragnął coś dodać, gdyż Kinzler przeszyła mnie piorunującym

spojrzeniem. Ale ja nie chciałem się wtrącać. Usta miałem pewnie otwarte z podziwu, jak gdybym nie

mógł się doczekać, co jeszcze powie moja żona.

Bo przecież po raz pierwszy dowiedziałem się, że słyszy głosy swoich najbliższych usiłujących nawiązać z nią kontakt.

- Kiedy indziej wydaje mi się, że mnie zapraszają, bym do nich dołączyła.

- Dołączyła? - zdziwiła się terapeutka.

- Żeby z nimi została, byśmy znów byli rodziną, jak dawniej.

- A co ty na to?

- Odpowiadam, że chętnie bym to zrobiła, ale nie mogę.

- Dlaczego? - spytałem mimowolnie.

Cynthia spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się smutno.

- Bo tam, gdzie oni teraz są, zapewne nie mogłabym zabrać ciebie i Grace.

- A gdybym tak zostawił na boku te wszystkie mniej ważne sprawy i od razu załatwił to, o co nam chodzi?

- zapytał. - Mogłbym wtedy wrócić do domu.

- Nie, wykluczone - odparła z naganą w głosie. Odczekała chwilę, pragnąc odzyskać spokój. - Wiem, jak bardzo chciałbyś już wracać. Mnie także na tym bardzo zależy. Ale musimy najpierw usunąć z drogi tamte przeszkody. Zdobać się na cierpliwość. Zdarzało się, kiedy byłam młodsza, że i ja działałam porywczo, nazbyt impulsywnie. Ale teraz wiem, że lepiej się nie spieszyć, jak się chce należycie coś załatwić.

Z drugiego końca linii dobiegło ją ciche westchnienie.

- Nie chciałbym tego sknocić - przyznał.

- Nie sknocisz. Tobie w każdej sytuacji zależy na tym, żebym była z ciebie zadowolona. Milo jest mieć w rodzinie przynajmniej jednego takiego człowieka. - Prychnęła krótko. - Dobry z ciebie chłopak i kocham cię o wiele bardziej, niż da się to wyrazić słowami.

- Tyle że już nie jestem małym chłopcem.

- Podobnie jak ja nie jestem już małą dziewczynką, ale zawsze będę wspominać te czasy, kiedy byłeś młodszy.

- To jednak bardzo dziwne uczucie, gdy... robi się coś takiego.

- Wiem. I to właśnie usiłuję ci przekazać. Jeśli będziesz cierpliwy, gdy nadejdzie pora, gdy rozstawisz już wszystkie dekoracje, przekonasz się, że to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- Mam nadzieję - bąknął nieprzekonany.

- Stałe musisz o tym pamiętać. To, co robisz, jest częścią większej całości, gigantycznego procesu, w którym wszyscy uczestniczymy. Widziałeś ją już?

- Tak. I poczułem się strasznie dziwnie. Miałem wielką ochotę podejść do niej i powiedzieć: „Cześć. Założę się, że nie zgadniesz, kim jestem”.

W następny weekend wybraliśmy się w odwiedziny do ciotki Cynthii, Tess Berman, która mieszkała w małym i skromnym domku w pół drogi do Derby, kawałek w bok od gęsto zadrzewionej Derby Milford Road. Mieliśmy do niej najwyżej dwadzieścia minut jazdy, a mimo to jakoś nie mogliśmy się zebrać, żeby odwiedzać ją tak często, jak by wypadało. Dlatego też jeździliśmy do Tess tylko na specjalne okazje, Święto Dziękczynienia albo Gwiazdkę, czy tak jak tego właśnie weekendu, na jej urodziny.

Nie miałem nic przeciwko ciotce mojej żony. Kochałem ją niemal tak samo jak Cynthię, nie tylko za to, że była uroczą staruszką - kiedy raz wyraziłem się tak przy niej, przeszyła mnie piorunującym wzrokiem, w którym jednak tliły się skryte rozbawienia - ale chyba przede wszystkim za opiekę, jaką roztoczyła nad Cynthią po zniknięciu jej rodziców. Wzięła pod swój dach nastoletnią krnąbrną panienkę, która, jak teraz otwarcie przyznawała moja żona, potrafiła sprawiać naprawdę poważne kłopoty.

- Nawet przez chwilę nie myślałam o innym wyjściu - powiedziała mi kiedyś Tess. - Chodziło przecież o córkę mojej siostry, która zniknęła bez śladu, razem z mężem i starszym synem.

Jak mogłabym postąpić inaczej w takiej sytuacji, do diabła?

Tess bywała zrzędlawa, wręcz szorstka, ale przybierała taką pozę tylko w samoobronie, gdyż w głębi duszy była chodzącą dobrocią. Co prawda, miała uzasadnione powody, żeby stać się taka na starość.

Mąż odszedł od niej, jeszcze zanim pod jej dachem pojawiła się Cynthia, uciekł z jakąś barmanką ze

Stamtordu, żeby, jak mawiała sama Tess, sieprzyć do jakiejś dziury na zachodzie, o której nikt nigdy nie słyszał, za co należało jedynie dziękować Bogu. Ona sama, straciwszy przed laty miejsce w fabryce podzespołów radiowych, znalazła zatrudnienie w urzędzie okręgowym, została sekretarką w wydziale ruchu drogowego, a przychody z tej pracy ledwie pozwalały na bieżące opłaty i skromne życie. Nie za bardzo miała z czego utrzymywać jeszcze nastolatkę, lecz mimo to nie uchyliła się od obowiązku opiekuńczego. Nie miała własnych dzieci, toteż po odejściu męża lekkoducha nawet ucieszyła ją perspektywa przyjęcia kogoś pod dach, mimo że okoliczności, w jakich została zmuszona do przejęcia opieki nad Cynthią, obejmowały nieodgadnioną tajemnicę i bez wątpienia były tragiczne.

Obecnie Tess dobiegała już siedemdziesiątki, była na rządowej emeryturze nieco powiększonej o zasiłek z opieki społecznej. Całymi dniami krzątała się we własnym domku oraz ogrodzie i tylko od czasu do czasu wybierała się na wycieczki autobusowe, jak choćby ostatniej jesieni, gdy wyruszyła przez Vermont i New Hampshire, żeby obserwować, jak żółkną i czerwienieją liście drzew („Jezu, kilka dni w autobusie pełnym starych tetryków może przywieść człowieka do samobójstwa”), lecz nie uczestniczyła specjalnie w życiu towarzyskim.

Nie lubiła żadnych zgromadzeń, w ogóle nie bywała na spotkaniach lokalnego stowarzyszenia emerytów i rencistów. Niemniej ze wszystkim była na bieżąco, nadal prenumerowała „Harper's”, „The New Yorker” oraz „The Atlantic Monthly”

i bez skrępowania w rozmowach demonstrowała swoje nieco lewicowe poglądy. Któregoś dnia oznajmiła mi przez telefon:

„Nasz prezydent specjalnie zgromadził wokół siebie taką bandę młotów, żeby wyglądać na ich tle na noblistę”. To, że większa część okresu dojrzewania Cynthii przypadła na okres mieszkania u Tess, z pewnością przyczyniło się do ukształtowania jej światopoglądu i na pewno wpłynęło na jej późniejszą decyzję z początkowego stadium naszego małżeństwa, by podjąć pracę w opiece społecznej.

Ciotka Tess uwielbiała nasze wizyty, a zwłaszcza spotkania z Grace.

- Robiłam porządki w piwnicy i przejrzałam kilka kartonów ze starymi książkami - zaczęła, sadowiac się w swoim przepaścistym fotelu, gdy już dobiegły końca uściski i całusy. - Spójrzcie, co znalazłam.

Wychyliła się z fotela, odsunęła leżące na stoliku świeże wydanie „The New Yorker”, wyciągnęła spod gazety grubą księgę w twardej oprawie i podała ją Grace. Był to Kosmos Carla Sagana. Małej oczy aż się rozszerzyły na widok tysięcy gwiazd widocznych na obwolecie.

- To dość stare wydanie - powiedziała Tess takim tonem, jakby przepraszała za swoją troskliwość. -

Prawie sprzed trzydziestu lat. Autor już nie żyje. Wiem, że w internecie można znaleźć mnóstwo ciekawszych rzeczy, ale mam nadzieję, że i ta książka cię zainteresuje.

- Dziękuję! - Grace aż się zachłusnęła i o mało nie upuściła książki, gdyż nie spodziewała się zapewne, że jest aż tak ciężka. - Czy jest tu coś o asteroidach?

- Chyba tak - odparła Tess.

Grace pognęła do piwnicy. Oczyma wyobraźni ujrzałam, jak siada na starej kanapie stojącej przed telewizorem, może nawet zakrywa sobie kolana pledem, po czym z namaszczeniem zaczyna przerzucać kartki książki.

- To bardzo miłe z twojej strony - powiedziała Cynthia, schyliła się i cmoknęła ciotkę w policzek chyba już po raz czwarty tego dnia.

- Szkoda mi było wyrzucać książki - wyjaśniła Tess. - Zastanawiałam się, czy nie przekazać ich w darze bibliotece, tylko kto by chciał takie rzeczy sprzed trzydziestu lat? Jak się czujesz, skarbie? - zwróciła się do Cynthii. - Wyglądasz na przemęczoną.

- Och, nic mi nie jest. A ty? Też sprawiasz dzisiaj wrażenie lekko ospałej.

- Wszystko w porządku - mruknęła Tess, mierząc mnie uważnym spojrzeniem znad krawędzi okularów do czytania.

Podniosłem z podłogi dużą foliową torbę ze sznurkowymi rączkami.

~ Mamy dla ciebie kilka prezentów.

- Och, nie trzeba było sobie zawracać głowy. Ale jak już są, to dawajcie.

Zawołaliśmy Grace, żeby była przy tym, jak ciotka będzie odbierać nowe rękawice ogrodnicze, czerwono-zielony jedwabny szal i dużą paczkę mieszanki herbatnikowej. Tess ze stosownym podziwem przyjmowała każdy prezent. Kiedy z torby wynurzyła się paczka herbatników, Grace odezwała się pospiesznie:

- Te ciasteczka są ode mnie. Ciociu Tess?

- Słucham, skarbie.

- Po co ci aż tyle papieru toaletowego?

- Grace! - syknęła Cynthia.

- To właśnie było fopa - przypomniałem małej.

Tess machnęła ręką, chcąc dać do zrozumienia, że ani trochę nie czuje się urażona takim drobiazgiem. Jak większość starszych ludzi, i ona miała tendencję do nadmiernego gromadzenia zapasów niektórych towarów. Dobrze wiedziałem, ile szafek w piwnicy jest wypchanych po brzegi paczkami z papierem toaletowym.

- Jak trafiam na wyprzedaż - wyjaśniła - po prostu biorę kilka opakowań.

Kiedy Grace zniknęła ponownie w piwnicy, Tess dodała:

- Gdy nadejdzie apokalipsa, zostanę jedyną osobą mogącą przynajmniej podetrzeć sobie tyłek.

Można było odnieść wrażenie, że odbieranie prezentów bardzo ją wyczerpało, gdyż odchyliła się na oparcie fotela i głośno westchnęła.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Cynthia.

- Oczywiście. - Nagle, jakby coś sobie przypomniawszy, ciotka syknęła: - Nie do wiary. Miałam kupić pojemnik lodów dla Grace i zapomniałam.

- Nic nie szkodzi - odparła moja żona. -1 tak chcieliśmy zabrać cię gdzieś na obiad. Może do Knickerbockera? Wiem, że bardzo lubisz chrupki kartoflane.

- No, nie wiem - mruknęła Tess. - Chyba jestem dzisiaj trochę za bardzo zmęczona. Lepiej zjedzmy tutaj. Mam trochę zapasów. Ale naprawdę zależało mi na tych lodach.

- Mogę pojechać do sklepu - zaproponowałem. Z domu ciotki było bliżej do Derby niż do Milford, nie wątpiłbym jednak, że i tak bez trudu znajdę jakiś sklep.

- Chciałabym też kilka innych rzeczy - odparła ciotka. - Cynthia, może ty byś podjechała do supermarketu. Szkoda czasu, żeby mu tłumaczyć, jak tam dojechać, bo pewnie i tak by nie trafił.

- Pewnie tak - przyznała moja żona.

- Poza tym chciałabym, żeby Terry zniósł mi parę rzeczy z garażu do piwnicy, skoro już tu jest. Bo chyba mogę cię o to prosić, prawda, Terry?

- Oczywiście.

Tess spisała krótką listę zakupów i podała ją Cynthii, która oznajmiła, że powinna wrócić najdalej za pół godziny. Jak tylko odjechała, poszedłem do kuchni. Popatrzyłem na korkową tablicę wiszącą na ścianie nad telefonem. Jak dawniej było na niej przypięte zdjęcie Grace zrobione podczas wycieczki po Disney Worldzie. Później zajrzałem do zamrażalnika, mając nadzieję, że znajdę parę kostek lodu do schłodzenia wody, której chciałem się napić.

Na wprost oczu ujrzałem duży pojemnik lodów czekoladowych. Wyjąłem go i zajrzałem pod pokrywkę. Był ledwie napoczęty. Doszedłem do wniosku, że w pewnym wieku luki pamięci nie są niczym niezwykłym.

- Hej, Tess - zawołałem. - Masz w lodówce cały pojemnik lodów.

- Naprawdę? - odkrzyknęła z pokoju, udając zdumienie.

Odstawiłem lody na miejsce, zamknąłem zamrażalnik, wróciłem i usiadłem przy niej na kanapie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Byłam u lekarza - odparła.

- Tak? Coś ci dolega?

- Ja umieram, Terry.

- Jak mam to rozumieć? Co ci jest?

- Nie przejmuj się, nie padnę tu i teraz. Zostało mi jakieś sześć miesięcy, może rok. Nikt tego nie umie dokładnie określić. Niektórzy ludzie dociągają do imponującego wieku, ale ja nie mam przed sobą długiej pogodnej starości. To nie dla mnie.

Szczerze mówiąc, jeśli już, to wolałabym odejść szybko i bez bólu. Tak byłoby o wiele łatwiej.

- Co ci dolega, Tess?

Wzruszyła ramionami.

- To już bez znaczenia. Zrobili mi całą serię badań. Niektóre chcą jeszcze powtórzyć, żeby mieć niezbitą pewność, ale wątpię, by to cokolwiek zmieniło. Chodzi o to, że zbliżam się do mety. Wolałam powiedzieć ci o tym pierwszemu, bo Cynthia miała ostatnio sporo traumatycznych przeżyć. Dwudziestopięcioletnie, potem ten reportaż...

- A wczoraj rano odebrała anonimowy telefon - dodałem. - Była po nim wstrząśnięta.

Tess na chwilę zamknęła oczy, pokręciła głową i odrzekła:

- Świry. Jak tylko coś zobaczą w telewizji, od razu lecą do książki telefonicznej.

- Pomyślałem sobie dokładnie to samo.

- Cynthia i tak będzie musiała się kiedyś dowiedzieć o mojej chorobie. To pewnie tylko kwestia doboru

odpowiedniej chwili.

Zadudniły ciężkie stąpania na schodach od piwnicy i po chwili zjawiała się Grace ze swoim nowym skarbem pod pachą.

- Czy wiecie, że chociaż Księżyc wygląda tak, jakby dużo częściej zderzał się z asteroidami, to zderzeń na Ziemi było w przeszłości co najmniej tak samo dużo, tyle że na Ziemi jest atmosfera, dzięki której grunt się szybko wyrównuje i kratery znikają, a na Księżycu w ogóle nie ma powietrza, dlatego tam wszystkie ślady po upadkach asteroid pozostają na zawsze.

- Ciekawa książka, prawda? - zagadnęła Tess.

Grace pokiwała głową.

- Zjadłabym coś - rzuciła.

- Mama pojechała do sklepu po parę rzeczy.

- To nie ma jej?

Pokręciłem głową.

- Niedługo wróci. Ale w lodówce stoi pojemnik lodów. Czekoladowych.

- Najlepiej weź sobie cały pojemnik i wracaj na dół - dodała Tess. -1 nie zapomnij o łyżeczce.

- Naprawdę mogę? - zdziwiła się Grace, gdyż było to sprzeczne z zasadami dobrego wychowania, jakie jej wpajaliśmy.

- Tak, wyjątkowo możesz - odparłem.

Pobiegła do kuchni, przeciągnęła sobie krzesło od stołu, żeby sięgnąć do zamrażalnika, skwapliwie chwyciła pojemnik z lodami, zeskoczyła, wzięła z szuflady łyżeczkę i pognęła z powrotem do piwnicy.

Kiedy spojrzałem ponownie na ciotkę, w jej oczach błyszczały łzy.

- Wydaje mi się jednak, że powinnaś sama powiedzieć Cynthii o swoim stanie.

Zacisnęła palce na mojej dłoni.

- Tak, oczywiście, wcale nie zamierzałam cię o to prosić.

Chciałam tylko porozmawiać najpierw z tobą, żebyś był przygotowany do udzielenia jej pomocy, gdy pozna prawdę.

- Nie jestem pewien, czy sam bardziej nie będę potrzebował pomocy, żeby przez to przejść.

Skwitowała to smutnym uśmiechem.

- Okazałeś się dla niej bardzo dobrym partnerem. A pewnie pamiętasz, że na początku miałam do ciebie sporo zastrzeżeń.

- Owszem, wcale się z nimi nie kryłaś. - Ja też zdobyłem się na uśmiech.

- Wydawałeś mi się nazbyt poważny, traktujący wszystko strasznie serio. Na szczęście okazałeś się dla niej idealnym partnerem. Bardzo się cieszę, że trafiła właśnie na ciebie po tych traumatycznych przejściach. - Nagle odwróciła głowę i mocniej zacisnęła palce na moim ręku. - Jest coś jeszcze - dodała. Jej ton nasunął mi straszliwe podejrzenie, że chce mi zakomunikować coś o wiele ważniejszego niż to, że jest śmiertelnie chora.

- O pewnych rzeczach powinnam ci powiedzieć, dopóki jeszcze mogę, żeby przed śmiercią uwolnić się od tego brzemienia. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak.

- A zostało mi na to bardzo mało czasu. Co będzie, jeśli z jakichś powodów umrę już jutro? I jeśli nie będę już miała okazji powiedzieć ci tego, co powinieneś wiedzieć? Problem polega na tym, że wciąż nie wiem, czy Cynthia w ogóle powinna się o tym dowiedzieć, czy to jej w czymkolwiek może pomóc, bo moim zdaniem nasuwa tylko dalsze pytania, a niczego nie wyjaśnia.

I może jej przysporzyć dalszych cierpień, zamiast pomóc.

- O co chodzi, Tess?

- Ściągnij lejce i wysłuchaj mnie uważnie. Sądzę, że powinieneś o tym wiedzieć, bo któregoś dnia może się to okazać brakującym elementem układanki. Rozpatrywane w oderwaniu od innych faktów niewiele znaczy, ale może w przyszłości dowiesz się czegoś więcej o tym, co spotkało moją siostrę, jej męża i Todda, a wówczas ta informacja może się okazać użyteczna.

Niby oddychałem, ale czułem się tak, jakbym już dawno wstrzymał oddech w oczekiwaniu, aż Tess ujawni kolejną wielką tajemnicę.

- No co? - zapytała, mierząc mnie takim wzrokiem, jakby miała przed sobą głupka. - Nie chcesz wiedzieć, o czym mówię?

- Chryste, Tess, przecież umieram z ciekawości.

- Chodzi o pieniądze - wyrzuciła z siebie.

- Pieniądze?

Ociężale pokiwała głową.

- Tak, o pieniądze. Wynikły ni stąd, ni zowąd.

- A skąd pochodziły?

Uniosła brwi.

- To dopiero jest pytanie, co? Skąd pochodziły? Od kogo?

Przeciagnęłam dłonią po włosach na czubku głowy, gdyż zaczynała mnie ogarniać desperacja.

- Rzeczywiście lepiej zacznij od początku.

Tess zaczerpnęła głęboko powietrza przez nos.

- Wychowywanie Cynthii nie zapowiadało się łatwo, ale, jak już nieraz mówiłam, nie miałam wyjścia. W ogóle nie dopuszczałam do siebie innej możliwości. Była moją siostrzenicą, najbliższą mi osobą, z którą łączyły mnie więzy krwi. Kochałam ją jak własną córkę, kiedy więc doszło do tragedii, przyjąłem ją pod swój dach. A była wtedy małą dzikuską. Dopiero gdy cała jej rodzina zniknęła bez śladu, podziało to na nią w pewien sposób trzeźwiąco. Zaczęła poważniej traktować życiowe sprawy, bardziej przykładać się do nauki. Oczywiście, nadal miewała swoje wysoki. Któregoś wieczoru policja przywiozła ją do domu po tym, jak znaleźli u niej marihuanę.

- Poważnie? - wyrwało mi się.

Tess się uśmiechnęła.

- Na szczęście skończyło się tylko na ostrzeżeniu. - Przytknęła palec do warg. - Ale niech to zostanie między nami.

- Jasne.

- W każdym razie to oczywiste, że gdy młodego człowieka spotka coś podobnego, gdy straci całą rodzinę, podświadomie zyska przekonanie, że zdobył licencję na robienie wszystkiego, co mu się żywnie podoba, na wagarowanie, włóczenie się po nocach. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Ale z drugiej strony Cynthia pragnęła wziąć się w garść, jak gdyby przygotować się na ewentualny powrót rodziców, żeby im pokazać, że się nie stoczyła, tylko zrobiła coś użytecznego ze swojego życia. Nawet kiedy została sama, zależało jej na tym, żeby rodzice byli z niej dumni. Dlatego zdecydowała się kontynuować naukę w college'u.

- Na Uniwersytecie Stanowym Connecticut - wtrąciłem.

- Zgadza się. To dobra uczelnia. Ale i droga. Zachodziłam w głowę, jak sobie poradzę z takimi wydatkami. Oceny miała niezłe, ale nie takie, żeby się starać o pełne stypendium, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Zaczynałam się już rozglądać za jakimś kredytem dla niej.

- Jasne.

- Pierwszą kopertę znalazłam w samochodzie, na prawym siedzeniu - oznajmiła niespodziewanie. - Leżała na widoku, wyszłam z pracy, wsiadłam do wozu, żeby wracać do domu i wtedy ze zdziwieniem ujrzałam na drugim fotelu kopertę. Musisz wiedzieć, że samochód zostawiłam zamknięty, ale z szybą puszczoną na centymetr. Było wtedy bardzo gorąco i chciałam wpuścić do środka odrobinę powietrza. Ale nawet przez tę szparkę koperta ledwie się zmieściła, bo była dosyć gruba.

Przekrzywiłem głowę na bok.

- A w środku była gotówka?

- Prawie pięć tysięcy dolarów - przyznała Tess. - W różnych używanych banknotach, piątkach, dwudziestkach, setkach...

- Koperta wypchana gotówką? I nie było żadnego wyjaśnienia, żadnej kartki, niczego?

- Owszem, była wiadomość.

Podniosła się z fotela, podeszła do zabytkowego biurka stojącego tuż przy drzwiach i wysunęła szufladę. - Natrafiłam na to wszystko, gdy zaczęłam porządkować piwnicę, przeglądać pudła z książkami i starymi szpargałami.

Postanowiłam zacząć układać systematycznie swoje rzeczy, abyście z Cynthią mieli ułatwione zadanie po mojej śmierci.

Wyciągnęła z szuflady niewielki pakiet ściśniętych gumką białych kopert. Mogło być ich w sumie kilkanaście, plik miał grubość centymetra.

- Są puste - wyjaśniła. - Zbierałam jednak koperty, chociaż nic na nich nie ma, żadnego nazwiska czy adresu, ani też znaczka, rzecz jasna. Wydawało mi się, że można będzie zdjąć z nich odciski palców, gdyby któregoś dnia okazało się to konieczne.

Pomyślałam, że głównie będą na nich odciski Tess, więc ich wartość w roli materiału dowodowego jest bardzo wątpliwa. Nie zabierałam jednak głosu, gdyż nie jestem specjalistą z zakresu kryminalistyki. Nie

potrafiłem sobie nawet wyobrazić, że miałbym nauczać chemii.

Tess wyciągnęła spod gumki złożoną na czworo kartkę papieru.

- To jedyna wiadomość, jaką dostałam. Była w pierwszej kopercie. We wszystkich następnych były już tylko pieniądze i nic poza tym.

Wzięłam od niej lekko poślizgniętą ze starości kartkę zwykłego papieru maszynowego i ostrożnie rozłożyłam.

Wiadomość była pieczołowicie wystukana na maszynie wielkimi literami.

TO POMOC NA WYCHOWANIE CYNTHII. NA JEJ NAUKĘ, NA WSZYSTKO, CO BĘDZIE KONIECZNE. DOSTANIECIE WIĘCEJ, ALE MUSISZ ŚCIŚLE PRZESTRZEGAĆ ZASAD. NIC NIE MÓW CYNTHII O TYCH PIENIĄDZACH. NIKOMU O NICH NIE MÓW. I NIGDY NIE PRÓBUJ USTALIĆ, SKĄD POCHODZĄ. NIGDY.

Tylko tyle.

Musiałem przeczytać lakoniczny tekst trzy razy, nim w końcu podniosłem wzrok na ciotkę stojącą nade mną.

- Uszanowałam zasady - oznajmiła. - Nigdy nie powiedziałam Cynthii o pieniądzach. Nie mówiłam o nich nikomu. I nawet nie próbowałam ustalić, kto mi podrzuca te koperty. Zresztą odnajdowałam je nieoczekiwanie, w różnych miejscach. Jedna tkwiła w grubym katalogu „New Haven Register”, który pewnego popołudnia znalazłam na progu. Następną znów znalazłam w samochodzie na siedzeniu, gdy wracałam z poczty.

- I nigdy nie zauważyłaś nikogo podejrzanego przy swoim aucie.

- Nie. Sądzę, że człowiek, który mi je podrzucał, wcześniej uważnie mnie obserwował i wybierał odpowiedni moment, żeby uniknąć zagrożenia. I wiesz co? Zostawiając gdzieś samochód, zawsze dbałam o to, żeby szyba była opuszczona na centymetr. Na wszelki wypadek.

- Ile tego w sumie było?

- Mniej więcej przez sześć lat czterdzieści dwa tysiące dolarów.

- Jezu...

Tess wyciągnęła rękę, żebym oddał kartkę z wiadomością.

Starannie ją złożyła, wsunęła pod gumkę i razem z pustymi kopertami schowała pakiecik do szuflady biurka.

- Od jak dawna nie dostajesz już tych kopert? - zapytałem.

Zamyśliła się na krótko.

- Chyba od piętnastu lat, to znaczy od chwili, gdy Cynthia ukończyła studia. Możesz mi wierzyć, że te pieniądze były dla nas błogosławieństwem. Bez nich w żaden sposób bym sobie nie poradziła z opłaceniem studiów, chyba że sprzedałabym dom albo wyprosiła gdzieś kredyt pod zastaw hipoteczny.

- Więc kto je podrzucał?

- A to jest pytanie za czterdzieści dwa tysiące dolarów. Myślisz, że przez te wszystkie lata nie łamałam sobie nad tym głowy? Może jej matka? Może ojciec? A może oboje?

- Co by oznaczało, że przeżyli cały ten okres. A przynajmniej przeżyło jedno z nich. Może nawet żyje gdzieś do dzisiaj. Tylko jeśli tak było, jeśli ktoś z nich mógł cię śledzić, żeby bezpiecznie podrzucić pieniądze, to dlaczego nie nawiązał kontaktu?

- Teraz sam rozumiesz, że takie gdybanie nie ma najmniejszego sensu - powiedziała Tess. - Poza tym od początku byłam przekonana, że moja siostra nie żyje, że zginęła wraz z całą rodziną. Byłam prawie pewna, że ponieśli śmierć tamtej nocy, kiedy zniknęli bez śladu.

- Jeśli zginęli, to człowiek, który podrzucał ci pieniądze, musiał w jakiś sposób czuć się odpowiedzialny za ich śmierć i w ten sposób próbował naprawić wyrządzoną krzywdę.

- Już wiesz, dlaczego tyle lat milczałam. Ta sprawa rodzi tylko więcej pytań, zamiast cokolwiek wyjaśniać. Pieniądze same z siebie wcale nie są dowodem, że rodzice Cynthii przeżyli. Ale nie świadczą też o ich śmierci.

- Coś jednak znaczą - odparłem. - Kiedy przestały przychodzić, gdy stało się jasne, że nie dostaniesz już ani centa, dlaczego wtedy nie zawiadomiłaś policji? Można by wszcząć na nowo zamknięte śledztwo.

Tess popatrzyła mi prosto w oczy.

- Mógłbyś sobie pomyśleć, że zwyczajnie bałam się zmacić wodę w wiaderku, ale w tej konkretnej sprawie, Terry, po prostu nie umiałam rozsądzić, czy faktycznie chciałabym znać prawdę. Owszem, bałam się, ale głównie tego, jak bardzo ta prawda, jeśli udałoby się ją wyświetlić, skrzywdzi Cynthię. Ciągły niepokój dał mi się mocno we znaki. Nie wiem, w jakim stopniu przyspieszył rozwój mojej choroby. Specjaliści mówią, że stres ma zgubny wpływ na ciało człowieka.



- Też tak słyszałem. Może powinnaś z kimś o tym porozmawiać?

- Już próbowałam - odparła lekceważąco Tess. - Widziałam się z waszą doktor Kinzler.

Zamrugałem szybko.

- Poważnie?

- Cynthia wspomniała mi kiedyś, że zapisaliście się do niej na terapię, zadzwoniłam więc i umówiłam się na parę wizyt.

Okazało się jednak, że nie jestem gotowa na to, by się otworzyć przed nieznanym człowiekiem. Pewne sprawy powinny pozostać w rodzinie.

Doleciał nas odgłos samochodu skręcającego na podjazd.

- Sam musisz zdecydować, czy powiedzieć o tym Cynthii - rzuciła szybko Tess. - Oczywiście mówię o kopertach. O swojej chorobie sama jej powiem w najbliższym czasie.

Trzasnęły drzwi auta. Wyjrzałem przez okno. Cynthia obeszła samochód i otworzyła bagażnik.

- Muszę to sobie najpierw przemyśleć - odparłem. - Nie wiem jeszcze, co zrobię. Ale dziękuję, że mnie wtajemniczyłaś. - Urwałem na chwilę. - Szkoda, że dopiero teraz.

- Ja też tego żałuję.

Otworzyły się drzwi i weszła Cynthia z kilkoma papierowymi torbami pełnymi zakupów. Równocześnie z piwnicy wypadła Grace, przyciskając do piersi pojemnik lodów czekoladowych, jakby to była jej ukochana maskotka. Była usmarowana lodami od ucha do ucha.

Cynthia obrzuciła ją pytającym wzrokiem. Po jej minie domyśliłem się natychmiast, że nabrała podejrzeń, iż wysłanie jej do sklepu było wyłącznie pretekstem.

- Jak tylko odjechałaś, okazało się, że mam jednak pojemnik lodów w zamrażalniku, tylko o nim zapomniałam - wyjaśniła Tess. - Ale reszta rzeczy była mi naprawdę potrzebna. A skoro dziś są moje urodziny, to lepiej zacznijmy szykować przyjęcie.

Kiedy wszedłem do pokoju Grace, żeby dać jej całusa na dobranoc, światło było już zgaszone, ale dostrzegłem jej sylwetkę pod oknem. Patrzyła na rozgwieżdżone niebo przez swój teleskop.

Serce mi się ścisnęło, gdy ujrzałem, iloma warstwami nieudolnie nałożonej taśmy samoprzylepnej naprawiła sama ułamane mocowanie tubusu do statywu.

- Skarbie - zacząłem.

Strzeliła palcami w powietrzu, nie odrywając oczu od teleskopu. Kiedy moje oczy przywykły nieco do mroku, zauważyłem też leżącą na łóżku otwartą książkę o kosmosie.

- Co tam obserwujesz? - zapytałem.

- Nic specjalnego.

- To kiepsko.

- Wcale nie. Jeśli nie nadlatuje żadna asteroida, która mogłaby zniszczyć Ziemię, to wcale nie jest źle.

- Trudno się z tym nie zgodzić.

- Nie chciałabym, żeby cokolwiek stało się tobie i mamie.

Gdyby jakaś asteroida miała spaść na nasz dom choćby rano, już teraz powinnam ją dostrzec, więc możecie spać spokojnie.

Przeciągnąłem dłonią po jej włosach i ramieniu.

- Tato, przeskaczasz mi w obserwacji - powiedziała z wyrzutem.

- Przepraszam.

- Coś mi się zdaje, że ciotka Tess jest chora.

No nie, musiała podsłuchiwać. Zamiast siedzieć z książką w piwnicy, na pewno przyczała się gdzieś na szczycie schodów.

- Grace, czyżbyś...

- Bo chyba wcale się nie cieszyła ze swoich urodzin - dodała. - Ja zawsze bardzo się cieszę, gdy są moje urodziny.

- Jak będziesz starsza, przekonasz się, że urodziny wcale nie są aż tak wspaniałe. Obchodziłaś je dopiero kilka razy. Każda atrakcyjna nowinka po pewnym czasie powszednieje.

- Co znaczy słowo „nowinka”?

- Coś, co jest dla kogoś nowe, a przez to atrakcyjne. Pewnie sama rozumiesz, że po dłuższym czasie to coś może się nawet znudzić. Ale dopóki jest nowinką, wydaje się bardzo kuszące.

- Aha - mruknęła, przesuując teleskop odrobinę w lewo. - Księżyc dzisiaj bardzo jasno świeci. Doskonale widać wszystkie kraterzy.

- Idź już do łóżka.

- Jeszcze minutkę - zaprotestowała. - Spijcie spokojnie i nie martwcie się dzisiaj asteroidami.

Postanowiłem, że tego dnia będę wyrozumiały i nie każę jej kłaść się natychmiast. Zgoda na to, żeby dziecko w jej wieku położyło się nieco później spać ze względu na zainteresowanie budową Układu Słonecznego, nie wydała mi się przestępstwem zasługującym na interwencję urzędników z biura ochrony praw dziecka. Pocałowałem ją więc delikatnie w ucho, wysliznąłem się na korytarz i podreptałem do naszej sypialni.

Cynthia, która wcześniej życzyła Grace dobrej nocy, siedziała w łóżku i przeglądała jakieś czasopismo, ale chyba tylko w zadumie przerzucała kartki, w ogóle nie zwracając uwagi na treść.

- Jutro rano muszę załatwić w centrum kilka pilnych spraw - powiedziała, nie podnosząc głowy z nad magazynu. - Trzeba kupić Grace nowe tenisówki.

- Te nie wyglądają jeszcze na zniszczone.

- Nie są zniszczone, ale za małe. Lada moment palce jej wyjdą na zewnątrz. Chcesz pojechać z nami?

- Jasne - odparłem. - A wcześniej zajmę się stryżeniem trawy. Będziemy mogli zjeść lunch na mieście.

- Dzisiejsze popołudnie upłynęło w miłej atmosferze - zauważyła. - Szkoda, że tak rzadko jeździmy do Tess.

- Możemy ją odwiedzać raz w tygodniu.

- Tak sądzisz? - uśmiechnęła się skąpo.

- Oczywiście. Raz możemy ją przywieźć do nas na obiad, kiedy indziej pojechać do Knickerbockera czy nawet do tej restauracji z owocami morza nad samą cieśniną. Na pewno by jej się spodobało.

- Byłaby zachwycona. Miałam wrażenie, że dzisiaj wędrowała myślami gdzieś daleko. I chyba zaczyna cierpieć na zaniki pamięci. Uparła się na te lody, a przecież miała cały pojemnik w lodówce.

Powiesiłem spodnie na oparciu krzesła i zacząłem rozpinać koszulę.

- No cóż - mruknąłem. - To chyba nic szczególnego.

Tess nie powiedziała na razie Cynthii o swoich problemach ze zdrowiem. Chyba nie chciała psuć miłego nastroju, jaki zapanował po powrocie mojej żony ze sklepu. Tak więc skoro to Tess miała zdecydować, kiedy ujawnić przykre wiadomości, czułem się zwyczajnie głupio, rozmawiając o niej z Cynthią, która o niczym nie wiedziała.

Ale jeszcze większym brzemieniem spoczęła mi na barkach niespodziewana informacja o pieniądzach z tajemniczego źródła, które przez lata zasilaty budżet domowy Tess. Jakie miałem prawo, by trzymać tę wiedzę wyłącznie dla siebie? Z pewnością Cynthia była bardziej ode mnie uprawniona do poznania owej tajemnicy. Tyle że Tess wołała jej na razie o niczym nie mówić, gdyż uważała, że i tak jest ona ostatnio narażona na wystarczająco duży stres, a z tą opinią nie mogłem się nie zgodzić. Przynajmniej chwilowo. Toteż z tym większą przyjemnością zapytałem Cynthię, czy wie, że jej ciotka wykupiła parę sesji terapeutycznych u doktor Kinzler. Kiedy jednak zaczęła się głowić, czemu Tess powiedziała o tym tylko mnie, a nie jej, szybko postanowiłem zmienić temat.

- Wszystko w porządku? - spytała podejrzliwie.

- Ta, jasne. Jestem tylko trochę zmęczony, nic więcej - odparłem, prostując się w samych bokserkach.

Wyszorowałem zęby, wsunąłem się do łóżka i ułożyłem na boku, tyłem do niej.

Cynthia rzuciła czasopismo na podłogę, zgasła światło, a po paru sekundach objęła mnie i zaczęła wodzić palcami po mojej piersi, wreszcie wsunęła mi dłoń pod bieliznę.

- Bardzo jesteś zmęczony? - zapytała szeptem.

- Nie tak bardzo - mruknąłem, odwracając się do niej.

- Pragnę się czuć przy tobie bezpieczna - szepnęła, przyciągając moją głowę do siebie.

- Podobno dzisiejszej nocy nie zagrażają nam żadne asteroidy - odparłem.

Wydaje mi się, że gdyby nocna lampka była jeszcze zapalona, dostrzegłbym szeroki uśmiech na jej ustach.

Cynthia usnęła prawie od razu. Ja nie miałem tyle szczęścia.

Przez długi czas gapilem się w sufit, przewracałem z boku na bok, zerkałem na wskazania cyfrowego budzika. Kiedy zmieniała się liczba oznaczająca minuty, zaczynałem rytmicznie odliczać w myślach do sześćdziesięciu, ciekaw, czy jestem w stanie utrzymać sekundowy rytm. Potem przekręcałem się na plecy i na nowo zaczynałem od gapienia się w sufit. Około trzeciej w nocy moje nerwowe ruchy obudziły Cynthię, która zapytała chrapliwym głosem:

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Spij, nie przeszkadzaj sobie.

Nie dawały mi spokoju jej ewentualne pytania. Gdybym potrafił odpowiedzieć, skąd się brała gotówka w białych kopertach podrzucana Tess w celu opłacenia studiów Cynthii, pewnie natychmiast wyjawiałbym jej tę tajemnicę.

Nie, to nie była prawda. Niektóre odpowiedzi budzą tylko wiele dalszych pytań. Załóżmy, że wiedziałbym, iż te pieniądze były podrzucać przez kogoś z jej zaginionej rodziny. Załóżmy nawet, że wiedziałbym, przez kogo.

I tak nie potrafiłbym wyjaśnić motywów takiego działania.

Założmy więc, że pieniądze podrzucał ktoś spoza rodziny.

Tylko kto? Któż obcy mógłby się czuć na tyle odpowiedzialny za los Cynthii, za to, co spotkało jej matkę, ojca i brata, żeby podrzucać pieniądze przeznaczone na jej wychowanie?

Wreszcie zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem zawiadomić policji, zmusić Tess do ujawnienia przechowywanej kartki z wiadomością oraz pustych kopert. Może mimo upływu lat skrywana przez nie tajemnica była na tyle charakterystyczna, że współczesne metody kryminalistyki zdołałyby ją wydobyć na światło dzienne?

Zakładając, rzecz jasna, że w policji dałoby się jeszcze znaleźć kogoś, kto zechciałby wrócić do tamtej zapomnianej sprawy.

Przecież wylądowała pośród spraw umorzonych przed wielu laty.

Kiedy telewizja szykowała reportaż, pojawiły się spore trudności w odnalezieniu kogokolwiek, kto pamiętałby jeszcze tamto dochodzenie. Tylko z tego powodu producenci zdecydowali się nakręcić rozmowę z tym emerytowanym śledczym z Arizony na tle jego nowej przyczepy mieszkalnej, który okazał się podłym kutasem i jedyne, co miał do zaoferowania, to insynuacje, że Cynthia miała coś wspólnego ze zniknięciem jej rodziców i brata.

Zatem tak naprawdę przewalałem się w łóżku, gdyż nie dawała mi spokoju świadomość, że wiem o czymś, co dla Cynthii pozostaje tajemnicą, a co tylko mnie przypomina, jak wiele faktów w tej sprawie pozostaje wciąż nieznanymi.

Kiedy żona z córką były zajęte wybieraniem nowych tenisówek, zająłem do księgarni. Przeglądałem właśnie jedną z wcześniejszych powieści Philipa Rotha, której jakoś dotąd nie przeczytałem, gdy do środka wpadła Grace. Za nią wkroczyła Cynthia, niosąc torbę z zakupami.

- Umieram z głodu - oznajmiła Grace, obejmując mnie oburącz w pasie.

- Masz nowe tenisówki?

Odsunęła się na krok i zademonstrowała mi je jak modelka, wyciągając przed siebie najpierw jedną nogę, potem drugą. Były to białe adidas z różowymi wstawkami.

- A co jest w torbie? - zdziwiłem się.

- Jej stare tenisówki - wyjaśniła Cynthia. - Musiała zostać w nowych. Nie jesteś głodny?

Byłem. Odstawiłem książkę Rotha na półkę i zjechaliśmy ruchomymi schodami na parter centrum handlowego, gdzie mieściły się bary przekąskowe. Grace uparła się na McDonalda, toteż daliśmy jej garść drobnych, a sami w barze naprzeciwko zamówiliśmy po kanapce i porcji zupy błyskawicznej.

Cynthia bez przerwy zerknęła na salę McDonalda, żeby nawet na chwilę nie stracić córki z oczu. Jak zwykle w sobotnie popołudnie w centrum panował spory ruch, zwłaszcza tutaj, na parterze.

Tylko gdzieś widać było jeszcze wolne stoliki, ale i przy nich miejsca szybko się zapełniały.

Żona była tak zajęta pilnowaniem Grace, że sam musiałem odebrać przy kasie dwie plastikowe tace z kanapkami i miseczkami zupy, serwetkami i sztuczkami jednorazowymi.

- Zajęła dla nas stolik - powiedziała Cynthia.

Spojrzałem na drugą stronę hali. Grace siedziała przy czteroosobowym stoliku i wciąż energicznie machała do nas ręką, choć już dawno ją zauważyliśmy. Swojego big maca miała już rozpakowanego, frytki wysypywały się z torebki na tacę.

- Bueeee - jęknęła z obrzydzeniem, spojrzawszy na moją kremową zupę z brokułów, aż siedząca przy sąsiednim stoliku kobieta w błękitnym płaszczu spojrzała w naszą stronę, uśmiechnęła się wyrozumiale i pochyliła znowu nad swoim lunchem.

Usiadłem naprzeciwko Cynthii, mając Grace po prawej. Od razu zwróciłem uwagę, że żona w napięciu spogląda gdzieś w dal. Obejrzałem się, podążając za jej wzrokiem, ale nie zauważyłem niczego szczególnego.

- O co chodzi? - zapytałem.

- O nic - odparła, wbijając zęby w swoją kanapkę z kurczakiem i sałatą.

- Na co tak patrzyłaś?

- Na nic - bąknęła wymijająco.

Grace zaczęła na tempo wpychać sobie frytki do ust, przegryzając je z niezwykłą prędkością.

Cynthia znowu zapatrzyła się ponad moim ramieniem.

- Cyn, na co się tak gapisz? - zapytałem ponownie.

Tym razem nie zaprzeczyła natychmiast, przyznając tym samym, że coś jednak wpadło jej w oko.

- Jest tam pewien człowiek - powiedziała w zamyśleniu.

A kiedy zacząłem się odwracać, rzuciła pośpiesznie: - Nie patrz na niego.

- Co jest w nim takiego niezwykłego?

- Nic - mruknęła.

Westchnąłem głośno i chyba uniosłem wzrok do nieba.

- Na miłość boską, Cyn, nie możesz się tak nachalnie gapić na jakiegoś...

- On wygląda jak Todd - powiedziała.

Niech jej będzie, przemknęło mi przez myśl. Już to przerabialiśmy. Najważniejsze, by zachować spokój.

- Jasne - odrzekłem. - Co w nim jest takiego, że wydaje ci się podobny do twojego brata?

- Sama nie wiem. Po prostu coś... W moich oczach wygląda tak, jak mógłby dzisiaj wyglądać Todd.

- O czym mówicie? - zaciekała się Grace.

- Nic ważnego. - Zwróciłem się ponownie do Cynthii: - Opisz mi go, a ja obrócę się niby przypadkiem, żeby także mu się przyjrzeć.

- Ma ciemne włosy, jest ubrany w brązową marynarkę. Je jakieś chińskie danie. W tej chwili pasztecik z jajkiem. Wygląda jak młodsza wersja mojego ojca, ale starsza wersja Todda. Mówię całkiem poważnie. Obróciłem się powoli na stołeczku, próbując sprawiać wrażenie, jakbym spoglądał na szyldy okolicznych barów, usiłując wybrać ten, w którym znajdę jeszcze coś ciekawego do zjedzenia.

Od razu go zauważyłem. Zgarniał językiem z serwetki jakieś okruchy zjedzonego do połowy pasztecika.

Widziałem kilka zdjęć Todda, które Cynthia trzymała w swoich pudełkach z rodzinnymi pamiątkami, pomyślałem więc, że to całkiem prawdopodobne, iż tak właśnie mógłby wyglądać jej brat dobiegający czterdziestki. Był nieco otyły, o nalanej twarzy i czarnych włosach. Mógł mieć około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, chociaż trudno to było ocenić, dopóki siedział przy stoliku.

Odwrociłem się do Cynthii.

- Wygląda jak tysiące innych ludzi - odparłem.

- Chcę mu się lepiej przyjrzeć - powiedziała Cynthia.

Podniosła się z miejsca, nim zdążyłem zaprotestować.

- Skarbie... - mruknąłem, gdy mnie mijala, robiąc taki gest, jakbym chciał ją złapać za rękę. Ale nie starczyło mi na to odwagi.

- Dokąd idzie mamusia?

- Do łazienki.

- Ja też muszę iść do łazienki - rzuciła Grace, po czym obróciła się na stołku i wyprostowała nogi, żeby się przyjrzeć swoim nowym bucikom.

- Mama pójdzie z tobą, jak wróci - odrzekłem.

Przyglądałem się uważnie, jak Cynthia rusza łukiem wzdłuż barów, oddalając się od tajemniczego mężczyzny. Obeszła niemal całą halę, żeby podejść do niego z drugiej strony, od tyłu.

Kiedy zbliżyła się do jego stolika, szybko skrzyła i stanęła na końcu kolejki do lady McDonalda, skąd zerknęła kilka razy w kierunku domniemanego Todda, starając się sprawiać wrażenie znudzonej i zniecierpliwionej.

Kiedy usiadła z powrotem przy stoliku, postawiła przed Grace mały pojemnik z czekoladowym deserem. Ręce jej się tak trzęsły, że ledwie zdołała ściągnąć przezroczystą pokrywkę, nim postawiła kubeczek na tacy malej.

- O rety! - syknęła z podziwem Grace.

Cynthia chyba nawet nie zauważyła tej niezwykłej u naszej córki reakcji. Popatrzyła na mnie i powiedziała cicho:

- To on.

- Cyn...

- To mój brat.

- Daj spokój. To nie może być Todd.

- Zdążyłam mu się dokładnie przyjrzeć. To na pewno on.

Jestem pewna, że to mój brat, podobnie jak nie mam wątpliwości, że obok nas siedzi Grace.

Ta uniosła szybko wzrok znad lodowego deseru.

- Jest tu twój brat? - zapytała z ożywieniem. - Todd?

- Lepiej zajmij się swoimi lodami - poradziła jej Cynthia.

- Przecież wiem, jak ma na imię - zaoponowała Grace. - Twoim ojcem był Clayton, a matką Patricia - powiedziała z naciskiem, jakby przed całą klasą odpowiadała na pytanie nauczycielki.

- Grace! - ofuknęła ją Cynthia.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Na nic dobrego się nie zanosilo.

- Idę z nim porozmawiać - dodała.

Otóż to.

- Nie możesz! - syknąłem. - Zrozum, to niemożliwe, aby to był Todd. Na miłość boską, czy sądzisz, że gdyby twój brat mógł teraz swobodnie poruszać się po centrum handlowym i zająć się chińszczyzną w miejscu publicznym, nie podszedłby do ciebie, żeby się przywitać? I to on pierwszy powinien cię rozpoznać. Zachowujesz się jak inspektor Clouseau, krążysz wokół niego tak, że dla wszystkich musi być jasne, iż mu się przyglądasz. A to po prostu zwykły facet, który tylko przypadkiem jest trochę podobny do twojego brata. Jeśli podejdziesz do niego i zaczniesz rozmawiać, jakby naprawdę był Toddem, weźmie cię za wariatkę...

- Właśnie wychodzi - rzuciła Cynthia z odcieniem paniki w głosie.

Obejrzałem się. Tamten wstał od stolika, po raz ostatni otarł usta papierową serwetką, zgniótł ją w kulkę i rzucił na papierowy talerzyk. Zostawił tacę na stole, jakby nie chciało mu się jej przenieść do kosza na śmieci, i ruszył w kierunku toalety.

- Kto jest inspektorem... Cloozou? - zaciekawiła się Grace.

- Przecież nie pójdziesz za nim do ubikacji - dodałem.

Cynthia siedziała na stołku usztywniona, jakby w osłupieniu spoglądając na plecy mężczyzny oddalającego się ku zejściu do toalet. Musiał się w nim pojawić jeszcze raz, wychodząc.

- Chcesz iść za nim do męskiej toalety? - zwróciła się Grace do matki.

- Kończ lody - mruknęła Cynthia.

Siedząca przy sąsiednim stoliku kobieta w błękitnym płaszczu dłubała widelcem w swojej sałatce, udając, że wcale nas nie słucha.

Uzmysłowiłem sobie, że zostało mi zaledwie kilka sekund na wyperswadowanie żonie tego, czego wkrótce możemy wszyscy żałować.

- Pamiętasz, co mi powiedziałaś, jak tylko się poznaliśmy?

O tym, że wszędzie widzisz ludzi, którzy przypominają ci zaginionych członków rodziny?

- Powinien zaraz stamtąd wyjść. Chyba że jest drugie wyjście. Nie wiesz, czy jest stamtąd drugie wyjście?

- Chyba nie ma - odparłem. - To całkiem zrozumiałe, że wszędzie ich widzisz. Przez całe życie ich wypatrywałaś. Pamiętasz, jak przed laty oglądałem program Larry'ego Kinga? Rozmawiał wtedy z facetem, którego syn miał jakoby zginąć z rąk OJ. Simpsona. Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Goldman. Powiedział wtedy Larry'emu, że ilekroć na autostradzie zauważył samochód jadący w charakterystyczny sposób, jakby za kierownicą siedział jego syn, rusza za nim w pościg i sprawdza dokumenty kierującego, chcąc się upewnić, że to nie jego syn, chociaż nie ma wątpliwości, że jego syn nie żyje, i dobrze wie, że to bezsensowne...

- Skąd możesz wiedzieć, czy Todd nie żyje? - przerwała mi Cynthia.

- Czuję to. Ale nie o to przecież teraz chodzi. Chciałem ci unacoczyć...

- Wychodzi. Skręca do ruchomych schodów.

Poderwała się z miejsca i wybiegła z baru.

- Jasna cholera! - syknąłem.

- Tato! - oburzyła się Grace.

Obróciłem się do niej.

- Zostań tu i nigdzie nie odchodź, jasne?

Pokiwała głową z łyżeczką pełną lodów zawieszoną w pół drogi do ust.

Kobieta przy sąsiednim stoliku obejrzała się na nas. Pochwyciłem jej spojrzenie.

- Przepraszam, czy nie zechciałaby pani przez minutę rzucić okiem na moją córkę?

Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Tylko na minutę - dodałem miękko, by wzbudzić jej zaufanie, po czym skoczyłem na równe nogi, nie dając jej nawet szansy na odmowę.

Ruszyłem za Cynthią. Zdążyłem jeszcze dostrzec, jak śledzony przez nią mężczyzna znika mi z oczu u podnóża ruchomych schodów. Parter centrum handlowego był zatłoczony, toteż Cynthia nie mogła za nim pobiec, dzieliło ją od niego kilkanaście osób zjeżdżających na dół. Mniej więcej taki sam dystans rozdzielił na wstędze schodów ją i mnie.

Mężczyzna zeskoczył na podest i poszedł energicznym krokiem do wyjścia. Cynthia próbowała się przecisnąć między ludźmi zjeżdżającymi przed nią, ale drogę zatarasowała jej para trzymająca w poziomie wózek z małym brzdącem. Nie dało się go wyminąć.

Po zejściu ze schodów pobiegła za oddalającym się mężczyzną, który był już prawie w drzwiach.

- Todd! - zawołała.

Nie zareagował. Pchnął pierwsze drzwi wahadłowe, które szybko się za nim zamknęły, po czym tak samo szybko minął drugie i wyszedł na parking. Prawie dogoniłem żonę, nim zdążyła dobiec do drzwi.

- Cynthia! - zawołałem.

Nie zwróciła na mnie uwagi tak samo, jak on na nią. Kiedy wypadła na parking, zawołała jeszcze raz:

- Todd!

Także bez rezultatu. Podbiegła więc do mężczyzny i chwyciła go za ramię.

Przystanął, odwrócił się i popatrzył ze zdumieniem na zadyszana, podniecona obcą kobietę.

- O co chodzi? - zapytał.

- Przepraszam - wydusiła z siebie Cynthia, z trudem łapiąc oddech. - Miałam wrażenie, że się znamy.

Dogoniłem ich. Facet popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał zapytać: „Co tu się dzieje, do diabła?”

- To chyba pomyłka - wycedził.

- Jesteś Todd - rzuciła desperacko moja żona.

- Todd? - pokręcił głową. - Przykro mi, proszę pani, ale nie znam żadnego...

- Dobrze wiem, kim jesteś - przerwała mu Cynthia. - Widzę u ciebie rysy naszego ojca. Masz ten sam wykrój oczu...

- Przepraszam - wtrąciłem. - Moja żona uważa, że jest pan podobny do jej brata, z którym nie widziała się od bardzo dawna.

Cynthia obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem.

- Uważasz mnie za wariatkę? - syknęła. Odwróciła się z powrotem do nieznanego i powiedziała: - W porządku, kim zatem pan jest? Proszę powiedzieć, jak się pan nazywa.

- Proszę pani, naprawdę mnie nie interesują pani problemy, dlatego proszę się ode mnie odczepić, dobra? Przesunąłem się o krok, by stanąć między nimi, i siląc się na maksymalnie łagodny ton, zwróciłem się do niego:

- Świetnie rozumiem, że znalazł się pan w trudnej i niezrozumiałej sytuacji, ale gdyby zechciał pan powiedzieć, jak się nazywa, wiele by to wyjaśniło mojej żonie.

- To jakaś bzdura - warknęła. - Nie muszę się przed wami legitymować.

- Widzisz? - rzuciła zza moich pleców Cynthia. - Wiem, że to ty, tylko z jakichś powodów nie chcesz się do tego przyznać.

Odciągnąłem ją na bok i szepnąłem:

- Możesz dać mi chwilę? - Odwróciłem się do mężczyzny i poprosiłem: - Cała rodzina mojej żony przed laty zniknęła bez śladu. Od dawna nie widziała swojego brata, a pan jakimś sposobem jej go przypomina. W pełni rozumiem, jeśli pan odmówi? lecz gdyby zechciał pan pokazać jakiś dowód tożsamości, Prawo jazdy albo coś w tym rodzaju, byłaby to dla mnie nieoceniona przysługa, dzięki temu mógłbym ją łatwiej uspokoić.

Wyjaśnilibyśmy tę sprawę definitywnie, raz na zawsze.

Przez chwilę spoglądał mi prosto w oczy.

- Chyba wie pan, że ona powinna się leczyć?

Nie odpowiedziałem.

W końcu westchnął, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął portfel i wyjął z niego plastikową kartę.

- Proszę - mruknął, podtykając mi ją pod nos.

Było to prawo jazdy ze stanu Nowy Jork, wystawione na niejakiego Jeremy'ego Sloana mieszkającego w Youngstown. Zdjęcie potwierdzało, że rozmawiamy właśnie z tym człowiekiem.

- Mogę na chwilę? - zapytałem, unosząc rękę. Skinął głową, więc wzięłem od niego prawo jazdy, odwróciłem się do Cynthii i pokazałem jej. - Przekonaj się sama.

Wzięła ostrożnie kartę dwoma palcami za sam róg i przebiegła ją wzrokiem, podczas gdy jej oczy zachodziły już łzami.

Przeniosła wzrok ze zdjęcia na stojącego za mną człowieka, wyciągnęła prawo jazdy w jego stronę i szepnęła:

- Bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

Wziął od niej dokument, schował z powrotem do portfela, z politowaniem pokręcił głową i mamrocząc coś pod nosem, ruszył w głąb parkingu. Z jego mamrotania wyłowilem tylko jedno słowo: „wariatka”.

- Chodźmy, Cyn - powiedziałem. - Wracajmy po Grace.

- Grace? - zdziwiła się. - Zostawiłeś ją samą?

- Pod czyjąś opieką. Uspokój się.

Pognała jednak pędem do drzwi i przez halę do ruchomych schodów. Pobiegłem za nią. Z niejakim trudem przedarliśmy się przez tłum z powrotem do naszego stolika w barze McDonalda, na którym wciąż stały trzy nasze plastikowe tace - dwie ze styropianowymi miseczkami po zupie i z niedojedzonymi kanapkami, trzecia z pustymi plastikowymi opakowaniami po jedzeniu Grace.

Ale jej samej nigdzie w pobliżu nie było.

Zniknęła też kobieta w błękitnym płaszczu.

- Gdzie, do diabła...

- Och, mój Boże! - zaczęła Cynthia. - Zostawiłeś ją tu samą?

Całkiem samą, zdaną tylko na siebie?!

- Powtarzam, że zostawiłem ją pod opieką kobiety, która siedziała tutaj. - Ugryzłem się w język, aby nie powiedzieć, że gdyby nie jej zwariowana pogoń za nieznanym facetem, nie musiałbym biec jej na ratunek, zostawiając Grace samą w barze. - Nie mogły się oddalić za daleko.

- Co to za kobieta? - rzuciła ostro. - Jak wyglądała?

- Nie pamiętam. Przeciętna starsza pani. Miała na sobie błękitny płaszcz. Siedziała przy sąsiednim stoliku i przyglądała się nam...

Zostawiła niedokończoną sałatkę na kartonowej tacce, a obok niej kubeczek z ciemnym napojem, chyba coca-cola albo pepsi. Wyglądało na to, że i ona oddaliła się w pośpiechu.

- Ochrona - warknąłem w desperacji, usiłując uwolnić swój głos nawet od śladów paniki. - Każę im wypatrywać kobiety w błękitnym płaszczu prowadzącej za rękę małą dziewczynkę... - Urwałem, rozglądając się po hali, jakbym wypatrywał najbliższego ochroniarza.

- Nie widzieli tu państwo małej dziewczynki? - zapytała Cynthia, wodząc spojrzeniem po ludziach zajmujących najbliższe stoliki. Spoglądali na siebie w zakłopotaniu, wrzuszali ramionami, marszczyli brwi.

- Ośmiolatki. Siedziała na tym miejscu.

Ogarnęło mnie przemożne poczucie bezradności. Obejrzałem się w stronę kas McDonalda, jakbym liczył na to, że obca kobieta postanowiła zafundować Grace jeszcze jedne lody, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nasza córka jest na to za sprytna. Miała dopiero osiem lat, ale zdążyła już zaliczyć celująco zajęcia z przechodzenia przez ulicę i...

Cynthia, która tymczasem zdążyła wyjść na środek sali, zaczęła nawoływać na cały głos:

- Grace! Grace!

Niespodziewanie tuż za moimi plecami rozległo się:

- Cześć, tato.

Odwrociłem się na pięcie.

- Dlaczego mama tak krzyczy? - zapytała zdziwiona Grace.

- Gdzieś ty była, do pioruna?! - warknąłem na nią. Cynthia zauważyła nas i ruszyła biegiem w naszą stronę. - Co się stało z tą kobietą, która miała się tobą opiekować?

- Zadzwoił jej telefon i powiedziała, że musi iść - odparła rzeczowo Grace. - A ja naprawdę musiałam iść do ubikacji.

Mówiłam ci o tym już wcześniej. Dlaczego wszyscy się tak na nas gapią?

Cynthia złapała Grace pod rękę, uniosła ją i przytuliła do siebie. Jeśli miałem jeszcze jakieś resztki wyrzutów sumienia co do tajemnicy, którą Tess zdradziła tylko mnie, pozbyłem się ich w jednej chwili.

Uznałem, że nasza rodzina nie potrzebuje więcej żadnych kontaktów z chaosem.

Całą drogę do domu pokonaliśmy w milczeniu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że lampka automatycznej sekretarki na obudowie telefonu rytmicznie mruga. Wiadomość nagrała producentka Deadline. We trójkę staliśmy w kuchni jak wmurowani, wysłuchując, że skontaktował się z nimi jakiś telewidz. Podobno zarzekał się, że wie, co mogło się przydarzyć rodzicom i bratu Cynthii.

Cynthia oddzwoniła natychmiast, musiała jednak poczekać na powrót redaktorki, która właśnie wyszła ze studia po kawę. Kiedy wreszcie uzyskała z nią połączenie, zapytała niecierpliwie:

- Kto to był? Mój brat?

Odniosłem wrażenie, że i tak była przeświadczona, że właśnie widziała go w centrum handlowym. Taki przebieg zdarzeń byłby dla niej całkiem uzasadniony.

Ale producentka reportażu odparła, że to nie był jej brat, tylko jakaś kobieta podająca się za jasnowidzącą albo coś w tym rodzaju. Podobno mówiła jednak bardzo wiarygodnie.

Cynthia odwiesiła słuchawkę i powiedziała:

- Jakaś nawiedzona zadzwoniła z informacją, że wie, co się wtedy stało.

- Super! - wykrzyknęła Grace.

No pewnie, pomyślałem. Brakowało nam tylko jasnowidzów.

Rzeczywiście kurewsko super.

- Sądzę, że powinniśmy przynajmniej wysłuchać, co ma do powiedzenia - uznała Cynthia.

Był już późny wieczór i siedzieliśmy przy kuchennym stole, na próżno usiłując się skupić nad rozłożoną gazetą. Cynthia w ogóle nie była w stanie myśleć o niczym innym poza tym telefonem od producentów reportażu dotyczącym jasnowidzącej kobiety. Ja natomiast błądziłem myślami zupełnie gdzie indziej.

Aż do kolacji nie mieliśmy specjalnie czasu, lecz gdy Grace zamknęła się w swoim pokoju, żeby odrobić jakieś zaległe lekcje, Cynthia stanęła tyłem do mnie przy zlewie i zajęta zmywaniem rzekła po chwili:

- Musimy o tym porozmawiać.

- Nie bardzo wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać - odparłem. - Do redakcji telewizyjnej zadzwoniła jakaś jasnowidząca, a to naprawdę niewiele się różni od sytuacji, gdy dzwonił jakiś facet i zapewniał, że twoja rodzina zniknęła w niespodziewanej dziurze czasoprzestrzeni. Wcale bym się nie dziwił, gdyby ta kobieta ujrzała w swojej wizji twoją rodzinę jadącą na grzbiecie brontozaura albo pedałującą z zapalaniem w pojeździe Freda Flintstone'a.

Cynthia wytarła ręce w ścierkę, odwróciła się do mnie i oznajmiła:

- Jesteś obrzydliwy.

Podniosłem głowę znad napisanego tragiczną angielszczyzną Wypracowania na temat Whitmana.

~ Słucham?

- To, co powiedziałeś, jest obrzydliwe. Przemawia przez ciebie nienawiść.

- Nic podobnego.

- Jesteś na mnie wściekły. Za moje dzisiejsze zachowanie.

Za to, co się wydarzyło w centrum handlowym.

Nie odpowiedziałem. W tym, co mówiła, było trochę prawdy.

Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa od chwili, gdy zgarnęliśmy Grace od stolika w barze McDonalda. Było parę rzeczy, które chciałem jej powiedzieć, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć.

Przede wszystkim miałem tego dość. Cynthia musiała zmienić swoje nastawienie. Musiała się pogodzić z faktem, że jej rodzice i brat zniknęli bez śladu, że dwudziesta piąta rocznica tamtego zdarzenia niczego nowego nie wniosła i że podrzędny reportaż telewizyjny nie wzbudził szerokiego zainteresowania widzów. Musiała też zrozumieć, że od zniknięcia jej rodziny minęło wiele czasu, i choć niewątpliwie było to zdarzenie tragiczne, teraz miała własną rodzinę, więc jeśli nie zamierzała dla niej żyć teraźniejszością, jeśli wolała ciągle wracać myślami do tamtej rodziny, która zapewne od dawna już nie istniała, to...

Nic jednak nie powiedziałem. Nie mogłem się zdobyć na poruszenie tego tematu. Ale nie byłem też w stanie okazać choćby odrobiny współczucia, gdy już wróciliśmy do domu. Rozsiadłem się w saloniku, włączyłem telewizor i zacząłem rytmicznie przełączać kanały, nie mogąc się na niczym skupić dłużej niż przez trzy minuty. Cynthia popadła w gorączkę sprzątnia. Odkurzała, szorowała łazienkę, ustawiała puszki z zupami w spiżarni. Była gotowa robić w domu wszystko, byle tylko nie rozmawiać ze mną. Nigdy nic dobrego nie wynikało z naszych sprzeczek, ale często dom wyglądał po nich tak, jakby zaraz miał się w nim zjawić fotograf z redakcji czasopisma „Home and Garden”.

Najbardziej byłem wkurzony na tego czubka, który zadzwonił z samego rana po obejrzeniu reportażu w Deadline.

Niemniej, przerzucając na biurku niesprawdzone jeszcze prace uczniów, odpowiedziałem:

- Wcale nie jestem zły.

- Przecież widzę, że jesteś - odrzekła. - Świetnie wiem, kiedy się wściekasz. Przykro mi z powodu tego, co się zdarzyło. Przykro mi, że ucierpieliście na tym i ty, i Grace. Przykro mi też z powodu tego faceta, którego naraziłam na zdenerwowanie. Wprawiłam w zakłopotanie nie tylko siebie, ale nas wszystkich. Co więcej chciałbyś ode mnie usłyszeć? Co mam jeszcze powiedzieć? Czy nie zapisałam się już na kurację u doktor Kinzler? Co jeszcze miałabym zrobić? Chodzić na spotkania co tydzień, zamiast co dwa tygodnie? A może wolałbyś, żebym zaczęła przyjmować jakieś leki, które stłumiłyby mój ból, pomogły zapomnieć o wszystkim, co mi się przytrafiło? Czy wtedy byłbyś zadowolony?

Rzuciłem na biurko swój czerwony długopis i syknąłem:

- Jezu Chryste...

- A może byłbyś szczęśliwszy, gdybym od was odeszła?

- Nie wygłupiaj się.

- Nie możesz już tego znieść, prawda? No to wyobraź sobie, że ja też nie mogę. Ja też mam tego dość.



Myślisz, że mam ochotę na dalsze kontakty z wariatami? Myślisz, że nie wiem, jak idiotycznie to wszystko wygląda? Jak żałośnie wypadam, kiedy podczas każdej sesji muszę pokornie wysłuchiwać wszystkiego, co ona ma mi do powiedzenia? Tylko jakie mam inne wyjście?

A gdyby to samo spotkało Grace?

Spojrzałem na nią.

- Nie waż się nawet myśleć w ten sposób.

- Gdybyśmy ją utracili? Gdyby któregoś dnia zaginęła bez śladu? Wyobraź sobie, co byś czuł miesiące i lata po jej zaginięciu. Oczywiście nie mając bladego pojęcia o tym, co jej się stało.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować w taki sposób - oznajmiłem.

- No to wyobraź sobie jeszcze, że po latach odbierasz telefon od kogoś, kto na przykład miał jakąś wizję na temat Grace albo coś w tym rodzaju i twierdzi, że wie, gdzie ona jest. Chcesz mi wmówić, że zlekceważyłbyś tego człowieka?

Zagryzłem zęby i odwróciłem głowę.

- Właśnie tak byś się zachował? Tylko dlatego, żeby nie wyjść na głupca? Bo bałbyś się okazać zaniepokojenie i desperację?

A gdyby była choćby jedna szansa na milion, że ten człowiek naprawdę coś wie? Gdyby wcale nie był stuknięty, ale miał wrażenie, że naprawdę coś widział, że zna jakiś klucz pomocny w interpretacji choćby ulotnego złudzenia? I gdyby rzeczywiście istniała szansa na jej odnalezienie?

Spuściłem głowę i oparłem czoło na dłoniach, a w oczy wpadło mi zdanie:

„Najbardziej znana publikacja pana Whitmana nosi tytuł Leaves of Grass, który wielu ludziom kojarzy się z marihuaną, ale tak nie jest, choć naprawdę trudno uwierzyć, że autor wiersza pod tytułem I Sing The Body Electric nie był przynajmniej przez jakiś czas na haju”.

Kiedy nazajutrz wpadłem na korytarzu na Lauren Wells, wyjątkowo nie była w sportowym stroju. Miała na sobie elegancki czarny T-shirt i stylowe dżinsy. Cynthii zapewne wystarczyłby jeden rzut oka, żeby określić, jakiej są marki. Któregoś wieczoru, gdy oglądaliśmy jeszcze program American Idol na naszym małym, przenośnym sypialnianym telewizorku, wskazała mi uczestniczkę nieudolnie naśladowującą Bette Midler w piosence Wind Beneath My Wings, i powiedziała:

- Nosi dżinsy marki Sevens.

Nie miałem pojęcia, czy Lauren też wybrała dżinsy marki Sevens, ale wyglądała w nich ponętnie, nic więc dziwnego, że męska część starszych uczniów wyciągała szyje, by na nią spojrzeć od tyłu, gdy defilowała po korytarzu szkoły.

Zaczepiła mnie, gdy nadchodziłem z przeciwka.

- Jak się dziś miewasz? - zagadnęła. - Lepiej?

Co prawda nie mogłem sobie przypomnieć, bym się jej zwierzał podczas naszej ostatniej rozmowy, że nie czuję się najlepiej, lecz mimo to odparłem:

- Och, tak, czuję się doskonale. A ty?

- W porządku - odrzekła. - Chociaż wczoraj niewiele brakowało, żebym poszła wcześniej do domu. Kilka dni temu dziewczyna, z którą studiowałam na ostatnim roku, zginęła w wypadku samochodowym w Hartfordzie, o czym dowiedziałam się przez internet od przyjaciółki, toteż miałam bardzo kiepskie popołudnie.

- Dobrze się znaliście? - zapytałem.

Lauren lekko wzruszyła ramionami.

- Cóż, była z mojego roku. Przez kilka minut po tym, jak dowiedziałam się od znajomych o jej śmierci, nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądała. Nie byłyśmy ze sobą związane ani zaprzyjaźnione. Na niektórych zajęciach siadała tuż za mną.

Niemniej i tak przeżyłam szok na wiadomość o tragicznym losie kogoś, kogo znałam. W takim stanie człowiek inaczej patrzy na swoje życie i w innym świetle ocenia przyświecające mu cele.

Właśnie dlatego o mało nie poprosiłam wczoraj o zastępstwo.

- Zawsze trzeba weryfikować swoje cele - przyznałem, niezbyt pewny, czy wypowiedź Lauren jest rzeczywiście dowodem jej współczucia. - Różne rzeczy się zdarzają. - Czuję się mniej więcej tak, jakbym to ja spowodował ów wypadek, w którym ktoś zginął, ale zarazem miałem przecucie, że Lauren tylko gra na zwłokę, próbując mnie wciągnąć w dyskusję o tragedii całkiem mi nieznaney osoby, a i jej niezbyt bliskiej.

Obok przechodziły dzieciaki spieszące do swoich klas, obchodziły nas z obu stron niczym żywa rwąca fala opływająca przeszkodę tkwiącą w samym nurcie.

- Więc jaka ona jest naprawdę? - zapytała Lauren.

- Kto?

- Paula Malloy. Z Deadline. Naprawdę jest tak sympatyczna, jak wydaje się w telewizji? Bo ja odnoszę wrażenie, że jest bardzo miła.

- Ma wspaniałe zęby - odparłem. Wziąłem ją pod ramię i pociągnąłem w stronę rzędu szafek pod ścianą, żeby nie tarasować ruchu na środku korytarza.

- Pomyślałam właśnie, że... skoro jesteś dość blisko z dyrektorem Carruthersem... bo jesteś, prawda? - zagadnęła.

- Z Rollym? Owszem, znamy się od dawna.

- Trochę mi niezręcznie o tym wspominać, ale... kilka dni temu siedział w pokoju nauczycielskim i musiał... a przynajmniej zdaje mi się, że widział... Czy nie wspomniał ci w rozmowie, że wkładałam coś do twojej przegródki na wiadomości, a potem to wyjęłam?

- No cóż, prawdę mówiąc...

- No tak, to prawda, że coś tam zostawiłam, ale po namyśle doszłam do wniosku, że to nie najlepszy pomysł, więc zabrałam z powrotem swoją wiadomość, zanim jeszcze dotarło do mnie, że pan Carruthers... to znaczy Roland... mógł wszystko widzieć, więc i tak zapewne ci powiedział, zatem... przyszło mi do głowy, że mogłam równie dobrze zostawić tę kartkę, bo przynajmniej byś wiedział, co myślę, zamiast się tylko domyślać, co na niej było...

- Lauren, nie masz się czym przejmować. To drobiazg - przerwałem jej, gdyż sam nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć, jaką wiadomość mi wtedy zostawiła. Przede wszystkim nie chciałem w tych okolicznościach dodatkowo komplikować sobie życia. A już z pewnością nie życzyłem sobie komplikacji związanych z Lauren Wells, nawet gdyby reszta mojego życia do grobowej deski miała się przedstawiać wyłącznie w różowych barwach.

- Napisałam do was oboje, do ciebie i Cynthii, byście się zastanowili, czy nie chcecie czasami wpaść do mnie. Mogłabym ściągnąć jakąś grupkę przyjaciół, żebyśmy wszyscy się trochę rozerwali, skoro macie tyle ważnych spraw na głowie. Ale po namyśle uznałam, że to dowód wścibstwa z mojej strony, prawda?...

- No cóż, raczej troskliwości - odparłem. - Może kiedyś... - Zaraz jednak pomyślałem, że za nic w świecie.

- W każdym razie... - dodała Lauren, unosząc wysoko brwi, choć tylko na sekundę - ...idziesz dziś po szkole na festyn? Zapowiedzieli obecność kilku gwiazd z ostatniej serii Ocalonych, mają rozdawać autografy...

- Nie myślałem o tym - odparłem.

- W każdym razie ja idę.

- Trudno będzie mi się wyrwać. Muszę jechać z Cynthią do New Haven. Chodzi o ten reportaż telewizyjny. Nic wielkiego, chcą dokręcić ciąg dalszy.

Natychmiast pożałowałem, że jej to zdradziłem. Rozpromieniła się w jednej chwili i rzekła:

- To będziesz musiał mi opowiedzieć szczegółowo o przebiegu tego nagrania.

Uśmiechnąłem się tylko, po czym rzuciłem, że muszę już iść do klasy, ale kiedy się oddaliłem i zszedłem jej z oczu, aż pokręciłem głową do swoich myśli.

Obiad zjedliśmy wcześniej, żeby mieć czas na dojazd do filii redakcji telewizji Fox w New Haven, poza tym chcieliśmy załatwić opiekunkę dla Grace na czas naszej nieobecności, ale Cynthia oznajmiła, że obdzwoniła już wszystkie agencje i nie zdołała ściągnąć żadnej ze znanych nam już osób.

- Przecież mogę zostać w domu sama - oświadczyła córka, gdy już szykowaliśmy się do wyjazdu. Nigdy wcześniej nie zostawała w domu sama i z pewnością nie zamierzaliśmy akurat tego dnia obalać przyjętego zwyczaju, zamierzaliśmy to odłożyć na jakieś pięć albo sześć lat.

- Nie licz na to, moja droga - odparłem. - Lepiej skup się na swojej książce o kosmosie albo na szkolnej pracy domowej bądź na czymkolwiek innym, dopóki jeszcze nie wyjechaliśmy.

- Nie mogę nawet posłuchać, co ta pani będzie miała do powiedzenia? - zapytała Grace.

- Nie możesz - rzuciła Cynthia, nim zdążyłem odpowiedzieć dokładnie to samo.

Już przed kolacją była podminowana. Wcześniej zdążyłem odzyskać spokój, więc to nie przeze mnie się wściekała. Jej ostrą reakcją kładłem na karb tego, co spodziewała się usłyszeć od psychoanalityczki. Jeśli ktoś powrózy ci z ręki, z kart czy z tarota, można to potraktować jak rozrywkę, nawet jeśli nie wierzy się w podobne bzdury. Ale tylko w normalnych okolicznościach. Bo nasza sytuacja nie była normalna.

- Chcą, żebym przywiozła jedno z pudełek po butach - wyznała Cynthia.

- Które?

- Obojętne. Redaktorka powiedziała, że chce je tylko pokazać do kamery, ewentualnie zademonstrować coś ze środka, żeby wzbudzić silniejsze wibracje widzów i wzmocnić fluidy płynące z przeszłości.

- Aha - odparłem. - I, jak podejrzewam, będą filmować cały ten proces otwierania pudełka?
- Pewnie tak - odparła Cynthia. - Ale nie widzę powodu, dla którego miałabym odmówić. W końcu to reportaż pobudził tę kobietę, nic więc dziwnego, że chcą zbadać jej możliwości.
- Wiesz chociażby, kto to jest?
- Nazywa się Keisha, Keisha Ceylon.
- Naprawdę?
- Sprawdziłam te dane w internecie. Ma własną stronę sieciową.
- To było do przewidzenia - odparłem, uśmiechając się z politowaniem.
- Spróbuj być miły - ucięła Cynthia.

Wyprowadzałem już samochód tyłem z podjazdu, kiedy zawołała:

- Stój! Zaczekaj! Sama nie mogę w to uwierzyć. Zapomniałam o pudełku po butach.
- Wcześniej wyciągnęła z szafy jedno ze swoich pudeł z rodzinnymi pamiątkami i postawiła je na kuchennym stole, byśmy nie zapomnieli go zabrać.
- Ja po nie pójde - zadeklarowałem, przerzucając dzwignię biegów na luz.
- Ale Cynthia zdążyła już wyłuskać klucze z torebki.
- Zaraz wracam - rzekła, otwierając drzwi.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Otworzyła drzwi i wbiegła do środka, zostawiając klucze w zamku. Jej nieobecność się przedłużała, wydawała mi się znacznie dłuższa niż czas potrzebny na to, żeby wziąć pudełko z kuchennego stołu. Wreszcie się pojawiła w drzwiach, z pudełkiem pod pachą. Zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i wsiadła do samochodu.

- Czemu trwało to tak długo? - zapytałem.
- Wzięłam advil. Głowa mi pęka.

W holu przywitaliśmy się z producentką z końskim ogonem, która poprowadziła nas w głąb budynku do sali studyjnej talk-show, z wielką kanapą, kilkoma fotelami i sztucznymi roślinami w donicach, ustawionymi wzdłuż ażurowej ścianki działowej.

Była tam już Paula Malloy, która serdecznie powitała Cynthię jak starą przyjaciółkę, cedząc słowa uznania z wdziękiem ropy wyciekającej ze starej rany. Cynthia odebrała to z rezerwą. Pauli towarzyszyła czarnoskóra kobieta, na oko pod pięćdziesiątkę, ubrana w nienagannie skrojoną granatową garsonkę. Przemknęło mi przez myśl, że to kolejna producentką, może nawet kierowniczką lokalnej stacji.

- Pozwól, że ci przedstawię Keishę Ceylon - zaczęła Paula.
- Chyba spodziewałem się bardziej kogoś o wyglądzie klasycznej Cyganki, może nawet w stylu „dzieci kwiatów”, w każdym razie kobiety w pstrokatej kwiatowej sukni do ziemi. Na pewno nie mieściła się w moim stereotypie babka przypominająca przewodniczącą rady nadzorczej jakiegoś przedsiębiorstwa.
- Bardzo mi miło - odparła, ściskając nam dłonie. Widocznie dostrzegła powątpiewanie w moim spojrzeniu, gdyż dodała: - Chyba spodziewał się pan kogoś innego.
  - Chyba tak - odparłem nieśmiało.
  - A to zapewne Grace - rzuciła radośnie, schylając się, żeby uścisnąć dłoń naszej córki.
  - Cześć - odparła śmiało Grace.
  - Gdzie moglibyśmy odprowadzić małą? - zapytałem.
  - Nie wolno mi tu zostać? - zapytała Grace, spoglądając na Keishę. - Czy pani też miała okazję widzieć swoich rodziców w telewizji?

- Może przejdziemy do... jak to się nazywa? Zielonego Pokoju? - zaproponowałem.

- Zielonego? - zdziwiła się Grace, kiedy już pociągnęła ją w bok jakaś asystentka asystentki.

Gdy Cynthia i Keisha wróciły z charakteryzatorki, usiadły na kanapie po obu stronach zakurzonego pudełka po butach. Paula zajęła miejsce na krześle naprzeciwko nich; kilka kamer zostało pospiesznie rozstawionych wokół prowizorycznego miejsca dyskusji. Wycofałem się w głąb półmroku wypełniającego studio, by pozostać na uboczu, a jednocześnie blisko centrum wydarzeń.

Paula zrobiła krótkie wprowadzenie i przypomniała zasadnicze punkty reportażu sprzed kilku tygodni.

Później mieli wmontować w to jakieś przebitki w tamtego materiału. Następnie powiadomiła widzów o nieoczekiwanym zwrocie w zagadkowej sprawie. I na scenie pojawiła się jasnovidzka, która utrzymywała, że może rzucić nowe światło na zagadkę zniknięcia rodziny Bigge w roku 1983.

- Widziałam wasz program - oznajmiła Keisha Ceylon łagodnym, miękkim głosem. - I oczywiście bardzo mnie zainteresował. Ale później właściwie nie myślałam o tej sprawie. Aż do chwili, gdy kilka tygodni temu usiłowałam pomóc pewnemu klientowi nawiązać kontakt ze zmarłym krewnym i nie mogłam tego zrobić; jakbym napotkała jakieś poważne zakłócenia, które zdarzały się podczas rozmowy telefonicznej na dawnej wspólnej linii, kiedy ktoś inny nieoczekiwanie podnosił słuchawkę, próbując się połączyć ze swoim

rozmówcą.

- Niesamowite - jęknęła Paula.

Cynthia patrzyła na nie z niezmaczoną powagą.

- I wtedy usłyszałam ten głos: „Proszę, przekaż wiadomość mojej córce”.

- Naprawdę? I wyjaśnił, kim jest ta córka?

- Powiedział, że ma na imię Patricia.

Cynthia zamrugnęła szybko.

- I co było dalej?

- Owa kobieta zaznaczyła, że chciałyby się skontaktować ze swoją córką Cynthia.

- W jakim celu?

- Tego nie jestem do końca pewna. Mam wrażenie, że chciała nawiązać kontakt, bym mogła dowiedzieć się czegoś więcej.

Właśnie dlatego poprosiłam o to spotkanie. - Uśmiechnęła się do mojej żony. - I poprosiłam też o jakieś pamiątki z tamtych lat, żebym mogła się im przyjrzeć, w ten sposób lepiej zrozumieć, co się wtedy stało. Paula pochyliła się w stronę Cynthii.

- Przyniosłaś te pamiątki, prawda?

- Tak. To jedno z pudełek, które pokazywałam już wcześniej. Są w nim zdjęcia, wycinki z gazet, różne drobiazgi. Mogę je po kolei przedstawić i opisać...

- Nie trzeba - odparła szybko Keisha. - To zbędne. Wystarczy, że podasz mi całe pudełko...

Cynthia przesunęła je po stoliku, a jasnowidzka wzięła je na kolana, ułożyła dłonie na jego krawędziach i zamknęła oczy.

- Czuję tak wiele energii płynącej ze środka... - powiedziała.

Niech mnie szlag, pomyślałem.

- Czuję też... smutek. Bardzo dużo smutku...

- I co jeszcze? - zagadnęła Paula.

Keisha zmarszczyła brwi.

- Wyczuwam... że niedługo nadejdzie jakiś sygnał...

- Sygnał? - odezwała się Cynthia. - Jaki sygnał?

- Sygnał... który pomoże znaleźć odpowiedzi na dręczące cię pytania. Nie jestem pewna, czy mogę zdradzić coś więcej.

- Dlaczego? - zdziwiła się moja żona.

- Właśnie, dlaczego? - podchwyciła Paula.

Keisha otworzyła oczy.

- Czy... mogę prosić, żebyście na chwilę wyłączyli kamery?

- Słucham? - syknęła reporterka. - Chłopcy? Możecie na chwilę przerwać nagrywanie?

- Jasne - rzucił któryś z kamerzystów.

- O co chodzi, Keisha? - zaniepokoiła się Paula.

- Co to ma znaczyć? - rzuciła podenerwowana Cynthia. - Czyżby było coś, czego nie chce pani powiedzieć przed kamerami? Coś na temat mojej matki? Coś, co ona chciałyby mi przekazać za pani pośrednictwem?

- Mniej więcej - odparła Keisha. - Ale zanim zrobimy choćby jeden krok dalej, chciałam wyjaśnić kwestię mojego wynagrodzenia za udział w tym nagraniu.

No i wszystko stało się jasne.

- Och, Keisha - odparła Paula. - Myślałam, że zostałaś zapoznana z warunkami zwrotu kosztów i ewentualnego opłacenia noclegu w hotelu, jeśli okaże się niezbędny, bo skądinąd wiem, że przyjechałaś z Hartfordu i nie podpisywaliście wcześniej żadnej umowy co do świadczenia specjalistycznych usług...

- Ja zrozumiałam te warunki inaczej - odparła jasnowidzka z wyraźną urazą w głosie. - Mam do przekazania tej pani kilka bardzo ważnych informacji, więc jeśli chcecie się z nimi zapoznać, powinnam uzyskać odpowiednią rekompensatę pieniężną.

- Może jednak powiesz teraz, co masz do powiedzenia, a pertraktacje odłożymy na później? - zasugerowała Paula.

Wyszedłem zza kamery, żeby przyciągnąć uwagę Cynthii.

- Kochanie - powiedziałem cicho, po czym zrobiłem ruch głową chyba w każdym zakątku świata oznaczający to samo.

Przytaknęła z rezygnacją, odpięła mikrofon od bluzki i wstała.

- A ty dokąd się wybierasz? - syknęła Paula.
- Wychodzimy stąd - odparłem za żonę.
- Jak to wychodzicie? - rzuciła rozwścieczona Keisha. - Co to ma znaczyć, paniusiu? Jeśli producenci tego programu nie chcą zapłacić za wysłuchanie tego, co mam do powiedzenia, to może...
- Nie dam się już więcej robić w konia - przerwała jej Cynthia.
- Tysiąc dolarów - wycedziła jasnowiedzka. - Powiem, co twoja mama chciałaby ci przekazać, za jedyne tysiąc dolarów.

Ale Cynthia bez słowa obeszła wielką kanapę. Wyciągnąłem do niej rękę.

- Niech będzie siedemset! - wypaliła Keisha, gdy oboje ruszyliśmy w stronę wyjścia z Zielonego Pokoju.
- Spisałaś się cudownie - oznajmiła jej Paula. - Miałaś szansę pokazać się w telewizji, czyli załatwić sobie najlepszą bezpłatną reklamę świata, ale dla ciebie ważniejsze okazało się kilka setek.

Keisha obejrzała się i spiorunowała ją wzrokiem, który zatrzymała na włosach reporterki.

- Jakoś kiepsko cię ufarbowali, małpo.
- Miałaś rację - powiedziała Cynthia w drodze powrotnej do domu.

Pokręciłem głową.

- Spisałaś się bardzo dzielnie, wychodząc demonstracyjnie ze studia. Żałuj, że nie widziałaś miny tej samozwańczej jasnowiedzki, gdy odpięłaś mikrofon i wstałaś z miejsca. Odprowadziła cię takim wzrokiem, jakby właśnie ożył i dał nogę z jej patelni najwspanialszy stek świata.

Światła wozu nadjeżdżającego z przeciwka wyłowiły z półmroku słaby uśmiech na wargach mojej żony.

Po tym, jak jednogłośnie odmówiliśmy Grace wyjaśnień na lawinę pytań, jakimi nas zasypała, mała wyciągnęła się na tylnym siedzeniu i zasnęła.

- Szkoda straconego wieczoru - rzekła Cynthia.
- Nieprawda. To ty miałaś rację i teraz żałuję, że usłyszałaś ode mnie kilka cierpkich słów. Nawet jeśli szansa wynosi jeden do miliona, trzeba ją sprawdzić. A więc sprawdziliśmy. Teraz możemy ją spokojnie skreślić i powrócić do naszej codzienności.

Skręciłem na podjazd i zatrzymałem wóz. Otworzyłem tylne drzwi, wypłatałem Grace z pasa bezpieczeństwa i ruszyłem z nią do domu. Cynthia pierwsza weszła do środka. Przeszła przez salonik i zapaliła światło w kuchni, ja zaś skierowałem się prosto na górę, żeby położyć małą do łóżka.

- Terry! - powstrzymał mnie głos żony.

W normalnych okolicznościach odpowiedziałbym, że wrócę do niej za chwilę, ale wychwyciłem w głosie Cynthii coś, co kazało mi natychmiast zawrócić.

Toteż zawróciłem.

Pośrodku kuchennego stołu leżał czarny męski kapelusz - stara, powygniatana i miejscami błyszcząca od brudu fedora.

Przysunęła się jeszcze trochę, żeby być jak najbliżej niego, i szepnęła:

- Na miłość boską, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Przebyłam taki kawał drogi, a ty nawet nie otworzysz oczu? Myślisz, że łatwo było się tu dostać? Przez ciebie wiele musiałam przejść. Ale się postarałam. Mógłbyś więc przynajmniej nie zasypiać jeszcze przez parę minut. Będziesz miał cały dzień na to, żeby się wyspać. Bo przyjechałam tu na krótko. Pozwól więc, że coś ci powiem. Nie uda ci się nas zostawić. Będziesz musiał zostać z nami jeszcze przez jakiś czas, to nie podlega dyskusji.

Kiedy nadejdzie pora, że będziesz mógł odejść, na pewno dowiesz się o tym w pierwszej kolejności.

Poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć.

- O co chodzi? - zapytała, a gdy zrozumiała pytanie, odparła: - Ach, o niego... Dzisiaj nie mógł przyjść.
- Ostrożnie ułożyłem Grace na kanapie w saloniku, podsunąwszy jej jasek pod główkę, po czym wróciłem do kuchni.

Cynthia patrzyła na kapelusz takim wzrokiem, jakby był to odrażający zdechły szczur. Trzymała się tak daleko od stołu, jak tylko było to możliwe, przyklejona plecami do ściany, z oczyma wypełnionymi przerażeniem.

Mnie przeraził nie tyle sam kapelusz, ile tajemniczy sposób, w jaki znalazł się w naszym domu.

- Popilnuj Grace przez minutę - poprosiłem.
- Tylko uważaj - szepnęła.

Pobiegłem na górę. Zapalałem kolejno światła w pokojach i zaglądałem do środka. Kiedy sprawdziłem łazienkę na końcu korytarza, postanowiłem skontrolować sypialnię jeszcze raz, zaglądnąwszy do szaf i pod łóżka. Ale wszystko było w należytym porządku.

Zbiegłem więc na dół i otworzyłem drzwi od niewykończonyj piwnicy. Na dole schodów energicznie pomachałem ręką przed sobą, aż wymacałem sznureczek, pociągnąłem go i zapaliłem pojedynczą gołą

żarówkę na środku sufitu.

- Znalazłeś coś? - zawołała z góry Cynthia.

Szybko omiotłem spojrzeniem pralkę i suszarkę, stół roboczy zawalony różnymi gratami, szereg puszek z resztkami farb w różnych kolorach i stojące pod ścianą zapasowe łóżko. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Wróciłem do kuchni.

- W domu nikogo nie ma - odparłem.

Cynthia wciąż wpatrywała się jak urzeczona w czarną fedorę.

- Ale on musiał tu być - powiedziała.

- Kto?

- Mój ojciec. Na pewno tu był.

- Cynthia, na pewno był tu ktoś, kto zostawił ten kapelusz na stole. Niekoniecznie twój ojciec?

- To jego kapelusz - oznajmiła lodowatym tonem, o wiele spokojniej, niż można by się spodziewać.

Podszedłem do stołu i wyciągnąłem rękę po fedorę, ale zawołała: - Nie dotykaj!

- Przecież mnie nie ugryzie. - Podniosłem ją jednak ostrożnie w dwóch palcach, dopiero później chwyciłem oburącz, odwróciłem i zajrzałem do środka.

Nie ulegało wątpliwości, że był to bardzo stary kapelusz.

Krawędź ronda wytarta, jedwabna wyściółka poczerniała od wchłanianego przez lata potu, a załamanie na czubku aż się błyszczało od wrośniętego brudu.

- To zwykły kapelusz - powiedziałem.

- Zajrzyj pod wyściółkę. Mój ojciec tracił wiele kapeluszy, gdyż w różnych barach i restauracjach przez pomyłkę zabierali je inni mężczyźni, a i on sam niekiedy wracał z nie swoim, dlatego po wewnętrznej stronie wyściółki wypisywał dużą literę C od swojego imienia, Clayton.

Podważyłem paznokciem krawędź wyściółki i odchyliłem ją.

Litera była po prawej stronie, bliżej tyłu. Obróciłem kapelusz tak, żeby i Cynthia ją zobaczyła.

Aż syknęła przez zęby.

- Och, mój Boże...

Z ociąganiem zbliżyła się do mnie i podniosła rękę. Wyciągnąłem fedorę w jej stronę. Ujęła ją tak ostrożnie, jakby to był bezcenny zabytek z grobowca Tutenchamona. Przez chwilę trzymała ją przed sobą, wreszcie powoli obróciła i przybliżyła do oczu.

Miałem wrażenie, że lada moment odrzuci kapelusz ze wstrętem, ona jednak przysunęła go jeszcze bardziej do twarzy i powąchała.

- To jego kapelusz - powtórzyła.

Nie zamierzałem się sprzeczać. Dobrze wiedziałem, że węch potrafi odgrywać kluczową rolę w ożywianiu starych i zatartych wspomnień. Świetnie pamiętałem, jak, będąc już dorosłym człowiekiem, wróciłem do swojego rodzinnego domu, z którego rodzice wyprowadzili się, gdy miałem cztery lata, i zapytałem mieszkających tam obecnie ludzi, czy nie mógłbym się trochę rozejrzeć. Okazali się bardzo uprzejmi. Wiele rzeczy pobudziło wówczas mętne wspomnienia, jak chociażby skrzypienie czwartego od dołu stopnia schodów czy widok tylnego podwórka z kuchennego okna, ale dopiero gdy pochyliłem się nad framugą i poczułem mieszaninę zapachów cedrowego drewna, kurzu i wilgoci, odniosłem wrażenie, że przeniosłem się w czasie, jak gdyby pękła psychiczna tama i zalała mnie fala silnych wrażeń z dzieciństwa.

Mogłem więc sobie wyobrazić, co czuje Cynthia, trzymając ten stary kapelusz przy twarzy. Nie wątpiłem, że rozpoznaje zapach potu ojca.

Ona też nie miała wątpliwości.

- On tu był - powiedziała. - Był tutaj. W naszej kuchni.

W naszym domu. Po co, Terry? Po co miałby się tu włamywać?

Dlaczego miałby mi to robić? Czemu postanowił zostawić na stole ten swój cholerny kapelusz, ale nie zaczekał na nasz powrót?

- Kochanie... - zacząłem, siłąc się na spokój. - Nawet jeśli to rzeczywiście kapelusz twojego ojca, bo skoro tak mówisz, muszę ci wierzyć, to przecież fakt, że znalazł się na naszym kuchennym stole wcale nie oznacza, że zostawił go tu twój ojciec.

- Nigdzie się bez niego nie ruszał. Nosił go zawsze. Miał go też na głowie tamtego wieczoru, kiedy widziałam go po raz ostatni. Jeśli tu był, to nie mógł go po prostu zapomnieć. Chyba rozumiesz, co to znaczy?

Czekałem cierpliwie.

- To niezbity dowód, że on żyje.

- Może tak być, przynaję. To niewykłuczone. Ale w grę wchodzi również inne wyjaśnienia.

Cynthia położyła kapelusz z powrotem na stole i odwróciła się do telefonu, ale zastygła z ręką na słuchawce, potem zdjęła ją z widełek, lecz zaraz ponownie odwiesiła.

- Chcę zawiadomić policję - rzekła. - Może znajdą jakieś odciski palców.

- Na kapeluszu? Wątpię. Zresztą i tak jesteś już pewna, że to kapelusz twojego ojca. Cóż miałoby więc się zmienić, nawet gdyby policji udało się zdjąć z tej fedory jego odciski palców?

- Nie chodzi mi o kapelusz, tylko o klamkę - odparła, wskazując frontowe drzwi. - Albo stół. Cokolwiek.

Gdyby udało się znaleźć tu jego odciski palców, mielibyśmy niezbity dowód, że żyje.

Wcale nie byłem tego taki pewien, zgodziłem się jednak, że zawiadomienie policji nie jest złym pomysłem.

Niewątpliwie ktoś, choć niekoniecznie sam Clayton Bigge, włamał się do tego domu podczas naszej nieobecności. Tylko czy dało się to zakwalifikować jako włamanie, jeśli zamek nie został uszkodzony, a szyby wybite? W każdym razie ktoś tu musiał być.

Sam wybrałem numer 911.

- Ktoś... był w naszym domu - oznajmiłem, gdy zgłosiła się dyspozytorka. - Razem z żoną jesteśmy bardzo zaniepokojeni.

Mamy kilkuletnią córkę, co dodatkowo budzi nasze obawy.

Radiowóz zatrzymał się na ulicy jakieś dziesięć minut później. Wysiadła z niego para umundurowanych gliniarzy, mężczyzna i kobieta. Obejrzelik dokładnie drzwi i okna naszego domu, wypatrując śladów włamania, ale niczego takiego nie zauważyli. Oczywiście w trakcie tych oględzin obudziła się Grace, która kategorycznie odmówiła powrotu do łóżka.

Wreszcie zdołaliśmy ją namówić, żeby przynajmniej umyła zęby i przebrała się w piżamę, ale po chwili i tak dostrzegliśmy ją na szczycie schodów, zerkającą między tralkami balustrady niczym nastolatek złąkniony pieprznych wrażeń.

- Czy cokolwiek zginęło? - zapytała policjantka. Jej partner, który stanął tuż obok, zsunął kapelusz na bok głowy i drapał się po łysinie.

- Och nie, przynajmniej niczego takiego na razie nie stwierdziliśmy - odparłem. - Nie sprawdzałem dokładnie, ale nic nie wskazuje, by cokolwiek ukradziono.

- Odnotali państwo jakieś zniszczenia? Natknęli się na ślady wandalizmu?

- Nie. Nic z tych rzeczy.

- Powinniście chyba sprawdzić odciski palców - wtrąciła Cynthia.

- Słucham? - zdziwił się dowódca patrolu.

- Odciski palców. Czyżbyście ich nie zdejmowali, gdy zachodzi podejrzenie włamania?

- Obawiam się, proszę pani, że nic nie wskazuje na to, by doszło do włamania. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Ale ktoś musiał to tu zostawić. A to znaczy, że ktoś się włamał do naszego domu. Przecież zamknęliśmy drzwi na zasuwkę przed wyjazdem.

- To pani tak twierdzi - odparł policjant. - Naprawdę uważa pani, że ktoś się tu włamał, przy czym niczego nie ukradł i niczego nie zniszczył, a tylko zostawił ten kapelusz na kuchennym stole?

Cynthia przytaknęła ruchem głowy. Nie musiałem wysilać wyobraźni, by sobie uzmysłwić, jak tamci to odebrali.

- Obawiam się, że musielibyśmy dysponować solidniejszymi poszlakami, żeby ściągnąć tu kogoś do zebrania odcisków palców - dodała policjantka. - W końcu nie mamy żadnego dowodu, że doszło do jakiegokolwiek przestępstwa.

- Jak nic by nas wyśmiano na komendzie - dodał jej partner.

- Moim zdaniem, najbardziej prawdopodobne jest to, że ktoś z waszych znajomych postanowił się zabawić waszym kosztem.

No i wyszedł mu znakomity kawał, pomyślałem. Spójrzcie tylko, jak pokładamy się ze śmiechu.

- Nie ma śladów manipulowania przy zamku drzwi frontowych - ciągnął gliniarz. - Może był tu ktoś, komu sami daliście klucz od domu, i zostawił kapelusz, sądząc, że należy do was.

To najprostsze wytłumaczenie.

Odruchowo spojrzałem na mały haczyk przy drzwiach, gdzie zwykle trzymaliśmy zapasowy klucz. Jego brak zauważyłem przedwczoraj.

- Czy możecie ustawić wóz patrolowy na tej ulicy? - zapytała Cynthia. - Żeby miał na oku nasz dom? Na wypadek, gdyby ten ktoś znów się tu pojawił? Chodzi mi tylko o to, żeby go powstrzymać i sprawdzić, kto to jest, ale nie robić żadnej krzywdy. Nie chciałabym, żebyście karali sprawcę tego włamania.

- Cyn - mruknąłem ostrzegawczo.

- Obawiam się, proszę pani, że brak do tego wystarczających przesłanek. Poza tym nie dysponujemy tyłoma patrolami, żeby ustawić jeden przed waszym domem, nie mając ku temu ważnych powodów. Jeśli pojawią się nowe problemy, proszę nas zawiadomić, a natychmiast zareagujemy.

Przeprosili i wyszli. Byłem niemal pewien, że jak tylko wsiądą do radiowozu, zdrowo się uśmieją naszym kosztem. Oczywiście wyobraźni widziałem już wywieszoną na tablicy informacyjnej w komendzie kopię raportu dotyczącego zgłoszenia o dziwnym kapeluszu. Czemu nie? Niech wszyscy się pośmieją.

Po wyjściu policji usiedliśmy przy kuchennym stole, po obu stronach leżącego na środku kapelusza, i w milczeniu zapatrzyliśmy się na niego.

Chwilę później w drzwiach stanęła Grace, która musiała chyba na palcach zejść po schodach. Wskazała kapelusza, uśmiechnęła się szeroko i zapytała:

- Mogę przymierzyć?

Cynthia gwałtownie chwyciła fedorę.

- Nie.

- Wracaj do łóżka, skarbie - zwróciłem się do małej.

Grace podreptała z powrotem do siebie. Cynthia nie wypuszczała kapelusza z ręki do chwili, aż musiała się położyć do łóżka.

Tej nocy, gdy znów długo gapilem się w sufit, uświadomiłem sobie, że Cynthia przypomniała sobie w ostatnim momencie o pudełku z pamiątkami z dzieciństwa, które miała zabrać do studia na nieszczęsne spotkanie z jasnowiedzką. Wróciła wtedy biegiem do domu niby po to pudełko, kiedy ja i Grace siedzieliśmy już w samochodzie.

Zaproponowałem jej wówczas, że ja po nie pójde, ale stanowczo zaprotestowała.

Dość długo jej nie było, wzięwszy pod uwagę, że cofnęła się tylko po to pudełko. A kiedy wskoczyła już do auta, wyjaśniła, że na wszelki wypadek wzięła tabletkę advilu.

Niczego nie można wykluczyć, uznałem w myślach, spoglądając na leżącą obok i pogrążoną w błogim śnie żonę.

Absolutnie niczego.

Miałem wolną godzinę, toteż zajrzałem do gabinetu Rolly'ego Carruthersa.

- Wychodzę na przerwę. Masz chwilę czasu?

Popatrzy! znacząco na stertę papierów na swoim biurku. Dostrzegłem wśród nich formularze raportów dla rady nadzorczej szkoły, arkusze ocen nauczycieli i tabele kosztorysów przyszłorocznego planu.

- Jeśli wystarczy ci tylko chwila, to będę musiał odmówić, lecz gdybyś chciał mnie zająć przez całą godzinę, z chęcią zgodziłbym się udzielić ci pomocy.

- Godzinna rozmowa zapowiada się nieźle.

- Zaplanowałeś już lunch?

- Nie.

- W takim razie jedźmy do Stonebridge. Ale ty prowadzisz.

Nie wiem, czy nie zdecyduję się dać sobie w gaz.

Wcisnął się w sportową marynarkę, po czym oznajmił sekretarce, że wychodzi na godzinę, lecz będzie stale pod numerem telefonu komórkowego, z którego wolno jej skorzystać tylko w wypadku pożaru szkoły.

- Przynajmniej wiedziałbym wtedy, że nie muszę się spieszyć z powrotem - zakończył.

Sekretarka uparła się jednak, że powinien wcześniej porozmawiać z jednym ze swoich zastępców, przy czym dała mi znać, że potrwa to kilka minut, toteż wyszedłem na korytarz i po raz kolejny omal nie wpadłem na Jane Scavullo, która pokonywała dystans szybkim truchtem, bez wątplenia zmierzając na zaplanowane spotkanie z naszymi uczennicami, które miały jeszcze sporo do nadrobienia w zakresie sprawności fizycznej.

Podręczniki, które trzymała pod pachą, rozsypały się po podłodze.

- Jasna cholera! - syknęła.

- Przepraszam - bąknąłem, po czym przykucnąłem i zacząłem je zbierać.

- Nic się nie stało - odparła, niemal rzucając się do swoich książek, jakby się bała, że chcę je zabrać. Nie była jednak dość szybka. Zdążyłem złapać powieść Joyce Carol Oates Foxfire, którą sam jej poleciłem. Wyrwała mi ją z rąk i wetknęła pod pachę razem z pozostałymi książkami.

- I jak ci się podobała? - zapytałem, próbując pozbawić swój głos brzmienia „a nie mówiłem?”.

- Jest bardzo dobra - odparła. - Te dziewczęta naprawdę nieźle się wpakowały. Dlaczego poleciłeś mi taką właśnie lekturę? Sądzisz, że mogłabym się utożsamiać z tymi złymi dziewczętami opisanymi w powieści?



- Te dziewczęta wcale nie są takie złe. Zresztą pod żadnym względem nie porównuję cię z nimi. Po prostu uznałem, że będzie ci się podobał ten rodzaj prozy.

Strzeliła z balonowej gumy do żucia.

- Mogę cię jeszcze o coś spytać?

- Jasne.

- Co cię to obchodzi?

- Nie rozumiem.

- Co cię obchodzi, co czytam, co piszę i tak dalej?

- Czyżbyś podejrzewała, że zostałem nauczycielem po to, aby się wzbogacić?

Popatrzyła na mnie z taką miną, jakby chciała się uśmiechnąć ironicznie, ale tylko bąknęła:

- Muszę już iść.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Tłum gości spragnionych lunchu nieco już się przerzedził, zanim z Rollym dotarliśmy do Stonebridge. On zamówił krewetki w sosie kokosowym i piwo, ja zdecydowałem się na „Nowoangielską zupę z owoców morza” z podwójną porcją krakersów i kawę.

Rolly zaczął mówić o perspektywach wystawienia swojego domu na sprzedaż i o zamiarach spłacenia większej części kredytu zaciągniętego na kupno przyczepy mieszkalnej zaparkowanej w Bradenton. Liczył na to, że zostanie mu wystarczająco dużo pieniędzy, by założyć w banku długoterminową lokatę, a z zysków od niej kupować najciekawsze wycieczki. Ponadto chciał kupić sobie łódź motorową, która pozwoliłaby mu łowić ryby w rozlewiskach rzeki Manatee. Miałem wrażenie, że jest myślami bardziej na tym łowieniu ryb niż wśród obowiązków dyrektora szkoły. Jak gdyby już rozmawiał ze mną przez telefon z bardzo odległego miejsca.

- A ja mam mnóstwo rzeczy na głowie - wtrąciłem.

Pociągnął łyk piwa marki Samuel Adams.

- Chodzi o Lauren Wells?

- Skądże znowu - zaprotestowałem, naprawdę zdumiony. - Skąd ci przyszło do głowy, że chcę z tobą rozmawiać o Wells?

Wzruszył ramionami.

- Zauważyłem, że rozmawiałaś z nią w korytarzu.

- Ona ma nieźle poprzesławiane we łbie.

Uśmiechnął się krzywo.

- Ale za to jak wszystko zapakowane...

- Mało mnie to obchodzi. Mam wrażenie, że teraz uznała nas za godnych zainteresowania. Prawie się do mnie nie odzywała do czasu emisji tego reportażu telewizyjnego.

- Ja też mógłbym dostać autograf? - zapytał ironicznie Rolly.

- Ugrzyź się - burknąłem. Odczekałem chwilę, by dać mu odczuć, że zmieniam biegi, po czym rzekłem: - Cynthia zawsze traktowała cię jak swojego wujka, prawda? Wiem, że miałeś na nią specjalne baczenie po tym, co się stało. Dlatego uważam, że mogę śmiało rozmawiać z tobą na jej temat, gdy tylko pojawia się jakiś problem.

- Owszem, możesz.

- Otóż nachodzą mnie obawy, że moja zona zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością.

Rolly odstawił szklanicę z piwem, oblizał wargi i zapytał:

- Czy się nie mylę, że oboje chodzicie już regularnie na rozmowy z psychoterapeutką, niejaką... Krinkle czy jak jej tam?

- Kinzler. Zgadza się. Spotykamy się z nią co dwa tygodnie.

- Mówiłeś jej już o swoich obawach?

- Nie. Sprawa nie jest taka prosta. Owszem, zdarza się, że rozmawiamy z nią osobno i wtedy mógłbym podjąć ten temat, ale nie mam na poparcie tych obaw niczego konkretnego. Ich powodem jest mnóstwo drobiazgów, które się jednak sumują...

- Na przykład?

Opowiedziałem mu o obsesji na punkcie tajemniczego brązowego auta, o zagadkowym telefonie, w którym rozmówca miał jakoby powiedzieć, że rodzina wszystko jej wybacza, o przypadkowym wykasowaniu zapisu tej rozmowy w automatycznej sekretarce. Wspomniałem też o pościgu za facetem w centrum handlowym, którego uznała za swojego brata, i o starym kapeluszu znalezionym przez nas na stole w jadalni.

- Poważnie? - zdziwił się Rolly. - To był kapelusz Claytona?

- Tak - odparłem. - Wszystko na to wskazuje. Zrozum jednak, że Cynthia mogła go przez lata trzymać w kącie na strychu obok pudeł z pamiętkami. Niemniej, o jego pochodzeniu świadczy jednoznacznie parę faktów, a zwłaszcza inicjały właściciela wypisane po wewnętrznej stronie wyściółki.

Rolly zamyślił się na krótko.

- Jeśli to ona podrzuciła kapelusz w kuchni, równie dobrze mogła wypisać inicjały na wyściółce - rzekł. To mi jakoś wcześniej nie przyszło do głowy. W końcu to ona wskazała mi miejsce, gdzie powinny być wypisane inicjały, zamiast wyrwać mi kapelusz z rąk i samej to sprawdzić. Zaskoczenie malujące się na jej twarzy uznawałem za wystarczająco przekonujące.

Teraz jednak doszedłem do wniosku, że to, co podsunął Rolly, było całkiem prawdopodobne.

- Do tego wcale nie musiał to być kapelusz jej ojca. Mogła go kupić w dowolnym sklepie ze starzyzną, żeby ci wmawiać, że to właśnie ten kapelusz.

- Ale powąchała go - odparłem. - Dopiero później oznajmiła stanowczo, że to na pewno kapelusz ojca. Przekrzywił głowę i popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby miał do czynienia z którymś ze swoich opóźnionych uczniów z klasy specjalnej.

- Mogła również tobie dać go do powąchania, tyle że to niczego nie dowodzi.

- Masz rację, mogła to wszystko upozorować - odparłem. - Wolę się jednak nie zapuszczać w tego rodzaju spekulacje.

- Nie powiem, że mógłbym uznać Cynthię za osobę psychicznie nie zrównoważoną - ciągnął Rolly. - Na pewno nie byłbym pewien jej reakcji w warunkach skrajnego stresu, ale żeby traktować ją jak osobę żyjącą w świecie iluzji...

- Masz rację - powtórzyłem. - To nie ten typ człowieka.

- Więc jak mogłaby fabrykować dowody istnienia przestępstwa? I po co miałyby to robić? W jakim celu sfingowałyby tę rozmowę telefoniczną? Dlaczego w ogóle miałyby knuć tego rodzaju intrygę?

- Nie wiem - burknąłem, próbując się zdobyć na jakąkolwiek reakcję. - Żeby przyciągnąć uwagę? Tylko po co? W nadziei, że policja czy ktokolwiek inny wróci do niewyjaśnionej zagadki sprzed lat? Że uda jej się w końcu wyjaśnić, jaki los spotkał jej rodzinę?

- Do tego dokłada się jeszcze inne pytanie - wtrącił Rolly. - Czemu miałyby czekać aż tyle lat, żeby właśnie teraz podjąć takie działania?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

- Cholera, sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Na pewno bardzo bym chciał, żeby to się już skończyło. Nawet gdyby miało oznaczać, że jej rodzice i brat zginęli. Oczywiście wtedy, tamtej nocy, gdy zniknęli bez śladu.

- A więc marzy ci się zamknięcie sprawy - wtrącił Rolly.

- Nie cierpię tego określenia. Ale z grubsza właśnie o to mi chodzi.

- W takim razie musisz jeszcze rozważyć, czy jeśli to nie ona zostawiła kapelusz na stole w jadalni, ktoś faktycznie się włamał do waszego domu. I wcale nie musiałby to być ojciec Cynthii.

- Masz rację. Już podjąłem decyzję o założeniu dodatkowego zamka ze wzmocnieniem antywłamaniowym. - Na samą myśl o tym, że ktoś nieznajomy mógłby myszkować po naszym domu, przeglądając rzeczy i dotykać pamiętek, choćby tylko po to, żeby zrozumieć, jacy jesteśmy, ciarki przechodziły mi po plecach.

- Zawsze staramy się dokładnie zamykać drzwi, ilekroć wychodzimy z domu, dlatego jesteśmy prawie całkiem pewni, że i wtedy tak zrobiliśmy, ale to jeszcze nie załatwia wszystkiego.

Są jeszcze drzwi kuchenne, o których zamknięciu znacznie łatwiej zapomnieć, zwłaszcza gdy Grace wybiega na podwórko, a potem wraca bez wyraźnego polecenia. - Mimowolnie przypomniałem sobie o brakującym zapasowym kluczu. Nadal nie pamiętałem, kiedy po raz pierwszy zauważyłem jego brak. - Jestem jednak pewien, że wszystko dokładnie zamknęliśmy tamtego wieczoru, gdy wyjeżdżaliśmy do studia telewizyjnego na spotkanie z tą jasnowidzką.

- Jasnowidzką? - zdziwił się Rolly.

Musiałem go pokrótce wprowadzić w najświeższe wydarzenia.

- Jak już zamontujesz dodatkowy zamek w drzwiach - powiedział Rolly - przyjrzyj się jeszcze dobrze kratom w oknach piwnicy. Łobuziaki najczęściej tamtędy przedostają się do środka.

Przez kilka chwil milczeliśmy. W końcu uprzytomniłem sobie, że nawet nie zbliżyłem się do tego ważnego tematu, o którym chciałem porozmawiać z przyjacielem, toteż zacząłem:

- Problem polega na tym, że to jeszcze nie wszystko.

- A co jeszcze?

- Cyn ma tak kruchą psychikę, że jest sporo rzeczy, o których nie mam odwagi jej mówić. - Rolly uniósł

wysoko brwi, toteż dodałem szybko: - Na przykład o Tess.

Pociągnął spory łyk piwa, zanim spytał:

- A cóż takiego dzieje się z Tess?

- Przede wszystkim nie czuje się najlepiej. Powiedziała mi wprost, że jest umierająca.

- Jasna cholera... - syknął Rolly. - Co jej jest?

- Nie chciała powiedzieć dokładnie, ale według mnie to nowotwór albo coś w tym rodzaju. Wygląda nawet nieźle, choć sprawia wrażenie przemęczonej. Wyznała jednak, że nie ma szans na poprawę. W każdym razie taką diagnozę postawili lekarze.

- Cynthia tego nie przeżyje. Jest do niej bardzo przywiązana.

- Tak, wiem. Dlatego wolałbym, żeby Tess sama powiedziała jej o swojej chorobie. Ja chyba nie byłbym do tego zdolny.

Zresztą w ogóle nie chcę jej o tym mówić. A już niedługo stanie się raczej jasne, że z Tess dzieje się coś niedobrego.

- I to wszystko?

- Słucham?

- Zacząłeś od „przede wszystkim”, domyślam się więc, że jest coś jeszcze.

Zawahałem się. Nie byłem pewien, czy powinienem mówić Rolly'emu o tajemniczych kopertach z pieniędzmi, jakie dostawała Tess, bo przecież nawet nie powiedziałem o tym jeszcze Cynthii. Tyle że był to dla mnie jeden z powodów, dla których chciałem mu o tym powiedzieć. Miałem nadzieję, że zasugeruje mi sposób, w jaki powinienem przedstawić tę tajemnicę żonie.

- Przez wiele lat Tess dostawała pieniądze na wychowanie Cynthii.

Rolly odstawił szklankę z piwem i ułożył płasko dłonie na stole.

- Co rozumiesz przez to, że Tess dostawała pieniądze?

- Ktoś jej podrzucał gotówkę, używane banknoty, w białych kopertach. Znajdowała je kilka razy, a na początku była do nich dołączona notatka, że są to pieniądze przeznaczone na wykształcenie Cynthii.

Różne były sumy w kopertach, ale łącznie zebrało się tego ponad czterdzieści tysięcy dolarów.

- A niech mnie... - syknął Rolly. - I przez tyle lat nie wspomniała o tym nawet jednym słowem?

- Nie.

- Nie powiedziała, od kogo były te pieniądze?

Wzruszyłem ramionami.

- Tu jest pies pogrzebany. Nie miała o tym pojęcia, zresztą nie ma go do dziś, zastanawia się jednak, czy z tych kopert, w których była podrzucana gotówka, mimo upływu lat nie dałoby się zdjąć odcisków palców albo pobrać próbek do oznaczenia DNA czy jeszcze czegoś innego. Znasz się na tym? W każdym razie Tess uważa, że te koperty z pieniędzmi musiały mieć coś wspólnego ze zniknięciem rodziny Cynthii. Bo przecież kto miałby podrzucać pieniądze, jeśli nie ktoś z rodziny albo osoba odpowiedzialna za to, co się stało z rodziną Cynthii?

- Chryste... - jęknął znowu Rolly. - To mnie przerasta.

A Cynthia o niczym nie wie?

- Nie, ale wkrótce się dowie.

- Jasne, jakże by inaczej... - Ponownie splótł palce wokół szklanki z piwem, po czym jednym haustem opróżnił ją i dał znać kelnerce, żeby przyniosła mu następną. - Tak podejrzewałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sam nie wiem. W każdym razie ci nie zazdroszczę. Załóżmy, że jej o tym powiesz. I co wtedy?

Zacząłem kręcić łyżką w swojej zupie z owoców morza. Jakoś nie miałem ochoty jej skończyć.

- Otóż to. Cała ta historia rodzi więcej pytań niż odpowiedzi.

- W dodatku to, że ktoś z rodziny Cynthii przeżył i wspomagał finansowo jej naukę, nie oznacza jeszcze, że żyje do dziś.

Kiedy przestały się pojawiać te pieniądze w kopertach?

- Mniej więcej wraz z odebraniem przez nią dyplomu po ukończeniu studiów.

- To znaczy?... Dwadzieścia lat temu?

- Niezupełnie, ale wystarczająco dawno.

Rolly w zadziwieniu pokręcił głową.

- Chłopie, i co miałbym ci poradzić w takiej sytuacji? To znaczy... Chyba wiem, jak ja bym postąpił na twoim miejscu, ale ty musisz zdecydować we własnym zakresie.

- Mów śmiało - odrzekłem. - Co ty byś zrobił?

Zacisnął wargi, pochylił się nisko nad stolikiem i odparł:

- Spróbowałbym to jakoś przetrzymać.

Chyba zaskoczyła mnie ta odpowiedź.

- Naprawdę?

- Przynajmniej przez jakiś czas. Bo to by tylko przysporzyło Cynthii rozterek. Zaczęłyby się zastanawiać, czy gdyby wtedy, jeszcze podczas studiów, dowiedziała się o podrzucanych pieniądzech, nie mogłaby podjąć jakichś działań, by odnaleźć zaginioną rodzinę, jeśliby wiedziała, na co zwracać uwagę i o co wypytywać? Czy nie byłaby w stanie poznać prawdy o tym, co się stało? Kto wie, czy teraz w ogóle jest to jeszcze możliwe.

Zastanawiałem się chwilę nad tym, co powiedział, i doszedłem do wniosku, że ma rację.

- To zresztą nie wszystko - dodał. - Właśnie teraz, gdy Tess potrzebuje wsparcia i troski ze strony Cynthii, ta informacja mogłaby wzbudzić w Cynthii żal do niej.

- O tym nie pomyślałem.

- Poczułaby się oszukana. Na pewno wbiłaby sobie do głowy, że ciotka nie miała prawa ukrywać przed nią wiadomości o pieniądzech przez tyle lat. Więcej, uznałaby, że miała święte prawo znać całą prawdę. Zresztą słusznie. I dziś nie można jej odmówić tego prawa.

Pokiwałem głową, ale zaraz coś mnie tknęło.

- Sam dowiedziałem się o pieniądzech dopiero niedawno.

Czy jeśli nie powiem jej prawdy, nie uzna tego za taką samą zdradę, o jaką posądziłaby pewnie Tess? Rolly przez chwilę patrzył mi w oczy, wreszcie uśmiechnął się krzywo.

- I właśnie z tego powodu bardzo się cieszę, przyjacielu, że to ty musisz podjąć taką decyzję, a nie ja.

\* \*

Kiedy wróciłem do domu, na podjeździe nie było auta Cynthii, za to przy krawężniku stał nieznan mi samochód, srebrzysta toyota sedan, jeden z tych, które nie rzucają się w oczy i o których natychmiast się zapomina.

Wszedłem do środka i od razu spostrzegłem, że w saloniku naprzeciwko mojej żony na kanapie zajmuje miejsce w fotelu niski i barczysty, prawie całkiem łysy gość o oliwkowej cerze.

Oboje niemalże poderwali się na mój widok.

- Witaj, kochanie - rzuciła Cynthia, siłąc się na uśmiech.

- Cześć, skarbie. - Odwróciłem się do mężczyzny i wyciągnąłem rękę na powitanie. Bez wahania uściśnął mi dłoń. - Witam - dodałem.

- Dzień dobry, panie Archer - rzekł basowym i miękkim tonem, jakby był amantem z dawnych hollywoodzkich romansideł.

- To pan Abagnall - przedstawiła go Cynthia. - Prywatny detektyw, którego zamierzam wynająć w celu odkrycia, co się stało z moją rodziną.

- Denton Abagnall - uzupełnił detektyw. - Pani Archer z grubsza przedstawiła mi już przebieg zdarzeń, ale chętnie usłyszałbym jeszcze od pana odpowiedzi na kilka pytań.

- Jasne. - Powstrzymałem go uniesioną dłonią i zwróciłem się do Cynthii: - Czy możemy zamienić parę słów na osobności?

Uśmiechnęła się przepaszająco do swojego gościa.

- Zechce nam pan wybaczyć.

Skinął głową.

Pociągnąłem Cynthię do drzwi i wyprowadziłem na ganek.

Nasz dom był stosunkowo mały, obawiałem się więc, że Abagnall usłyszy każde słowo, jeśli podejmiemy dyskusję w kuchni, a może ona stać się dosyć burzliwa.

- Co ty wyrabiasz, do jasnej cholery?! - syknąłem.

- Postanowiłam nie czekać dłużej, aż coś się wydarzy, siedzieć spokojnie na tyłku i łamać głowę, co to może być. Dlatego biorę sprawy w swoje ręce.

- I czego się po nim spodziewasz? To przecież bardzo stara sprawa. Minęło właśnie dwadzieścia pięć lat.

- Dzięki, że mi przypomniałeś - burknęła. - O mało nie zapomniałam.

Skrzywiłem się boleśnie.

- Ale pewne rzeczy nie zdarzyły się przed dwudziestoma Pięcioma laty, tylko w ubiegłym tygodniu - ciągnęła. - Mam na

myśli choćby ten ranny telefon, kiedy poszedłeś z Grace do szkoły. Przecież nie był to telefon sprzed dwudziestu pięciu lat.

- Skarbie, nawet jeśli uznam, że zaangażowanie prywatnego detektywa wcale nie jest takim złym pomysłem, i tak nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak on miałby wyjaśnić tę tajemnicę.

A przede wszystkim, ile to nas będzie kosztowało?

Rzuciła mi wysokość jego dziennej stawki.

- Trzeba do tego doliczyć wszystkie dodatkowe wydatki, jakie będzie musiał ponieść.

- Rozumiem. A na jak długo zamierzasz go wynająć? Na tydzień? Miesiąc? Półtora? Mam wrażenie, że takiej sprawie mógłby poświęcić nawet rok, a i tak nie odkryć niczego nowego.

- Możemy poświęcić na to jedną ratę kredytu hipotecznego.

Chyba pamiętasz treść tego pisma, jakie dostaliśmy z naszego banku przed Gwiazdką? Zaproponowali, że możemy nie płacić styczniowej raty, żeby pokryć świąteczne wydatki z ich karty kredytowej Visa.

Podjęli się przenieść zaległą opłatę na koniec harmonogramu spłaty zadłużenia hipotecznego. W takim razie mogą to chyba uznać za swój prezent gwiazdkowy. Nie będziesz musiał mi nic kupować w tym roku. Spojrzałem na czubki swoich butów, kręcąc z niedowierzaniem głową. Naprawdę nie miałem pojęcia, jak zareagować.

- Co się z tobą dzieje, Terry? - zapytała Cynthia. - Jednym z powodów, dla których za ciebie wysłałem, było przekonanie, że nie opuścisz mnie w żadnej sytuacji, będziesz mnie wspierał, znając dokładnie moją popieprzoną przeszłość, że zostaniesz moim sekundantem. I przez lata doskonale wywiązywałeś się z tego zadania. Ale ostatnio... sama nie wiem dlaczego, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie jesteś już tym samym człowiekiem. Nie wiem, może zmęczyłeś się odgrywaniem swojej roli, a może utraciłeś przekonanie, że powinieneś mi ufać w każdej sytuacji...

- Cynthia, tylko nie...

- ...może właśnie dlatego postanowiłam zaangażować specjalistę. Bo on nie będzie mnie osądzał, nie pozwoli sobie na to, by zaliczyć mnie do szurniętych histeryczek.

- Nigdy nie powiedziałem, że uważam cię...

- Nie musiałeś - powiedziała ostro Cynthia. - W twoich oczach można doskonale wszystko wyczytać.

Kiedy powiedziałam w barze, że moim zdaniem jest to mój brat, w jednej chwili uznałeś, że musiałam postradać zmysły.

- Jezu Chryste... - jęknąłem. - W porządku. Wynajmij sobie tego cholernego detektywa.

Nawet nie zauważyłem, kiedy podniosła rękę. Zresztą ona sama zapewne nie była tego świadoma. W każdym razie chyba odruchowo zdzieliła mnie po pysku. Wyglądało to na niekontrolowany przejaw złości, coś w rodzaju grzmotu z jasnego nieba, który nagle spadł między nas. Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy w przytłaczającej ciszy. Cynthia sprawiała takie wrażenie, jakby doznała szoku, gdyż nagle uniosła obie dłonie i zakryła nimi usta.

- Chyba powinienem być wdzięczny, że nie zdzieliłaś mnie z bekhendu - odezwałem się w końcu. - Bo inaczej leżałbym już jak długi.

- Terry... - bąknęła - ...sama nie wiem, dlaczego tak zareagowałam. Ja tylko... jak gdybym... na chwilę straciła kontakt ze zdrowym rozsądkiem.

Przyciągnąłem ją do siebie i szepnąłem na ucho:

- Wybacz, ale zawsze będę tym chłoptasiem przyczajonym w kącie sali, czekającym na jakikolwiek znak z twojej strony.

Zarzuciła mi ręce na szyję i wtuliła twarz w moją pierś. Mimo to nie mogłem się pozbyć wrażenia, że w każdej sekundzie wyrzucamy nasze pieniądze w błoto. Zaraz jednak doszedłem do wniosku, że nawet jeśli Denton Abagnall niczego nie wyjaśni, to może wynajęcie prywatnego detektywa przyniesie mojej żonie spokój ducha. Może pod tym względem miała rację, był to jedyny sposób zachowania kontroli nad wydarzeniami.

Przynajmniej do pewnego czasu. Dopóki było nas na to stać.

Dokonałem kilku szybkich obliczeń w pamięci i wyszło mi, że miesięczna rata kredytu hipotecznego powiększona o nasz fundusz z wypożyczalni kaset wideo spłacony na kilka miesięcy z góry powinna nam wystarczyć na opłacenie miesięcznych poczynań Abagnalla.

- W porządku, wynajmiemy go - powiedziałem.

Uściskała mnie trochę mocniej.

- Jeśli nie trafi w krótkim czasie na żaden ślad, zrezygnujemy z jego usług - powiedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Co o nim wiemy? - zapytałem. - Jest wiarygodny? Można mu zaufać?

Sięgnąłem do kieszeni po chusteczkę i podałem jej. Najpierw osuszyła kąciaki oczu, potem wydmuchała nos.

- Dzwoniłam do redakcji Deadline. Połączyli mnie z producentką. Jak tylko dotarło do niej, z kim rozmawia, natychmiast przyjęła postawę obronną, jakby się spodziewała, że zrobię jej awanturę za to

spotkanie z jasnowidzką, ale gdy spytałam, czy kiedykolwiek korzystali z usług prywatnych detektywów do wyjaśnienia prowadzonych spraw, od razu podała mi nazwisko tego faceta, bo choć nie korzystali z jego usług, mają o nim jak najlepszą opinię. Powiedziała, że on jest teraz absolutnie na fali.

- W takim razie chodźmy z nim porozmawiać.

Kiedy weszliśmy do środka, Abagnall siedział na kanapie i przeglądał pudełka po butach wypełnione pamiątkami z dzieciństwa Cynthii, ale na nasz widok podniósł się z miejsca. Od razu spostrzegłem, że zauważył czerwony ślad na moim policzku, ale bardzo się postarał, żeby nie dać tego po sobie poznać.

- Mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko temu - rzekł. - Przeglądałem właśnie rzeczy zgromadzone w tym pudełku. Chciałbym dokładniej się z nimi zapoznać, oczywiście pod warunkiem, że osiągnęli państwo kompromis w sprawie zaangażowania mnie do wyjaśnienia tej sprawy.

- Osiągnęliśmy kompromis - odparłem. - Chcemy, żeby zajął się pan wyjaśnieniem przyczyn zniknięcia najbliższej rodziny Cynthii.

- Nie chcę robić wam złudnych nadziei - oznajmił Abagnall.

Mówił powoli, cedząc słowa, a od czasu do czasu zapisywał coś w notesie. - To bardzo stara sprawa.

Zacznę od przeszerzenia policyjnych akt i spróbuję porozmawiać ze wszystkimi, którzy uczestniczyli w tamtym dochodzeniu, sądzę jednak, że nie powinniście oczekiwać żadnych nadzwyczajnych rezultatów. Cynthia smutno pokiwała głową.

- Tu też niewiele jest - dodał, wskazując wypełnione pamiątkami pudełka po butach. - Nic mnie nie uderzyło, nie znalazłem żadnego klucza, przynajmniej na razie. Ale chętnie wypożyczyłbym te pudełka na jakiś czas, jeśli się pani zgodzi.

- Oczywiście - odparła moja żona. - Może je pan zatrzymać, dopóki nie upomnę się o ich zwrot.

- Jasne.

- A co z kapeluszem? - zapytała. Fedora, która, jej zdaniem, należała do ojca, leżała na kanapie obok detektywa. Wcześniej obejrzał ją dokładnie.

- No cóż - mruknął. - Przede wszystkim radziłbym państwu zrewidować stanowisko co do zabezpieczeń domu. Warto byłoby zainstalować drugi zamek, założyć w drzwiach blokadę antywłamaniową.

- Już się tym zająłem - wtrąciłem. W ciągu dnia sprawdzałem w kilku zakładach ślusarskich, co można zrobić za niezbyt wygórowaną cenę.

- Niezależnie od tego, czy rzeczywiście jest to kapelusz pani ojca, ktoś musiał tu wejść, żeby go podrzucić. Poza tym mają państwo córkę. Ze względu na nią dobrze byłoby lepiej zabezpieczyć dom. A co do sprawdzenia, czy to naprawdę kapelusz pani ojca... - dodał jeszcze cichszym i bardziej basowym głosem. - Pewnie można by zlecić prywatnemu laboratorium analitycznemu pobranie z niego próbki DNA właściciela, choćby z jakiegoś włosa czy śladów potu na wyściółce. Ale to sporo kosztuje, a poza tym, pani Archer, do identyfikacji potrzebna byłaby próbka porównawcza. Gdyby analiza wykazała, że istnieją elementy wspólne między pani DNA a tym oznaczonym z próbki pobranej z kapelusza, byłaby to wyraźna wskazówka, że to faktycznie może być kapelusz pani ojca. Jednakże nadal byśmy nie wiedzieli, gdzie go szukać ani czy w ogóle żyje.

Sądząc po minie Cynthii, łatwo było odgadnąć, że zaczyna się czuć tym wszystkim przytłoczona.

- Może zostawmy na razie tę część dochodzenia - zaproponowałem.

Abagnall przytaknął ruchem głowy.

- Też bym tak radził, przynajmniej na tym etapie. - Zadzwoił jego telefon komórkowy. - Proszę mi wybaczyć na chwilę - rzucił, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Rozłożył aparat, odczytał z ekraniku dane rozmówcy i odebrał połączenie. - Tak, kochanie? - Krótco słuchał w milczeniu, kiwając głową. - Och, to wspaniale. Z krewetkami? - Uśmiechnął się. - Tylko nie za ostre, dobrze? W porządku. Niedługo wracam. - Złożył telefon i schował do kieszeni. - Moja żona - wyjaśnił. - Dzwoni codziennie mniej więcej o tej samej porze, żeby mi powiedzieć, co szykuje dzisiaj na obiad.

Wymieniliśmy z Cynthią spojrzenia.

- A dzisiaj będą wstażki z krewetkami w pikantnym sosie paprykowym - rzekł z uśmiechem. - Przynajmniej będę miał ważny powód, żeby jak najszybciej być w domu. Ale wróćmy do sprawy. Pani Archer, czy na pewno nie ma pani żadnego zdjęcia swojego ojca? W tych pamiątkach widziałem kilka zdjęć matki i jedno brata, ale brakuje zdjęcia Clayтона Bigge'a.

- Niestety, nie mam.

- W takim razie sprawdzę w wydziale ruchu drogowego - powiedział. - Nie wiem, jak długo trzymają akta w archiwum, lecz można mieć nadzieję, że znajdziemy zdjęcie z prawa jazdy.

Proszę mi jeszcze podać jakieś szczegóły, które umożliwiłyby dokładniejsze określenie tras jego

służbowych wyjazdów.

- Działał na odcinku stąd do Chicago - odparła Cynthia. - Zajmował się dostawami części i zbieraniem zamówień od różnych warsztatów mechanicznych. Coś w tym rodzaju.

- Nie wie pani, po jakiej dokładnie trasie jeździł?

Pokręciła głową.

- Byłam jeszcze dzieckiem, nie interesowałam się znaną jego pracą. Najważniejsze było dla mnie to, że bardzo często przebywał w terenie. Któregoś razu pokazał mi kilka zdjęć gmachu Wrigleya z Chicago. Chyba nawet jest jedna fotka z polaroida w którymś pudełku.

Abagnall pokiwał głową, zamknął notatnik i wsunął go do kieszeni marynarki, po czym wręczył nam po wizytówce. Zamknął pudełko po butach, wziął je pod pachę i wstał.

- Niedługo się z państwem skontaktuję i przekażę pierwsze wyniki. Czy mógłbym na razie prosić o honorarium za trzy dni pracy? Nie spodziewam się znaleźć odpowiedzi na pani pytanie w tak krótkim czasie, ale mam nadzieję, że zdobędę jaką taką orientację, by powiedzieć szczerze, czy dalsze dochodzenie ma jakikolwiek sens.

Cynthia wyjęła z torebki książeczkę czekową, wypisała czek i podała go Abagnallowi.

Grace, która przez cały czas przebywała na górze, teraz podeszła do schodów i zawołała:

- Mamo? Możesz tu przyjść na chwilę? Muszę ci coś pokazać.

- Ja odprowadzę pana Abagnalla do samochodu - rzekłem.

Kiedy detektyw otworzył drzwi auta i zamierzał już wsiąść, powiedziałem:

- Cynthia wspomniała, że zamierza pan porozmawiać z jej ciotką Tess.

- Zgadza się.

Nie chciałem, żeby jego wysiłki poszły na marne, uznałem więc, że powinienem go wtajemniczyć we wszystko, co wiem.

- Powiedziała mi ostatnio o czymś, co wciąż utrzymuje w tajemnicy przed moją żoną.

Abagnall się nie odezwał. Czekał, spoglądając na mnie. Powiedziałem mu o podrzucanej gotówce przeznaczonej na wykształcenie Cynthii.

- Aha - skwitował krótko.

- Uprowadzę Tess, żeby pana oczekiwała. I poproszę ją, by rozmawiała z panem zupełnie szczerze.

- Dziękuję - mruknął. Usiadł za kierownicą, zamknął drzwi, ale jeszcze opuścił szybkę. - Czy pan jej wierzy?

- Ciotce Tess? Oczywiście. Pokazała mi koperty i notatkę dołączoną do pierwszej przesyłki.

- Pytałem o pańską żonę. Czy pan wierzy swojej żonie?

Odchrząknąłem i odparłem dopiero po chwili:

- Ma się rozumieć.

Abagnall sięgnął przez ramię po pas bezpieczeństwa, zapiął go i dodał:

- Któregoś razu przyjąłem zlecenie kobiety, która chciała kogoś odnaleźć. Umówiłem się z nią na spotkanie. Nigdy by pan nie zgadł, kogo chciała odszukać przy mojej pomocy. - Urwał na chwilę. - Elvise. Chciała mi zlecić odnalezienie Elvise Presleya. Było to w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym albo dziewięćdziesiątym pierwszym, Elvis nie żył już od dobrych trzynastu lat. Kobieta mieszkała samotnie w wielkim domu, miała kupę forsy, tylko na starość coś jej się w głowie poprzestawiało. Nigdy w życiu nie widziała Presleya żywego, nie była z nim spokrewniona, ubzdurała sobie jednak, że Król wciąż żyje i tylko czeka, aż właśnie ona go odnajdzie i ocali.

Mógłbym pracować dla niej przez rok, udając, że wciąż tropię jej obiekt. Z honorariów od tej biedaczki mógłbym zgromadzić całkiem niezły fundusz emerytalny. Ale nie potrafiłem na to pójść. Wściekła się na mnie, tłumacząc, że za wszelką cenę musi go odszukać, odparłem więc, że już wcześniej wykonywałem podobne zlecenie dla innego klienta i odnalazłem Elvise żyjącego skromnie z dala od ludzi. Nie chce się ujawniać, ale powiedział mi, że jeśli kiedykolwiek się z nią spotkam, mam jej przekazać, że jest jej bardzo wdzięczny za troskę i zainteresowanie.

- Bez żartów. Kupiła to?

- No cóż, tak mi się wtedy wydawało. Dowiedziałem się później, że jednak zaangażowała innego detektywa, który pewnie do dzisiaj pracuje nad jej zleceniem. - Zachichotał krótko. - I nawet specjalnie mu się nie dziwię.

- Co pan chce przez to powiedzieć, panie Abagnall?

- Zmierzam do tego, panie Archer, że pańska żona naprawdę chciałaby się dowiedzieć, co się stało z jej rodzicami i bratem.

Nie przyjąłbym zlecenia, gdybym podejrzewał, że klient próbuje mnie wpuścić w kanał. To nie jest żadna

podpucha, prawda?

- Nie, to na pewno nie jest podpucha - odparłem z ociąganiem. - A czy ta kobieta, która chciała zlecić panu odszukanie Elvisa, zamierzała wpuścić pana w kanał, czy też kierowała się szczerą wiarą, że Presley jeszcze żyje?

Abagnall uśmiechnął się smutno.

- Odezwę się za trzy dni, może nawet wcześniej, jeśli dowiem się czegoś ciekawego.

- Mężczyźni są słabi. Oczywiście nie dotyczy to ciebie. Nie można na nich polegać. Ale równie często należy się obawiać zdrady ze strony kobiety - powiedziała.

- Tak, wiem. Już mi mówiłaś.

- Och, przepraszam. - Zabrzmiało to ironicznie. Nie lubił, gdy przybierała taki drwiący ton. - Czyżbym cię zanudzała, skarbenku?

- Nie, w porządku. Mów dalej. Skończyłaś na tym, że równie często należy się obawiać zdrady ze strony kobiety.

- Otóż to. Zwłaszcza takiej jak Tess.

- No pewnie.

- Okradła mnie.

- Cóż... - zająknął się. Chciał już powiedzieć, że od strony formalnej nie była to kradzież, ale ugryzł się w język, nie chcąc wdawać się w spór na ten temat.

- Bo nie było to nic innego jak kradzież - ciągnęła. - Wydała moje pieniądze. Nie miała żadnego prawa, by zatrzymać je dla siebie.

- Ale przecież nie wydała na swoje zachcianki. Opłaciła z nich...

- Dość! Im częściej o tym myślę, tym bardziej dostaję szału.

I nie podoba mi się, że występujesz w jej obronie.

- Wcale nie występuję w jej obronie - zaprotestował.

- Powinna znaleźć sposób na to, aby mnie powiadomić i naprawić wyrządzone zło.

A niby jak miałyby tego dokonać? - przemknęło mu przez myśl. Nie odezwał się jednak.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytała.

- Tak, jestem.

- Czyżbyś chciał mi coś powiedzieć?

- Nie. Tylko... No cóż, to byłoby wręcz niewykonalne, nie sądzisz?

- Czasami aż nie chce mi się z tobą rozmawiać - syknęła. - Zadzwoń jutro. Jeśli do tego czasu będę chciała pogadać z kimś inteligentnym, stanę przed lustrem.

Po odjeździe Abagnalla zadzwoniłem z komórki do Tess, żeby ją uprzedzić o wizycie. Wyjaśniłem, że Cynthia postanowiła zaangażować prywatnego detektywa i że wyjawilem mu tajemnicę, którą mi niedawno zdradziła.

- Pomogę mu we wszystkim, jeśli tylko będę mogła - odparła Tess. - Moim zdaniem Cynthia postępuje słusznie, angażując fachowca do zbadania tej sprawy. Jeśli jest gotowa na taki krok, to pewnie jest też gotowa, by zaakceptować to, co mam jej do powiedzenia.

- Niedługo znowu przyjedziemy razem.

- Kiedy odezwał się telefon, zastanawiałam się właśnie, czy nie zadzwonić do ciebie. Nie chciałam jednak dzwonić pod numer domowy, bo wypadłoby głupio, gdyby odebrała Cynthia, a ja bym poprosiła, żeby zawołała ciebie. A chyba nie mam nigdzie zapisanego numeru twojej komórki.

- O co chodzi?

Wzięła głębszy oddech.

- Och, Terry, byłam na jeszcze jednych badaniach.

Poczułem, że nogi się pode mną uginają.

- I co ci powiedziano? - Naszły mnie obawy, że zapadł jeszcze straszniejszy wyrok. Wcześniej mówiła, że zostało jej parę miesięcy życia, a nowe badania mogły wpłynąć na skrócenie tej Perspektywy.

- Jest szansa, że z tego wyjdę. Lekarz stwierdził, że z wcześniejszych wyników pochopnie wyciągnęli zbyt daleko idące wnioski, które okazały się błędne. Dopiero te ostatnie badania uznał za definitywne. -

Zawiesiła na krótko głos. - Wcale nie jestem umierająca, Terry.

- Och, mój Boże, Tess, to wspaniała wiadomość. Tych wyników są już pewni?

- Absolutnie.

- Bardzo się cieszę.

- Gdybym była osobą wierzącą, powiedziałabym, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Ale ty o niczym nie powiedziałeś jeszcze Cynthii, prawda?



- Nie, nic jej nie mówiłem.

Kiedy wszedłem do domu, Cynthia zauważyła ślady łez na moich policzkach. Miałem wrażenie, że wytarłem oczy na ganku, ale widocznie niezbyt starannie. Podeszła do mnie i delikatnie zgarnęła palcem ostatnią łzę.

- O co chodzi, Terry? Co się stało?

Objąłem ją i przytuliłem do siebie.

- Nic. To ze szczęścia - odparłem. - Po prostu jestem szczęśliwy.

Musiła chyba pomyśleć, że straciłem zmysły. Bo nigdy wcześniej nie uzewnętrzniałem w ten sposób szczęścia.

Rozmowa z detektywem bardzo ją odprężyła, od dłuższego czasu nie widziałem jej tak zrelaksowanej. Można było odnieść wrażenie, że zaznała wreszcie spokoju, przerzuciwszy swoje brzemię na barki Dentona Abagnalla. Obawiałem się, że będzie do niego wydzwaniła co parę godzin, jak do redakcji programu

Deadline. Powstrzymała się jednak. Tylko gdy siedzieliśmy przy kuchennym stole tuż przed pójściem do łóżka, zapytała, czy, moim zdaniem, udało mu się już zdobyć jakieś informacje.

Zrozumiałem, że dochodzenie bez reszty zaprzęta jej myśli i tylko zdrowy rozsądek nakazuje, aby nie nękać detektywa ciągłymi telefonami.

Nazajutrz, kiedy Grace skończyła zajęcia w szkole, Cynthia zaproponowała, byśmy poszli we trójkę na ogólnodostępny kort tenisowy za biblioteką, i ku memu zdziwieniu mała się zgodziła. Grałem w tenisa równie kiepsko, jak za czasów studenckich, dlatego też rzadko brałem raketę do ręki, lubiłem jednak obserwować swoje dziewczyny podczas gry, wciąż zachwycając się niesamowitym bekhendem żony. Wybrałem się więc z nimi, taszcząc teczkę wyładowaną pracami do sprawdzenia. Co kilka sekund zerkałem znad wypracowania na kort, spoglądając z satysfakcją, jak żona i córka biegają za piłką, roześmiane, i doskonale się bawią. Oczywiście przeciwko Grace Cynthia ani razu nie wykorzystwała swojej zabójczej broni, za to bez przerwy udzielała małej rad co do takich czy innych zagrań. Grace radziła sobie całkiem nieźle, ale po upływie pół godziny zaczęła wyraźnie słabnąć. Doszedłem do wniosku, że pewnie chciały już wracać do domu, żeby pograć się w lekturze książki Carla Sagana.

Kiedy zeszyły z kortu, zaproponowałem, byśmy w drodze powrotnej wpadli gdzieś na obiad.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się Cynthia. - Mimo takiego... wydatku, na jaki się wczoraj zdecydowaliśmy?

- To bez znaczenia - odparłem.

Uśmiechnęła się diabolicznie.

- Co ci się stało? Od wczorajszego popołudnia jesteś chyba najpogodniejszym facetem w tym mieście. Co miałem na to odpowiedzieć? Jak mogłem jej choćby przybliżyć radość z powodu ostatnich nowin Tess, skoro nie została zapoznana z rzekomo złym stanem jej zdrowia? Na pewno i ona by się ucieszyła, że Tess nie stoi nad grobem, ale byłaby urażona, że wykluczaliśmy ją z kręgu wtajemniczonych.

- Po prostu... odczuwam przypływ optymizmu - odparłem.

- Myślisz, że Abagnall wpadnie na jakiś trop?

- Niekoniecznie. Mam tylko wrażenie, jakbyśmy wyszli na prostą, jakbyś ty... czy nawet my oboje, przetrzymali trudny stresujący okres i mogli wreszcie o nim zapomnieć.

- To w takim razie wypiję do obiadu lampkę wina - powiedziała.

Odwzajemniłem jej szeroki uśmiech.

- Mamy powód.

- A ja wezmę koktajl mleczny - wtrąciła Grace. - Z wisienkami.

Gdy wróciliśmy do domu po obiedzie, Grace pobiegła oglądać na kanale Discovery jakiś film o strukturze pierścieni Saturna, a ja i Cynthia usiedliśmy przy kuchennym stole. Przysunąłem sobie tabliczkę z rysikiem i zacząłem sumować kwoty, najpierw jedno, potem drugie. Zawsze postępowaliśmy tak samo, mając przed sobą trudne decyzje finansowe. Czy mogliśmy sobie pozwolić na drugi samochód? Czy wyprawa do Disney Worldu nie zburzy naszego konta debetowego?

- Wydaje mi się - powiedziałem w końcu, spoglądając krytycznie na wypisane słupki liczb - że chyba możemy opłacić pana Abagnalla na dwa tygodnie, nie tylko na jeden. Nie sądzę, byśmy z tego powodu musieli się przenosić do przytułku.

Cynthia zacisnęła palce na mojej dłoni.

- Kocham cię. Wiesz o tym?

W saloniku z głośnika telewizora padła nazwa Urana, co Grace skwitowała gromkim śmiechem.

- Opowiadałam ci, jak zniszczyłam matce kasetę z piosenkami Jamesa Taylora? - zagadnęła Cynthia.

- Nie.

- Miałam wtedy jedenaście czy dwanaście lat. Mama często słuchała w kuchni muzyki. Uwielbiała Jamesa Taylora, a poza tym Simona i Garfunkela oraz Neila Younga i wielu innych podobnych wykonawców, ale jej ulubieńcem był James Taylor.

Mówiła, że równie dobrze potrafi ją uszczęśliwić, jak też zasmucić. Pewnego dnia pokłóciłyśmy się o coś, chyba o jakiś ciuch, który chciałam włożyć do szkoły, a który wciąż leżał w koszu z brudną bielizną. No i zrobiłam pyskówkę na temat wywiązywania się ze swoich obowiązków.

- Już się domyślałam jej przebiegu.

- Mówię całkiem poważnie. Mama oznajmiła, że jeśli nie jestem zadowolona z jej prania, to sama świetnie wiem, gdzie stoi pralka. Wtedy ja otworzyłam kieszeń magnetofonu, wyciągnęłam z niej kasetę i rzuciłam na podłogę. Samą mnie zaskoczyło, że obudowa pękła, taśma spadła ze szpulki i tyle z niej zostało. W milczeniu oczekiwałam dalszego ciągu.

- Uprzytomniłam sobie nagle, co takiego zrobiłam. Bałam się, że matka mnie zatłucze. Ale ona tylko przerwała zmywanie naczyń, podeszła bliżej, kucnęła, podniosła do oczu połówkę roztrzaskanej obudowy i powiedziała: „James Taylor. To ta kasetka z uśmiechniętą buzią na okładce. Moja ulubiona. A wiesz, dlaczego tak bardzo ją lubię? - zapytała. Bo pierwsza piosenka zaczyna się od słów: «Ilekoć na ciebie spojrzę, uśmiecham się, ponieważ cię kocham»... Rzeczywiście, leciało to jakoś tak. Po chwili dodała: „Więc to moje ulubione nagranie, bo ilekoć je słyszę, widzę w myślach ciebie i przypominam sobie, jak bardzo cię kocham. A teraz powinnaś się postarać, bym słuchała tej piosenki częściej niż dotychczas”. Łzy napłynęły Cynthii do oczu.

- Tak więc po szkole wskoczyłam do autobusu, pojechałam do centrum handlowego i odszukałam w salonie tę kasetę. Nazywała się „JT”. Kupiłam ją i po powrocie do domu wręczyłam mamie. Natychmiast zerwała celofanowe opakowanie, wsunęła kasetę do kieszeni magnetofonu i zapytała, czy nie chcę posłuchać razem z nią ulubionej piosenki.

Samotna łza spłynęła jej po policzku i spadła na stół.

- Teraz i ja uwielbiam tę piosenkę - przyznała cicho. - Ale przede wszystkim bardzo tęsknię za mamą. Później zadzwoniła do Tess. Bez specjalnego powodu, ot, tak, żeby zamienić parę słów. Po zakończeniu rozmowy weszła do naszej gościnnej sypialni, w której stał komputer oraz maszyna do szycia i gdzie wystukiwałam na starym rojalu jakieś uwagi

dla swoich uczniów. Jej zaczerwienione oczy od razu zdradziły, że znów płakała.

Wyrzuciła z siebie jednym tchem, że Tess podejrzewała u siebie poważną, śmiertelną chorobę, ale ostatnie badania wykazały, że nic jej nie jest.

- Przyznała, że nie chciała mi o niczym mówić, uznała, że nam dość własnych zmartwień, żeby brać na swoje barki jej brzemię. Dokładnie tak się wyraziła: brzemię. Wyobrażasz to sobie?

- Nie do wiary - mruknąłem.

- Ale dowiedziała się właśnie, że nic jej nie jest, postanowiła więc o wszystkim mi powiedzieć. Ja jednak żałuję, że nie była ze mną szczerą, jak tylko dowiedziała się o chorobie. Chyba rozumiesz, prawda? Była moją najwierniejszą opiekunką, niezależnie od tego, przez co akurat przechodziłam. Zawsze mogłam... - Zająknęła się, wzięła chusteczkę higieniczną i głośno wysmarkała nos. Wreszcie dokończyła: - ...Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby mi jej zabraknąć.

- Tak, wiem. Dla mnie to też niewyobrażalne.

- Twój nagły przypływ radości i optymizmu chyba nie miał nic wspólnego...

- Nie, skądże znowu.

W tej sytuacji mogłem już jej powiedzieć prawdę, mogłem się zdobyć na szczerą wobec niej, ale nie miałem na to ochoty.

- Cholera - syknęła. - Tess prosiła, żebyś do niej zadzwonił.

Pewnie chce ci sama zakomunikować taką nowinę. Nie mów jej, że już ci zdradziłam tajemnicę, dobrze? Proszę. Po prostu nie mogłam się powstrzymać, rozumiesz?

- Jasne.

Zszedłem na dół i wybrałem numer Tess.

- Powiedziłam jej - zaczęła.

- Tak, wiem. Dziękuję.

- On już tu był.

- Kto?

- Ten detektyw, pan Abagnall. Był bardzo uprzejmy.

- Ach, tak.

- Zadzwoń do niego żona podczas naszej rozmowy, żeby go zawiadomić, co szykuje na obiad.  
- Co szykowała? - zainteresowałem się.  
- Och, bodajże jakąś pieczeń... aha, kluski ptysiowe z pieczoną wołowiną.  
- Brzmi bardzo apetycznie.  
- W każdym razie powiedziałam mu wszystko, i o pieniądzach, i o notatce. Oddałam mu koperty i list. Był bardzo zaintrygowany.

Pokiwałem głową.

- Domyślam się.

- Sądzisz, że mimo upływu lat da się zdjąć z tych kopert odciski palców?

- Nie wiem, Tess. Minęło mnóstwo czasu, poza tym wiele razy wyjmowałam je z biurka i chowałam z powrotem. Nie jestem specjalistą. Mimo to uważam, że postąpiłaś bardzo słusznie, przekazując mu dowody. Gdybyś przypomniała sobie coś jeszcze, najlepiej zadzwoń od razu do niego.

- Też mnie o to prosił. Zostawił wizytówkę. Właśnie mam ją przed oczami, bo przypięłam ją na korkowej tablicy przy telefonie, tuż obok zdjęcia Grace w towarzystwie Goofy'ego.

- Rozumiem.

- Uściskaj ode mnie Cynthię.

- Uściskam. Kocham cię, Tess - zakończyłem i odwiesiłem słuchawkę.

- Powiedziała ci? - zaciekawiała się żona, gdy tylko wszedłem do sypialni.

- Powiedziała.

Cynthia była już w nocnej koszuli, leżała jednak na pościeli.

- Rozmyślałam przez całe popołudnie, że miałabym dzisiaj ochotę na szalony namiętny seks z tobą, ale jestem skonana i trudno mi powiedzieć, czy w ogóle byłabym w stanie przetrwać małżeński obowiązek.

- Więc nie będę nalegał.

- Dowiesz się, czy nie grozi nam deszcz asteroid?

- Jasne. Może w ten weekend powinniśmy podrzucić małą do Tess, wybrać się do Mystic i wykupić nocleg ze śniadaniem w pokoju dwuosobowym.

Zgodziła się ochoczo.

- Może tam bym się wreszcie wyspała. Bo ostatnio nękają mnie niespokojne sny.

Przysiadłem na skraj łożka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Rozmawiałam już o tym z doktor Kinzler. Słyszę ich rozmowy. Mówią do mnie, jak mi się zdaje, a kiedy indziej sama się do nich odzywam albo rozmawiamy wszyscy razem, i czuję się tak, jakbyśmy naprawdę byli razem, ale jednocześnie rozdzieleni jakąś barierą, bo nie mogę ich dotknąć. Kiedy próbuję to zrobić, zachowują się jak postaci ukształtowane z dymu i rozwiewają się w powietrzu.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

- Życzyłaś już Grace dobrej nocy?

- Owszem, kiedy rozmawiałeś z Tess.

- Więc spróbuj teraz zasnąć. Ja do niej pójdę.

Jak zwykle pokój Grace tonął w ciemności, żeby lepiej można było obserwować gwiazdy przez teleskop.

- Nic nam dzisiaj nie grozi? - zapytałem, pospiesznie zamykając drzwi, żeby odciąć światło wpadające z korytarza.

- Na to wygląda.

- To dobrze.

- Chcesz popatrzeć?

Grace miała ustawiony okular na wysokości oczu, a ponieważ nie chciałem się do niego schylać, przysunąłem sobie krzeselko od biurka z komputerem i siadłem na nim. Zmrużyłem jedno oko, drugie przytknąłem do wizjera, lecz ujrzałem jedynie czerń nocy z kilkoma bladymi, ledwie widzialnymi ognikami.

- W porządku. Na co patrzę?

- Na gwiazdy - odparła Grace.

Obejrzałem się i uśmiechnąłem do niej szelmowsko.

- Bardzo dziękuję, następczyni Carla Sagana.

Odwrociłem się z powrotem do teleskopu i chwyciłem pokrętło, żeby nieco wyregulować ostrość, ale cały tubus osunął się z ułamanego uchwyty statywu. Większa część taśmy samoprzylepnej, którą moja córka usiłowała naprawić uchwyt, odlepiła się od plastiku.

- Rety! - syknąłem.

- Już ci mówiłam, że statyw nie trzyma.

- Jasne, w porządku.

Pochyliłem się z powrotem do wizjera, ale obiektyw był już wymierzony w coś innego. Jego pole widzenia wypełniał mocno powiększony fragment chodnika przed naszym domem.

Stał tam jakiś facet i gapił się w nasze okna.

Pokręciłem gałką i jego twarz, niewyraźna i rozmazana, wypełniła cały obiektyw. Wyprostowałem się, wstałem z krzeselka i podszedłem do okna.

- Kto to może być, do cholery? - mruknąłem bardziej do siebie niż do Grace.

- Kto? - zapytała.

Ledwie podeszła do okna, człowiek na ulicy rzucił się do ucieczki.

- Kto to jest, tato? - zaniepokoiła się.

- Zostań tutaj - nakazałem jej i wybiegłem z pokoju.

Popędziłem na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, i pędem wypadłem na dwór. Dobiegłem do wylotu podjazdu w samą porę, żeby dostrzec, jak uciekający mężczyzna sto metrów dalej wskakuje do samochodu zaparkowanego przy krawężniku.

Zapaliły się światła, zawarczał uruchamiany silnik i wóz z piskiem opon szybko odjechał.

Był za daleko, żebym po ciemku mógł odczytać numer rejestracyjny czy choćby rozpoznać model auta, nim skręciło i zniknęło mi z oczu w najbliższej przecznicy. Sądząc po odgłosie, musiał to być jakiś starszy typ, do tego ciemny - granatowy, brązowy lub szary.

W pierwszej chwili chciałem wskoczyć do swojego samochodu i ruszyć w pościg, ale kluczyki zostały w domu. Zanim bym je wziął i wyjechał na ulicę, intruz byłby już pewnie w Bridgeport.

Kiedy wróciłem, zastałem Grace na ganku.

- Miałaś nie wychodzić ze swojego pokoju - burknąłem ze złością.

- Chciałam tylko zobaczyć...

- Natychmiast wracaj do łóżka.

Musiała wyczuć po moim tonie, że nie jestem w nastroju do dyskusji, toteż zawróciła i pognała schodami na górę, jakby ją kto gonił.

Serce waliło mi jak młotem, musiałem się trochę uspokoić przed powrotem do sypialni. Ale kiedy tam dotarłem, ujrzałem Cynthię wyciągniętą pod kołdrą i pogrążoną w głębokim śnie.

Spoglądając na nią, zacząłem się zastanawiać, jakież to rozmowy prowadzi w wyobraźni ze swoimi najbliższymi, zaginionymi bądź zmarłymi.

Zapytaj ich o coś w moim imieniu, sformułowałem w myślach. Spróbuj się dowiedzieć, kto obserwuje nasz dom. Zapytaj, czego od nas chce.

Następnego dnia Cynthia zadzwoniła do sklepu i uzgodniła z Pam, że przyjdzie do pracy trochę później. Na dziewiętą byliśmy umówieni ze ślusarzem, lecz gdyby instalacja blokady antywłamaniowej potrwała dłużej, niż zakładaliśmy, musiałyby zostać jeszcze w domu.

Przy śniadaniu, zanim jeszcze Grace zeszła na dół, powiedziałem jej o tajemniczym mężczyźnie, którego widziałem na chodniku przed domem. Przez jakiś czas się zastanawiałem, czy nie zostawić tej informacji tylko dla siebie, ale nie wahałem się długo. Przede wszystkim istniała obawa, że Grace jej o wszystkim opowie. Poza tym wychodziłem z założenia, że jeśli ktoś nas obserwuje, niezależnie od tego, kim jest i w jakim celu to robi, powinniśmy wszyscy zachować wzmożoną czujność. Na razie nic nie wskazywało, by ten człowiek miał cokolwiek wspólnego ze szczególną sytuacją mojej żony, ale gdyby to był jakiś zboczeniec grasujący w tej okolicy, należałoby powiadomić całą społeczność osiedla.

- Zdążyłeś mu się przyjrzeć? - zapytała.

- Nie. Wybiegłem za nim na ulicę, ale zdążył wskoczyć do samochodu i odjechać.

- Co to był za samochód?

- Nie wiem.

- Mógł to być ten stary brązowy sedan?

- Trudno mi powiedzieć, Cyn. Było ciemno, samochód też był ciemny.

~ Zatem mógł być ciemnobrązowy.

- Owszem, mógł. Ale równie dobrze mógł być ciemnogramatowy albo czarny. Naprawdę nie umiem tego powiedzieć.

- Gotowa jestem się założyć, że to ten sam człowiek. Ten, który kilka razy mijał nas, gdy szliśmy z Grace do szkoły.

- Zamierzam powiadomić o tym sąsiadów - oznajmiłem.

Udało mi się złapać nawet sporo ludzi mieszkających po obu stronach ulicy, kiedy wychodzili do pracy.

Pytałem wszystkich, czy nie zwrócili uwagi na podejrzanego mężczyznę poprzedniego wieczoru albo czy

w ogóle ostatnimi czasy nie zauważyli niczego podejrzanego w tej okolicy? Ale nikt niczego nie widział. Mimo to zadzwoniłem na policję i zapytałem, czy żaden z mieszkańców naszego osiedla nie zgłosił w ostatnich dniach niczego niezwykłego. Połączono mnie z funkcjonariuszem, który zajmował się takimi sprawami, ale ten odparł:

- Nie słyszałem o niczym szczególnym, lecz... zaraz, chwileczkę... przedwczoraj wieczorem napłynął dosyć dziwny meldunek.

- Jaki? - zapytałem w napięciu. - Czego dotyczył?

- Ktoś zgłosił znalezienie jakiegoś dziwnego kapelusza w swoim domu. - Policjant zachichotał. - W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś na centrali się pomylił i chodzi o coś zupełnie innego, ale nie, sprawa rzeczywiście dotyczyła kapelusza.

- Mniejsza z tym.

Zanim wyruszyłem do szkoły, Cynthia powiedziała:

- Chciałabym się zobaczyć z Tess. Wiem, że byliśmy u niej w ostatni weekend, a nie lubisz za często jej odwiedzać, ale wzięwszy pod uwagę, przez co ostatnio przeszła, doszłam do wniosku, że...

- Nie musisz nic więcej mówić - przerwałem. - Moim zdaniem to świetny pomysł. Wybierzmy się do niej jutro wieczorem. Może da się wyciągnąć na lody albo kolację.

- Zaraz do niej zadzwonię.

W pokoju nauczycielskim zastałem Rolly'ego zmywającego swój kubek, pewnie po to, by napełnić go wyjątkowo podłą kawą z zaparzaczką.

- Co słychać? - zapytałem, stanąwszy przy nim.

Aż się wzdrygnął, zaskoczony.

- Jezu... - syknął.

- Przepraszam, ale ja też tu pracuję. - Sięgnąłem po swój kubek, napełniłem go kawą i dosypałem do niej kilka łyżeczek cukru w nadziei, że w ten sposób zamaskuję swąd palonych kości.

- Więc co słychać? - ponowiłem pytanie.

Wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokiej zadumie.

- To co zwykle. A u ciebie?

Westchnąłem głośno.

- Ktoś późnym wieczorem obserwował nasz dom, a kiedy postanowiłem się przekonać, kto to jest, po prostu uciekł. - Pociągnąłem łyk kawy. Nadal była ohydna, ale przynajmniej zdążyła przestygnąć. - Kto za tę kawę odpowiada? Czyżbyśmy dostawali kawę na mocy kontraktu z firmą zajmującą się dystrybucją odpadów?

- Naprawdę ktoś obserwował wasz dom? - zdziwił się Rolly. - Jak sądzisz, o co w tym wszystkim chodzi? Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. W każdym razie dziś rano ślusarz zainstalował nam w drzwiach blokadę antywłamaniową, sądzę, że bardzo potrzebną.

- To dość brutalna reakcja - odrzekł Rolly. - Pewnie zauważyłeś jakiegoś chłoptasia, który po prostu szedł ulicą i wypatrywał otwartych drzwi garażu albo czegoś w tym rodzaju. Może chciał coś ukraść...

- Niewykluczone - odparłem. - Tak czy inaczej, nowe zamki w drzwiach powinny nam tylko pomóc.

- Jasne. - Rolly skinął głową. Zawiesił na chwilę głos, po czym dodał: - Poważnie się zastanawiam nad przejściem na wcześniejszą emeryturę.

Miało to oznaczać diametralną zmianę tematu rozmowy.

- Mam wrażenie, że powinieneś wytrzymać co najmniej do zakończenia roku szkolnego.

- To prawda, lecz co by się stało, gdybym nagle padł na serce?

Musieliby szybko znaleźć kogoś na moje miejsce, prawda?

A to by oznaczało znalezienie kogoś gotowego podjąć tę pracę za moją pensję. Dlatego nie dziwi się, Terry, że szukam innego wyjścia. Dzisiaj praca w szkole, a zwłaszcza prowadzenie szkoły, wygląda zupełnie inaczej niż za naszej młodości, prawda?

Zmierzam do tego, że zawsze zdarzała się trudna młodzież, ale dzisiaj jest jej więcej niż kiedyś. I ta młodzież jest znacznie bardziej bezwzględna, często uzbrojona w broń palną. A rodzice nie zwracają na to szczególnej uwagi. Poświęciłem temu systemowi szkolnictwa czterdzieści lat swojego życia, ale mam go dość. Razem z Millicent chcemy sprzedać dom, uzupełnić oszczędności o kredyt bankowy i przenieść się do Bradenton, gdzie jest szansa, że moje ciśnienie krwi obniży się choć trochę.

- Rzeczywiście, sprawiasz dzisiaj wrażenie wyjątkowo spiętego. Może powinieneś pójść do domu?

- Nic mi nie jest.

Nie palił, lecz wyglądał jak nałogowy palacz, który za wszelką cenę musi zapalić papierosa.

- Millicent już przeszła na emeryturę. I nic mnie nie powstrzyma przed pójściem w jej ślady. W końcu nikt przecież nie młodnieje, prawda? I nikt nie ma pojęcia, ile mu jeszcze zostało. Można w każdej chwili przenieść się na tamten świat.

- To mi coś przypomina.

- Co?

- Przypadek Tess.

Rolly zamrugął szybko.

- Co jej się stało?

- Okazało się, że wcale nie jest śmiertelnie chora.

- Co takiego?

- Zrobili jeszcze jedno badanie i te wykazały, że postawiona wcześniej diagnoza była błędna. Wcale nie jest umierająca.

Wyjdzie z tego.

Rolly patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz?

- Próbuję ci przekazać, że nic jej nie jest.

- Ale... - wydukał, jakby nie mógł się pogodzić z tą informacją - ...przecież lekarze... powiedzieli jej, że jest umierająca.

A teraz co? Twierdzą, że zaszła jakaś pomyłka?

- Mniej więcej. W każdym razie przynajmniej ta jedna wiadomość jest dobra.

Zamrugął szybko.

- No tak, jasne. To wspaniała wiadomość. Zresztą w takiej sytuacji zawsze lepiej jest najpierw odebrać złe wiadomości, a potem dobre.

- Zgadza się.

Spojrzał na zegarek.

- Posłuchaj, muszę już lecieć.

Ja też nie miałem czasu. Tylko minuta została do rozpoczęcia zajęć z twórczego pisania. Na poprzedniej lekcji poleciłem swoim uczniom, by napisali list do nieznannej sobie osoby, rzeczywistej bądź wyimaginowanej, i zawarli w nim treści, o których nie potrafiliby powiedzieć nikomu innemu.

Wy tłumaczyłem, że czasami łatwiej jest zdradzić pewne osobiste tajemnice osobie całkiem obcej, bo wiąże się to z mniejszym ryzykiem, a więc otworzyć się przed nieznanym słuchaczem, który nic o nas nie wie.

Kiedy poprosiłem, by ktoś się zgłosił na ochotnika, ku memu zaskoczeniu pierwszy podniósł rękę Bruno, klasowy spryciarz.

- Bruno?

- Jestem gotów, proszę pana.

Nigdy wcześniej nie zgłaszał się na ochotnika, nigdy też nie kończył zaczętej pracy. Naszły mnie wątpliwości, ale zaciekawienie okazało się silniejsze.

- W porządku, Bruno. Słuchamy twojego listu.

Otworzył zeszyt i zaczął czytać:

- Drogi „Penthousie”...

- Chwileczkę - przerwałem mu, gdy cała klasa ryknęła już gromkim śmiechem. - Miał to być list do nieznannej ci osoby.

- Nie znam nikogo z redakcji „Penthouse’a” - odparł. - Trzymałem się dokładnie pańskich wytycznych.

Napisałem o czymś, czego nie zdradziłbym nikomu innemu. W każdym razie na pewno nie mojej mamie.

- Pewnie, skoro ona nic nie je, żeby mieć płaski brzuch - rzucił ktoś z końca sali.

- A co, zazdrościsz mojej mamie wyglądu? - odparł zaczepnie Bruno. - Chciałbyś, żeby twoja wyglądała podobnie i nie przypominała grubego dupska odbitego na kiepskim ksero?

- Ktoś jeszcze chce przeczytać swój list? - zapytałem.

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestował Bruno. - Drogi „Penthousie”, chciałbym ci opisać pewne doświadczenie związane z moim osobistym serdecznym przyjacielem, którego będę nazywał panem Johnsonem.

Chłopak o imieniu Ryan zaniósł się takim śmiechem, że o mało nie spadł z krzesła.

Jane Scavullo jak zwykle siedziała w ostatniej ławce i ze znużoną miną gapiała się w okno, pozując na osobę, która jest ponad tym wszystkim, co się dzieje w klasie. Zresztą dzisiaj w pełni ją rozumiałem.

Odnosiłem wrażenie, że wolałaby być gdzie indziej. I naszły mnie podejrzenia, że gdybym w tej chwili spojrzął w lustro, dostrzegłbym u siebie taką samą minę.

Siedząca obok niej dziewczyna, Valerie Swindon, chyba najbardziej zasługująca w tej grupie na miano lizusa, błyskawicznie podniosła rękę.

- Szanowny prezydencie Lincolnie, uważam Pana za jednego z największych naszych prezydentów, ponieważ walczył Pan o wyzwolenie niewolników i zrównanie wszystkich obywateli.

Wszystko szybko wróciło do normy. Dzieciaki zaczęły szeroko ziewać, oczy im się kleiły, a ja pomyślałem, że bardzo źle się dzieje, kiedy nie można się szczerze wypowiedzieć na temat Abrahama Lincolna, żeby nie zostać uznanym za kujona. Ale po kilku zdaniach i ja przestałem słuchać dalszej części jej listu, gdyż przypomniał mi się skecz Boba Newharta, sfingowana rozmowa telefoniczna, w której spryciarz z Madison Avenue, spec od kreowania wizerunku, próbuje namówić prezydenta Lincolna, żeby darował sobie wszelkie sztuczki i włączył się do otwartej gry.

Poprosiłem jeszcze kilkoro uczniów o odczytanie swoich listów, po czym wywołałem Jane.

- Ja pasuję - odparła.

Ale po zakończeniu lekcji, w drodze do wyjścia, rzuciła mi na biurko zapisaną kartkę. Jej list brzmiał następująco:

Drogi Ktosiu, to jest list od ktosia do ktosia, w którym niepotrzebne są żadne imiona, bo i tak nikt nikogo naprawdę nie zna. Dlatego imiona nie mają większego znaczenia. Na świecie żyją wyłącznie obcy sobie ludzie. Są ich miliardy. Absolutnie wszyscy są sobie nawzajem obcy.

Czasami wydaje się nam, że znamy innych, zwłaszcza naszych bliskich, lecz gdybyśmy ich naprawdę znali, to na pewno nie byłibyśmy aż tak często przez nich zaskakiwani, prawda? Bo przecież rodzice zawsze są zaskoczeni tym, co wyrabiają ich dzieci. Wychowują ich od niemowlęctwa, poświęcają im prawie cały swój czas, uważają ich za pieprzone aniołki, aż tu pewnego dnia przed drzwiami zjawia się policja i mówi: Wiecie, co, drodzy rodzice? Wasze dziecko właśnie roztrzaskało innemu dziecku głowę kijem baseballowym. Albo jak się jest dzieckiem i uważa się, że wszystko jest z grubsza w cholernym porządku, nagle pewnego dnia ten facet, którego się nazywało swoim ojcem, mówi: No to cześć, powodzenia. Wtedy się myśli:

O co tu chodzi, do kurwy? A po latach matka kończy w łóżku z jakimś innym facetem, który też niby jest w porządku, ale człowiek zaczyna się zastanawiać, gdzie kryje się fałsz? Takie jest życie. Każę nam ciągle pytać, gdzie kryje się fałsz. Bo jeśli przez długi czas nie wykrywa się fałszu, nasilają się podejrzenia, że coś tu, kurwa, jest nie tak. Najlepsze pozdrowienia, Ktosiu.

Przeczytałem ten list kilka razy, wreszcie swoim czerwonym długopisem u góry strony postawiłem szóstkę.

Postanowiłem zajrzeć do sklepu Pameli w porze lunchu, żeby zobaczyć się z Cynthią, ale gdy tylko wyszedłem ze szkoły na Parking, na puste miejsce obok mojego samochodu wjechała Lauren Wells. Kręciła kierownicą tylko jedną ręką, gdyż drugą Przyciskała do ucha telefon komórkowy.

Udawało mi się unikać spotkania z nią przez kilka ostatnich dni, nie miałem też ochoty rozmawiać i teraz, ale spostrzegłszy mnie, opuściła pospiesznie szybę i nie przerywając rozmowy telefonicznej, jednoznaczny ruchem głowy dała mi znać, żebym zaczekał. Kiedy wreszcie ustawiła wóz na miejscu parkingowym, rzuciła do aparatu:

- Zaczekaj chwilę. - Po czym zwróciła się do mnie: - Cześć.

Nie widzieliśmy się od tamtego dnia, kiedy wyjeżdżałeś na spotkanie z Paulą. Jak poszło? Znow będziesz w telewizji?

- Nie - odparłem.

Wyraźnie ją rozczarowałem.

- To kiepsko. Bardzo by wam to pomogło, prawda? Paula nie zgodziła się na ciąg dalszy?

- Nic z tych rzeczy.

- Wiesz co? Możesz mi zrobić przysługę? To zajmie tylko chwilę. Chciałabym, żebyś pozdrowił moją przyjaciółkę.

- Słucham?

Wyciągnęła komórkę w moją stronę.

- Ma na imię Rachel. Wystarczy, że się z nią przywitasz. Powiedz tylko: „Cześć, Rachel”. Zemdleje z wrażenia, jak się dowie, że jesteś tym facetem, który występował w telewizji.

Otworzyłem drzwi samochodu i zanim wsiadłem, rzuciłem:

- Zaczynj wreszcie stąpać po ziemi, Lauren.

Zapatrzyła się na mnie z rozdziawionymi ustami, po czym krzyknęła, żebym usłyszał mimo zamkniętych okien:

- Jeżeli uważasz się za takie wspaniałe ciacho, to jesteś w błędzie!

W sklepie nie zastałem Cynthii.

- Dzwoniła z samego rana i zapowiedziała, że jest umówiona ze ślusarzem - wyjaśniła Pamela.

Spojrzałem na zegarek, dochodziła pierwsza. Gdyby ślusarz zjawił się o umówionej porze, powinien skończyć robotę do dziesiątej, najwyżej jedenastej.

Sięgnąłem do kieszeni po komórkę, ale Pam wskazała mi aparat stojący na ladzie.

- Cześć, Pam - odezwała się Cynthia, odczytawszy z ekranu dane rozmówcy. - Wybacz, że tyle to trwało, ale już do ciebie jadę.

- To ja - odparłem.

- Och!

- Zajrzałem do sklepu, sądząc, że cię tu zastanę.

- Facet się spóźnił, wyszedł dopiero niedawno. Ledwie zdążyłam odjechać spod domu.

- Powiedz jej, żeby się nie przejmowała - wtrąciła Pam. - Prawie wcale nie ma ruchu. Niech sobie weźmie cały dzień wolny.

- Słyszałaś? - zapytałem.

- Tak. To chyba niezły pomysł. Jestem strasznie rozkojarzona. Dzwonił Abagnall. Chce się z nami zobaczyć. Przyjedzie o wpół do piątej. Będziesz o tej porze w domu?

- Oczywiście. Co powiedział? Trafił na coś ciekawego?

Pamela zmarszczyła brwi.

- Nie chciałam mówić przez telefon. Zapowiedział, że porozmawiamy spokojnie, jak przyjedzie po południu.

- Co o tym myślisz?

- Wydaje mi się to trochę dziwne.

- Właśnie, mnie też. Może chce nam oznajmić, że nie wpadł na żaden trop.

- Też o tym pomyślałam.

- Jedziemy jutro do Tess?

- Już jej zostawiłam wiadomość. Tylko się nie spóźnij, dobrze?

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Pamela zapytała:

- Co się dzieje?

- Cynthia... to znaczy my wynajęliśmy człowieka, żeby dokładnie się przyjrzał sprawie zniknięcia jej rodziny.

- Aha - mruknęła. - Cóż, to nie moja sprawa, ale z mojego punktu widzenia od tamtego wypadku minęło już tyle lat, że chyba zwyczajnie wyrzucacie pieniądze w błoto. Wydaje mi się, że nikt już nie zdoła wyjaśnić, co się naprawdę stało tamtej nocy.

- Na razie, Pam - odparłem. - Dzięki za możliwość skorzystania z telefonu.

\* \*

- Napije się pan kawy? - zapytała Cynthia, gdy Den ton Abagnall wszedł do środka.

- Och, z przyjemnością - odparł. - Z ogromną przyjemnością.

Usadowił się na kanapie, a Cynthia przyniosła przygotowaną wcześniej tacę z dzbankiem kawy, filiżankami, cukrem, śmietanką i herbatnikami w czekoladzie. Napełniła kawą trzy filiżanki i wyciągnęła w stronę detektywa talerzyk z herbatnikami.

Poczęstował się z ociąganiem. Nie miałem wątpliwości, że żona, podobnie jak ja, wręcz nawołuje w myślach: „Na miłość boską, proszę wreszcie powiedzieć, czego się pan dowiedział, bo nie wytrzymam dłużej ani sekundy!”. Spojrzała jednak na tacę i powiedziała:

- Wzięłam tylko dwie łyżeczki. Terry, czy mógłbyś przynieść trzecią?

Poszedłem do kuchni, wysunąłem szufladę, żeby wziąć łyżeczkę, gdy nagle coś przykuło mój wzrok. Przy ścianie szuflady, obok brzegu plastikowego pojemnika na sztucce, gdzie zawsze gromadziło się mnóstwo rozmaitych drobiazgów, od ołówków i długopisów po druczane zapinki do torebek śniadaniowych, leżał klucz.

Wyciągnąłem go. Był to zapasowy klucz od drzwi frontowych, który zazwyczaj wisi na haczyku.

Kiedy wróciłem do saloniku z łyżeczką, Abagnall otworzył notes. Zajrzał do niego, przerzucił parę kartek i mruknął:

- Zobaczmy, co my tu mamy.

Oboje z Cynthia uśmiechnęliśmy się wyrozumiale.



- W porządku, już mam - rzekł, podnosząc wzrok. - Pani Archer, co może mi pani powiedzieć na temat Vince'a Fleminga?  
- Vince'a Fleminga?  
- Zgadza się. To z nim była pani tamtego wieczoru. Siedzieliście oboje w samochodzie zaparkowanym... - Urwał nagle, spojrzał na Cynthię, potem na mnie i znów na moją żonę, wreszcie mruknął: - Przepraszam, może czuje się pani niezręcznie, że poruszam tę sprawę w obecności męża?  
- Nie, skądże znowu.

- Zatem siedzieliście w samochodzie zaparkowanym na tyłach centrum handlowego, jeśli się nie mylę. To właśnie tam znalazł panią ojciec, wyciągnął z auta kolegi i przywiózł do domu.

- Zgadza się.

- Miałem okazję nie tylko zapoznać się z policyjnymi aktami pani sprawy, ale obejrzałem też ten program telewizyjny, którego nagranie dostałem od producentów. Przykro mi, że nie widziałem go, kiedy był emitowany, ale nie jestem zwolennikiem tego typu programów. Ten mnie zainteresował, gdyż większość przedstawionych informacji pochodziła z akt policyjnych. Okazało się więc, że tenże Vince Fleming miał co nieco zabazgraną kartotekę, że się tak wyrażę.

- Niestety, nic o tym nie wiem, nie utrzymywałam z nim kontaktów po wypadkach tamtej nocy - odparła Cynthia.

- Przez całe życie dość regularnie popadał w kłopoty z prawem - dodał Abagnall. - Zapewne wzorował się na swoim ojcu.

Anthony Fleming w tamtym okresie kierował bowiem dość rozbudowaną organizacją przestępczą.

- Tutejszą mafią? - zapytałem.

- To zdecydowanie za mocne określenie. Niemniej w znaczącym stopniu kontrolował rynek handlu narkotykami między New Haven a Bridgeport. Zajmował się też prostytutką, organizował porwania ciężarówek dostawczych i temu podobnych akcji.

- Mój Boże - jęknęła Cynthia. - Nie miałam o tym pojęcia.

To znaczy... wiedziałam, że Vince nie jest aniołkiem, ale nie miałam pojęcia, w co jest wplątany jego ojciec. Czy on jeszcze żyje?

- Nie, został zastrzelony w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Podobno zginął z ręki młodocianych oszustów pragnących się na nim odegrać za jakiś interes, który nie doszedł do skutku. Cynthia pokręciła głową, jakby nie chciała wierzyć własnym uszom.

- Policja złapała jego zabójców?

- Nie musiała tego robić - wyjaśnił detektyw. - Gangsterzy Anthony'ego Fleminga się nimi zajęli. Rozprawili się z całą szajką, nie wnikając, kto jest odpowiedzialny za śmierć ich bossa, a kto tylko znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Policja przypuszcza, że to właśnie Vince Fleming stał za tą akcją odwetową. Nigdy mu jednak niczego nie udowodniono, nie postawiono nawet w tej sprawie zarzutów. - Sięgnął po drugiego herbatnika. - Nie powinienem się tak objadać - rzekł. - Moja żona na pewno przygotowuje dzisiaj coś smakowitego na obiad.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Cynthią i jej rodziną? - zapytałem.

- Prawdę mówiąc, nic - przyznał Abagnall. - Lecz im więcej się dowiaduję o tym, na jakiego człowieka mógł wyrosnąć ten Vince, tym bardziej się zastanawiam, jaki był już tamtego dnia, kiedy zaginęła cała rodzina pańskiej żony.

- Sądzi pan, że mógł mieć coś wspólnego z tym zniknięciem? - odezwała się moja żona.

- Trudno powiedzieć. Ale na pewno miał powód, żeby się rozzłościć. W końcu pani ojciec wyciągnął panią z jego samochodu w trakcie randki. Podejrzewam, że było to dość upokarzające, jeśli nie dla pani, to na pewno dla niego. A gdyby miał

coś wspólnego ze zniknięciem pani rodziców i brata... - urwał na chwilę - ...gdyby to on ich zamordował, mógł liczyć na wpływy i doświadczenie ojca w celu skutecznego zatarcia śladów.

- Na pewno przed laty policja sprawdzała tę poszlakę - odparłem. - Nie sądzę, żeby dopiero teraz pan jako pierwszy skojarzył te fakty.

- To prawda, policja sprawdzała tę poszlakę. Ale nie doprowadziło to do żadnych konkretnych wniosków, pozostały jedynie podejrzenia. A Vince i jego rodzina skutecznie zapewnili sobie nawzajem alibi. Zeznał, że pojechał prosto do domu po tym, jak Clayton Bigge wyciągnął córkę z jego samochodu.

- To by tłumaczyło przynajmniej jedną rzecz - wtrąciła Cynthia.

- Jaką? - zdziwiłem się.

Abagnall uśmiechnął się wyrozumiale. Musiał doskonale wiedzieć, do jakiego wniosku doszła moja żona,

która wyjaśniła:

- To, dlaczego ja przeżyłam.

Detektyw z uznaniem pokiwał głową.

- Bo mnie lubił.

- A co z twoim bratem? - zapytał. - Przecież nie mógł żywić do niego żadnej urazy. - Popatrzyłem na Abagnalla. - Jak pan by to wyjaśnił?

- Todd mógł po prostu stać się przypadkowym świadkiem przestępstwa. Znalazł się na miejscu zdarzenia, więc trzeba było i jego wyeliminować.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Cynthia wyznała:

- Miał nóż.

- Kto? - zaciekawiał się detektyw. - Vince?

- Pokazywał mi go tamtego wieczoru w samochodzie. Mówił z dumą, że to... Jak się nazywa taki nóż otwierany samoczynnie po naciśnięciu guzika?

- Sprężynowiec - podsunął Abagnall.

- O właśnie - podchwyciła Cynthia. - Teraz sobie przypominam... Pamiętam, że dał mi go potrzymać... - Słowa uwięzły jej w gardle, a oczy zaczęły na dłużej znikać pod ciężkimi powiekami. - Słabo mi...

Błyskawicznie objąłem ją w ramionach.

- Jak mogę ci pomóc?

- Ja tylko... muszę... przeprosić na chwilę... żeby się odświeżyć... - wybąkała, wstając chwiejnie z fotela.

Przytrzymałem ją, aż stanęła pewnie na nogach, po czym z troską w oczach odprowadziłem wzrokiem, gdy zaczęła iść powoli schodami na górę.

Abagnall także popatrzył za nią, a gdy stuknęły zamykane drzwi łazienki, pochylił się w moją stronę i zapytał:

- Co pan o tym sądzi?

- Sam nie wiem. Wydaje mi się, że jest po prostu przemęczona.

Pokiwał głową, przez chwilę się nad czymś zastanawiając, po czym dodał:

- Wróćmy do Vince'a Fleminga. Jego ojciec czerpał całkiem niezłe zyski z całej tej nielegalnej działalności. Jeśli w ogóle był zdolny do tego, by poczuć się odpowiedzialny za poczynania syna, to mógł bez żadnych trudności zorganizować podrzucanie takich kwot, które pomogły waszej ciotce opłacić studia siostrzenicy.

- Widział pan ten list? - zapytał. - Tess pokazała go panu?

- Tak. Prawdę mówiąc, nawet mi go dała, razem z kopertami. Domyślam się, że jeszcze nie powiedział pan nic swojej żonie na ten temat.

- Jeszcze nie, ponieważ Tess chciałaby sama jej o tym powiedzieć. Jak sądzę, jest już do tego gotowa. A decyzja Cynthii

w sprawie zaangażowania pana stała się dla niej chyba ostatecznym dowodem, że nadeszła pora, by poznała i tę tajemnicę.

Abagnall w zamyśleniu pokiwał głową.

- Najlepiej byłoby teraz zrezygnować z jakichkolwiek tajemnic, skoro usiłujemy wyjaśnić starą sprawę.

- Planowaliśmy wybrać się do Tess jutro po południu, ale teraz przychodzi mi na myśl, że najlepiej byłoby z nią porozmawiać jeszcze dzisiaj - odparłem, mając na uwadze wysokość dziennego honorarium detektywa.

- To chyba całkiem niezły... - Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego. - Zapewne meldunek w sprawie obiadu - mruknął, sięgając po aparat. Ale gdy spojrzął na ekran, skrzywił się z niechęcią i chowając telefon do kieszeni, dodał: - Nagrajcie wiadomość.

Tymczasem na schodach pojawiła się Cynthia.

- Na pewno dobrze się pani czuje, pani Archer? - zapytał Abagnall. Skinęła głową, siadając z powrotem naprzeciwko niego. Odchrząknął i dodał: - Na pewno? Bo chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę.

- Tak. Proszę mówić - odezwała się.

- Tę sprawę z kolei można prosto wyjaśnić tylko na jeden sposób, a mianowicie jakimś urzędniczym błędem. Przed laty ospała biurokracja stanowa była znana z tego typu pomyłek.

- Tak?

- Nie ma pani w swoich pamiętkach ani jednego zdjęcia ojca, toteż w jego poszukiwaniu dotarłem do miejscowego wydziału ruchu drogowego. Miałem nadzieję, że znajdę tam pomoc w postaci fotografii z prawa jazdy. Okazało się jednak, że nikt nie może mi pomóc.

- Nie mają jego zdjęcia? Czyżby wtedy prawa jazdy były wydawane bez zdjęcia? - zdziwiła się Cynthia.

- To sprawa zupełnie innej natury - rzekł Abagnall. - Otóż chodzi o to, że w wydziale nie ma żadnego

śladu, jakoby pani ojciec kiedykolwiek dysponował prawem jazdy.

- Nie rozumiem.

- On w ogóle nie figuruje w kartotekach, pani Archer. Efekt jest taki, jakby od strony urzędowej pani ojciec nigdy nie istniał.

- To rzeczywiście można wyjaśnić chyba tylko w jeden sposób - przyznała moja żona. - Z archiwów komputerowych ciągle znikają wpisy osobowe różnych ludzi.

Denton Abagnall leniwie pokiwał głową.

- To prawda. Ale ponieważ ten fakt, że Clayton Bigge nie figuruje w dokumentacji wydziału ruchu drogowego, sam z siebie nie jest szczególnie znaczący, zajrzałem do archiwum osobowego ubezpieczeń społecznych.

- I co? - zaciekała się Cynthia.

- I tam też niczego nie znalazłem. W ogóle trudno jest znaleźć jakikolwiek ślad istnienia pani ojca. Nie mamy jego zdjęcia. Po dokładnym sprawdzeniu zawartości obu pudełek na dowód jego istnienia znalazłem jedynie pokwitowanie odbioru wypłaty z firmy, w której pracował. Nie zna pani przypadkiem pełnej nazwy przedsiębiorstwa, której produkty rozprowadzał w terenie?

Cynthia zamyśliła się na chwilę.

- Nie.

- Nie ma też jego danych w tutejszym urzędzie skarbowym.

Wszystko wskazuje na to, że nigdy nie płacił żadnych podatków. A przynajmniej nie pod nazwiskiem Clayton Bigge.

- Co pan mówi? Czyżby wynikało stąd, że był szpiegiem albo kimś w tym rodzaju, tajnym agentem federalnym?

Abagnall uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, niekoniecznie. Rzeczywistość rzadko bywa aż tak wyszukana.

- Mnóstwo czasu spędzał w delegacjach. - Cynthia popatrzyła na mnie. - Co o tym myślisz? Mógł być rządowym agentem wykonującym w terenie jakieś tajne misje?

- Chyba wybiegasz myślami za daleko - odparłem. - Stąd już tylko krok do tego, byśmy zaczęli się głowić, czy nie był przybyszem z innej planety. Też trudno wykluczyć, że został tu przysłany w celu obserwacji rodzaju ludzkiego, a potem wrócił do swego macierzystego świata, zabierając ze sobą twoją matkę i brata. Zapatrzyła się na mnie oczami okrągłymi ze zdumienia. Najwyraźniej nie myślała jeszcze całkiem klarownie po tym krótkim zasłabnięciu.

- Tylko żartowałem - mruknąłem przepaszająco.

Abagnall dość brutalnie sprowadził nas, a zwłaszcza mnie, na ziemię.

- Ta poszlaka nie wchodzi w zakres moich roboczych teorii.

- Więc jakie teorie bierze pan pod uwagę? - zapytałem.

Pociągnął łyk kawy.

- Opierając się na tej skąpej dotychczasowej wiedzy, mógłbym ich przedstawić co najmniej kilka - rzekł. - Czy pani ojciec mógł się posługiwać przybranym nazwiskiem? Może uciekał przed niechlubną przeszłością, na przykład kryminalną?

A może to Vince Fleming tamtego wieczoru ściągnął nieszczęście na pani rodzinę? Może przestępcza organizacja jego ojca miała coś wspólnego z jakimiś wydarzeniami z przeszłości pani ojca, które skutecznie ukrywał aż do tamtego dnia?

- Krótko mówiąc, nie wiemy nic pewnego, zgadza się? - wtrąciła Cynthia.

Detektyw odchylił się do tyłu i rozsiadł wygodnie, oparty na Poduchach.

- Jestem pewien tylko tego, że w ciągu najbliższych kilku dni liczba pytań w tej sprawie pozostających bez odpowiedzi większy się wielokrotnie. Dlatego muszę już teraz zapytać wprost, czy na pewno pani chce, bym kontynuował dochodzenie. Do tej pory wydała pani na mnie kilkaset dolarów, ale dalsze wydatki mogą już iść w tysiące. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby postanowiła pani zrezygnować z moich usług. W takim wypadku zarzuciłbym dalsze poszukiwania i przedstawił pisemny raport z dotychczasowych wyników. Ale równie dobrze mogę pracować dalej. Zależy to wyłącznie od pani.

Cynthia otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale pospiesznie wpadłem jej w słowo:

- Wolelibyśmy, żeby pan kontynuował.

- W porządku. Popracuję nad tą sprawą jeszcze przez kilka dni. I nie będę relacjonował na bieżąco rezultatów. Sądzę, że najbliższe dwie doby pozwolą jednoznacznie określić, czy w ogóle jestem w stanie uzyskać jakikolwiek znaczący postęp.

- Rozumiemy - odparłem.

- I chyba będę się musiał bliżej przyjrzeć poczynaniom tego Vince'a Fleminga. Jak pani uważa, pani Archer? Czy ten człowiek... który przecież w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim był jeszcze bardzo młody... byłby zdolny do tego, żeby sprowadzić nieszczęście na pani rodzinę? Cynthia zamyśliła się na parę sekund.

- Po tylu latach skłonna jestem przypuszczać, że byłby zdolny do wszystkiego.

- Otóż to, w takiej sprawie lepiej nie wykluczać żadnej ewentualności. Dziękuję za kawę.

Przed wyjściem oddał jeszcze oba pudełka po butach wypełnione pamiątkami. Gdy tylko Cynthia zamknęła za nim drzwi, odwróciła się do mnie i zapytała:

- Kim naprawdę był mój ojciec? Kim on mógł być, do cholery?

Przypomniałem sobie list Jane Scavullo napisany w ramach pracy domowej z twórczego pisania. List o tym, że wszyscy jesteśmy sobie nawzajem obcy i bardzo często niewiele wiemy nawet o swoich najbliższych.

Przez ćwierć wieku moja żona zносиła ból i niepokój związany z tajemniczym zniknięciem swoich najbliższych, nie mając nawet mglistej poszlaki co do losu, jaki ich spotkał. Nadal trudno było znaleźć choćby wskazówkę do wyjaśnienia tajemnicy, gdyż na powierzchnię wyływały jedynie strzępy informacji przypominające kawałki rdzewiejącego poszycia z zatopionego przed laty statku. Należały do nich rewelacje o domniemanym posługiwaniu się przez jej ojca przybranym nazwiskiem i sugestie, że przeszłość Vince'a Fleminga mogła być o wiele bardziej mroczna, niż sądziliśmy. Dochodził do tego zagadkowy telefon oraz niewyjaśnione pojawienie się kapelusza, który według wszelkich przesłanek mógł należeć do Clayтона Bigge'a. A późnym wieczorem nasz dom obserwował jakiś mężczyzna. No i Tess ujawniła, że przez jakiś czas otrzymywała w kopertach gotówkę przeznaczoną na wykształcenie Cynthii. Doszedłem teraz do wniosku, że moja żona ma niezbywalne prawo, żeby dowiedzieć się o tych podzuczanych kopertach

z pieniędzmi. Nadal jednak uważałem, że będzie lepiej, gdy usłyszy o tym od samej ciotki.

Z trudem przetrwaliśmy obiad, powstrzymując się od dyskusji na tematy, które wynikły po wizycie Abagnalla. Oboje byliśmy przekonani, że Grace i tak już miała za dużo styczości z tą sprawą. Jej wewnętrzny radar pracował z maksymalną czułością i zbierał najdrobniejsze strzępy informacji, porównywał je z wcześniejszymi i na tej podstawie dobierał parametry do szukania następnych danych. Martwiliśmy się, że dyskutując przy małej o przeszłości Cynthii, omawiając spotkanie z zachłanną jasnowidzką czy komentując dochodzenie Abagnalla, tylko niepotrzebnie rozniecimy jej zaniepokojenie, przejawiające się dotąd głównie w lęku, że któreś nocy z powierzchni ziemi zmiecie nas upadek asteroidy z kosmosu.

Choć staraliśmy się za wszelką cenę uniknąć drażliwego tematu, i tym razem to Grace do niego nawiązała.

- Gdzie jest kapelusz? - zaciekała się, ledwie nałożywszy sobie na talerz pierwszą łyżkę gotowanych ziemniaków.

- Słucham? - spytała zaskoczona Cynthia.

~ Pytam o kapelusz twojego ojca. Ten, który zostawił na stole kuchennym. Gdzie on jest?

!~ Schowałam go do szafy.

~ Mogę go zobaczyć?

- Nie - oznajmiła stanowczo Cynthia. - To nie jest zabawka.

- Wcale nie zamierzałam się nim bawić. Chciałam tylko popatrzeć.

- Nie życzę sobie, żebyś się nim bawiła, dotykała go czy choćby na niego patrzyła!

Grace przygarbiła się i wróciła do ziemniaków.

Nie uszło mojej uwagi, że Cynthia była już podminowana do końca obiadu. Któż by nie był na jej miejscu, dowiedziawszy się zaledwie przed godziną, że człowiek, którego przez całe dzieciństwo znała jako Clayтона Bigge'a, wcale nie musiał się tak nazywać.

- Wydaje mi się, że powinniśmy już dziś pojechać z wizytą do Tess.

- Tak - podchwyciła Grace. - Pojedźmy do ciotki Tess.

Cynthia spojrzała na mnie, jak gdyby wyrwana z głębokiej zadumy, i mruknęła:

- Pojedziemy jutro. Jeśli się nie mylę, już się z nią umawiałeś telefonicznie na jutro.

- Tak, wiem, ale pomyślałem właśnie, że byłoby dobrze spotkać się z nią już dziś. Jest sporo rzeczy do omówienia. Sądzę, że mogłabyś z nią przedyskutować ostatnie odkrycie Abagnalla.

- A co powiedział? - zaciekała się Grace.

Sporunowałam ją wzrokiem.

- Dzwoniłam do niej wcześniej i nagrałam wiadomość - powiedziała Cynthia. - Musiała gdzieś wyjść.

Prosiłam, żeby zadzwoniła do nas po powrocie.

- To może teraz ja zadzwonię - rzekłem, podchodząc do telefonu.

Dzwonek rozbrzmiał sześć razy, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Pamiętając o wiadomości nagranej wcześniej przez Cynthię, nie zostawiłem drugiej, tylko przerwałem połączenie.

- Przecież mówiłam - skwitowała Cynthia.

Spojrzałem na zegar, dochodziła siódma wieczorem. Pomyślałem, że niezależnie od celu wyjścia z domu, Tess powinna wrócić w najbliższym czasie.

- I tak mam ochotę do niej pojechać. Zanim dotrzemy na miejsce, powinna już być w domu. W przeciwnym razie zaczekamy, aż skończy robić zakupy. Masz jeszcze zapasowy klucz do jej domu, prawda?

Cynthia przytaknęła ruchem głowy.

- To naprawdę nie może poczekać do jutra? - zapytała.

- Mam wrażenie, że Tess nie tylko chciałyby znać na bieżąco, czego dowiedział się Abagnall, ale mogłyby też podzielić się z nami pewnymi informacjami.

- Jakimi informacjami? O czym ty mówisz? - zdziwiła się.

Grace także obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale już wiedziała, że nie powinna w ogóle zabierać głosu w tej dyskusji.

- Nie wiem. Podejrzewam, że odkrycia Abagnalla mogłyby pobudzić jej pamięć, skłonić do wyjawienia czegoś, o czym nawet nie wspominała przez te wszystkie lata. No wiesz, jeśli powiemy jej, że twój ojciec mógł mieć inną... jak by to ująć?... tożsamość, zareagowałaby: „Ach, tak, to by wyjaśniało takie czy inne rzeczy”.

- Zachowujesz się tak, jakbyś już wiedział, co ona ma mi do powiedzenia.

W ustach mi zaschło. Wstałem od stołu, spuściłem z rur nagrzaną wodę, nalałem sobie zimnej do szklanki, wypłem duszkiem i odwróciłem się, opierając pośladkami o brzeg szafki.

- W porządku - powiedziałem. - Grace, twoi rodzice muszą chwilę porozmawiać na osobności.

- Ale ja jeszcze nie skończyłam obiadu.

- Więc idź z talerzem pooglądać telewizję.

Wstała, zabrała swoją porcję i wyszła z pokoju z obrażoną miną. Nie wątpiłem, że według niej chcę jej odebrać wszystko, co najlepsze.

- Przed tymi ostatnimi badaniami - zacząłem, zwracając się do Cynthii - Tess była przekonana, że jest umierająca.

Przyjęła to bez mrugnięcia okiem.

- A więc wiedziałeś o tym wcześniej.

- Tak. Powiedziała mi, że według postawionej diagnozy zostało jej tylko parę miesięcy życia.

- I zachowałeś tę wiadomość dla siebie.

- Proszę, wysłuchaj mnie do końca. Potem się będziesz wściekać. - Dzielnie zniósłem lodowate spojrzenie, którym przeszła mnie jak szpada. - Byłaś wtedy w bardzo silnym stresie, dlatego Tess powiedziała o tym tylko mnie, ponieważ się obawiała, że źle zniesiesz tak złą wiadomość. W efekcie wcale nie musiała ci o tym mówić, bo się okazało, że wcale nie jest śmiertelnie chora.

Sądzę jednak, że powinniśmy o tym pamiętać.

Cynthia zbyła to milczeniem.

- W każdym razie wówczas, sądząc, że stoi nad grobem, uznała, że powinna mi powiedzieć jeszcze o czymś, co także chciała ujawnić tobie, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Bała się, że nie starczy jej czasu, by wyjawić ci tę tajemnicę.

No i powiedziałem jej wszystko. O anonimowym liście, gotówce w kopertach, metodach jej podrzucania, różnych okolicznościach. O tym, skąd się brały pieniądze na opłacenie jej studiów. Jak również o tym, że Tess, traktując całkiem poważnie zawarte w liście ostrzeżenia, że nie dostanie więcej ani grosza, jeśli ujawni tajemnicę, zachowała milczenie przez tyle lat.

Moja żona słuchała uważnie, tylko od czasu do czasu przerywając pytaniami, dopóki nie skończyłem.

A wtedy popatrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. Po chwili mruknęła coś, czego chyba nigdy wcześniej od niej nie słyszałem:

- Muszę się napić.

Ściągnąłem z najwyższej półki w kredensie butelkę whisky i nalałem jej trochę do szklaneczki. Wychyliła wszystko jednym haustem, a gdy dołałem jej odrobinę, rozprawiła się z nią równie błyskawicznie.

- W porządku - oznajmiła. - Teraz możemy jechać na spotkanie z Tess.

Najchętniej pojechalibyśmy bez małej, ale trudno było liczyć na znalezienie opiekunki w ostatniej chwili. Poza tym świadomość, że jakiś człowiek obserwował wieczorem nasz dom, napawała nas obawami przed zostawieniem córki pod opieką obcej osoby.

Poprosiliśmy ją, żeby wzięła ze sobą coś, czym mogłaby się zająć, ochoczo chwyciła więc swój podręcznik o kosmosie oraz płytę DVD z filmem Kontakt z Jodie Foster w roli głównej.

W zaciszu piwnicy w domu ciotki mogła go sobie obejrzeć, umożliwiając nam zarazem swobodną rozmowę.

Tym razem jednak była wyjątkowo milcząca, jakby wyczuwała panujące między nami napięcie. Chcąc trochę rozładować atmosferę, zaproponowałem:

- Co powiecie na to, żeby w drodze powrotnej wpaść gdzieś na lody? Albo możemy zjeść lody u Tess. Pewnie coś jeszcze zostało z tych czekoladowych, które kupiła na swoje urodziny.

Gdy tylko skręciliśmy z szosy łączącej Milford z Derby i znaleźliśmy się na ulicy prowadzącej w głąb osiedla, Cynthia wskazała przed siebie.

- Jej samochód stoi przed domem.

Tess jeździła Subaru kombi z napędem na cztery koła. Często powtarzała, że nie chciałaby się zakopać w zaspach, gdyby w czasie zamieci musiała jechać po zapasy żywności.

Grace pierwsza wyskoczyła z samochodu i podbiegła do drzwi.

- Nie tak szybko, koleżanko - zawołałem za nią. - Zaczekaj.

Do nikogo nie można wpadać jak grom z jasnego nieba.

Stanęliśmy wszyscy przed drzwiami i zapukałem. Po paru sekundach zapukałem drugi raz, trochę głośniejsze.

- Może jest gdzieś na tyłach - powiedziała Cynthia. - Na przykład pracuje w ogrodzie.

Obeszliśmy dom. Grace jak zwykle pobiegła przodem, podskakując radośnie. I zanim jeszcze doszliśmy do rogu, wyłoniła się zza niego i zawołała:

- Nie ma jej tam.

Oczywiście musieliśmy się sami o tym przekonać, niemniej miała rację. Nie było Tess na tylnym podwórku, nie pracowała też w ogrodzie, zwłaszcza że szybko zapadał już zmrok.

Cynthia zapukała do kuchennych drzwi, prowadzących bezpośrednio do ciasnej kuchni w domku ciotki.

Nadal nikt nie odpowiadał.

- To dziwne - oceniła moja żona.

Mnie również dziwne wydawało się to, że mimo zapadających ciemności w domu nikt nie zapalał światła.

Stanąłem obok Cynthii na schodku i zajrzałem do środka przez maleńkie okienko w drzwiach z grubego tłoczonego szkła.

Odniosłem wrażenie, że dostrzegam jakąś sylwetkę na podłodze w kuchni. W każdym razie coś burzyło szachownicowy czarno-biały wzór małych kafelków podłogowych.

I była to sylwetka człowieka.

- Cynthia - powiedziałem cicho. - Zabierz Grace do samochodu.

- O co chodzi?

- Nie pozwól jej wejść do środka.

- Jezu, Terry... - szepnęła z przejęciem. - Co się stało?

Zacisnąłem dłoń na gałce i przekręciłem ją ostrożnie, jakbym chciał sprawdzić, czy drzwi są zamknięte.

Nie były.

Wszedłem do środka, mając świadomość, że Cynthia zagląda mi przez ramię. Przeciagnałem ręką po ścianie i wymacawszy kontakt, zapaliłem światło.

Tess leżała w kuchni, twarzą do podłogi, z głową wykręconą pod dziwnym kątem, jedną ręką wyciągniętą daleko przed siebie, a drugą opuszczoną wzdłuż ciała.

- Och, mój Boże - jęknęła Cynthia. - Musiała mieć wylew albo coś w tym rodzaju.

Nie znałem się za bardzo na medycynie, ale uderzyło mnie, że kałuża krwi na podłodze jest zdecydowanie za duża na to, by przyczyną śmierci mógł być wylew.

Gdyby nie było z nami Grace, Cynthia pewnie straciłaby panowanie nad sobą. Kiedy jednak usłyszała za plecami szybkie kroki nadbiegającej córki, gotowej jednym susem wskoczyć do środka, odwróciła się na pięcie, żeby odciąć jej drogę, po czym ruszyła razem z małą w kierunku frontowego podwórka.

- Co się stało? - zawołała zdumiona Grace. - Ciociu Tess?!

Klęknąłem obok Tess i z ociąganiem przytknąłem dwa palce z boku jej szyi, która była już bardzo zimna.

- Tess... - szepnąłem.

Na podłodze pod nią było tyle krwi, że zrezygnowałem z pomysłu obrócenia jej twarzą do góry. Zresztą

uzmysłowilem sobie, że nie powinienem tu niczego dotykać. Dlatego tylko obróciłem się i pochyliłem nisko nad kafelkami, żeby zajrzeć jej w twarz. Na widok szeroko rozwartych szklistych oczu utkwionych jak gdyby w oddali dreszcz przeszedł mi po plecach.

Krew na podłodze, jak dalece mogłem to ocenić okiem laika, była już mocno zżelowana i wyschnięta na obrzeżach kałuży, co by sugerowało, że Tess leżała tak od długiego czasu. W dodatku powietrze w kuchni było przesiąknięte odrażającym smrodem, który zacząłem rejestrować dopiero teraz, gdy minął Pierwszy szok.

Wstałem i podszedłem do telefonu wiszącego na ścianie bok korkowej tablicy. Wyciągnąłem już rękę po słuchawkę, lecz zawahałem się, ponownie tknięty myślą, żeby niczego nie dotykać. Sięgnąłem po swoją komórkę i wybrałem numer alarmowy.

- Tak, oczywiście, że zaczekam - odparłem operatorce z policyjnej centrali, która przyjęła meldunek. - Donikąd się nie wybieram.

Wyszedłem na podwórko, okrążyłem dom i wyłoniłem się od frontu. Cynthia siedziała na przednim fotelu w otwartych drzwiach samochodu i trzymała Grace na kolanach. Mała tuliła się do niej z rączkami zrzucenymi matce na szyję, chyba płakała. Na szczęście żona sprawiała wrażenie zbyt zaszokowanej, żeby uronić choć jedną łzę.

Spojrzała na mnie z niemyim pytaniem w oczach. Odpowiedziałem, kilka razy pokręciwszy wolno głową.

- Co się stało? - zapytała. - Myślisz, że miała atak serca?

- Atak serca? - odezwała się Grace. - Ale nic jej nie jest, prawda? Ciocia Tess czuje się już dobrze?

- Nie - odparłem, zwracając się do Cynthii. - To nie był atak serca.

Policja to potwierdziła.

W ciągu następnej godziny przed domem zjawili się co najmniej dziesięć samochodów, w tym kilka radiowozów oraz karetka, która musiała dość długo czekać, jak również parę telewizyjnych furgonetek reporterskich, zmuszonych przez policję do pozostania na głównej szosie.

Kilku śledczych rozmawiało ze mną i z Cynthią niezależnie od siebie, podczas gdy Grace wciąż zasypującą wszystkich pytaniami zaopiekowała się policjantka z patrolu. Wcześniej powiedzieliśmy jej tylko tyle, że Tess była poważnie chora i przydarzyło jej się coś złego. Coś bardzo złego.

Oględniej się już nie dało.

Tess została zasztyletowana. Ktoś zadźgał ją jej własnym nożem kuchennym. W pewnym momencie, kiedy stałem na progu kuchni, a Cynthia przed domem w radiowozie odpowiadała na pytania detektywa, usłyszałem, jak techniczka z zakładu medycyny sądowej powiedziała do prowadzącego śledztwo, że nie jest jeszcze całkiem pewna, ale ma wrażenie, iż cios nożem trafił prosto w serce.

Jezu.

Policja miała do mnie mnóstwo pytań. Po co przyjechaliśmy? W odwiedzinach. No i po to, żeby uczcić dobre nowiny.

Tess właśnie usłyszała od lekarza skorygowaną ocenę swego stanu zdrowia, wyjaśniłem.

Nie była poważnie chora.

Usłyszawszy to, śledczy tylko syknął przez zęby, był na tyle kulturalny, że nie wybuchnął gromkim śmiechem.

Czy nie mam żadnych podejrzeń, kto mógł to zrobić? Nie.

I taka była prawda.

- Niewykluczone, że mamy do czynienia z włamaniem - orzekł. - Jakies dzieciaki mogły potrzebować pieniędzy na narkotyki albo coś w tym rodzaju.

- Czy okoliczności zabójstwa wskazują, że jego przyczyną było włamanie? - zapytałem.

Zamyślił się na krótko.

- Niezupełnie. - Wydał wargi i przeciągnął językiem po zębach. - Nie wygląda na to, żeby coś zginęło.

Włamywacze pewnie wzięliby kluczyki i odjechali samochodem, ale tak się nie stało.

- Dlaczego używa pan liczby mnogiej?

Uśmiechnął się.

- Bo tak jest po prostu łatwiej. Oczywiście nie wykluczam, że była to jedna osoba, ale równie dobrze mogło ich być więcej.

Na tym etapie niczego jeszcze nie wiemy.

- To zabójstwo - zacząłem z ociąganiem - może mieć związek z tym, co się przydarzyło mojej żonie.

- To znaczy?

- Z wypadkiem sprzed dwudziestu pięciu lat.

Przedstawiłem mu w dużym skrócie historię Cynthii. Powiedziałem też o zaskakujących ostatnich

wydarzeniach, które zapoczątkowała emisja reportażu w telewizji.

- Ach tak - mruknął detektyw. - Wydaje mi się, że go widziałem. Prowadziła go ta znana dziennikarka... Jak ona ma na imię? Paula?

- Zgadza się. - Powiedziałem mu też, że w ostatnim czasie zaangażowaliśmy prywatnego detektywa, żeby przyjrzał się bliżej sprawie sprzed lat. - Nazywa się Denton Abagnall - dodałem.

- Znam go. To porządny facet. Mam nawet do niego telefon.

Pozwolił mi odejść, zastrzegając jednak, żebym nie wracał jeszcze do Milford, tylko został w okolicy na wypadek, gdyby coś przyszło mu w ostatniej chwili do głowy. Wyszedłem więc do Cynthii. Ją też już policja przesłuchała. Siedziała, jak poprzednio, w otwartych drzwiach samochodu, trzymając Grace na kolanach. Mała sprawiała wrażenie zagubionej i przestraszonej. Na mój widok zapytała:

- Tato, czy ciocia Tess nie żyje?

Zerknąłem na żonę, oczekując od niej jakiegoś sygnału. Nie wiedziałem, czy mam mówić prawdę, czy też nie. Ale nie doczekałem się. Odparłem więc szczerze:

- Tak, skarbie. Nie żyje.

Wargi zaczęły jej dygotać.

- Powinieneś być mi powiedzieć - odezwała się Cynthia tak zrównoważonym, obojętnym i nieswoim głosem, że od razu uzmysłowiłem sobie, w jakim jest stanie.

- O czym?

- O tym, czego się dowiedziałeś, co ci wyjawiała Tess. Powinieneś być mi od razu to powiedzieć.

- Masz rację. Powinienem być to zrobić.

Po krótkim namyśle, starannie dobierając słowa, dodała:

- Wtedy może nie doszłoby do tego.

- Cyn, naprawdę nie widzę związku... to znaczy... trudno powiedzieć, czy...

- Masz rację. Trudno powiedzieć. Ale jednego jestem pewna. Gdybyś powiedział mi wcześniej, czego się od niej dowiedziałeś, o gotówce i podrzucanych jej kopertach, na pewno zdążyłabym się z nią skontaktować w tej sprawie, zdążyłybyśmy usiąść razem, żeby się zastanowić, co to wszystko może oznaczać, a gdyby do tego doszło, może byłabym tu w kluczowej chwili, może wcześniej zdążyłybyśmy do czegoś dojść, zanim ktoś zyskał okazję, żeby to zrobić.

- Cyn, skąd mogłem...

- O czym jeszcze mi nie powiedziałaś, Terry? Co jeszcze przede mną ukrywasz, zasłaniając się troską o mnie? Co ci jeszcze powiedziała? Co jeszcze jest takiego, czego pozornie nie mogłabym znieść?

Grace zaczęła płakać i wtuliła buzię w pierś matki. Rzeczywiście wyglądało na to, że chcąc ją chronić przed silniejszym stresem, po prostu zawaliliśmy sprawę.

- Kochanie, przysięgam na Boga - wycodziłem - że jeśli cokolwiek utrzymywałem przed tobą w tajemnicy, robiłem to wyłącznie dla twojego dobra.

Przytuliła mocniej Grace do siebie.

- Co jeszcze, Terry? Co jeszcze?

- Nie ma niczego więcej.

Była jednak pewna drobna rzecz. Uświadomiłem to sobie dopiero teraz, ale nie wspominałem o tym, nie mając pojęcia, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Kiedy po raz kolejny śledczy wezwali mnie do kuchni, poprosili o dokładne opisanie wszystkich moich poczynań. Chcieli wiedzieć, gdzie stałem, co robiłem, czego dotykałem.

Przechodząc już do saloniku, rzuciłem okiem na niewielką korkową tablicę wiszącą przy telefonie.

Naczelne miejsce zajmowało na niej zdjęcie Grace, które sam jej zrobiłem w czasie wycieczki do Disney Worldu.

Wyteżyłem pamięć, żeby sobie przypomnieć, co Tess powiedziała mi przez telefon zaraz po tym, jak odwiedził ją Denton Abagnall.

Pod koniec rozmowy poprosiłem, że gdyby przypomniała sobie o czymś jeszcze, żeby zadzwoniła bezpośrednio do niego.

Tess odparła wtedy: „Też mnie o to prosił. Zostawił swoją wizytówkę. Właśnie mam ją przed oczami, bo przypięłam ją sobie na korkowej tablicy przy telefonie, tuż obok zdjęcia Grace w towarzystwie Goofy'ego”. Teraz na tablicy nie było wizytówki detektywa.

- Nie gadaj - rzuciła, jakby nagle diametralnie zmieniła nastawienie.

- Ale to prawda - odparł.

- No proszę. I pomyśleć, że właśnie o niej rozmawialiśmy.

- Właśnie.



- Niewiarygodny zbieg okoliczności - przyznała ciszej. - Dobrze, że akurat tam byłeś, i w ogóle.
- To prawda.
- W pełni sobie na to zasłużyła, sam rozumiesz.
- Dlatego byłem pewien, że nie będziesz się wściekać, kiedy się dowiesz. Sądzę jednak, że w tej sytuacji będziemy musieli o parę dni opóźnić następny etap.
- Czyżby? - Świetnie pamiętała, że sama nawoływała do cierpliwości i wytrwałości, ale teraz i ona poczuła chęć ostatecznego załatwienia sprawy.
- Jutro zaczną się tu przygotowania do pogrzebu - wyjaśnił - a jak sądzą, trzeba będzie pozatwierać mnóstwo formalności, tymczasem ona nie ma żadnych bliższych krewnych, którzy by jej w tym pomogli, prawda?
- Tak mi się przynajmniej wydaje.
- Zatem moja siostrzyczka będzie bardzo zajęta w różnych urzędach, prawda? Proponuję wobec tego poczekać, dopóki znów nie nastanie spokój.
- Rozumiem twój punkt widzenia, ale chciałabym, żebyś zrobił coś dla mnie.
- Słucham - mruknął.
- To drobnostka.
- Tak?
- Nie nazywaj jej swoją siostrzyczką - wycodziła groźnym tonem.
- Przepraszam.
- Dobrze wiesz, co czuję.
- W porządku. To tylko... no, wiesz...
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Dobrze, mam - zgodził się szybko. - Więcej tego nie zrobię.

Niewiele było osób, które należało zawiadomić.

Tess miała tylko jedną siostrę, Patricię Bigge, matkę Cynthii. Ich rodzice od dawna nie żyli. Tess krótko była mężatką, nie miała dzieci. Jakiegokolwiek próby wytropienia jej byłego męża były pozbawione większego sensu. I tak by nie przyjechał na pogrzeb, a i zmarła nie życzyłaby sobie obecności tego sukinsyna.

Nie utrzymywała kontaktów towarzyskich z ludźmi z wydziału ruchu drogowego, gdzie pracowała przed przejściem na emeryturę. Z tego, co mówiła, nie miała tam nawet bliższych znajomych, wyraźnie ją lekceważono z powodu skrajnie liberalnych poglądów. Należała do klubu brydżowego, ale Cynthia nie znała żadnego z jej członków i nie wiedziała, jak mogłaby ich zawiadomić.

Zresztą indywidualne zawiadomienia o pogrzebie nawet nie były specjalnie konieczne. Zabójstwo Tess Berman szeroko komentowano w telewizji. Reporterzy rozmawiali z mieszkańcami osiedla rozrzuconego przy mocno zadrzewionej ulicy, jednak żaden z nich nie zauważył niczego podejrzanego w okresie poprzedzającym bezpośrednio śmierć Tess.

- To zagadkowa historia - oznajmił jeden z mieszkańców przed kamerą.

- Tutaj takie rzeczy do tej pory się nie zdarzały - powiedział inny.

- Teraz szczególnie pilnujemy, żeby na noc nie zostawiać otwartych okien lub drzwi - wyznał kolejny.

Może gdyby Tess została śmiertelnie pchnięta nożem przez byłego męża lub porzuconego kochanka, ludzie w sąsiedztwie mogliby nadal spać spokojnie. Ale szybko rozeszły się plotki, że policja nie wie, kto mógł to zrobić, bo nie zna nawet motywu zbrodni, a tym samym nie ma podejrzanego.

Nie znaleziono śladów włamania. Nic też nie wskazywało na to, że doszło do walki, gdyż jedynie stół kuchenny był nieco przesunięty i stał ukosem, a krzesło przewrócone. Wszystko wskazywało na to, że zabójca uderzył niespodziewanie i Tess tylko krótko stawiała opór, szarpnęła się raz czy drugi, przez co napastnik zderzył się ze stołem i przewrócił krzesło. Cios nożem trafił ją w serce i szybko rozstała się z życiem.

Według oceny policyjnych fachowców zwłoki leżały na podłodze w kuchni około doby.

Mimowolnie rozmyślałem o tym wszystkim, co robiliśmy w tym czasie, kiedy Tess leżała martwa w kałuży własnej krwi.

Szykowaliśmy się do snu, przespaliśmy noc, potem wstaliśmy, myliśmy zęby, wysłuchaliśmy porannych wiadomości radiowych, pojechaliśmy do pracy, zjedliśmy obiad - krótko mówiąc, normalnie przeżyliśmy tę jedną dobę, której Tess nie dane już było przeżyć.

Ta myśl była wręcz nie do zniesienia.

Ale kiedy postanowiłem się odciąć od tych rozważań, mój umysł podsunął mi jeszcze bardziej nurtujące problemy. Kto mógł zamordować Tess? I dlaczego? Czy tylko przypadkiem padła ofiarą nieznanego

napastnika, czy też jej śmierć miała coś wspólnego z przeszłością Cynthii?

I gdzie się podziała wizytówka Dentona Abagnalla? Czy Tess faktycznie przypięła ją na tablicy, jak powiedziała mi przez telefon? A może później zdecydowała, że na pewno nie zadzwoni do niego z żadną informacją, toteż ją zdjęła i wyrzuciła do śmieci?

Następnego ranka, pochłonięty tego rodzaju pytaniami, odszukałem wizytówkę, którą Abagnall dał mnie, i zadzwoniłem pod numer jego komórki.

Po paru sekundach zgłosił się automat centrali i zaprosił do pozostawienia wiadomości na poczcie głosowej; a więc aparat komórkowy detektywa był wyłączony.

Wybrałem jego numer domowy. Odebrała jakaś kobieta.

- Czy mógłbym rozmawiać z panem Abagnallem?

- A kto mówi?

- Pani Abagnall?

- Kto mówi?

- Terry Archer.

- Ach, pan Archer! - odparła z entuzjazmem, który zabrzmiał nieco histerycznie. - Właśnie zamierzałam do państwa dzwonić.

- Pani Abagnall, muszę pilnie rozmawiać z pani mężem.

Niewykluczone, że policja już się z nim skontaktowała. Podczas przesłuchania wczoraj wieczorem podałem śledczym jego nazwisko i...

- Nie miał pan od niego żadnej wiadomości?

- Słucham?

- Pytam, czy Denton się z państwem nie kontaktował. Nie wie pan, gdzie on jest?

- Nie, nie mam pojęcia.

- To do niego całkiem niepodobne. Owszem, zdarza się, że pracuje też po nocy, prowadząc obserwację, ale zawsze uprzedza mnie o takiej sytuacji.

Złe przeczucie ścisnęło mnie w dołku.

- Był u nas wczoraj po południu. Nawet dość późno. Relacjonował swoje ostatnie odkrycia.

- Tak, wiem - odparła. - Jak do niego dzwoniłam, właśnie odjeżdżał sprzed państwa domu. Szybko skończył rozmowę?

mówiąc, że ma drugi telefon, że ktoś zostawił dla niego jakąś pilną wiadomość i że później oddzwoni.

Przypomniałem sobie, jak zadzwonił telefon Abagnalla, gdy siedzieliśmy w naszym saloniku.

Podejrzewając, że to informacja od żony w sprawie obiadu, ochoczo sięgnął po komórkę, ale gdy spojrzął na ekranik, zrobił zdziwioną minę i mruknął p<sup>o</sup> nosem, żeby rozmówca zostawił wiadomość.

- Nie wie pani, kto do niego dzwonił?

- Nie wiem, bo od tamtej pory z nim nie rozmawiałam.

- I nie kontaktowała się z panią policja?

- Owszem. Mało nie dostałam zawału, gdy dziś z samego rana zobaczyłam przed drzwiami dwóch policjantów. Ale chodziło o jakąś kobietę mieszkającą pod Derby, która została zamordowana we własnym domu.

- To ciotka mojej żony - wyjaśniłem. - Pojechaliśmy do niej w odwiedziny i odkryliśmy zwłoki.

- Mój Boże... Tak mi przykro.

Zamyśliłem się nad tym, jak sformułować to, co chciałem powiedzieć, wzięwszy pod uwagę mój zwyczaj oszczędzania ludziom niepotrzebnych zmartwień. Doszedłem jednak do wniosku, że ta metoda nie przynosi pożądanego rezultatu, toteż odparłem wprost:

- Pani Abagnall, nie chcę pani martwić, bo jestem przekonany, że istnieje wystarczająco ważny powód, dla którego pani mąż od wczoraj nie dzwonił, sądzę jednak, że powinna pani zawiadomić policję.

- Och... - zająknęła się.

- Uważam, że powinna pani zgłosić zaginięcie męża, chociaż minęło jeszcze niezbyt dużo czasu od waszej ostatniej rozmowy.

- Rozumiem - odparła rzeczowo. - Zaraz się tym zajmę.

- I proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie pani coś wiedziała. Podyktuję pani mój numer domowy, jeśli go jeszcze pani nie zna, i numer mojej komórki.

Urwałem, ale nie poprosiła, bym zaczekał. Pewnie będąc żoną prywatnego detektywa, cały czas trzymała przy aparacie notatnik i długopis.

Do kuchni weszła Cynthia, która z samego rana wybrała się na rozmowę do domu pogrzebowego. Tess

okazała się nadzwyczaj przewidująca i we własnym zakresie poczyniła ustalenia, chcąc nam zaoszczędzić kłopotów. Mniej więcej rok temu Wpłaciła ostatnią ratę na pokrycie kosztów własnej kremacji 1 zażyczyła sobie, żeby jej prochy rozsypano nad wodami cieśniny Long Island.

- Cyn? - zacząłem.

Nie zareagowała. Lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

Niezależnie od tego, że uważałem to za irracjonalne, w jakimś stopniu obarczała mnie winą za śmierć ciotki. Nawet sam zacząłem się zastanawiać, czy wypadki nie mogłyby się potoczyć inaczej, gdybym powiedział jej o wszystkim zaraz po rozmowie z Tess. Może Tess wyszłaby z domu tego wieczoru, kiedy postanowił ją odwiedzić morderca, gdyby Cynthia dowiedziała się od niej, z czego zostały opłacone jej studia? Może wspólnie zasiadyłyby gdzieś poza domem, by urządzić burzę mózgow w celu wspomnienia śledztwa Abagnalla?

Nikt nie znał odpowiedzi na te pytania. I ta niewiedza należała do rzeczy, z którymi musieliśmy dalej żyć. Oczywiście oboje zwolniliśmy się z pracy. Ona uzyskała natychmiastowe zwolnienie z obowiązków w swoim sklepie odzieżowym, a ja zadzwoniłem do szkoły po należyty mi urlop okolicznościowy i nadmieniałem przy okazji, żeby lepiej ściągnęli na zastępstwo kogoś, kto będzie mógł poprowadzić za mnie lekcje przez kilka dni. Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, przemknęło mi przez myśl, że niezależnie od tego, kto będzie mnie zastępował, życzę mu powodzenia w kontaktach z moimi uczniami.

- Od tej pory nie zamierzam ukrywać przed tobą żadnych informacji - powiedziałem Cynthii. - Zatem powinnaś wiedzieć jeszcze o czymś, co się właśnie wydarzyło.

Zatrzymała się w drzwiach łączących kuchnię z salonikiem, ale nawet nie obejrzała się na mnie.

- Rozmawiałem właśnie z żoną Dentona Abagnalla - powiedziałem. - Nie wrócił wczoraj do domu.

Odniosłem wrażenie, że przychyliła się nieco w bok, jakby ktoś silnym ciosem pod żebra pozbawił ją oddechu.

- Co dokładnie powiedziała? - zapytała po chwili.

Zrelacjonowałem jej rozmowę.

Przez chwilę stała w milczeniu, oparta jedną ręką o ścianę przy futrynie, wreszcie odparła:

- Muszę znów jechać do domu pogrzebowego, żeby zatwierdzić ostateczne ustalenia co do pogrzebu.

- Rozumiem. Chcesz, żebym pojechał z tobą?

- Nie - rzuciła stanowczo i wyszła.

\* \* \*

Przez jakiś czas nie wiedziałem, co robić, żeby nie zamartwiać się bez przerwy. Sprzątnąłem kuchnię, pozbierałem rzeczy rozrzucone po całym domu i nawet z powodzeniem umocowałem złamany uchwyt statywu od teleskopu Grace.

Kiedy w końcu zajrzałem do saloniku, mój wzrok padł na dwa pudełka po butach z pamiątkami, które poprzedniego dnia Abagnall zwrócił mojej żonie. Wziąłem pierwsze z nich, wróciłem do kuchni i zacząłem wykładać poszczególne rzeczy na stół. Każdej z nich przyglądałem się dokładnie, takim wzrokiem, jakim musiał na nie patrzeć detektyw.

Kiedy nastoletnia Cynthia została zmuszona, żeby w pośpiechu zabrać z domu swoje rzeczy osobiste, po prostu przerzuciła zawartość szuflad w regale do tych pudełek, nie zapomniała również o zawartości nocnych szafek stojących przy małżeńskim łóżu rodziców. Jak w większości podobnych przypadków powstała zbieranina różnorodnych bibelotów, mniej czy bardziej ważnych, poczynając od drobnych monet i pojedynczych zapasowych kluczy, których przeznaczenia nikt nie znał, a skończywszy na paragonach, kuponach promocyjnych, spinaczach do papieru, guzikach i zaschniętych długopisach.

Clayton Bigge na pewno nie był człowiekiem sentymentalnym, ale i on gromadził różne drobiazgi, na przykład wycinki prasowe. Naczelne miejsce wśród nich zajmowały notatki o drużynie koszykarskiej, w której grał Todd. Ale najważniejszym tematem dla Clayтона wydawało się wędkarstwo. Cynthia opowiadała mi wiele razy, jak to wśród wiadomości sportowych ze szczególną pasją wyszukiwał ogłoszeń o zawodach wędkarskich, a w dziale krajoznawczym - opowieści o jeziorach zagubionych w leśnej głuszy, w których było tyle ryb, że wręcz same wskakiwały do łodzi.

W otwartym przeze mnie pudełku był cały plik tego rodzaju Wycinków, które przed laty Cynthia musiała wygarnąć z szuflady szafki przy łóżku ojca, zanim meble wraz z całym domem zostały wystawione na sprzedaż. Na ich widok przyszło mi teraz do głowy, że chyba nie zdawała sobie sprawy, iż nie mają one żadnej wartości. Mimo to rozkładałem poźótkę kartki, uważając, żeby ich nie podrzeć, i spoglądałem na treść wycinków, chcąc wiedzieć, czego dotyczą.

Niemniej jeden z nich przyciągnął moją uwagę.

Był to wycinek z „Hartford Courant” dotyczący łowienia na muchę w Housatonic River. Człowiek, który robił te wycinki z gazet, a więc zapewne Clayton, zazwyczaj pieczołowicie odcinał szpalty przylegających artykułów, nawet gdy interesujący go tekst nie był wydrukowany w jednym bloku. W tym jednak wypadku zachował prawie całą stronę, wraz z umieszczonymi na dole w czarnych ramkach reklamami i, co ważniejsze, z zachowanym w całości tekstem notatki umieszczonej po sąsiedzku, niemającej nic wspólnego z wędkarstwem.

Była to zaledwie lakoniczna wzmianka następującej treści:

Policja wciąż nie ma żadnych poszlak co do przyczyn śmierci Connie Gormley z Sharon, lat 27, której zwłoki w sobotę rano znaleziono w rowie biegnącym wzdłuż autostrady międzystanowej 1-7. Śledczy są przekonani, że żyjąca samotnie Gormley, która pracowała w Dunkin' Donuts w Torrington, w piątek późnym wieczorem szła w kierunku południowym poboczem autostrady, gdy w okolicy Cornwall Bridge potrafił ją samochód. Policja utrzymuje, że zwłoki zostały zepchnięte do rowu z wodą już po tym, jak kobieta poniosła śmierć wskutek wypadku.

Zdaniem prowadzących śledztwo sprawca wypadku mógł zepchnąć ciało do rowu, żeby zwłoki nie zostały od razu zauważone przez kierowców innych pojazdów.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego pozostała część strony gazety została tak pieczołowicie odcięta, podczas gdy ta notatka, zachowana w całości, została tylko podgięta pod artykuł o wędkarstwie?

Na górze strony widniała data 15 października 1982 roku.

Głowiłem się nad tym, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Odłożyłem wycinek na bok, wstałem od stołu i podszedłem do drzwi.

Była to Keisha Ceylon, jasnowidzka. Ta sama, która w programie telewizyjnym miała rozwiązać tajemnicę, a która ewidentnie utraciła wszelkie zdolności parapsychiczne, gdy tylko uświadomiła sobie, że realizatorzy programu nie wystawią jej czeku na okazałą sumkę.

- Pan Archer? - zapytała. I tym razem była ubrana nietypowo, miała na sobie elegancką szarą garsonkę, bez apaszki pod szyją i bez tych gigantycznych klipsów w uszach.

Ostrożnie przytaknąłem ruchem głowy.

- Jestem Keisha Ceylon. Pamięta mnie pan ze spotkania w studiu telewizyjnym?

- Tak, pamiętam.

- Przede wszystkim chciałem przeprosić za tamten incydent. Producenci obiecali wcześniej pokryć wszelkie koszty i na tym tle doszło do nieporozumienia, tyle że nasza wymiana zdań nie powinna się odbyć w obecności pańskiej żony, to znaczy nie powinniśmy się spierać z panią Archer.

Nie odpowiedziałem.

- W każdym razie - podjęła po chwili, chcąc wypełnić kłopotliwe milczenie, najwyraźniej nieprzygotowana do prowadzenia monologu - nie zmienia to faktu, że są pewne rzeczy dotyczące zaginionej rodziny pańskiej żony, którymi chciałbym się z państwem podzielić.

Nadal milczałem.

- Mogę wejść? - zapytała.

Miałem ochotę zamknąć jej drzwi przed nosem, ale przypomniałem sobie, co powiedziała Cynthia tuż przed wyjazdem na pierwsze spotkanie z tą kobietą. Uznała wówczas, że wyszlibyśmy na idiotów, gdybyśmy zaprzepaścili szansę, wynoszącą choćby jeden do miliona, na to, że ktoś rzeczywiście dysponuje Jakimiś użytecznymi informacjami w tej sprawie.

Oczywiście Keisha Ceylon była już dla nas spalona, ale to, że Postanowiła na własną rękę się z nami spotkać, nasunęło mi myśl, że może powinniśmy jej wysłuchać.

Tak więc po krótkim wahaniu otworzyłem szerzej drzwi i zaprosiłem ją do środka, wprowadziłem do saloniku i wskazałem to samo miejsce na kanapie, gdzie przed paroma godzinami siedział Abagnall. Usiadłem naprzeciwko niej w fotelu i założyłem nogę na nogę.

- Doskonale rozumiem pański sceptycyzm - zaczęła. - Proszę mi jednak wierzyć, że stale otacza nas wiele tajemniczych sił, a tylko niektórzy z nas potrafią je ujarzmić.

- Jasne - bąknąłem.

- Kiedy zdobywam jakąś informację mającą znaczenie dla kogoś przeżywającego trudny okres, czuję się zobligowana do tego, aby podzielić się swoją wiedzą. Wynika to ze zwykłego poczucia obowiązku kogoś dysponującego tak niezwykłym darem.

- Oczywiście.

- Wtedy sprawy finansowe schodzą na drugi plan.

- Potrafię to sobie wyobrazić. - Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że choć wpuściłem do domu Keiszę Ceylon, kierując się dobrymi intencjami, wkrótce będę musiał uznać swoją decyzję za błędną.

- Widzę, że pan drwi sobie ze mnie, ale ja naprawdę widzę różne rzeczy.

Czy nie powinna była powiedzieć: „Widuję duchy naszych bliskich”? Bo chyba tak to się mówi?

- I jestem gotowa podzielić się z państwem posiadanymi informacjami, jeśli państwo sobie tego zażyczą - dodała. - Niemniej zmuszona jestem prosić o pewien rodzaj rekompensaty.

Sam pan widział, jak redakcja telewizyjna mnie potraktowała, prowadząc pertraktacje w państwa imieniu.

- No tak - mruknąłem. - Jaką dokładnie rekompensatę ma pani na myśli?

Ceylon uniosła brwi, jakby do tej pory w ogóle nie brała pod uwagę takiego obrotu spraw.

- Cóż, trochę mnie pan zaskoczył - odpowiedziała. - Rozważałam sumę zbliżoną do tysiąca dolarów. Taką właśnie kwotę miała mi zapłacić stacja telewizyjna, zanim zerwała niepisaną umowę.

- Rozumiem. Może gdyby ujawniła mi pani jakąś część posiadanej informacji, łatwiej byłoby mi zdecydować, czy całość jest warta tego tysiąca dolarów.

Ochoczo pokiwała głową.

- To rozsądna propozycja. Proszę dać mi chwilę. - Odchyliła się na oparcie kanapy, zadarła głowę ku górze i zamknęła oczy. Przez dobre pół minuty trwała w bezruchu i milczeniu, jak gdyby wprowadzała się w trans, szykowała do nawiązania kontaktu z duchami. Wreszcie rzuciła: - Widzę dom.

- Dom - powtórzyłem, chwytając się tego pierwszego konkretnego.

- Przy ulicy, na której się bawią dzieci, biegnącej w szpalerze drzew. Widzę też starszą panią i starszego mężczyznę. Jest z nimi jeszcze jeden mężczyzna, ale wyraźnie młodszy. Może być ich synem. Mam nadzieję, że to jest Todd... Próbuję zajrzeć do środka domu, skoncentrować się na...

- Czy ten dom jest pomalowany na jasnożółto? - zapytałem, pochylając się w jej stronę.

Nieco mocniej zacisnęła powieki.

- Tak, zgadza się.

- Mój Boże... - szepnąłem. - A okiennice... Czy nie są zielone? Ciemnozielone?

Przechyliła lekko głowę na bok, jakby przyglądała się swojej wizji.

- Owszem, są.

- A pod oknami znajdują się drewniane skrzynki na kwiaty? - ciągnąłem z zapałem. - I rosną w nich petunie? Może je pani zobaczyć? To bardzo ważne.

Powoli skinęła głową.

- Tak, ma pan całkowitą rację. Skrzynki pod oknami są pełne kwitnących petunii. A więc to ten dom. Zna go pan?

- Nie - odparłem, wzruszając ramionami. - Wymyśliłem go sobie naprędce.

Natychmiast otworzyła oczy i wykrzywiła usta z wściekłości.

- Ty pieprzony sukinyś... -

- Chyba już skończyliśmy naszą rozmowę.

- Jesteś mi winien tysiąc dolarów!

Nie powinno się powtarzać tej samej ogranej śpiewki, bo to wstyd.

- Nie sądzę - odparłem spokojnie.

- Zapłacisz mi ten tysiąc, ponieważ... - zamilkła, żeby pospieszenie coś wymyślić - ...wiem coś jeszcze.

Miałam inną wizję. Dotyczącą tej waszej małej córeczki. Znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie...

- Aha, w poważnym niebezpieczeństwie - powtórzyłem.

- Zgadza się. Będzie wtedy w samochodzie. Gdzieś w górach. Jak mi zapłacicie, powiem więcej, byście mogli ją przed tym ustrzec.

Przed domem stuknęły zamykane drzwi samochodu.

- A ja mam swoją wizję - powiedziałem, dotykając czubkami palców skroni. - Widzę moją żonę, która za chwilę stanie w drzwiach...

I tak też się stało. Cynthia zatrzymała się w progu i w milczeniu surowym wzrokiem obrzuciła salonik.

- Witaj, skarbie - powiedziałem. - Zapewne pamiętasz Keishę Ceylon, najsłynniejszą jasnovidzkę świata. Jakoś kiepsko wyszła jej ostatnia sprzedaż tajemnic z mrocznej przeszłości, więc w ostatniej rozpaczliwej próbie zdobycia tysiąca dolarów roztoczyła przede mną wizję przyszłości groźnej dla Grace. Jak sama widzisz, próbuje zerwać na naszych rodzicielskich obawach, wykorzystując chwilę naszej słabości. -

Obejrzałem się na Keishę. - Mam rację?

Nie odpowiedziała. Przeniósłem spojrzenie na Cynthię i dodałem:

- Jak tam sprawy w domu pogrzebowym? - Znowu zerknąłem na Keishę. - Właśnie zmarła jej ciotka. Nie mogłaś wybrać lepszej okazji.

Wydarzenia potoczyły się z szybkością błyskawicy.

Cynthia złapała tamtą za włosy, brutalnie ściągnęła ją z kanapy i powlokła nisko pochyloną w stronę drzwi.

Była czerwona z wściekłości. Keisha nie należała do kobiet drobnej budowy; ale moja żona pociągnęła ją za sobą, jakby zamiatała śmieci z podłogi. W ogóle nie zwracała uwagi na dzikie wrzaski jasnowidzki i płynący z jej ust potok wyzwisk.

Pospiesznie otworzyła drzwi lewą ręką i wypchnęła bezczelną oszustkę na dwór. Ta nie zdążyła się wyprostować, straciła równowagę i wylądowała twarzą w trawie przed gankiem.

Zanim Cynthia zatrzasnęła za nią drzwi, krzyknęła:

- Zostaw nas w spokoju, ty obrzydliwa zachłanna suko!

Kiedy obejrzała się na mnie, ledwie mogła złapać oddech, a w jej szeroko rozwartych oczach płonęły dzikie błyski.

Poczułem się tak, jakby sam pęd powietrza pozbawił mnie na chwilę oddechu.

Po zakończeniu ceremonii kierownik domu pogrzebowego zabrał mnie, Cynthię i Grace swoim cadillakiem do portu w Milford, gdzie czekała już niewielka motorówka. Za nami przyjechał Rolly Carruthers z żoną Millicent, który przywiózł także Pamelę, i ta trójka dołączyła do nas na pokładzie motorówki.

Po wyjściu z przystani wzięliśmy kurs na środek cieśniny i ustawiliśmy się z wiatrem jakąś milę od brzegu, na wysokości nadmorskich rezydencji Wschodniego Broadwayu. Za młodu marzyłem, żeby tam zamieszkać, ale gdy w roku 1985 huragan Gloria spustoszył tutejsze wybrzeża, szybko zmieniłem zdanie. Pewnie mieszkając na Florydzie, można się przyzwyczaić do huraganów, ale tutaj, w Connecticut, takie rzeczy pamięta się latami.

Na szczęście, biorąc pod uwagę nietypowy charakter naszej wyprawy na morze, wiał tylko lekki wiatr. Kierownik domu pogrzebowego, którego takt i dyskrecja sprawiały wrażenie cech naturalnych, a nie nabytych, miał pod swą pieczęć urnę z prochami Tess, które zgodnie z jej ostatnią wolą sprecyzowaną w ustaleniach dotyczących pochówku miały być rozsypane nad falami cieśniny Long Island.

Przez całą drogę na łodzi panowało niemal grobowe milczenie, które tylko raz próbowała przerwać Millicent. Otoczyła ramieniem Cynthię i rzekła cicho:

- Tess nie mogłaby sobie wymarzyć piękniejszej pogody na swoją ceremonię pożegnalną.

Może gdyby ciotka zmarła w sposób naturalny, te słowa zesłałyby nam jakąś pociechę, lecz kiedy ktoś umiera z ręki innego człowieka, naprawdę trudno jest znaleźć pocieszenie.

Niemniej Cynthia spróbowała pozytywnie zareagować na tę próbę rozładowania atmosfery. Dobrze знаła Millicent i Rolly'ego jeszcze sprzed studiów, zanim ją poznałem. Traktowała ich jak przyszywane wujostwo i przez lata chętnie ich odwiedzała. Millicent znała z młodości matkę Cynthii Patricię, z którą mieszkali po sąsiedzku i zaprzyjaźnili się dawno temu. Kiedy Millicent wyszła za Rolly'ego, a Patricia wzięła ślub z Claytonem, obie pary zaczęły się spotykać na gruncie towarzyskim, stąd Carruthersowie zyskali okazję śledzenia rozwoju Cynthii, a następnie zainteresowali się jej losem, kiedy rodzice i brat zniknęli. W późniejszym okresie to jednak Rolly bardziej niż żona starał się zastąpić Cynthii bliższą rodzinę.

- Tak, to piękny dzień - podjął teraz rzuconą myśl. Podeszedł do nich bliżej ze wzrokiem wbitym w deski pokładu, jakby się bał, że niespodziewana większa fala może go zbić z nóg. - Chociaż wiem, że pogoda nie może w najmniejszym stopniu poprawić ci nastroju...

Do Cynthii podeszła także Pam, wyraźnie chwiejnym krokiem, zapewne przeklinając w duchu wysokie obcasy nienadające się do wyprawy na morze. Kiedy ją serdecznie uściskała, Cynthia popatrzyła na nią i zapytała:

- Kto mógł to zrobić? Tess nigdy by nikogo nie skrzywdziła. - Pociągnęła nosem. - Odeszła ostatnia osoba z mojej najbliższej rodziny.

Pam mocniej przytuliła ją do siebie.

- Tak, wiem, kochana. Była dla ciebie taka dobra, była dobra dla wszystkich. Musiał ją zabić jakiś szalenciec.

Rolly z niedowierzaniem pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Dokąd zmierza ten świat?”, po czym ruszył w kierunku dziobu i zapatrzył się w fale uderzające o burtę motorówki.

Podeszedłem do niego.

- Dzięki, że dzisiaj przyjechaliście - mruknąłem. - Dla Cynthii to bardzo wiele znaczy.

Obrzucił mnie zdumionym wzrokiem.

- Żartujesz? Przecież wiesz, że nie moglibyśmy was zostawić w takiej chwili. - Znowu pokręcił głową. - Ty też sądzisz, że morderstwo popełnił jakiś szalenciec?

- Nie - odparłem. - Wręcz przeciwnie. Poza tym nie sądzę, aby był to ktoś zupełnie obcy. Uważam, że Tess zabił człowiek mający ku temu konkretne powody.

- Poważnie? - zdziwił się. - A co o tym sądzi policja?

- O ile mi wiadomo, wciąż nie mają żadnej poszlaki. Zacząłem im tłumaczyć zawiłości całej tej sprawy

sprzed lat, ale szybko tracili zainteresowanie, jakby ich to przerastało o głowę.

- Tak, rozumiem. A czego się spodziewałeś? - zapytał Roily. - Mają pełno bieżącej roboty związanej z utrzymaniem porządku w mieście.

Kiedy łódź stanęła, podszedł do nas kierownik domu pogrzebowego.

- Panie Archer? Sądzę, że możemy zaczynać.

Zbiliśmy się w ciasną gromadkę na pokładzie, gdy urna z prochami znalazła się w rękach Cynthii.

Pomogłem jej ją otworzyć, przy czym oboje zachowywaliśmy się tak, jakby to była gruba wiązka dynamitu, bo baliśmy się, żeby nie rozsypać prochów ciotki w niewłaściwym momencie. W końcu, pewnie trzymając urnę oburącz, moja żona podeszła z otwartą urną do relingu i powiodła jeszcze spojrzeniem po naszych twarzach, Grace i mojej, Rolly'ego i Millicent, wreszcie Pam.

Wysypane prochy tylko przez chwilę tworzyły kupkę na powierzchni wody, zaraz się rozplynęły i zaczęły opadać. Po kilku sekundach resztki doczesnych szczątków Tess zniknęły nam z oczu. Cynthia przekazała mi pustą urnę i zachwiała się, jakby miała zaraz zemdleć. Rolly chwycił ją pod ramię, lecz szybko dała mu znać uniesioną dłonią, że nic jej nie jest.

Grace, z własnej inicjatywy, przywiozła pojedynczą różę>

którą teraz rzuciła w morze.

- Do widzenia, ciociu Tess - powiedziała. - Jeszcze raz ci dziękuję za książkę.

Cynthia oznajmiła z samego rana, że chce wygłosić kilka zdań, ale gdy nadeszła na to pora, zabrakło jej sił. Ja też nie potrafiłem znaleźć słów adekwatnych do sytuacji, zresztą uznałem, że nasze uczucia najlepiej oddaje proste dziecięce pożegnanie Grace.

Kiedy zawijaliśmy do przystani, zwróciłem uwagę na niską czarną kobietę w dżinsach i beżowej skórzanej kurtce stojącą przy końcu nabrzeża i uważnie wpatrującą się w naszą motorówkę. Była prawie tak samo szeroka, jak wysoka, ale poruszała się zwinnie i z wdziękiem. Podbiegła i chwyciła rzuconą linę, żeby pomóc kierownikowi domu pogrzebowego zacumować na wyznaczonym miejscu. Po chwili zwróciła się do mnie z dość wyraźnym bostońskim akcentem:

- Terrence Archer?

- Tak.

Okazała policyjną służbową legitymację wystawioną na detektyw Ronę Wedmore. Ale nie z Bostonu, tylko z Milford. Podała rękę Cynthii, pomagając jej przeskoczyć na pomost, podczas gdy ja przeniosłem Grace i postawiłem ją na starych poczerńiałych deskach.

- Chciałabym zamienić z panem kilka słów na osobności - dodała, o nic nawet nie zapytawszy.

Cynthia, przy której stanęła Pam, odparła szybko, że zaopiekuje się małą. Rolly z Millicent pozostali na uboczu. Ruszyłem

więc za Wedmore pomostem w kierunku stojącego na końcu czarnego, nieoznakowanego wozu policyjnego.

- Chodzi o zabójstwo Tess? - zapytałem. - Aresztowaliście podejrzanego?

- Nie, proszę pana, jestem tu w innej sprawie - odparła. - Nie wątpię, że nasz wydział dochodzeniowy dołoży wszelkich starań, by do tego doprowadzić, ale tamto śledztwo prowadzi ktoś inny, chociaż w pewnym sensie jestem również zainteresowana jego wynikami. - Mówiła bardzo szybko, wyrzucając z siebie głoski z szybkością karabinu maszynowego. - Chciałam zadać panu kilka pytań na temat Dentona Abagnalla.

Całkowicie mnie tym zaskoczyła.

- Słucham.

- Zaginął. Nie daje znaku życia już od dwóch dni.

~ Rozmawiałem przez telefon z jego żoną przedwczoraj rano, gdy nie wrócił na noc do domu. Sam jej poradziłem, żeby zawiadomiła policję.

- Nie widział go pan od tamtej pory?

- Nie.

- Nie kontaktował się z panem?

Przypominało to grę w ping-ponga.

- Nie. Skłonny jednak jestem sądzić, że jego zniknięcie ma coś wspólnego z zabójstwem ciotki mojej żony. Odwiedził ją na krótko przed jej śmiercią. Zostawił swoją wizytówkę, którą przypięta na korkowej tablicy na ścianie, jak powiedziała mi przez telefon.

Ale gdy znalazłem jej zwłoki, wizytówki na tablicy nie było.

Wedmore zapisała to sobie w notesie.

- On pracował dla państwa?

- Tak.

- I podczas tej pracy zniknął.

Nie było to pytanie, więc tylko przytaknąłem ruchem głowy.

- Co pan o tym sądzi?

- O czym?

- O jego zniknięciu? - rzuciła nieco zniecierpliwiona, jakby chciała dodać: „A o czym my tu, u diabła, mówimy?”.

Przystanąłem i zapatrzyłem się na bezchmurne błękitne niebo.

- Aż nie chce mi się o tym myśleć - przyznałem wprost. - Uważam jednak, że on także nie żyje.

Podejrzewam nawet, że gdy był u nas i przedstawiał dotychczasowe wyniki swojej pracy, telefon, który odebrał, mógł być właśnie telefonem od późniejszego mordercy.

- O której to było godzinie?

- Około piątej po południu, z dokładnością do paru minut.

- Więc było to przed piątą, o piątej czy trochę później.

- Powiedziałbym, że o piątej.

- Pytam, ponieważ kontaktowaliśmy się już z operatorem jego sieci komórkowej i uzyskaliśmy zestawienie wszystkich rozmów przychodzących i wychodzących spod jego numeru. Otóż o piątą) po południu ktoś dzwonił do niego z budki telefonicznej w Derby - Ciotka mojej żony mieszkała w tamtych stronach.

- A godzinę później odebrał jeszcze jeden telefon z budki.

ale już tutejszej, z Milford. Później już tylko jego żona próbowała się z nim połączyć, ale nie odbierała.

Cynthia i Grace wsiadły z powrotem do cadillaca kierownika domu pogrzebowego.

Wedmore pochyliła się szybko w moją stronę i chociaż była o dobre piętnaście centymetrów niższa ode mnie, zrobiła to tak gwałtownie, że odruchowo się cofnąłem.

- Kto mógłby chcieć zamordować pańską ciotkę, a potem Abagnalla? - zapytała.

- Ktoś, kto stara się zabezpieczyć, aby przeszłość już na zawsze pozostała w przeszłości - odparłem.

Millicent zaprosiła nas wszystkich czworo na lunch, ale Cynthia odparła, że wolałyby już wracać do domu.

Wyruszyliśmy więc w drogę powrotną. Ceremonia pogrzebowa wywarła olbrzymie wrażenie na Grace, która od samego rana z rozdziawioną buzią chciwie chłonoła wszelkie wrażenia z pierwszego w jej życiu pogrzebu, odnotowałem jednak z przyjemnością, że nie straciła apetytu. Ledwie weszliśmy do środka, oznajmiła, że umiera z głodu i jeśli natychmiast nie dostanie czegoś do zjedzenia, i ją będziemy musieli wyprawić na tamten świat.

Po chwili zreflektowała się i bąknęła:

- Przepraszam.

Cynthia odpowiedziała jej smutnym uśmiechem.

- Co powiesz na kanapkę z tuńczykiem?

- I selerem?

- O ile coś jeszcze zostało.

Grace podbiegła do lodówki, wyjęła plastikowy pojemnik i zajrzała do niego.

- Selera trochę zostało, tylko nie wiem, czy jeszcze się nadaje do zjedzenia, bo jest bardzo miękki.

- Pokaż, sprawdzimy - odparła Cynthia.

Powiesiłem marynarkę na oparciu krzesła przy kuchennym stole i poluzowałem krawat. Nigdy nie wkładałem garnituru na ujęcia w szkole, toteż w sztywnym i oficjalnym stroju było mi niewygodnie.

Usiadłem, postanowiwszy zepchnąć chwilowo na dno świadomości wszystkie dzisiejsze wydarzenia, żeby popatrzeć na moje dziewczęta. Żona wyjęła z szafki puszkę tuńczyka i otwieracz do konserw, podczas gdy Grace zaczęła układać przy niej na blacie młode łodygi selera.

Cynthia odsączyła tuńczyka z oleju, przetrzuciła go do miseczki i poprosiła córkę, żeby podała majonez.

Grace cofnęła się do lodówki, wyjęła stoik, odkręciła pokrywkę i postawiła go przed matką na blacie.

Następnie chwyciła jedną łodygę selera i pomachała nią szeroko w powietrzu. Rzeczywiście, miała konsystencję elastycznej gumy.

Niechcący uderzyła nią matkę w rękę.

Cynthia odwróciła się, spiorunowała ją wzrokiem, po czym wybrała dla siebie drugą łodyżkę i oddała córce cios w ramię.

Obie przyjęły postawę szermierczą i natarły na siebie, wymachując łodygami selera. Gdyby jeszcze podłożyć pod to szcęk stali, można by nakręcić całkiem niezłą scenę pojedynku.

- Uważaj! - zawołała Cynthia, przypuszczając gwałtowny atak.



Chwilę później, przy wtórze głośnych śmiechów, rzuciły się sobie w objęcia.

Przez lata się zastanawiałem, jaką naprawdę matką była dla mojej żony Patricia Bigge, nagle jednak uzmysłowiłem sobie, że odpowiedź powinna być dla mnie oczywista.

Później, kiedy Grace już się najadła i poszła na górę, żeby się przebrać w domowe ubrania, Cynthia powiedziała:

- Ładnie dziś wyglądałeś.

- Ty także - odparłem.

- Przepraszam - dodała.

- Za co?

- W gruncie rzeczy wcale nie mam do ciebie pretensji za tę sprawę z Tess. Niepotrzebnie powiedziałam w złości parę przykrych słów.

- Nic się nie stało. A ja rzeczywiście powinienem był ci o wszystkim powiedzieć o wiele wcześniej.

Wbiła wzrok w podłogę.

- Mogę cię o coś spytać? - zagadnąłem, a gdy przytaknęła ruchem głowy, powiedziałem: - Jak sądzisz, dlaczego twój ojciec zachował prasowy wycinek dotyczący pieszej potrąconej na poboczu autostrady?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- W pudełku znalazłem wyciętą przez niego notatkę o wypadku, w którym zginęła dziewczyna idąca poboczem autostrady.

Oba pudełka wciąż stały na stole w kuchni. Wycinek, pozornie dotyczący łowienia na muchę, ale obejmujący także notatkę

o dziewczynie z Sharon, która zginęła potrącona prawdopodobnie przez samochód, po czym jej zwłoki zepchnięto do przydrożnego rowu, leżał na wierzchu.

- Pokaż. - Cynthia wytarła mokre ręce w ścierkę. Podałem jej wycinek. Rozprostowała go ostrożnie, jakby miała do czynienia ze starożytnym papirusem. - Aż nie chce mi się wierzyć, że wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

- Myślałaś, że ojciec wyciął ten artykuł o łowieniu ryb na muchę?

- I teraz nie wykluczam, że wyciął go tylko z tego powodu.

- Myślę, że jedynie częściowo masz rację - odparłem. - Ja zadałem sobie pytanie, co było dla niego ważniejsze. Czy najpierw zauważył notatkę o tej dziewczynie potrąconej na autostradzie i zaczął ją już wycinać, gdy nagle zwrócił uwagę na sąsiedni artykuł o wędkowaniu i skoncentrował się na nim, czy też odwrotnie, chciał zostawić sobie informacje o łowieniu na muchę, ale zwrócił uwagę na sąsiednią wzmiankę i postanowił ją także zostawić. A może... - celowo zawiesiłem na moment głos - ...chciał tylko zachować wiadomość o wypadku na drodze, ale doszedł do wniosku, że może to wzbudzić czyjeś niepotrzebne zainteresowanie, na przykład twojej matki, dlatego postanowił zachować obie sąsiadujące publikacje, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Cynthia podała mi z powrotem wycinek i odparła:

- O co ci chodzi, do diabła?

- Boże, sam nie wiem - mruknąłem.

- Ilekroć zaglądam do tych pudełek, łudzę się nadzieją, że znajdę coś, co do tej pory uchodziło mojej uwagi. Świetnie wiem, jakie to wkurzające. Szukasz odpowiedzi, ale tu jej nie ma. A mimo to mam wrażenie, że jeszcze ją znajdę, że w końcu trafię na jakąś niepozorną wskazówkę, że odnajdę ten brakujący kawałek układanki, dzięki któremu będę mogła porozmieszczać na swoich miejscach wszystkie pozostałe.

- Tak, wiem. Rozumiem.

- Ten wypadek z kobietą potrąconą na poboczu autostrady...

Jak ona się nazywała?

- Connie Gormley, lat dwadzieścia siedem.

- Nigdy w życiu nie słyszałam tego nazwiska. Być może to o niczym nie świadczy. Lecz jeśli jest inaczej?

Jeśli to właśnie ten kawałek układanki, który umożliwia ułożenie całości?

- Myślisz, że to może być poszukiwany klucz do zagadki?

Wolno pokręciła głową.

- Nie.

Ja też tak sądziłem.

Nie powstrzymało mnie to jednak przed pójściem z tym wycinkiem na górę, gdzie włączyłem komputer i uruchomiłem poszukiwania w sieci wszelkich informacji o dwudziestosześcioletniej Connie Gormley, prawdopodobnie zabitej na poboczu autostrady w wypadku, którego sprawca uciekł z miejsca zdarzenia.

Nie uzyskałem żadnych rezultatów.

Rozpocząłem więc wyszukiwanie wszystkich Gormleyów mieszkających w tej części Connecticut, korzystając z sieciowej bazy numerów telefonicznych, i zacząłem spisywać personalia oraz numery do notatnika. Zapisałem ich około dziesięciu, gdy Cynthia zajrzała do pokoju i spytała:

- Co robisz?

Powiedziałem prawdę.

Nie jestem pewien, czy spodziewałem się z jej strony protestu, czy też zachęty do dalszych poszukiwań jakiegokolwiek tropu, chociażby najwęższego. Zmroziła mnie jednak, kiedy mruknęła:

- Muszę się położyć na parę minut.

Zacząłem wybierać kolejne numery, a gdy ktoś się zgłaszał, przedstawiałem się jako Terrence Archer z Milford i pytałem o jakiegokolwiek informacje dotyczące śmierci Connie Gormley.

- Przykro mi, nigdy o niej nie słyszałem - odparł mężczyzna spod pierwszego numeru.

- Kogo? - zapytała kobieta, która odebrała pod drugim. - Nie znałam żadnej Connie Gormley, ale moja bratanica nazywa się Constance Gormley, jest agentką handlu nieruchomościami w Stratfordzie. Ostra babka. Jeśli szuka pan domu, może pan na niej polegać.

Mogę panu podać jej numer, jeśli zechce pan chwilę zaczekać.

Nie chciałem być niegrzeczny, ale po pięciominutowym oczekiwaniu przerwałem połączenie.

Trzecia osoba, do której się dodzwoniłem, rzuciła:

- Mój Boże! Connie? To było tak dawno. - Okazało się, że trafiłem na brata zabitej, Howarda Gormleya, obecnie sześćdziesięcioletniego. - Kogo ta sprawa może jeszcze interesować po tylu latach? - zapytał gardłowym chrapliwym głosem.

- Szczerze mówiąc, panie Gormley, sam nie potrafię tego panu wytłumaczyć - odparłem. - Najbliższą rodzinę mojej żony kilka miesięcy po śmierci pana siostry spotkał dziwny wypadek, którego wyjaśnienia szukamy do dzisiaj, a notatka prasowa o śmierci Connie znalazła się wśród zachowanych rodzinnych pamiątek.

- To przedziwny zbieg okoliczności, prawda? - mruknął Howard Gormley.

- Owszem, zgadza się. Czy nie zechciałby pan odpowiedzieć na kilka pytań, które mogłyby wyjaśnić sytuację, a głównie pozwoliłyby wyeliminować jakiegokolwiek powiązania między tragediami obu naszych rodzin?

- Proszę bardzo.

- Przede wszystkim... czy ustalono, kto potracił pańską siostrę na autostradzie? Nie znalazłem na ten temat żadnych informacji. Czy komukolwiek postawiono zarzuty?

- Nie. Gliniarze nie odnaleźli sprawcy wypadku, nie było komu stawiać zarzutów. Po jakimś czasie po prostu zaprzestali dalszych poszukiwań.

- Przykro mi to słyszeć.

- Jestem przekonany, że ta historia zabiła także naszych rodziców. Po prostu zżarła ich rozpacz. Nasza matka zmarła kilka lat po tym wypadku, ojciec przeżył ją tylko o rok. Oboje mieli raka, ale z mojego punktu widzenia prawdziwą przyczyną śmierci była rozpacz.

- I policja nie wpadła na żaden trop? Nie ustaliła, kto przejeżdżał tamtego dnia autostradą?

- Jaką datę nosi ten artykuł, który pan odnalazł?

Miałem go przed sobą, tuż przy komputerze. Rozprostowałem wycinek i odczytałem datę.

- Więc pochodzi z początku dochodzenia - rzekł. - Dopiero później ustalono, że ów domniemany wypadek na poboczu autostrady został sfingowany?

- Sfingowany?

- Na początku policja sądziła, że był to klasyczny wypadek spowodowany przez pijanego albo kiepskiego kierowcę. Ale sekcja zwłok wykazała coś zdumiewającego.

- Jak to... zdumiewającego?

- Wie pan, nie jestem fachowcem. Przez całe życie zajmowałem się dekarstwem. Niewiele wiem o tej... medycynie sądowej.

W każdym razie powiedzieli nam, że większość tego, co się stało z Connie, to znaczy większość obrażeń spowodowanych przez zderzenie z samochodem, powstała już po jej śmierci.

- Zaraz, chwileczkę. Czy to znaczy, że pańska siostra była już martwa, gdy... przejechał ją samochód.

- Tak nam powiedzieli. Poza tym... - Umilkł nagle.

- Panie Gormley?

- Przepraszam, trudno mi o tym mówić nawet po upływie tylu lat. Nie chciałbym, żeby myślał pan źle o Connie, chociaż od tak dawna nie żyje. Chyba rozumie to pan.

- Tak, rozumiem.

- No więc powiedzieli, że... mogła z kimś być krótko przed tym, jak jej zwłoki znalazły się w rowie.

- Chce pan powiedzieć...

- Nic nie wskazywało na gwałt, chociaż, moim zdaniem, właśnie do niego doszło. Ale moja siostra... lubiła się włóczyć po okolicy, rozumie pan, dlatego uznali, że tamtego wieczoru musiała się spotkać z jakimś mężczyzną. Zawsze się zastanawiałem, czy to możliwe, żeby ten sam człowiek najpierw z nią był, potem ją zabił, upozorował wypadek samochodowy i zepchnął zwłoki do rowu.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

- Byliśmy zżyci z Connie. Nie aprobowałem jej sposobu życia, ale wtedy sam nie byłem aniołkiem i nie czułem się uprawniony do grożenia jej palcem. Mimo upływu lat wspomnienia wciąż przyprawiają mnie o złość i bardzo bym chciał, żeby policja w końcu odnalazła tego łotra, który zabił moją siostrę, ale zdaję sobie sprawę, że było to bardzo dawno temu i istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten sukinsyn również już nie żyje.

- Tak, to bardzo prawdopodobne - mruknąłem.

Kiedy skończyłem rozmowę z Howardem Gormleyem, jeszcze przez jakiś czas siedziałem przy biurku, gapiąc się na ścianę i próbując dociec, czy uzyskane informacje mogą cokolwiek dla nas znaczyć.

Wreszcie - jak zwykle z ociąganiem - wcisnąłem klawisz połączenia z pocztą, żeby sprawdzić, czy nie dotarły jakieś nowe mejle.

I jak zwykle było ich mnóstwo, przy czym większość stanowiły reklamówki viagry, funduszy inwestycyjnych i aukcji internetowych czy też ogłoszenia wdów po właścicielach nigeryjskich kopalni złota szukających pomocy w celu ulokowania swoich milionów na kontach północnoamerykańskich. Nasz filtr przeciwspamowy odrzucał tylko niewielki procent tego typu przesyłek.

Natknąłem się jednak na wiadomość nadesłaną z sieci Hotmail, której nadawca pozostawił jedynie numer 05121983, a jako temat korespondencji wpisał: „To już nie potrwa długo”.

Kliknąłem na tego mejla.

Tekst był krótki. „Droga Cynthio. Co do naszej rozmowy telefonicznej, twoja rodzina naprawdę ci wybacza. Nigdy jednak nie przestanie zadawać sobie pytania: Dlaczego?”.

Musiałem ją przeczytać z pięć razy, nim w końcu spojrzałem ponownie na temat korespondencji. Co miało już nie potrwać długo?

- Jakim cudem ten człowiek zdobył nasz adres mejlowy? - zapytałem.

Cynthia siedziała przed komputerem i tępo gapiła się w ekran. Tylko raz uniosła rękę i wyciągnęła przed siebie, jakby przyszło jej do głowy, że dotknięcie palcem odebranej wiadomości pozwoli ujawnić więcej szczegółów na jej temat.

- Mój ojciec - bąknęła.

- Co twój ojciec?

- Kiedy włamał się tu i zostawił kapelusz na stole, mógł przyjść na górę, żeby się rozejrzeć, i wtedy włączyć komputer, by odczytać z niego nasz adres.

- Cyn - zacząłem ostrożnie. - Przecież nadal nie wiemy, czy to twój ojciec zostawił ten kapelusz. Nie wiemy, kto się włamał do naszego domu.

Przypomniałem sobie teorię Rolly'ego, zgodną z moimi podejrzeniami, że Cynthia mogła sama podrzucić ten kapelusz do kuchni. I przez chwilę, ale tylko krótką chwilę, dołączyło się do tego skojarzenie, jak łatwo byłoby otworzyć niezależne konto w sieci Hotmail i wysłać tego mejla pod nasz adres.

Nie wygłupiaj się! - ofuknąłem się w myślach.

Po mojej ostatniej uwadze Cynthia przelotnie spiorunowała mnie wzrokiem, toteż dodałem szybko:

- Ale masz rację. Ktokolwiek się tu włamał, bez trudu mógł wejść na górę, powęszyć w naszych pokojach, włączyć komputer i spisać nasz adres mejlowy.

- A więc to ten sam mężczyzna - oznajmiła. - Ten, który dzwonił do mnie tamtego ranka, a którego natychmiast zaliczyłeś do świrów. To on teraz wysłał nam wiadomość, a poprzednio węszył po naszym domu i podrzucił w kuchni kapelusz. Fedorę mojego ojca.

Układało się to w sensowną całość.

Czułem się zupełnie bezradny, szukając odpowiedzi na pytanie, kim może być ten mężczyzna. Czy on także zamordował Tess? A może był to ten sam człowiek, którego przypadkiem zauważyłem przez teleskop Grace późnym wieczorem, gdy z ulicy obserwował nasz dom?

- I wciąż nawiązuje do przebaczenia - dodała Cynthia. - Pisze, że mi wybaczą. O co mu właściwie chodzi? I co ma znaczyć ta uwaga, że to już nie potrwa długo?

Pokręciłem głową.

- Zwróć też uwagę na adres zwrotny. - Wskazałem odpowiednie okienko na ekranie. - To tylko ciąg cyfr.

- To nie jest tylko ciąg cyfr - odparła moja żona - ale data.

Dwunasty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Dzień zniknięcia mojej rodziny.

- Nie jesteśmy tu bezpieczni - powiedziała tego samego dnia wieczorem.

Siedziała w łóżku przykryta kołdrą do pasa. Wyglądałem właśnie przez okno, zerkając ostrożnie zza zasłonki na ulicę tuż przed położeniem się do łóżka. Weszło mi to w krew, począwszy od bulwersującego odkrycia z ubiegłego tygodnia.

- Nie jesteśmy - powtórzyła. - Dobrze wiem, że czujesz to samo, co ja, tyle że nie chcesz o tym rozmawiać. Boisz się, że tylko niepotrzebnie mnie zdenerwujesz, przez co popadnę w obłąd albo coś w tym rodzaju.

- Wcale się nie obawiam, że popadniesz w obłąd - odparłem stanowczo.

- Ale też nie chcesz przyznać, iż jesteśmy bezpieczni - powiedziała Cynthia. - Tak samo ty nie jesteś bezpieczny, jak ja i Grace.

Świetnie to wiedziałem. Nie musiała mi o tym przypominać.

Ta myśl nawet przez chwilę nie dawała mi spokoju.

- Moja ciotka została zamordowana. Człowiek, którego zaangażowaliśmy do zbadania sprawy zaginięcia moich rodziców, sam zaginął. Ty i Grace widzieliście parę dni temu jakiegoś mężczyznę obserwującego nasz dom. No i ktoś tutaj był, Terry.

Jeśli nawet nie mój ojciec, to ktoś obcy. Zostawił na stole kapelusz i prawdopodobnie siedział przed naszym komputerem.

- To na pewno nie był twój ojciec - odrzekłem.

- Mówisz tak, bo dobrze wiesz, kto się włamał do naszego domu, czy tylko próbujesz mi w ten sposób przekazać, że, twoim zdaniem, mój ojciec nie żyje?

Nie odpowiedziałem.

- A dlaczego w tutejszym wydziale ruchu drogowego nie ma żadnych dokumentów dotyczących prawa jazdy mojego ojca? - zapytała. - Dlaczego nie ma jego danych w archiwach ubezpieczeń społecznych?

- Nie wiem - odparłem zmęczonym głosem.

- Myślisz, że Abagnall znalazł coś kompromitującego Vince'a? Chodzi mi o Vince'a Fleminga. Czy nie wspominał, że zamierza zdobyć więcej informacji na jego temat? Może właśnie przez to zniknął bez śladu? A może nic mu się nie stało, tylko w pogoni za informacjami o Flemingu zapomniał skontaktować się z żoną?

- Posłuchaj, mamy za sobą długi i ciężki dzień. Spróbujmy się trochę przespać.

- Proszę, powiedz wyraźnie, że nie masz już przede mną żadnych tajemnic - rzuciła. - Jak choćby informacji o chorobie Tess czy też o kopertach z gotówką, które przez lata otrzymywała od tajemniczego człowieka.

- Nie mam przed tobą żadnych tajemnic - odrzekłem. - Czy nie pokazałem ci tego mejla? Przecież mogłem go wykasować i nie wspomnieć ci o nim ani słowem. Niemniej zgadzam się z tobą, że musimy zachować ostrożność. Mamy nowe zamki w drzwiach i jak dotąd nikt ich jeszcze nie sforsował.

Przestałem też robić ci uwagi na temat odprowadzania Grace do szkoły.

- Jak sądzisz, co się właściwie dzieje? - zapytała, ale sposób, w jaki to zrobiła, niemal oskarżycielski ton, zasugerował mi wyraźnie, iż nadal podejrzewa, że jeszcze nie wszystko jej powiedziałem.

- Jezu Chryste! - warknąłem. - Nie mam pojęcia. To nie moja cholerna rodzina zniknęła przed laty z powierzchni tej przeklętej ziemi!

Popatrzyła na mnie w osłupieniu. Sam niemalże osłupiałem.

- Przepraszam. Nie powinienem był tak reagować. Wybacz.

Po prostu... ta sprawa mnie także działa na nerwy.

- To moje problemy działają tobie na nerwy - uściśliła.

- Nic podobnego. Tylko... czy nie powinniśmy wyjechać na jakiś czas? We trójkę. Grace łatwo zwolnić ze szkoły. Ja wydebiłbym jakoś parę dni od Rolly'ego, gdybym pomógł mu znaleźć zastępstwo, a i ty zapewne mogłabyś wziąć wolne...

Gwałtownym ruchem zsunęła kołdrę, spuściła nogi z łóżka i wstała.

- Idę spać z Grace. Chce być pewna, że nic jej się nie stanie.

Ktoś z nas musi w końcu podjąć jakieś kroki.

Nie zareagowałem, gdy wetknęła swoją poduszkę pod pachę i wymaszerowała z sypialni.

Głowa mnie bolała, poszedłem więc do łazienki, żeby poszukać tylenolu w apteczce. Nagle rozległy się

głośne kroki w korytarzu.

Jeszcze zanim Cynthia pojawiła się w otwartych drzwiach, doleciały mnie jej histeryczne okrzyki:

- Terry! Terry!

- Co się stało?

- Nie ma jej. Nie ma Grace w sypialni. Zniknęła!

Pobiegłem za nią korytarzem do pokoju małej, zapalając po drodze światła. Minąłem Cynthię i przed nią wpadłem do środka.

- Już sprawdzałam! Nie mam jej tu!

- Grace! - Otworzyłem drzwi szafy, zajrzałem pod łóżko.

Ubrania, które miała na sobie tego dnia, leżały na krześle przy biurku. Wybiegłem z powrotem, zajrzałem do łazienki, odsunąłem nawet zasłonkę w kabinie prysznicowej, ale nikogo za nią nie było. Cynthia wbiegła do pokoju, w którym stał nasz komputer. Chwilę później spotkaliśmy się ponownie na korytarzu. Mała rzeczywiście zniknęła bez śladu.

- Grace! - zawołała Cynthia, zapalając kolejne światła.

Pognałem schodami na dół. Nie mogło jej się przydarzyć nic złego, powtarzałem w myślach. To po prostu niewiarygodne.

Cynthia szarpnięciem otworzyła drzwi od piwnicy, wykrzykując w ciemność imię córki. Nie było żadnej odpowiedzi.

Ja wpadłem do kuchni i od razu zwróciłem uwagę, że drzwi kuchenne, w których też zainstalowaliśmy dodatkowy zamek, są lekko uchylone.

Serce podeszło mi do gardła.

- Dzwon na policję! - rzuciłem do żony.

- Och, mój Boże... - zająknęła się Cynthia.

Zapaliłem światło nad drzwiami, pchnąłem drzwi i wyskoczyłem na dwór, mimo że byłem boso.

- Grace! - zawołałem.

Niespodziewanie odpowiedział mi wzburzony głosik:

- Tato! Zgaś to światło!

Błyskawicznie obróciłem się w prawo. Grace stała pod ścianą domu, w samej piżamie, z teleskopem rozstawionym na trawniku i wycelowanym w niebo.

- O co chodzi?! - zapytała rozdrażniona.

Oboje nie tylko mogliśmy, ale zdecydowanie powinniśmy wziąć urlop, zwłaszcza po tej nocy, niemniej oboje z rana obowiązkowo stawiliśmy się w pracy.

- Naprawdę przepraszam - bąknęła Grace chyba po raz setny, pochylona nad talerzem z płatkami śniadaniowymi.

- Nigdy więcej nie waż się robić takich numerów - syknęła Cynthia.

- Przecież powiedziałam, że przepraszam.

Zona, która oczywiście spała tej nocy razem z córką, chyba nie zamierzała nawet na chwilę spuszczać jej z oka.

- Wiesz, że chrapiesz przez sen? - zagadnęła Grace.

Po raz pierwszy tego dnia miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, ale udało mi się od tego powstrzymać.

Jak zwykle pierwszy wyjechałem do pracy. Cynthia ani się ze mną nie pożegnała, ani nie odprowadziła do drzwi. Wciąż miała mi za złe wybuch poprzedzający fałszywy alarm o zniknięciu Grace. Właśnie teraz, kiedy powinniśmy się szczególnie nawzajem wspierać, wyrastała między nami niewidzialna bariera. Cynthia nie mogła się uwolnić od podejrzeń, że jednak wciąż coś przed nią ukrywam, a mnie napawały niepokojem nawarstwiające się podejrzania w stosunku do niej, które bałem się nazwać wprost nawet przed samym sobą.

Niemniej sądziła, że obarczam ją winą za wszystko, co nas spotyka. Nie ulegało wątpliwości, że jej przeszłość, jej balast z dzieciństwa, zaczyna coraz mocniej rzutować na nasze codzienne życie. Może podświadomie nawet miałem o to w jakimś stopniu do niej pretensję, ale ani przez chwilę nie uważałem, że należy ją winić za tajemnicze zniknięcie najbliższej rodziny.

Jedno nas łączyło, a mianowicie troska o to, jak ostatnie wydarzenia wpłyną na Grace. Co gorsza, sposób, jaki nasza córka znalazła sobie na zapomnienie o rodzinnych przykrościach, to znaczy ciągłe zamartwianie się możliwością tragicznych skutków upadku jakiejś asteroidy na Ziemię, sam z siebie zdawał się katalizować kolejne awantury.

Moi uczniowie zachowywali się wyjątkowo dobrze. Widocznie musiała się wśród nich rozejść plotka co do prawdziwej natury mojej kilkudniowej nieobecności. Śmierć w rodzinie. Dzieciaki w wieku licealnym, jak

większość urodzonych drapieżników, były wyczulone na słabe punkty ofiary, które dadzą się wykorzystać w walce przeciwko niej. Sądząc z wszelkich doniesień, właśnie w myśl tej zasady potraktowali kobietę, która zgłosiła się na zastępstwo. Jąkała się delikatnie, co można było raczej Przyjąć za przejaw drobnego zawahania przed pierwszym słowem każdego zdania, ale to dzieciakom w zupełności wystarczyło, żeby zacząć ją przedrzeźniać już po paru minutach. Nie wątpię, że pierwszego dnia wracała do domu zapłakana, o czym inni nauczyciele donieśli mi podczas przerwy na lunch bez cienia współczucia. Wynikało stąd, że ta droga ginie w dżungli znacznie dzikszej, niż dotąd sądziłem, którą można było tylko albo pokonać, albo zostać przez nią pokonanym.

Ale ja zostałem potraktowany ulgowo. I to nie tylko przez moją grupę pisania twórczego, ale także przez dwie inne klasy, w których nauczałem angielskiego. Wydaje mi się jednak, że ich dobre zachowanie wcale nie wynikało z szacunku dla mojej żałoby, a w każdym razie nie był to najważniejszy powód. Nie rozrabiali tylko dlatego, że wyczekiwali jakichkolwiek oznak słabości z mojej strony, uronionej łyzy, wybuchu zniecierpliwienia, trzaśnięcia drzwiami.

Ale się nie doczekali. Od nikogo nie oczekiwałem specjalnego traktowania.

Po zakończeniu pierwszej lekcji, gdy klasa już wychodziła z sali, podeszła do mnie Jane Scavullo.

- Przykro mi z powodu pańskiej ciotki.

- Dziękuję - odparłem. - Gwoli ścisłości, to ciotka mojej żony, chociaż byłem z nią równie blisko związany.

- Wszystko jedno - rzuciła i zawróciła na pięcie.

Wczesnym popołudniem przechodziłem obok sekretariatu, gdy nagle sekretarka wypadła na korytarz. Na mój widok stanęła raptownie.

- Właśnie chciałam pana szukać - powiedziała. - Dzwoniłam do pańskiego gabinetu, ale nikt nie odbierał.

- To dlatego, że jestem tutaj.

- Telefon do pana - wyjaśniła. - Dzwoni pańska żona, jeśli się nie mylę.

- Rozumiem.

- Może pan odebrać w sekretariacie.

- Dzięki.

Poszedłem za nią. Wskazała aparat stojący na biurku, na jego obudowie rytmicznie migiała lampka.

- Proszę wcisnąć ten klawisz.

Podniosłem słuchawkę i wcisnąłem migający klawisz.

- Cynthia?

- Terry, ja...

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Strasznie mi przykro za wczorajszy wieczór. Przepraszam za to, co powiedziałem.

Sekretarka usiadła na swoim miejscu i pochyliła się nad papierami, udając, że nie słucha.

- Terry, coś się...

- Może powinniśmy wynająć innego detektywa. To fakt, że wciąż nie wiadomo, co się stało z Abagnallem, lecz...

- Możesz się wreszcie zamknąć, Terry? - warknęła.

Zamilkłem.

- Coś się stało - powiedziała bardzo cicho, niemal szeptem. - Już wiem, gdzie oni są.

- Czasami, kiedy muszę dłużej czekać na telefon od ciebie, zaczyna mi się wydawać, że to ja popadłam w obłąd.

- Przepraszam - odparł. - Za to mam dobre wieści. Wygląda na to, że właśnie się zaczęło.

- Och, to cudownie. Jak mawiał Sherlock Holmes? Gra w toku? A może to z Szekspira?

- Nie jestem pewien.

- Zatem dostarczyłeś przesyłkę?

- Tak.

- Więc teraz musisz tam zostać trochę dłużej, żeby zobaczyć, jaki będzie efekt.

- Tak, wiem. Nie wątpię, że ostatecznie wiadomość znajdzie się w dzienniku telewizyjnym.

- Szkoda, że nie mam jak jej nagrać.

- Przywiozę gazety.

- Och, byłabym bardzo wdzięczna.

- Sprawa zabójstwa Tess szybko ucichła. Moim zdaniem, to świadczy, że nie wpadli na żaden trop.

- Zatem powinniśmy dziękować Bogu za tę pomyślność, która towarzyszy naszym działaniom, prawda?

- Za to mówili w wiadomościach o zaginięciu tego prywatnego detektywa, tego, którego wynajęła moja... no, wiesz...

- Myślisz, że go znajdą? - zacięła się.

- Trudno powiedzieć.

- No cóż, to już nie nasze zmartwienie. Czy mi się zdaje, czy jesteś trochę podenerwowany?

- Pewnie jestem.

- Wiem, że to najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna część planu, lecz jeśli podliczysz zyski i straty, przekonasz się, jak bardzo się opłacało. A we właściwym czasie będziesz mógł tu wrócić i mnie wziąć.

- Tak, wiem. A on nie będzie się martwić, gdzie jesteś, czemu tak długo do niego nie zaglądasz?

- I tak prawie nie mam przy nim wytchnienia - odparła. - Szybko słabnie. Został mu może miesiąc. To powinno wystarczyć.

- Myślisz, że kiedykolwiek nas kochał?

- Naprawdę kochał zawsze tylko ją - warknęła, nawet nie próbując ukryć rozgoryczenia. - A czy ona coś dla niego zrobiła?

Opiekowała się nim? Sprzątała po nim? Kto wziął na siebie rozwiązanie jego największego problemu?

Nawet mi nie podziękował za to, co dla niego zrobiłam. To nas zawsze traktował jak piąte koło u wozu.

Ograł nas z życia w normalnej rodzinie.

Tak więc to, co teraz robimy, to tylko szukanie sprawiedliwości.

- Tak, wiem - przyznał cicho.

- Co mam przygotować na twój powrót?

- Nie wiem. Może placek z marchewką?

- Jak sobie życzysz. Na własnej matce zawsze możesz polegać.

Zadzzwoniłem na komendę i zostawiłem wiadomość dla detektyw Rony Wedmore, która dała mi swoją wizytówkę podczas rozmowy na przystani, gdy wróciliśmy po rozsypaniu prochów Tess w morzu.

Poprosiłem, żeby spotkała się ze mną i z Cynthią w naszym domu, dokąd już niedługo oboje wrócimy.

Podyktowałem adres na wypadek, gdyby go nie znała, choć wydawało mi się to mało prawdopodobne.

Zapowiedziałem, że chcemy z nią rozmawiać o wydarzeniach nie dotyczących bezpośrednio sprawy zniknięcia Dentona Abagnalla, chociaż mogących mieć z nią związek.

Dodałem też, że to pilne.

Przez telefon zapytałem Cynthię, czy chce, żebym po nią przyjechał, odparła jednak, że czuje się na siłach wrócić sama do domu. Wyszedłem ze szkoły, nic nikomu nie mówiąc, gdyż byłem przekonany, że wszyscy już się oswoili z moimi dziwacznymi zachowaniami. Rolly tylko wyjrzał ze swojego gabinetu i popatrzył na mnie, gdy rozmawiałem przez telefon, a później z okna obserwował, jak wybiegałem ze szkoły.

Cynthia zjawiła się w domu kilka minut przede mną. Kiedy przyjechałem, powitała mnie w drzwiach, trzymając w ręku kopertę.

Podawała mi ją. Było na niej wykaligrafowane wielkimi literami tylko imię CYNTHIA. Brak znaczka świadczył, że list nie został nadany pocztą.

- Teraz już będą na nim i twoje, i moje odciski palców - powiedziałem, uświadamiając sobie nagle, że popełniamy wszelkie możliwe błędy, o które policja może później mieć do nas pretensje.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła. - Czytaj.

Wyjąłem ze środka pojedynczą kartkę zwykłego papieru maszynowego. Była starannie złożona na czworo, żeby zmieściła się do koperty, jak każdy list. Na odwrocie znajdowała się schematyczna mapka nakreślona ołówkiem. Przecinające się linie oznaczały drogi, jakieś miasteczko było podpisane „Otis”, jajowata ciemna plama została nazwana „jeziorem w kamieniołomie”, a przy jego brzegu znajdował się znak X. Oprócz tego autor rysunku rozmieścił kilka innych symboli, lecz nie miałem pojęcia, co mogą oznaczać.

Cynthia obserwowała mnie z zapartym tchem.

Ledwie obróciłem kartkę i spojrzałem na tekst wiadomości, od razu zauważyłem coś, co mnie uderzyło i bardzo zaniepokoiło. Zanim jeszcze zacząłem czytać, przez głowę przemknęło mi pytanie, co może oznaczać moje spostrzeżenie.

Na razie jednak postanowiłem nic nie mówić. Zacząłem czytać:

Cynthia, najwyższa pora, żebyś się dowiedziała, gdzie oni są. A w każdym razie, gdzie powinni być do

dziś. Kilka godzin jazdy na północ od twój rodzinnego miasta, tuż za granicą Connecticut, jest stary

porzucony kamieniołom. Na dnie jest jezioro, choć to wcale nie jezioro, tylko wypełniony wodą dół po

wybrany żwirze i piasku. Jest bardzo głęboki. Chyba za głęboki na to, żeby jakieś pływające tam

dzieciaki odkryły, co jest na dnie. Musisz jechać na północ szosą nr 8, minąć granicę Massachusetts, a po

dotarciu do Otis skręcić na zachód. Kieruj się mapką na odwrocie. Wzdłuż szeregu drzew biegnie tam

wąska boczna droga prowadząca na skraj kamieniołomu. Musisz uważać, jak tam dojedziesz, bo jest naprawdę stromo.

W głębi tego kamieniołomu, w najgłębszej części, na dnie tego jeziora, znajdziesz odpowiedź na swoje pytania.

Ponownie spojrziałem na mapkę naszkicowaną na odwrocie.

Zgadzały się pokazane na niej szczegóły opisane w tekście.

- Tam są - szepnęła Cynthia, wskazując palcem tajemniczy list. - Pod wodą. - Westchnęła głośno. - Zatem... nie żyją.

Widok rozmył mi się przed oczami, zamrugałem szybko, żeby odzyskać ostrość widzenia. Obróciłem ponownie kartkę i jeszcze raz przeczytałem wiadomość, po czym spojrziałem na tekst z technicznego punktu widzenia, w oderwaniu od treści.

List został wystukany na maszynie do pisania. Nie na komputerze. Nie był to wydruk.

- Skąd to masz? - zapytałem, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

- Był w poczcie Pameli - wyjaśniła Cynthia. - W skrzynce na listy. Ktoś go tam podrzucił. Na pewno nie przyniósł listonosz. Na kopercie nie ma znaczka, stempla, adresu.

- Masz rację. Ktoś musiał go podrzucić.

- Tylko kto?

- Nie wiem.

- Musimy tam pojechać. - Dzisiaj, zaraz... Musimy się sami przekonać, co tam jest, co kryje się pod wodą.

- Zaraz ma przyjechać ta śledcza Wedmore, z którą rozmawiałem na przystani. Porozmawiamy z nią na ten temat. Policja ma doświadczonych nurków. Ale jest jeszcze coś, o co chciałbym cię zapytać. W sprawie tego listu. Sama popatrz. Przyjrzyj się literom...

- Muszą natychmiast zorganizować poszukiwania - rzuciła desperacko, jak gdyby sądziła, że ludzie znajdujący się ewentualnie na dnie jeziora mogą jeszcze żyć, że zostało im jeszcze odrobinę powietrza. Usłyszałem samochód podjeżdżający pod dom i wyjrzałem przez okno. Rona Wedmore wysiadła i ruszyła w stronę ganku takim krokiem, jakby zamierzała przejść przez zamknięte drzwi, do czego wydawała się całkowicie zdolna.

Ogarnęła mnie nagle panika.

- Kochanie - zwróciłem się do żony. - Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś mi powiedzieć o tym liście?

Przed rozmową z policją? Musisz być ze mną absolutnie szczerą.

- O co ci chodzi? - zapytała zdziwiona.

- Nie widzisz w tym nic dziwnego? - Podetknąłem jej list pod nos. Wskazałem rozmieszczenie liter w jednym wyrazie i dodałem: - Na przykład tutaj, na samym początku.

- Co?

Pozioma kreska w literze „e” była prawie niewidoczna, przez co wyglądała niemal jak „c”.

- Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz - odrzekła Cynthia. - Dlaczego tak podkreślasz, że mam być absolutnie szczerą? Przecież to jasne, że niczego przed tobą nie ukrywam.

Wedmore stanęła na schodku i podniosła rękę, żeby zapukać.

- Muszę iść na chwilę na górę - powiedziałem. - Wpuść ją i powiedz, że zaraz przyjdę.

Nie czekając na reakcję Cynthii, pognałem schodami na piętro. Usłyszałem jeszcze krótkie natarczywe pukanie, później odgłos otwieranych drzwi i krótką wymianę grzeczności. Wpadłem do gościnnej sypialni, w której miałem zwyczaj sprawdzać prace domowe uczniów i szykować plany zajęć.

Moja stara maszyna marki Royal stała na biurku, obok komputera.

Nie potrafiłem zdecydować, co począć z tym fantem.

Dla mnie było zupełnie oczywiste, że list, który Cynthia zapewne pokazywała teraz detektyw Wedmore, został wystukany na tej właśnie maszynie. Zanikająca kreseczka w literze „e” nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Wiedziałem dobrze, że nie napisałem tego listu.

Wiedziałem też, że Grace nie potrafiłaby tego zrobić.

Pozostawały więc tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Albo wystukał go nieznajomy, który według naszej wiedzy myszkował po domu i mógł skorzystać z mojej maszyny do pisania, albo zrobiła to Cynthia.

Ale przecież pozmienialiśmy zamki w drzwiach. Byłem niemal stuprocentowo pewien, że przez ostatnie dni nie było w naszym domu nikogo niepożądanego.

Niemniej było dla mnie nie do pomyślenia, żeby list napisała Cynthia. Lecz jeśli, działając pod wpływem czegoś dającego się określić tylko jako niewyobrażalny stres, to ona go napisała, i dlaczego wskazywała to dziwne odległe miejsce na wyjaśnienie losu jej zaginionej przed laty rodziny?



A jeśli to ona go napisała i miało się okazać, że podała prawdziwe miejsce ukrycia zwłok?

- Terry! - zawołała z dołu. - Detektyw Wedmore czeka!

- Już schodzę!

Co to mogłoby oznaczać? Jak należałoby interpretować fakt, że przez te wszystkie lata Cynthia dokładnie wiedziała, gdzie należy szukać jej zaginionej rodziny?

Zimny pot wystąpił mi na czoło.

Może tylko spychała wspomnienia na dno świadomości, tłumaczyłem w myślach. Może wiedziała więcej, niż sobie to uzmysławiała. To chyba było prawdopodobne. Widziała, co się stało, lecz natychmiast o tym zapomniała. Czy tak właśnie było? Przecież mózg niekiedy sam decyduje, żeby zepchnąć w niepamięć przerażające widoki, bo w przeciwnym razie nie dałoby się z tym dalej żyć. Jak się nazywał ten syndrom, o którym wspomniano podczas omawiania podobnych wypadków?

A jeśli to nie miało nic wspólnego z pamięcią stłumioną? Jeśli przez cały ten czas dobrze wiedziała...

Niemożliwe.

Musiło istnieć jeszcze jakieś wytłumaczenie. Ktoś inny n pisał ten list na naszej maszynie. Wiele dni temu. Realizują szczegółowy plan. Ten sam nieznajomy, który włamał się d naszego domu i podrzucił kapelusz.

O ile był to nieznajomy.

- Terry!

- Już idę!

- Pani Archer! - zawtórowała detektyw Wedmore. - Może jednak zechce pan tu zejść?!

Zadziałałem odruchowo. Otworzyłem szafę, złapałem maszynę do pisania - już zapomniałem, jaka jest ciężka - i ustawiłem ją w środku, na podłodze, po czym przywaliłem ubraniami?

parą starych spodni, których używałem do malowania, a na wierzchu ułożyłem jeszcze plik starych gazet.

Kiedy zbiegłem po schodach, Wedmore siedziała z Cynthią w saloniku. List leżał na stoliku do kawy, a policjantka pochylała się nad nim, czytając uważnie.

- Dotykał go pan - ofuknęła mnie.

- Niestety, tak.

- Oboje go dotykaliście. Mogę jeszcze zrozumieć, że zrobiła to pańska żona, która przecież nie wiedziała wcześniej, co to jest. A jak pan wytłumaczy swoje postępowanie?

- Przykro mi. - Przeciagnałem rękoma po twarzy i brodzie, starając się zgarnąć ewentualne kropelki potu, które niewątpliwie zdradziłyby moje podenerwowanie.

- Macie płetwonurków, prawda? - zapytała Cynthia. - Możecie ich ściągnąć do tego kamieniołomu, żeby sprawdzili, co jest na dnie jeziora?

- To nie będzie takie proste - odparła Wedmore, zgarniając z czoła i zsuwając za ucho kosmyk włosów, który opadł jej na oczy. - Możliwe, że nic tam nie ma.

- To prawda - podchwyciłem.

- Ale z drugiej strony - mruknęła w zamyśleniu detektyw - warto by sprawdzić.

- Jeśli nie wyślecie tam płetwonurków, zrobię to sama - oznajmiła Cynthia.

- Cyn, nie bądź śmieszna - odparłem. - Przecież nawet nie umiesz pływać.

- Nieważne.

- Pani Archer - powiedziała Wedmore. - Proszę się uspokoić. - Zabrzmiało to jak rozkaz. Śledcza miała w sobie coś z trenera wyczynowej drużyny piłkarskiej.

- Mam się uspokoić? - zapytała niezrażona Cynthia. - Sama pani widzi, co napisał autor tego listu. Że oni tam są. Ich ciała spoczywają na dnie jeziora.

- Obawiam się - rzekła policjantka, kręcąc głową - że Przez te lata na dnie jeziora mogło się zgromadzić mnóstwo rzeczy.

- Może nadal są w samochodzie - podjęła moja żona. - W wozie matki albo ojca. Żadnego z nich nie odnaleziono.

\

Pomalowanymi na jaskrawoczerwono paznokciami Wedmore chwyciła list za sam rozek, odwróciła kartkę i zapatrzyła się na mapkę.

- Będziemy musieli się skontaktować w sprawie tego kamieniołomu z policją z Massachusetts. Zaraz do nich zadzwonię.

Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, rozłożyła go i zawiesiła palce nad klawiaturą.

- Więc jednak ściągniecie płetwonurków? - zapytała Cynthia.

- Na razie chcę zadzwonić. Poza tym trzeba przebadac ten list w laboratorium, sprawdzic, czy nie ma na

nim odcisków palców, o ile ich jeszcze nie pozacieraliście.

- Przepraszam - bąknęła moja żona.

- Ciekawe, że został napisany na maszynie - zauważyła detektyw. - Teraz już mało kto używa maszyny do pisania.

Serce podeszło mi do gardła. I wtedy Cynthia powiedziała coś, co przyjąłem jak cios obuchem w głowę.

- My mamy maszynę do pisania.

- Naprawdę? - zdziwiła się Wedmore, przerywając wybieranie ostatnich cyfr numeru.

- Terry do dziś jej używa, prawda, kochanie? Do sporządzania krótkich notatek, planów lekcji i temu podobnych. To maszyna marki Royal, zgadza się? - odwróciła się do Wedmore i dodała: - Ma ją jeszcze z czasów studenckich.

- Mogłabym ją zobaczyć? - zapytała policjantka, chowając aparat do kieszeni.

- Mogę po nią iść - zaproponowałem. - Przyniosę na dół.

- A nie mogę jej zobaczyć na swoim miejscu?

- Jest na górze - pospieszyła Cynthia. - Chodźmy, pokażę pani.

- Cyn - odezwałem się u podnóża schodów, zagradzając im drogę. - Trochę tam bałaganu...

- Chodźmy - rzuciła Wedmore, wymijając mnie szybko.

- Pierwsze drzwi po lewej - zawołała za nią Cynthia. A mnie zapytała szeptem: - Czemu nagle zapragnęła zobaczyć naszą maszynę do pisania?

Wedmore zniknęła w pokoju.

- Nigdzie jej nie widzę! - powiedziała.

Cynthia wbiegła na górę pierwsza. Skręciła do gościnnej sypialni i stanęła jak wryta.

- Zwykle stała tutaj. Prawda, Terry, że stała na biurku? - wskazała miejsce po maszynie, gdy zatrzymałem się obok niej.

Obie obrzuciły mnie podejrzliwymi spojrzeniami.

- Przeszkadzała mi, więc ją schowałem do szafy - odparłem.

Otworzyłem drzwi i klęknałem przed szafą.

- Gdzie? - zdziwiła się Wedmore, zaglądając mi przez ramię.

Ściągnąłem plik gazet oraz poplamione farbą spodnie, odsłaniając maszynę, starego czarnego royala.

Podniosłem go i postawiłem z powrotem na biurku.

- Kiedy ją tam schowałeś? - zdziwiła się Cynthia.

- Przed paroma minutami.

- Dziwnie szybko ją pan ukrył - podjęła detektyw. - Jak pan to wytłumaczy?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie.

- Proszę jej nie dotykać - poleciła Wedmore, sięgając ponownie po telefon komórkowy.

Cynthia popatrzyła na mnie w osłupieniu.

- Co ci jest? Co tu się dzieje, do pioruna?

Bardzo chciałem zapytać ją o to samo.

Rona Wedmore przeprowadziła kolejno kilka rozmów telefonicznych, większość z podjazdu przed naszym domem, żebyśmy nie słyszeli, co mówi.

Wcześniej Cynthia uzyskała jej zgodę, żeby pojechać do szkoły po Grace, toteż teraz siedzieliśmy w domu we trójkę przetrawiając ostatnie zdarzenia. Siedząc w kuchni i szykując sobie tosta z masłem orzechowym, Grace zapytała, kim jest ta wielka kobieta rozmawiająca przez telefon przed naszym domem.

- To policjantka - wyjaśniłem. - I na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, jak ją nazwałeś.

- Nigdy bym jej tego nie powiedziała w oczy - wycedziła elokwentnie mała. - Co ona tu robi? Co się dzieje?

- Nie teraz - oznajmiła Cynthia. - Idź z kanapką do swojego pokoju, proszę.

Kiedy Grace wyszła, mamrocząc coś pod nosem, Cynthia zapytała:

- Dlaczego schowałeś maszynę do pisania? Ta notatka...

Myślisz, że została napisana na naszej maszynie?

- Tak.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy.

- Czy to ty ją napisałeś? I dlatego schowałeś maszynę do szafy?

- Jezu, Cyn... - jęknąłem. - Schowałem ją, bo nabrałem podejrzeń, że to ty ją napisałaś?

Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

- Ja?

- Czy to bardziej zdumiewające od podejrzenia, że ja mogłem coś takiego napisać?
- Ale to nie ja starałam się ukryć maszynę do pisania, tylko ty.
- Robiłem to, żeby cię kryć.
- Co takiego?
- Na wypadek, gdybyś to ty napisała. Nie chciałem, żeby policja się o tym dowiedziała.
- Przez dłuższą chwilę się nie odzywała, chodząc nerwowo z kąta w kąt.
- Próbuję się w tym wszystkim jakoś połapać, Terry. Twierdzisz zatem, że, według ciebie, mogłam sama napisać ten list?
- Przecież gdyby tak było, to by oznaczało, że od początku wiedziałam, gdzie jest moja zaginiona rodzina? Sądziś więc, że naprawdę wiedziałam, iż należy jej szukać w tym kamieniołomie?
- No... niekoniecznie.
- Niekoniecznie? Więc do jakiego właściwie wniosku doszedłeś?
- Z ręką na sercu, Cyn, sam nie wiem. Całkiem się w tym pogubiłem. Ale jak tylko zobaczyłem ten list, wiedziałem, że został napisany na mojej maszynie. Jestem pewien, że to nie ja go napisałem. Zatem zostajesz tylko ty, chyba że jeszcze ktoś inny był w naszym domu i wystukał ten list na naszej maszynie, żeby... no, nie wiem, na przykład wyglądało, że sami to wszystko uknuliśmy.
- Przecież wiemy już, że ktoś tu był - wycedziła. - Świadczy o tym kapelusz i wiadomość mejlowa. Ale mimo wszystko pomyślałeś, że sama mogłam to zrobić?
- Wolałbym w ogóle nic nie myśleć w tej sprawie.
- Znowu popatrzyła mi prosto w oczy ze śmiertelnie poważną miną.
- Sądziś, że to ja zabiłam całą rodzinę? - zapytała.
- Och, na miłość boską...
- To nie jest odpowiedź.
- Nie, wcale tak nie myślę.
- Ale coś takiego przyszło ci do głowy, prawda? Zaniepokoiło cię, choćby tylko przez chwilę, że nie da się wykluczyć takiej ewentualności.
- Nie. Tu jesteś w błędzie - odparłem stanowczo. - Jedyne, co mnie ostatnio zaniepokoiło, to możliwość, że stres związany z zagadką twojej rodziny, z którą musiałaś się borykać przez lata, mógł sprawić, że... - niemalże słyszałem, jak przy każdym kroku pod moimi stopami trzaskają skorupki jaj - ...zaczęłaś myśleć i odbierać różne bodźce, może nawet postrzegać rozmaite rzeczy, w sposób... no... nie do końca racjonalny.
- Aha - mruknęła Cynthia.
- Więc kiedy zobaczyłem ten list, napisany ewidentnie na mojej maszynie do pisania, pomyślałem, że być może postanowiłaś właśnie na nowo zainteresować policję starą sprawą, zrobić wszystko, by w miarę możliwości doprowadzić do jej ostatecznego wyjaśnienia.
- I z tego powodu miałabym sugerować rozpoczęcie poszukiwań w tak odległym miejscu? Dlaczego miałabym wybrać właśnie tamten kamieniołom?
- Nie wiem.
- Rozległo się głośnie pukanie i po chwili w drzwiach stanęła detektyw Rona Wedmore. Trudno było powiedzieć, jak długo stała przed drzwiami, a więc jak wiele słyszała z naszej rozmowy.
- Decyzja zapadła - oświadczyła. - Przyślą płetwonurków.
- Akcja została zaplanowana na następny dzień. Ekipa płetwonurków miała się stawić na miejscu o dziesiątej. Cynthia odprowadziła Grace do szkoły i umówiła się z sąsiadką, że po zajęciach ona przyprowdzi małą do domu na wypadek, gdybyśmy nie zdążyli wrócić do tej pory.
- Ja znowu zadzwoniłem do szkoły, wywołałem Rolly'ego i zapowiedziałem swoją nieobecność.
- Jezu, co znowu? - zapytał.
- Wyjaśniłem mu, dokąd wyjeżdżamy, i powiedziałem o akcji płetwonurków w starym kamieniołomie.
- Boże, całym sercem jestem z wami - odrzekł. - Dobrze byłoby wreszcie zamknąć tę sprawę. Może od razu ściągnę ci zastępstwo na cały przyszły tydzień? Znam paru emerytowanych nauczycieli, którzy chętnie skorzystają z takiej okazji.
- Tylko unikaj tej jękającej się biedaczki. Dzieciaki omal nie pożarli jej żywcem. - Zawiesiłem na chwilę głos. - Zaraz, spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba, ale może tobie się z czymś skojarzy.
- Słucham.
- Czy mówi ci coś nazwisko Connie Gormley?
- Nie. A kto to jest?

- Zginęła kilka miesięcy przed zniknięciem Clayтона, Patricii i Todda. W głębi stanu. Początkowo sądzono, że na poboczu potracił ją samochód, a kierowca zbiegł, ale było inaczej.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - burknął Rolly. - Co to znaczy, sądzono, że na poboczu potracił ją samochód, a kierowca zbiegł, ale było inaczej? Poza tym co to może mieć wspólnego z rodziną Cynthii? Sprawiał wrażenie rozdrażnionego. Wszystkie moje kłopoty razem z otaczającymi je tajemnicami zaczynały go po prostu nużyć, tak samo jak mnie.

- Nie wiem, czy ma. Tylko pytam, ponieważ znałeś Clayтона. Nie wspomniał nigdy o jakimś wypadku na autostradzie?

- Nie. W każdym razie nie przypominam sobie. Nie wątpię jednak, że bym pamiętał, gdyby o czymś takim mówił.

- W porządku. Dzięki, że poszukasz kogoś na zastępstwo.

Będę twoim dłużnikiem.

Zaraz potem wyruszyliśmy w drogę, gdyż mieliśmy przed sobą ponad dwie godziny jazdy na północ.

Zanim policja schowała list do plastikowej torebki na dowody rzeczowe, skopiowaliśmy naszkicowaną mapkę, żeby wiedzieć, jak trafić do kamieniołomu.

W podróży nie chcieliśmy się nawet zatrzymywać na kawę, byle jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Można by sądzić, że w takiej sytuacji przez całą drogę będziemy rozmawiać na temat ewentualnych odkryć policyjnych płetwonurków, ale w rzeczywistości prawie wcale się do siebie nie odzywaliśmy. Oboje jednak rozmyślaliśmy tylko o tej sprawie.

Mogę jedynie domniemywać, co dokładnie myślała moja żona, ale ja nawet na chwilę nie przestałem zadawać sobie pytań, co tam może być pod wodą w kamieniołomie, czy faktycznie na dnie jeziorka spoczywają jakieś zwłoki, a jeśli tak, to czy są to rodzice Cynthii i czy znajdzie się jakakolwiek wskazówka pozwalająca zidentyfikować sprawcę tej zbrodni.

Ciekaw też byłem, czy ta osoba, a może osoby, nadal żyją.

Okazało się, że Otis to zaledwie garstka zabudowań stłoczonych przy dwupasmowej drodze wijącej się przez wzgórza w kierunku Lee i autostrady międzystanowej przecinającej Massachusetts. Kiedy je minęliśmy, skręciliśmy na wschód i zaczęliśmy wypatrywać odchodzącej na północ bitej drogi prowadzącej do Fell's Quarry. Na szczęście nie musieliśmy szukać, gdyż u jej wylotu stały dwa radiowozy tutejszej policji stanowej.

Zatrzymałem przy nich wóz, opuściłem szybę i wyjaśniłem gliniarzowi, kim jesteśmy. Odszedł do radiowozu, chwilę rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę, a gdy wrócił, odparł, że detektyw Wedmore jest już na miejscu i czeka na nas. Wskazał kierunek i wyjaśnił, że jakieś półtora kilometra dalej odchodzi w lewo słabo widoczna, zarośnięta trawą polna droga wiodąca w górę zbocza, na której powinniśmy znaleźć śledczą.

Jechaliśmy powoli. Bita droga była wyboista, większe dziury pozasypywano żwirem. Z trudem odszukaliśmy drogę odchodzącą w lewo, która okazała się jeszcze węższa i bardziej wyboista. Gdy w nią skręciłem, otoczył nas głośny szelest wysokich traw ocierających się o karoserię auta. Ruszyliśmy w górę zbocza w gęstym szpalerze drzew. Jakies pięćset metrów dalej wyjechaliśmy na szczyt wzniesienia i otworzył się przed nami krajobraz zapierający dech w piersi.

Około dziesięciu metrów dalej teren urywał się gwałtownie na skraju czegoś w rodzaju rozległego i głębokiego kanionu. Jeśli nawet na jego dnie znajdowało się jakieś jezioro, stąd nie było go widać.

Na skraju polnej drogi stały już dwa inne auta, jeszcze jeden radiowóz policji stanowej z Massachusetts oraz nieoznakowany sedan, w którym rozpoznałem samochód detektywa Wedmore.

Ona sama stała oparta biodrem o jego maskę, pogrążona w rozmowie z dowódcą miejscowego patrolu. Ujrawszy nasze auto, ruszyła naprzeciw.

- Tylko nie podchodźcie za blisko - ostrzegła, jeszcze nim zdążyłem otworzyć drzwi. - Tu jest cholernie stromo.

Wysiedliśmy ostrożnie, jakby w obawie, że najlżejszy podskok może spowodować osunięcie gruntu, chociaż krawędź urwiska musiała być dość solidna, skoro już stały przy niej dwa samochody.

- Tędy - wskazała. - Czy któreś z was ma lęk wysokości?

- Niewielki - odparłem, przypomniawszy sobie niektóre reakcje Cynthii.

- Dam sobie radę - zapewniła Cynthia pospiesznie.

Dopiero gdy podeszliśmy na samą krawędź urwiska, zobaczyliśmy wodę. Rzeczywiście na dnie kamieniołomu znajdowało się miniaturowe jeziorko, mające najwyżej dwieście metrów średnicy. Przed laty wydobywano tu skały i żwir, dopiero po zakończeniu eksploatacji dno wyrobiska zapełniło się deszczówką i wodami roztopowymi. W pochmurny dzień nawet trudno było powiedzieć, jaki kolor ma woda. Sprawiała

wrażenie szarej i pozbawionej życia.

- Według treści listu i mapki właśnie tam powinniśmy znaleźć coś, co pozwoli wyjaśnić starą zagadkę - powiedziała Wedmore, wskazując w dół.

Widok z krawędzi stromego urwiska rzeczywiście powodował chwilowe mocniejsze bicie serca. Teraz jednak na środku jeziora dryfował żółty ponton pięciometrowej długości, z niewielkim silniczkiem umocowanym na rufie. Siedziało w nim trzech ludzi, dwóch w czarnych elastycznych kombinezonach z maskami na twarzach i butłami tlenowymi na plecach.

- Muszą podejść do wskazanego miejsca z tamtej strony - wyjaśniła policjantka, pokazując przeciwny koniec wyrobiska. - Od północy prowadzi nad jezioro inna polna droga i tylko stamtąd mogli spuścić ponton na wodę. Teraz czekają tylko na nasz znak. - Zamachała szeroko w powietrzu, a jeden z mężczyzn na pontonie odpowiedział w ten sam sposób. - Zaraz zaczną przeszukiwać dno tuż pod nami. Cynthia przytaknęła ruchem głowy.

- Czego mają szukać? - zapytała.

Wedmore obrzuciła ją takim spojrzeniem, ale chyba uzmysłowiła sobie zaraz, że ma do czynienia z kobietą, która bardzo wiele ostatnio przeszła.

- W pierwszej kolejności samochodu. Jeśli jest pod wodą, na pewno go znajdą.

Jezioro było zdecydowanie za małe, żeby niezbyt silny wiatr wzbudzał fale na jego powierzchni, lecz mimo to policjanci na pontonie zrzucili niewielką kotwicę. Dwaj płetwonurkowie przechyliłi się do tyłu, wpadli do wody i po chwili zniknęli nam z oczu. Miejsce ich zanurzenia jeszcze przez kilka sekund znaczyły tylko gromadki pęcherzyków powietrza wydobywającego się z głębin.

Kiedy przez szczyt urwiska przetoczył się poryw zimnego wiatru, przysunąłem się do Cynthii i otoczyłem ją ramieniem.

Ku memu zaskoczeniu nie uwolniła się z moich objęć.

- Jak długo mogą przebywać pod wodą? - zapytałem.

Wedmore wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale jestem pewna, że mają znacznie większy zapas powietrza, niż będzie im potrzebny.

- A jeśli coś znajdą, to co? Wyciągną to z dna?

- To zależy. Niewykluczone, że będzie potrzebny ciężki sprzęt.

Wedmore uniosła krótkofalówkę zapewniającą jej łączność z policjantem w pontonie.

- Macie coś? - zapytała.

Widać było, jak mężczyzna uniół do ucha podobny niewielki czarny przyrząd.

- Na razie nic - popłynęła nieco chrapliwa odpowiedź z głośnika aparatu śledczej. - Tutaj do dna jest dziesięć albo dwanaście metrów, bliżej środka nawet więcej.

- Zrozumiałam.

Przeglądaliśmy się w milczeniu. Upłynęło tak dziesięć, może piętnaście minut, które wydawały się ciągnąć godzinami.

Wreszcie nad powierzchnią ukazały się dwie głowy. Płetwonurkowie podpłynęli do pontonu, oparli się rękoma na jego krawędzi, ściągnęli maski, wyjęli ustniki aparatów tlenowych i zaczęli coś mówić policjantowi siedzącemu przy sterze.

- Co oni mówią? - nie wytrzymała Cynthia.

- Chwileczkę - mruknęła Wedmore, ale w tej samej chwili mężczyzna na pontonie sięgnął po krótkofalówkę.

- Coś mamy - zaskrzeczało w głośniku.

- Co? - zapytała detektyw.

- Samochód. Spoczywa tam od dawna, bo jest do połowy zagrzebany w mule i śmieciach.

- Są w środku zwłoki?

- Trudno powiedzieć. Trzeba go będzie wyciągnąć.

- Co to za samochód? - zapytała Cynthia. - Jak wygląda?

Wedmore powtórzyła jej pytanie. W pontonie mężczyzna przekazał je płetwonurkom i wysłuchał odpowiedzi.

- Chyba żółty - odparł. - Mały model kompaktowy. Ale nie da się odczytać numerów rejestracyjnych, bo zderzaki są głęboko w mule.

- To wóz mojej matki - wyjaśniła Cynthia. - Żółty ford escort. Mały, kompaktowy... - Odwróciła się do mnie i złapała mnie za rękę. - To oni - szepnęła. - To oni.

- Na razie jeszcze tego nie przesądzajmy - powiedziała Wedmore. - Nie wiemy nawet, czy w samochodzie są czyjeś zwłoki. - Ponownie uniosła krótkofalówkę i rzuciła do mikrofonu: - W takim razie róbmy to, co

konieczne.

To oznaczało, że trzeba ściągnąć ciężki sprzęt. Płetwonurkowie ocenili, że wystarczy mocny ciągnik, który podjedzie z północnego brzegu - jeśli stanie na samym brzegu jeziora, a oni zaczepią koniec liny o zatopiony samochód, uda się go wyciągnąć. Po niezbyt stromo opadającym dnie na brzeg.

Gdyby to zawiodło, trzeba by transportować dźwig na barce, spuszczać ją na wodę, ustawiać nad zatopionym autem i wyciągać je pionowo w górę na powierzchnię.

- No to mamy kilka godzin oczekiwania - powiedziała Wedmore. - Trzeba będzie też sprowadzić innych fachowców, którzy pomogą właściwie umocować linę do zatopionego samochodu. Proponuję, żeby państwo w tym czasie wrócili na autostradę, może nawet wybrali się do Lee na lunch. Zawiadomię państwa przez komórkę, gdy coś znowu zacznie się tu dziać.

- Nie - oznajmiła Cynthia. - Zostaniemy.

- Kochanie, na nic się tu chwilowo nie przydamy - powiedziałem. - Rzeczywiście, jedźmy coś zjeść. Oboje powinniśmy mieć siły na to, co nas tu jeszcze czeka.

- A co nas tu jeszcze może czekać? - zaproponowała moja żona.

- Ktoś przecież musiał przyprowadzić ten samochód, który spoczywa na dnie jeziora - wtrąciła Wedmore. - I z tego miejsca, w którym stoimy, zepchnąć go na dno wyrobiska.

- Chodź - dodałem. A śledczą poprosiłem: - Proszę nas informować na bieżąco.

Cofnęliśmy się do głównej drogi i w Otis skręciliśmy na północ, w kierunku Lee, gdzie szybko znaleźliśmy tani bar i zamówiliśmy kawę. Z samego rana nie dopisywał mi apetyt, więc teraz zamówiłem dla siebie jajecznicę i parówkę. Cynthia poprosiła tylko o suchego tosta.

- Ktokolwiek napisał ten list - zaczęła - dobrze wiedział, co tutaj znajdziemy.

- Zgadza się - mruknąłem, dmuchając na gorącą kawę.

- Tyle że nie wiemy jeszcze, czy w samochodzie są jakieś zwłoki. Może sprawca zepchnął samochód, żeby zatrzeć ślady?

Nadal nic nie wskazuje na to, by ktoś ucierpiał w tym wypadku.

- Zaczekajmy, to się przekonamy - odparłem.

Oczekiwanie przeciągnęło się do kilku godzin. Kończyłem już czwartą kawę, nim wreszcie zadzwonił mój telefon komórkowy.

Dzwoniła Wedmore. Podała przez aparat wytyczne, jak dojechać nad brzeg jeziora od strony północnej.

- A co się stało? - zapytałem.

- Wszystko poszło szybciej, niż myślałam - odparła dziwnie łagodnym tonem. - Wyciągnęli go. Samochód jest już na brzegu.

\* \* \*

Żółty escort stał już na naczepie wozu technicznego, nim dotarliśmy na miejsce. Cynthia wyskoczyła z auta, zanim jeszcze zdążyłem je zatrzymać, i pognęła w tamtą stronę, wołając:

- To ten samochód! Wóz mojej matki!

Wedmore złapała ją za rękę i zatrzymała, nim się do niego zbliżyła.

- Proszę puścić! - krzyknęła moja żona, próbując się uwolnić z jej uchwytu.

- Nie wolno się do niego zbliżać - ostrzegła detektyw.

Samochód był pokryty grubą warstwą mułu i błota, spod wszystkich drzwi wyciekała woda. Wewnątrz nic nie było widać, nie licząc dwóch przegniłych zagłówek przednich foteli.

- Musimy go odstawić do laboratorium - powiedziała detektyw.

- I czego się spodziewacie? - zagadnęła Cynthia. - Co było w środku?

- A jak pani sądzi? - odpowiedziała zagadkowo Wedmore.

Od tego jej pytania serce podeszło mi do gardła. Odniosłem wrażenie, że według niej Cynthia powinna doskonale znać odpowiedź.

- Nie wiem. Aż boję się zgadywać.

- Wygląda to na szczątki dwóch osób - wyjaśniła śledcza. - Ale jak sama pani rozumie, po upływie dwudziestu pięciu lat...

Reszty łatwo się było domyślić.

- Dwóch? - powtórzyła Cynthia. - Nie trzech?

- Za wcześnie na ostateczną ocenę - przyznała Wedmore. - Jak już powiedziałam, czeka nas przy tym wraku mnóstwo pracy. - Zawiesiła na krótko głos. - No i będzie potrzebny pani wymaz policzkowy.

- Co takiego? - zdziwiła się Cynthia.

- Przepraszam, to fachowy żargon. Chodzi o wymaz z ust, z którego łatwo jest pobrać próbkę DNA. To

zwykła próbka śliny, jej pobranie nie wymaga poświęcenia, nie jest bolesne...

- Po co?

- Gdyby dopisało nam szczęście i udało się pobrać próbki DNA z... tych szczątków w samochodzie, można by je porównać z pani próbką. Gdyby, na przykład, któreś z tych szczątków było włókami pani matki, łatwo można by to ustalić na podstawie odwróconego testu macierzyńskiego. Krótko mówiąc, uzyskalibyśmy potwierdzenie, że są to włoki pani matki.

W podobny sposób dałoby się zidentyfikować pozostałych członków rodziny.

Cynthia popatrzyła na mnie. Miała w oczach łzy.

- Przez dwadzieścia pięć lat szukałam wyjaśnienia tej tajemnicy, a teraz, gdy jesteśmy tak blisko, ogarnia mnie przerażenie.

Objąłem ją ramionami.

- Ile to potrwa? - zwróciłem się do Wedmore.

- Normalnie zajmuje kilka tygodni, ale to teraz sprawa priorytetowa, zwłaszcza od czasu emisji tego reportażu w telewizji.

Powinniśmy coś mieć za kilka dni, najwyżej tydzień. Na razie wracajcie do domu. Przyślę kogoś po południu po ten wymaz.

Nie pozostało nam nic innego, jak ruszyć w drogę powrotną.

Byliśmy już przy naszym samochodzie, gdy Wedmore zawołała:

- I nigdzie nie wyjeżdżajcie, nawet przed uzyskaniem wyników badań. Poza pobraniem próbek śliny chciałabym wam zadać jeszcze kilka pytań.

W jej głosie wyczułem złowrobną tonację.

Zgodnie z obietnicą Rona Wedmore przyjechała, żeby zadać kolejne pytania. Były w tej sprawie elementy, które jej się bardzo nie podobały.

Pod tym względem bez wątpienia wszyscy mieliśmy podobne podejście, chociaż ani ja, ani Cynthia nie traktowaliśmy śledczej jak sprzymierzeńca.

Niemniej potwierdziła już jedną rzecz, o której wiedzieliśmy. List, który skierował nas nad jeziorko na dnie kamieniołomu, z całą pewnością został wystukany na mojej maszynie do pisania. Oboje z żoną musieliśmy się wcześniej zgłosić na posterunek, żeby złożyć odciski palców (jakbyśmy mieli jakiś wybór).

Przy okazji wyszło na jaw, że odciski Cynthii są już w kartotece, gdyż pobierano je dwadzieścia pięć lat temu, gdy policja przerzucała do góry nogami rodzinny dom, próbując ustalić przyczynę zaginięcia jej najbliższych. Mimo to policjanci postanowili pobrać je na nowo. Ja natomiast nigdy wcześniej nie musiałem składać odcisków palców na komendzie.

Porównano nasze odciski z tymi, które zostały znalezione na maszynie do pisania. Na obudowie odkryto kilka odcisków Cynthii, ale na klawiaturze głównie moje.

Rzecz jasna, o niczym to jeszcze nie świadczyło, ale też nie potwierdzało naszego przekonania, że ktoś włamał się do naszego domu i skorzystał z maszyny do pisania. Mógł przecież nosić rękawiczki i nie zostawić żadnych odcisków palców.

- Dlaczego ktoś miałby to robić? - spytała Wedmore, zaciskając pięści i opierając je na biodrach. - Czemu miałby się włamywać do waszego domu, żeby skorzystać z maszyny do pisania i wystukać ten list?

To było kluczowe pytanie.

- Może autor tego listu - podjęła w zamyśleniu Cynthia - doskonale wiedział, że szybko uda się stwierdzić, iż został on napisany na maszynie Terry'ego? Może zależało mu właśnie na tym, żeby nakierować podejrzenia na niego?

Przyszło mi na myśl, że Cynthia dotknęła sedna sprawy, z jedną małą poprawką.

- Albo na ciebie - dodałem.

Popatrzyła na mnie w głębokim zamyśleniu.

- Albo na mnie - dodała.

- To i tak nie wyjaśnia, kto mógł to zrobić - podjęła Wedmore, nadal nieprzekonana.

- Nie mam pojęcia - odparła Cynthia. - Dla mnie cała ta sprawa nie trzyma się kupy. Ale jesteśmy przekonani, że ktoś musiał tu być. Musicie mieć raport na ten temat. Jak tylko wzywa się policję i patrol odpowiada na wezwanie, musi napisać stosowny raport.

- Pozostaje jeszcze kapelusz - dodała Wedmore, niezdolna do wyzbycia się ironii.

- Zgadza się. Mogę go zaraz przynieść, jeśli pani sobie życzy - odparła Cynthia. - Chce go pani zobaczyć?

- Nie - odparła śledcza. - Widziałam w życiu sporo kapeluszy - Policja uważa, że mi odbiło.

Wedmore puściła tę uwagę mimo uszu. Najwyraźniej wymagało to pewnego wysiłku z jej strony.

- Pani Archer - podjęła. - Czy kiedykolwiek wcześniej była pani w kamieniołomie Fell's Quarry?

- Nie, nigdy.

- Nawet za młodu? Jako nastolatka?

- Nie.

- A może jednak pani tam była, tylko nie zdawała sobie sprawy z lokalizacji tego jeziora? Może pojechała tam pani z kimś, kto... na przykład, zaparkował na tamtym odludziu z wiadomych powodów?

- Nie, nigdy wcześniej tam nie byłam. W końcu to dwie godziny jazdy stąd, na miłość boską. Nawet gdyby któryś chłopak postanowił mnie tam zawieźć, i tak musielibyśmy stąd jechać dwie godziny.

- A pan, panie Archer?

- Ja? Nie. Ćwierć wieku temu nie znałem nikogo z rodziny Bigge'ów. Nawet nie pochodzę z rejonu Milford. Dopiero w czasie studiów poznałem Cynthię i dowiedziałem się, co spotkało jej rodzinę.

- Jasne. Proszę jednak zrozumieć... - Wedmore pokręciła głową - ...że z pewnymi faktami mam spore kłopoty. List został wystukany w tym domu na państwa maszynie... - spojrzała na mnie - ...a podana w nim lokalizacja doprowadziła do odkrycia samochodu pani matki... - popatrzyła na Cynthię - ...który został odnaleziony dwadzieścia pięć lat po jego zaginięciu.

- Już pani mówiłam, że ktoś musiał się tu włamać - odparła Cynthia.

- Nawet jeśli tak było, to domniemany włamywacz nie starał się ukryć maszyny do pisania. Tym zajął się pani mąż.

- Czy nie powinniśmy być w towarzystwie naszego adwokata, odpowiadając na tego rodzaju pytania? - zagadnąłem.

Policjantka językiem wypchnęła policzek.

- Sami powinniście zdecydować, czy, waszym zdaniem, potrzebujecie adwokata.

- Przecież jesteśmy ofiarami - zaproponowała Cynthia. - Moja ciotka została zamordowana, a z jeziora wyciągnęliście właśnie samochód mojej matki. Tymczasem rozmawia pani ze mną, z nami, jakbyśmy byli przestępcami. Oświadczam więc, że nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. - Aż pokręciła głowę z desperacji. - Wydaje mi się, że... ktoś to wszystko dokładnie zaplanował, żeby wyglądało, jakbym zwariowała albo coś w tym rodzaju. Najpierw ten telefon, potem kapelusz ojca podrzucony w kuchni, list napisany na naszej maszynie. Nie rozumie pani?

Najwyraźniej komuś zależy, aby pani myślała, że tracę kontakt z rzeczywistością, że wydarzenia sprzed lat skłaniają mnie do robienia różnych rzeczy pod wpływem jakichś urojeń.

Język przeniósł się na drugą stronę ust i wypchnął drugi policzek. Po chwili Wedmore zapytała:

- Pani Archer, czy nie myślała pani o tym, żeby zasięgnąć rady specjalisty? Zwłaszcza w kwestii tej konspiracji, która jakoby koncentrowała się na pani.

- Regularnie spotykam się z psy... - Cynthia umilkła w pół słowa.

Detektyw uśmiechnęła się smutno.

- A to ci niespodzianka.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - wtrąciłem.

- Nie wątpię jednak, że wrócimy do tej rozmowy - skwitowała Wedmore.

Okazało się, że musieliśmy do niej wrócić nadszpiewanie szybko. Zaraz po tym, jak odnaleziono zwłoki Dentona Abagnalla.

Wydawało mi się, że jeśli nastąpi jakiś postęp w poszukiwaniach człowieka, którego zaangażowaliśmy do odnalezienia rodziny Cynthii, dowiemy się o nim w pierwszej kolejności od policji. Tymczasem dowiedzieliśmy się z radia. Pracowałem w naszej gościnnej sypialni przekształconej w pokój do szycia i pisania, nie zwracając specjalnej uwagi na grające cicho radio, gdy w pewnej chwili złowiłem w wiadomościach słowa „prywatny detektyw” i od razu zwiększyłam głośność.

- Policja odnalazła samochód detektywa w podziemnym garażu miejskiego centrum handlowego w Stamford - odczytał spiker. - Obsługa parkingu zwróciła uwagę na wóz stojący tam od kilku dni i zawiadomiła policję. Sprawdzenie numeru rejestracyjnego ujawniło, że jest to auto należące do człowieka poszukiwanego od pewnego czasu. Kiedy otwarto jego bagażnik, odkryto w nim zwłoki pięćdziesięcioletniego Dentona Abagnalla. Bezpośrednią przyczyną śmierci był silny cios w głowę zadany tępym narzędziem. Policja w ramach wszczętego śledztwa przegląda zapisy wideo z systemu monitoringowego parkingu. Oficerowie śledczy odmówili ujawnienia swoich domysłów co do motywów zabójstwa, nie chcieli też komentować plotki, jakoby morderstwo było wynikiem gangsterskich porachunków.

Jakich gangsterskich porachunków?

Odszukałem Cynthię, która z najdalszego kąta tylnego podwórka gapiała się tępo na nasz dom z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie wiatrówki.



- Musiałam wyjść na powietrze - wyjaśniła, gdy się do niej zbliżyłem. - Wszystko w porządku?

Zrelacjonowałem jej wiadomość, którą usłyszałem w radiu.

Nie miałem pojęcia, jakiej reakcji się po niej spodziewać, toteż wcale mnie nie zaskoczyło, że przyjęła to ze stoickim spokojem. Przez chwilę przetrwała w milczeniu nowinę, wreszcie odrzekła:

- Ogarnia mnie coraz większe odrętwienie, Terry. Czuję się prawie tak, jakbym nie była już zdolna do żadnych uczuć. Dlaczego to wszystko spadło właśnie na nas? Kiedy się skończy?

Kiedy wreszcie będziemy mogli wrócić do normalnego życia?

- Świetnie cię rozumiem - powiedziałem, obejmując ją.

Pomyślałem jednak, że cały problem w tym, iż moja żona nie miała normalnego życia od czasu, gdy skończyła czternaście lat.

Kiedy Rona Wedmore znów się u nas pojawiła, przeszła od razu do rzeczy.

- Gdzie byliście tamtego wieczoru, kiedy zgłoszono zaginięcie Dentona Abagnalla? A więc kiedy od was wyszedł i urwał się z nim wszelki kontakt. Powiedzmy, od ósmej wieczorem.

- Zjedliśmy obiad - odparłem - i pojechaliśmy z wizytą do ciotki mojej żony. Odkryliśmy jej zwłoki i powiadomiliśmy policję. Byliśmy przesłuchiwani do późna, zatem policja może potwierdzić nasze alibi, pani detektyw.

Chyba po raz pierwszy Wedmore sprawiała wrażenie zmieszanej, jakby przestała cokolwiek rozumieć z prowadzonej Przez siebie sprawy.

- Oczywiście - odparła. - Powinnam była wcześniej skojarzyć, że pan Abagnall wjechał na podziemny parking dokładnie o ósmej trzy, bo o tej godzinie został wystawiony bilet, który był wetknięty między deskę rozdzielczą i szybę jego samochodu.

- Zatem przynajmniej w tej jednej sprawie jesteśmy chyba wolni od podejrzeń - wycedziła lodowatym tonem Cynthia.

Odprowadzając Wedmore do drzwi, zapytałem:

- Czy przy zwłokach Abagnalla nie znaleziono żadnych papierów? Jakichś dokumentów, notatek, pustych kopert?

- Z tego, co mi wiadomo, to nie. A dlaczego pan pyta?

- Z czystej ciekawości - wyjaśniłem. - Przed wyjściem o nas detektyw zapowiedział, że spróbuje się bliżej przyjrzeć działalności Vince'a Fleminga, który był z moją żoną tamtego wieczoru, kiedy zaginęła jej rodzina. Wie pani coś o Flemingu?

- To nazwisko nie jest mi obce - odparła.

Po raz kolejny Wedmore pojawiła się następnego dnia.

Kiedy zobaczyłem przez okno, jak idzie podjazdem w stronę naszych drzwi, mruknąłem do Cynthii:

- Nie wiem, czy nie powiązała nas już z porwaniem syna Lindbergha.

Otworzyłem jej drzwi, nim zdążyła zapukać.

- Tak? - burknąłem. - Co znowu?

- Mam nowe informacje. Mogę wejść? - zapytała wyjątkowo łagodnym tonem.

Nie potrafiłem ocenić, czy jest to efekt dobrych dla nas wiadomości, czy może próba wciągnięcia nas w jakąś pułapkę.

Wprowadziłem ją do saloniku i wskazałem miejsce na kanapie. Oboje z Cynthią usiedliśmy naprzeciwko. Mieliśmy pewne przeczucia co do tematu tej rozmowy.

- Przede wszystkim chcę zaznaczyć, że nie jestem kryminologiem - zaczęła Wedmore. - Znam jednak podstawy tej nauki i postaram się przybliżyć wam niektóre zagadnienia.

Spojrzałem na żonę, lecz ta tylko skinieniem głowy zachęciła policjantkę, żeby mówiła dalej.

- Szanse na skuteczne pobranie próbek DNA z odnalezionych w samochodzie szczątków dwóch, na pewno nie trzech osób, były stosunkowo niewielkie, ale wyższe od zera. Przez lata naturalne procesy rozkładu objęły... - Urwała nagle, po czym zapytała: - Pani Archer, czy mogę mówić wprost? Zaznaczam, że to, co mam do powiedzenia, nie będzie dla pani przyjemne.

- Proszę mówić - odparła Cynthia.

Wedmore skinęła głową.

- Zatem, jak można było przypuszczać, trwające przez wiele lat procesy rozkładu, będące efektem działania enzymów wydzielających się w ludzkich komórkach w chwili śmierci, wegetujących w nas bakterii oraz czynników środowiskowych, w tym wypadku mikroorganizmów występujących w wodzie, zniszczyły prawie wszystkie tkanki miękkie odnalezionych ciał. Rozkład kości byłby jeszcze szybszy, gdybyśmy mieli do czynienia ze słoną wodą, ale na szczęście tak nie było, więc w tym zakresie dopisało nam nieco szczęścia. - Odchrząknęła.

- Tak więc, dysponując nieźle zachowanymi kośćmi, w tym także zębami, podjęliśmy próbę identyfikacji na podstawie zapisów dentystycznych, ale nie przyniosła żadnych efektów.

Z tego, co zdołaliśmy do tej pory odkryć, pani ojciec chyba w ogóle nie chodził do dentysty, a ponadto koroner stwierdził już na podstawie wstępnych oględzin, iż żadne z tych szczątków nie należały do dojrzałego mężczyzny.

Cynthia zamrugała szybko. Wynikało stąd, że w wydobytym samochodzie zapewne nie było zwłok Clayтона Bigge'a.

- Co się zaś tyczy dentysty pani matki i brata, zmarł przed wieloma laty, jego prywatna praktyka została zlikwidowana, a kartoteki uległy zniszczeniu.

Znow spójrzałem na żonę. Odniosłem wrażenie, że za wszelką cenę nie chce okazywać po sobie rozczarowania. Naszły mnie obawy, że cała ta akcja pletwonurków może nie przynieść żadnych konkretnych rezultatów.

- Na szczęście, mimo braku zapisów dentystycznych, dysponowaliśmy nieźle zachowanymi zębami, i to obu ciał - ciągnęła Wedmore - więc choć w zewnętrznym szkliwie nie występuje DNA i nie ma czego badać, udało się dotrzeć do korzeni zębów i zachowanych w nich komórek jądrzastych.

Oboje musieliśmy mieć niezbyt mądre miny, gdyż detektyw dodała szybko:

- Krótko mówiąc, naszym specjalistom medycyny sądowej udało się wyekstrahować dostateczne ilości DNA z tych komórek, a wyniki analiz pozwoliły ustalić indywidualne profile genetyczne obu ciał, w tym także określić ich płeć.

- I co? - zapytała Cynthia, niemalże wstrzymując oddech.

- W samochodzie zginęli mężczyzna i kobieta - powiedziała Wedmore. - Już według wstępnych oględzin koronera, jeszcze przed uzyskaniem potwierdzenia analizą DNA, mężczyzna był prawdopodobnie nastolatkiem, natomiast kobieta mogła mieć trzydzieści kilka, najwyżej czterdzieści kilka lat.

Cynthia zerknęła na mnie i szybko przeniosła wzrok z powrotem na śledczą.

- Tak więc w samochodzie zginęli młodzieniec oraz kobieta w średnim wieku. Nie została rozstrzygnięta kwestia, czy byli ze sobą spokrewnieni.

Oboje w milczeniu czekaliśmy na dalszy ciąg.

- Niemniej oznaczone profile DNA wskazują na bliski pokrewieństwo, co by sugerowało, że była to matka z synem. Wyniki sekcji zwłok, uzupełnione o obserwacje koronera, tylko potwierdzają tę hipotezę.

- Zatem to moja matka i Todd - szepnęła Cynthia.

- I tu pojawia się zasadniczy problem - podjęła Wedmore.

Bo o ile pokrewieństwo zabitych zostało w mniejszym czy większym stopniu potwierdzone, o tyle nie sposób określić niezbitnie, że są to szczątki Todda Bigge'a i jego matki Patricii. Gdyby miała pani cokolwiek, co mogłoby pomóc nam uzyskać niezależną próbkę DNA pani matki, na przykład szczotkę do włosów choćby z kilkoma włosami...

- Nie - odparła szybko Cynthia. - Nie mam niczego takiego - No cóż, mamy jeszcze próbkę pani DNA, pozostaje więc mieć nadzieję, że jej analiza przyniesie więcej informacji po zwałających na identyfikację szczątków znalezionych w samo chodzie. Kiedy i w niej zostanie określony profil, nad czym trwają jeszcze prace, może uda się określić relację macierzyństwa, a więc wstępnie zidentyfikować szczątki kobiety w samochodzie, a co za tym idzie ustalić też dane spokrewnionego z nią młodzieńca. - Zawiesiła na chwilę głos. - Ale na podstawie tego, co już wiemy, myślę o odkrytym pokrewieństwie obu ciał, możemy przyjąć, że to faktycznie matka z synem, a ponieważ szczątki rzeczywiście znajdowały się w samochodzie pani matki, winniśmy uznać, że są to zwłoki pani matki i brata.

Cynthia sprawiała wrażenie półprzytomnej.

- Na pewno nie ma tam szczątków pani ojca - dodała śledcza. - Dlatego chciałabym zadać pani jeszcze kilka pytań na jego temat. Dobrze byłoby wiedzieć, jakim był człowiekiem, jaki tryb życia prowadził.

- Po co? - zdziwiła się moja żona. - Czyżby chciała pani coś zasugerować?

- Obawiam się, że musimy uwzględnić teorię, że to właśnie on zamordował oboje najbliższych sobie osób.

- Halo?

- To ja - odparł.

- Właśnie o tobie myślałam - oznajmiła. - Dość długo nie miałam od ciebie żadnej wiadomości. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

- Chciałem odczekać, żeby się przekonać, jakie będą efekty - rzekł. - Co im się uda odkryć. Wiadomość trafiła do serwisów agencji, w telewizji pokazali wydobyty samochód.

- O rety...

- Na zdjęciach widać było wyraźnie, jak go wyciągają z dna jeziora w kamieniołomie. A w dzisiejszych

gazetach pojawiły się opisy wyników badań DNA znalezionych w nim szczątków.

- Nawet nie wiesz, jakie to podniecające - rzuciła. - Szkoda, że nie mogłam tam być razem z tobą. Co jeszcze pisali w gazetach?

- No cóż, zrozumiałe, że podali tylko pewne fakty, a inne zataili. Mam te gazety przed sobą. Piszą w nich, że wyniki badań DNA wskazują na genetyczne pokrewieństwo szczątków znalezionych w samochodzie, co pozwala wnioskować, że jest to matka z synem.

- Ciekawe.

-Ale żadne badania nie potwierdziły jeszcze, że chodzi o krewnych Cynthii Archer. Policja, wciąż opierając się na poszlakach, wnioskuje jednak, że są to szczątki Patricia Bigge i jej syna Todda, zaginionych przed dwudziestu pięciu laty.

- Więc nie udało się definitywnie ustalić, kto poniósł śmierć w tym samochodzie? - zapytała.

- Niezupełnie.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, co oznaczają te poszlaki?

Możesz w ten sposób narazić swój tyłek, zresztą nie tylko ty...

- Tak, wiem, ale...

- Mimo wszystko zadziwia to, co potrafi dzisiejsza nauka, prawda? - rzekła znacznie łagodniejszym tonem.

- Owszem.

- Przecież wtedy, gdy twój ojciec i ja pozbywaliśmy się tego samochodu, nikt nawet nie słyszał o badaniach DNA. Aż nie chce się wierzyć, ile teraz znaczą. Nie jesteś przez to zdenerwowany?

- Może trochę - odparł, głównie po to, żeby jej się przypodobać.

- Wiesz, że już w dzieciństwie zamartwiałeś się z byłego powodu? To ja zawsze musiałam przejmować kontrolę nad sytuacją i szukać z niej wyjścia.

- No cóż, to pewnie dlatego, że jesteś psychicznie silniejsza ode mnie.

- I tak uważam, że wspaniale się spisałeś. Jestem z ciebie bardzo dumna. Już niedługo wrócisz do domu i mnie odzyskasz. Za nic w świecie nie chciałabym przegapić takiej okazji.

Wręcz nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jej minę.

- I jak to wszystko znosisz? - zaciekawiła się doktor Kinzler w czasie rozmowy z Cynthią. - Mówię o odkryciu zwłok twojej matki i brata.

- Sama nie wiem - odparła. - Na pewno nie odebrałam tego z ulgą.

- Oczywiście. Świetnie to rozumiem.

- Chyba zaważył fakt, że nie było z nimi mojego ojca. Detektyw Wedmore uważa, że to właśnie on mógł ich zabić.

- Czy gdyby to się okazało prawdą, zniosłabyś tę świadomość? - zapytała terapeutka.

Cynthią przygryzła dolną wargę i zapatrzyła się w okno zasłonięte żaluzjami, jakby dysponowała rentgenowskim wzrokiem i widziała znajdującą się za nim autostradę. Tę sesję mieliśmy zaplanowaną od dawna, lecz z trudem udało mi się przekonać żonę, żeby jej nie odwoływać. Ale teraz, gdy doktor Kinzler zaczęła zadawać tego rodzaju pytania, przyszło mi do głowy, że jest to bardziej rozdrapywanie starych ran niż próba ich gojenia, to też pożałowałam, że tak twardo obstawałam przy swoim.

- Już się pogodziłam ze świadomością, że ojciec mógł być zupełnie kimś innym, niż sądziłam - odparła Cynthią. - Prze ważyło to, że nie ma jego danych w bazach, zarówno ubezpieczeń społecznych, jak i praw jazdy. - Urwała na krótko. - Al teoria, że to on mógł popełnić morderstwo, zabić matkę i Tedda... Nie chce mi się w to wierzyć.

- Ale jesteś przekonana, że to on podrzucił swój kapelusz?

zapytała Kinzler.

- Jest to bardzo prawdopodobne.

- Dlaczego ojciec miałby się włamywać do twojego domu, żeby zostawić tę dwuznaczną pamiątkę i jeszcze napisać na waszej maszynie list z informacjami oraz mapką wskazującą miejsce zatopienia zwłok?

- Czyżby... próbował się rozliczać ze swojej przeszłości?

Terapeutka wzruszyła ramionami.

- Pytam, co ty o tym sądzisz.

Klasyczna zagrywka psychoterapeutyczna, przemknęło mi przez myśl.

- Sama nie wiem, jak to traktować - odparła Cynthia. - Gdybym podejrzewała, że to wszystko jego sprawa, ten list, i w ogóle... uznałabym, że chce się oczyścić, że to rodzaj wyznania winy. Zdaję sobie sprawę, że ten, kto podrzucił list, musiał być w jakiś sposób zamieszany w śmierć mojej matki i brata, bo skąd znałby wszystkie szczegóły?

- To prawda - przyznała doktor Kinzler.

- Z kolei detektyw Wedmore, chociaż rozmawia ze mną tak, jakby była przeświadczona, że to mój ojciec przed laty popełnił zbrodnię, chyba uważa, że sama napisałam ten list do siebie.

- Niewykluczone - mruknęła terapeutka. - A może sądzi, że działałaś w zмовie z ojcem? Choćby dlatego, że jego zwłok nie odnaleziono? No i ciebie nie było w tym samochodzie razem z matką i bratem.

Cynthia w zamyśleniu skinęła głową.

- Wiem, że przed laty policja miała podejrzenia wobec mnie.

To znaczy... gdy nie udało się trafić na żaden trop ani odnaleźć nikogo z moich bliskich, ktoś pewnie uznał, że niczego nie da się wykluczyć. Stąd też zapewne pojawiła się teoria, że mogłam popełnić morderstwo do spółki z Vince'em i że razem ukryliśmy gdzieś zwłoki. Mogła o tym świadczyć kłótnia, w jaką tamtego wieczoru wdałam się z rodzicami.

- Mówiłaś mi, że niewiele pamiętasz z tamtej nocy - odparła Kinzler. - Czy sądzisz, że jest możliwe, że wiesz o pewnych rzeczach, tylko podświadomie zepchnęłaś je w niepamięć? Zdarza się, że niektórych swoich pacjentów kieruję do zaufanego specjalisty od terapii hipnotycznej.

- Niczego nie spycham podświadomie w niepamięć. Film mi się urwał. Wróciłam pijana. Byłam młoda. I głupia. Wróciłam do domu i padłam. Ocknęłam się następnego dnia rano. - Uniosła obie ręce w obronny geście, po czym spuściła je na kolana. - Nie mogłabym popełnić morderstwa, nawet gdybym chciała. Nie byłam do tego zdolna. - Westchnęła głośno. - Pani mi nie wierzy?

- Oczywiście, że wierzę. - Po chwili terapeutka poprosiła łagodnym tonem: - Opowiedz mi coś więcej o stosunkach, jakie łączyły cię z ojcem.

- W zasadzie niczym się nie wyróżniały. Czasami dochodziło do kłótni, ale najczęściej niezłe się rozumieliśmy. Wydaje mi się... - znów urwała na chwilę - ...że on mnie kochał. Powiedziałabym nawet, że bardzo mnie kochał.

- Bardziej niż pozostałych członków rodziny?

- Co pani przez to rozumie?

- No cóż, gdyby był zdolny do tego, żeby zabić twoją matkę i brata, to czemu nie miałby zabić także ciebie?

- Nie wiem. Zresztą, jak już mówiłam, nie wierzę, że on to zrobił... Nawet nie umiem wytłumaczyć, skąd się bierze to przeświadczenie. Ale nie wierzę, żeby mój ojciec był zdolny do popełnienia takiej zbrodni. Nie mógłby zabić matki. A już w żadnym razie nie zabiłby swojego syna, czyli mojego brata. Wie pani dlaczego? Nie tylko dlatego, że nas kochał. Nie byłby zdolny do popełnienia tak potwornej zbrodni, ponieważ był za słaby.

To zdanie przykuło moją uwagę.

- Był bardzo sympatycznym człowiekiem... choć idiotycznie to brzmi, gdy się mówi o swoim ojcu... Ale nie wierzę, aby był zdolny do tego, żeby się zmusić do popełnienia tak odrażającej zbrodni.

- Nie bardzo rozumiem, do czego ma nas doprowadzić ta rozmowa - wtrąciłam.

- Wiemy, że pańska żona jest bardzo zaniepokojona ostatnimi odkryciami w tej sprawie - wycodziła psychoterapeutka, nawet nie podnosząc głosu, ale zarazem demonstrując, że wkurzyła ją moja uwaga. - Próbuję tylko pomóc jej się pogodzić z rzeczywistością.

- Myślicie, że mogą mnie aresztować?

- Słucham? - zdziwiła się doktor Kinzler.

- Co takiego? - zapytałam.

- Myślicie, że detektyw Wedmore nie może mnie aresztować? - ciągnęła moja żona. - A jeśli nabierze przekonania, że miałam coś wspólnego z tym zabójstwem? Jeśli uzna, że jestem jedyną osobą, która mogła wiedzieć na pewno, co jest na dnie jeziora w kamieniołomie? Gdybym została aresztowana, jak byś to wyjaśnił Grace? Kto by się nią zaopiekował, gdybym wylądowała za kratkami? Potrzebny jest jej kontakt z matką.

- Kochanie... - Ledwie się powstrzymałam od uwagi, że przecież Grace ma jeszcze mnie, gdyż to by świadczyło, że moim zdaniem omawiany scenariusz zdarzeń jest nie tylko prawdopodobny, ale wręcz nieuchronny.

- Jeśli mnie aresztują, nikt już nie będzie starał się dotrzeć do prawdy - ciągnęła zdesperowana Cynthia.

- Wybij to sobie z głowy - uciąłem krótko. - Żeby cię aresztować, policja musiałaby zyskać przesłanki, że maczałaś palce we wszystkim, także w zabójstwie ciotki Tess, a może nawet w morderstwie Abagnalla.

Bo teraz nie ulega już wątpliwości, że wszystkie zdarzenia muszą być jakoś ze sobą powiązane. To luźne elementy tej samej układanki. Mają ze sobą coś wspólnego.

Tylko my jeszcze nie wiemy co.

- Ciekawa jestem, co wie o tej sprawie Vince - odrzekła Cynthia. - Chciałabym się dowiedzieć, czy ktoś z nim ostatnio rozmawiał.
- Abagnall powiedział, że go odszuka - przypomniałem jej. - Nie pamiętasz, że podczas naszego ostatniego spotkania oznajmił, że będzie musiał się bliżej przyjrzeć jego działalności?
- Doktor Kinzler, chcąc zwrócić na siebie uwagę, wtrąciła:
  - Uważam, że nie powinniśmy czekać aż dwóch tygodni do następnej sesji. - Mówiąc to, wpatrywała się w Cynthię, nie we mnie.
  - Tak, oczywiście - odpowiedziała moja żona w zamyśleniu. - Oczywiście.
- Przeprosiła i wyszła do łazienki.
- Jej ciotka Tess Berman rozmawiała z panią kilkakrotnie - zwróciłem się do terapeutki.
- Uniosta brwi.
- Owszem.
- Co chciała z panią omówić?
- W normalnych okolicznościach nie rozmawiam z pacjentami o innych pacjentach, ale w wypadku Tess Berman po prostu nie ma o czym rozmawiać. Rzeczywiście, była u mnie parę razy, ale nawet się przede mną nie otworzyła. Miałam wrażenie, że traktuje mnie z pogardą.
- Kochana Tess.
- Kiedy wróciliśmy do domu, na automatycznej sekretarce było nagranych aż dziesięć wiadomości, a wszystkie od różnych dziennikarzy i reporterów. Paula z Deadline zostawiła długą i niezbyt sympatyczną wypowiedź, oznajmiła bowiem, że Cynthia jest winna jej wiernym widzom drugą wizytę w programie ze względu na ostatnie odkrycia. Prosiła tylko, żeby wyznaczyć miejsce i termin, a na pewno zjawi się na to spotkanie z całą swoją ekipą.
- Popatrzyłem z uznaniem, jak żona kasuje tę wiadomość. Nie była ani trochę podenerwowana czy zmieszana. Bez wahania szybkim ruchem wcisnęła klawisz kasowania.
- Tym razem się nie pomyliłaś - wyrwało mi się mimo woli.
- Słucham? - zapytała, oglądając się na mnie.
- Nic takiego - bąknąłem.
- Co chciałeś przez to powiedzieć, że tym razem się nie pomyliłam?
- Nieważne. Nie miałem na myśli niczego konkretnego.
- Chodziło ci o to, że skasowałam tę wiadomość?
- Powiedziałem, że nieważne.
- Robisz aluzje do tamtego ranka, kiedy odebrałam zagadkowy telefon, a potem omyłkowo wykasowałam rejestr połączeń. Już ci mówiłam, jak do tego doszło. Byłam w szoku.
- Nie wątpię.
- Ty chyba nawet nie wierzysz, że ktoś wtedy do mnie dzwonił, prawda?
- Dlaczego miałbym nie wierzyć?
- Przecież gdybym nie odebrała tego telefonu, a potem nie dostała mejla, musiałabym to wszystko wymyślić, prawda? I podejrzewasz nawet, że sama napisałam ten list na twojej maszynie?
- Niczego takiego nie powiedziałem.
- Cynthia podeszła bliżej i oskarżycielskim gestem wymierzyła palec w moją pierś.
- Jak mam dłużej przebywać tu, pod tym dachem, skoro nie mam absolutnej pewności, że mogę na tobie polegać? I w pełni ci ufać? Nie chcę, żebyś patrzył na mnie wilkiem i we wszystkim, co robię, doszukiwał się ukrytych motywów.
- Niczego się nie doszukuję.
- Więc powiedz mi to teraz, prosto w oczy. Powiedz, że mi wierzysz, że jesteś pewien, iż nie przyłożyłam ręki do całej tej historii.
- Przysięgam, że chciałem to powiedzieć, ale moje sekundowe zawahanie wystarczyło, żeby Cynthia odwróciła się na pięcie i wyszła.
- Kiedy tego wieczoru wszedłem do tonącej w ciemności sypialni Grace, spodziewałem się, że jak zwykle patrzy przez teleskop w niebo, jednakże leżała już w łóżku. Tyle że nie spała.
- A cóż to się stało, że już jesteś w pościeli? - zapytałem, siadając na brzegu łóżka i głaszcząc ją po głowie.
- Nie odpowiedziała.
- Sądziłem, że będziesz wypatrywać asteroid. Czyżbyś już skończyła?
- Nie chciało mi się - odparła bardzo cicho, ledwie słyszalnie.
- Przestałaś się martwić zagrożeniem z ich strony? - zapytałem.

- Zgadza się.

- Zatem w najbliższym czasie żadna nie spadnie na Ziemię, prawda? - powiedziałem, uśmiechając się szeroko. - Przynajmniej, że to bardzo dobra wiadomość.

- Mogą sobie spadać - bąknęła Grace, odwracając się tyłem. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Dlaczego tak mówisz, kochanie?

- Bo wszyscy jesteście bez przerwy tacy smutni.

- Ach, rozumiem. Wiesz, kochanie, mieliśmy ostatnio bardzo trudny okres.

- Dlatego jest mi wszystko jedno, czy spadnie asteroida, czy nie. To i tak nie przywróci życia cioci Tess. Ludzie bez przerw umierają z różnych powodów. Giną w wypadkach samochodowych. Topią się w wodzie. A czasami to inni ludzie ich zabijają.

- Masz rację.

- A mama zachowuje się tak, jakby stale nam coś groziło. Ani razu nawet nie spojrzała przez mój teleskop. Uważa, że coś się zbliża, co robi nam krzywdę, lecz to nie będzie nic z kosmosu.

- Nigdy nie dopuścimy, żeby stało ci się coś złego - powiedziałem. - Oboje bardzo cię kochamy. Nie zareagowała.

- Mnie się jednak zdaje, że warto rzucić okiem na niebo. - Wstałem i klęknąłem przy teleskopie. - Pozwolisz, że popatrzę przez chwilę?

- Daj sobie siana - mruknęła.

Gdyby światło było zapalone, na pewno by zauważyła, że nie puściłem tego mimo uszu. Nie odezwałem się jednak.

- W porządku - rzekłem, zajmując wygodniejszą pozycję.

Oczywiście najpierw zerknąłem za okno, żeby się upewnić, że nikt nas nie obserwuje z ulicy, dopiero potem przytknąłem oko do okulary teleskopu. Podniosłem go nieco wyżej i przed moimi oczami gwiazdy przesunęły się gwałtownie jak w czołówce Star Treka.

- Popatrzymy w tamtym kierunku - powiedziałem, zaciskając palce na tubusie, który nagle zeskoczył z pękniętego mocowania, spadł na podłogę i potoczył się pod biurko Grace.

- Przecież ci mówiłam, tato, że to kupa złomu - podsumowała.

Cynthię także zastałem już w łóżku, z kołdrą naciągniętą wysoko, aż do ucha, opatuloną niczym w kokonie. Oczywiście miała zamknięte, chociaż byłem pewny, że nie śpi. Po prostu nie chciała ze mną rozmawiać.

Rozebrałem się do bokserów, umyłem zęby i wślizgnąłem się obok niej pod kołdrę. Na nocnym stoliku leżał stary egzemplarz magazynu „Harper's”. Sięgnąłem po niego i otworzyłem na końcu, żeby zajrzeć do spisu treści, ale nie mogłem się skoncentrować.

Odłożyłem pismo, zgasłem lampkę i ułożyłem się na boku, tyłem do żony.

- Pójdę się położyć z Grace - powiedziała.

- Jak sobie życzysz - mruknąłem w poduszkę, nie oglądając się na nią. - Cynthia, kocham cię. Oboje kochamy się nawzajem. To, co się teraz dzieje, niepotrzebnie wdiera się między nas, rozdziela nas.

Powinniśmy opracować jakiś plan, obmyślić sposób, który pozwoliłby nam wspólnie z tego wyjść.

Wysunęła się spod kołdry bez słowa. Klin światła z korytarza rozwarł się na suficie, po czym zgasł, gdy zamknęła za sobą drzwi. Doskonale, pomyślałem. Byłem zanadto zmęczony, żeby wszczynać od nowa kłótnię, żeby próbować załagodzić sytuację.

Niemal od razu zasnąłem.

A kiedy wstałem rano, Cynthii z Grace już nie było.

Nie dziwiła mnie nieobecność żony w łóżku, gdy się obudziłem o wpół do siódmej. Nawet kiedy się nie kłóciliśmy, często zasypiała u boku Grace i spędzała całą noc z córką. Dlatego nie od razu podreptałem na koniec korytarza, by zajrzeć do dziecięcej sypialni.

Wstałem, wciągnąłem dzinsy i w przyległej łazience obmyłem twarz zimną wodą. Nie wyglądałem najlepiej. Niepokoje związane z wydarzeniami kilku ostatnich tygodni zbierały żniwo. Pod oczami miałem wielkie ciemne worki i chyba schudłem kilka kilogramów. To ostatnie za bardzo mnie nie martwiło, chociaż zdecydowanie wolałbym osiągnąć to samo, realizując jakiś plan niezwiązany z poważnym stresem. Oczywiście miałem nieco zaczerwienione, poza tym doszedłem do wniosku, że przydałaby mi się wizyta u fryzjera.

Mój ręcznik wisi na wieszaku od strony okna wychodzącego na podjazd od frontu i kiedy po niego sięgałem, uderzyło mnie, że świat wygląda jakoś inaczej niż zazwyczaj. W szczelinach między żaluzjami zwykle dominowała biel i czerń łamana kolorami naszych dwóch samochodów. Ale tego dnia poza plamą srebrzystego lakieru była jedynie czerń asfaltu.

Rozchyliłem szerzej listewki żaluzji. Samochodu Cynthii nie było przed domem.

Wymamrotałem coś w rodzaju:

- Co jest, do jasnej...

Pobiegłem na koniec korytarza, bosy i bez koszuli, i gwałtownie otworzyłem drzwi pokoju Grace. Mała nigdy nie wstawała tak wcześnie, o tej porze zazwyczaj jeszcze smacznie spała.

Ale tym razem łóżko było puste, a pościel zsunięta w kącie.

W pierwszej chwili miałem ochotę ze szczytu schodów wykrzyknąć imię Cynthii albo Grace, ale szybko uzmysłowiłem sobie, że jest bardzo wcześnie i jeśli pozostał w domu ktoś oprócz mnie, zapewne śpi w najlepsze i nie warto go budzić.

Zajrzałem więc do gabinetu, w którym nikogo nie było, i pognałem na dół, do kuchni.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak wczorajszego wieczoru. Naczynia pozmywane, talerze pochowane. Nikt jeszcze nie jadł śniadania przed wyjściem z domu.

Otworzyłem drzwi od piwnicy i już bez wyrzutów sumienia zawołałem:

-Cyn!

Uprzytomniłem sobie, że to czysta głupota, skoro nie ma jej samochodu na podjeździe, ale mimo że w głębi ducha czułem, że to nie ma sensu, działałem chyba z przeświadczeniem, że ktoś musiał nam ukraść samochód.

- Jesteś tam?! - Odczekałem chwilę, po czym zawołałem: - Grace!

Kiedy otworzyłem drzwi frontowe, ujrzałem leżącą na ganku poranną gazetę. I jakoś nie mogłem otrząsnąć się z przeczucia, że przeżywam analogiczny epizod, jak kiedyś moja żona.

Tyle że tego dnia, w odróżnieniu od poranka sprzed dwudziestu pięciu lat, czekała na mnie wiadomość.

Kartka złożona we dwoje stała pionowo, wciśnięta między solniczkę i pieprzniczkę na kuchennym stole.

Chwyciłem ją i rozpostarłem. Od razu rozpoznałem charakter pisma Cynthii.

List był następującej treści:

Terry, wyjeżdżam.

Nie wiem dokąd ani na jak długo. Po prostu nie wytrzymam w tym domu ani minuty dłużej.

Nie mam do ciebie żalu, ale kiedy zobaczyłam niepewność w twoim spojrzeniu, serce mi pękło. Mam wrażenie, że odchodzę od zmysłów, ponieważ nikt mi nie wierzy.

Świetnie wiem, że Wedmore też nie jest przekonana, co o tym wszystkim sądzić.

Boję się myśleć, co będzie dalej. Kto jeszcze włamie się do naszego domu? Kto będzie nas obserwował wieczorami z ulicy? Kto następny zginie?

Nie chcę, żeby to była Grace. Dlatego zabieram ją ze sobą. Nie wątpię, że potrafisz się o siebie zatroszczyć. A kto wie? Może moja nieobecność przywróci ci poczucie bezpieczeństwa?

Chciałabym wszcząć poszukiwania ojca, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć. Jestem przekonana, że on żyje.

Może właśnie to odkrył detektyw Abagnall, kiedy postanowił zainteresować się bliżej Vince'em. W tej sprawie nic nie wiemy.

W każdym razie chwilowo muszę zaczerpnąć głębszego oddechu. No i będę miała okazję zacieśnić więzi z córką, gdy nic innego nie będzie nam zakłócało naszych wzajemnych relacji.

Nie zamierzam też zbyt często włączać komórki. Dobrze wiem, że na podstawie sygnału łatwo jest określić miejsce pobytu. Lecz od czasu do czasu będę odsłuchiwała nagrane wiadomości głosowe. Może na pewnym etapie poczuję chęć rozmowy z tobą, ale na razie nie jest mi to potrzebne.

Zadzwoń do szkoły i powiedz, że Grace przez jakiś czas nie będzie chodziła na zajęcia. Nie będę dzwoniła do sklepu. Niech Pamela myśli, co chce.

Nie szukaj nas.

Nadal cię kocham, wołałabym jednak, żebyś nie znalazł nas za wcześnie.

Cynthia Przeczytałem tę wiadomość trzy, może cztery razy, po czym przysunąłem sobie telefon i wybrałem numer jej komórki, ni bacząc na to, co napisała. Od razu włączyła się poczta głosowa powiedziałam:

- Jezu... Cyn, zadzwoń do mnie.

Zaraz jednak z wściekłością cisnąłem słuchawkę na widełki i wrzasnąłem na cały głos:

- Jasna cholera! Niech to szlag trafi!

Kilka razy obszedłem kuchnię dookoła, nie mając pojęcia, co dalej robić. Otworzyłem drzwi i wciąż w samych dżinsach wyszedłem na koniec podjazdu i wyjrzałem na ulicę, jak gdybym jakimś magicznym sposobem potrafił określić, w którą stronę pojechały Cynthia i Grace. Zaraz jednak wróciłem do domu, ponownie chwyciłem słuchawkę i jak w transie wybrałem numer, pod który zawsze dzwoniłem w trudnych chwilach, gdy chciałem porozmawiać z kimś, kogo kochał Cynthię nie mniej niż ja.

Oczywiście był to numer Tess.

Dopiero po trzecim sygnale, kiedy wciąż nikt nie odbierał, uświadomiłem sobie, co wyrabiam najlepszego, toteż przerwałem połączenie, usiadłem przy kuchennym stole i zacząłem szlochać. Oparłem łokcie na brzegu stołu, ukryłem twarz w dłoniach i dałem upust swoim emocjom.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, sam, przy pustym stole w kuchni, nie wycierając nawet łez spływających mi po twarzy.

Chyba do czasu, kiedy po prostu wyplakałem ostatnie łzy.

Wtedy uświadomiłem sobie, że stoję wobec konieczności podjęcia jakichś działań.

Wróciłem do sypialni i skończyłem się ubierać. Bez przerwy musiałem w myślach powtarzać sobie kilka rzeczy.

Po pierwsze, że Cynthii i Grace nic nie grozi. W końcu nie zostały porwane ani nic w tym rodzaju. A po drugie, nie umiałem sobie wyobrazić, aby moja żona dopuściła do tego, by coś złego przydarzyło się naszej córce, bez względu na to, jak bardzo była na mnie zła.

Przecież kochała Grace.

Ale co o tym wszystkim myślała nasza córka? Matka zapewne wyciągnęła ją z łóżka w środku nocy, kazała się spakować, po czym wykradły się razem z domu, tak żeby ojciec niczego nie słyszał.

I Nie wątpiłem, że w głębi serca Cynthia jest przekonana, że postępuje słusznie. Ale popełniała poważny błąd, przede wszystkim dlatego, że narażała Grace na niepotrzebne traumatyczne przejścia.

I pewnie z tego powodu postanowiłem zlekceważyć prośbę Cynthii, żeby ich nie szukać.

Grace była także moją córką. Tęskniłem za nią. I nie wyobrażałem sobie, bym mógł zrezygnować z poszukiwań. I z próby naprawienia stosunków z moją żoną również.

Poszperałem w regale, znalazłem mapę drogową Nowej Anglii wraz ze stanem Nowy Jork i rozpostarłem ją na stole w kuchni.

Pochodziła jeszcze z czasów, kiedy powszechna była wiara w słowo drukowane, a nie tylko w to, co się wyświetla na ekranie.

Wodziłem wzrokiem od Portland aż do Providence na południu i od Bostonu na zachód do Buffalo, zadając sobie w myślach pytanie, dokąd mogła pojechać Cynthia. Następnie skoncentrowałem się na granicy Connecticut z Massachusetts, przy której leżało Otis, a niedaleko stary kamieniołom. Nie chciało mi się wierzyć, aby pojechała właśnie tam. Na pewno nie z Grace. Bo i czego chciałby w ten sposób dowieść? Co mogła jej przynieść powtórna podróż w tamten rejon?

Później wzrok mój padł na miasteczko Sharon, skąd pochodziła Connie Gormley, dziewczyna zabita w upozorowanym wypadku na poboczu autostrady, ale i ten cel podróży nie miał według mnie żadnego sensu. Cynthia nie przywiązywała większej wagi do treści notatki wyciętej z gazety przez jej ojca, na pewno nie traktowała jej tak, jak ja. Nie wyobrażałem sobie, by mogła wyruszyć w tamtym kierunku.

Przyszło mi do głowy, że nie znajdę wskazówek na mapie, że powinienem się skoncentrować na nazwiskach ludzi z jej przeszłości. Oczywiście ludzi, do których mogłaby się zwrócić w takiej trudnej chwili o pomoc czy radę.

Przeszedłem do saloniku, gdzie na stole wciąż stały dwa pudełka po butach wypełnione jej pamiątkami. Przez wydarzenia kilku ostatnich tygodni w ogóle nie wróciły na swoje zwykłe miejsce na dnie szafy w naszej sypialni.

Zacząłem wylawiać na chybił trafił wycinki prasowe, paragony i rachunki, które jednakże nic mi nie mówiły.

W moich oczach przypominały luźne kawałki wielkiego puzzla, pozornie wcale do siebie niepasujące.

Wróciłem do kuchni i zadzwoniłem pod domowy numer Rolly'ego. Było jeszcze za wcześnie na to, żeby wyszedł do szkoły. Odebrała Millicent.

- Cześć, Terry. Co się dzieje? Czyżbyś dzisiaj też nie mógł przyjść?

- Rolly dał mi już wolne do końca tygodnia. Millie, nie miałaś przypadkiem wiadomości od Cynthii?

- Od Cynthii? Nie. Co się stało, Terry? Nie ma jej w domu?

- Wyjechała. I zabrała ze sobą Grace.

- Zawołam Rolly'ego.

Usłyszałem stuk odkładanej słuchawki, a po paru sekundach rozległ się głos Rolly'ego.

- Cynthia wyjechała?

- Tak. Nie wiem, co robić.

- Cholera. A chciałem do niej dzisiaj zadzwonić i zapytać, jak się czuje, może ma ochotę ze mną pogadać.

Nie powiedziała, dokąd się wybiera?

- Gdybym wiedział, dokąd pojechała, Rolly, nie dzwoniłbym do ciebie o tak cholernej porze.

- Tak, jasne... Jezu, nie wiem, co powiedzieć. Z jakiego powodu wyjechała? Pokłóciliście się czy jak?



- Coś w tym rodzaju. Spieprzyłem sprawę. A ona bierze teraz wszystko do siebie. Nie czuła się tu bezpieczna i postanowiła uchronić Grace. Ale to chyba nie najlepsza metoda zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Posłuchaj, gdyby się do was odezwała albo pokazała, dajcie mi znać, dobrze?

- Tak, pewnie - odparł Rolly. -1 zadzwoń, jak ją odnajdziesz.

Następnie zadzwoniłem do gabinetu doktor Kinzler. Był leszcze zamknięty, zostawiłem więc wiadomość na automatycznej sekretarce. Powiedziałem, że Cynthia zaginęła, i poprosiłem o kontakt, po czym podyktowałem oba swoje numery, domowy i komórki.

Ostatnią osobą, która przyszła mi do głowy, była Rona Wedmore. Zastanawiałem się chwilę i doszedłem do wniosku, że lepiej jej nie alarmować. Przynajmniej z mojego punktu widzenia nie była całkiem po naszej stronie. Wydawało mi się, że rozumiem motywację mojej żony do zniknięcia, nie byłem jednak pewien, czy tak samo rozumiałaby ją śledcza.

I wtedy przyszło mi do głowy jeszcze jedno nazwisko. Nigdy nie spotkałem tego człowieka, nigdy z nim nie rozmawiałem, nie miałem nawet pojęcia, jak wygląda. Ale jego nazwisko wielokrotnie przewijało się w tej sprawie.

Może więc nadeszła pora, żeby porozmawiać w cztery oczy z Vince'em Flemingiem.

Gdybym zdecydował się zadzwonić do detektywa Wedmore, mógłbym ją zapytać wprost, gdzie szukać Vince'a Fleminga, i w ten sposób zaoszczędzić trochę czasu. Powiedziała przecież, że jego nazwisko nie jest jej obce. Według Abagnalla, kartoteka Fleminga obejmuje rozmaite przestępstwa. Podobno miał nawet swój udział w krwawym odwecie po zabójstwie jego ojca na początku lat dziewięćdziesiątych. Istniało spore prawdopodobieństwo, że policja śledcza będzie wiedziała, gdzie szukać kogoś takiego.

Ale mimo to nie chciałem rozmawiać z Wedmore.

Włączyłem komputer i zapuściłem przeszukiwanie sieci z hasłami Vince Fleming oraz Milford. Znalazłem kilka wzmianek na jego temat w prasie z New Haven z ostatnich kilku lat, w tym jeden obszerniejszy artykuł dotyczący oskarżenia Fleminga o napaść i pobicie. Użył czyjejś twarzy do otwarcia butelki piwa, a został oczyszczony z zarzutów, gdyż poszkodowany zdecydował się wycofać oskarżenie. Byłem gotów się założyć, że za tą historią kryło się coś więcej, lecz internetowa wersja gazety nie podawała żadnych szczegółów.

W innej notatce Vince Fleming był tylko wymieniany jako osoba stojąca ponoć za rozbitym gangiem złodziei samochodów z południowego Connecticut. W każdym razie był właścicielem dużego warsztatu samochodowego w przemysłowej części miasta. Do artykułu dołączono zdjęcie, ale kiepskiej jakości, nieco zamazane i ziarniste, zrobione prawdopodobnie ukradkiem Przez fotografa niechającego, żeby fotografowany obiekt go zauważył. Przedstawiało mężczyznę wchodzącego do baru o nazwie U Mike'a. Nigdy tam nie byłem, ale wiedziałem, gdzie się znajduje.

Sięgnąłem po książkę telefoniczną, otworzyłem ją na żółtych kartkach z reklamami i odszukałem kilka stron zawierających wyłącznie adresy warsztatów zajmujących się wyklepywaniem i lakierowaniem wgniecionej karoserii. Przebiegłem wzrokiem ich nazwy, ale na pierwszy rzut oka trudno było powiedzieć, które z nich mogą należeć do Fleminga. W każdym razie nie znalazłem żadnego Vince's Auto Body ani Fleming's Fender Repair.

Miałem więc do wyboru albo zacząć obdzwaniać wszystkie warsztaty w Milford i okolicy, albo spróbować popytać o Vince'a Fleminga w barze U Mike'a. Liczyłem na to, że znajdę tam kogoś, kto przynajmniej naprowadzi mnie na właściwą drogę, poda nazwę warsztatu, w którym, jeśli wierzyć gazetom, ludzie Fleminga od czasu do czasu rozbierali skradzione samochody na części.

Nie byłem specjalnie głodny, tylko przez rozsądek postanowiłem zrobić sobie śniadanie. Włożyłem dwie kromki chleba do tosterka i zjadłem grzanki z masłem orzechowym. Włożyłem marynarkę, sprawdziłem, czy mam w kieszeni telefon komórkowy, i ruszyłem do wyjścia.

Kiedy otworzyłem drzwi, ujrzałem stojącą przed nimi Ronę Wedmore.

- Rety - syknęła, zamarszy z dłonią uniesioną, żeby zapukać. Ja też aż podskoczyłem na miejscu.

- Jezu, ale mnie pani przestraszyła.

- Panie Archer... - zaczęła z ociąganiem, chcąc się pozbierać, ewidentnie bardziej przestraszona ode mnie.

- Witam - wpadłem jej w słowo. - Właśnie wychodziłem.

- Czy zastałam pańską żonę? Nie widzę jej samochodu.

- Wyjechała. Mogę w czymś pomóc? Ma pani jakieś nowe informacje czy poszlaki?

- Nie - odparła. - Kiedy wróci pańska żona?

- Nie umiem dokładnie powiedzieć. Do czego jest pani potrzebna?

Zignorowała to pytanie.

- Jest w pracy?  
- Możliwe.  
- Wie pan co? Chyba lepiej do niej zadzwonię. Zdaje się, że mam tu gdzieś numer jej komórki. -  
Wyciągnęła notes.  
- Nie odbiera... - Ugryzłem się w język.  
- Nie odbiera telefonów? - zdziwiła się śledcza. - Zresztą zaraz sama się przekonam. - Wybrała numer, przytknęła aparat do ucha, lecz wyłączyła go już po paru sekundach. - Ma pan rację. Czyżby nie lubiła odbierać telefonów?  
- Czasami.  
- Kiedy pani Archer wyjechała? - zacięła się.  
- Dziś rano.  
- Przejeżdżałam wtedy około pierwszej w nocy, bo później niż zwykle zeszłam ze służby, i jej samochodu już nie było przed domem.  
Cholera. To oznaczało, że Cynthia wyciągnęła Grace z łóżka i wyruszyła z nią w drogę wcześniej, niż podejrzewałam.  
- Poważnie? Trzeba było zapukać i wejść na chwilę.  
- Gdzie ona jest, panie Archer?  
- Nie wiem. Proszę spróbować po południu, może już będzie w domu. - W głębi duszy strasznie chciałem ją poprosić o pomoc, bałem się jednak, że jedynym efektem będzie to, iż Wedmore z jeszcze większą podejrzliwością zacznie myśleć o mojej żonie.  
Zwróciłem uwagę, że znowu wypchnęła językiem policzek, jakby było jej to niezbędne do sformułowania pytania:  
- Czy zabrała ze sobą Grace?  
Przez dłuższą chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu.  
- Naprawdę muszę już iść, mam ważne sprawy.  
- Wygląda pan na zdenerwowanego, panie Archer. I wie pan co? Chyba ma pan ku temu poważne przyczyny. Pańska żona ostatnio żyje w wielkim stresie. Chciałabym, żeby dał mi pan znać, gdy tylko się pojawi.  
- Nie wiem, o co ją pani podejrzewa - odparłem. - Ale to moja żona jest ofiarą ostatnich zdarzeń. To ona została pozbawiona całej najbliższej rodziny. Najpierw zaginęli jej rodzice i brat, a teraz ciotka. Wedmore postukała mnie w pierś palcem wskazującym.  
- Niech pan zadzwoni - powtórzyła, wręczając mi znowu swoją wizytówkę.  
Odprowadziłem ją wzrokiem, gdy wsiadała do samochodu i odjeżdżała. Ruszyłem zaraz za nią i pojechałem na zachód Bridgeport Avenue, w kierunku obrzeży Milford od strony Devonu. Przejeżdżałem przed barem U Mike'a setki razy, miałem przed oczami tę niewielką ceglana kamienicę sąsiadującą ze sklepem 7-Eleven, a zwłaszcza jej krzykliwy, pionowy neon spadający z drugiego piętra i kończący się tuż nad wejściem.  
Okna od frontu udekorowano reklamami Schlitza, Coorsa i Budweisera.  
Zaparkowałem za rogiem i cofnąłem się pieszo, nie mając pewności, czy bar będzie otwarty o tak wczesnej porze. Dopiero gdy wszedłem do środka, uświadomiłem sobie, że dla wielu ludzi nigdy nie jest za wcześnie na drinka.  
W słabo oświetlonej sali było już kilkunastu klientów, dwóch siedziało na wysokich stołkach przy kontuarze i rozmawiało półgłosem, reszta zajmowała miejsca przy stolikach. Podeszedłem do baru, stanąłem obok tych dwóch gości i pochyliłem się, żeby przyciągnąć uwagę niskiego barczystego mężczyzny w kraciastej koszuli krzającego się za kontuarem.  
- Co podać? - zapytał, podchodząc z mokrym kuflem w jednej ręce i ze ścierką w drugiej. Wepchnął ją do środka i zakręcił szybko.  
- Cześć. Szukam pewnego faceta, który chyba często tu przychodzi.  
- Sporo ludzi tu przychodzi. A jak się nazywa?  
- Vince Fleming.  
Barman przyjął to z miną wytrawnego pokerzysty. Nawet nie mrugnął okiem i nie zmarszczył brwi. Ale też przez jakiś czas nie odpowiadał. Dopiero po chwili mruknął:  
- Fleming... Fleming... Nie jestem pewien.  
- Ma tu niedaleko warsztat samochodowy - dodałem. - Cos mi się zdaje, że należy do tych ludzi, których nie sposób nie znać, jeśli są stałymi bywalcami.  
Uderzyło mnie, że ci dwaj przy barze nagle przerwali rozmowę.

- A jaki interes masz do niego? - zapytał barman.

Próbowałem się skromnie uśmiechnąć.

- To sprawa osobista. Byłbym jednak wdzięczny, gdybyś mógł mi zdradzić, gdzie go szukać. Zaraz, chwileczkę. - Sięgnąłem po portfel i przez parę sekund borykałem się z jego wyciągnięciem z tylnej kieszeni dzinsów. Musiałem wyglądać na ostatnią ofiarę losu, przy której detektyw Columbo to wysportowany facet. - Dla mnie trochę za wcześnie na piwo, ale z chęcią wynagrodzę ci stratę czasu. Jeden z gości przy barze zsunął się ze stołka i ruszył w głąb lokalu, chyba do toalety.

- Zatrzymaj swoje pieniądze - odrzekł barman. - Jeśli chcesz, możesz zostawić swoje dane na kartce i jak ten Fleming się zjawi następnym razem, przekażę mu ją.

- A nie mógłbyś zdradzić, gdzie pracuje? Zrozum, nie chcę mu przysparzać żadnych kłopotów. Po prostu przyszło mi do głowy, że ktoś, kogo szukam, mógł się z nim ostatnio widzieć.

Barman zacisnął wargi, ale chyba doszedł do wniosku, że nazwa warsztatu Fleminga nie jest żadną tajemnicą, gdyż rzucił po chwili:

- Dirksen Garage. Wiesz, gdzie to jest?

Pokręciłem głową.

- Zaraz za mostem, w Stratford. - Sięgnął po papierową serwetkę i naszkicował mi mapkę.

Wyszedłem na ulicę, przystanąłem na krótko, żeby oswoić wzrok z jaskrawym słońcem, po czym ruszyłem z powrotem do samochodu. Dirksen Garage znajdował się zaledwie parę kilometrów dalej, odnalazłem go już po pięciu minutach. Popatrzyłem jeszcze we wsteczne lusterko, zastanawiając się, czy nie Przyjechała tu za mną Rona Wedmore, ale nie zauważyłem żadnego podejrzanego nieoznakowanego auta.

Warsztat zajmował parterowy betonowy budynek, plac przed nim także był wybetonowany, stał na nim pomalowany na niebiesko wóz holowniczy. Zaparkowałem przy krawężniku, minąłem volkswagena garbusa z rozwalonym przodem oraz fordą explorera z wgniecionymi obydwoma drzwiami od strony kierowcy i wszedłem do środka głównym wejściem dla klientów.

Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu biurowym, którego okno wychodziło na rozległą halę zastawioną kilkunastoma samochodami w różnym stadium naprawy. Niektóre pokryte były brunatnymi plamami farby antykorozyjnej, inne poklejane szarym papierem i przygotowane do lakierowania, jeszcze inne miały zdemontowane zderzaki. Powietrze było przesycone odorem różnych substancji chemicznych, na tyle nieprzyjemnym, że wręcz zatykającym dech w gardle.

Za biurkiem w kantorku siedziała dziewczyna, która zapytała uprzejmie, czego sobie życzę.

- Chciałem się zobaczyć z Vince'em.

- Nie ma go.

- To bardzo ważne - dodałem. - Nazywam się Terry Archer.

- A o co chodzi?

Mogłem powiedzieć wprost, że szukam zaginionej żony, ale to by tylko niepotrzebnie wzbudziło podejrzania. Kiedy jakiś facet szuka innego, mówiąc, że chodzi o jego żonę, trudno uwierzyć, by mogło wynikać z tego coś pozytywnego. Dlatego odparłem:

- Muszę z nim porozmawiać.

A niby o czym, mianowicie, chciałem z nim rozmawiać?

Ułożyłem to sobie już w głowie? Na przykład mogłem zacząć:

„Nie widział pan mojej żony? Pamięta ją pan? Nazywała się Cynthia Bigge. Był pan z nią na randce tamtego wieczoru, kiedy całą jej rodzina zniknęła bez śladu”.

Po przełamaniu pierwszych lodów mógłbym spróbować czegoś w rodzaju: „Nawiasem mówiąc, czy miał pan z tym zniknięciem coś wspólnego? Czy to nie pan wpakował zwłoki jej matki i brata do samochodu, a potem zepchnął go z krawędzi urwiska na dno porzuconego kamieniołomu?”.

Byłoby znacznie lepiej, gdybym zawczasu obmyślił jakiś plan tego spotkania. Ale jedyna myśl, jaka mi się kołatała p°

głowie, była taka, że moja żona mnie zostawiła, a ja nie miałem pojęcia, gdzie jej szukać, dlatego usiłowałem strzelać w ciemno.

- Jak już powiedziałam, pana Fleminga w tej chwili tu nie ma - wycedziła dziewczyna. - Ale mogę mu przekazać wiadomość.

- Nazywam się Terry Archer - powtórzyłem i podyktowałem jej oba numery moich telefonów. - Naprawdę chciałyby z nim porozmawiać.

- Jasne, jak wiele innych osób - mruknęła.

Wyszedłem z Dirksen Garage. Stałem na skąpanym w słońcu chodniku i zadałem sobie pytanie: „Co dalej, palancie?”.

Byłem pewien tylko tego, że mam wielką ochotę na kawę. Pomyślałem więc, że może przy kawie olśni mnie jakaś błyskotliwa myśl. Spostrzegłem odległą o kilkadziesiąt metrów cukiernię, ruszyłem więc w tamtym kierunku. Zamówiłem podwójną ze śmietanką oraz cukrem i usiadłem przy stoliku zaśmieconym papierowymi serwatkami po pączkach. Odsunąłem je nieco od siebie, uważając, żeby nie pobrudzić palców lukrem ani lepką skórką pomarańczową. Wyjąłem telefon komórkowy.

Najpierw spróbowałem się znowu połączyć z Cynthią, a gdy zgłosiła się poczta głosowa, nagrałem wiadomość:

- Kochanie, zadzwoń do mnie. Bardzo proszę.

Chowałem już aparat z powrotem do kieszeni, gdy zadzwonił.

- Halo? To ty, Cyn?

- Pan Archer?

- Tak.

- Mówi doktor Kinzler.

- Ach, to pani. Myślałem, że to Cynthia. Ale dziękuję, że pani oddzwoniła.

- Czy dobrze zrozumiałam, że pańska żona zaginęła?

- Wyjechała w środku nocy, zabierając ze sobą Grace. - Odpowiedziała mi cisza, pomyślałem więc, że połączenie zostało Przerwane. - Halo?

- Tak, jestem. Nie kontaktowała się ze mną. Wydaje mi się, że powinien jej pan poszukać, panie Archer.

- Cóż, dzięki. To bardzo cenna rada, wzięwszy pod uwagę, że od wczesnego rana nie robię nic innego.

- Chciałam tylko powiedzieć, że pańska żona była ostatnio w bardzo dużym stresie, żyła w potwornym napięciu. Nie umiem nawet określić, czy jest w pełni... zrównoważona.

W każdym razie to na pewno nie jest najlepsze towarzystwo dla waszej córki.

- Co pani sugeruje?

- Niczego nie sugeruję, chcę tylko powiedzieć, że moim zdaniem najlepiej byłoby ją odszukać najszybciej, jak tylko to możliwe. A gdyby skontaktowała się ze mną, na pewno jej poradzę żeby wracała do domu.

- Wydaje mi się, że w domu nie czuje się bezpieczna.

- Więc to pan powinien się zatroszczyć, żeby poczuła si bezpieczna - odparła psychoterapeutka. -

Przepraszam, ma drugi telefon.

Rozłączyła się. Tak samo pomocna, jak zawsze, przemknę! mi przez myśl.

Wypiłem pół kawy, nim uświadomiłem sobie, że jest be cukru i po prostu obrzydliwa. Wyrzuciłem resztę do śmieci i wyszedłem na ulicę.

Nagle czerwony wóz terenowy skręcił na chodnik i zatrzymał się tuż przede mną. Gwałtownie otworzyły się jedne i drugie drzwi po prawej stronie i z auta wyskoczyło dwóch niechlujnie wyglądających osiłków w usmarowanych olejami dżinsach kurtkach dżinsowych i brudnych przeпоconych T-shirtach. Je den był całkiem łysy, drugi miał brudne ciemnoblonde włosy”

posklejane w strąki.

- Wskakuj! - rzucił łysy.

- Słucham? - zdziwiłem się.

- Słyszałeś - dodał blondas. - Właż do tego pieprzonego wozu - Nie sądzę... - zacząłem, cofając się do wejścia cukierni ale błyskawicznie złapali mnie pod ręce. - Hej! - zawołałem gdy pociągnęli mnie w stronę otwartych tylnych drzwi samo chodu. - Nie macie prawa. Puszczajcie! Nie wolno tak porywać ludzi z ulicy!

Wepchnęli mnie do środka z takim impetem, że wylądowałem na brzuchu na podłodze pod tylnym siedzeniem. Blondas wskoczył z przodu, a łysy wcisnął się za mną i oparł nogi w ciężkich roboczych butach na moich plecach. Zanim mnie zmusił, żebym spuścił głowę, przez ułamek sekundy widziałem trzeciego mężczyznę siedzącego za kierownicą.

- Już się bałem, że usłyszymy od niego coś zupełnie innego - rzekł łysy.

- Co?

- Myślałem, że powie: „Proszę mnie nie dotykać!”.

Obaj ryknęli gromkim śmiechem.

Prawdę powiedziawszy, dokładnie w ten sposób chciałem zaprotestować.

Jako nauczyciel angielskiego nie miałem specjalnie doświadczenia, jak się zachowywać, kiedy na ulicy przed cukiernią łapie cię pod ręce dwóch drabów i wpycha pod tylne siedzenie wozu terenowego.

Ale uczyłem się szybko. Pierwszy wniosek był taki, że nikogo za bardzo nie interesuje, co mam do powiedzenia.

- Posłuchajcie - odezwałem się spod siedzenia. - Musieliście popełnić jakąś pomyłkę. - Próbowałem się

choć trochę przekręcić na bok, żeby móc spojrzeć na łysego osiłka, który buciarami przyciskał mój tyłek do podłogi terenówki.

- Zamknij mordę! - warknął, łypiąc na mnie złowieszczo.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie jestem człowiekiem, którym wszyscy by się interesowali. Na pewno w niczym wam nie zagrażam. Za kogo mnie bierzecie? Za jakiegoś gangstera? Gliniarza? Jestem zwykłym nauczycielem.

Blondas wychylił się z przedniego fotela i odrzekł:

- Nienawidziłem wszystkich pieprzonych belfrów w mojej szkole. Już to wystarczy, żeby cię skrócić o głowę.

- Bardzo mi przykro, wiem, że jest cholernie dużo gównianych nauczycieli, ale próbuję wam przekazać, że nie mam nic wspólnego...

Łysy westchnął ciężko, rozpiął marynarkę i wyciągnął pistolet, który zapewne nie był największym pistoletem na świecie, ale z mojej pozycji pod jego buciarami przypominał wręcz małą armatę. Wymierzył mi w głowę.

- Jeśli będę musiał cię zastrzelić w samochodzie, szef się na mnie wścieknie, że mu uwaląłem pieprzoną tapicerkę krwią, mózgiem i odłamkami kości, ale jak mu wytłumaczę, że nie miałem innego wyjścia, bo za nic nie chciałeś zamknąć mordy, jak ci kazałem, to mi chyba wybaczy.

Zamilkłem.

Nie musiałem się konsultować z Sherlockiem Holmesem, żeby dojść do wniosku, że porwanie ma związek z tym, iż rozpytywałem o Vince'a Fleminga. Być może któryś z gości baru U Mike'a zadzwonił, gdzie trzeba, i zawiadomił ich. A może sam barman połączył się z warsztatem samochodowym, żeby uprzedzić o mojej wizycie. Później ktoś zainteresowany spuścił z łańcucha te dwa ogary, żeby się dowiedzieć, w jakiej sprawie chcę się zobaczyć z Vince'em Flemingiem.

Tyle że nikt jeszcze o to nie zapytał.

Może ich to nie obchodziło. Może wystarczyło, że pytałem.

Bywa tak, że wystarczy o kogoś zapytać, a ląduje się na podłodze pod tylnym siedzeniem terenówki i wszelki słuch o tobie ginie.

Zacząłem obmyślać sposób wyjścia z tej sytuacji. Miałem przeciwko sobie trzech barczystych osiłków.

Sądząc po wydatnych brzuskach, może nie byli to najbardziej wysportowani bandyci w Milford, tylko jakie to miało znaczenie, skoro byli uzbrojeni? Zdażyłem się przekonać, że jeden z nich ma pistolet, spokojnie mogłem więc zakładać, że tamci dwaj także je mają.

Czy miałem jakąś szansę, żeby wyrwać łysemu pistolet, zastrzelić go, otworzyć drzwi i wyskoczyć z jadącego samochodu?

Nawet jednej na milion.

Pistolet spoczywał w dłoni łysego opartej na kolanie. Drugie kolano było wyżej, bo stopa opierała się na moich pośladkach.

Nie wątpiłem, że brudny buciór zbira już zostawił ciemną tłustą smugę na moich dżinsach. Blondas rozmawiał półgłosem z kierowcą, też nie o mnie, tylko o meczu piłkarskim, który wczoraj transmitowano w telewizji.

- Co to jest, do cholery?! - zdziwił się w pewnej chwili blondas.

- Płyta kompaktowa - wyjaśnił spokojnie kierowca.

- Widzę, że płyta. Pytałem, co jest na niej nagrane. Chyba nie słuchasz tego w samochodzie?

- Owszem, słucham.

Doleciał mnie szum wysuwanej kieszeni odtwarzacza kompaktów.

- Kurwa, to po prostu „nie do wiary” - mruknął blondas.

- Co? - zainteresował się łysy.

Zanim uzyskał odpowiedź, z głośników popłynęła muzyka.

Najpierw instrumentalna przygrywka, a następnie tekst: Why do birds suddenly appear... every time... you are near?

- A niech mnie! - syknął łysy. - To pieprzeni Carpentersi?

- Hej, wypraszam sobie - odrzekł kierowca. - Wychowywałem się na takiej muzyce.

- Jezu! - odezwał się blondas. - Nie śpiewa przypadkiem ta panienka, co w ogóle niczego nie jadła?

- Zgadza się. Miała anoreksję.

- Skąd się tacy biorą? - mruknął łysy. - Nie mogła sobie pozwolić na hamburgera albo coś innego?

Zacząłem się zastanawiać, czy ta błyskotliwa debata o wadach i zaletach grupy muzycznej z lat siedemdziesiątych rzeczywiście może towarzyszyć mojemu transportowi na miejsce egzekucji. Czy

nastrój w samochodzie nie powinien być trochę poważniejszy? Na chwilę wstąpiła we mnie nadzieja. Zaraz jednak przypomniałem sobie scenę z filmu Pulp Fiction, w której Samuel Jackson i John Travolta spierają się co do francuskiej nazwy big maca, a chwilę później wchodzi do mieszkania i dokonują zabójstwa. Ci faceci nie mieli nawet stylu filmowych bohaterów. Prawdę mówiąc, co najmniej od jednego z nich zalatywało kwaśnym potem.

Tak się to miało skończyć? Pod tylnym siedzeniem terenówki? Siedzi sobie człowiek w cukierni przy kawie, usiłując obmyślić jakiś sposób odnalezienia żony i córki, a chwilę później spogląda w wylot lufy wielkiego pistoletu i przez głowę przemyka mu myśl: „One jeszcze zatęsknią... że nie było ich tu z tobą”. Pokonaliśmy kilka zakrętów, później przejechaliśmy przez tory kolejowe, wreszcie odniosłem wrażenie, że zaczynamy zjeżdżać w dół, po coraz bardziej stromym zboczach, jakbyśmy się zbliżali do morza.

W końcu kierowca zwolnił i skręcił ostro w prawo. Samochód podskoczył na krawężniku i zatrzymał się. Spoglądając za okno, widziałem głównie niebo, ale dostrzegłem też narożnik jakiegoś domu. Gdy kierowca wyłączył silnik, doleciały mnie krzyki mew.

- W porządku - mruknął łysy, patrząc na mnie z góry. - Masz być grzeczny. Wsiądziemy i wejdziemy po schodach do środka.

Jeśli spróbujesz uciekać, wrzeszczeć o pomoc czy robić inne debilne rzeczy, będę musiał ostro zareagować. Zrozumiałeś?

- Tak.

Blondas i kierowca wysiedli pierwsi. Łysy otworzył drzwi i wyskoczył, a ja dźwignąłem się na łokciu, obróciłem i przesunąłem tak, żeby wystawić nogi na zewnątrz.

Staliśmy na wąskim podjeździe między dwoma domkami letniskowymi. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w East Broadway, gdyż chyba tylko tutaj domki letniskowe są aż tak blisko siebie. Patrząc w kierunku południowym, dostrzegłem piaszczystą plażę i wody cieśniny Long Island. W oddali rysował się brzeg Wyspy Charlesa, co potwierdzało moje przypuszczenia.

Łysy wskazał mi pozbawione poręczy schody prowadzące wzdłuż żółtej ściany budynku na piętro.

Większą część parteru zajmował garaż. Blondas i kierowca ruszyli przodem, ja poszedłem za nimi, a łysy z tyłu. Schody były obsypane piaskiem z plaży, który zgrzytał pod butami przy każdym kroku.

Na podeście kierowca otworzył siatkowe drzwi i wpuścił nas trzech do środka. Znaleźliśmy się w obszernym pomieszczeniu z wielkimi przesuwnymi oszklonymi drzwiami wychodzącymi na taras wiszący nad plażą, z panoramicznym widokiem na morze. W pokoju stała kanapa i kilka foteli, wisząca półka ugięła się pod ciężarem kieszonkowych wydań powieści. W tylnej części urządzono jadalnię z dużym stołem, a pod samą ścianą niewielką kuchnię.

Przy niej, tyłem do nas, stał barczysty mężczyzna. W jednej ręce trzymał patelnię, w drugiej drewnianą łyżkę.

- Mamy go - oznajmił blondas.

Mężczyzna w milczeniu skinął głową.

- Zaczekamy na dole, w samochodzie - dodał łysy, po czym ruchem ręki nakazał obu kolegom, żeby poszli na nim. We trójkę wyszli na dwór, piach na schodach ponownie zachrzęścił pod butami.

Pozostałem jak wmurowany na środku pokoju. W innych okolicznościach z chęcią podszedłbym do przesuwanych drzwi, żeby popatrzeć na fale, może nawet wyszedłbym na taras, żeby zaczerpnąć wilgotnego morskiego powietrza. Tutaj jednak nie potrafiłem zrobić nic poza wpatrywaniem się w plecy gospodarza.

- Masz ochotę na jajka? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

- To nie kłopot - dodał. - Mogą być sadzone, na półmiękkko albo jajecznica, jak sobie życzysz.

- Nie, ale dziękuję za propozycję.

- Ja wstaję nieco później, niekiedy jest już pora lunchu, zanim się zbiorę, żeby przygotować śniadanie - wyjaśnił.

Wyjął z szafki talerz, zsunął na niego jajecznicę z patelni, obok położył dwie parówki czekające na papierowym ręczniku, zapewne podsmażone wcześniej, po czym sięgnął do szuflady po widelec i spiczasty ząbkowany nóż do mięsa.

Dopiero wtedy się odwrócił, podszedł do stołu, odsunął krzesło i usiadł.

Był mniej więcej w moim wieku, chociaż powinienem przyznać, i to całkiem obiektywnie, że wyglądał gorzej ode mnie.

Twarz miał usianą bliznami po trądziku, nad prawym okiem ciągnęła się trzycentymetrowa blizna, a czarne niegdyś włosy były już mocno upstrzone siwizną. Miał na sobie czarny T-shir byle jak wetknięty w

czarne dzinsy. Spod rękawka wyłaniała się dolna część jakiegoś tatuażu na prawym ramieniu, za mała jednak, bym mógł rozpoznać cały rysunek. Koszulka opinała się na dość wydatnym brzuszku i z ciężkim westchnieniem klapnęła na krzesło przy stole.

Wskazał mi miejsce naprzeciwko siebie. Podeszedłem z ociąganiem i usiadłem. Otworzył buteleczkę keczupu i wytrząsnął z niej na talerz dużą porcję obok parówek. Obok talerza stał już duży kubek z kawą. Sięgając po niego, zapytał:

- A może kawy?
- Nie, dziękuję. Dopiero co wypłem kawę w cukierni.
- Też koło mojego warsztatu?
- Tak.
- Nie jest najlepsza - rzekł.
- To prawda. Połowę zostawiłem w śmieciach.
- Czy my się znamy? - zapytał, wkładając porcję jajecznicę do ust.
- Nie.
- A jednak o mnie rozpytywałaś. Najpierw u Mike'a, potem w moim warsztacie.
- Owszem. Ale nie miałem zamiaru pana alarmować.
- „Nie miałem zamiaru pana alarmować” - powtórzył ironicznie.

Uznałem już wcześniej, że musi to być Vince Fleming we własnej osobie. Wbił widelec w parówkę, sięgnął po nóż i odkroił kawałek. Włożył go do ust, rozgryzł i powiedział:

- Cóż, kiedy zaczynają o mnie rozpytywać ludzie, których nie znam, to raczej oczywisty powód do niepokoju.
- Obawiam się, że nie mogę tego w pełni zaakceptować.
- Wziąwszy pod uwagę prowadzone przeze mnie interesy, miewam niekiedy do czynienia z ludźmi hołdującymi nietypowym metodom załatwiania spraw.
- Rozumiem.

- Właśnie dlatego, gdy zaczynają o mnie rozpytywać ludzie, których nie znam, to dla mnie oczywisty powód do niepokoju.

Stąd też wolę tak zaaranżować spotkanie, żebym od początku miał pewną przewagę.

- Sprytne rozwiązanie.
- Więc kim jesteś, do jasnej cholery?
- Nazywam się Terry Archer. Zna pan moją żonę.
- Znam twoją żonę - powtórzył takim tonem, jakby chciał zapytać: „I co z tego?”.
- A raczej znał ją pan, dawno temu.

Fleming skrzywił się z niechęcią i odkroił drugi kawałek parówki.

- O co ci chodzi? Czyżbym zabawiał się z twoją staruszką albo coś podobnego? Wiesz, to nie moja wina, że nie potrafię zadowolić swojej kobiety, więc potrzebowała mnie, żeby zyskać to, na czym jej zależało.
- Chodzi mi o zupełnie inną sprawę - odparłem. - Moja żona ma na imię Cynthia. W czasach, kiedy pan ją znał, nosiła nazwisko Bigge.

Zastygł na chwilę.

- O cholera, chłopie. To faktycznie było bardzo dawno temu.
- Dwadzieścia pięć lat.
- Długo się zbierałeś, żeby do mnie wpaść - skwitował Fleming.
- Bo dopiero ostatnio sprawy przybrały nieciekawy obrót - wyjaśniłem. - Zapewne przypomina sobie pan, co się zdarzyło tamtego wieczoru.
- Jasne. Cała jej pieprzona rodzinka zniknęła.
- Zgadza się. Właśnie odnaleziono zwłoki matki Cynthii oraz jej brata.
- Todda?
- Nie inaczej.
- Znałem Todda.
- Naprawdę?

Fleming wzruszył ramionami.

- Trochę. W końcu chodziliśmy razem do szkoły. To był porządny facet.

Dolał sobie jeszcze keczupu na talerz.

- Nie ciekawi pana, gdzie odnaleziono zwłoki? - zapytałem.
- Domyślam się, że i tak mi zaraz powiesz.
- W samochodzie matki Cynthii, żółtym fordzie escortie, który spoczywał na dnie jeziora w starych

kamieniołomach aż w Massachusetts.

- Bez jaj?

- Bez jaj.

- Musiały tam trochę poleżeć - mruknął. - I mimo upływu lat dało się zidentyfikować szczątki?

- DNA - odparłem.

Pokręcił głową w wyrazie podziwu.

- Przekłęte DNA. Co byśmy bez niego zrobili? - Włożył do ust ostatni kawałek parówki.

- Poza tym ciotka Cynthii została zamordowana - dodałem.

Zmarszczył czoło.

- Chyba słyszałem o niej od Cynthii. Miała na imię Bess?

- Tess.

- Ach, tak. Została zastrzelona?

- Nie. Ktoś ją zasztyletował nożem w jej własnej kuchni.

- Aha - mruknął Vince. - Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego mi o tym opowiadasz?

- Cynthia zniknęła - odrzekłem. - Po prostu... uciekła. Razem z córką. Bo mamy ośmioletnią córkę o imieniu Grace.

- Przykro mi to słyszeć.

- Pomyślałem, że istnieje pewna szansa na to, że moja żona skontaktowała się z panem. Wciąż próbuję ustalić, co się stało, a być może pan coś wie w tej sprawie.

- Niby co miałbym wiedzieć?

- Nie wiem. Ale był pan ostatnią osobą, z którą Cynthia się widziała tamtego wieczoru, nie licząc rodziców i brata. Poza tym wdał się pan w sprzeczkę z jej ojcem, który zabrał ją do domu.

Zareagował błyskawicznie.

Sięgnął lewą ręką przez stół, złapał mnie za prawy przegub i przyciągnął do siebie, podczas gdy drugą ręką chwycił ostro zakończony nóż do mięsa, którym kroił parówkę. Wziął zamach i szybkim ruchem wbił ten nóż w drewniany blat stołu między rozcapierzonymi palcami mojej dłoni.

- Jezu! - wrzasnąłem.

Vince zaciskał moją dłoń w stalowym uścisku, nie pozwalając cofnąć ręki.

- Nie podoba mi się to, co próbujesz zasugerować - syknął.

Byłem zanadto pochłonięty spazmatycznym łapaniem oddechu, żeby odpowiedzieć. Nie mogłem oderwać oczu od noża, próbując sobie powtarzać, że wcale nie przeszedł na wylot przez moją dłoń.

- Mam do ciebie pytanie - wycedził bardzo cicho Fleming, wciąż nie puszczając mojej ręki i nie zdejmując palców z trzonka noża. - Był jeszcze jeden facet, który niedawno o mnie rozpytywał. Wiesz coś na jego temat?

- Jaki facet? - wybąkałem.

- Po pięćdziesiątce, niewysoki, wyglądający na prywatnego detektywa. Też rozpytywał o mnie, chociaż nie tak otwarcie jak ty.

- To mógł być niejaki Abagnall, Denton Abagnall.

- Skąd o nim wiesz?

- Cynthia go wynajęła. To znaczy oboje go wynajęliśmy.

- Żeby węszył wokół mnie?

- Nie, w każdym razie nie bezpośrednio. Wynajęliśmy go, żeby pomógł odnaleźć rodzinę Cynthii albo przynajmniej wyjaśnić, co się stało.

- A to oznaczało też, że miał się zainteresować mną?

Z trudem przełknąłem ślinę.

- Sam wpadł na ten pomysł. Uznał, że warto by się było bliżej przyjrzeć pańskiej działalności.

- Czyżby? I czego się o mnie dowiedział?

- Niczego. A nawet jeśli się czegoś dowiedział, to nic o tym nie wiemy. I już się nie dowiemy.

- Z jakiego powodu? - zaciekał się Fleming.

Albo rzeczywiście o niczym nie wiedział, albo był prawdziwym mistrzem w zachowaniu twarzy pokerzysty.

- Bo nie żyje - odparłem. - Też został zamordowany.

W podziemnym garażu w Stamford. Jesteśmy przekonani, że miało to coś wspólnego z zabójstwem Tess.

- Chłopcy mówili mi też, że jakaś policjantka węszy koło moich interesów. Czarna, niska i gruba.

- Detektyw Wedmore. To ona prowadzi śledztwo.

- Aha - mruknął Vince. W końcu puścił moją rękę i wyszarpnął nóż z blatu. - To bardzo ciekawe, ale jakoś nie za bardzo mnie obchodzi.



- Zatem nie widział pan mojej żony - powiedziałem. - Nie było jej tutaj i nie zaglądała do pańskiego warsztatu, żeby porozmawiać?

- Nie - odparł ze stoickim spokojem, patrząc mi w oczy, jakby oczekiwał, że podważę tę odpowiedź. Wytrzymałem jego wzrok.

- Cóż, mam nadzieję, że pan mnie nie okłamuje, panie Fleming, ponieważ jestem gotów na wszystko, byle żona i córka bezpiecznie wróciły do domu.

Wstał z krzesła, podszedł bliżej i stanął nade mną.

- Czy mam to traktować jak groźbę?

- Mówię tylko, że w sprawach dotyczących najbliższej rodziny nawet tacy ludzie jak ja, niemający choćby części pańskich wpływów, uczynią wszystko, co uznają za konieczne.

Złapał mnie za włosy, odchylił mi głowę do tyłu i pochylił się, zionąc mi w twarz wonią parówki z keczupem.

- Posłuchaj, kutasie. Czy ty masz w ogóle pojęcie, z kim rozmawiasz? Masz pojęcie, do czego są zdolni ci chłopcy, którzy cię tu przywieźli? Mogliby cię wsadzić na podajnik piły tartacznej albo z kamieniem u szyi wyrzucić za burtę na środku cieśniny, mogliby...

Na dworze, u podnóża schodów, jeden z tychże chłopców zawołał głośno:

- Hej, nie wchodź tam teraz.

Opowiedział mu wysoki kobiecy głos:

- Odpierdol się.

Znów pod czyimiś butami zazgrzytał piach na schodach.

Wpatrywałem się w twarz Vince'a Fleminga i nie widziałem siatkowych drzwi prowadzących na podwórze. Usłyszałem tylko, jak się otwierają, a po chwili rozległ się dziwnie znajomy mi głos:

- Cześć, Vince. Nie widziałeś mojej mamy, bo...

Dziewczyna urwała nagle, widocznie dostrzegłszy, że gospodarz trzyma swojego gościa za włosy.

- Nie widzisz, że jestem zajęty? - warknął. - Poza tym nie wiem, gdzie jest twoja matka. Lepiej poszukaj jej w centrum handlowym.

- Jezu, Vince, co ty, do cholery, wyrabiasz z moim nauczycielem?

Mimo palców Fleminga trzymających mnie mocno za włosy, udało mi się wykręcić głowę na tyle, żeby dostrzec Jane Scavullo.

- Twój nauczyciel? - powtórzył zdziwiony Vince, nie rozluźniając uchwytu. - Od czego?

- Od pieprzonego twórczego pisania - syknęła Jane. - Jeśli już masz ochotę wyżywać się na moich nauczycielach, to jest wielu innych, od których powinienes zacząć, na pewno nie od pana Archera. To najmniej porąbany gość z nich wszystkich. - Podeszła bliżej. - Witam, panie Archer.

- Cześć, Jane - odparłem.

- Kiedy pan wraca? - zapytała. - Bo ten facet, który pana zastępuje, to kompletny dureń. Wszyscy go olewają. Jest nawet gorszy od tej baby, co się jąka. Nikomu nie zależy na tym, żeby dostać jakąś ocenę. Zawsze coś ma między zębami i bez przerwy dłubie w nich paluchem, żeby to wyciągnąć, i chociaż stara się to robić ukradkiem i szybko, nikogo nie nabierze. - Uderzyło mnie, że poza szkołą Jane ani trochę nie sprawiała wrażenia zawstydzonej rozmową ze mną. Popatrzyła na Vince'a i zapytała: - O co ci chodzi?

- Może byś się zajęła swoimi sprawami, dobra?

- Na pewno nie widziałeś mojej mamy?

- Zdaje się, że może być w garażu. Czemu pytasz?

- Potrzebuję trochę forsy.

- Na co?

- Na różne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Różne.

- Ile potrzebujesz?

Jane wzruszyła ramionami.

- Cztery dychy?

Vince Fleming puścił moje włosy, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągnął portfel, wysuptał z niego dwie dwudziestki i podał Jane.

- To ten facet? - zapytał. - Ten, o którym mówiłaś? Któremu podobają się twoje opowiadania?

Jane przytaknęła ruchem głowy. Była tak rozluźniona, że przyszło mi do głowy, iż musiała już nieraz widzieć Fleminga w podobnej sytuacji. Ta sytuacja różniła się jedynie tym, że rozpoznała we mnie swojego nauczyciela.

- Owszem. Więc dlaczego się nad nim znęcasz?  
- Posłuchaj, kochana, to naprawdę nie twoja sprawa.  
- Próbuję odszukać swoją żonę - wtrąciłem. - Zabrała naszą córkę i wyjechała, bardzo się o nią martwię. Myślałem, że twój oj... że Vince będzie mógł mi pomóc.  
- Nie jest moim ojcem - odparła Jane. - Zerwał z moją mamą już jakiś czas temu. - Popatrzyła na Fleminga i dodała: - Nie traktuj jako zniewagi tego, że nie jesteś moim ojcem, bo uważam cię za porządnego faceta. - Znów popatrzyła na mnie. - Pamięta pan to opowiadanie, które napisałam dla pana, o facecie robiącym dla mnie jajecznicę?  
Zamyśliłem się na krótko.

- Tak. Pamiętam.

- Więc w jakimś stopniu było to opowiadanie o nim. To naprawdę porządny facet. - Uśmiechnęła się chytrze. - W każdym razie wobec mnie. A jeśli próbuje pan tylko odnaleźć swoją żonę i dzieciaka, to dlaczego Vince aż tak bardzo się wściekł?

- Skarbie... - zaczął Fleming.

Jane szybko podeszła do niego i syknęła mu prosto w twarz:

- Bądź miły dla niego, bo inaczej się wścieknę. Prowadzi jedyne zajęcia, z których mam dobre oceny. Jeśli szuka pomocy, by odnaleźć żonę, to dlaczego mu nie pomożesz? Podejrzewam, że nie wróci do szkoły, dopóki jej nie odnajdzie, tak więc będę musiała gapić się codziennie na tego gościa, który dłubie w zębach, a to nie wpłynie dobrze na moje wykształcenie, bo rzygać mi się chce na jego widok.

Vince objął ją i odprowadził do wyjścia. Nie słyszałem, co jej szeptał na ucho, ale już stojąc w otwartych drzwiach, Scavullo zawołała:

- Do zobaczenia, panie Archer.

- Do widzenia, Jane - odparłem i wytrzymałem słuch, żeby złowić zgrzyt piasku na schodach, ale za zamkniętymi drzwiami panowała cisza.

Kiedy Vince wrócił do stołu, nie miał już tak groźnej miny.

Usiadł. Sprawiał nawet wrażenie lekko zmieszanego, przez pewien czas się nie odzywał.

- To dobra dziewczyna - zacząłem.

Pokiwał głową.

- Tak, dobra. Jej matka, z którą się spotykałem, to niezłe dziwadło, ale Jane jest w porządku. Tylko bardzo jej potrzeb odrobiny... jak to nazywacie?... stabilności w życiu. Nie ma~ własnych dzieci, pewnie dlatego traktuję ją jak córkę.

- I wygląda na to, że jest do pana przywiązana.

- Potrafi owinać mnie sobie wokół palca - odrzekł, uśmiechając się szeroko. - Nie skojarzyłem, gdy podał pan swój nazwisko, ale ona na okrągło: „Pan Archer to, pan Arche tamto”.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Mówi, że pan ją zachęca. Do pisania.

- Bo jest w tym dobra.

Vince wskazał na półkę zavaloną książkami.

- Dużo czytam. Może nie jestem, jak to mówicie, dobrze wykształconym człowiekiem, ale naprawdę lubię czytać. Pasjonuje mnie historia i biografie sławnych ludzi, ale podobają mi się też powieści przygodowe. Jestem pełen podziwu dla ludzi, którzy potrafią napisać całą taką książkę. Kiedy więc Jane powiedziała, że pańskim zdaniem mogłaby zostać pisarką, pomyślałem, że to dla niej bardzo ciekawa perspektywa.

- Jane potrafi mówić własnym głosem - dodałem.

- Słucham?

- Skoro czyta pan dużo książek, to pewnie często potrafi pan powiedzieć, kto co napisał, nie patrząc na nazwisko autora na okładce.

- Jasne.

- Nazywa się to własnym głosem. Uważam, że Jane go ma.

Przytaknął ruchem głowy.

- Proszę posłuchać. To, co się stało...

- Nie ma sobie czym głowy zawracać - odparłem szybko, chociaż jeszcze miałem trudności, żeby przełknąć ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Jak ludzie zaczynają rozpytywać i próbują mnie odnaleźć, to powiem szczerze, że jest to powód do zmartwień dla kogoś takiego jak ja.

- Jak mam rozumieć „kogoś takiego jak ja”? - zapytałem, przeciągając dłońmi po włosach w nadziei odzyskania normalnego wyglądu.

- No cóż, odpowiem w ten sposób - rzekł w zamyśleniu. - Nie jestem nauczycielem twórczego pisania. Ale nie wyobrażam sobie, żeby w tej profesji był pan zmuszony do robienia takich rzeczy, jakie ja musiałem robić.

- Na przykład, do wysyłania swoich podwładnych w terenówce, żeby zgarniali obcych ludzi z ulicy.

- No właśnie - przyznał Vince. - Właśnie tego rodzaju rzeczy miałem na myśli. - Urwał na chwilę. - Może jednak napije się pan kawy?

- Dzięki, teraz napiję się z przyjemnością.

Podszedł do kuchni, napełnił kubek czarnym płynem z dzbanka zaparzaczką i wrócił do stołu.

- Nadal niepokoi mnie to, że zarówno pan, ten detektyw, jak i czarna policjantka rozpytywaliście o mnie na mieście.

- Czy mogę mówić całkiem szczerze, bez obawy, że znów zechce mi pan zerwać skalp albo wbić nóż w stół między moimi Palcami?

Z ociągnięciem skinał głową, świdrując mnie spojrzeniem.

- Był pan z Cynthią tamtego wieczoru. Jej ojciec odnalazł Was, wyciągnął ją z auta i zabrał do domu.

Niecałe dwanaście godzin później Cynthia obudziła się w pustym domu, cała jej rodzina zniknęła. Zatem prawdopodobnie jest pan jednym z ostatnich ludzi, nie licząc samej Cynthii, który widział członków jej rodziny żywych. Nie wiem, jak wyglądała sprzeczka między panem a jej ojcem, Claytonem Biggiem, ale nie mam wątpliwości, że sytuacja była dość nerwowa, kiedy wyciągał córkę z pańskiego samochodu, żeby ją zabrać do domu. - Zrobiłem krótką pauzę. - Nie mam też wątpliwości, że policja dokładnie pana sprawdzała, prowadząc wówczas śledztwo.

- Zgadza się.

- I co pan zeznał?

- Nie powiedziałem ani słowa.

- Jak mam to rozumieć?

- Całkiem dosłownie. Nie powiedziałem na przesłuchaniu ani słowa. Mój staruszek, świeć Panie nad jego duszą, skutecznie wbił mi do głowy, żeby pod żadnym pozorem nie odpowiadać na pytania gliniarzy, nawet jeśli nie jest się niczemu winnym. Nie ma nikogo, kto by poprawił swoją sytuację, otwarcie rozmawiając z gliniarzami podczas przesłuchania.

- Ale przecież mógłby pan pomóc w ustaleniu tego, co się naprawdę stało.

- To nie było moje zmartwienie.

- I wskutek odmowy składania zeznań nie stał się pan w oczach policji podejrzanym?

- Możliwe, ale sądy nikogo nie skazują na podstawie podejrzeń. Potrzebne są dowody. A w tej sprawie nie mieli żadnych dowodów. Gdyby znaleźli coś przeciwko mnie, na pewno nie siedzielibyśmy teraz tutaj i nie rozmawiali w luźnej atmosferze.

Pociągnąłem łyk kawy.

- Och - szepnąłem. - Doskonała. - Ani trochę nie kłamałem - Dziękuję - odrzekł Fleming. - Czy teraz ja mogę być z panem całkiem szczerzy, nie obawiając się o własny skalp? - zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Nie sądzę, żeby pod tym względem musiał się pan czegokolwiek obawiać - wyjaśniłem.

- Współczuję panu. Głównie tego, że nie może pan pomóc Cynthii. A to dlatego, że ona... tylko proszę się nie obrazić, skoro jest pan jej mężem.

- Nie obrażę się.

- Była naprawdę bardzo miłą dziewczyną. Może trochę stukniętą, jak wszyscy w tym wieku, ale nie aż tak jak ja. Już wtedy miałem zabazgraną kartotekę. Wydaje mi się, że przechodziła wtedy okres fascynacji niegrzecznymi chłopcami. Oczywiście zanim poznała pana - dodał takim tonem, jakby uważał mnie za niegodnego, by być jej mężem. - Bez obrazy.

- Jasne.

- Zatem była bardzo słodkim kociakiem i miałem wyrzuty sumienia za to, co ją spotkało. Jezu, proszę sobie tylko wyobrazić, że budzi się pan któregoś dnia, a tu cała rodzina zniknęła. Bardzo chciałem jej jakoś pomóc, co nie? Ale mój tata kazał mi się trzymać z dala od takich dziewczyn. Powiedział, że nie potrzebuję takich kłopotów, bo gliny i tak już mają na mnie oko, rzecz jasna, przez moje grzeszki, a on nie ma ochoty babrać się dodatkowo w gównie, jakim może być dla niego moja znajomość z dziewczyną, której cała rodzina została prawdopodobnie zamordowana.

- Chyba rozumiem to podejście - odparłem z namysłem, starannie dobierając słowa. - Jak się domyślam, pańskiemu ojcu wiodło się wtedy całkiem nieźle, prawda?

- Finansowo?

- Tak.
  - Pewnie. Całkiem nieźle się poustawiał, kiedy jeszcze było to możliwe. A potem go zabili.
  - Słyszałem o tym.
  - Co pan jeszcze słyszał?
  - Ze ludzie, którzy prawdopodobnie go zabili, musieli słono za to zapłacić.
- Vince uśmiechnął się pośpiesznie.
- To prawda. - Rozchmurzył się szybko i zapytał: - Dlaczego pytał pan o sytuację finansową mojego ojca?
  - Proszę wspomnieć swojego ojca i stopień jego współczucia dla Cynthii, a zwłaszcza sytuacji, w jakiej się znalazła. Czy sądzi pan, że mógłby mieć takie wyrzuty sumienia, żeby pomóc finansowo w jej wykształceniu, w ukończeniu studiów?
  - Słucham?
  - To tylko strzał w ciemno. Czy sądzi pan, że mógł się czuć /"winny za pańskie postępowanie, mógł podejrzewać, że miał pan coś wspólnego ze zniknięciem rodziny Cynthii, i to do tego / stopnia, żeby po kryjomu podrzucać pieniądze jej ciotce Tess Berman, chcąc pomóc w pokryciu kosztów nauki?
- Fleming patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby rozmawiał z wariatem.
- Podobno jest pan nauczycielem, prawda? Jakim cudem pozwalają nauczać w szkołach ludziom aż tak porąbanym?
  - Wystarczyło tylko powiedzieć nie.
  - Nie.
  - A jednak... - dodałem w zamyśleniu, jakbym dyskutował sam ze sobą, bo choć zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem tego ujawniać, to jednak instynkt podpowiadał mi coś przeciwnego - ...ktoś to robił.
  - Bez jaj - mruknął Vince. - Ktoś po kryjomu podrzucał jej ciotce pieniądze na opłacenie studiów?
  - Zgadza się.
  - I nie wiadomo kto?
  - Nie - To faktycznie dziwne - rzekł. - I dobrze słyszałem, że ta ciotka nie żyje?
  - Owszem.
- Odchylił się na oparcie krzesła i zapatrzył w sufit, ale zaraz się wyprostował, oparł łokcie na stole i ciężko westchnął.
- Coś panu powiem. Tylko proszę nie mówić tego policji, bo w razie czego wszystkiego się wyprę, gdyż te fiuty mogłyby to wykorzystać przeciwko mnie.
  - Jasne.
  - Może i powinienem był wtedy o tym powiedzieć bez obawy, że odbije się to na mnie, wolałem jednak nie ryzykować i nie zdradzać, gdzie byłem tamtej nocy, nawet gdyby miało to pomóc Cynthii, bo już wtedy miałem podejrzenia, że posadzą ją, iż miała coś wspólnego z tą sprawą, na przykład sama wymordowała całą swoją rodzinę albo coś w tym rodzaju. Ja jednak wiedziałem na pewno, że nic takiego nie zrobiła. Znow zaschło mi w gardle.
  - Za wszystko, co może mi pan powiedzieć, będę niezmiernie wdzięczny.
  - Tamtego wieczoru... - zaczął, zamknawszy na chwilę oczy i pograżając się we wspomnieniach - ...po tym, jak jej starszy wyciągnął ją z mojego wozu i zabrał do domu, pojechałem za nimi. Oczywiście nie bezpośrednio, tylko po jakimś czasie. Ciekaw byłem, jak bardzo wdepnęła w gówna, i chciałem zobaczyć na własne oczy, czy nie trzeba będzie jej pomóc w razie jakiejś pyskówki z ojcem czy coś w tym rodzaju. Ale chyba się spóźniłem, bo przedstawienie już się zakończyło.
- W milczeniu czekałem na ciąg dalszy.
- Zobaczyłem tylko, jak ojciec ciągnie ją przez trawnik wzdłuż podjazdu i wpycha do środka. Powinien pan chyba wiedzieć, że wyraźnie chwiała się na nogach. Wypiła trochę za dużo, zresztą oboje przesadziliśmy, tyle że ja już wtedy odznaczałem się sporą tolerancją na alkohol. - Znow wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Bardzo wczesnie zacząłem.
- Przeczuwałem, że Vince chce mi zdradzić coś ważnego, toteż wolałem go nie rozpraszać swoimi głupimi uwagami na temat rzeczy niemających znaczenia.
- W każdym razie.. - podjął po chwili - ...zaparkowałem wóz w pewnej odległości, podejrzewając, że Cynthia może wypaść z powrotem na ulicę po kłótni z rodzicami, wściekła i wzburzona, a wtedy mógłbym podjechać i zaproponować jej miejsce w samochodzie. Ale nic takiego się nie stało. Za to po pewnym czasie podjechał drugi samochód i zwoził, jak gdyby kierowca próbował odczytywać numery kolejnych domów.
  - Rozumiem.
  - Na początku nie zwracałem na niego szczególnej uwagi.

Skojarzyłem go dopiero, gdy dojechał do końca ulicy, zawrócił i zatrzymał się przy przeciwległym krawężniku, kilka domów od posiadłości rodziców Cynthii.

- Zauważył pan, kto siedzi za kierownicą? A może zapamiętał pan numery rejestracyjne?

- To był jakiś zafajdany model AMC, jeśli się nie mylę: Ambassador, Rebel czy coś w tym rodzaju. Chyba granatowy. Zdaje się, że w samochodzie był tylko kierowca. Trudno mi powiedzieć coś więcej na ten temat, ale odniosłem wrażenie, że była to kobieta. Tylko proszę nie pytać o nic więcej, bo nie mam nic oprócz własnych domysłów.

- Zatem jakaś kobieta zaparkowała na wprost domu Cynthii. Obserwowała go?

- Na to wygląda. Przypominam sobie jeszcze, że wóz miał tablice rejestracyjne spoza Connecticut, chyba z Nowego Jorku, bo jakieś dziwnie pomarańczowe. Ale w końcu widuje się tu sporo wozów z obcą rejestracją, co nie?

- Jak długo ten wóz tam stał?

- No cóż, po pewnym czasie, zresztą niezbyt długim, pojawiła się pani Bigge i Todd, czyli brat Cynthii, prawda?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Wyszli z domu i wsiedli do jej auta, żółtego forda, po czym odjechali. (

- Tylko we dwojkę? Nie było z nimi ojca Cynthii?

- Nie. Tylko mamuśka i Todd. On wskoczył na prawe siedzenie, bo chyba nie miał jeszcze prawa jazdy, ale tego nie jestem pewien. W każdym razie dokądś pojechali. Nie mam pojęcia dokąd. Ale jak tylko zniknęli za rogiem, zapaliły się światła tego drugiego wozu, który ruszył za nimi.

- Co pan wtedy zrobił?

- Nic. Siedziałem i dalej patrzyłem. A co innego miałbym robić?

- Jednakże ten drugi wóz, ambassador czy coś podobnego, ruszył za matką Cynthii i jej bratem, prawda? Vince wbił we mnie świdrujące spojrzenie.

- Czyżbym mówił za szybko?

- Nie, skądże, tylko przez te dwadzieścia pięć lat Cynthia nie miała o tym pojęcia.

- No cóż, mówię tylko o tym, co widziałem.

- Coś jeszcze?

- Siedziałem przed jej domem chyba następne trzy kwadransy, rozmyślając o tym, że wieczór i tak mam spieprzony, więc powinienem wracać do domu, kiedy nagle otworzyły się drzwi i na ulicę wyszedł jej ojciec. Nawet nie wyszedł, a wybiegł, jakby go coś ugryzło. Wskoczył do swojego samochodu, wyjechał tyłem z podjazdu, w poślizgu wykręcił na ulicy i odjechał na pełnym gazie.

Nie odzywałem się, chłonąc te nowiny.

- Umiałem już wtedy liczyć, co nie? Wykombinowałem więc, że skoro wszyscy odjechali, Cynthia została sama. No to wysiadłem i zapukałem do drzwi, chcąc z nią jeszcze pogadać.

Dobijałem się przez dłuższy czas, waliłem nawet pięścią w drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Doszedłem więc do wniosku, że zasnęła kamiennym snem, co nie? Dlatego zrezygnowałem i pojechałem do domu. - Wzruszył ramionami.

- A więc był tam ktoś jeszcze - podsumowałem. - Obserwował dom.

- Zgadza się. Nie tylko ja wpadłem na ten pomysł.

- I nigdy nikomu pan o tym nie mówił? Nie powiadomił pan policji? Nie powiedział nawet Cynthii?

- Już nigdy nie miałem okazji, żeby z nią porozmawiać, a jak już mówiłem, miałem zakodowane, żeby nie rozmawiać z gliniarzami. Według pana, mógłbym coś zyskać, gdybym zdradził na przesłuchaniu, że siedziałem w samochodzie przed ich domem do późnej nocy?

Spojrzałem za okno, na morze i widoczną w oddali Wyspę Charlesa, jak gdyby odpowiedzi, których szukałem i których jeszcze dłużej poszukiwała Cynthia, znajdowały się gdzieś tam, za horyzontem, poza naszym zasięgiem.

- A dlaczego teraz mi pan o tym mówi? - zapytałem.

Przeciagnał palcami po brodzie i poskubał czubek nosa.

- Sam nie wiem, do cholery. Pewnie dlatego, że wydaje mi się, iż przez te wszystkie lata Cyn musiała się nieźle gryźć. Mam rację?

To, że Vince Fleming używał tego samego zdrobnienia, co ja, mówiąc o mojej żonie, odebrałem prawie jak zniewagę.

- Owszem - odparłem. - Nawet bardzo. Zwłaszcza ostatnio.

- A dlaczego zniknęła?

- Pokłóciliśmy się i chyba strach ją obleciał. Złożyły się na to wszystkie wydarzenia kilku ostatnich tygodni,

jak również świadomość, że policja nie do końca jej wierzy. Przeważała obawa o bezpieczeństwo naszej córki. Kilka dni temu późnym wieczorem zauważyłem kogoś, kto stał na ulicy i obserwował nasz dom. Potem jej ciotka została zamordowana. W końcu dowiedzieliśmy się, że wynajęty przez nas detektyw także nie żyje.

- Mhm - mruknął w zamyśleniu Vince. - To faktycznie zagmatwana sytuacja. Szkoda, że nie mogę wam jakoś pomóc.

Obaj równocześnie popatrzyliśmy w bok, gdy trzasnęły drzwi wejściowe. Wcześniej nie doleciał zza nich nawet najłżejszy zgrzyt piasku pod stopami zbliżającej się osoby.

Była to Jane.

- Chryste, Vince, zamierzasz pomóc temu biednemu człowiekowi czy nie? (

- Gdzieżeś ty była? - warknął. - Przez cały czas podsłuchiwałaś? \

- Przecież to tylko drzwi siatkowe - odparła. - Jak nie chcesz, żeby cię słyszano na schodach, to zainstaluj w ich miejsce pancerne wrota od sejfu bankowego.

- Niech to szlag...

- Więc jak, zamierzasz mu pomóc? Przecież na razie nie masz nic specjalnie do roboty. A masz tych trzech łobuzów na każde skinienie palcem.

Vince popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem.

- Więc jak? Mogę być wam w czymś pomocny?

Jane świdrowała go wzrokiem, stojąc z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Nadal nie wiedziałem, z kim będę musiał się zmierzyć, toteż nie umiałem przewidzieć, czy będą mi potrzebne takie usługi, jakie mógł mi zapewnić Vince Fleming. Nawet gdy nie próbował powyrywać mi wszystkich włosów z cebulkami, wciąż czułem się niepewnie w jego towarzystwie.

- Nie wiem - odparłem.

- To może umówmy się tak, że przez jakiś czas będę miał tę sprawę na oku, żeby zobaczyć, co z niej wyniknie - rzekł. A kiedy nie odpowiedziałem od razu, dodał: - Jeszcze nie wie pan, czy można mi zaufać, prawda?

Uzmysłowiłem sobie szybko, że pod tym względem nie warto kłamać.

- Nie - odparłem szczerze.

- I bardzo mądrze - podsumował.

- Więc jak? Pomożesz mi? - odezwała się ponownie Jane, a gdy Vince przytaknął ruchem głowy, zwróciła się do mnie: - Lepiej, żeby pan jak najszybciej wrócił do szkoły.

Odwróciła się na pięcie i wyszła na dwór. Tym razem wyraźnie było słychać na schodach chrzęst piachu pod jej stopami.

- Niekiedy sprawia, że zaczynam się jej śmiertelnie bać - skwitował Fleming.

Przyszło mi do głowy, że w takiej sytuacji najlepiej będzie pojechać do domu i sprawdzić, czy Cynthia nie wróciła albo nie zostawiła wiadomości na automatycznej sekretarce. Co prawda, gdyby nie zastała mnie pod numerem domowym, powinna była dzwonić na moją komórkę, ale w przypiływie desperacji pomyślałem o tym dopiero po pewnym czasie.

Vince Fleming zwolnił trzech swoich goryli i zaproponował, że podwiezie mnie do miasta własnym autem, które okazało się jeszcze groźniej wyglądającym dodge'lem pikapem. W drodze do warsztatu samochodowego, pod którym zostawiłem swój wóz i wybrałem się do cukierni na kawę, przejeżdżaliśmy niedaleko mojego domu, poprosiłem więc Fleminga, żeby nieco zboczył z trasy, bym mógł sprawdzić, czy Cynthia jakimś cudem nie wróciła do domu albo nie zostawiła wiadomości na automatycznej sekretarce.

- Nie ma sprawy - odparł, gdy wyruszyliśmy jego autem, które stało zaparkowane przy krawężniku na East Broadway.

- Zawsze mi się marzyło, żeby tu zamieszkać, w każdym razie od chwili, gdy się sprowadziłem do Milford - przyznałem szczerze.

- Ja mieszkałem tu od zawsze - odparł. - A ty?

- Nie. Wychowywałem się gdzie indziej.

- Jak byłem mały, z innymi chłopakami w czasie odpływu wybieraliśmy się czasem pieszo na Wyspę Charlesa. Nigdy nam się nie udało dotrzeć do celu i wrócić przed nastaniem przypiływu, ale zawsze była kupa śmiechu.

Miałem mieszane uczucia co do mojego nowego przyjaciela.

W końcu Vince, nie owijając w bawełnę, był zwykłym kryminalistą. Kierował organizacją przestępczą. Nie miałem pojęcia, jak daleko sięgały jego wpływy, ale były wystarczające, żeby trzech zbirów czekających

tylko na rozkaz porwało z ulicy niewinnego człowieka, który przyprawiał bossa o niepokój.

Co by było, gdyby Jane Scavullo nie pojawiła się w porę?

Gdyby nie przekonała Vince'a, że jestem porządnym gościem?

Gdyby nadal był przeświadczony, że w jakiś sposób mu zagrażam? Jaki obrót przybrałyby sprawy w takim wypadku?

No i jak ostatni głupek zapytałem wprost:

- Co by się stało, gdyby Jane nie pojawiła się w odpowiedniej chwili?

Fleming, który trzymał prawą rękę na kierownicy, a lewą opierał się na ramie okna, zerknął na mnie.

- Naprawdę chcesz znać odpowiedź na to pytanie?

Postanowiłem odpuścić. Moje myśli podążały już w innym kierunku, w stronę dociekania prawdziwych motywów kierujących Vince'em Flemingiem. Próbowałem rozstrzygnąć, czy pomagał mi, bo wyraźnie zażądała tego Jane, czy też naprawdę przejął się losem Cynthii. A może jedno i drugie? Albo też doszedł do wniosku, że spełnienie żądań Jane da mu dobrą okazję do tego, żeby mieć mnie na oku?

Czy jego opowieść o tym, co widział tamtej nocy przed domem Cynthii, była prawdziwa? Jeśli nie, to czemu miałby mydlić mi oczy taką bajeczką?

Zmusiłem się do tego, by uwierzyć w jego szczerłość.

Wy tłumaczyłem mu, jak dojechać na naszą ulicę, po czym wskazałem dom. On jednak pojechał dalej, nawet nie zwolnił.

Minął podjazd, jak gdyby go nie zauważył.

Cholera. Dałem się jednak wrobić. Mimo wszystko czekało mnie bliskie spotkanie z piłą tartaczną.

- O co chodzi? - zapytałem. - Co ty wyprawiasz?

- Przed waszym domem czuwają gliniarze - odparł. - W nieoznakowanym wozie.

Spojrzałem w olbrzymie boczne lustro za drzwiami od strony kierowcy i od razu zauważyłem samochód z cywilnymi policjantami w środku, zaparkowany tyłem na podjeździe domu stojącego naprzeciwko.

- To chyba śledcza Wedmore - powiedziałem.

- Okrążę ten kwartał i zbliżymy się z przeciwnej strony - rzekł Vince, jakby tego rodzaju manewry były dla niego na porządku dziennym.

Zrobił tak, jak zapowiedział. Zostawiliśmy samochód na sąsiedniej ulicy, przeszliśmy między innymi posiadłościami i zbliżyliśmy się do naszego domu od tylnego podwórka.

Jak tylko znaleźliśmy się w środku, zacząłem się rozglądać za jakimikolwiek dowodami obecności Cynthii, zostawioną dla mnie wiadomością, czymkolwiek.

Niczego takiego nie znalazłem.

Vince chodził po saloniku i przyglądał się obrazkom zawieszonym na ścianach oraz grzbietom książek na półkach. Najwyraźniej robił rekonesans. W końcu jego wzrok spoczął na otwartych pudełkach z pamiątkami Cynthii.

- A co to za śmieci? - zapytał.

- Rzeczy z domu Cynthii, z okresu jej dzieciństwa. Przegląda je czasami, jakby miała nadzieję, że pomogą jej rozwiązać tajemnicę. Sam postanowiłem je przerzucić dziś rano, gdy się przekonałem, że wyjechała.

Vince usiadł na kanapie i zaczął grzebać w pierwszym pudełku.

- Na moje oko to kupa staroci bez znaczenia - rzekł.

- Cóż, prawdę mówiąc, to chyba adekwatne określenie.

Po raz kolejny podjąłem próbę połączenia się z żoną pod numerem jej telefonu komórkowego, w nadziei, że wreszcie odbierze. Odczekałem kilka sygnałów i miałem już przerwać połączenie, gdy niespodziewanie usłyszałem głos Cynthii.

- Halo?

- Cyn?

- Cześć, Terry.

- Jezu, wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

- Nic nam się nie stało, Terry.

- Skarbie, wracaj do domu. Proszę.

- No, nie wiem - mruknęła.

W tle panował spory hałas, rozlegało się jakieś monotonne buczenie.

- Gdzie jesteś?

- W samochodzie.

- Cześć, tato! - zawołała Grace, chyba ponad ramieniem matki z tylnego siedzenia.

- Cześć, Grace! - odpowiedziałem.

- Tata powiedział ci cześć - przekazała Cynthia.  
- Kiedy zamierzasz wrócić?  
- Powiedziałam już, że nie wiem - odparła. - Potrzebuję jeszcze trochę czasu, jak napisałam ci w liście. Wyczułem, że nie chce przy Grace mówić szczerze o pewnych sprawach.  
- Bardzo się martwię o ciebie - powiedziałem. -1 tęsknię.  
- Pozdrów ją ode mnie! - zawołał Vince z drugiego końca pokoju.  
- Kto to? - zaciekała się Cynthia.  
- Vince Fleming.  
- Kto?  
- Tylko trzymaj mocno kierownicę - przestrzegłem.  
- A co on tam robi?  
- Poprosiłem go o spotkanie. Przyszło mi do głowy, że mogłaś się z nim kontaktować po wyjeździe.  
- Mój Boże... - wycedziła Cynthia. - Przekaż mu... że i ja go pozdrawiam.  
- Przekazuję pozdrowienia - zwróciłem się do Vince'a.  
Mruknął tylko gardłowo, skupiony na starociach wyjmowanych z pudełka po butach.  
- On jest teraz z tobą? W naszym domu?  
- Owszem. Podwoził mnie właśnie do miejsca, gdzie zostawiłem swój samochód. To długa i zagmatwana historia. Opowiem ci ze szczegółami, jak wrócisz. Poza tym... - zawahałem się - ...powiedział mi parę rzeczy o tamtym wieczorze, o których do tej pory nie mówił nikomu.  
- To znaczy?  
- Na przykład o tym, że przyjechał #tedy za tobą i twoim ojcem pod dom, po czym przez jakiś czas siedział w samochodzie, wyczekując okazji, żeby zapukać i zapytać cię, jak się miewasz, ale zauważył, jak Todd i twoja mama odjeżdżają jej samochodem, a po jakimś czasie odjeżdża też twój ojciec. Ale on w pośpiechu. No i przez pewien czas stał przed waszym domem jakiś samochód, który odjechał po tym, jak twoja mama i Todd ruszyli w drogę.  
Przez kilka długich sekund na linii dał się słyszeć jedynie szum przejeżdżających samochodów.  
- Cynthia?  
- Tak, jestem. Zastanawiałam się, co to może oznaczać.  
- Ja też.  
- Terry, jest duży ruch, muszę zjechać na parking. Wyłączam telefon. Zapomniałam zabrać ładowarki i wyczerpuje mi się akumulator.  
- Wracaj szybko do domu, Cyn. Kocham cię.  
- Na razie. - Przerwała połączenie.  
Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do saloniku.  
Vince Fleming podał mi wycinek prasowy ze zdjęciem Todda wraz z całą szkolną drużyną koszykówki.  
- Ten bardzo mi przypomina Todda - rzekł. - Pamiętam go.  
Przytaknąłem kiwnięciem głowy, spoglądając na wycinek ze zdjęciem, któremu przyglądałem się setki razy.  
- Zgadza się. Chodziliście razem na zajęcia?  
- Może z jednego przedmiotu. Ale ta fotka to fotomontaż.  
- Jak to?  
- Nie rozpoznaję nikogo innego. To nie jest drużyna koszykarska z naszej szkoły.  
Wziąłem od niego wycinek, lecz niewiele mi to dało. Nie chodziłem do szkoły z Toddem ani Cynthią, nie znałem ich rówieśników. Nie zauważyłem też, żeby moja żona przykładała jakąś szczególną wagę do tej fotografii. Ilekroć przeglądała pamiątki, prześlizgiwała się po niej wzrokiem.  
- No i nazwisko się nie zgadza - dodał Vince, wskazując podpis pod zdjęciem, w którym były wymienione nazwiska wszystkich zawodników, od lewej do prawej w każdym z trzech rzędów.  
Wzruszyłem ramionami.  
- Chyba musieli się pomylić w redakcji.  
Spojrzałem jeszcze raz na podpis. Todd stał drugi od lewej w środkowym rzędzie. Odliczyłem kolejne nazwiska i popatrzyłem na miejsce, gdzie powinno być jego.  
Ale tam figurował niejaki J. Sloan.  
Ostupałem, gapiąc się na to nazwisko.  
- Vince, czy mówi ci coś nazwisko Sloan? J. Sloan?  
Pokręcił głową.



- Nie.

Jeszcze raz przeliczyłem kolejno nazwiska w podpisie, żeby się upewnić, że właśnie to odnosi się do chłopaka stojącego jako drugi od lewej w środkowym rzędzie.

- Jasna cholera! - syknąłem.

Fleming popatrzył na mnie z ukosa.

- Zechcesz mnie wtajemniczyć?

- J. Sloan to Jeremy Sloan.

Pokręcił głową.

- I co z tego?

- Ten sam gość, którego spotkaliśmy w centrum handlowym - wyjaśniłem. - W barze McDonalda. Tak nazywał się facet, którego Cynthia zaczepiła, kiedy się uparła, że to jej zaginiony brat.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Vince.

- Kilka dni temu byłem z Cynthią i Grace w centrum handlowym i postanowiliśmy coś zjeść. W barze Cynthia zobaczyła tego faceta i uparła się, że to jej brat. Powiedziała, że wygląda dokładnie tak samo, jak teraz, po dwudziestu pięciu latach, powinien wyglądać Todd.

- A skąd wiesz, jak on się nazywa?

- Cynthia wybiegła za nim aż na parking. Nawoływała za nim imieniem brata, ale nie reagował, więc podbiegła i zaczepiła go, twierdząc, że jest jego siostrą i dobrze wie, kim on jest.

- O Jezu - syknął Fleming.

- Zrobiła się scena. Facet zaprzeczył, jakoby był jej bratem, i zaczął ją traktować jak wariatkę, bo mówiąc szczerze, zachowywała się jak wariatka. Odciągnąłem go więc na bok, przeprosiłem i zaproponowałem grzecznie, żeby pokazał Cynthii prawo jazdy, bo gdy udowodni, że nie jest jej bratem, ona da mu spokój.

- I zrobił to?

- Tak. Widziałem jego prawo jazdy. Ze stanu Nowy Jork.

Nazywał się Jeremy Sloan.

Vince wziął ode mnie wycinek, zapatrzył się na zdjęcie, potem na nazwisko w podpisie, wreszcie rzekł:

- To dosyć dziwne, co nie?

- Nie mam pojęcia, co może oznaczać - odparłem. - Według mnie, to nie trzyma się kupy. Dlaczego Todd na zdjęciu ze starej gazety miałby występować pod innym nazwiskiem?

Vince zamyślił się na chwilę.

- Czy ten facet, ten z McDonalda - zapytał w końcu - odezwał się choć jednym słowem?

Wytężyłem pamięć.

- Tak. Powiedział, że jego zdaniem moja żona potrzebuje fachowej pomocy psychiatrycznej. Ale chyba nic poza tym.

- A co z tym prawem jazdy? Pamiętasz jakiegokolwiek szczegóły?

- Tylko tyle, że było z Nowego Jorku.

- To cholernie duży stan - rzekł Fleming. - Facet może mieszkać tuż za granicą, w Port Chester czy White Plains, ale równie dobrze mógł przyjechać z pieprzonego Buffalo.

- Mam wrażenie, że nazwa miasta zaczynała się od Young.

- Od Young?

- Nie jestem pewien. Do diabła, widziałem to prawo jazdy zaledwie przez sekundę.

- Kojarzę Youngstown w Ohio. Na pewno nie było to prawo jazdy z Ohio?

- Tego akurat jestem pewien.

Vince zajrzał na odwrotną stronę wycinka. Był tam fragment jakiegoś artykułu, ale nawet pozbawiony tytułu. Wycięta została jedynie fotografia. Po tej stronie zachowało się tylko po połowie sąsiadujących ze sobą szpałt tekstu.

- Ojciec Cynthii na pewno zachował ten wycinek z powodu zdjęcia, a nie tego artykułu.

- Zamknij się - burknął, przebiegając wzrokiem zachowane fragmenty tekstu. Po chwili zapytał: - Masz komputer?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Odpalaj - rozkazał. Poszliśmy na górę. Włączyłem komputer i usiadłem przy biurku, a on stanął nade mną. - W tym tekście padają dwie nazwy własne, Falkner Park i hrabstwo Niagara. Przepuść to przez Google'a.

Poprosiłem, żeby mi przeliterował słowo „Falkner”, wpisałem obie nazwy i uruchomiłem wyszukiwarkę. Kiedy wyświetliła się lista rezultatów, dość szybko znalazłem to, o co chodziło.

- Spójrz. Jest Falkner Park w Youngstown, w hrabstwie Niagara, stan Nowy Jork.

- Bingo - rzucił Vince. - Tak więc prawdopodobnie wycinek pochodzi z jakiejś tamtejszej lokalnej gazety, bo autor artykułu psioczy na bałagan w parku.  
Obróciłem się na krześle i popatrzyłem na niego.  
- Dlaczego Todd na zdjęciu z lokalnej gazety z Youngstown w stanie Nowy Jork, występujący razem z kolegami ze szkolnej drużyny koszykówki, jest wymieniony w podpisie jako Jeremy Sloan?  
Vince oparł się ramieniem o framugę drzwi.  
- Może to wcale nie jest redakcyjna pomyłka?  
- Nie rozumiem.  
- Może na zdjęciu wcale nie jest pokazany Todd Bigge, tylko rzeczywiście Jeremy Sloan?  
Dałem sobie parę sekund na to, by dotarło do mnie znaczenie jego słów.  
- Co sugerujesz? Że chodzi o dwóch różnych ludzi, kim innym jest Todd Bigge, a kim innym Jeremy Sloan? Czy też uważasz raczej, że to ta sama osoba występująca pod dwoma różnymi nazwiskami?  
- Hej - mruknął. - Jestem tu tylko dlatego, że Jane o to po prosiła.  
Odwróciłem się z powrotem do komputera, wywołałem stronę informacji ogólnej, wszedłem do spisu abonentów telefonicznych i zapuściłem szukanie Jeremy'ego Sloana z Youngs Town w stanie Nowy Jork. W spisie nikt taki nie figurował, ale program podał sugestię bym spróbował wyszukiwania samego nazwiska. Wymazałem więc imię, uruchomiłem przeglądarkę i uzyskałem listę kilkunastu osób z Youngstown i okolic noszących nazwisko Sloan.  
- Jezu - mruknąłem, wskazując Vince'owi jedną z pozycji. - Jest nawet Clayton Sloan mieszkający przy Niagar View Drive.  
- Clayton?  
- Tak, Clayton.  
- Tak samo miał na imię ojciec Cynthii - mruknął Fleming pochylając się w stronę ekranu, by sprawdzić na własne oczy.  
- Otóż to. - Przsunąłem sobie notatnik i spisałem z ekranu numer telefonu. - Zaraz zadzwonię pod ten numer.  
- Nie żartuj! Porąbało cię?!  
- O co chodzi?  
- Zrozum, że jeszcze nie wiesz, na co trafiłeś. Nie wiesz nawet, czy na cokolwiek trafiłeś. A ty chcesz od razu dzwonić? I to z aparatu stacjonarnego? Jeśli odbiorą pełne informacje o rozmówcy, dowiedzą się o tobie wszystkiego. Trudno powiedzieć, czy wiedzą, kim jesteś, ale na twoim miejscu nie wkładałbym od razu palców między drzwi.  
O co mu chodziło, do pioruna? Była to szczerza przyjacielska rada, czy też może miał konkretny powód, by odwieść mnie od moich zamiarów? Czyżby próbował mnie powstrzymać przed dochodzeniem prawdy, ponieważ...  
Podał mi swój aparat komórkowy.  
- Zadzwon z tego - rzekł. - Przynajmniej nie będą wiedzieli, z kim rozmawiają.  
Wziąłem od niego telefon, rozłożyłem go, popatrzyłem na numer wyświetlony na ekranie komputera, wziąłem głębszy oddech i wystukałem go na klawiaturze. Przytknąłem aparat do ucha.  
Rozległ się pierwszy sygnał wywołania, potem drugi i trzeci.  
Po czwartym powiedziałem:  
- Nikt nie odbiera.  
- Zaczekaj jeszcze - poradził.  
Kiedy doliczyłem do ośmiu sygnałów i już miałem przerwać połączenie, na linii rozległ się czyjś głos.  
- Halo? - To była kobieta, starsza, chyba już po sześćdziesiątce.  
- Och, tak, dzień dobry - rzuciłem zmieszany. - Chciałem się już rozłączyć.  
- O co chodzi?  
- Czy zastałem Jeremy'ego? - Poniewczasie w głowie zaświtało mi pytanie: A co będzie, jeśli go zastałem? Co mam mu powiedzieć? O co zapytać, do diabła? A może lepiej się od razu rozłączyć? Uzyskać tylko potwierdzenie, że ktoś taki istnieje naprawdę, i jak najszybciej przerwać rozmowę?  
- Niestety, nie ma go - odpowiedziała kobieta. - A kto mówi?  
- Nic nie szkodzi. Spróbuję go złapać trochę później.  
- Obawiam się, że później też go nie będzie.  
- Aha. Nie wie pani, kiedy będzie można go zastać pod telefonem?  
- Wyjechał z miasta. Nie umiem powiedzieć, kiedy wróci.  
- Rozumiem. Teraz sobie przypominam, że wspominał coś o wyjeździe do Connecticut.

- Czyżby?

- Tak mi się zdaje.

- Jest pan tego pewien? - dopytywała się, wyraźnie zaniepokojona.

- No, nie, mogłem się pomylić. Mniejsza z tym, spróbuję go złapać kiedy indziej. To nic ważnego. Chodzi o golfa.

- O golfa? Jeremy nie gra w golfa. Kto mówi? Proszę się przedstawić!

Rozmowa wymykała mi się spod kontroli. Vince, który pochylał się nade mną, żeby słyszeć rozmówczynię, wyprostował się szybko i znacząco przeciągnął dłonią po gardle, dając mi znak, żebym skończył rozmowę. Rozłączyłem się więc, złożyłem aparat i oddałem właścicielowi, który pospieszenie schował go do kieszeni.

- Wygląda na to, że dodzwoniłeś się pod właściwy numer - powiedział. - Ale mogłeś rozegrać to trochę lepiej.

Puściłem tę uwagę mimo uszu.

- Zatem Jeremy Sloan, który wpadł w oko Cynthii w centrum handlowym, to prawdopodobnie ten sam Jeremy Sloan, który mieszka w Youngstown, w stanie Nowy Jork, i którego domowy telefon jest zarejestrowany na Claytona Sloana, a którego zdjęcie z resztą drużyny koszykówki ojciec Cynthii trzymał w szufladzie swojego biurka.

Na jakiś czas zapadło milczenie. Obaj próbowaliśmy dopasować nowo poznane fakty do jakiejś logicznej całości.

- Zadzwoń do Cynthii - powiedziałem w końcu. - Ciekaw jestem, jak to przyjmie.

Pobiegłem na dół i z telefonu w kuchni wybrałem numer komórki Cynthii, ale zgodnie z jej zapowiedzią, aparat był wyłączony.

- Cholera! - syknąłem. Ujrawszy Fleminga wchodzącego za mną do kuchni, zapytałem: - Masz jakiś pomysł?

- No cóż, ten Sloan, jeśli wierzyć kobiecie, z którą rozmawiałeś, prawdopodobnie jego matce, wciąż przebywa poza miastem. To może oznaczać, że nadal jest gdzieś w okolicy Milford.

Nie wiem, czy ma tu jakichś znajomych albo rodzinę, ale jest spore prawdopodobieństwo, że zatrzymał się w którymś motelu albo hotelu. - Ponownie wyjął z kieszeni komórkę, wybrał jakiś numer z wbudowanej książki telefonicznej i wcisnął klawisz połączenia. Odczekał parę sekund, po czym rzekł: - Cześć, to ja... Tak, nadal jest ze mną. Mam dla was zadanie.

Stanowczym tonem kazał swojemu rozmówcy zebrać chłopaków - co, jak się domyślałem, oznaczało również tych dwóch osiłków z kierowcą, którzy porwali mnie z ulicy, a których Jane nazywała jego „trzema pachołkami” - i zacząć sprawdzać kolejne hotele i motele w mieście i okolicy.

- Nie, nie mam pojęcia, ile ich jest - rzekł z naciskiem. - Będziecie mieli okazję je policzyć. Macie sprawdzić, czy w którymś nie zatrzymał się niejaki Jeremy Sloan z Youngstown w stanie Nowy Jork. Gdybyście go odnaleźli, dajcie mi znać.

Nic nie róbcie. Jasne? Może zacznijcie od moteli Howarda Johnsona, Red Roof, Super Osiem i temu podobnych. I jeszcze... Boże, co to za jazgot? Kto znowu słucha tych pieprzonych Carpentersów? - Powtórzył drugi raz te same polecenia i upewniwszy się, że zostały zrozumiane, przerwał połączenie i schował aparat do kieszeni. - Jeśli ten Sloan nadal jest w mieście, na pewno go znajda - powiedział. Otworzyłem lodówkę i pokazałem mu puszkę piwa Coors.

- Chętnie - odparł.

Podaliśmy mu ją, wyjąłem drugą dla siebie, po czym usiadłem przy kuchennym stole. Vince zajął miejsce naprzeciwko.

- Masz przynajmniej zielone pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi, do cholery? - zapytał.

Pociągnąłem łyk piwa.

- Chyba zaczynam powoli kojarzyć - odparłem. - Otóż ta kobieta, która odebrała telefon... Przyjmijmy, że to matka Jeremy'ego Sloana. A gdyby tenże Jeremy Sloan miał się rzeczywiście okazać bratem mojej żony?...

- Tak?

- To chyba rozmawiałem właśnie ze swoją teściową.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że gdyby faktycznie matka i brat Cynthii nadal żyli, to jak należałoby interpretować wyniki badań DNA szczątków znalezionych w samochodzie wyciągniętym z dna jeziora w kamieniołomie? Ale przecie'

Wedmore zdołała potwierdzić jedynie, że szczątki obu osób w samochodzie należały do ludzi spokrewnionych ze sobą, a nie oznaczało jeszcze, że chodzi o Todda i Patricię Bigge. Czekaliśmy jeszcze

na rezultaty dodatkowych badań, które miał potwierdzić genetyczny związek obu tych osób z DNA pobranym od Cynthii.

Bezskutecznie próbowałem się jeszcze połapać w tej istnej dżungli niekiedy sprzecznych ze sobą danych, gdy uzmysłowiłem sobie, że Vince coś mówi.

- Mam tylko nadzieję, że jak moi chłopcy go znajdą, nie zabiją od razu - rzekł, pociągając duży łyk piwa. - Bo wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak się stało.

- Ktoś dzwonił i pytał o ciebie - powiedziała.

- Kto?

- Nie wiem. Nie przedstawił się.

- A jak się wyrażał? Mógł to być któryś z moich przyjaciół?

- Trudno mi powiedzieć, jak się wyrażał. Miał się wyrażać jakoś specjalnie? W każdym razie pytał o ciebie, a gdy powiedziałam, że wyjechałeś, odparł, że sobie przypomina, iż wspominałeś coś o podróży do Connecticut.

- Co takiego?

- Miałeś nikomu nie mówić, dokąd się wybierasz!

- I nikomu nie powiedziałem!

- Więc skąd wiedział, gdzie jesteś? Musiałeś komuś powiedzieć. Nie do wiary, że mogłeś się zachować aż tak głupio - wycedziła z wyraźną pretensją w głosie.

- Nikomu o tym nie mówiłem! - odparł z urazą w głosie, czując się jak pamiątek, gdy tego typu połajanki były na porządku dziennym.

- Skoro nikomu o tym nie mówiłeś, to skąd wiedział...?

- Nie mam pojęcia. Nie zdążyłaś odczytać z ekranu telefonu, spod jakiego numeru dzwonił? Wyświetlił się w ogóle jakiś numer?

- Nie. Powiedział, że znacie się z gry w golfa.

- W golfa? Przecież ja nie gram w golfa.

- Powiedziałam mu to samo - odparła. - Dokładnie tymi słowami, że nie grasz w golfa.

- Wiesz co, mam? Chyba facet po prostu się pomylił.

- Ale chciał rozmawiać z tobą, prosił do telefonu Jeremy'ego. Bez dwóch zdań. Może tylko przypadkiem wspomniałeś komuś, dokąd się wybierasz...

- Nawet gdyby tak było, mam, w co szczerze wątpię, to i tak nie miałabyś powodu do szczególnych zmartwień.

- W dodatku się zdenerwowałam.

- Daj spokój, nie ma o co. Poza tym wracam do domu.

- Naprawdę? - zapytała całkiem innym tonem.

- Tak. Chyba jeszcze dzisiaj. Zrobiłem tu wszystko, co mogłem, pozostało tylko... no, wiesz...

- Nie chciałabym przegapić tej ostatniej części. Nawet nie wiesz, jak długo na nią czekałam.

- Jeśli uda mi się stąd szybko wyjechać, powinienem być w domu niezbyt późno - rzekł. - Zjadłem już lunch, zatem mogę się poczuć zmęczony podróżą i zatrzymać na krótko gdzieś koło U tiki, ale i tak przed wieczorem powinienem być w domu.

- Zatem mam jeszcze czas, żeby zrobić dla ciebie placek marchewkowy - odparła pospiesznie. - Zaraz się do niego zabiorę.

- Doskonale.

- Tylko jedź bezpiecznie. Wolałabym, żebyś nie zasnął za kierownicą. Nigdy nie miałeś takiego drygu doprowadzenia samochodów, jak twój ojciec.

- Jak on się czuje?

- Myślę, że jeśli uporamy się ze wszystkim w tym tygodniu, dożyje końca. W każdym razie ja będę bardzo szczęśliwa, gdy wreszcie z tym skończymy. Dobrze wiesz, ile kosztuje taksówka na spotkanie z nim.

- Niedługo to już nie będzie miało znaczenia, mam.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze i dobrze o tym wiesz - odparła. - Wiele myślałam, jak można by to najlepiej załatwić.

Będziemy potrzebowali dość dużo luźnego sznura. Inaczej mówiąc, tej twojej taśmy. I chyba najlepiej byłoby rozprawić się najpierw z mamuszką. Ze strony małej nie spodziewam się żadnych kłopotów, zresztą w tym zakresie chętnie ci pomogę. Bo przecież nie jestem jeszcze całkiem beużyteczna, prawda?

\*

Dopiliśmy piwo, po czym wymknęliśmy się z powrotem tylnymi drzwiami i wróciliśmy do jego auta. Miał mnie podwieźć do mojego samochodu, który ciągle stał przed jego warsztatem.

- Zatem wiesz już, że Jane ma trochę kłopotów w szkole - zaczął.  
- Tak, wiem.  
- Zastanawiałem się, czy dzięki temu, że udzielę ci pomocy, nie mógłbyś szepnąć paru słów dyrektorowi.  
- Już to zrobiłem, chociaż z przyjemnością zrobię to jeszcze raz.  
- To naprawdę dobra dziewczyna, tyle że czasem nieokiełznana. Nie pozwoli, żeby wszyscy jej jeździli po głowie. A już na pewno nie ja. Więc jeśli popada w jakieś kłopoty, ogólnie rzecz biorąc, sama musi się od nich uwolnić.  
- Niemniej bardzo potrzebuje wsparcia - odparłem. - Nie da się rozwiązać wszystkich problemów, katując ludzi do nieprzytomności. - Zachichotał ironicznie. Szybko dodałem więc: - Chcesz, żeby jej życie było podobne do twojego? Oczywiście bez obrazy.  
Zahamował i zatrzymał wóz na czerwonym świetle.  
- Nie - odparł. - Ale coś mi się zdaje, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Nie jestem najlepszym wzorcem ojca, a jej matka... no cóż, podrzuciła małą tak wielu opiekunkom, że ta po prostu nie miała szans zaznać życiowej stabilności. Pewnie rozumiesz, że właśnie to próbowałem jej zapewnić. Dać jej coś, czego mogłaby się trzymać przynajmniej chwilowo. Dzieciaki potrzebują czegoś takiego. Ale stworzenie solidnych więzi opartych na zaufaniu wymaga czasu. A Jane wcześniej wiele razy sparzyła.  
- Rozumiem. Ale mógłbyś ją posłać do dobrej szkoły. Jak skończy liceum, spróbuj znaleźć dla niej jakieś dobre studia dziennikarskie albo lingwistyczne, na których będzie mogła rozwijać swój talent.  
- Ma na to za kiepskie oceny - odrzekł. - Trudno będzie przepchnąć ją na jakąkolwiek uczelnię.  
- Jednakże stać cię na to, żeby opłacić jej studia, prawda?  
Przytaknął ruchem głowy.  
- Więc może spróbuj na razie pomóc jej określić życiowe cele. Przeanalizuj dotychczasowe osiągnięcie i obiecaj, że jeśli poprawi oceny z kilku przedmiotów, będziesz gotów pokryć wydatki na jej naukę, żeby mogła się życiowo spełnić.  
- Pomożesz mi w tym? - zapytał, zerkając na mnie kątem oka.  
- Oczywiście. Pozostaje tylko pytanie, czy ona zechce słuchać.  
Vince z rezygnacją pokręcił głową.  
- No tak, to rzeczywiście poważny problem.  
- Poruszę inny - wtrąciłem.  
- Jaki?  
- Czemu cię to obchodzi?  
- Że co?  
- Czemu cię to obchodzi? To przecież zwykła ulicznica, córka kobiety, z którą miałeś przelotny romans. Większość facetów machnęłaby na to ręką.  
- Ach, już rozumiem. Pomyślałeś, że jestem jakimś zboczeńcem? Że chcę się dobrać do jej majtek?  
- Tego nie powiedziałem.  
- Ale tak pomyślałeś, co nie?  
- Mylisz się - odparłem. - Jakikolwiek twoje nieczne zamiary wyczułbym najpierw w jej tekstach, które najlepiej odzwierciedlają wasze stosunki. Na ich podstawie wnioskuje, że Jane ci ufa. Pozostaje więc pytanie, czemu cię to obchodzi.  
Zapaliło się zielone światło i Vince ruszył z impetem.  
- Miałem kiedyś córkę - rzekł. - Własną.  
- Aha.»  
- Byłem jeszcze gówniarzem, miałem dwadzieścia lat, kiedy poderwałem tę dziewczynę z Torrington. Miała na imię Agnes.  
Wcale nie żartuję. Mówię poważnie. Ojciec mało mnie nie zatłukł na śmierć, nie mógł uwierzyć, że aż tak mi odbiło. Ciągłe się dopytywał, dlaczego nie przyszło mi do łba, żeby założyć gumkę. Ale sam wiesz, jak to bywa, co nie? Później próbowałem namówić Agnes, żeby... no, wiesz, pozbyła się ciąży, ale nie chciała o tym słyszeć. No i urodziła dziewczynkę, której dała na imię Collette.  
- Bardzo ładne imię.  
- Jak tylko ją zobaczyłem, po prostu zakochałem się w tej małej, co nie? Tymczasem mój starszy brat nawet nie chciał słyszeć, żebym się związał z Agnes tylko dlatego, że nie potrafiłem utrzymać spodni na tyłku. Problem polegał na tym, że Agnes wcale nie była taką złą dziewczyną, a małą Collette uznałem za najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałem. Można by pomyśleć, że gdy ma się dwadzieścia lat, łatwo jest machnąć na wszystko ręką i zapomnieć o odpowiedzialności, ale ja o niej zapomnieć nie mogłem. Zaczęło mi więc chodzić po głowie, żeby się ożenić, co nie? Żeby być prawdziwym ojcem dla

małej. Zbierałem się, żeby poprosić Agnes o rękę i powiedzieć staruszkowi o swoich planach, gdy któregoś dnia ona z Collette

w wózek przchodziła przez Naugatuck Avenue, a ten pieprzony pijak w cadillacu wpadł na czerwonym świetle i przejechał je obie.

Kurczowo zacisnął palce na kierownicy, jakby z trudem nad sobą panował, wspominając tragiczny wypadek. Po chwili dodał:

- Przepraszam. -1 ciągnął: - Odczekałem pół roku, żeby do niczego się nie rwać za wcześnie. Wreszcie sąd oddalił zarzuty.

Adwokatowi udało się przekonać ławę przysięgłych, że to Agnes wtargnęła na jezdnię na czerwonym świetle, więc i tak zostałyby potrącona, nawet gdyby kierowca był trzeźwy. Ale zdarzają się różne rzeczy.

Kilka miesięcy później ten łajdak wracał z baru w Bridgeport późnym wieczorem, zalany w pestkę, bo nawet śmiertelny wypadek nie nauczył go rozumu, no i na ciemnym odcinku ulicy nieznanymi sprawcami wpakował mu kulkę w ten durny łeb.

- Rety - mruknąłem. - Podejrzewam, że nie uroniłeś nawet jednej łezki, gdy się o tym dowiedziałeś. Zerknął na mnie przelotnie.

- Ostatnia rzecz, jaką usłyszał przed śmiercią, brzmiała: „To za Collette”. I wiesz, co ten sukinsyn warknął, zanim kulka przewierciła na wylot jego mózdzek?

Przełknąłem ślinę.

- Nie.

- Zapytał: „Jaką Collette?”. Zginął jego portfel, więc policja uznała, że padł ofiarą napadu rabunkowego. - Znowu zerknął na mnie. - Powinieneś zamknąć wreszcie usta, bo jeszcze jaka mucha ci wpadnie. Zamknąłem.

- Tak lepiej. W każdym razie, wracając do twojego pytania, już wiesz, dlaczego mnie to obchodzi. Jest coś jeszcze, czego chciałbyś się dowiedzieć?

Pokręciłem głową.

Wskazał brodą ulicę przed nami i zapytał:

- To twój samochód?

Przytaknąłem.

Ledwie zatrzymał wóz tuż za moim, zadzwonił jego telefon.

- Tak? - Przez parę sekund słuchał, po czym rozkazał: - Za czekajcie tam na mnie. - Złożył aparat, schował go i wyjaśnił:

Znaleźli go. Zameldował się w Hojo.

- Cholera - mruknąłem, otwierając drzwi. - Pojadę za tobą.

- Zostaw tu samochód - rzucił, z impetem wykręcając z powrotem na jezdnię.

Skierował się do autostrady 1-95. Nie była to najkrótsza droga ale chyba najszybsza, biorąc pod uwagę, że hotel Howarda Johnsona stał na drugim końcu miasta właśnie przy zjeździe z autostrady. Ostro dodał gazu na estakadzie i włączając się do ruchu na obwodnicy, miał już na liczniku 140 kilometrów na godzinę. Ruch na autostradzie był niewielki i już po paru minutach znaleźliśmy się na drugim końcu miasta. Vince musiał dość ostro hamować, zjeżdżając z obwodnicy, a i tak pędził ponad setką, gdy spostrzegłem w oddali światła pierwszego skrzyżowania.

Skręcił w prawo i wjechał na hotelowy parking. Terenówka, którą wcześniej podróżowałem, stała na wprost drzwi prowadzących do lobby. Jak tylko blondas z terenówki nas spostrzegł, podbiegł do okna od strony kierowcy. Vince opuścił szybę.

Tamten wymienił numer pokoju i dodał, że znajduje się w drugim budynku, od tyłu, gdzie można podejść alejką pod samo okno i wejść tylnymi drzwiami. Fleming cofnął wóz, wykręcił i ruszył powoli długą krętą wąską alejką prowadzącą na tyły kompleksu hotelowego. Skręciliśmy ostro w lewo i znaleźliśmy się przed parterowym budynkiem. Każdy z pokoi miał oddzielne wyjście bezpośrednio na wybetonowany plac.

- To tutaj - powiedział Vince, zatrzymując samochód przed drzwiami oznaczonymi podanym numerem.

- Chcę z nim porozmawiać. Nie róbcie mu na razie niczego złego.

Był już na zewnątrz. Nawet się nie obejrzał na mnie, tylko machnął lekceważąco ręką. Podeszedł do drzwi i zawahał się, ujrawszy, że są otwarte. Mimo to po chwili zapukał.

- Panie Sloan? - zawołał.

Kilkanaście metrów dalej zza innych drzwi wyłoniła się pokojówka, tocząc przed sobą wyładowany wózek. Popatrzyła na nas z zaciekawieniem.

- Panie Sloan! - zawołał po raz drugi Vince, otwierając szerzej drzwi. - Tu kierownik hotelu. Powstał mały

problem. Musimy porozmawiać.

Stanąłem w pewnej odległości przy ścianie, żeby nawet wyglądając przez okno, lokator mnie nie zauważył. Było dość prawdopodobne, że to właśnie Sloan późnym wieczorem obserwował nasz dom z ulicy, mógł mnie zatem znać z widzenia.

- Nie ma go. Wyjechał - odezwała się pokojówka.

- Co? - zdziwił się Vince.

- Wymeldował się parę minut temu - powiedziała. - Mam sprzątać tamten pokój.

- Wyjechał? - zapytałem. - Na dobre?

Pokiwała głową.

Vince pchnął drzwi i wmaszerował do środka.

- Zaraz! Nie wolno panu tam wchodzić! - zaprotestowała kobieta.

Ale nawet ja nie miałem zamiaru jej słuchać i ruszyłem za Flemingiem.

Łóżko było niepostane, w łazience na podłodze leżała sterta mokrych ręczników. Rzeczywiście, nic nie wskazywało na to, że ktoś tu jeszcze mieszka. Zniknęły przybory toaletowe, w szafie nie było walizki.

W drzwiach stanął jeden z pacholków Vince'a, blondas.

- I co? Jest tutaj?

Vince odwrócił się na pięcie, podszedł do blondasa i silnie pchnął go plecami na ścianę.

- Kiedy się dowiedzieliście, że tu mieszka?

- Zadzwoniliśmy do ciebie zaraz, jak to odkryliśmy.

- Naprawdę? I co potem? Siedzieliście w tym cholernym samochodzie, czekając na mnie, i nie przyszło wam nawet do łba, żeby mieć oczy szeroko otwarte? Facet nawiał.

- Przecież nie wiedzieliśmy nawet, jak wygląda! Co mieliśmy robić?

Vince odsunął go na bok, wyszedł przed budynek i omal nie zderzył się z pokojówką.

- Mówiłam, że nie wolno...

- Kiedy się wymeldował? - przerwał jej, wyciągając z portfela dwudziestkę.

Kobieta wzięła banknot i schowała do kieszeni fartuszka.

- Może dziesięć minut temu.

- Jakim jeździ samochodem? - zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Takim... zwykłym. Ciemnobrązowym. Z przyciemnionymi szybami.

- Powiedział coś, jak się wyprowadzał? Nie wspomniał, czy wraca do domu albo coś w tym rodzaju?

- Do mnie w ogóle się nie odezwał.

- Dzięki - rzekł Vince.

Ruchem głowy wskazał mi swoje auto i obaj poszliśmy w tamtym kierunku.

- Jasna cholera - mruknął pod nosem, zajmwszy miejsce za kierownicą.

- O co chodzi? - zdziwiłem się.

Namyślał się przez kilka sekund.

- Musisz się spakować? - zapytał w końcu.

- Spakować?

- Bo chyba wybierasz się do Youngstown, co nie? A nie dasz rady obrócić tam i z powrotem w jeden dzień.

Zamyśliłem się nad tym.

- Jeśli się wymeldował - odparłem powoli - rzeczywiście jest bardzo prawdopodobne, że pojechał do domu.

- A nawet jeśli nie, to w tej sytuacji chyba tylko w Youngstown możesz szukać wyjaśnień całej tej historii.

Pochylił się szybko w moją stronę, aż cofnąłem się trwożnie z obawy, że znów mnie złapie za włosy. Ale on tylko sięgnął do schowka w desce rozdzielczej.

- Jezu - burknął. - Spokojnie. - Wyjął ze schowka mapę, rozpostarł ją i zaczął wodzić palcem, pomrukując:

- Zaraz zobaczymy... Youngstown... Youngstown... - Zaczął od lewego górnego rogu mapy, więc trafił

bardzo szybko. - O, tu jest. Na północ od Buffalo, niedaleko Lewiston. Zakichana dziura. Powinniśmy tam dojechać w ciągu ośmiu godzin.

- My? - zdziwiłem się.

Zamyślił się, jakby nie mógł zdecydować, czy złożyć z powrotem mapę, zaraz jednak pchnął ją w moją stronę w postaci niekształnego zbitka papieru.

- To będzie twoja robota. Jak wyznaczysz trasę i poskładasz mapę, może dam ci nawet trochę poprowadzić. Tylko nie próbuj majstrować przy radiu. Ani się waż, zrozumiano?

Wystarczył mi rzut oka na mapę, by zdecydować, że najlepiej będzie pojechać na północ do Massachusetts, aż do Lee, ta”

skręcić na zachód, minąć granicę Nowego Jorku i w okolicach Albany dostać się na autostradę międzystanową prowadzącą na zachód do Buffalo.

Nie uszło mojej uwagi, że trasa ta prowadzi przez Otis, będziemy więc musieli przejechać zaledwie parę kilometrów o

kamieniołomu, w którym odnaleziono samochód Patricii Bigge Powiedziałem o tym Vince'owi.

- Chcesz zobaczyć to miejsce? - zapytałem.

Jechaliśmy z prędkością około 130 kilometrów na godzinę Włączony był czujnik fal radarowych.

- Czemu nie - odparł. - Na razie idzie nam całkiem nieźle.

Tym razem u wylotu polnej drogi nie stały radiowozy, lecz mimo to odnalazłem ją bez trudu. Dodge Fleminga, zawieszony wyżej od mojego sedana, pokonywał wyboje bez żadnego trudu. Kiedy wyjechaliśmy pomiędzy zarośli na odsłonięty szczyt wzniesienia, pomyślałem, spoglądając z umieszczonego wysoko fotela, że łatwo byłoby przegapić krawędź wyrobisk i runąć ze stromizny do jeziora.

Ale Vince z wprawą wyhamował, wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec, czego do tej pory nie robił.

Wysiadł, podszedł do krawędzi kamieniołomu i popatrzył w dół.

- Tam znaleźli samochód - wskazałem, zatrzymując się obok niego.

Pokiwał głową, widok zrobił na nim wrażenie.

- Gdybym kiedykolwiek chciał zatopić samochód z dwoma trupami w środku - zauważył - nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego miejsca.

Przemknęło mi przez myśl, że mam za towarzysza jadowitą kobrę.

Nawet nie kobrę, prędzej skorpion. Przypomniałem sobie starą indiańską przypowieść o żabie i skorpionie, w której żaba zgodziła się przetransportować gada przez rzekę na własnym grzbiecie, uzyskawszy obietnicę, że nie zostanie przez niego ukłuta kolcem jadowym. Ale na środku nurtu, mimo groźby zatonięcia, skorpion nie zdołał się powstrzymać i ukłuł żabę. Ta, umierając, zapytała: „Dlaczego to zrobiłeś?”.

A jej pasażer wyjaśnił: „Ponieważ jestem skorpionem i taka jest moja natura”.

Ciekaw byłem, na jakim etapie Vince postanowi ukłuć mnie swoim kolcem jadowym. Gdyby to zrobił, nasza przygoda nie zakończyłaby się tak, jak w przypowieści o żabie i skorpionie.

Coś mi podpowiadało, że on należy do ludzi wychodzących cało chyba z każdej opresji.

Kiedy wyjechaliśmy na autostradę Massachusetts i odzyskałem zasięg w swoim telefonie komórkowym, spróbowałem jeszcze raz połączyć się z Cynthią. Wciąż nie odbierała, zadzwoniłem więc pod numer domowy, chociaż nie liczyłem specjalnie na to, że ją tam zastanę.

I miałem rację.

Uznałem, że może to i lepiej. Wolałem zakomunikować jej o jakichś realnych odkryciach, a na to szansę miałem być może dopiero po dotarciu do Youngstown.

Chciałem już schować telefon, kiedy zadzwonił mi w rękach.

Aż podskoczyłem na miejscu.

- Słucham.

- Terry? - Poznałem po głosie Rolly'ego.

- Cześć.

- Masz jakieś wiadomości od Cynthii?

- Rozmawiałem z nią tuż przed wyjazdem z domu, ale nie chciała powiedzieć, dokąd jadą. Sądząc po głosie, obie z Grace czują się dobrze.

- Rozmawiałeś z nią przed wyjazdem? Więc gdzie jesteś?

- Wjeżdżamy właśnie na autostradę Massachusetts z obwodnicy Lee. Jesteśmy w drodze do Buffalo. A ściślej rzecz biorąc w okolice Buffalo.

- Nie jesteś sam?

- To długa historia, Rolly. I wszystko wskazuje na to, że będzie coraz dłuższa i dłuższa.

- Dokąd jedziesz? - zapytał z troską w głosie.

- Być może to strzał w ciemno - odparłem - ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że udało mi się odnaleźć rodzinę Cynthii.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Ani trochę.

- Terry, przecież... po tylu latach nikt już chyba nie żyje.



- Niewykluczone. To się jeszcze okaże. Możliwe, że ktoś ocalał. Na przykład Clayton.
- Clayton?
- Nic jeszcze nie wiem. Na razie jesteśmy w drodze, kierujemy się pod adres, pod którym mieszka niejaki Clayton Sloan.
- Terry, chyba powinieneś to sobie dobrze przemyśleć. Sam nie wiesz, w co się pakujesz.
- Możliwe. - Zerknąłem na Vince'a i dodałem: - Ale jestem z kimś, kto raczej świetnie sobie radzi nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

O ile, rzecz jasna, nie należało za taką sytuację uznać już samego przebywania w towarzystwie Vince'a Fleminga.

Zaraz za granicą stanu minęliśmy punkt pobierania opłat, wjechaliśmy na autostradę i wkrótce znaleźliśmy się na obwodnicy Albany. Obaj mieliśmy ochotę coś przekąsić i skorzystać z toalety, toteż zjechaliśmy na parking międzystanowego centrum obsługi. Kupiłem dwa hamburgery oraz dwie puszki coca-coli i wróciłem do samochodu, żebyśmy od razu mogli ruszyć dalej.

- Tylko mi nie zachlap tapicerki - ostrzegł Vince, który utrzymywał w aucie wzorową czystość. Nie wyglądało na to, żeby zabił tu kogoś czy choćby usiłował to zrobić, co uznałem za dobry znak. Nowojorska autostrada międzystanowa zaprowadziła nas na południowy skraj gór Adirondack na zachód od Albany i gdybym nie był aż tak pochłonięty rozważaniami o mojej sytuacji, pewnie zachwyciłbym się ich widokiem. Kiedy minęliśmy Utikę, teren znów się wyrównał i wjechaliśmy na obszary rolnicze. Uderzyło mnie, że kiedyś już podróżowałem tą trasą, zmierzając przed laty do Toronto na konferencję edukacyjną, i zapamiętałem, że pokonanie nowojorskich równin wydaje się podróżą bez końca. Po raz drugi zatrzymaliśmy się na obwodnicy Syracuse, gdzie również straciliśmy nie więcej niż dziesięć minut.

Niewiele też rozmawialiśmy w trasie. Głównie słuchaliśmy radia, w którym kanały ustawiał, ma się rozumieć, tylko Vince.

Najczęściej wybierał muzykę country. Kiedy przejrzałem kompaktki ustawione we wnęce między przednimi siedzeniami, zapytałem z głupia frant:

- Nie lubisz Carpentersów?

W pobliżu Buffalo ruch bardzo się nasilił. W dodatku zaczęło się ściemniać. Sięgnąłem znowu po mapę, żeby podyktować Vince'owi, jak ominąć miasto. Jak się okazało, nie miałem nawet okazji zmienić go za kierownicą. Prowadził o wiele bardziej agresywnie ode mnie, toteż postanowiłem stłumić w sobie strach, skoro miało to oznaczać, że dotrzemy do Youngstown wcześniej, niż zakładaliśmy.

Z obwodnicy Buffalo skręciliśmy w stronę wodospadów Niagary, ale nie zjeżdżaliśmy z autostrady, by wykorzystać okazję do podziwiania jednego z cudów świata. Szeroką Robert Moses Parkway minęliśmy Lewiston, gdzie moją uwagę przykuł szpital, którego wielki podświetlony znak w kształcie litery „H” odcinał się na tle mrocznego nieba. Kilka kilometrów dalej na północ natknęliśmy się na zjazd w kierunku Youngstown.

Przed wyjazdem z domu nawet nie pomyślałem, żeby przepisać z ekranu dokładny adres Clayтона Sloana, nie przyszło mi też do głowy, by wydrukować plan miasteczka, bo nie miałem jeszcze pojęcia, że wkrótce i dotrzemy. Ale Youngstown okazało się bardziej dużą wioską niż miastem w rodzaju Buffalo, uznaliśmy więc, że powinniśmy bez trudu znaleźć cel naszej podróży. Ze zjazdu z autostrady trafiliśmy na Lockport Street, a z niej w centrum skręciliśmy na południe w Main Street.

Gdy tylko zauważyłem bar, powiedziałem:

- Powinni tu mieć książkę telefoniczną.
- A ja chętnie coś jeszcze zjem - odparł Fleming.

Ja też byłem głodny, chciałem jednak jak najszybciej odnaleźć Clayтона. Byliśmy przecież tak blisko.

- Byle szybko - odparłem.

Vince znalazł miejsce do zaparkowania w najbliższej przecznicy i cofnęliśmy się pieszo. Kiedy weszliśmy do środka owionął nas aromat piwa i pieczonych kurzych skrzydełek Vince pospiesznie zajął miejsce przy kontuarze i zamówił porcję skrzydełek z piwem, ja zaś poszedłem do automatu telefonicznego, ale nie było przy nim książki. Dopiero gdy zapytałem barmana, wyciągnął ją spod lady i pchnął w moim kierunku. Przy numerze Clayтона Sloana widniał adres: Niagara Vie Drive 25. Dopiero teraz przypomniałem sobie nazwę ulicy. Od dając książkę, zapytałem, jak tam dojechać.

- Dalej Main Street na południe, około półtora kilometra.
- A potem w lewo czy w prawo?
- W lewo. W prawo wjechałbyś prosto do rzeki, człowieku.

Youngstown leżało nad rzeką Niagara, dokładnie na wprost kanadyjskiego miasteczka Niagara-on-the-

Lake słynącego ze swego amfiteatru. Odbywały się tam, jeśli dobrze pamiętałem, festiwale imienia dramaturga George'a Bernarda Shaw.

Musiałem o nich zapomnieć na jakiś czas.

Ogryzłem kilka skrzydełek i wypłem z pół szklanki piwa nim żołądek zaczął mi podjeżdżać do gardła.

- Nie dam rady dłużej - powiedziałem. - Ruszajmy.

Rzucił na kontuar kilka banknotów i wyszliśmy.

Odczytywałem nazwy kolejnych przecznic wyłaniające się w światłach reflektorów i zanim się obejrzelśmy, dotarliśmy do Niagara View.

Vince skręcił w lewo zwolnił jeszcze bardziej, a ja zacząłem odczytywać numery kolejnych posesji.

- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia trzy... To tutaj. Dwadzieścia pięć.

Nie zatrzymał się jednak na wysokości podjazdu, tylko przejechał jeszcze ze sto metrów, nim zawrócił i zgasił reflektory.

Na podjeździe przed domem pod numerem dwudziestym piątym stał samochód, ale była to srebrzysta honda accord, najwyżej pięcioletnia, a nie klasyczny brązowy sedan.

Wyglądało na to, że jeśli Jeremy Sloan wracał do domu, to jeszcze tu nie dotarł. Chyba że wstawił wóz do luźno stojącego garażu z dwuskrzydłowymi drzwiami.

Obok stał dość obszerny parterowy dom z otynkowanymi na biało ścianami, pochodzący pewnie z lat sześćdziesiątych, ale niezłe utrzymany. Na frontowej werandzie wzrok przyciągały dwa duże fotele na biegunach. Jego wygląd ogólny może nie świadczył o zamożności gospodarzy, ale zdawał się mówić: „To jest przytulne miejsce do życia”.

Ponadto uwagę przykuwała długa rampa zrobiona chyba dla wózka inwalidzkiego, bo nachylona pod bardzo małym kątem, prowadząca od drzwi wejściowych do podnóża werandy. Weszliśmy po niej i stanęliśmy obok siebie przed drzwiami.

- Jak zamierzasz to rozegrać? - zapytał Vince.

- A co byś radził?

- Trzymaj się jak najbliżej prawdy - odparł.

W domu paliły się światła, z głębi dolatywały odgłosy włączonego telewizora, przyszło mi więc do głowy, że na pewno nikogo nie zbudzimy. Uniosłem rękę do dzwonka, ale zawahałem się jeszcze.

- Śmiało. Pora zacząć przedstawienie - mruknął Vince.

Nacisnąłem dzwonek.

Kiedy minęło z pół minuty i nikt nie podszedł, żeby otworzyć drzwi, zerknąłem na Fleminga.

- Zadzwoń jeszcze raz - poradził. Wskazał pochyłą rampę i dodał: - To może trochę potrwać.

Zadzwoniłem po raz drugi. Z głębi domu doleciały jakieś stłumione hałasy i po pewnym czasie drzwi się otworzyły, ale niezbyt szeroko, tylko trochę, do tego powoli, jakby niezdecydowanie. Gdy szczelina poszerzyła się do pół metra, pojąłem przyczynę. Kobieta siedziała na wózku inwalidzkim, który etapami cofała po parę centymetrów, jednocześnie otwierając szerzej drzwi.

- O co chodzi? - zapytała.

- Pani Sloan?

Z wyglądu miała ponad sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt lat. Była szczupła, ale ruchy górnej połowy ciała wskazywały, że wcale nie jest słaba i pozbawiona sił. Pewnie zaciskała palce na obręczach kół, a gdy tylko uchyliła drzwi na szerokość wózka, podjechała nim kawałek do przodu, skutecznie blokując nam drogę do środka. Kolana miała zakryte cienkim kocem, była ubrana w kwiecistą bluzkę i brązowy sweter. Siwe włosy gładko zaczesane do tyłu nosiła upięte w tak ciasny kok, że nie wymykał się z niego ani jeden włos. Policzki miała lekko zaróżowione, a świdrujące piwne oczka błyskawicznie przenosiły się z jednego na drugiego niespodziewanego gościa. Rysy jej twarzy wskazywały, że kiedyś była zapewne uderzająco piękna, ale wiek odcisnął na nich swoje piętno, a grymas wywołany przez lekko wysuniętą ku przodowi brodę i nieco wydatne wargi nadał jej twarzy wyraz stałego poirytowania, jeśli nie złości.

Pospieszenie skonfrontowałem jej wygląd z moją żoną, doszukując się jakiegokolwiek podobieństwa, ale go nie znalazłem.

- Tak, nazywam się Sloan - odparła.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy o tak późnej porze, ale czy jest pani żoną Clayтона Sloana?

- Owszem. Jestem Enid Sloan - rzekła z ociąganiem. - Ma pan rację, jest już późno. O co chodzi? - Ton jej głosu wyraźnie sugerował, że niezależnie od tego, co nas tu sprowadza, nie powinniśmy liczyć na jej uprzejmość.

Zadarła nieco wyżej głowę, jeszcze bardziej wysuwając brodę, i to nie dlatego, że musiała na nas patrzeć

do góry, ale z chęci okazania swojej siły. Próbowwała nam dać do zrozumienia, że jest upartą staruchą, z którą lepiej nie zadzierać. Ale mnie zaskoczyło, że nie okazała nawet cienia strachu na widok dwóch obcych, którzy zapukali do jej drzwi o tak późnej porze. Ostatecznie nic nie zmieniało sytuacji, że ona siedziała na wózku inwalidzkim, a my byliśmy w pełni sił.

Rzuciłem szybkim spojrzeniem w głąb saloniku umeblowanego starymi i nieco pretensjonalnymi sprzętami w stylu kolonialnym, między którymi zostawiono dużo miejsca dla wózka inwalidzkiego. Wyblakłe zasłony i kapy, zmatowiałe wazony ze sztucznymi kwiatami. Gruba sznurkowa wykładzina, która kiedyś musiała sporo kosztować, była powycierana i w wielu miejscach poplamiona, w przejściu widniały niemal koleiny od kół wózka.

W drugim pokoju gdzieś na tyłach grał włączony telewizor, a z kuchni dolatywał intensywny, bardzo przyjemny zapach.

Pociągnąłem nosem.

- Piecze pani coś?

- Placek marchewkowy - odparła ostro. - Dla syna. Wraca do domu.

- Aha - mruknąłem. - Właśnie z nim chcieliśmy się zobaczyć. Bo mówi pani o Jeremym, prawda?

- Czego chcecie od Jeremiego?

No właśnie, czego mogliśmy od niego chcieć? A przynajmniej, co mogłoby posłużyć za pretekst do tej wizyty?

Milczałem jeszcze, próbując gorączkowo coś wymyślić, kiedy Vince przejął sprawy w swoje ręce.

- Gdzie jest Jeremy, pani Sloan?

- Kim jesteście?

- Myślę, że to my powinniśmy zadawać pytania, madam odpowiedział stanowczo, autorytatywnym tonem, chociaż starał się, by nie zabrzmiało to groźnie. Przemknęło mi prze myśl, że próbuje dać gospodyni odczuć, że jest kimś w rodzaj stróża prawa.

- Pytam jeszcze raz, kim jesteście?

- Może moglibyśmy porozmawiać z pani mężem? - wtrąciłem. - Zechciałaby pani przywołać Clayтона?

- Nie ma go - warknęła Enid Sloan. - Jest w szpitalu.

Tym mnie zaskoczyła.

- Aha - mruknąłem. - Przykro mi to słyszeć. Czy nie chodzi o ten szpital, który mijaliśmy po drodze?

- Jeśli przyjechaliście od Lewiston, to ten. Jest tam już od paru tygodni. Muszę zamawiać taksówkę, żeby się z nim zobaczyć.

1 to codziennie w obie strony. - Najwyraźniej bardzo leżało jej na sercu, by nam wykazać, jak bardzo musi się poświęcać dla męża.

- Syn nie może pani wozić? - wtrącił Vince. - Od tak dawna go nie ma?

- Załatwia ważne sprawy. - Przetoczyła wózek kilkanaście centymetrów do przodu, jakby chciała nas zepchnąć ze schodków werandy.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekłem. - Mówię o pani mężu.

- Jest umierający - wycedziła. - Ma raka z wieloma przerzutami w całym ciele. Niewiele mu już zostało. - Zawahała się, spoglądając na mnie. - To nie pan dzwonił i pytał o Jeremiego?

- Owszem, ja - odparłem. - Musimy się z nim pilnie skontaktować.

- Podobno powiedział panu, że wybiera się do Connecticut - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Wydaje mi się, że właśnie tak powiedział - przyznałem.

- Otóż nie mógł czegoś takiego powiedzieć. Pytałam go. Odparł, że z nikim nie rozmawiał na temat celu swojego wyjazdu.

Więc skąd pan wie, dokąd wyjechał?

- Chyba będzie lepiej kontynuować tę rozmowę w środku - rzekł Vince, robiąc dwa kroki do przodu.

Ale Enid Sloan tylko mocniej zacisnęła dłonie na obręczach kół.

- Nie sądzę.

- Ale ja tak. - Złapał oburącz za poręcze fotela i pchnął go silnie do tyłu, wtaczając do środka. Kobieta w najmniejszym stopniu nie mogła mu się przeciwstawić.

- Hej - rzuciłem pospiesznie, próbując go złapać za rękę.

Nie chciałem, by w ten sposób traktował niedołęzną staruszkę na wózku.

- Nie przejmuj się - odparł przez ramię, siłąc się na łagodny ton. - Na werandzie jest już zimno, a nie chciałbym, żeby pani Sloan śmiertelnie się przeziębila.

Starałem się nie zwracać uwagi na jego słownictwo.

- Natychmiast się zatrzymaj! - warknęła gospodyni, okładając go dłońmi po rękach i ramionach.

Mimo to przepchnął ją na środek saloniku, ja zaś uznałem, że nie mam innego wyjścia, toteż wszedłem za nimi i zamknąłem drzwi.

- Nie widzę sposobu, żebyśmy mogli dalej kluczyć wokół sedna sprawy - rzekł Vince. - Lepiej zapytaj wprost o to, co cię interesuje.

- Kim jesteście, do cholery?! - rzuciła groźnie Enid, aż odruchowo cofnąłem się o krok.

- Pani Sloan, nazywam się Terry Archer - odparłem. - Moją żoną jest Cynthia. Cynthia Bigge.

Zagapiła się na mnie z rozdziawionymi ustami, niezdolna do wydobywania głosu.

- Widzę, że to nazwisko nie jest pani obce - dodałem. - Oczywiście mam na myśli nazwisko panieńskie żony. Być może zna pani także moje nazwisko, ale to personalia żony zrobiły na pani wrażenie.

Nadal się nie odzywała.

- Mam do pani jedno zasadnicze pytanie. Być może zabrzmia trochę głupio, ale proszę o wyrozumiałość, nawet jeśli cała ta sytuacja wydaje się pani niecodzienna.

Wciąż nie reagowała.

- A zatem... czy jest pani matką Cynthii? Nazywa się pani Patricia Bigge?

Ryknęła gromkim śmiechem.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Więc czemu się pani zaśmiała? Widać, że zna pani osoby, o które pytam.

- Proszę stąd wyjść. Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi.

Zerknąłem na Vince'a, który obserwował to z kamienną miną, i zapytałem go:

- Widziałeś kiedykolwiek matkę Cynthii? Nie licząc tamtego wieczoru, kiedy wsiadła z Toddem do auta i odjechała.

Pokręcił głową.

- Nie.

- To może być ona?

Zmrużył oczy, przyglądając się kobiecie.

- Nie wiem. Ale moim zdaniem to mało prawdopodobne.

- Dzwonię na policję - oznajmiła Enid, obracając się z wózkiem. Vince podszedł szybko i złapał go za rączki, ale dałem mu

znak ręką.

- Nie trzeba. To chyba całkiem niezły pomysł. Zaczekamy wszyscy na powrót Jeremy'ego, a potem w obecności policji zadamy mu kilka pytań.

Przestała popychać wózek i zapytała:

- Dlaczego miałabym się bać policji?

- Bardzo dobre pytanie. Dlaczego? Może w związku z wydarzeniami, do których doszło dwadzieścia pięć lat temu? A może z całkiem niedawnymi wypadkami w Connecticut, do których doszło po wyjeździe Jeremy'ego? Na przykład ze śmiercią Tess Berman, ciotki mojej żony? A także prywatnego detektywa, niejakiego Dentona Abagnalla?

- Wynocha! - syknęła.

- A co do Jeremy'ego - ciągnąłem - to jest bratem Cynthii, prawda?

Spiorunowała mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

- Nie waż się mówić w ten sposób! - powiedziała, układając dłonie na kocu okrywającym jej kolana.

- Dlaczego? - zapytałem. - Bo to prawda? Bo Jeremy w rzeczywistości ma na imię Todd?

- Co takiego? - zdziwiła się. - Od kogo to usłyszałaś? To parszywe kłamstwo!

Spojrzałem ponad nią na Fleminga, który stał niewzruszony z dłońmi zaciśniętymi na gumowych uchwytach wózka.

- Muszę gdzieś zadzwonić - oznajmiła stanowczo Enid. - Żądam, abyście umożliwili mi skorzystanie z telefonu.

- Do kogo chcesz dzwonić? - zainteresował się Vince.

- To nie twoja sprawa.

Spojrzał na mnie.

- Chce zadzwonić do Jeremy'ego i ostrzec go przed nami. To chyba nie najlepszy pomysł.

- A co z Claytonem? - zapytałem. - Czy Clayton Sloan nie nazywał się wcześniej Clayton Bigge? To nie jest jedna i ta sama osoba?

- Pozwólcie mi skorzystać z telefonu - powtórzyła, niemalże sycząc jak żmija.

Ale Vince mocno przytrzymał jej wózek.

- Przecież nie będziesz jej tak trzymał cały czas - odezwałem się do niego. - Może to zostać uznane za...

porwanie, ograniczenie swobody albo coś podobnego.

- No właśnie! - podchwyciła Enid Sloan. - Nie macie prawa tak postępować, wdzierać się do domu starej schorwanej kobiety i ograniczać jej swobodę ruchów!

Vince puścił wózek.

- Proszę bardzo, dzwoń na policję - rzekł, powtarzając mój blef. - Tylko nie waż się dzwonić z ostrzeżeniem do syna. Wzywaj policję.

Nawet się nie poruszyła.

- Powiniennem jechać do szpitala - powiedziałem Flemingowi. - Muszę się zobaczyć z Claytonem.

- Jest bardzo chory - wycodziła starucha. - Nie wolno mu przeszkadzać.

- Przeszkodzę mu tylko na tyle, żeby uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

- Nie możesz tam jechać! Minęła pora odwiedzin! A poza tym on jest w sypialni! Nawet się nie zorientuje, że go odwiedziłeś.

Przyszło mi do głowy, że gdyby rzeczywiście był w sypialni, nie obchodziłoby jej, czy do niego pojedę, czy nie.

- Jedźmy do szpitala - powtórzyłem.

- Jak tylko stąd wyjdziemy, zaraz zadzwoni i ostrzeże Jeremy'ego - odparł Vince. - Musiałbym ją związać i zakneblować.

- Rany boskie, Vince - jęknąłem, nie mogąc sobie nawet wyobrazić, że miałbym uczestniczyć w procederze krępowania i kneblowania niepełnosprawnej staruszki, nawet jeśli była mało sympatyczna. Nie mogłem się na to zgodzić, nawet gdybym miał nigdy nie uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. - Może lepiej zostań tu z nią?

Skinął głową.

- Może być. Pogadamy sobie z Enid, poplotkujemy o sąsiadach, i tak dalej. - Pochylił się nad wózkiem, żeby widziała jego twarz. - Fajnie będzie, co nie? Może nawet spróbujemy tego pachnącego apetycznie placka marchewkowego. - Sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyki i rzucił je w moją stronę.

Złapałem je w powietrzu.

- W której sali leży? - zapytałem.

Zapatrzyła się na mnie z zaciśniętymi ustami.

- Gadaj, w której jest sali, albo sam za chwilę zadzwonię na policję.

Zamyśliła się na krótko, ale musiała dojść do wniosku, że łatwo będę mógł to sprawdzić w szpitalnej izbie przyjęć, odparła więc:

- Na trzecim piętrze, pokój trzysta dziewięć.

Zanim wyszedłem, wymieniliśmy się jeszcze z Vince'em numerami naszych komórek. Wskoczyłem do jego pikapu, ale przez pewien czas miałem kłopoty z włożeniem kluczyka do stacyjki.

Zawsze tak jest, gdy się korzysta z obcego samochodu. Uruchomiłem silnik, odnalazłem włącznik świateł, wycofałem tyłem z podjazdu i zawróciłem. Zamyśliłem się na chwilę. Wiedziałem, że Lewiston znajduje się na południu, a i my po zjeździe z autostrady jechaliśmy na południe, musiałbym jednak zgadywać, czy posuwając się dalej w tym kierunku, trafię do miasta. Postanowiłem więc wracać Main Street, skręcić z niej na wschód i dopiero po wyjeździe na autostradę skierować się na południe.

Wybrałem pierwszy zjazd, gdy tylko zobaczyłem w oddali wielką podświetloną literę H. Odszukałem wjazd na szpitalny parking i zatrzymałem wóz na wprost wejścia do izby przyjęć ostrego dyżuru. W poczekalni siedziało kilkanaście osób, dwoje rodziców próbujących uciszyć płaczącą niemowlę, nastolatek z nogawką przesiąkniętą krwią na wysokości kolana, para staruszków. Bez wahania przeszedłem przez hol, minąłem stanowisko rejestracyjne, na którym tabliczka sygnalizowała wyraźnie, że godziny odwiedzin skończyły się dawno temu, o ósmej wieczorem, i skierowałem się do windy.

Istniało spore niebezpieczeństwo, że ktoś na jakimś etapie spróbuje mnie zatrzymać, wymyśliłem jednak, że gdy tylko dotrę do sali Clayтона Sloana, wszystko będzie w porządku.

Na wprost windy na trzecim piętrze znajdowało się stanowisko dyżurnej pielęgniarki, ale na szczęście było puste. Wysiadłem i po krótkim namyśle skręciłem w lewo. Pierwszy pokój miał numer 322, następny - wyższy, zawróciłem więc i ruszyłem w przeciwną stronę, zmuszony do ponownego minięcia stanowiska pielęgniarki dyżurnej. Tym razem stała przy nim kobieta, ale zwrócona tyłem do mnie, pochłonięta lekturą kart chorobowych. Minąłem ją na palcach i przyspieszyłem kroku.

Kiedy doszedłem do rozwidlenia korytarza, zajrzałem w lewo. Pierwszy pokój z brzegu miał numer 309.

Drzwi były lekko uchylone, w środku panował półmrok, paliła się tylko słaba neonówka zamontowana na ścianie nad łóżkiem.

Był to pokój jednoosobowy. Parawan zasłaniał większą część łóżka, widoczny był jedynie koniec z

wiszącą w blaszanej ramce kartą chorobową. Wśliznąłem się do środka, wszedłem za parawan i popatrzyłem na mężczyznę leżącego na wznak, na spiętrzonych poduszkach, pogrążonego we śnie. Z wyglądu mógł mieć koło siedemdziesiątki. Był wyniszczony chorobą, włosy miał mocno przerzedzone, prawdopodobnie od chemioterapii.

Oddychał płytko i chrapliwie. Ręce trzymał wyciągnięte wzdłuż ciała, palce miał długie, białe, kościste. Przeszedłem na drugą stronę łóżka, żeby parawan zasłaniał mnie przed wzrokiem osób przechodzących korytarzem.

U szczytu łóżka stało krzesło, usiadłem więc, żeby być jeszcze mniej widocznym z korytarza.

Zapatrzyłem się na twarz Clayтона Sloana, wypatrując rysów, których nie spostrzegłem u Enid Sloan.

Może coś w kształcie nosa? Drobne dołki na policzkach w kącikach ust?

Delikatnie położyłem dłoń na ramieniu śpiącego. Poruszył się i zachrapał.

- Clayton - szepnąłem.

Sapnął raz i drugi, po czym zmarszczył nos, nadal nie otwierając oczu.

- Clayton - powtórzyłem, lekko przesuwając palcami po jego pergaminowatej przesuszonej skórze.

W zgięciu ramienia miał wbity wenflon, przygotowane dojskie dla kroplówki.

Po chwili zatrzepotał powiekami i sapnął jeszcze głośniej.

Kiedy mnie zobaczył, zamrugał szybko, próbując dostosować wzrok do półmroku w pokoju.

- O co...

- Clayton Bigge? - zapytałem.

Błyskawicznie otworzył szeroko oczy i gwałtownie obrócił głowę w moim kierunku, aż na szyi pojawiło się kilka fałdek.

- Kim jesteś? - szepnął.

- Twoim zięciem - odparłem.

Z trudem przełknął ślinę, pod naciągniętą skórą grdyka podskoczyła mu w górę i w dół przez całą długość szyi.

- Kim? - zapytał z niedowierzaniem.

- Twoim zięciem - powtórzyłem. - Mężem Cynthii.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaschło mu w gardle.

- Chcesz się napić trochę wody? - zapytałem cicho.

Przytaknął ruchem głowy. Na stoliku przy łóżku stał dzbanek i szklanka, nalałem mu wody. Obok na stoliku leżała słomka, którą wetknąłem mu w usta i podstawilem szklankę.

- Dam sobie radę - rzekł, biorąc ode mnie szklankę. Miał znacznie więcej siły, niż się spodziewałem. Po chwili otarł dłonią wargi i oddał mi pustą szklankę.

- Która godzina? - zapytał.

- Po dziesiątej. Przepraszam, że cię obudziłem, bo smacznie spałeś.

- Nic nie szkodzi. Tutaj wciąż człowieka budzą, o każdej porze dnia i nocy. - Głęboko wciągnął powietrze nosem, po czym wypuścił je powoli. - Więc? Na pewno powinienem wiedzieć, o czym mówisz?

- Sądzę, że tak. Nazywasz się Clayton Bigge.

Kolejne ciężkie westchnienie.

- Nazywam się Clayton Sloan.

- Tego nie neguję - odparłem. - Ale myślę, że jesteś również Claytonem Biggiem, który ożenił się z Patricią Bigge, miał z nią syna o imieniu Todd oraz córkę o imieniu Cynthia. Mieszkaliście w Milford w stanie Connecticut aż do pewnej feralnej nocy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, kiedy wydarzyło się coś strasznego.

Odwrócił głowę i zapatrzył się na parawan. Zwróciłem uwagę, że mimowolnie zacisnął w pięść prawą rękę spoczywającą na pościeli, wolno rozprostował palce i zacisnął je ponownie.

- Umieram - powiedział.

- Więc może to najlepsza pora, żeby pozbyć się tego brzemienia.

Obrócił głowę na poduszce i popatrzył mi w oczy.

- Możesz powtórzyć, jak się nazywasz?

- Terry. Terry Archer. - Urwałem na chwilę. - A ty?

Przełknął ślinę.

- Clayton - rzekł. - Zawsze byłem Claytonem. - Spuścił wzrok i zapatrzył się na fałdy okrywającej go

pościeli. - Clayto Sloan, Clayton Bigge... - zawiesił na krótko głos. - Zależało o tego, gdzie byłem w danym momencie.

- Miałeś dwie rodziny?

Ledwie dostrzegalnie skinął głową. Z mej pamięci błyskawicznie wypłynęło wszystko, co Cynthia opowiadała mi o ojcu. Prawie cały czas był w rozjazdach. Krążył tu i tam po kraju. Wpadał do domu na kilka dni, potem wyjeżdżał na kilka, i ta'

na okrągło. Połowę życia spędzał gdzie indziej...

Nagle rozpromienił się, jakby coś sobie przypomniał.

- Cynthia - szepnął. - Jak ona się miewa? Przyjechała t z tobą?

- Nie. Nawet nie wiem... nie wiem dokładnie, gdzie tera jest. Być może już wróciła do Milford, do domu.

Wyjechał z naszą córką, Grace.

- A więc Grace... to moja wnuczka.

- Tak - odparłem szeptem, gdyż w korytarzu przesunął si jakiś cień. - To twoja wnuczka.

Zamknął na chwilę oczy, jakby dopadł go atak bólu, chociaż odniosłem wrażenie, że nie chodzi o cierpienia fizyczne.

- A mój syn? - zapytał. - Gdzie jest mój syn?

- Todd?

- Nie, nie Todd. Jeremy.

- Coś mi się zdaje, że wraca tu z Milford.

- Co takiego?

- Jest jeszcze w drodze powrotnej. Przynajmniej wszystko na to wskazuje.

Clayton popatrzył na mnie oczyma rozszerzonymi jak gdyby ze strachu.

- A co on robił w Milford? Kiedy tam pojechał? To z tego powodu nie zjawiał się na odwiedziny z matką? -

Zacisnął nagle powieki i zaczął mamrotać: - Och, nie, nie...

- O co chodzi? Co się stało?

Unióś ospale rękę i zrobił taki gest, jakby chciał mnie odepchnąć.

- Odejdź - syknął, nie otwierając oczu.

- Nie rozumiem. Czy Jeremy i Todd to jedna i ta sama osoba?

Jego powieki uniosły się powoli, jak kurtyna na scenie.

- Nie można do tego dopuścić... Jestem taki zmęczony...

Pochyliłem się niżej. Niechętnie odsunąłem od siebie rękę starego schorowanego człowieka, podobnie jak niechętnie myślałem o tym, że Vince przetrzymuje równie starą i schorowaną kobietę jako zakładnika.

Musiałem jednak dowiedzieć się paru rzeczy.

- Powiedz prawdę. Czy Jeremy i Todd to jedna i ta sama osoba?

Znowu powoli obrócił głowę na poduszce i popatrzył na mnie.

- Nie. - Zrobił dłuższą pauzę. - Todd nie żyje.

- Kiedy zmarł?

- Zginął tamtej nocy - mruknął z rezygnacją. - Razem ze swoją matką.

Więc to jednak ich szczątki znajdowały się w samochodzie wydobytym z jeziora w kamieniołomie. Wyniki badań porównawczych DNA Cynthii z próbkami pobranymi ze szczątków w samochodzie powinny potwierdzić to, co usłyszałem.

Clayton ociężale unióś rękę i wskazał stolik pod ścianą.

- Chcesz jeszcze wody? - zapytałem.

Przytaknął ruchem głowy. Podałem mu napelnioną szklanke, z której pociągnął tęgi łyk.

- Nie jestem jeszcze taki słaby, na jakiego wyglądam - rzekł, unosząc trzymaną szklanke nieco wyżej, jakby uważał to za swoje wielkie osiągnięcie. - Czasami, kiedy przyjeżdża Enid, udaję pogrążonego w śpiączce, żeby z nią nie rozmawiać i nie wysłuchiwać jej ciągłego narzekania. Nadal jeszcze chodzę o własnych siłach, korzystam z łazienki. Czasem nawet udaje mi się zdążyć na czas. - Wskazał zamknięte drzwi w drugim końcu pokoju.

- Patricia i Todd - powiedziałem. - Oboje nie żyją.

Ponownie zamknął oczy.

- Musisz mi powiedzieć, co Jeremy robił w Milford.

- Nie jestem pewien. Myślę, że głównie nas obserwował.

Śledził naszą rodzinę. Sądzę też, że myszkował po naszym domu. Wreszcie, choć nie potrafię tego udowodnić, zdaje mi się, że to on zamordował ciotkę Cynthii Tess.

- Och, mój Boże - szepnął Clayton. - Siostrę Patricii? Więc ona nie żyje?

- Została śmiertelnie ugodzona nożem - odparłem. - Poza tym zginął też człowiek, którego najęliśmy do wyjaśnienia kilku rzeczy.

- To nie do wiary. A mówiła, że dostał pracę. Gdzieś na zachodzie.

- Słucham?

- Enid. Mówiła, że Jeremy dostał pracę w Seattle czy gdzieś tam. Podobno atrakcyjną. Dlatego tak nagle wyjechał. Mówiła, że mnie odwiedzi, jak tylko wróci. Tak tłumaczyła jego nieobecność. A ja myślałem... że głównym powodem jest tylko jego lekceważenie... - Urwał, jakby pogrążając się w zamyśleniu. - Jeremy jest... nie ma żadnego wpływu na to, jaki jest. To ona o wszystkim decyduje. On musi robić wszystko, co ona mu każe. Ustawiała go przeciwko mnie już od niemowlęctwa... Aż sam nie mogłem się nadziwić, że zaczęła mnie odwiedzać. Ciągłe powtarza: „Trzymaj się. Wytrzymaj jeszcze trochę”. Wiem, że nie dba o to, czy będę żył, czy umrę, tylko nie chciałaby, żebym umarł już teraz. Podejrzywałem, że kryje się za tym jakiś plan. Zawsze mnie okłamywała. Oszukiwała na każdym kroku.

Kłamała na temat Jeremy'ego. Nie chciała, żebym się dowiedział, dokąd go naprawdę wysłała.

- Dlaczego miałoby jej na tym zależeć? Jaki mógł być prawdziwy powód wyjazdu Jeremy'ego do Milford?

- Musiała go zobaczyć - szepnął z przejęciem. - Znalazła go.

- O co chodzi? Co musiała zobaczyć?

- Dobry Boże - jęknął, odchylił głowę na poduszce do tyłu i zamknął oczy, a po chwili pokręcił nią leniwie. - A więc Enid już wie. Dobry Boże, jeśli ona wie...

- Co miałyby wiedzieć? O czym ty mówisz?

- Jeśli rzeczywiście wie, to aż boję się pomyśleć, co mogłaby zrobić...

Pochyliłem się niżej nad Claytonem Sloanem czy też Claytonem Biggiem i szepnąłem mu głośno tuż nad uchem:

- Co Enid miałyby wiedzieć?

- Umieram, zatem... na pewno spotkała się z naszym adwokatem. Nigdy nie miałem zamiaru pokazywać jej testamentu.

Wydałem kategorię zalecenia. Ale on je widocznie zlekceważył... Musiałem tak to zorganizować...

- O jaki testament chodzi?

- Mój. Zmieniłem zapisy. W tajemnicy przed nią... Byłem pewien, że gdyby się dowiedziała... Wszystko pozatawałem.

Po mojej śmierci cały mój majątek miał przyspaść Cynthii...

A Enid i Jeremy mieli zostać na łodzi, bez niczego, bo przecież na nic nie zasłużyli... ona nie zasłużyła...

- Spojrzał na mnie. - Nawet nie masz pojęcia, do czego jest zdolna.

- Ale jest tutaj, została w Youngstown. Tylko Jeremy pojechał do Milford.

- On robi wszystko, co ona mu każe. Nie ma wyjścia, skoro matka jest przykuta do wózka inwalidzkiego.

Tym razem i tak nie mogłaby sama niczego zdziałać...

- Co zaplanowała?

Zignorował moje pytanie. Jego myśli podążały własnymi torami.

- Powiedziałaś, że on wraca? Jeremy jest w drodze powrotnej do domu?

- Tak słyszałem od Enid. Dzisiaj rano wymeldował się z hotelu w Milford. Prawdopodobnie prześcignęliśmy go na autostradzie.

- Prześcignęliście?... Mówiłeś, że Cynthia nie przyjechała z tobą.

- To prawda. Przyjechałem ze znajomym, Vince'em Flemingiem.

Clayton zamrugnął szybko.

- Vince Fleming - powtórzył cicho. - Jej dawny chłopak.

Była z nim tamtego wieczoru. Siedzieli w samochodzie. Odnalazłem ich na parkingu...

- Tak, wiem. Ale teraz on mi pomaga. Został z Enid.

- Z Enid?

- Żeby nie mogła zadzwonić i uprzedzić Jeremy'ego o naszej obecności.

- Lecz skoro Jeremy... skoro wraca do domu, to znaczy, że musiał już wykonać swoje zadanie.

- Jakie zadanie?

- Z Cynthią na pewno wszystko w porządku? - W jego oczach pojawiły się błyski desperacji. - Nic jej się nie stało?

- Oczywiście. Co miałyby jej się stać?

- A wasza córka? Grace? Jej też się nic nie stało?

- O co ci chodzi? Na pewno obie są całe i zdrowe.

- Gdyby cokolwiek stało się Cynthii, cały mój majątek przeszedłby na rzecz jej ewentualnych dzieci... Tak to zostało sformułowane...

Po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz. Ile godzin minęło od czasu mojej ostatniej rozmowy z

Cynthią? Zamieniliśmy kilka słów dzisiaj rano, po raz pierwszy od chwili, gdy razem z małą wymknęła się



z domu poprzedniej nocy.

Czy na pewno mogłem powiedzieć z całą stanowczością, że Grace nic się nie stało?

Wyciągnąłem komórkę. Przemknęło mi przez myśl, że korzystanie z takich aparatów w szpitalach jest zabronione, ale skoro nikt nie wiedział, że tu jestem, mogłem chyba złamać i ten przepis.

Wybrałem nasz numer domowy.

- Proszę, błagam, bądź już w domu - szepnąłem pod nosem, czekając na połączenie. Ale po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- Cynthia, jeśli wrócisz do domu i odsłuchasz tę wiadomość, zadzwoń do mnie natychmiast. To bardzo pilne.

Rozłączyłem się i wybrałem numer jej komórki. Tutaj poczta głosowa włączyła się od razu. Nagrałem mniej więcej identyczną wiadomość, a na końcu dodałem z naciskiem:

- Musisz do mnie zadzwonić.

- Gdzie ona jest? - zapytał Clayton.

- Nie wiem - odparłem z rezygnacją. Przez chwilę chodziło mi po głowie, żeby zadzwonić do śledczej Rony Wedmore, ale zrezygnowałem z tego pomysłu i wybrałem inny numer. Rozległo się aż pięć sygnałów, zanim ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

Coś stuknęło, rozległo się głośne chrząknięcie, a dopiero później padło zaspanym głosem:

- Halo?

- Rolly, tu Terry.

Na brzmienie imienia Rolly'ego Clayton szybko zamrugnął.

- Wybacz, że cię budzę...

- Nie, wszystko w porządku - odparł Carruthers. - Nic się nie stało. Dopiero co zgasilem światło. Znalazłeś Cynthię?

- Nie. Za to znalazłem kogoś innego.

- Tak?

- Posłuchaj, nie mam teraz czasu wyjaśniać, ale muszę cię prosić, żebyś odszukał Cynthię. Nie wiem nawet, jakie ci dać wskazówki, jak cię nakierować. Może podjedź do nas i sprawdź, czy jej samochód jest na podjeździe. Jeśli tak, dobijaj się aż do skutku, włam się, jeśli zajdzie taka konieczność.

Ważne, byś sprawdził, czy są tam Cynthia i Grace. Potem może spróbuj obdzwonić hotele... Sam nie wiem, spróbuj coś wymyślić.

- Co się dzieje, Terry? Kogo odnalazłeś?

- Jej ojca.

Na drugim końcu linii zapadła grobowa cisza.

- Rolly?

- Tak, jestem, tylko... nie mogę uwierzyć własnym uszom.

- Ja też jeszcze w to nie wierzę.

- Co ci powiedział? Wyjaśnił, co się wtedy stało?

- Dopiero zaczęliśmy rozmawiać. Jestem w szpitalu w okolicach Buffalo, bo Clayton nie jest w najlepszej formie.

- Ale może mówić?

- Owszem. Opowiem ci o wszystkim, gdy się spotkamy. Na razie spróbuj odnaleźć Cynthię. Jeśli ją znajdziesz, każ jej do mnie natychmiast zadzwonić.

- Dobra, zaraz się tym zajmę. Już się ubieram.

- Jeszcze jedno, Rolly - dodałem. - Nic jej nie mów o ojcu.

Zostaw to mnie. Na pewno będzie miała setki pytań.

- Jasne. Jak tylko trafię na jej ślad, zadzwonię.

Przyszło mi do głowy, że jest jeszcze jedna osoba, z którą moja żona mogła się kontaktować. Pamela na tyle często do nas dzwoniła, że choć nie miałem jej domowego numeru wśród wpisów w aparacie, znałem go na pamięć. Wybrałem teraz i znów musiałem dość długo czekać, aż ktoś odbierze.

- Halo? - Sprawiała wrażenie tak samo zaspanej, jak Rolly.

W tle rozległo się zadane męskim głosem pytanie: „Kto to?”.

Przedstawiłem się i naprędce przeprosiłem za telefon o tak późnej porze.

- Cynthia zniknęła - powiedziałem. - Razem z Grace.

- Jezu - jęknęła Pamela, błyskawicznie przytomniejąc. - Zostały porwane czy co?

- Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu wyjechała bez słowa.

Chciała ode mnie odpocząć.

- Ach tak, uprzedzała... chyba wczoraj czy może przedwczoraj... Boże, jaki dziś dzień?... No więc mówiła, że może nie przyjść do pracy, i kiedy się nie pokazała, niczego nie podejrzewałam.

- Chciałem cię tylko prosić, żebyś miała na nią oko. Gdyby się pokazała albo zadzwoniła, przekaż, że powinna się jak najszybciej skontaktować ze mną. Odnalazłem jej ojca, Pam.

W słuchawce przez parę sekund panowała cisza.

- Nie chrząć.

- To prawda.

- I on żyje?

Zerknąłem na starca w łóżku.

- Tak.

- A Todd? I jej matka?

- To inna historia. Posłuchaj, Pamela, muszę kończyć. Gdybyś się widziała z Cyn, przekaż, żeby koniecznie do mnie zadzwoniła. Tylko nic jej na razie nie mów o ojcu.

- Do diabła, myślisz, że zdołam utrzymać coś takiego w tajemnicy?

Kiedy skończyłem rozmowę, zwróciłem uwagę, że i w moim aparacie wyczerpują się akumulatory. Wyjeżdżaliśmy w takim pośpiechu, że nawet nie pomyślałem o zabraniu ładowarki, która przecież pozwalała mi doładować telefon nawet w samochodzie.

- Clayton - odezwałem się w zamyśleniu. - Dlaczego sądzisz, że Cynthii i Grace może coś zagrażać? Co cię skłania ku wnioskowi, że mogło im się stać coś złego?

- Przez ten testament - odparł. - Zapiisałem wszystko Cynthii. Uznałem, że to jedyny sposób na zrehabilitowanie jej tego, co zrobiłem. Wiem, że nie zdołam jej zwrócić tego, co straciła, ale nie miałem żadnej innej możliwości.

- Co to ma wspólnego z ewentualnym zagrożeniem ich życia? - zapytałem, chociaż powoli zaczynałem już ogarniać sytuację. Kawałki układanki, choć jeszcze sporo ich brakowało, to jednak zaczynały już tworzyć całość.

- Po jej śmierci... po śmierci Cynthii, jak również po śmierci jej córki, nie byłoby już żyjących spadkobierców, a wówczas cały majątek przypadłby Enid jako najbliższej krewnej - wyjaśnił szeptem. - Enid robi wszystko, żeby nie dopuścić do przejścia majątku przez Cynthię. Zabije je obie, byle tylko zapewnić sobie możliwość dziedziczenia.

- Przecież to czyste szaleństwo - zaoponowałem. - Zabójstwo, a zwłaszcza podwójne, przyciągnie uwagę, policja na nowo podejmie zawieszony dochodzenie, zacznie to kojarzyć z wydarzeniami sprzed ćwierć wieku, więc jest bardzo prawdopodobne, że dotrze do Enid, a wtedy...

Urwałem nagle.

Zabójstwo z pewnością przykułoby uwagę opinii publicznej.

Co do tego nie miałem wątpliwości.

Ale samobójstwo? Takim zdarzeniem nikt by się za bardzo nie przejął. Zwłaszcza w wypadku kobiety, która przez ostatnie tygodnie żyła w tak wielkim stresie, wystąpiła w telewizji, żeby opowiedzieć wszystkim, co straszego spotkało ją dwadzieścia pięć lat temu, ścigała policję i zażądała śledztwa w sprawie pojawienia się tajemniczego kapelusza w jej domu. A to przecież był dopiero początek jej niezwyklej zachowań. Później znowu zawiadomiła policję, że otrzymała list, w którym znajdowały się szczegółowe wskazówki, gdzie można odnaleźć szczątki jej zamordowanej matki i brata, a który, jak łatwo było ustalić, został napisany na starej maszynie znajdującej się w naszym domu.

Gdyby ta kobieta popełniła samobójstwo, łatwo byłoby znaleźć usprawiedliwienie tak desperackiego czynu: zadręczała ją poczucie winy. W dodatku musiała z nim żyć tyle lat. Bo przecież jak inaczej wyjaśnić, skąd znała tak dokładnie miejsce zatopienia samochodu matki w starym kamieniołomie?

Musiała przez te wszystkie lata dobrze wiedzieć, gdzie on jest. Jakie inne motywy mogły kierować osobą, która postanowiła w końcu sfalszować ów anonimowy list ze wskazówkami?

Nic też dziwnego w tym, że kobieta aż tak przytłoczona nieznośnym poczuciem winy zdecydowała się zabrać ze sobą na tamten świat niewinną córkę.

Czyżby właśnie na takim założeniu opierał się przewrotny plan?

- O co chodzi? - zapytał Clayton. - Nad czym się tak zastanawiasz?

Musiałem zakładać, że Jeremy faktycznie wybrał się do Milford, żeby nas obserwować, śledzić przez kilka tygodni, badać drogę, którą odprowadzaliśmy Grace do szkoły, oceniać nasze wizyty w centrum handlowym, późnymi wieczorami zaglądać z ulicy w okna domu. Któregoś dnia musiał się zakraść i korzystając z naszej nieuwagi, zabrać z haczyka zapasowy klucz, żeby go później użyć w stosownej chwili. Zakończywszy swoje nieczne poczynania - o czym wyraźnie świadczyło moje odkrycie w trakcie

ostatniej wizyty Abagnalla w naszym domu - zostawił go w kuchennej szufladzie, żeby wyglądało, iż ktoś go tam wrzucił przez pomyłkę. Wcześniej podrzucił kapelusz, poznał nasz adres mejlowy, wreszcie napisał na mojej maszynie list, który doprowadził Cynthię do miejsca ukrycia szczątków jej matki i brata. Zdążył to wszystko zrobić, jeszcze zanim wymieniliśmy zamki w drzwiach i zainstalowaliśmy blokadę antywłamaniową.

Aż pokręciłem głową do własnych myśli. Miałem wrażenie, że te spostrzeżenia są dziełem kogoś innego. Ów plan wydawał mi się tak diaboliczny, że aż niewiarygodny.

Czy Jeremy rzeczywiście szykował tylko grunt? A teraz wracał do Youngstown po swoją matkę, aby ją zabrać do Milford i umożliwić obserwację ostatniego aktu na własne oczy?

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - szepnąłem do Claytona. - Wszystko, co stało się tamtej nocy.

- Nigdy nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego... - mruknął, chyba bardziej do samego siebie niż do mnie. - Nie mogłem się z nią widywać. Musiałem zerwać wszelkie kontakty, dla jej dobra...

Zabezpieczyłem ją nawet na wypadek mojej śmierci, gdyby Enid się dowiedziała, że nie dostanie nic z mojego majątku... Zostawiłem zapieczętowaną kopertę, którą można otworzyć dopiero po mojej śmierci i pogrzebie... W liście wyjaśniam wszystko. Enid nie uniknęłaby aresztowania, a Cynthia byłaby bezpieczna...

- Clayton, ale teraz grozi im niebezpieczeństwo. Mówię o twojej córce i wnuczce. Musisz mi pomóc, dopóki jeszcze możesz.

Spojrzał mi w oczy.

- Wyglądasz na porządnego faceta. Cieszę się, że moja córka znalazła sobie kogoś takiego jak ty.

- Musisz mi opowiedzieć, co się wtedy stało.

Zaczerpnął głęboko powietrza, jakby szykował się do długiej i wyczerpującej relacji.

- Wciąż mam ją przed oczami - rzekł. - Teraz trzymanie się od niej z dala już nie zagwarantuje jej bezpieczeństwa. - Z trudem przełknął ślinę. - Zabierz mnie do niej. Zawieź mnie do mojej córki. Chciałbym się z nią pożegnać. Zabierz mnie do niej, a wszystko ci opowiem. Najwyższa pora.

- Nie mogę cię tak po prostu wywieźć ze szpitala - odparłem. - Tu masz fachową opiekę. Gdybym cię stąd zabrał, oznaczałoby to dla ciebie rychłą śmierć.

- I tak niedługo umrę - powiedział stanowczo. - Moje ubrania są tam, w szafie. Wyciągnij je.

Ruszyłem we wskazanym kierunku, ale zatrzymałem się w pół kroku.

- Przecież nawet gdybym się zgodził cię stąd zabrać, zatrzymają nas przed dotarciem do drzwi.

Clayton przywołał mnie gestem, a gdy się zbliżyłem, złapał mnie za rękę, kurczowo zaciskając palce na moim przegubie.

- Enid to potwór - wyznał. - Nic jej nie powstrzyma, gdy już sobie coś postanowi. Przez lata żyłem w strachu przed nią, wykonywałem wszystkie jej polecenia, nie mogąc się uwolnić od obaw przed tym, co będzie dalej. Ale czego miałbym się teraz bać? Co ona mi może jeszcze zrobić? Zostało mi mało życia, ale warto je poświęcić, żeby spróbować uratować Cynthię i Grace.

Możesz mi wierzyć, że nie istnieją takie granice, które Enid bałaby się przekroczyć.

- Na razie nic złego nie zdoła zrobić. Vince jej pilnuje.

Clayton przekrzywił głowę i popatrzył z ukosa.

- Zajechaliście pod dom i zapukaliście do drzwi?

Przytaknąłem.

- A ona wam otworzyła?

Znów przytaknąłem, ale nieco wolniej.

- Sprawiała wrażenie przestraszonej?

Wzruszyłem ramionami.

- Nieszczególnie.

- Dwóch rosyńskich facetów puka do jej drzwi późnym wieczorem, a ona w ogóle nie przejawia strachu? Nie wydało się wam to dziwne?

Jeszcze raz wzruszyłem ramionami.

- Może trochę.

- I nie przyszło wam do głowy zajrzeć pod koc, którym się okrywa? - zapytał Clayton.

Jeszcze raz sięgnąłem po komórkę i wybrałem numer Vince'a.

- No, odbierz - mruknąłem, wyraźnie zniecierpliwiony.

Wcześniej nie mogłem się skontaktować z żoną, a teraz ogarniała mnie panika, że coś złego spotkało również faceta, którego jeszcze wczoraj uznawałem za typowego mafijnego bossa.

- I co? Nie odbiera? - zapytał Clayton, przesuwając się bliżej brzegu łóżka.

- Nie. - Kiedy po szóstym sygnale włączyła się poczta głosowa, przerwałem połączenie bez zostawiania wiadomości i powiedziałem: - Muszę tam jak najszybciej wracać.

- Daj mi parę minut - szepnął, układając pośladki na krawędzi materaca.

Podszedłem do szafy i wyjąłem z niej parę spodni, koszulę oraz lekką marynarkę.

- Pomóc ci? - zapytałem, kładąc ubrania na łóżku.

- Dam sobie radę - syknął, wyraźnie lekko zadyszany, jakby nie mógł złapać tchu. Spojrzał na ubrania i zapytał: - A nie ma tam bielizny i skarpet?

Zajrzałem jeszcze raz do szafy, ale nic nie znalazłem. Wysunąłem dolną szufladę nocnej szafki stojącej przy łóżku.

- Są tutaj. - Podałem mu.

Zamierzał właśnie wstać z łóżka, gdy jego wzrok padł na tkwiący w przedramieniu zaworek dojścia kroplówki. Szybkim ruchem zerwał plaster mocujący i wyciągnął igłę z żyły.

- Jesteś pewien tego, co robisz? - zapytałem.

Skinął głową, uśmiechając się lekko.

- Jeśli jest szansa na to, żebym zobaczył Cynthię, to na pewno nie zabraknie mi sił.

- Co tu się dzieje?!

Obaj obróciliśmy się w stronę drzwi. Stała w nich pielęgniarka, szczupła, czarnoskóra, po czterdziestce. Spoglądała na nas w osłupieniu.

- Panie Sloan, co pan wyrabia, na miłość boską?

Clayton zdążył już spuścić spodnie od piżamy i stał całkiem goły od pasa w dół. Nogi miał patykowate, pokryte białą skórą, a genitalia skurczone jak mały chłopczyk.

- A jak pani myśli? - odparł. - Ubieram się.

- Kim pan jest? - zapytała ostro, zwracając się do mnie.

- Jego zięciem.

- Nigdy wcześniej tu pana nie widziałam. Nie wie pan, że pora odwiedzin już dawno minęła?

- Dopiero co przyjechałem. Musiałem natychmiast zobaczyć się z teściem.

- Proszę natychmiast stąd wyjść - rozkazała kategorycznie. - A pan niech wraca do łóżka, panie Sloan. - Dopiero teraz zauważyła leżący na pościeli wenflon. - Na miłość boską? Co pan wyczynia?

- Wymeldowuję się - odrzekł Clayton, wciągając białe bokserki. Sądząc po stanie, w jakim się znajdował, po jego kondycji fizycznej, można było odebrać te słowa dwójako. Złapał mnie za rękę i przytrzymał się, żeby się schylić i podciągnąć gatki.

- I z pewnością to pana szybko czeka, jeśli natychmiast nie podłączę pana z powrotem do kroplówki - oznajmiła pielęgniarka. - To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Chce pan, żebym wezwała tu pańskiego lekarza w środku nocy?

- Może pani robić, co pani chce - odparł.

- Ale wcześniej zadzwonię po ochronę - wycedziła. Zawróciła na pięcie i wybiegła na korytarz, aż podeszwy jej butów zapiszczały na linoleum.

- Wiem, że masz mnóstwo pytań, ale na razie radziłbym się pospieszyć. Najpierw spróbuj mi znaleźć jakiś wózek inwalidzki.

Wyjrzałem na korytarz i od razu spostrzegłem wózek stojący obok dyżurki. Podbiegłem po niego. Pielęgniarka właśnie skończyła rozmawiać przez telefon i zauważywszy mnie, pchającego wózek w stronę pokoju Clayтона, wybiegła na korytarz, jedną ręką złapała za ramę, a palce drugiej zacisnęła na moim przegubie.

- Proszę pana! - wycedziła kategorycznym tonem, ale cicho, żeby nie budzić innych pacjentów. - Nie może pan zabrać tego człowieka ze szpitala.

- On sam chce wyjść - odparłem.

- W takim razie musiało mu się w głowie pomieszać. Jeśli utracił zdolność logicznego myślenia, pan powinien zdecydować za niego.

Delikatnie uwolniłem się z jej uścisku.

- Jest coś, co musi koniecznie zrobić.

- Bo pan tak uważa?

- On tak uważa. - Zniżyłem jeszcze głos i śmiertelnie poważnym tonem wyjaśniłem: - To prawdopodobnie jego ostatnia szansa na to, żeby zobaczyć się z córką i wnuczką.

- Jeśli naprawdę chce się z nimi zobaczyć, może to zrobić podczas widzenia w szpitalu - warknęła. - Moglibyśmy nawet ominąć przepisy i dostosować porę tej wizyty, gdyby zaszła taka konieczność.

- Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się pani wydaje.

- Gotów - odezwał się Clayton, który dzielnie dotarł o własnych siłach do drzwi pokoju. Wcisnął pantofle na gołe nogi, bez skarpetek, i koszulę miał nie do końca zapięta, ale zdołał włożyć marynarkę i nawet przygładzić nieco włosy palcami. Wyglądał jak schorowany bezdomny.

Pielęgniarka jednak nie zamierzała ustąpić. Puściła wózek, podeszła do Claytona i syknęła mu prosto w twarz:

- Nie wypuszczę pana stąd, panie Sloan. Najpierw musiałby pana wypisać pański lekarz, doktor Vestry, a mogę zapewnić, że on nie zgodzi się na pańskie wyjście pod żadnym pozorem. Muszę go natychmiast zawiadomić telefonicznie.

Podjechałem z wózkiem i obróciłem go tak, żeby Clayton mógł usiąść, a kiedy to zrobił, zawróciłem i popchałem go w stronę windy.

Pielęgniarka popędziła z powrotem do dyżurki, złapała za słuchawkę i zawołała głośno:

- Ochrona! Powiedziała, że natychmiast potrzebuję was na górze!

Drzwi windy się rozsunęły, wtoczyłem Claytona do środka, wcisnąłem guzik parteru, odwróciłem się i popatrzyłem na osłupiałą pielęgniarkę, której widok odcięły mi zasuwające się drzwi.

- Jak tylko zjedziemy na dół - zapowiedziałem Claytonowi - będziemy musieli przejechać przez izbę przyjęć pełnym gazem, jakby gonił nas sam diabeł.

Skinął głową, ułożył ręce na poręczach i kurczowo zacisnął na nich palce. Pożałowałem, że wózek nie ma pasa bezpieczeństwa.

Kiedy ujrzałem przed sobą około dwudziestu metrów przestrzeni dzielącej nas od przeszklonych drzwi wychodzących na parking, szepnąłem:

- Trzymaj się!

I ruszyłem biegiem.

Wózek nie był przystosowany do dużych szybkości, ja zaś rozpędziłem go tak, że małe przednie kółka zaczęły się kołysać na boki, aż nasza mnie obawa, że poodpadają, a Clayton wylądował na posadzce z roztrzaskaną czaszką, nim zdołałem go dotransportować do samochodu Vince'a. Pociągnąłem więc uchwyty do siebie i uniosłem przód wózka nieco ku górze, żeby toczył się tylko na dwóch kołach.

Clayton jeszcze mocniej zacisnął dłonie na poręczach.

Starsza para, która siedziała wcześniej w poczekalni, dreptała powoli korytarzem, toteż wrzasnąłem:

- Z drogi!

Na szczęście kobieta zdążyła się obejrzeć i odciągnąć mężczyznę pod ścianę, zanim przemknęliśmy obok nich w wariackim tempie.

Czujniki automatycznych drzwi nie mogły zareagować równie szybko, toteż musiałem przyhamować, żeby Clayton nie wylądował nosem na szybie. Zdołałem zwolnić na tyle łagodnie, że nie wyleciał z wózka.

Jeszcze nie zatrzymaliśmy się na dobre przed drzwiami, gdy nagle tuż za mną rozległ się męski głos, który musiał należeć do ochroniarza.

- Proszę się natychmiast zatrzymać! Słyszysz pan?!

Stężenie adrenaliny w mojej krwi było tak wysokie, że nawet nie zostawiłem sobie czasu do namysłu, zadziałalem czysto instynktownie. Odwróciłem się błyskawicznie, wykorzystując jeszcze resztki pędu pozostałego we mnie po tej szaleńczej jeździe przez izbę przyjęć, i równie odruchowo zaciskając pięść, bezbłędnie trafiłem naszego prześladowcę szerokim sierpem w bok głowy.

Nie był szczególnie mocnej budowy ciała, ważył nie więcej niż siedemdziesiąt kilo i mógł mieć najwyżej sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Miał czarne włosy i grube wąsy. Najwyraźniej działał w przeświadczeniu, że jego szary uniform i szeroki czarny pas z kaburą same za siebie spełnią zadanie, toteż nie pomyślał, żeby sięgnąć po broń. Nie spodziewał się pewnie, że cokolwiek może mu grozić ze strony człowieka pchającego staruszkę na wózku inwalidzkim.

Był w błędzie.

Zwalił się na szpitalną posadzkę, jakby ktoś go podciął. Z głębi poczekalni doleciał głośny pisk jakiejś kobiety, ale nie chciałem tracić czasu, by się oglądać w tamtą stronę ani nawet sprawdzać, czy jeszcze ktoś nas nie goni. Odwróciłem się na pięcie, złapałem uchwyty i wypchnąłem wózek z Claytonem przez drzwi, po czym zwoziłem go rampą pod same drzwi samochodu.

Wysuplałem kluczyki, wcisnąłem guzik pilota i szarpnięciem otworzyłem drzwi. Pikap był wysoko zawieszony, musiałem podsadzić Claytona, żeby zdołał się wgramolić na fotel.

Zatrzasnąłem za nim drzwi, okrążyłem maskę, wskoczyłem za kierownicę i prawym przednim kołem zahaczyłem o wózek inwalidzki, wykręcając tyłem z miejsca parkingowego. Usłyszałem, jak jego rama zazgrzytała o zderzak.

- Cholera - syknąłem, przypomniawszy sobie, z jaką dbałością Fleming traktował swój samochód.

Ruszyłem z parkingu z piskiem opon i skręciłem w stronę wyjazdu na autostradę. Pochwyciłem jeszcze widok kilku osób wybiegających z izby przyjęć, które cofnęły się błyskawicznie na widok szarżującego wielkiego auta. Clayton, który już sprawiał wrażenie wyczerpanego, wymamrotał:

- Musimy wrócić do mojego domu.

- Tak, wiem - odparłem. - Właśnie tam jedziemy. Muszę sprawdzić, dlaczego Vince nie odbiera telefonu, upewnić się, że wszystko jest w porządku, może nawet zatrzymać Jeremy'ego, gdyby się pojawił, o ile już nie przyjechał.

- A ja muszę coś zabrać - odrzekł Clayton. - Zanim wyruszymy na spotkanie z Cynthią.

- Co?

Machnął lekceważąco ręką.

- Później.

- Na pewno zawiadomią policję - powiedziałem, ruchem głowy wskazując szpital. - Mogę zostać oskarżony o porwanie pacjenta i znokautowanie strażnika. Pewnie ludzie podadzą gliniarzom opis tego pikapu.

Nie odpowiedział.

Po wyjeździe na pasmo autostrady prowadzące do Youngstown rozpędziłem wóz do 150 kilometrów na godzinę i zacząłem nerwowo zerkać we wsteczne lusterko, wypatrując czerwonych i niebieskich błysków świateł radiowozu. Ponownie wybrałem w komórce numer telefonu Vince'a, lecz nadal bez powodzenia. Akumulatory mojego aparatu były na wyczerpaniu.

Kiedy ujrzałem zjazd do Youngstown, odetchnąłem z ulgą, gdyż byłem przeświadczony, że właśnie na autostradzie jesteśmy bardziej zauważalni i bardziej narażeni na zatrzymanie przez patrol. Zaraz jednak naszły mnie obawy, że policja może już czekać pod domem Sloanów. Przecież w szpitalnych archiwach znajdował się adres porwanego pacjenta, trudno było zatem wykluczyć, że miejscowi gliniarze zdążyli już tam dotrzeć.

Ale z drugiej strony, który śmiertelnie chory człowiek nie chciałby uciec ze szpitala, żeby móc spokojnie umrzeć we własnym łóżku?

Dojechałem Main Street do skrzyżowania, skręciłem w lewo i ruszyłem na południe. Kiedy dotarliśmy do domu Sloanów, okazało się, że wokół niego panuje taki sam spokój, jak w chwili, kiedy odjeżdżałem. W kilku oknach paliły się światła, honda accord wciąż stała na podjeździe.

Na razie nigdzie nie było widać policyjnych radiowozów.

- Chcę objechać dom i zaparkować na tyłach, żeby wóz nie był widoczny z ulicy - zapowiedziałem.

Clayton skinął głową. Przeciąłem na ukos frontowy trawnik, wykręciłem na tylnym podwórku, zgasiłem światła i wyłączyłem silnik.

- Idź przodem - rzucił gospodarz. - Sprawdź, co z twoim przyjacielem. Ja pójdę wolniej.

Wyskoczyłem z auta i podbiegłem do kuchennych drzwi.

Kiedy się przekonałem, że są zamknięte na zasuwkę, załomotałem w nie i zawołałem:

- Vince!

Zajrzałem do środka przez okno, ale nie spostrzegłem żadnego ruchu. Przebiegłem więc od frontu, rozejrzałem się po ulicy, czy nadal nie widać wozów policyjnych, i stanąłem przed frontowym wejściem. Drzwi były otwarte.

- Vince?! - zawołałem jeszcze raz, zaglądając do głównego holu. Nigdzie nie było widać ani Enid Sloan na wózku inwalidzkim, ani Fleminga.

Na niego natknąłem się w kuchni.

Enid zniknęła gdzieś bez śladu. On zaś leżał na podłodze, z koszulą na plecach przesiąkniętą krwią.

- Vince - szepnąłem, klękając przy nim. - Jezu, Vince. - Myślałem, że nie żyje, ale z jego ust dobył się cichy jęk. - Boże, człowieku, tak się cieszę, że żyjesz.

- Terry - szepnął z prawy policzkiem przyciśniętym do terakoty - ta cholerna baba... miała pistolet pod kocem. - Widać było, jak bardzo się stara, żeby nie zamknąć oczu. Z ust także wydobywała mu się krew. - Całkiem mnie zaskoczyła...

- Nic nie mów. Zaraz wezwę karetkę.

Odszukałem telefon, złapałem za słuchawkę i wybrałem trzycyfrowy numer alarmowy.

- Człowiek został postrzelony - rzuciłem, ledwie uzyskawszy połączenie. Podałem adres i poprosiłem o pośpiech, po czym ignorując dalsze pytania operatora, przerwałem połączenie.

- I on przyjechał - szepnął Vince, kiedy znów klęknałem przy nim. - Jeremy... Otworzyła mu drzwi, lecz nawet nie wpuściła go do środka... tylko powiedziała, że muszą natychmiast ruszać. Zadzwoiła do niego... gdy już mnie postrzeliła, i kazała się pospieszyć.

- Więc był tu Jeremy?

- Słyszałem ich rozmowę... - Zakastał i jeszcze więcej krwi pojawiło się w jego ustach. - Wracają. Nie dała mu się nawet wyszczać ani napić wody. Nie chciała, żeby mnie zobaczył...

Nie powiedziała mu...

Co Enid wykombinowała? Co jej przyszło do głowy?

Usłyszałem hałas w holu i domyśliłem się, że Clayton wszedł do środka.

- Cholera, jak boli... - jęknął Vince. - Pieprzona starucha.

- Nic ci nie będzie, wylizasz się.

- Terry... - mruknął ledwie słyszalnie. Pochyliłem się nad nim jeszcze niżej. - Zaopiekuj się... Jane. Dobra?

- Trzymaj się, stary. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Enid nikomu nie otwiera drzwi, jak nie ma rewolweru ukrytego pod kocem - wyjaśnił Clayton. - Zwłaszcza wtedy, gdy jest sama w domu.

Zdołał jakoś doczłapać do drzwi kuchennych i stanął w przejściu, oparty o szafkę, spoglądając z góry na Vince'a Fleminga. Upłynęło parę sekund, nim złapał oddech. Przejście od samochodu wokół domu i dostanie się po schodach do środka całkiem pozbawiło go sił.

Odzyskawszy nieco wigoru, dodał:

- Łatwo jej nie docenić. Starsza kobieta, na wózku inwalidzkim... Od początku tylko czekała na odpowiedni moment. Kiedy on się odwrócił do niej tyłem, a była na tyle blisko, żeby na pewno nie spudłować, wyciągnęła rewolwer i strzeliła. - Pokręcił głową. - Chyba nikt nie ma z nią szans.

Wciąż pochylałem się nad Flemingiem.

- Już zadzwoniłem po karetkę - szepnąłem. - Zaraz przyjadą.

- Dobrze - mruknął Vince, dziwnie trzepocząc powiekami.

- Ale my musimy wcześniej odjechać. Musimy wyruszyć za Enid i Jeremym. Zamierzają usunąć ze swej drogi moją żonę i córkę.

- Rób to, co musisz - odparł szeptem Vince.

Obejrzałem się i powiedziałem:

- Powiedział, że Jeremy tu był, lecz Enid nie pozwoliła mu nawet skorzystać z toalety. Kazała natychmiast zawracać i jechać z powrotem.

Clayton pokiwał smętnie głową.

- Zatem nawet nie próbowała go oszczędzić - rzekł.

- Nie rozumiem.

- Nie pochwaliła się przed nim, co zrobiła, ale nie wynikało to z chęci oszczędzenia mu przykrego widoku.

Postanowiła zataić przed nim, co się tu stało.

- Dlaczego?

Zaczerpnął kilka głębszych oddechów.

- Muszę usiąść - rzekł. Podniosłem się z podłogi, wysunąłem krzesło spod stołu i pomogłem mu usiąść. -

Zajrzyj do tamtej szafki - powiedział, wskazując ostatnią pod ścianą. - Powinien tam być tylenol albo coś w tym rodzaju.

Musiałem przestąpić nad wyciągniętymi nogami Fleminga i obejść poszerzającą się z wolna kałużę krwi na podłodze, żeby zajrzeć do wskazanej szafki. Znalazłem fiolkę wzmocnionego tylenolu, wyjąłem też jedną ze stojących obok szklanek. Nalałem do niej trochę wody i wycofałem się ostrożnie. Fiolka miała zamknięcie zabezpieczające przed małymi dziećmi, Clayton nie miał szans, by sobie z nim poradzić, toteż otworzyłem ją, wytrząsałem dwie tabletki i położyłem na jego wyciągniętej dłoni.

- Cztery - rzucił.

Z jednej strony z niecierpliwością nasłuchiwałem wycia syren, ale z drugiej pragnąłem jak najszybciej się stąd wynieść, jeszcze przed pojawieniem się karetki. Wytrząsałem dwie dalsze tabletki na dłoń Clayтона i podałem mu szklankę z wodą.

Nie był w stanie wziąć wszystkich tabletek od razu, a moim zdaniem trwało całą wieczność, nim połknął je po kolei. Gdy wreszcie skończył, zapytałem:

- Dlaczego postanowiła zataić przed nim, co tu się stało?

- Bo gdyby wiedział, mógłby na niej wymusić odwołanie akcji, rezygnację z reszty ich planów. Gdyby się dowiedział, że strzelała, że ty pojechałeś do szpitala, aby się ze mną zobaczyć, i już wiesz, kim jestem, szybko doszedłby do wniosku, że wydarzenia wymykają im się spod kontroli. A skoro już odjechali, żeby zrealizować to, co moim zdaniem jest ich głównym celem, nic nie zdoła ich powstrzymać.

- Ale przecież Enid też musi zdawać sobie z tego sprawę.

/

Uśmiechnął się smutno.

- Nie wiesz, jaka ona jest. Ma na uwadze wyłącznie ten majątek zapisany w testamencie. Jest głucha na wszelkie argumenty i ślepa na wszystko, co może jej zagrozić drogę do celu. W takich sytuacjach kieruje się tylko jednym, swoją determinacją.

Spojrzałem na zegar zawieszony na ścianie, którego tarcza wyglądała jak wielkie, przekrojone na pół jabłko. Było sześć minut po pierwszej w nocy.

- Jak sądzisz, jaką mają nad nami przewagę czasową? - zapytał Clayton.

- Taką czy inną, i tak za dużą - odparłem. Spojrzałem na leżącą na blacie rolkę folii spożywczej, przy której wałała się garstka okruszków. - Zapakowała na drogę świeżo upieczony placek marchewkowy.

- No, dobra - mruknął Clayton, zbierając się do tego, żeby wstać. - Pieprzony nowotwór - bąknął. - Przeżera mnie na wylot. Nie dość, że całe życie człowieka to jedno pasmo bólu i zgryzoty, to jeszcze na zakończenie przydarza mu się taki cholerny bałagan. - Stanąwszy pewnie na nogach, dodał: - Muszę jeszcze wziąć coś ze sobą.

- Chodzi o tylenol? A może jakieś inne leki?

- Niezła myśl, zabierz tylenol. Ale jest coś jeszcze. Chyba nie dam rady zejść po to do piwnicy.

- O co chodzi?

- Na dole znajdziesz stół roboczy. Powinno na nim stać czerwone pudło narzędziowe.

- Rozumiem.

- Otwórz je, podnieś leżącą na wierzchu plastikową tackę i zabierz to, co znajdziesz przyklejone do niej od spodu.

Drzwi do piwnicy znajdowały się tuż obok wejścia do kuchni. Sięgając już do umieszczonego przy nich wyłącznika światła, zapytałem Vince'a:

- Jak się trzymasz?

- Chujowo - burknął.

Zbiegłem po drewnianych schodach. W piwnicy było zimno, śmierdziało stęchlizną. W nieładzie wałały się wypakowane kartony, z kilku zwisały łańcuchy choinkowe. Pod ścianą stały stare meble, w kącie leżało kilka pułapek na myszy. Centralne miejsce na wprost schodów zajmował duży stół roboczy zaśmiecony opróżnionymi tubkami po paście uszczelniającej, skrawkami papieru ściernego i różnymi narzędziami.

Wyróżniła się wśród nich porysowana i powgniatana czerwona skrzynka narzędziowa.

Nad stołem wisiła goła żarówka, pociągnąłem za zwisający sznureczek i zapaliłem ją, żeby lepiej widzieć. Otworzyłem dwa metalowe zamki i uniosłem wieko skrzynki. Tacka była wypełniona porzewanymi śrubami i wkrętami, połamanymi ostrzami od piłki, różnymi śrubokrętami. Gdybym ją odwrócił, narobiłbym straszego bałaganu, chociaż pewnie nikogo to już nie obchodziło.

Mimo to uniosłem ostrożnie tackę nad głowę i zajrzałem pod spód.

Była tam koperta. Zwykła, listowa, usmarowana i poplamiona, przyklejona do tacki kilkoma paskami poźółkłej ze starości taśmy samoprzylepnej. Ledwie jej dotknąłem, taśma puściła.

- Znalazłeś? - zawołał z góry Clayton.

- Tak.

Położyłem kopertę na brzegu stołu, włożyłem tackę z powrotem do skrzynki i zamknąłem ją. Obróciłem w palcach zaklejoną kopertę, ale nic nie było na niej napisane. Tak na dotyk, w środku znajdowała się tylko złożona pojedyncza kartka papieru.

- W porządku - mruknął gospodarz. - Jeśli chcesz, możesz zajrzeć do środka.

Bez namysłu oderwałem brzeg koperty, dmuchnąłem w krawędź, żeby rozdzielić papier, ostrożnie, samymi czubkami palców wyciągnąłem ze środka złożoną kartkę i rozpostarłem ją przed oczami.

- To bardzo stare - rzucił Clayton ze szczytu schodów. - Bądź ostrożny.

Pospieszenie przebiegłem wzrokiem krótki tekst i poczułem się tak, jakby ktoś silnym ciosem w spłot słoneczny pozbawił mnie oddechu.

Kiedy wyszedłem z piwnicy, Clayton wyjaśnił okoliczności, w jakich wszedł w posiadanie tego, co ukrył w kopercie, a następnie powiedział, co chce z tym zrobić.

- Obiecujesz? - zapytał w końcu.

- Obiecuje - odparłem, wkładając kopertę do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki.

Po raz ostatni klęknąłem przy Flemingu.

- Karetka powinna tu być lada chwila - powiedziałem. - Wytrzymasz do jej przyjazdu?

Vince był mocno zbudowanym i silnym mężczyzną, miał większe szanse od innych, żeby doczekać pomocy lekarskiej.

- Jedź ratować żonę i córkę - rzekł. - A gdybyś natknął się na tę sukę w wózku inwalidzkim, wepchnij ją



pod autobus. - Urwał na chwilę. - W dodge'u jest pistolet. Powinienem być go zabrać ze sobą. Dureń. Przyłożyłem dłoń do jego czoła.

- Wyjdiesz z tego.

- Zjeżdżaj - szepnął.

Obejrzałem się na Clayтона i zapytałem:

- Ta honda na podjeździe jest sprawna?

- Jasne. To mój wóz. Tyle że ostatnio mało nim jeździłem, bo się rozchorowałem.

- Sądzę, że nie powinniśmy brać pikapu Vince'a - odparłem. - Policja na pewno będzie go szukać. Parę osób widziało, jak odjeżdżamy nim spod szpitala. Gliniarze już pewnie mają jego opis, może znają nawet numer rejestracyjny.

Przytaknął ruchem głowy i wskazał małą dekoracyjną wazę stojącą na blacie przy drzwiach.

- Tam powinny być kluczyki.

- Zaraz wrócę.

Pobiegłem na tylne podwórko i wskoczyłem do dodge'a.

W kabinie było parę schowków, w drzwiach, między siedzeniami i w desce rozdzielczej. Zacząłem do nich zaglądać i na dnie schowka przy dźwigni zmiany biegów, pod plikiem map drogowych, znalazłem pistolet.

Niewiele wiedziałem na temat broni, toteż poczułem się bardzo dziwnie, wetknąwszy go sobie za pasek spodni. Miałem wystarczająco dużo kłopotów, żeby jeszcze wzbogacać je o ranę z przypadkowego samopostrzelenia. Następnie kluczykiem Clayтона otworzyłem hondę, wsiałem za kierownicę i wepchnąłem pistolet do schowa w desce rozdzielczej. U uruchomiłem silnik i po trawniku podjechałem tak blisko drzwi frontowych, jak tylko się dało.

Clayton wyszedł na ganek i chwiejnym krokiem ruszył w moją stronę. Wskoczyłem z auta, obiegłem maskę, otworzyłem prawe drzwi i pomogłem mu zająć miejsce w fotelu. Odciągnąłem pas bezpieczeństwa, dałem nura do środka i zapiąłem go.

- W porządku - rzuciłem, siadając ponownie za kierownicą. - Jedziemy.

Wyjechałem z trawnika na ulicę, dojechałem do skrzyżowania, po czym skręciłem w Main Street na północ.

- Mało brakowało - rzekł Clayton.

Z naprzeciwka nadjechała karetka, a za nią dwa radiowozy, z włączonymi kogutami, ale bez syren. Na wysokości baru, w którym pytaliśmy o drogę, skręciłem na wschód, w stronę wjazdu na autostradę.

Gdy już się na niej znaleźliśmy, pohamowałem chęć wciśnięcia gazu do dechy, gdyż bałem się zatrzymania przez patrol drogówki.

Ustaliłem więc umiarkowaną prędkość, nieco powyżej dopuszczalnej, lecz nie na tyle, by przyciągać uwagę gliniarzy.

Zaczekałem cierpliwie do czasu, aż zjedziemy z obwodnicy Buffalo i skręcimy na wschód w stronę Albany.

Nie mogłem jeszcze powiedzieć, że zupełnie mi ulżyło, nabrałem jednak przekonania, że wraz z rosnącą odległością od Youngstown zostawiamy za sobą groźbę bezpośredniej konsekwencji wydarzeń w szpitalu oraz sytuacji, jaką policja i sanitariusze zastali w domu Sloanów.

Wtedy właśnie popatrzyłem na Clayтона, który od początku jechał w milczeniu, z głową odchyloną do tyłu i opartą na zagłówku, i powiedziałem.

- Teraz mogę cię wysłuchać. Opowiedz o wszystkim.

- Dobra - mruknął i odchrząknął.

Małżeństwo było oparte na kłamstwie.

Pierwsze małżeństwo, jak wyjaśnił Clayton. Zresztą drugie też. Do tego miał jednak nawiązać później.

Czekała nas dość długa droga powrotna do Connecticut. Było mnóstwo czasu na wyjaśnienia.

Zaczął jednak od swojego związku z Enid. Poznał ją jeszcze w szkole średniej w Tonawandzie na obrzeżach Buffalo. Później poszedł do college'u Canisius prowadzonego przez jezuitów, wybrał studia o profilu ekonomicznym uzupełnione o zajęcia z filozofii i religioznawstwa. Na uczelnię miał niezbyt daleko, mógł zostać w rodzinnym domu i codziennie dojeżdżać na zajęcia, ale znalazł tani pokój poza kampusem, postanowił więc, że skoro już studiuje w pobliżu rodzinnego miasta, to przynajmniej uwolni się od codziennego przebywania pod dachem rodziców.

Kiedy tylko skończył studia, na jego powrót do domu czekał nie kto inny, jak właśnie Enid. Zaczęli ze sobą chodzić. Dość szybko się przekonał, że ona jest bardzo uparta i umie postawić na swoim. Potrafiła wykorzystać na swoją korzyść niemal każdy element. A była wtedy bardzo pociągająca, niezwykle zgrabna i odznaczała się nienasyconym apetytem na seks, przynajmniej w początkowej fazie ich znajomości.

Pewnego wieczoru oznajmiła mu ze łzami w oczach, że spóźnia się jej okres. „Och, nie!”, zareagował Clayton. W pierwszej chwili pomyślał o swoich rodzicach, o tym, że będą się go wstydzić. Bardzo dbali o swoją opinię, a tu coś takiego, narzeczona ich syna w ciąży. Aż naszyły go obawy, że matka będzie się chciała wyprowadzić, żeby nie słuchać plotek krążących na ich temat.

Nie zostało mu więc nic innego, jak wziąć ślub. I to jak najszybciej.

Kilka miesięcy później Enid zaczęła narzekać, że nie czuje się dobrze i musi się zapisać na wizytę do swojego lekarza, doktora Gibbsa. Pojechała do niego sama, a gdy wróciła, powiedziała, że poroniła. Stracili dziecko. Było mnóstwo łez. Ale któregoś dnia Clayton w czasie przerwy na lunch zauważył doktora Gibbsa, podszedł więc i powiedział: „Przepraszam, wiem, że nie powinienem pytać w takim miejscu, ale umówić się na spotkanie, ale po tym, jak Enid straciła dziecko, w domu jest nerwowa atmosfera, a chciałem się tylko upewnić, czy będzie mogła jeszcze zajść w ciążę”.

A doktor zapytał osłupiały: „Słucham?”.

W ten sposób Clayton przekonał się, z kim ma do czynienia.

Nabrał pewności, że jego żona jest gotowa na wszystko, nie ucieknie się przed żadnym kłamstwem, byle tylko zdobyć to, na czym jej zależy.

Powinien był wtedy od niej odejść. Ale Enid wytłumaczyła, że jest jej strasznie przykro, że naprawdę myślała, że jest w ciąży, tylko bała się iść do lekarza, który by to potwierdził, a potem wyszło na jaw, że się pomyliła. Clayton nie bardzo jeszcze wtedy wiedział, czy można jej wierzyć, i po raz kolejny przeważały jego obawy przed sprowadzeniem wstydu na rodziców, jakim musiałoby się stać rozstanie z Enid i złożenie wniosku rozwodowego. Poza tym jego żona naprawdę się rozchorowała i przez pewien czas pozostawała przykuta do łóżka. Mimo że nie był pewien, czy jej choroba jest prawdziwa, czy udawana, wiedział, że w takiej sytuacji nie ma prawa jej zostawić bez opieki.

A im dłużej z nią był, tym rzadziej myślał o rozstaniu. Przekonał się jeszcze dosadniej, że Enid zawsze zdobywa to, czego pragnie. Jeśli było inaczej, rozpętywało się piekło. Dostawał pięściami, ciskała w niego różnymi rzeczami. Pewnego razu, gdy siedział w wannie, stanęła nad nim z włączoną suszarką do włosów i zaczęła żartować, że wrzuci ją do wody. Złowieszcze błyski w jej oczach skłoniły go do wniosku, że naprawdę mogłaby to zrobić, i to bez skrupułów.

Wykorzystał więc wykształcenie ekonomiczne i znalazł sobie nową pracę w handlu obwoźnym, zajął się dostawami części zamiennych do różnych maszyn. Musiał z tego powodu jeździć po całym regionie, w szerokim korytarzu od Chicago po Nowy Jork. Zlekceważył ostrzeżenia, że wiele czasu będzie spędzał w delegacjach, bo jemu właśnie na tym zależało. Chciał mieć więcej czasu dla siebie, wolnego od zanudzania i dzikich wrzasków, a przede wszystkim niepokojących oznak tego, że trybiki w mózgu Enid coraz częściej obracają się nie tak, jak powinny.

Jednocześnie musiał się oswoić ze strachem przed powrotem do domu, przed kolejną litanią żalów, jaką Enid zaczynała spisywać tuż po jego wyjeździe. Niedostatek odpowiednich ubrań, zbyt niskie jego dochody, nie mówiąc już, na przykład, o skrzypiących drzwiach kuchennych doprowadzających ją do szału. Wkrótce jedynym czynnikiem skłaniającym go do powrotu do domu stały się spotkania z ich irlandzkim seterem o imieniu Flynn. Zawsze radośnie wybiegał z domu, widząc samochód Clayтона, i zawsze siadał na werandzie w chwili wyjazdu, jakby już rozpoczynał oczekiwanie na jego powrót.

W końcu Enid zaszła w ciążę. Tym razem naprawdę. I urodziła chłopczyka. Jeremy'ego. Otoczyła go bezgraniczną miłością. Clayton też go pokochał, ale szybko zrozumiał, że nie ma szans w tym współzawodnictwie. Żona zapragnęła mieć miłość dziecka na własność i od samego początku, ledwie Jeremy zaczął stawiać pierwsze kroki, zaczęła go ustawiać przeciwko ojcu.

Jeśli ma wyrosnąć na silnego mężczyznę i dorobić się majątku, tłumaczyła, musi iść za jej przykładem, gdyż, niestety, nie ma żadnego silnego mężczyzny w tym domu, który mógłby stać się dla niego wzorem do naśladowania. Powtarzała mu na okrągło, że jego ojciec nie ma dosyć czasu, aby właściwie zatroszczyć się o rodzinę, że jest jej przykro z powodu jego podobieństwa do ojca, chociaż może na tym jeszcze kiedyś skorzystać, jeśli tylko włoży wiele wysiłku w naukę, jak wziąć sprawy w swoje ręce.

I Clayton znowu zapragnął odejść.

Jednakże było coś w Enid, a konkretnie w mrocznej stronie jej charakteru, co kazało mu się mieć na baczności, żeby nigdy nie wspomnieć o rozwodzie ani nawet o jakiegokolwiek formie separacji, gdyż nie był pewien, jak ona na to zareaguje.

Któregoś dnia przed wyjazdem w kolejną długą delegację powiedział, że musi z nią porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie.

- Nie jestem z tobą szczęśliwy - oznajmił wprost. - Nie sądzę, aby dalsze trwanie tego związku miało sens. Nie uroniła nawet jednej łzy. Nie zapytała, co konkretnie mu nie odpowiada. Nie zapytała też, co mogłaby

zrobić, żeby ratować ich małżeństwo i sprawić, aby poczuł się szczęśliwy.

Wstała bez słowa, podeszła bliżej i zajrzała mu głęboko w oczy. Miał ochotę odwrócić głowę, ale nie był do tego zdolny, jakby go zniewoliła tym spojrzeniem. Pomyślał wtedy, że patrzenie jej w oczy przypomina zagładanie w głąb duszy diabła.

Ona zaś powiedziała tylko:

- Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Zawróciła na pięcie i wyszła z pokoju.

Dokładnie przemyślał sobie wszystko podczas tamtej podróży.

To się jeszcze zobaczy, powtarzał w myślach. Jeszcze się zobaczy.

A kiedy wrócił, pies nie czekał na niego na werandzie. Gdy otworzył garaż, żeby wstawić swojego plymoutha, ujrzał Flynna dyndającego na kawałku sznura przerzuconego przez krokiew.

Enid powiedziała mu tylko:

- Ciesz się, że to tylko pies.

Z wielkiej miłości do Jeremy'ego próbowała jeszcze przekonać Clayтона, że narazi przyszłość chłopca na ogromne ryzyko, jeśli postanowi od niej odejść.

Tak więc Clayton Sloan przystał na to życie w smutku, upokorzeniu i zniewoleniu. Uznał, że od dawna było mu ono pisane, postanowił więc wyciągnąć z niego tyle, ile tylko się da.

Ciężko pracował, mając na uwadze dobro syna. Tymczasem matka Jeremy'ego skutecznie kontynuowała pranie mózgu dziecka, wmawiając mu, że ojciec nie wart jest jego uczuć. Nic więc dziwnego, że mały zaczął postrzegać ojca jako człowieka beзуżytecznego, wręcz kogoś obcego, kto tylko przypadkiem mieszka razem z nim i matką. Clayton zdawał sobie sprawę, że Jeremy jest tak samo ofiarą zachłanności Enid, jak i on.

Coraz częściej zachodził w głowę, jak jego życie mogło przybrać aż tak paskudny obrót. Kilka razy się zdarzało, że całkiem poważnie myślał o samobójstwie.

Na przykład jedzie w środku nocy przez odludzie. Wraca z Chicago, omija południowy kraniec jeziora Michigan, przecinając północny skraj Indiany. Nagle dostrzega przed sobą dość wysoko wyźwignięty wiadukt, więc dociska pedał gazu. Ze 100 kilometrów na godzinę przyspiesza do 120, potem 150.

Plymouth zaczyna tańczyć na drodze. Rzadko kto jeździ z zapiętymi pasami bezpieczeństwa, a nawet gdyby jemu się to zdarzyło, błyskawicznie by go odpiął, żeby zagwarantować sobie, że po zderzeniu wypadnie przez przednią szybę i skręci kark. Sprowadza nawet wóz na pobocze, ale gdy spod kół zaczynają strzelać fontanny żwiru i piasku, w ostatniej chwili tchórzy i wraca na autostradę.

Pewnego razu, kilka kilometrów na zachód od Battle Creek, gdy stchórzył i z powrotem skierował wóz na autostradę, ledwie przednie koła złapały przyczepność na asfalcie, stracił panowanie nad kierownicą. Samochód przeciął na ukos oba pasy ruchu, wpadł na rozdzielający pas zieleni, zakopał się w sypkim gruncie i stanął w wysokiej trawie.

Zazwyczaj do zmiany planów skłaniały go myśli o synu. Bał się zostawić go do końca życia na pastwę matki. Przynajmniej do końca jej życia.

Podczas kolejnej podróży musiał się zatrzymać w Milford, w poszukiwaniu nowych klientów, nowego rynku zbyt dla swoich produktów. Wszedł do sklepu spożywczego po batonika i zwrócił uwagę na kobietę za ladą. Na jej piersi widział plaketkę z imieniem Patricia.

Wydała mu się piękna. Miała rudawe włosy.

I była taka miła. Taka naturalna.

Przede wszystkim urzekło go jej spojrzenie, w którym dostrzegł wyłącznie łagodność i życzliwość. Przez kilka ostatnich lat specjalnie starał się nie patrzeć w czarne oczy swojej żony, toteż widok tak diametralnie odmiennych i uroczych zawrócił mu w głowie.

Mnóstwo czasu zajęło mu kupno tego jednego batonika. Od niewinnej wymiany uwag o pogodzie przeszedł do opowieści o swej niedawnej wizycie w Chicago i tęsknocie za rodzinnym domem, który tak rzadko mógł odwiedzać. Wreszcie zaproponował coś, co nawet jego samego zaskoczyło:

- Nie zjadłabyś ze mną lunchu?

Patricia uśmiechnęła się serdecznie i odparła, że jeśli wróci za pół godziny, może uda jej się załatwić godzinną przerwę.

Poświęcił te pół godziny na wędrowkę po sklepach w śródmieściu Milford, zapytując się w duchu, co wyrabia, do pioruna. Jest przecież żonaty. Ma żonę, syna, rodzinny dom i dobrą pracę.

Ale to wszystko niewiele wносиło do jego życia. A on tęsknił za prawdziwym życiem.

Przy kanapce z tuńczykiem w pobliskim barku Patricia zapewniła go, że nie umawia się na lunch z każdym napotkanym mężczyzną i tylko coś w jego osobowości skłoniło ją do przyjęcia zaproszenia.

- Co takiego? - zapytał.

- Chyba już znam twoją tajemnicę - powiedziała. - Potrafię wyczuwać innych i sędzę, że wyczuwam też ciebie.

Dobry Boże, czyżby to było aż tak oczywiste? - przemknęło mu przez myśl. Czyżby ona już się domyślała, że jest zonaty?

A może potrafiła czytać w myślach? Ostatecznie podczas rozmowy w sklepie był w rękawiczkach, a przed spotkaniem w barze zdjął obrączkę i schował do kieszeni.

- Więc jakie masz przecucie w stosunku do mnie? - zapytał.

- Mam wrażenie, że czymś się zamartwiasz. Tylko dlatego jeździsz tam i z powrotem po kraju. Czyżbyś czegoś szukał?

- Taką mam pracę - odparł.

Patricia uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Sędzę, że jeśli coś cię sprowadziło tu, do Milford, nie stało się to bez przyczyny. Dlatego pomyślałam, że cały czas jeździsz po kraju, bo ciągle czegoś szukasz. Nie twierdzę, że właśnie mnie, ale jednak czegoś ci brak.

Niemniej chodziło właśnie o nią. Nie miał co do tego złudzeń.

Powiedział jej, że nazywa się Clayton Bigge. Postępował tak, jakby zawnocześnie ułożył sobie w głowie szczegółowy plan działania. Jeśli na początku myślał nieśmiało o nawiązaniu jakiegoś romansu, teraz uznał, że wykorzystanie fikcyjnego nazwiska wcale nie jest takim złym pomysłem, nawet tylko w przelotnym romansie.

Przez następnych kilka miesięcy, gdy tylko interesy sprowadzały go w drogę na południe co najmniej do Torrington, pokonywał te dodatkowe kilometry i przyjeżdżał do Milford na spotkania z Patricia.

Podziwiała go. Dzięki niej czuł się kimś niezwykłym. Sprawiała, że przestawał myśleć o sobie jak o kimś bezwartościowym.

W drodze powrotnej na autostradzie nowojorskiej obmyślał dalszą strategię. Kiedy jego firma wprowadziła reorganizację, natychmiast wystąpił o przydział strefy między Hartford i Buffalo zamiast terenów na zachód aż do Chicago. W ten sposób po zakończeniu każdego objazdu mógłby...

W dodatku dostał podwyżkę.

I tak miał niezłe dochody. Znacznie wcześniej podjął nadzwyczajne kroki, żeby ukryć przed Enid część zarabianych pieniędzy. Bo jej zawsze było mało, niezależnie od tego, ile przynosił do domu. Bez przerwy usiłowała go zdeprecjonować.

I wydawała wszystko, co do centa. Nie miał większych skrupułów, zatajając przed nią część zarobków.

Doszedł do wniosku, że wystarczy ma na utrzymanie drugiej rodziny.

Dreszczem emocji napęłała go myśl, że przynajmniej przez połowę czasu będzie mógł zaznać prawdziwego szczęścia.

Patricia zgodziła się bez wahania, gdy zaproponował jej małżeństwo. Jej rodzice przyjęli to z zadowoleniem, jedynie jej siostra, Tess, odnosiła się do niego chłodno, jak gdyby wiedziała, że z nim jest coś nie tak, tylko nie potrafiła jeszcze określić rodzaju winy. Zdawał sobie sprawę, że Tess mu nie ufa i nigdy nie zaufa, postanowił więc zachowywać przy niej szczególną ostrożność. Wiedział też, że Tess powiedziała siostrze szczerze o swoich odczuciach, tyle że Patricia była w nim zakochana, gotowa w każdej sytuacji go bronić.

Kiedy wybrali się po zakup obrączek, zdołał namówić Patricję na takie same, jak ta starsza, którą miał w kieszeni. Później zwrócił swoją w sklepie i odebrał pieniądze, mógł nosić cały czas tę samą obrączkę. Na podstawie fałszywych danych poskładał wnioski o rozmaite miejskie i stanowe dokumenty, poczynając od prawa jazdy, a skończywszy na karcie bibliotecznej (jako że w tamtych czasach było to jeszcze możliwe), przygotował się więc pod każdym względem do ślubu pod fałszywym nazwiskiem.

Musiał okłamać Patricję, ale starał się być dobrym mężem.

Przynajmniej wtedy, gdy był w domu.

Urodziła mu dwójkę dzieci. Najpierw chłopca, któremu dali na imię Todd, a kilka lat później córkę, ochrzczonej imieniem Cynthia.

I tak wiódł to swoje podwójne życie.

Jedną rodzinę miał w Connecticut. Drugą na dalekim zachodzie stanu Nowy Jork. Bywał raz u jednej, raz u drugiej.

Kiedy występował jako Clayton Bigge, mimowolnie rozmyślał cały czas o chwili, kiedy znów stanie się Claytonem Sloanem.

A gdy już nim był, natychmiast zaczynał tęsknić za kolejną podróżą, na końcu której mógł się stać

Claytonem Biggiem.

W roli Sloana było mu łatwiej. Przede wszystkim dlatego, że występował pod własnym nazwiskiem. Nie musiał się obawiać każdej kontroli. Jego dokumenty, a przede wszystkim prawo jazdy, były autentyczne. W czasie pobytu w Milford, gdy występował jako Clayton Bigge, mąż Patricii i ojciec Todda oraz Cynthii, bez przerwy zachowywał czujność. Nigdy nie przekraczał dopuszczalnych prędkości. Zawsze pieczołowicie odliczał monety wrzucane do parkometru. Nie chciał, by ktokolwiek zajrzał do bazy danych w poszukiwaniu właściciela samochodu o jego numerze rejestracyjnym. Ilekroć wybierał się do Connecticut, zatrzymywał się w jakimś odludnym miejscu i zmieniał pomarańczowo-żółte nowojorskie tablice rejestracyjne na skradzione miejscowe niebieskie. Później musiał je znów zmieniać w czasie drogi powrotnej do Youngstown. Cały czas się pilnował, żeby nie prowadzić międzymiastowych rozmów telefonicznych z niewłaściwego miejsca, nie płacić za nic kartą kredytową wystawioną na Clayтона Sloana i bez zastanowienia nie podawać adresu w Milford.

Korzystał wyłącznie z gotówki, żeby nie zostawiać żadnych dowodów swojego pobytu.

Wszystko w jego życiu stało się fałszem. Pierwsze małżeństwo było oparte na kłamstwie Enid. Drugie na jego kłamstwach wobec Patricii. Lecz mimo całego fałszu, mimo podwójnego życia, jedynie naprawdę szczęśliwe chwile przydarzały mu się...

- Muszę się odlać - rzekł Clayton, przerywając opowieść.

- Słucham?

- Muszę do toalety. Chyba że chcesz, żebym sikał pod siebie w samochodzie.

Minęliśmy właśnie tablicę reklamową najbliższego parkingu.

- Zaraz się zatrzymamy - odparłem. - Jak się czujesz?

- Nie najlepiej. - Zakasłał kilka razy. - Potrzebuję też wody.

Łyknąłbym parę tabletek tylenolu.

Nie pomyślałem o tym, aby zabrać butelkę z wodą, ale przecież odjeżdżaliśmy z jego domu w pośpiechu.

Szybko pokonywaliśmy dystans na pustej autostradzie. Dochodziła czwarta nad ranem, a my

dojeżdżaliśmy już do Albany. Zresztą i tak musiałem zatankować, postój był więc konieczny.

Pomogłem Claytonowi doczłapać do męskiej toalety, zczekałem, aż się załatwi, po czym odprowadziłem go do samochodu.

Nawet przejście krótkiego dystansu bardzo go zmęczyło.

- Zostań tutaj, pójdę po wodę - rzekłem.

Kupiłem sześciopak małych butelek z wodą mineralną, wróciłem biegiem do samochodu, wysuplałem jedną z opakowania, odkręciłem i podałem Claytonowi. Pociągnął tęgi łyk, później połknął kolejno cztery tabletki, które wytrząsnąłem mu na dłoń.

Przejechałem na stację benzynową i zatankowałem hondę za całą gotówkę, jaką miałem jeszcze w portfelu. Wolałem nie korzystać z karty kredytowej, gdyż obawiałem się, że policja mogła już zidentyfikować sprawcę porwania pacjenta ze szpitala i tylko czekała na to, kiedy dokonam zakupu z użyciem karty.

Gdy wróciłem do samochodu, pomyślałem, że najwyższa pora zaznajomić detektyw Ronę Wedmore z ostatnimi wydarzeniami. Czułem, że relacja Clayтона wystarczająco zbliżyła mnie do prawdy, która raz na zawsze musiała rozwiać wszelkie podejrzenia śledczej wobec mojej żony. Przeszukałem kieszenie dzinsów i znalazłem jej wizytówkę, którą mi dała podczas niespodziewanej wizyty w naszym domu tamtego ranka, zanim wyruszyłem na poszukiwanie Vince'a Fleminga.

Na wizytówce był numer służbowy oraz telefon komórkowy, ale nie było domowego. Wszystko wskazywało na to, że o tak wczesnej porze śledcza smacznie śpi, nie wątpiłem jednak, że ma pod ręką komórkę, włączoną w dzień i w nocy.

Uruchomiłem silnik, odjechałem ze stanowiska tankowania, ale zatrzymałem wóz przed wyjazdem z parkingu.

- Co robisz? - zapytał Clayton.

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Zanim wybrałem numer Wedmore, podjąłem jeszcze jedną próbę skontaktowania się z Cynthią, najpierw przez jej komórkę, później przez aparat domowy. Bez rezultatu.

Co dziwne, w tej sytuacji przyjąłem to z pewną ulgą. Skoro ja nie wiedziałem, gdzie ona jest, nie powinni tego także wiedzieć Jeremy Sloan oraz jego matka. Wychodziło na to, że zniknięcie razem z Grace było najsprytniejszą rzeczą, jaką Cynthia mogła zrobić.

Niemniej i tak musiałem ją odszukać. Chciałem wiedzieć, czy nic jej się nie stało. Czy z Grace wszystko w porządku.

Pomyślałem, żeby zadzwonić do Rolly'ego, ale zaraz uprzytomniłem sobie, że gdyby coś wiedział, pierwszy zadzwoniłby do mnie. Nie chciałem za dużo korzystać z komórki. Na razie była wyłączona, ale świetnie wiedziałem, że jak zacznę wydzwaniać, błyskawicznie wyczerpię akumulatory.

Wybrałem numer śledczej Rony Wedmore. Odebrała po czwartym sygnale.

- Wedmore - odezwała się. Mimo jej starań, żeby mówić tak, jakby była w pełni przytomna, zabrzmiało to nieco bełkotliwie.

- Tu Terry Archer.

- Pan Archer? - zapytała zdecydowanie wyraźniej. - Co się stało?

- Muszę szybko powiedzieć pani o kilku rzeczach. Wyczerpuje mi się akumulator w komórce. Powinna pani zarządzić poszukiwania mojej żony. Niejaki Jeremy Sloan i jego matka Enid Sloan zmierzają do Connecticut z okolic Buffalo. Sądzę, że mają zamiar odnaleźć moją żonę i ją zabić. Ojciec Cynthii jeszcze żyje, właśnie wiozę go ze sobą. Jeśli odnajdzie pani Cynthię i Grace, proszę je otoczyć ścisłą opieką i nie spuszczać z oczu do mojego przyjazdu.

Spodziewałem się co najmniej przejawów zdumienia i niedowierzania, ale padło rzeczowe pytanie:

- Gdzie pan jest?

- Na autostradzie nowojorskiej w drodze powrotnej z Youngstown. Zna pani Vince'a Fleminga, prawda?

- Owszem.

- Zostawiłem go w domu w Youngstown, na północ od Buffalo. Próbował mi pomóc. Został postrzelony przez Enid Sloan.

- To wszystko nie trzyma się kupy - podsumowała.

- Nie kłamię. Proszę zaopiekować się moją żoną, dobrze?

- A co z tym Jeremym Sloanem i jego matką? Czym podróżują?

- Brązowym...

- To impala - wtrącił Clayton. - Chevrolet impala.

- Brązowy chevrolet impala - powtórzyłem. Obejrzałem się na Claytona i zapytałem: - Pamiętasz numer rejestracyjny? - Kiedy pokręcił głową, powiedziałem do słuchawki: - Numeru rejestracyjnego nie znamy.

- Jedźcie prosto tutaj? - zapytała detektyw.

- Tak. Będziemy na miejscu za parę godzin. Proszę jej poszukać. Prosiłem już o to samo zaprzyjaźnionego dyrektora mojej szkoły Rolly'ego Carruthersa.

- Proszę mi powiedzieć...

- Muszę kończyć - rzuciłem, rozłączyłem się i schowałem telefon do kieszeni. Przełączyłem automatyczną skrzynię biegów na „drive” i wyjechałem na autostradę.

- A więc... - podjąłem, chcąc przypomnieć Claytonowi, na czym przerwał swoją relację. - Jakie to były chwile, kiedy czułeś się naprawdę szczęśliwy?

Usadowił się wygodniej i zaczął mówić dalej.

Otóż jeśli zdarzały mu się chwile prawdziwego szczęścia, to jedynie wtedy, gdy występował jako Clayton Bigge. Cieszył się z ojcostwa, bardzo kochał Todda i Cynthię. I był przeświadczony, że dzieci również go kochają, może nawet tęsknią, gdy wyjeżdża z domu. W każdym razie odnosiły się do niego z szacunkiem. Nikt im nie wmawiał każdego dnia i na każdym kroku, jaki bezużyteczny jest ich ojciec. Oczywiście nie oznaczało to, że zawsze postępowały tak, jak sobie życzył, ale to przecież normalne.

Zdarzało się, kiedy leżeli już w łóżku, że Patricia mówiła:

„Wydajesz się błędzić myślami gdzieś daleko. Masz takie spojrzenie, jakbyś w ogóle nas nie widział. I jesteś smutny”.

Brał ją wtedy w ramiona i odpowiadał: „To jedyne miejsce, w którym chciałbym być”. Nie kłamał. Zdarzało się, że chciał jej szczerze wszystko wyznać, gdyż doskwierała mu świadomość, że i to małżeństwo jest oparte na kłamstwie. Żałował, że w ogóle ma to swoje drugie życie.

Przebywanie z Enid i Jeremym stawało się coraz większą udręką, dlatego nazywał to innym życiem.

Nawet jeśli była to jego pierwsza i podstawowa rodzina, przy której posługiwał się prawdziwym nazwiskiem i bez lęku pokazywał swoje prawdziwe prawo jazdy w trakcie policyjnej kontroli, z upływem miesięcy i lat z coraz większym trudem zmuszał się, żeby wracać do tego życia.

Ale na swój sposób przywykł do niego. Oswoił się z fikcyjnymi wyjaśnieniami, z ciągłymi zmianami osobowości, z pokrętnymi tłumaczeniami, dlaczego nie może zostać w domu na weekend. Jeśli spędzał Boże Narodzenie w Youngstown, zawsze wykradał się do budki telefonicznej z kieszenią wypchaną drobnymi, żeby złożyć świąteczne życzenia Patricii i dzieciom.

Któregoś razu, właśnie w Youngstown, zaszył się w najdalszym kącie pokoju, przysiadł na brzegu łóżka i pozwolił sobie zaszclochać, króciutko, na tyle tylko, żeby upuścić nieco smutku i ciągłego napięcia.

Jednakże Enid usłyszała jego płacz, na palcach zakradła się do pokoju i usiadła obok na łóżku. Pospieszenie otarł łzy i wziął się w garść.

Enid położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała: „Nie bądź dzieckiem”.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że życie w Milford wcale nie było aż taką idyllą. Todd dostał zapalenia płuc, gdy miał dziesięć lat, ale wyszedł z tego bez szwanku. Potem Cynthia, gdy weszła w okres dojrzewania, zaczęła przysparzać kłopotów. Stała się buntownicza, Ignęła do najbardziej podejrzanego towarzystwa. No i zaczęła eksperymentować z używkami, na które była zdecydowanie za młoda, głównie z alkoholem, ale zapewne także z innymi.

Przypadła mu rola domowego stróża porządku. Patricia była nazbyt wyrozumiała, odnosiła się do dzieci z bezprzykładną cierpliwością. „Wyrośnie z tego - powtarzała. - To dobra dziewczyna. Musimy tylko służyć jej pomocą”.

Kłopot polegał na tym, że będąc w Milford, Clayton oczekiwał idealnego, niczym niezmaconego szczęścia. I często bywał tego bardzo bliski.

Ale i tak musiał w końcu wsiąść do samochodu i udając, że wyjeżdża w kolejną delegację, wracać do Youngstown.

Od początku się zastanawiał, jak długo zdoła utrzymać ten stan rzeczy w tajemnicy.

Nadał przytrafiały mu się chwile, kiedy gwałtowne szarpnięcie kierownicą na szczycie stromej skarpy wydawało się jedynym rozwiązaniem.

Czasami budził się rano i przez dłuższy czas musiał sobie przypominać, gdzie dzisiaj mieszka i kim jest. Wreszcie zaczął popełniać błędy.

Enid spisała mu listę zakupów, kiedy wybierał się po nie do Lewiston. Tydzień później Patricia wrzucała jego rzeczy do pralki i przyszła do kuchni z kartką w ręku. Zapytała: „Co to jest?”

Znalazłam to w kieszeni twoich spodni. To nie mój charakter pisma”.

Była to lista zakupów Enid.

Serce podeszło mu do gardła. Zaczął gorączkowo szukać wymówki, wreszcie rzekł: „Znalazłem to w koszyku podczas ostatnich zakupów. Pewnie musiał zostawić poprzedni klient.

Pomyślałem, że zabawnie będzie porównać nasze zakupy z gustami innych ludzi, dlatego schowałem to do kieszeni, a potem zapomniałem”.

Patricia przebiegła listę wzrokiem. „Ktokolwiek to zostawił, musi lubić pieczywo pełnoziarniste, tak samo jak ty”.

„Owszem - przyznał z uśmiechem. - A sądziłem dotąd, że cała produkcja takiego pieczywa jest przeznaczona wyłącznie dla mnie”.

Zdarzyło się też, że wycinek z lokalnej gazety z Youngstown, w której zamieszczono zdjęcie jego syna ze szkolną drużyną koszykówki, schował do niewłaściwej szuflady. Postanowił zostawić go sobie na pamiątkę, bo niezależnie od wszelkich starań Enid, by nastawić Jeremy'ego przeciwko niemu, nadał po ojcowsku kochał chłopaka. Widział w nim część samego siebie, podobnie jak w Toddzie. Zdumiewało go, jak bardzo Todd staje się z wiekiem podobny do Jeremy'ego. Gdyby miał nienawidzić Jeremy'ego, musiałby także nienawidzić Todda, a do tego po prostu nie był zdolny.

Tak więc któregoś wieczoru po ciężkim dniu, zmęczony długą podróżą, Clayton Bigge z Milford opróżnił kieszenie i omyłkowo schował wycięte z gazety zdjęcie swojego syna z Youngstown do szuflady nocnej szafki przy łóżku. Postanowił je zatrzymać, gdyż był dumny z chłopaka, nawet jeśli ten traktował go z wrogością.

Nawet nie zauważył, że to nie ta szuflada. Nie ta szafka, nie w tym domu, nie w tym mieście i nawet nie w tym stanie.

Podobną pomyłkę popełnił także w Youngstown. Przez dłuższy czas nawet nie wiedział, na czym polegała. Może chodziło o inny wycinek z gazety? Może o inną listę zakupów, spisaną przez Patricję? Okazało się, że to rachunek telefoniczny na stacjonarny aparat w jego domu w Milford. Wystawiony na Patricję Bigge.

Oczywiście wpadł w oko Enid.

I wzbudził jej podejrzenia.

Ale jego żona nie miała w zwyczaju natychmiast poruszać drażliwych tematów. Musiała najpierw przeprowadzić małe dochodzenie. Poszukać innych oznak. Rozejrzeć się za innymi dowodami.

Sporządzić akt oskarżenia.

Dopiero kiedy uznała, że wie wystarczająco dużo, zdecydowała się na własną rękę wyruszyć w długą podróż, kiedy jej mąż wyjedzie w delegację. I tak oto pewnego dnia zjawiła się w Milford. Rzecz jasna, była wtedy jeszcze pełnosprawna, nie jeździła w wózku inwalidzkim.

Załatwiła kogoś do kilkudniowej opieki nad Jeremym, tłumacząc, że wyjątkowo chce wyruszyć w trasę razem z mężem.

Zataiła tylko, że w drugim samochodzie.

- W ten sposób - podsumował Clayton, sięgając po butelkę, żeby wziąć łyk wody mineralnej - doszliśmy do tamtego wieczoru.

Pierwszą część zdarzeń z tamtego wieczoru znałem z opowieści Cynthii. Zlekceważyła wtedy nakaz wcześniejszego powrotu.

Powiedziała rodzicom, że będzie u Pam. Clayton wyruszył na poszukiwania, znalazł ją w samochodzie Vince'a Fleminga i zabrał do domu.

- Była wściekła - przyznał teraz. - Powiedziała, że życzy nam szybkiej śmierci. Pognęła do swojego pokoju, zamknęła się i nie dawała znaku życia. Była pijana. Bóg jeden wie, czym się wtedy upiła. Podejrzewam, że próbowała po trochu wszystkiego.

Szybko zasnęła kamiennym snem. W ogóle nie powinna się była spotykać z kimś takim jak Vince Fleming. Jego ojciec był pospolitym gangsterem.

- Tak, wiem - odparłem, zaciskając palce na kierownicy, żeby pewniej prowadzić wóz po tonącej w ciemności szosie.

- Zatem, jak już mówiłem, doszło do awantury. Todd często był nawet zadowolony, gdy jego siostra wpadała w kłopoty. Wiesz, jak to jest między dziećmi. Ale wtedy zareagował inaczej.

W ogóle zrobiła się paskudna atmosfera. Jeszcze zanim wróciłem z Cynthią, dopominał się, by któreś z nas pojechało z nim do sklepu po arkusz brystolu albo coś podobnego. Jak wszyscy w jego wieku zostawił sobie na ostatnią chwilę jakąś poważniejszą pracę domową i potrzebne mu były materiały do przygotowania prezentacji. Zrobiło się już późno, a nie mieliśmy pojęcia, gdzie szukać takich rzeczy. Dopiero po pewnym czasie Patricia przypomniała sobie, że materiały piśmiennicze sprzedają w sklepie czynnym przez całą dobę. Wyszła więc z Toddem, żeby tam pojechać.

382

Zakasłał i pociągnął łyk wody. Dokuczała mu coraz silniejsza chrypa.

- Ale wcześniej Patricia musiała się jeszcze zająć czymś innym. - Spojrzał na mnie wymownie, toteż szybko poklepałem się po kieszeni, w której miałem kopertę znaną z jego piwnicy. - Wsiadli razem do jej auta i odjechali. Zmęczony usiadłem w salonie. Za kilka dni musiałem znowu ruszyć w trasę i spędzić jakiś czas w Youngstown. W tamtym okresie perspektywa powrotu do Enid i Jeremego wprawiała mnie już w przygnębienie.

Odprowadził spojrzeniem ciężarówkę sunącą wolniej prawym pasem.

- W końcu uświadomiłem sobie, że Todd i Patricia długo nie wracają. Minęła chyba godzina. Do sklepu nie było tak daleko. I wtedy zadzwonił telefon. - Zacerpnął kilka głębszych oddechów. - Dzwoniła Enid. Z budki telefonicznej. Zaczęła:

„Zgadnij, kto mówi”.

- O Boże... - jęknąłem.

- Można by rzec, że od samego początku spodziewałem się w którymś momencie odebrać taki telefon.

Zabrakło mi jednak wyobraźni, żeby przewidzieć, co ona robi. Powiedziała, że czeka na mnie na parkingu za lokalem Denny'ego. I kazała się pospieszyć. Uprzedziła, że ma dla mnie mnóstwo pracy.

Poprosiła, żebym zabrał rolkę papierowych ręczników. Wybiegłem z domu i podjechałem na parking, sądząc, że zastanę ją przy stoliku w restauracji. Ale siedziała w samochodzie. Nie mogła wysiąść.

- Dlaczego?

- Gdyby ktoś ją zobaczył zakrwawioną od stóp do głów, od razu nabrałby podejrzeń.

Po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz.

- Kiedy podbiegłem do auta od strony kierowcy, pomyślałem w pierwszej chwili, że rękawy do łokci ma uwalane jakimś smarem. Była całkiem spokojna. Opuściła szybę i kazała mi wsiąść z drugiej strony.

Dopiero gdy znalazłem się obok niej, spostrzegłem, że cała jest poplamiona krwią. Rękawy płaszczka do łokci miała całkiem czerwone, a na sukience z przodu czerwieniały wielkie plamy. Zacząłem na nią krzyczeć: „Coś ty narobiła, do cholery?! Co zrobiłaś?!”. Ale w głębi ducha już domyślałem się prawdy.

Enid podjechała pod nasz dom i zatrzymała wóz po przeciwnej stronie ulicy. Musiała już tam stać od kilku minut, zanim przyjechałem z Cynthią. Spisała adres z rachunku telefonicznego. Spostrzegła mój wóz na podjeździe, ale zaskoczyło ją, że ma numery rejestracyjne z Connecticut. No i zaczęła kojarzyć fakty. A kiedy Patricia wyszła z Toddem i wyruszyli do sklepu, pojechała za nimi. Na tym etapie musiała już być zaślepią wściekłością. Uzmysłowała sobie w końcu, że mam drugą rodzinę, prowadzę całkiem poukładane drugie życie. Podjechała za nimi pod sklep. Wsiadła i weszła do środka.



Przyjrzała im się dokładnie, udając, że szuka czegoś na półkach.

Szokiem okazał się dla niej Todd, który był bardzo podobny do Jeremy'ego. To chyba przeważało szalę. Enid wyszła ze sklepu przed Patricia i Toddem. Pognała z powrotem do swojego auta. Na parkingu nie było innych samochodów, nikt się nie kręcił w pobliżu. Tak, jak później, po latach, na wypadek zagrożenia trzymała pod kocem rewolwer, tak wtedy wozila w skrytce w desce rozdzielczej długi kuchenny nóż. Wyciągnęła go, podbiegła znów do sklepu i ukryła się w głębokim cieniu za rogiem, na skraju alejki dojazdowej dla samochodów dostawczych.

Todd i Patricia wyszli ze sklepu. Chłopak niósł arkusz brystolu zrolowany i zabezpieczony w grubej kartonowej rurze, którą trzymał na ramieniu niczym żołnierz maszerujący z karabinem.

Enid wyskoczyła przed nimi z zaułka i zawołała: „Pomocy!”.

Todd i Patricia zatrzymali się i obrzucili ją podejrzliwym spojrzeniem.

„Moja córka! - zawołała Enid. Coś jej się stało!”.

Patricia ruszyła biegiem, Todd popędził za nią.

Enid wprowadziła ich parę metrów w głąb ciemnej alejki, po czym odwróciła się do Patricii i zapytała: „Nie jesteś przypadkiem żoną Claytona?”.

- Patricia musiała osłupieć - uznał teraz Clayton. - Najpierw nieznajoma zwraca się o pomoc, a tu nagle, całkiem niespodziewanie, wyskakuje z takim pytaniem.

- I jak zareagowała?

- Przystaknęła. I w tej samej chwili Enid szerokim zamachem poderżnęła jej gardło. Nie zwlekała ani chwili. Zanim Todd zdążył się zorientować, co się stało, podskoczyła do niego i równie błyskawicznie zrobiła to samo.

- Enid sama ci o tym opowiadała? - zdziwiłem się.

- Wiele razy - przyznał półgłosem. - Uwielbiała o tym opowiadać. Nawet jeszcze teraz. Nazywa to reminiscencją.

- I co było dalej?

- Przekradła się do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniła do mnie. Kiedy przyjechałem i wsiałem do jej auta, opowiedziała, co się stało. „Zabiłam ich - oznajmiła wprost. Twoją żonę i twego syna. Oboje nie żyją”.

- Nie wszystko wiedziała? - zapytałem cicho.

Clayton w półmroku smutno pokiwał głową.

- A więc po prostu nie wiedziała, że masz jeszcze córkę.

- Podejrzewam, że dała się zwieść symetrii tego układu.

Miałem żonę i syna w Youngstown, miałem też żonę i syna w Milford. Drugiego syna, który był bardzo podobny do pierwszego. Ten układ sprawiał wrażenie idealnie zrównoważonego, jak obraz i jego lustrzane odbicie. Pewnie z tego powodu oparła się na błędnym założeniu. W rozmowie dość szybko się zorientowałem, że ona nie ma pojęcia o Cynthii, która została w domu, że nic nie wie o jej istnieniu. Być może przegapiła moment, kiedy razem zajechaliśmy przed dom.

- A ty nie zamierzałeś jej o tym powiedzieć.

- Byłem w szoku, lecz na tyle starczyło mi zdrowego rozsądku. Uruchomiła silnik, podjechała do alejki za sklepem i wskazała mi zwłoki. „Będziesz musiał mi z tym pomóc - rzekła. - Powinniśmy się pozbyć ciała”. Umilkł i zamknął oczy. Jakiś kilometr ujechaliśmy w milczeniu, aż zacząłem się obwiniać, że zmarł.

Dlatego zapytałem w końcu:

- Wszystko w porządku, Clayton?

- Tak - burknął.

- Co się stało?

- Wspominam tamtą chwilę, kiedy mogłem odmienić swoje życie. Miałem wybór, ale byłem chyba za bardzo zaszokowany, żeby sobie to uświadomić, żeby rozsądzić, jak powinienem się zachować. Już wtedy mogłem skończyć z tym wszystkim. Mogłem odmówić jej pomocy i zgłosić się na policję, po prostu ją wydać. Raz na zawsze skończyłbym z całym tym szaleństwem.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Ogarnęło mnie poczucie winy. Prowadziłem podwójne życie. Byłbym skończony, poharbiony. Bez wątplenia stanąłbym przed sądem. Oczywiście nie za zabójstwo Patricii i Todda, ale za bigamię, bo jeśli się nie mylę, tylko mormonom przysługuje specjalne prawo wielożenstwa. W dodatku miałem fałszywe dokumenty, mogłem więc zostać dodatkowo oskarżony o oszustwo i świadome wprowadzenie władz w błąd, chociaż nigdy nie zamierzałem wykorzystywać fikcyjnych danych do łamania prawa. Zawsze starałem się żyć uczciwie, przestrzegać zasad moralnych...

Spojrzałem na niego.

- Inna sprawa, że Enid musiała się domyślić, co mi chodzi po głowie, bo szybko zagroziła, że jeśli zawiadomię policję, zezna, iż tylko mi pomagała w podwójnym zabójstwie, zmusiłem ją, by uczestniczyła w tym, co zaplanowałem. Dlatego jej posłuchałem.

Niech mi Bóg wybaczy, że bez sprzeciwu pomogłem jej ze zwłokami. Wpakowaliśmy Todda i Patricię do jej samochodu, zostawiając puste miejsce kierowcy. Od razu wpadłem na pomysł, gdzie można by ukryć wóz z trupami w środku. Przypomniałem sobie o tamtym kamieniołomie. Był niedaleko od szosy, na jego skraju zrobiłem sobie przerwę w podróży. Któregoś dnia w drodze powrotnej do Youngstown, myśląc z obrzydzeniem o konieczności powrotu, pod wpływem nagłego impulsu skręciłem w tę bitą drogę, prowadzącą na skraj starego, od dawna nieużywanego żwirowiska, na którego dnie znajdowało się niewielkie głębokie jeziorko. Postąłem tam wtedy jakiś czas, zastanawiając się, czy nie zjechać z krawędzi skarpy prosto do niego. W końcu jednak zawróciłem i ruszyłem dalej. Bałem się, że mimo zatopienia auta w jeziorku mógłbym jakimś cudem wyjść z tego z życiem.

Znowu zakasłał i pociągnął tyk wody.

- Musieliśmy zostawić jeden samochód na parkingu. Ja miałem jechać escortem Patricii, Enid za mną swoim wozem.

W środku nocy wyruszyliśmy w dwupółgodzinną podróż na północ. Trochę pobłądziłem, lecz ostatecznie odnalazłem właściwą drogę. Ułożyłem ciężki kamień na pedale gazu, przełączyłem biegi i wyskoczyłem przez otwarte drzwi, a samochód runął w dół stromego zbocza. Po kilku sekundach usłyszeliśmy plusk. Noc była ciemna i niewiele dało się zobaczyć. Spoglądałem z krawędzi, ale nie dostrzegłem nawet, jak wóz znika pod powierzchnią wody.

Zadyszał się, toteż umilkł na dłużej, żeby złapać oddech.

- Później musieliśmy wrócić, żeby zabrać z parkingu mój samochód. Stamtąd ruszyliśmy prosto w drogę powrotną do Youngstown. Nie miałem nawet okazji, żeby się pożegnać z Cynthią, żeby zostawić jej wiadomość czy choćby ostatni raz na nią popatrzeć. Musiałem po prostu zniknąć.

- Kiedy się dowiedziała? - zapytałem.

- Co?

- Kiedy Enid się dowiedziała, że to nie koniec, że nie zdołała ostatecznie rozprawić się z całą twoją drugą rodziną?

- Kilka dni później. Stale oglądała wiadomości telewizyjne w nadziei, że powiedzą coś na ten temat, bo w gazetach z Buffalo nie znalazła nawet krótkiej wzmianki. Nic przecież nie wskazywało na morderstwo. Nie odnaleziono zwłok. Nie zostały nawet plamy krwi w alejce dojazdowej na tyłach sklepu, gdyż nad ranem przeszła burza i ulewny deszcz je zmył. W końcu poszła do biblioteki, bo w tamtych czasach nie było jeszcze internetu, zaczęła przeglądać prasę z sąsiednich stanów i tam wreszcie natknęła się na artykuł. Jeśli mnie pamięć nie myli, nosił tytuł Zniknięcie całej rodziny dziewczynki. I kiedy wróciła do domu, wpadła w dziki szał. Ciskała talerzami, wszystkim, co wpadło jej w ręce. Jakby dostała furii. Uspokoiła się dopiero po kilku godzinach.

- Musiała się jakoś pogodzić z tą bolesną świadomością - wtrąciłem.

- Na początku wcale nie zamierzała. Zaczęła się pakować, żeby od razu wracać do Connecticut i dokończyć dzieła. Ale udało mi się ją powstrzymać.

- Jakim sposobem?

- Zawarłem z nią pakt. Złożyłem obietnicę. Przyrzekłem, że nigdy jej nie zostawię, nigdy nie zrobię drugi raz czegoś podobnego i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie podejmę nawet próby skontaktowania się z córką, jeśli ona zostawi ją przy życiu. Podkreśliłem, że o nic więcej jej nie proszę. Chciałem tylko, żeby zostawiła ją w spokoju w zamian za to, że resztę życia poświęcę wyłącznie jej, Enid, próbując odkupić swoją zradę.

- I zgodziła się na taki pakt?

- Z oporami. Mam wrażenie, że świadomość niedokończonej roboty zawsze tkwiła jej zadrą w tyłku, była jak dokuczliwe swędzenie w miejscu, którego nie da się podrapać. No i teraz postanowiła ją skończyć, dowiedziawszy się o testamencie, w myśl którego straci wszystko, jeśli ja umrę, nim ona zdąży zabić Cynthię.

- Jak to wyglądało? Po prostu żyliście ze sobą tak samo, jak wcześniej?

- Przestałem podróżować. Znalazłem inną pracę, potem założyłem własną firmę i brałem zlecenia tylko z najbliższej okolicy, najdalej z Lewiston. Enid postawiła warunek, że mam raz na zawsze zapomnieć o jakichkolwiek wyjazdach, bo ona nie chce po raz drugi wyjść na idiotkę. Czasami rozmyślałem o tym, żeby uciec, porwać Cynthię, wyznać jej wszystko i zabrać choćby do Europy, ukryć się gdzieś pod przybranym

nazwiskiem.

Bałem się jednak, że coś sknocę, zostawię za sobą ślad i narażę ją na śmierć. Poza tym nie tak łatwo jest nakłonić czternastolatkę, żeby robiła dokładnie to, czego się od niej wymaga. Dlatego zostałem z Enid.

Połączyła nas więc mocniejsza niż jakiegokolwiek inne małżeństwo na świecie. Wspólnie popełniliśmy odrażającą zbrodnię. - Umilkł na chwilę. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy...

- I policja nigdy nie wzywała cię na przesłuchanie, niczego nie podejrzewała.

- Nie. Trochę się tego obawiałem. Najgorszy był pierwszy rok. Ilekroć słyszałem jakiś samochód na naszym podjeździe, ogarniał mnie strach, że ktoś odkrył prawdę. Ale minął spokojnie drugi rok, potem trzeci, i zanim się obejrzałem, upłynęło dziesięć lat. Aż trudno mi było uwierzyć, że jeśli każdego dnia po troszeczkę kona się ze strachu, mimo wszystko życie może trwać tak długo.

- Musiałeś jednak trochę podróżować - wtrąciłem.

- Nie, nigdy nie wyjeżdżałem dalej.

- Od tamtej pory ani razu nie byłeś w Connecticut?

- Zgadza się, od tamtej nocy nie postawiłem nogi w tym stanie.

- Więc jakim cudem podrzucałeś Tess pieniądze na opłacenie studiów Cynthii?

Clayton w milczeniu spoglądał na mnie przez kilka sekund.

W czasie tej podróży ujawnił mi sporo szokujących faktów, jednakże teraz po raz pierwszy to on wyglądał na zaskoczonego.

- Od kogo się dowiedziałeś o pieniądzach? - zapytał w końcu.

- Tess mi powiedziała. Dopiero niedawno.

- Ale na pewno ci nie powiedziała, że pieniądze pochodziły ode mnie.

- Zgadza się. Powiedziała tylko, że je dostawała, i choć miała pewne podejrzenia, nigdy nie udało jej się zobaczyć, kto je podrzuca.

Clayton nie odzywał się przez jakiś czas.

- Niemniej pochodziły od ciebie, prawda? - zapytałem. - To ty musiałeś wygospodarować jakieś pieniądze dla Cynthii, w tajemnicy przed Enid, podobnie jak ukrywałeś przed nią część dochodów, gdy prowadziłeś jeszcze podwójne życie.

- Enid i tak nabrała podejrzeń. Ale dopiero po latach. Dotarła plotka, że czeka nas kontrola skarbową, toteż Enid najęła księgowego, żeby sprawdził nawet stare rozliczenia podatkowe.

No i wyszły na jaw pewne nieścisłości. Zacząłem kręcić, że musiałem ukrywać część dochodów, które przeznaczałem na hazard, ale ona nie dała temu wiary. Znowu zagroziła, że pojedzie do Connecticut i zabije Cynthię, jeśli nie powiem jej całej prawdy. Przyznałem się więc, że wysyłałem pieniądze Tess, by mogła opłacić studia Cynthii. Ale dotrzymałem słowa i nawet nie spróbowałem się z nią skontaktować. Z punktu widzenia mojej córki sytuacja wyglądała tak, jakbym nie żył.

- Stąd wynika, że przez lata Enid skrywała w sobie także nienawiść do Tess.

- Owszem, gardziła nią za to, że przyjęła pieniądze, które jej się nie należały. Tess stała się dla niej drugą najbardziej na świecie zniechęconą kobietą, mimo że nigdy nie spotkała żadnej z nich.

- Zatem stwierdzenie, że nigdy później nie byłeś już w Connecticut, nawet jeśli rzeczywiście nie widywałeś się z córką, jest zwykłym kłamstwem.

- Nie - odparł. - To prawda.

Zamyśliłem się nad tą odpowiedzią, wciąż starając się pewnie prowadzić samochód po tonącej w nocnym mroku autostradzie.

- Na pewno nie przysyłałeś tych pieniędzy pocztą - powiedziałem w końcu. - Na kopertach nie było znaczków i stempli, a przesyłki nie pojawiały się w skrzynce na listy. Nie korzystałeś też z poczty kurierskiej. Ktoś albo podrzucał Tess wypakowane gotówką koperty do samochodu, albo wkładał je do porannej gazety.

Clayton zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał.

- Więc jeśli nie wysyłałeś ich pocztą i nie podrzucałeś sam - ciągnąłem dalej - ktoś musiał to robić za ciebie.

Nadał nie odpowiadał. Zamknął tylko oczy i odchylił głowę na zagłówek, jakby zapadał w sen. Ale nie dałem się oszukać.

- Wiem, że doskonale mnie słyszysz - rzekłem z naciskiem.

- Jestem bardzo zmęczony - odpowiedział. - Do tej pory przesyłając całe noce. Daj mi spokój na pewien czas. Spróbuję się trochę zdrzemnąć.

- Jeszcze tylko jedna prośba. - Nie spojrzał na mnie, ale przez jego zaciśnięte wargi przebiegł nerwowy grymas. - Opowiedz mi o Connie Gormley.

Otworzył gwałtownie oczy, jakbym go lekko dźgnął elektrycznym paralizatorem. Próbował szybko dojść do siebie.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska - odparł.

- Spróbuję ci odświeżyć pamięć - rzuciłem. - Dziewczyna pochodziła z Sharon, miała dwadzieścia siedem lat, pracowała w Dunkin' Donuts. Pewnej piątkowej nocy dwadzieścia sześć lat temu szła poboczem drogi niedaleko mostu Cornwall, a więc na autostradzie numer siedem, i została potrącona przez samochód. Ale to tylko tak wyglądało, jakby sprawca wypadku zbiegł. Badania wykazały, że już w chwili zderzenia była martwa, a wypadek został uporzorowany. Komuś zależało, aby wyglądało to na wypadek, a nie zabójstwo z premedytacją, rozumiesz?

Clayton wyglądał przez okno, nie widziałem jego twarzy.

- Coś mi się zdaje, że to była kolejna twoja wpadka, jak lista z zakupami czy rachunek telefoniczny - dodałem. - Niby wyciąłeś z gazety większy artykuł o łowieniu pstrągów na sztuczną muchę, ale w rzeczywistości chciałeś zachować notatkę o tym właśnie zdarzeniu. Łatwo mogłeś się pozbyć obciążającego dowodu, lecz tego nie zrobiłeś, a ja nie potrafię zrozumieć dlaczego.

Byliśmy już blisko granicy stanu Nowy Jork z Massachusetts, wciąż jechaliśmy na wschód, w stronę mającego niedługo wzejść słońca.

- Znałeś ją? - zapytałem. - To była jeszcze jedna dziewczyna, z którą się spotykałeś podczas swoich delegacji?

- Nie bądź śmieszny - burknął.

- Więc może krewna? Ze strony Enid? Kiedy rozmawiałem o tym z Cynthią, odparła, że nazwisko Connie Gormley z niczym jej się nie kojarzy.

- Nie widzę powodu, dla którego miałoby się jej kojarzyć - przyznał cicho Clayton.

- To twoja sprawka? - zapytałem wprost. - To ty ją zabiłeś, potem upozorowałeś wypadek, zaciągnąłeś zwłoki do rowu przy szosie i tam je zostawiłeś?

- Nie - odparł.

- Jeśli masz z tym coś wspólnego, to może najwyższa pora, żeby wszystko szczerze wyznać? Ujawniłeś dzisiejszej nocy wiele faktów. Przyznałeś się do bigamii, czynnego udziału w zacieraniu śladów po zabójstwie żony i syna, osłaniania kobiety, która zgodnie z twoimi słowami jest winna najgorszych zbrodni. Nie chcesz mi jednak powiedzieć, co cię łączy ze śmiercią niejakej Connie Gormley, i utrzymujesz w tajemnicy, jakim sposobem podrzucałeś pieniądze Tess Berman na opłacenie studiów Cynthii. Milczał jak zakłęty.

- Czy te zdarzenia są ze sobą powiązane? - ciągnąłem. - Mają coś wspólnego? Bo przecież tej kobiety nie mogłeś wykorzystywać jako kuriera w przekazywaniu pieniędzy! Zginęła na długo przedtem, nim Tess znalazła pierwszą kopertę z gotówką.

Clayton pociągnął łyk wody, zakręcił butelkę, powoli wstawił ją z powrotem w zagłębienie między przednimi fotelami, po czym przeciągnął dłońmi po udach.

- Załóżmy, że niczego ci nie powiedziałem - rzekł. - Załóżmy, że przyznam, iż twoje pytania są bardzo interesujące. Jednakże o wielu rzeczach jeszcze nie wiesz, ale w ogólnym obrazie sytuacji nie mają one większego znaczenia.

- Ginie niewinna dziewczyna, ktoś pozoruje jej potrącenie na autostradzie i zostawia zwłoki w przydrożnym rowie, a ty twierdzisz, że to nie ma większego znaczenia? Więc jak, według ciebie, czuła się jej najbliższa rodzina? Wczoraj rozmawiałem przez telefon z jej bratem.

Clayton uniósł nieco krzaczaste brwi.

- Oboje rodzice zmarli w kilku lat po śmierci Connie, jak gdyby całkiem stracili ochotę do życia i uznali, że tylko śmierć przyniesie im ulgę od rozpaczki po stracie córki.

Pokręcił głową.

- A ty twierdzisz, Clayton, że to nie ma większego znaczenia? Powiedz szczerze, zabiłeś tę dziewczynę?

- Nie - burknął.

- Ale wiesz, kto to zrobił?

Znowu tylko pokręcił głową.

- Zrobiła to Enid? Wybrała się rok później do Connecticut, żeby zamordować Patricię i Todda. Nie próbowała tego wcześniej i nie zabiła tak samo Connie Gormley?

Jeszcze raz pokręcił głową, wreszcie odrzekł:

- Wystarczająco dużo ludzi straciło już życie. Nie ma sensu rujnować go innym. Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

Teatralnie skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się sztywno przed siebie, jakby w oczekiwaniu na wschód

słońca.

\* \*

Nie chciałem tracić czasu i robić postoju na śniadanie, ale świetnie zdawałem sobie sprawę z coraz gorszego stanu śmiertelnie chorego Clayтона. Jak tylko nastał świt i wewnątrz samochodu wypełniło dzienne światło, bez trudu spostrzegłem, że wyglądał znacznie gorzej niż wtedy, gdy zabierałem go ze szpitala. Od wielu godzin był pozbawiony nie tylko snu, ale i leków podawanych kroplówką.

- Mam wrażenie, że czegoś ci potrzeba - odezwałem się, gdy przejeżdżaliśmy przez Winsted, gdzie autostrada numer 8 zmienia się z krętej dwupasmówki w prostą i szeroką szosę czteropasmową. Miałem nadzieję, że na tym ostatnim etapie podróży do Milford jeszcze nadrobimy trochę opóźnienia. Na skraju miasteczka znajdował się rozległy parking z różnymi lokalami, zaproponowałem więc, byśmy podjechali do baru szybkiej obsługi dla kierowców i zamówili przynajmniej po jednym pączku. Clayton ociężałe przytaknął ruchem głowy.

- Wolałbym kanapkę z jajkiem. Nie wiem, czy dam radę przełknąć pączka.

Kiedy zatrzymaliśmy się na końcu kolejki, poprosił:

- Opowiedz mi o niej.

- Słucham?

- Opowiedz mi o Cynthii. Nie widziałem jej od tamtej nocy.

Nie rozmawiałem z nią przez dwadzieścia pięć lat.

Nie bardzo wiedziałem, jak potraktować tę prośbę. Momentami budziła się we mnie sympatia do niego, współczucie z powodu paskudnego życia i smutku, w jakim musiał spędzać lata u boku Enid, rozpamiętując tragedię utraty swoich najbliższych.

Tylko kto był winien tej sytuacji? On sam do tego doprowadził. Dokonał takiego wyboru. I nie chodziło tylko o decyzję udzielenia pomocy Enid w celu ukrycia przerażającej zbrodni, a co za tym idzie porzucenia Cynthii, która od tamtej pory nie przestawała się zamartwiać tajemniczym zniknięciem całej rodziny. Inne decyzje mógł podjąć o wiele wcześniej. Mógł się jakimś sposobem przeciwstawić żonie. Zażądać rozwodu. Wezwać policję, kiedy znęcała się nad nim fizycznie. Oskarżyć ją.

Uczyń cokolwiek w tym kierunku.

A przede wszystkim mógł od niej odejść, zostawiając lakoniczną wiadomość w rodzaju: „Droga Enid, wyjeżdżam na zawsze. Clayton”.

Zachowałby przynajmniej choć trochę godności.

Nie odnosiłem wrażenia, że pytając o swoją córkę, a więc moją żonę, chciał się wkupić w moje łaski.

Niemniej w brzmieniu jego głosu było coś, co zdawało się przekonywać: „Zobacz, jaki jestem biedny. Nie widziałem swojej córki od dwudziestu pięciu lat. Jakież to smutne”.

W każdym aucie jest wsteczne lustro, kolego, przemknęło mi przez głowę. Można je przekręcić i popatrzeć na swoje odbicie. Ujrzałbyś w nim faceta, który rzeczywiście wiele wycierpiał, lecz wyłącznie z powodu bałaganu, jakiego sam narobił, poczynając od roku 1983.

Przemilczałem to jednak i odparłem:

- Jest cudowna.

Czekał na dalszy ciąg.

- Z Cyn wiąże się najwspanialsze, co się przydarzyło w moim życiu - dodałem. - Kocham ją bardziej, niż byłbyś w stanie sobie to wyobrazić. Ale od chwili, kiedy ją poznałem, boryka się z tym wszystkim, co razem z Enid jej zgotowaliście.

Zastanów się tylko. Budzisz się któregoś ranka, a tu cała twoja rodzina zniknęła. Nie ma samochodów

przed domem. Nie ma niczego. - Poczułem, że krew zaczyna mi kipieć w żyłach, toteż mocniej

zaciśnąłem palce na kierownicy, żeby pohamować wściekłość. - Masz pojęcie, co ona przeżywała?

Potrafisz się wczuć w jej sytuację? Jak miała to odebrać? Że wszyscy zginęliście? Że jakiś rąbnięty

seryjny morderca zjawił się nagle w jej domu i wymordował was wszystkich, kiedy ona spała?

Czy może raczej wbiła sobie do głowy, że tamtej nocy postanowiliście wyjechać po kryjomu, żeby gdzie indziej rozpocząć nowe życie, ale bez niej?

Clayton sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Naprawdę tak pomyślała?

- Rozpatrywała tysiące możliwych wytłumaczeń! W końcu została zwyczajnie porzucona! Nie rozumiesz tego? Nie mogłeś jakimś sposobem dać jej znać, że żyjesz? Napisać listu? Wytłumaczyć, że jej rodzinę spotkał straszliwy los, ale przynajmniej wszyscy do końca bardzo ją kochaliście? Że nie odwróciliście się do niej plecami i nie odjechaliście w środku nocy bez pożegnania?

Spuścił głowę i wbił wzrok w swoje kolana. Ręce mu się trzęsły.

- Bardzo się cieszę, że zawarłeś z Enid pakt, by ratować życie Cynthii, zgodziłeś się nigdy więcej z nią nie spotkać, nawet nie próbować nawiązać kontaktu. Może właśnie dlatego żyje do dziś, że postanowiłeś wykluczyć ją ze swego życia i spędzić je u boku potwora. Tylko czy sądzisz, że urastasz przez to do rangi pieprzonego bohatera? Wiesz, co ci powiem? W najmniejszym stopniu nie jesteś bohaterem. Gdybyś od samego początku zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna, nic złego by się nie stało.

Ukrył twarz w dłoniach, odchylił się w bok i oparł ramieniem o drzwi.

- Pozwól, że zapytam w ten sposób - ciągnąłem z niezwykłym spokojem, który nagle na mnie spłynął. - Jaki mężczyzna zostałby z kobietą, która zamordowała jego syna? Czy kogoś żyjącego przez lata z tą świadomością można w ogóle nazwać mężczyzną?

Na twoim miejscu prędzej własnoręcznie bym ją zakatrupił.

Podjechaliśmy do okienka. Podałem stojącemu w nim chłopakowi parę banknotów i po minucie odebrałem torbę oraz dwa plastikowe kubeczki kawy. Przejechałem na skraj parkingu, zajrzałem do torby, wyłuskałem spomiędzy paczków zawiniętą w serwetkę kanapkę z jajkiem i położyłem ją na kolanach Claytona.

- Proszę. Zjadaj.

Musiałem przez parę sekund się przewietrzyć i rozprostować nogi. Ponadto chciałem jeszcze raz zadzwonić do domu. Wyjąłem komórkę z kieszeni marynarki, rozłożyłem ją i spojrzałem na ekranik.

- Cholera!

Czekała na mnie wiadomość. Na poczcie głosowej. Jakim cudem nie usłyszałem sygnału jej nadejścia? Musiała dotrzeć zaraz po tym, jak zjechaliśmy z autostrady w Massachusetts na południe od Lee i skręciliśmy na ten kręty odcinek wąskiej szosy. Tam na pewno nie było zasięgu łączności komórkowej. Właśnie wtedy ktoś musiał zadzwonić pod mój numer, a nie uzyskawszy połączenia, nagrał wiadomość głosową.

Odsłuchałem ją.

„Cześć, Terry, to ja - rozległ się głos Cynthii. - Próbowałam cię złapać w domu, potem przez komórkę. Na Boga, gdzie jesteś?

Posłuchaj, zastanawiałam się nad powrotem do domu, bo uważam, że powinniśmy porozmawiać. Ale zdarzyło się coś niezwykłego. Coś absolutnie niewiarygodnego. Nocowałyśmy w motelu i zapytałam, czy nie mogłabym skorzystać z komputera w recepcji, żeby sprawdzić, czy uda mi się dotrzeć do jakichś nowych informacji. Przy okazji zajrzałam na swoją pocztę i znalazłam nową wiadomość wysłaną spod tamtego adresu. Pamiętasz. Tym razem był w niej numer telefonu, pod który powinnam zadzwonić, pomyślałam więc, że warto spróbować. Zadzwoniłam i...

Terry, nie uwierzysz, co się stało. To najbardziej niesamowita rzecz. Rozmawiałam ze swoim bratem, z Toddem. Sama jeszcze w to nie wierzę, Terry. Naprawdę z nim rozmawiałam! Przesłał mi swój numer, żebym mogła z nim porozmawiać! Tak, wiem, podejrzewasz, że to jakiś kolejny naciągacz, jakiś czubek. Powiedział jednak, że to jego zaczęłam w centrum handlowym, gdyż rozpoznałam w nim Todda. Miałam rację! To naprawdę był Todd! Nie myliłam się, Terry!”

Serce podeszło mi do gardła. Słuchałem jednak dalej.

„Od razu go rozpoznałam po brzmieniu głosu. Czułam się tak, jakbym rozmawiała z ojcem. Tak więc Wedmore się myliła. W samochodzie wyciągniętym w kamieniołomie musiały być zwłoki jakiejś innej kobiety z synem. Wiem, że nie zrobili jeszcze badań porównawczych mojego DNA, ale zaczynam podejrzewać, że tamtej nocy zdarzyło się coś bardzo dziwnego, może zaszła jakaś pomyłka. Todd powiedział, iż bardzo żałuje, że wtedy, w centrum handlowym, nie mógł od razu się przyznać, kim naprawdę jest. Przeprosił za tamten tajemniczy telefon i wiadomość mejlową, bo przecież w niczym nie zawiniłam, a on może wszystko wyjaśnić. Próbował zebrać się na odwagę, żeby ze mną porozmawiać i opowiedzieć, co robił przez te wszystkie lata. Czuję się, jakbym śniła, Terry, jakbym przeżywała cudowny sen, który nigdy nie mógłby się przydarzyć.

W końcu znowu zobaczę Todda. Zapytam go o mamę, o tatę, choć już uprzedził, że opowie mi o wszystkim, jak tylko się spotkamy. Żałuję, że ciebie przy tym nie będzie, bo zawsze pragnęłam, żebyś był przy mnie, gdy wydarzy się coś takiego. Mam jednak nadzieję, że zrozumiesz, iż nie mogę dłużej czekać, muszę jak najszybciej umówić się na to spotkanie. Zadzwoni, jak odbierzesz tę wiadomość. Razem z Grace wyruszamy do Winsted. Mój Boże, Terry. Czuję się tak, jakby miał mi się przydarzyć prawdziwy cud”.

Winsted?

Byliśmy w Winsted. A Cynthia i Grace wybierały się właśnie tutaj! Sprawdziłem, kiedy została nagrana wiadomość na poczcie głosowej. Prawie trzy godziny temu. To potwierdzało, że Cynthia próbowała się ze

mną skontaktować, gdy zjeżdżaliśmy z autostrady Massachusetts, pewnie wtedy, gdy wjechaliśmy w wąską boczną szosę między Albany a granicą Massachusetts.

Dokonałem szybkich obliczeń. Istniała spora szansa, że Cynthia z Grace były już w Winsted. Może nawet siedziały tu już od godziny, jeśli nie marnowały czasu. A byłem pewien, że Cynthia bez namysłu przekroczyła wszelkie ograniczenia prędkości w drodze do miejsca spotkania. Kto by ich nie przekroczył, pędząc w nadziei na odtworzenie kontaktu zerwanego przed laty?

Wydarzenia układały się w logiczną całość. Jeremy musiał wysłać mejla, może nawet jeszcze przed wyjazdem z Milford, a może z laptopa czy w jakikolwiek inny sposób, w którym nakłonił Cynthię, by zadzwoniła pod numer jego komórki. Kiedy to zrobiła, zasugerował, by wyjechała na północ, żeby się z nim spotkać gdzieś w pół drogi. Wyciągnięcie jej z Milford ułatwiało mu zadanie i skracało czas podróży powrotnej do domu.

Tylko dlaczego właśnie tutaj? Co mogło ich łączyć z tą częścią stanu poza skróceniem jazdy do celu podróży?

Pospieszenie wybrałem numer telefonu komórkowego Cynthii. Musiałem ją powstrzymać. Rzeczywiście czekało ją spotkanie z bratem, ale nie z Toddem, tylko z bratem przyrodnim, o którego istnieniu jeszcze nie miała pojęcia. I umówione spotkanie wcale nie miało na celu odtworzenia zerwanych więzi rodzinnych. Była to zwykła pułapka.

W którą miała wpaść także Grace.

Przytknąłem aparat do ucha, czekając na połączenie, ale bez efektu. Miałem już po raz drugi wybrać numer, gdy uświadomiłem sobie, na czym polega problem.

W moim telefonie wysiadły akumulatory.

- Jasna cholera!

Zacząłem się rozglądać za budką telefoniczną i gdy spostrzegłem ją w głębi ulicy, gwałtownie zakręciłem, aż Clayton zawołał zdenerwowany:

- Co się stało?

Zlekceważyłem jego pytanie, sięgnąłem do tylnej kieszeni po portfel i odszukałem w nim używaną z rzadka kartę telefoniczną. Zatrzymałem się przy budce, wyskoczyłem, wsunąłem ją do szczeliny automatu i postępując zgodnie z instrukcją na ekranie, wybrałem numer komórki mojej żony. Była wyłączona. Od razu zgłosiła się poczta głosowa.

- Cynthia! - rzuciłem desperacko. - Nie jedź na spotkanie z bratem. To nie jest Todd. To pułapka.

Zadzwoń do mnie...

Nie, zaczekaj, wysiadła mi komórka. Zadzwoń do Wedmore.

Momencik, podyktuję ci jej numer... - Sięgnąłem do kieszeni po wizytówkę śledczej, wymacałem ją, wyszarpnąłem i odczytałem numer. - Będę z nią w kontakcie. Zaufaj mi. Nie jedź na to spotkanie!

Zawracaj!

Odwiesiłem słuchawkę i w przypiływie frustracji oraz wycieńczenia oparłem na chwilę czoło o zimną obudowę automatu.

Jeśli wcześniej przyjechała do Winsted, mogła nadal być w tej okolicy.

Gdzie znajdowało się najbliższe dogodne miejsce do spotkania? My staliśmy pod barem McDonalda, w jego sąsiedztwie

znajdowało się jeszcze kilka dalszych przydrożnych barów.

Rozległy parking przy autostradzie po prostu rzucał się w oczy.

Trudno go było zlekceważyć.

Podbiegłem z powrotem do samochodu i wskoczyłem do środka. Clayton nawet nie spróbował kanapki z jajkiem.

- Co się dzieje? - zapytał.

Wycofałem hondę od wyjazdu i ruszyłem z powrotem przez parking McDonalda, wypatrując wozu Cynthii. Nie dostrzegłszy go nigdzie, wyjechałem na szosę i pojechałem pełnym gazem w stronę następnego podobnego parkingu.

- Terry, co się dzieje? - zapytał ponownie zdenerwowany Clayton.

- Odebrałem wiadomość od Cynthii. Jeremy zadzwonił do niej i podając się za Todda, umówił się na spotkanie. Gdzieś tutaj, w Winsted. Mogła tu dojechać nawet godzinę temu, dlatego musimy się pośpieszyć.

- Czemu właśnie tutaj? - zdziwił się Clayton.

Skręciłem na kolejny parking, wyhamowałem i zacząłem się rozglądać za wozem Cynthii, także bez rezultatu.

- Chodzi o bary McDonalda - wyjaśniłem. - Ich wielkie reklamy to pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy po wjeździe na autostradę w drodze na północ. Coś mi się zdaje, że dla Jeremy'ego byłoby to najdogodniejsze miejsce do zorganizowania spotkania. W każdym razie najbardziej oczywiste. Wykręciłem, podjechałem alejką dojazdową pod bar McDonalda i wyskoczyłem z auta, zostawiając silnik na wolnych obrotach. Podbiegłem do okienka i wcisnąłem się przed klienta składającego zamówienie znad kierownicy.

- Hej, kolego, co to za zwyczaj? - zawołał.

- Czy w ciągu ostatniej godziny nie było tu kobiety w toyocie, z małą dziewczynką na drugim siedzeniu?

- To jakiś żart? - burknął sprzedawca, wyciągając papierową torbę do czekającego klienta. - Wie pan, ile osób podjeżdża tu w ciągu godziny?

- Przepraszam - rzuciłem do kierowcy odbierającego zamówienie. Tylko fuknął i odjechał z piskiem opon, trąciwszy mnie bocznym lusterkiem w plecy.

- Więc może był mężczyzna w średnim wieku ze starszą kobietą? - zagadnąłem. - W brązowym sedanie.

- Proszę się odsunąć od okienka.

- Niepełnosprawną, poruszającą się w wózku inwalidzkim. Tyle że wózek mogli wieźć na tylnym siedzeniu, złożony.

Uniósł brwi.

- Ach, tak - mruknął. - Teraz sobie przypominam. Ale to było dość dawno temu, może z godzinę.

Samochód miał przyciemnione szyby, ale zauważyłem na tylnym siedzeniu złożony wózek inwalidzki.

Zamówili dwie kawy, jeśli mnie pamięć nie myli. I podjechali tam. - Wskazał rozciągający się nieopodal parking.

- To był chevrolet impala?

- A skąd mam wiedzieć, człowieku? Przy takim ruchu?

Podbiegłem z powrotem do hondy i wskoczyłem za kierownicę.

- Wygląda na to, że Jeremy i Enid tu byli. Jakby czekali na umówione spotkanie.

- Ale teraz ich nie ma - odparł rzeczowo Clayton.

Wykręciłem sprzed okienka, odjechałem parę metrów, zatrzymałem samochód i gruchnąłem pięścią w kierownicę. Miałem wrażenie, że głowa zaraz mi pęknie od dudniącego pulsu.

- Chyba wiesz, gdzie jesteśmy, prawda? - zagadnął Clayton.

- Co? No pewnie, że wiem.

- I wiesz także, co mijaliśmy nie tak dawno, zaledwie kilka kilometrów stąd, na północ. Rozpoznałem odchodzącą drogę, kiedy przejeżdżaliśmy.

Miał na myśli drogę do kamieniołomu Fell's Quarry. I musiał od razu domyślić się po mojej minie, że odgadłem, o co mu chodzi.

- Jeszcze nie rozumiesz? - zapytał. - Jeśli nawet sposób rozumowania Enid jest ci obcy, to przecież wszystko układa się w logiczną całość. Cynthia razem z córką powinna znaleźć się w tym samym miejscu, które według Enid było jej przypisane od początku. Zresztą teraz mogłaby się nawet nie kłopotać, czy samochód ze zwłokami zniknie z oczu pod powierzchnią jeziora.

Nie obawiałyby się, że policja go odnajdzie. Wyszłyby z założenia, że, zdaniem ludzi, Cynthia, ogarnięta przemożnym poczuciem winy, poczuła się zdesperowana ostatnimi wydarzeniami, zwłaszcza zabójstwem ciotki, dlatego przyjechała tutaj i skierowała wóz prosto za krawędź urwiska.

- To czyste szaleństwo - odparłem. - Podobna intryga mogła się powieść raz. Za dużo ludzi już wie, co się naprawdę wydarzyło. My dwaj. Vince... To naprawdę byłoby szaleństwo.

- No właśnie - przyznał Clayton. - W stylu Enid.

Prawie że staranowałem volkswagena garbusa, kiedy wyjeżdżałem z parkingu, zawracając w kierunku, z którego przybyliśmy.

Cały czas pędziłem około stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i zwolniłem dopiero wtedy, gdy wjechaliśmy na ciasną serpentynę na północ od Otis. Lecz zaraz po minięciu ostatniego zakrętu znów nadepnałem na pedał gazu. Omal nie wpadliśmy na sarnę przebiegającą przez jezdnię i nie zderzyliśmy się czołowo z wielkim tirem wyjeżdżającym z bocznej drogi.

Clayton nawet nie mrugnął okiem.

Prawą ręką trzymał się kurczowo uchwyty nad drzwiami i ani razu nawet nie poprosił, żebym zwolnił czy wyhamował przed zakrętem. Doskonale rozumiał, że czas nas goni.

Nie jestem pewien, ile zajęło nam odszukanie bocznej drogi odchodzącej na wschód za Otis. Pół godziny, może godzinę.

Mnie wydawało się to wiecznością. Przed oczyma wciąż miałem wizerunki Cynthii i Grace. I nie mogłem



się uwolnić od wizji, w której obie spadały w samochodzie z urwiska i znikwały pod powierzchnią jeziora na dnie kamieniołomu.

- Zajrzyj do schowka - rzekłem do Clayтона. - Otwórz go.

Z wyraźnym wysiłkiem wyciągnął przed siebie rękę, otworzył schowek w desce rozdzielczej i sięgnął po pistolet, który zabrałem z samochodu Vince'a. Wyciągnął go i pobieżnie obejrzał.

- Wstrzymaj się, póki nie dotrzemy na miejsce - rzuciłem.

Smętnie pokiwał głową i zaniósł się przeciągłym kaszlem, głębokim, chrapliwym, wstrząsającym całym jego ciałem aż po czubki stóp.

- Mam nadzieję, że jeszcze wytrzymam - burknął.

- Mam nadzieję, że obaj wytrzymamy - odparłem.

- Jeśli ona tam jest - rzekł - i jeśli nie jest jeszcze za późno...

jak sądzisz, co mogę usłyszeć od Cynthii? - Zamilkł na chwilę. - Powinienem jej powiedzieć, jak bardzo żałuję...

Obejrzałem się na niego i w jego oczach odczytałem głęboki żal, że nie może zapewnić córce niczego poza serdecznymi przeprosinami. Odczytałem jednak z wyrazu jego twarzy, że niezależnie od tego, w jakiej chwili dotrzemy na miejsce i w jak niekorzystnej sytuacji się znajdziemy, owe przeprosiny popłyną ze szczerego serca.

Był człowiekiem, który bardzo chciał przeprosić najbliższych za całe swoje życie.

- Może jeszcze będziesz miał ku temu okazję - odparłem.

Mimo swojego stanu to on pierwszy wypatrzył polną drogę prowadzącą do kamieniołomu. Była nieoznakowana, wąska i zarośnięta, ledwie wyróżniająca się wśród otaczających ją nieużytków.

Gwałtownie wdepnąłem hamulec, aż pasy bezpieczeństwa się zablokowały, gdy impet szarpnął nami do przodu.

- Daj mi pistolet - rzuciłem, wyciągając do niego rękę, a drugą energicznie kręcąc kierownicą.

Droga skręciła ostro pod górę, a po chwili między drzewami wyłoniła się odkryta przestrzeń, cały obszar za szybą wypełnił klarowny błękit bezchmurnego nieba. Po paru sekundach wyjechaliśmy na niewielką polankę, na której, po prawej, stał brązowy chevrolet impala, a po lewej stara srebrzysta corolla Cynthii. Między samochodami, twarzą do nas, stał na środku drogi Jeremy Sloan. Trzymał coś w prawej ręce.

Kiedy ją uniósł, błyskawicznie rozpoznałem rewolwer.

A gdy przednia szyba hondy roztrzaskała się na tysiące kawałków, uświadomiłem sobie, że musi być nabity ostrymi nabojami.

Wdepnąłem hamulec, równocześnie przerzucając dźwignię biegów na luz, po czym odpiąłem pas bezpieczeństwa, otworzyłem drzwi i dałem nura zza kierownicy. Wiedziałem, że zostawiam Clayтона na pastwę losu, ale w takiej chwili myślałem wyłącznie o Cynthii i Grace. W ciągu tych paru sekund, jakie miałem na obrzucenie polanki szybkim spojrzeniem, nie zauważyłem żadnej z nich, ale to, że samochód mojej żony wciąż stał ponad krawędzią urwiska, a nie spoczywał na dnie jeziora, uznałem za dobry znak. Zważyłem się na ziemię, przetoczyłem w trawie przez ramię, po czym na osłep wypaliłem w niebo.

Chciałem dać Jeremy'emu znak, że i ja jestem uzbrojony, nawet jeśli nie mam żadnej wprawy w strzelaniu. Dźwignąłem się błyskawicznie na kolana i obróciłem twarzą w tę stronę, gdzie stał Jeremy, ale jego już nie było na środku drogi. Rozejrzałem się gorączkowo i zauważyłem, że wygląda ostrożnie zza przedniego błotnika brązowego chevroleta impali.

- Jeremy! - zawołałem.

- Terry! - Rozpoznałem głos Cynthii. Brzmiało w nim przerażenie. Dolatywał z samochodu.

- Tato! - zawołała Grace.

- Jestem tu! - odkrzyknąłem.

Z wnętrza impali doleciał jeszcze inny głos:

- Zabij go, Jeremy! Strzelaj! - Dostrzegłem Enid siedzącą z przodu, na prawym fotelu.

- Jeremy! - zawołałem ponownie. - Wysłuchaj mnie. Czy twoja matka powiedziała ci o wszystkim, co się wydarzyło w waszym domu? Wyjaśniła, dlaczego musicie tak nagle ruszyć w drogę?

- Nie słuchaj go! - wrzasnęła Enid. - Strzelaj!

- O co ci chodzi?! - wykrzyknął Jeremy.

- W waszym domu postrzeliła człowieka, niejakiego Vince'a Fleminga. Teraz jest już w szpitalu i na pewno składa policji szczegółowe wyjaśnienia. Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy razem do Youngstown.

Domyśliłem się prawdy i zawiadomiłem policję. Nie jestem pewien, jak zamierzaliście to rozegrać.

Chodziło wam chyba o to, żeby zrobić z Cynthii wariatkę, może nawet zasugerować, że miała coś wspólnego ze śmiercią swojej matki i brata, po czym sama przyjechała tutaj, żeby popełnić samobójstwo.

Tak to miało z grubsza wyglądać?

Nie uzyskałem odpowiedzi, toteż po pewnym czasie dodałem:

- Ale wyszło szydło z worka, Jeremy. Nie da się już utrzymać waszych knoń w tajemnicy.

- On nie ma najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi - odezwała się Enid. - Powiedziałam, żebyś strzelał. Zawsze miałeś słuchać matki...

- Mamo... - odezwał się niepewnie Jeremy - ...sam nie wiem... jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem...

- Zamknij się! Teraz masz przede wszystkim zabić te dwie! - Dostrzegłem nad zagłówkiem auta, jak Enid ruchem głowy wskazuje samochód Cynthii.

- Tak, wiem, ale mówiłaś, że będę musiał tylko zepchnąć auto za krawędź stoku, a to zupełnie co innego. Clayton otworzył prawe drzwi swojej hondy i zaczął się powoli gramolić z siedzenia. Zajrzałem pod podwozie i dostrzegłem między kołami jego buty naciągnięte na boso stopy. Stał na chwiejnych nogach. Okruchy szkła z roztrzaskanej przedniej szyby auta spadły mu z kolan na ziemię.

- Wracaj do samochodu, tato - zawołał Jeremy.

- Co? - zaskrzeczała Enid. -1 on tu jest? - Wykręciła głowę, żeby popatrzeć na odbicie męża w bocznym lusterku. - Na miłość boską! - jęknęła. - Ty stary głupi capie! Kto cię wypuścił ze szpitala?!

Clayton, powłócząc nogami, ruszył w stronę impali. Stał przed tylnym zderzakiem i oparł się obiema rękami o klapę bagażnika, żeby złapać oddech. Był na krawędzi wyczerpania.

- Nie rób tego, Enid - wychrypiał.

Nagle znów odezwała się Cynthia:

- Tata?

- Witaj, skarbie - odparł, próbując się uśmiechnąć. - Nawet nie umiem ci teraz powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego.

- Tata? - powtórzyła z niedowierzaniem moja żona. Nie mogłem jej dostrzec, ale bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić, jak bardzo była oszołomiona. Było jasne, że Jeremy i Enid, którym jakimś sposobem udało się ją zwabić nad krawędź urwiska, nie zadali sobie najmniejszego trudu, żeby ją wprowadzić w sytuację.

- Synu - odezwał się Clayton do Jeremy'ego. - Musisz położyć kres temu szaleństwu. Twoja matka popełniła wielki błąd, wciągając cię w to i zmuszając do robienia obrzydliwych rzeczy.

Tylko spójrz na nią - ruchem ręki wskazał samochód, w którym znajdowała się Cynthia. - To twoja siostra. Rozumiesz?

Twoja siostra! A ta mała dziewczynka jest twoją siostrzenicą.

Jeśli posłuchasz swojej matki i zrobisz to, czego żąda, staniesz się takim samym nikczemnikiem jak ja.

- Tato... - wycedził Jeremy, wciąż przykucnięty za maską chevroleta. - Dlaczego zapisałeś jej cały swój majątek? Przecież nawet jej nie znasz. Jak mogłeś być tak bezwzględny wobec mamy i mnie?

Clayton westchnął ciężko.

- Nie wszystko na tym świecie kręci się wokół was dwojga - odparł.

- Zamknij się! - warknęła Enid.

- Jeremy! - zawołałem. - Rzuć broń i poddaj się. - Oburącz trzymałem przed sobą pistolet Vmce'a, leżąc w trawie. Nie znałem się na broni palnej, wiedziałem jednak, że w tej sytuacji muszę zaciskać palce na kolbie ze wszystkich sił.

Uniósł się błyskawicznie i wypalił znad maski chevroleta.

Kula wzbijała w powietrze obłok piasku na prawo ode mnie, toteż instynktownie przekręciłem się przez lewy bok.

Cynthia głośno krzyknęła.

Usłyszałem odgłos szybkich kroków na żwirze. Jeremy rzucił się biegiem w moim kierunku.

Znieruchomiałem, błyskawicznie wymierzyłem w zbliżającą się sylwetkę i pociągnąłem za spust.

Kula przeszła jednak bokiem i zanim zdążyłem wycelować po raz drugi, Jeremy kopniakiem wytrącił mi broń z ręki i obcasem prawego buta przygwoździł moją prawą dłoń do ziemi.

Odprowadziłem spojrzeniem pistolet, który wylądował parę metrów dalej w trawie.

Drugi jego kopniak wylądował na moim boku, na wysokości ostatnich żeber. Przeszył mnie ból przypominający porażenie prądem. Ledwie zdążyłem go odczuć, gdy wymierzył mi następnego kopniaka, i to z taką siłą, że przekręciło mnie na wznak, a w policzek wbiła mi się rzadka trawa porastająca żwirowisko.

Ale to mu jeszcze nie wystarczyło. Wziął zamach do kolejnego kopnięcia.

Zatkało mi dech w piersi. Jeremy stanął nade mną i z zadowoleniem popatrzył z góry, jak spazmatycznie

próbuję złapać powietrze.

- Zastrzel go! - powtórzyła Enid. - Jeśli brak ci odwagi, oddaj mi mój rewolwer, a zrobię to sama.

Stał jak wmurowany, ściskając broń skierowaną lufą ku ziemi. Mógł mi wpakować kulkę w łeb równie łatwo, jakby wrzucał monetę do szczeliny parkometru, ale najwyraźniej nie zamierzał tego zrobić.

Udało mi się wreszcie nabrać powietrza do płuc i wrócił mi normalny rytm oddechu, lecz bolała mnie cała klatka piersiowa. Musiał mi złamać kilka żeber, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Clayton, wciąż oparty ciężko na klapie bagażnika, popatrzył na mnie wzrokiem pełnym smutku. Odniosłem wrażenie, że docierają do mnie jego myśli. Próbowaliśmy, przekazał. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Chcieliśmy dobrze.

Ale droga do piekła jest wybrukowana dobrymi intencjami.

Przekręciłem się na brzuch i powoli dźwignąłem na kolana.

Jeremy odszukał w trawie mój pistolet, podniósł go i wetknął sobie za pasek spodni.

- Wstawaj - rzucił ostro.

- Czemu mnie nie słuchasz?! - zaskrzeczała Enid. - Zastrzel go!

- Mamo - odparł spokojnie. - Lepiej wsadzić go do samochodu, razem z resztą rodziny.

Zamyśliła się na krótko.

- Nie - orzekła. - To bez sensu. Tamte muszą wylądować w jeziorze bez niego. Tak będzie lepiej. Jego zabijemy gdzie indziej.

Clayton, wolno przekładając ręce jedna nad drugą, zaczął się powoli przesuwac ku przodowi impali.

Wyglądał na skrajnie wycieńczonego.

- Ja... chyba... zaraz zemdleję... - wycedził.

- Ty głupi łajdaku! - wrzasnęła na niego Enid. - Powinieneś być zostać w szpitalu i tam wyciągnąć kopyta. -

Tak silnie wykręcała głowę, żeby dojrzeć, co robi mąż, że aż naszyły mnie obawy, iż sama skręci sobie kark. Ponad zagłówek jej fotela wystawały uchwyty złożonego wózka inwalidzkiego stojącego na tylnym siedzeniu. Teren był tutaj zbyt nierówny i wyboisty, żeby zaryzykować poruszanie się po nim w wózku.

Jeremy przez chwilę usiłował podjąć decyzję, czy powinien dalej trzymać mnie na muszce, czy też podbiec z pomocą słabnącemu ojcu. Uznał w końcu, że zdoła połączyć oba te zadania.

- Nie ruszaj się - ostrzegł, mierząc do mnie z rewolweru i cofając się w kierunku samochodu. Sięgnął do klamki, żeby otworzyć tylne drzwi, ale spostrzegł, że przy wózku inwalidzkim jest za mało miejsca, toteż przesunął się i otworzył drzwi od strony kierowicy.

- Siadaj - powiedział, zerkając to na ojca, to na mnie.

Clayton zrobił jeszcze parę kroków, ciągnąc nogami po ziemi, i ostrożnie zajął miejsce na fotelu auta.

- Muszę się napić - rzekł.

- Przestań wreszcie narzekać, na miłość boską - warknęła Enid. - Wiecznie coś ci nie pasuje.

Zdołałem w końcu stanąć na nogi, toteż zacząłem się wolno przesuwac w kierunku samochodu Cynthii.

Siedziała za kierownicą, a Grace obok niej. Nie widziałem dokładnie, ale sądząc po ich dziwnie sztywnych sylwetkach, musiały być przywiązane do foteli.

- Kochanie - odezwałem się.

Oczy miała zaczerwienione, na policzkach ślady łez. Grace nadal szlochała, łzy spływały jej po twarzy.

- Powiedział, że jest Toddem - wyjaśniła moja żona. - Ale to nie Todd.

- Tak, wiem - odparłem. - Za to przywiozłem ci prawdziwego ojca.

Cynthia spojrzała w prawo, na starca siedzącego za kierownicą chevroleta, lecz szybko przeniosła wzrok z powrotem na mnie.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Może wygląda jak on, ale to nie jest mój ojciec. Mój ojciec by tak nie postąpił.

Clayton, który dobrze słyszał tę rozmowę, spuścił głowę nisko na piersi. Nie patrząc na Cynthię, rzekł:

- Masz pełne prawo tak sądzić. Na twoim miejscu pewnie zareagowałbym tak samo. Mogę tylko powtórzyć, jak bardzo jest mi przykro, ale nie jestem na tyle stary i zdumiały, by się łudzić, że mi wybacysz. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle powinnaś o tym choćby pomyśleć.

- Odejdź od samochodu - rzucił groźnie Jeremy, obchodząc maskę corolli i mierząc do mnie z rewolweru.

- Stań tam, z tyłu.

- Jak mogłeś to zrobić?! - syknęła Enid do męża. - Jak śmiałeś zapisać cały majątek tej dzidzice?

- Kazałem adwokatowi zachować w tajemnicy testament, dopóki nie umrę - odrzekł Clayton, siląc się na uśmiech. - Chyba będę musiał się rozejrzeć za innym adwokatem.

- Pomogła mi jego sekretarka - wyjaśniła Enid. - Kiedy on wyjechał z miasta, wpadłam do kancelarii i powiedziałam, że proszę o przyniesienie testamentu do szpitala, bo chciałbyś go jeszcze raz przejrzeć.

Dlatego dała mi kopię. Ty niewdzięczny sukinsynu. Poświęciłam dla ciebie całe życie, a ty w ten sposób mi się odwdzięczasz?

- Więc jak, mam, kończymy to? - zapytał Jeremy, który stał przy drzwiach toyoty od strony Cynthii. Przemknęło mi przez myśl, że będzie chciał wsunąć głowę do środka przez otwarte okno, uruchomić silnik, przełączyć skrzynię biegów z luzu na jazdę do przodu, a potem odskoczyć i odprowadzić wzrokiem wóz znikający za krawędzią zbrocza kamieniołomu.

- Hej, mam - powtórzył jak gdyby w zamyśleniu. - Czy nie powinienem ich rozwiązać? Będzie wyglądało podejrzanie, że siedziały w samochodzie przywiązane do foteli. A przecież to miało wyglądać... no, wiesz... jakby ona sama postanowiła ze sobą skończyć.

- Co ty tam mamrociesz pod nosem? - wrzasnęła Enid.

- Nie powinienem ich najpierw ogłuszyć? - zapytał głośniej.

Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby się rzucić na niego. Mógłbym spróbować wytrącić mu broń czy nawet skierować rewolwer w jego stronę. Miałem świadomość, że mogę oberwać kulkę, może nawet zginąć na miejscu, lecz nie miało to większego znaczenia, gdyby udało mi się ocalić życie żony i córki. A gdybym zdołał wyeliminować Jeremy'ego, Enid nie byłaby w stanie już nic zrobić, bo przecież nie mogła o własnych siłach wysiąść z auta. Zatem Cynthia i Grace byłyby bezpieczne i mogłyby się uwolnić z więzów.

- Wiesz co? - syknęła Enid do Clayтона, ignorując pytanie syna. - Nigdy nie umiałeś docenić tego, co dla ciebie robiłam.

Byłeś niewdzięcznym łajdakiem od chwili, kiedy się poznaliśmy. Żałosnym, bezużytecznym, zupełnie do niczego. A w dodatku niewiernym. - Z politowaniem pokręciła głową. - To najgorszy ze wszystkich twoich grzechów.

- Mam? - powiedział Jeremy, trzymając lewą rękę na klamce drzwi auta Cynthii; wciąż mierzył do mnie z rewolweru.

Może spróbuję, gdy pochyli się do środka, powtarzałem w myślach. Będzie musiał odwrócić się do mnie plecami, przynajmniej na parę sekund. Lecz jeśli nie zdążę go powstrzymać i zdoła ogłuszyć Cynthię oraz Grace, uruchomić silnik i przełączyć skrzynię biegów, nim go dopadnę? Nawet gdybym zdążył jeszcze na niego skoczyć, i tak nie powstrzymałbym już auta przed upadkiem na dno kamieniołomu.

Musiałem zadziałać wcześniej. Może nawet już teraz...

Niespodziewanie rozległ się warkot uruchamianego silnika.

Ale chevroleta impah.

- Co ty wyrabiasz, do cholery?! - wrzasnęła Enid na Clayтона siedzącego za kierownicą. - Natychmiast go wyłącz!

On jednak nie zwracał na nią uwagi. Obejrzał się i popatrzył w lewo, a na jego wargach wykwitł lekki uśmiech. Sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. Impala znajdowała się dokładnie na wysokości toyoty stojącej z opuszczonymi do końca szybami, toteż skinął głową swojej córce i rzekł:

- Nigdy, ani przez chwilę nie przestałem cię kochać. Nie przestałem też myśleć o tobie, tak samo jak o twojej matce i Toddzie.

- Clayton! - wrzasnęła Enid.

Przeniósł wzrok na małą, której tylko górną część twarzy było widać ponad drzwiami auta.

- Żałuję, że nie miałem okazji bliżej cię poznać, Grace, ale jestem przekonany, że mając taką matkę jak Cynthia, musisz być naprawdę niezwykłym dzieckiem.

Po chwili obejrzał się z ociąganiem na żonę.

- Zegnaj, ty żalosna stara pindo - mruknął, po czym wrzucił bieg i dodał gazu.

Silnik chevroleta ryknął głośniej. Wóz zakołysał się i ruszył ku krawędzi urwiska.

- Mam! - wrzasnął Jeremy i puścił się biegiem przed maskę samochodu, jakby miał nadzieję go zatrzymać gołymi rękami. Być może podejrzewał, że auto zaraz się zatrzyma, bo Clayton tylko przez pomyłkę wrzucił bieg do przodu i zaraz naprawił swój błąd.

Ale tak się nie stało. Jego ojciec widocznie postanowił sprawdzić, czy zdoła rozpędzić samochód do setki na odcinku dziesięciu metrów, jakie dzieliły go od krawędzi kamieniołomu.

Impet zderzenia cisnął Jeremy'emu na maskę. Tam też się znajdował w chwili, gdy samochód, z Claytonem za kierownicą i siedzącą obok Enid wrzeszczącą wniebogłosy, przechylił się i zniknął za krawędzią stromego zbrocza wyrobiska.

Minęły dobre dwie sekundy, nim doleciał nas głośny plusk.

Musiałem cofnąć hondę Clayтона, żeby zrobić miejsce, by zawrócić toyotą Cynthii. Zajęła miejsce z tyłu, chcąc tulić do siebie Grace w czasie długiej drogi powrotnej na południe do Milford.

Zdawałem sobie sprawę, że powinniśmy wezwać miejscową policję i poczekać na krawędzi z boku na jej przyjazd, uznaliśmy jednak, że teraz najważniejszą sprawą jest jak najszybszy powrót z matką do domu, gdzie mogłaby znowu poczuć się bezpieczna.

Clayton, Enid i Jeremy nie mogli już udać się donikąd. Ich zwłoki będą nadal spoczywać na dnie jeziora, gdy zawiadomimy o wypadku Ronę Wedmore.

Cynthia uparła się, żebym pojechał do szpitala, nie miałem zresztą żadnych wątpliwości, że pomoc lekarska jest mi potrzebna. Po obu bokach czułem dotkliwy ból w klatce piersiowej, ale zdecydowanie tłumilo go przemożne poczucie ulgi.

Obiecałem więc, że jak tylko odstawię je bezpiecznie do domu, pojedę do szpitala w Milford.

Niewiele rozmawialiśmy w drodze powrotnej. Zdaje się, że oboje z Cynthią uznaliśmy, że nie należy przy Grace roztrząsać tego, co się stało - oczywiście nie dzisiaj, tylko dwadzieścia pięć lat temu. Przeszła wystarczająco dużo. Musiała przede wszystkim znaleźć się w dobrze sobie znanym otoczeniu.

Udało mi się jednak poznać w zarysach to, co je spotkało.

Cynthia z Grace pojechały do Winsted i tam spotkały się z Jeremym na parkingu przed barem McDonalda. Oznajmił, że ma dla nich niespodziankę. Przywiózł ze sobą matkę. Rzecz jasna, dał im do zrozumienia, że chodzi o Patricię Bigge.

Oszołomiona Cynthia bez obaw wsiadła razem z córką do chevroleta, a wtedy Enid podetknęła jej rewolwer pod nos i kazała jechać impałą do kamieniołomu, bo w przeciwnym razie zastrzeli Grace.

Jeremy wyruszył za nimi samochodem Cynthii.

Kiedy dotarli na miejsce, obie musiały się przesiąść do toyoty i zostały przywiązane do foteli na czas oczekiwania krótkiej podróży poza krawędź urwiska.

I wtedy niespodziewanie pojawiłem się razem z Claytonem.

Równie skrótowo opowiedziałem Cynthii o wszystkim, czego się dowiedziałem. O mojej wyprawie do Youngstown, odnalezieniu ojca w szpitalu i jego relacji o wydarzeniach tamtej nocy, kiedy zniknęła cała jej rodzina.

Dodałem też, że Vince Fleming został postrzelony.

Zanotowałem w myślach, żeby zaraz po powrocie do domu zadzwonić i sprawdzić, jak się czuje. Nie wyobrażałem sobie, że spotkam w szkole Jane Scavullo i będę musiał jej powiedzieć, że jedyny porządny mężczyzna, jakiego dotąd spotkała, zginął przede mną.

A co się tyczy policji, mogłem tylko zaufać Bogu, że Wedmore uwierzy we wszystko, co będę miał jej do powiedzenia.

Nie byłem jednak pewien, czy sam bym dał temu wiarę, gdybym osobiście tego nie przeżył.

Jednakże nie wszystko jeszcze było jasne. Nie mogłem usunąć sprzed swoich oczu obrazu Jeremy'ego, jak stał nade mną i mierzył z rewolweru, lecz nie pociągnął za spust. Z pewnością nie zawahał się, gdy spotkał się z Tess Berman. Albo gdy rozprawił się z Dentonem Abagnallem.

Oboje zostali przecież zamordowani z zimną krwią.

Wyteżyłem pamięć, żeby przypomnieć sobie, co powiedział wtedy swojej matce. Kiedy tak stał nade mną i mierzył z rewolweru.

Powiedział: „Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem”.

Tak. Użył dokładnie tego sformułowania.

\* \* \*

Kiedy wjechaliśmy do Winsted, zapytałem Grace, czy nie chce czegoś zjeść, ale tylko pokręciła głową w odpowiedzi. Pragnęła jak najszybciej wrócić do domu. Wymieniliśmy z Cynthią zatroskane spojrzenia.

Przyszło mi na myśl, że trzeba będzie zorganizować spotkanie matki z psychologiem. Miała za sobą nadzwyczaj traumatyczne przeżycia. Możliwe, że doznała dość poważnego szoku.

Wkrótce jednak zasnęła, a uważne obserwacje nie wskazywały na to, żeby dręczyły ją senne koszmary.

Po kilku godzinach dotarliśmy do domu. Gdy tylko skręciliśmy w naszą ulicę, dostrzegłem wóz Rony Wedmore stojący przy krawężniku przed naszym podjazdem, a ją samą siedzącą za kierownicą. Na widok naszego auta pośpiesznie wysiadła i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach obrzuciła uważnym spojrzeniem wnętrze naszego samochodu, kiedy skręcałem na podjazd. Podeszła bliżej i stanęła na wprost drzwi, gdy wysiadałem, gotowa, jak sądziłem, na zasypanie nas pytaniami.

Ale w jej spojrzeniu pojawiła się troska na widok grymasu bólu, który musiał zagościć na mojej twarzy, gdy powoli gramoliłem się z fotela kierowcy. Ból był wręcz nie do zniesienia.

- Co się panu stało? - zapytała. - Wygląda pan okropnie.

- I mniej więcej tak samo się czuję - odpowiedziałem, przyciskając prawą rękę do stłuczonego boku. -

Jeremy Sloan wymierzył mi kilka solidnych kopniaków.

- Gdzie on jest?

Omali się nie uśmiechnąłem, otwierając tylne drzwi auta. Mimo dotkliwego bólu połamanych żeber, schyliłem się, wziąłem na ręce śpiącą Grace i ruszyłem z nią w stronę domu.

- Daj mi ją - rzekła Cynthia.

- Poradzę sobie.

Cynthia podbiegła więc do drzwi, żeby je otworzyć. Rona Wedmore weszła za nami do środka.

- Nie zaniosę jej na górę - odezwał się do żony, krzywiąc się z bólu.

- Połóż ją na kanapie.

Udało mi się delikatnie złożyć śpiącą córkę na kanapie, chociaż miałem wrażenie, że lada moment ją upuszczę. Nie obudziła się, mimo całego zamieszania i naszej rozmowy. Cynthia wsunęła jej poduszkę pod głowę i czule przykryła cienkim wełnianym kocem.

Wedmore wciąż stała w przejściu, obserwując nasze poczynania. Jak tylko Cynthia opatuliła córkę kocem, przeszliśmy we trójkę do kuchni.

- Mam wrażenie, że powinien się pan zgłosić do lekarza - zaczęła detektyw.

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Gdzie jest Sloan? - zapytała. - Jeśli to on was napadł, każę wydać nakaz jego aresztowania.

Oparłem się ciężko o blat kuchenny.

- Prędzej będzie pani musiała wezwać ponownie ekipę płetwonurków - odparłem.

Opowiedziałem jej z grubsza o wszystkim. O tym, jak Vince znalazł zagadkową notatkę w starych wycinkach prasowych, jak doprowadziło nas to do rodziny Sloanów mieszkających w Youngstown, jak odszukałem Claytona Sloana w szpitalu i jak Jeremy z Enid chcieli zabić Cynthię oraz Grace. Opisałem wreszcie, jak samochód, z Claytonem za kierownicą i siedzącą obok Enid oraz Jeremym na masce zwałił się w dół z krawędzi wyrobiska kamieniołomu.

Zataiłem przed nią tylko jedną drobną część tej historii, która wciąż nie dawała mi spokoju, gdyż nie byłem pewien, jak należy ją interpretować. Miałem już jednak pewne podejrzenia.

- No cóż - mruknęła Rona Wedmore. - To dość niezwykła opowieść.

- Owszem - przyznałem. - Gdybym musiał coś naprędce wymyślić, może mi pani wierzyć, że sięgnąłbym po bardziej wiarygodną bajeczkę.

- Chciałabym porozmawiać z Grace - rzekła śledcza.

- Na pewno nie teraz - wtrąciła stanowczo Cynthia. - Dość już przeszła, jak na jeden dzień. Jest wyczerpana.

Policjantka smutno pokiwała głową.

- Przeprowadzę parę rozmów telefonicznych, skontaktuję się z ekipą płetwonurków i odezwę się jeszcze dziś po południu - oznajmiła, po czym zwróciła się do mnie: - A pan niech jedzie do szpitala. Mogę pana podrzucić, jeśli pan chce.

- Dam sobie radę - odparłem. - Pojadę tam za jakiś czas, taksówką, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kiedy Wedmore wyszła, Cynthia oświadczyła, że idzie na górę, żeby chociaż spróbować nadać sobie odpowiedni wygląd.

Nie minęło pół minuty od zniknięcia samochodu detektyw za zakrętem, gdy na nasz podjazd skręcił inny wóz. Wyszedłem na ganek w samą porę, żeby przywitać Rolly'ego, ubranego w długą sportową marynarkę narzuconą na błękitną letnią koszulę i dobrane do niej kolorem spodnie.

- Terry! - zawołał.

Przyłożyłem palec do warg.

- Grace dopiero zasnęła - wyjaśniłem, gestem dłoni zapraszając go do kuchni.

- A więc sam je odnalazłeś? Cynthię także?

Przytaknąłem ruchem głowy, sięgając do apteczki w poszukiwaniu przeciwbólowego advilu. Odnalazłem fiolkę, wytrząsałem z niej kilka tabletek na dłoń i nalałem do szklanki wody z kranu.

- Wyglądasz na zbolełego - powiedział Rolly. - Znam ludzi gotowych na wszystko w celu uzyskania długoterminowego zwolnienia lekarskiego.

Zaśmiałem się w głos, gdyby aż tak bardzo mnie nie bolało.

Wrzuciłem do ust trzy tabletki i popiłem je sporą porcją wody.

- A zatem... - rzekł Rolly i zająknął się.

- Tak?

- Odnalazłeś ojca swojej żony. Claytona.

Skinąłem głową.

- To niesamowite - przyznał. - Zew ogóle go odnalazłeś...

Ze wpadłeś na trop Claytona, który jeszcze żył, po tylu latach...

- To był dopiero początek - odparłem, nie zamierzając mu jeszcze wyjaśniać, że mimo upływu lat wciąż żywy Clayton na moich oczach rozstał się z życiem.

- To po prostu niesamowite.

- Nie interesuje cię los Patricii? - zapytałem. - Ani Todda?

Nie jesteś ciekaw, co się z nimi stało?

Pospiesznie spojrział w bok.

- Pewnie, że jestem. Chociaż już wiem, że ich zwłoki znaleziono w samochodzie wydobytym z dna jeziora w kamieniołomie.

- Owszem, to prawda. Ale cała reszta, a zwłaszcza tożsamość ich zabójcy, chyba także nie jest dla ciebie żadną tajemnicą - powiedziałem. - W przeciwnym razie bowiem wcześniej byś o to zapytał.

Rolly zagryzł wargi, przybierając posępną minę.

- Ja tylko... nie chciałem zasypywać cię pytaniami - wyjaśnił. - Ledwie przed paroma minutami wróciłeś do domu.

- I naprawdę nie jesteś ciekaw, jak zginęli? Co im się przydarzyło?

- Pewnie, że jestem.

- No to poczekaj minutę. - Ponownie napełniłem szklankę wodą i pociągnąłem tęgi łyk, mając nadzieję, że adw. zacznie szybko działać. W końcu zacząłem: - Rolly, czy to ty podrzucałeś Tess pieniądze?

- Słucham?

- Mówię o gotówce. Dla Tess. Forsie przeznaczonej na wychowanie i wykształcenie Cynthii. To ty ją podrzucałeś, prawda?

Nerwowo oblizał wargi.

- Co ci powiedział Clayton?

- A jak myślisz?

Przeciagnał dłonią po łysinie i szybko odwrócił głowę.

- Powiedział ci wszystko, zgadza się?

Nie zareagowałem. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli utrzymam go w przekonaniu, że wiem więcej niż w rzeczywistości.

- Chryste - syknął, kręcąc głową. - To sukinsyn... Obiecywał, że nikomu nie powie... Jego zdaniem jestem w jakiś sposób odpowiedzialny za to, co go spotkało, prawda? Tylko z tego powodu renegecował warunki naszego porozumienia.

- Jesteś pewien, Rolly, że tak to należy zakwalifikować? Jako wasze porozumienie?

- Przecież zawarliśmy umowę! - Ze złością pokręcił głową. - A mnie już tak mało brakuje do emerytury. Zależy mi tylko na spokoju, pozbyciu się odpowiedzialności za tę pieprzoną szkołę i zniknięciu sprzed oczu opinii publicznej, wyniesieniu się z tego przeklętego miasta.

- Więc dlaczego ukrywałeś to wszystko przede mną? Ciekaw jestem, czy twoja wersja będzie się zgadzała z zeznaniami Claytona.

- Na pewno powiedział ci o Connie Gormley, prawda?

O tamtym wypadku...

Nie odpowiedziałem.

- Wracaliśmy z wyprawy na ryby - rzekł. - To Clayton podsunął pomysł, żeby się zatrzymać na piwo.

Powinienem być jechać dalej, bez skręcania na parking, ale przystałem na jego propozycję.

Weszliśmy do baru z zamiarem wypicia po jednym szybkim piwku, kiedy ta dziewczyna zaczęła się do mnie przystawiać...

- Connie Gormley.

- Zgadza się. To znaczy... przysiadła się do mnie, zamówiła następną kolejkę. No i w efekcie wypłem trochę za dużo. Clayton, który niczym się nie przejmował, powtarzał, żebym pił śmiało, ale ja nie mam pojęcia, jak do tego doszło. W każdym razie, gdy poszedł się odlać, ta Connie zaciągnęła mnie na tyły baru, no i nie wiadomo kiedy wylądowaliśmy na tylnym siedzeniu jej auta.

- Ale byłeś już wtedy żonaty z Millicent, prawda? - wtrąciłem. Wcale nie chciałem przesądzać sprawy, po prostu nie byłem tego pewien. Ale wykrzywienie ust Rolly'ego było dla mnie wystarczającą odpowiedzią.

- No cóż, zdarzył mi się ten jeden skok w bok.

- Zatem zrobiłeś skok w bok z Connie Gormley. Jak to się stało, że wylądowała martwa w przydrożnym rowie?

- Kiedy... skończyliśmy i chciałem iść z powrotem do baru, zażądała pięćdziesięciu dolarów. Odparłem, że gdyby była prostytutką, podała by tę cenę, zanim wyszliśmy z baru, chociaż nie miałem pojęcia, czy

naprawdę sprzedaje się za pieniądze. Może po prostu potrzebowała tych pięćdziesięciu dolarów. W każdym razie dałem jej do zrozumienia, że nie zamierzam zapłacić, na co odparła, że w takim razie upomni się o swoje przy innej okazji, w moim domu, najlepiej od mojej żony.

- Jasne.

- Zaczęła nachalnie obściskiwać mnie przy samochodzie, więc się cofnąłem, a w zasadzie odskoczyłem, a ona upadła i uderzyła głową w zderzak, i to wystarczyło.

- Uderzyła się śmiertelnie? - zapytałem.

Rolly przełknął ślinę.

- Widzieli nas inni ludzie. Klienci baru. Mogli zapamiętać, że byłem w towarzystwie Claytona.

Wykombinowałem więc, że jeśli wszystko będzie wskazywało, że została potrącona przez samochód, kiedy szła poboczem autostrady, a w dodatku była pijana, nikt nie zacznie szukać faceta, z którym rozmawiała w barze.

Pokręciłem głową.

- Terry, gdybyś był w mojej sytuacji, też byś uległ panice.

Kiedy powiedziałem Claytonowi, co się stało, wyczytałem z jego miny, że poczuł się jak gdyby schwytany w potrzask, bo nie miał w ogóle ochoty rozmawiać z gliniarzami. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałem, że prowadzi podwójne życie i nie jest tym, za kogo się podaje. Dlatego wpakowaliśmy dziewczynę do samochodu i przejechaliśmy kawałek dalej autostradą. Potem on przytrzymał ją tak, żebym mógł ją trafić zderzakiem z dość dużą prędkością, a później zepchnęliśmy zwłoki do przydrożnego rowu.

- Mój Boże - jęknąłem.

- Zapewniam cię, Terry, że każdej nocy nawiedzają mnie wspomnienia o tamtym zdarzeniu. To było coś przerażającego.

Ale gdybyś się znalazł w mojej sytuacji, byłbyś wdzięczny losowi za takie rozwiązanie. - Pokręcił głową do swoich myśli. - Clayton przysiągł, że nigdy nikomu o tym nie powie. Sukinsyn, nie dotrzymał słowa.

- Nie powiedział mi o tym - odparłem. - Wypytywałem go, lecz milczał jak zaklęty. Pozwól jednak, że zgadnę, co było dalej. Nadeszła noc, podczas której Clayton, Patricia i Todd zniknęli bez śladu i nikt nie umiał powiedzieć, co się z nimi stało, nawet ty. Wreszcie któregoś dnia, jakiś rok czy parę lat później, odebrałeś telefon.

- Dzwonił Clayton. I poprosił o rewanż. Nie wydał mnie w sprawie zabójstwa Connie Gormley, chciał więc, bym teraz zrobił coś dla niego, żebym został kurierem, ogólnie rzecz biorąc. Przekazywał pieniądze. Chciał je wysłać na mój adres, pod numer konta albo specjalnie wynajętej skrytki pocztowej, skąd miałbym je przekazywać Tess, podrzucać je do jej samochodu, wkładać do porannej gazety albo coś w tym rodzaju. - Spojrzał na mnie. Gdy nie odpowiedziałem, dodał: - Chyba rozumiesz.

Tak się to potoczyło.

- Tymczasem ja, niczym skończony idiota - odparłem - powiedziałem ci o tym, co wyjawiała mi Tess.

Podczas wspólnego lunchu. Powiedziałem ci o pieniądzach, które dostawała. I o tym, że do dzisiaj przechowuje koperty oraz ten jeden list, w którym została ostrzeżona, żeby nigdy nie próbowała dociec, kto jej podrzuca te przesyłki, i nigdy nikomu o nich nie mówiła. I powiedziałem o tym, że mimo tych ostrzeżeń, zachowała go do dzisiaj.

Rolly nie odpowiedział.

Postanowiłem więc podejść go z innej strony.

- Jak sądzisz, czy człowiek, który był gotów zamordować dwie osoby na życzenie swojej matki, mógłby kłamać w sprawie tego, że nigdy wcześniej nikogo nie zamordował?

- Co? O czym ty mówisz, do diabła?

- Tak się głośno zastanawiam. Bo moim zdaniem, nie mógłby tego zrobić. Mam na myśli człowieka, który był gotów popełnić morderstwo z polecenia swojej matki, nie sądzę więc, by przed nią ukrywał, że nigdy wcześniej nikogo nie zabił. - Zawiesiłem na chwilę głos. - A chodzi o to, że dopóki nie usłyszałem tego z jego ust, byłem przekonany, że ma na sumieniu śmierć dwóch osób.

- Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz - odparł Rolly.

- Mówię o Jeremym Sloanie. Synu Claytona z pierwszego małżeństwa, z inną kobietą, niejaką Enid.

Podejrzewam, że nie jest ci obca. Clayton musiał ci wyjaśnić swoją sytuację, nim zaczął przysyłać pieniądze, które podrzucała Tess. Do tej pory podejrzewałem, że to Jeremy zabił Tess. Sądziłem także, że jest winny śmierci Abagnalla. Teraz jednak wcale nie jestem pewien, że to jego należy obciążać tymi zabójstwami.

Roiły głośno przełknął ślinę.

- Czy nie wybrałeś się na spotkanie z Tess po tym, jak ci powiedziałem, co mi wyznała? - zapytałem. - Nie



naszły cię obawy, że mogła skojarzyć pewne fakty? Nie zacząłeś się obawiać, że zachowane przez nią koperty mogą stać się koronnym dowodem, że jesteś zamieszany w całą tę sprawę? Że w wypadku wszczęcia dochodzenia łatwo będzie udowodnić twoje powiązania z Claytonem, a on nie zdoła dłużej utrzymać w tajemnicy wiążącego was sekretu?

- Kiedy ja naprawdę nie chciałem jej zabić - odparł Rolly.

- Niemniej wykazałeś się wielką pomysłowością w celu zamaskowania zabójstwa Tess - odparłem.

- Byłem przekonany, że ona jest umierająca. To tak, jakbym tylko skrócił jej ten czas. A później, gdy już to zrobiłem, powiedziałaś mi o wynikach sekcji zwłok. I o tym, że wcale by nie umarła...

- Rolly...

- Dała list i koperty detektywowi.

- A ty zabrałeś wizytówkę, którą przymocowała na korkowej tablicy nad telefonem.

- Zadzwoiłem do niego i umówiłem się na spotkanie w piętrowym garażu.

- I zabiłeś go, a potem zabrałeś aktówkę z dokumentami, które miał przy sobie.

Przekrzywił głowę w lewo.

- I co z tego? Myślisz, że po tylu latach da się zdjąć odciski moich palców z tych kopert? Że zdradzą mnie resztki mojej śliny wykryte na klejonej krawędzi kopert?

Wzruszyłem ramionami.

- Kto wie? - odparłem. - Jestem tylko nauczycielem angielskiego.

- Starąłem się zatrzeć za sobą wszelkie ślady.

Wbiłem wzrok w podłogę. Wcale nie z powodu bólu przeszywającego moją klatkę piersiową. Raczej z wszechogarniającego smutku.

- Rolly... - zacząłem. - Przez tyle lat byłeś mi najbliższym przyjacielem. Sam nie wiem, może i byłbym w stanie zachować w tajemnicy wydarzenia sprzed ćwierć wieku. Pewnie nie było ci pisane spotkanie z Connie Gormley, które po prostu się przydarzyło. Jak jedna z wielu rzeczy spadających na człowieka niespodzianie. Wiem, że trudno z tym żyć, ukrywając jednocześnie swą przeszłość, ale dla serdecznego przyjaciela...

Obrzucił mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Tyle że jest jeszcze Tess. Zabiłeś ciotkę mojej żony. Cudowną, przemiłą Tess. I nie poprzestałeś na tym.

Dlatego w żaden sposób nie mogę ci odpuścić.

Sięgnął do kieszeni długiego płaszcza i wyciągnął rewolwer.

Przemknęło mi przez myśl, że to ten sam, który znalazł w krzakach za szkołą między niedopałkami skrętów z marihuany i fikami po cracku.

- Co ty wyczyniasz, na Boga, Roily.

- Ruszaj na górę, Terry - warknął.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Już kupiłem przyczepę mieszkalną - rzekł. - Wszystko mam załatwione. Wynajęłam nawet łódź. Zostało mi tylko parę tygodni. Zasłużyłem sobie na godziwe warunki życia na emeryturze.

Ruchem ręki wskazał mi schody i poszedł za mną. Na podeście odwróciłem się gwałtownie i chciałem go powalić kopniakiem, ale okazał się szybszy. Odskokczył w bok i wymierzył we mnie z rewolweru.

- Co tam się dzieje? - zawołała Cynthia z pokoju Grace.

Skręciłem do sypialni, a Rolly za mną. Cynthia siedziała przy biurku małej i rozdziwiła usta na widok broni w ręku Carruthersa, ale nie odezwała się ani słowem.

- To sprawka Rolly'ego - wyjaśniłem. - To on zabił Tess.

- Co?

- I Abagnalla.

- Nie wierzę.

- Zapytaj sama.

- Zamknij się - rzucił Rolly.

- I co teraz zamierzasz? - zapytałem, odwracając się powoli do niego przy łóżku małej. - Zabijesz nas oboje? I Grace także?

Myślisz, że zabijesz całą rodzinę, a policja nigdy nie zidentyfikuje sprawcy?

- Coś muszę zrobić - odparł.

- Millicent wie o wszystkim? Czy ona wie, że od tylu lat żyje z potworem?

- Nie jestem potworem. Popełniłem tylko błąd. Za dużo wypilem, a ta dziewczyna mnie prowokowała, domagała się pieniędzy za swoje usługi. To był wypadek.

Cynthia, z coraz mocniejszymi wypiekami, patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma. Miałem

wrażenie, że nie jest w stanie uwierzyć własnym uszom. Za dużo szokujących przeżyć jak na jeden dzień. Czuli się zdezorientowani, podobnie jak wtedy, gdy jakiś psychopata zadzwonił z wiadomością od jej zaginionej rodziny. Niespodziewanie krzyknęła głośno i rzuciła się na Rolly'ego, lecz go nie zaskoczyła. Szerokim zamachem uderzył ją rewolwerem w bok twarzy, aż poleciała do tyłu i przewróciła się na podłogę pod biurkiem Grace.

- Przepraszam, Cynthia - wydukał. - Wybacz, ale musiałem to zrobić.

Przemknęło mi przez myśl, że powinienem wykorzystać tę chwilę, ale błyskawicznie skierował broń z powrotem w moją stronę.

- Wierz mi, Terry, że dogłębnie brzydzę się tym, co muszę zrobić. Bóg mi świadkiem. Siadaj. Siadaj na brzegu łóżka.

Zrobił krok w moją stronę, toteż cofnąłem się odruchowo i przysiadłem na brzegu łóżka córki. Cynthia nadal leżała na podłodze, z rozciętego policzka krew spływała jej na brodę.

- Rzuć mi poduszkę - warknął.

A więc tak to chciał zrobić. Strzelać przez poduszkę, żeby wytłumić huk.

Zerknąłem na żonę. Zwróciłem uwagę, że wsunęła rękę pod biurko Grace. Kiedy pochwyciła moje spojrzenie, ledwie zauważalnie skinęła głową. Zauważyłem dziwne błyski w jej oczach. I nie był to strach, przejaw czegoś diametralnie odmiennego. Odniosłem wrażenie, jakby mówiła: „Zaufaj mi”.

Sięgnąłem do wezglowia łóżka po poduszkę. Grace była do niej szczególnie przywiązana ze względu na wzór poszewki przedstawiający rogal księżycy oraz gwiazdy.

Rzuciłem ją w kierunku Rolly'ego, ale na tyle słabo, żeby musiał zrobić krok i schylić się po nią.

Wtedy właśnie Cynthia poderwała się na nogi. A właściwie skoczyła jak na sprężynach. Nawet nie zdążyłem zauważyć, co trzyma w ręku. Coś długiego i czarnego.

To był teleskop Grace.

Przerzuciła go sobie przez ramię, żeby zyskać na impecie, po czym swoim cudownym bekhendem wyprowadziła cios w głowę Rolly'ego, wkładając w to całą swoją siłę. A może nawet trochę więcej.

Roiły zdążył się tylko obejrzeć, ale nie starczyło mu czasu, żeby zareagować. Trafiła go prosto w skroń, przy czym rozległ się trzask, jakiego nie da się usłyszeć podczas meczu tenisowego. Bardziej przypominał odgłos uderzenia piłki kijem baseballowym.

Uderzenie było bardzo skuteczne.

Rolly Carruthers zwalił się na podłogę jak kłoda. Aż dziw, że Cynthia nie położyła go trupem na miejscu.

- No, dobrze - powiedziała Cynthia. - Pamiętasz umowę?

Grace pokiwała głową. Plecak miała już spakowany, nie wyłączając zeszytów z pracami domowymi oraz nowiutkiego telefonu komórkowego. Różowego. To Cynthia nalegała na zakup tego modelu, a ja nie protestowałem. Jak tylko zaznajomiliśmy córkę z naszym planem, zapytała:

- Będę mogła wysyłać SMS-y? To musi być telefon z możliwością wysyłania SMS-ów!

Bardzo chciałbym napisać, że została pierwszą uczennicą czwartej klasy mającą własny telefon komórkowy, ale byłoby to niezgodne z prawdą. Cóż, świat błyskawicznie idzie do przodu.

- Więc co masz zrobić?

- Jak tylko wejdę do szkoły, zadzwonię do was.

- Zgadza się - przyznała Cynthia. - Co dalej?

- I poproszę nauczycielkę, żeby się z wami przywitała.

- Jasne. Już to z nią uzgodniłam. Ale nie odbierze od ciebie aparatu przed całą klasą, żebyś nie czuła się zakłopotana.

- I będę musiała robić tak codziennie?

- Może nie decydujemy na razie, co będzie dalej, dobrze? - wtrąciłem.

Grace uśmiechnęła się szeroko. Długo na to czekała. Możliwość pójścia do szkoły bez eskorty rodziców, nawet jeśli wiązała się z koniecznością zadzwonienia zaraz po dotarciu na miejsce i tak wydawała jej się bardzo pociągająca. Ja zaś nie potrafiłem ocenić, które z naszej trójki jest najbardziej przejęte, mimo że kilka dni wcześniej przeprowadziliśmy na ten temat długą, szczerą rozmowę. Osiągnęliśmy porozumienie, w myśl którego wszyscy musieliśmy postarać się jak najszybciej wrócić do normalnego życia.

Chodzenie do szkoły bez eskorty rodziców było na pierwszym miejscu listy marzeń Grace. Szczerze mówiąc, całkiem nas to zaskoczyło. Sądziliśmy, że po tym, co nas spotkało, chętnie będzie dalej chodziła, trzymając któreś z nas za rękę. To, że nadal domagała się choćby takiego przejawu niezależności, oboje z Cynthią uznaliśmy za dobry znak.

Uściskaliśmy ją serdecznie na pożegnanie, po czym staliśmy razem przy oknie, obserwując ją, dopóki nie zniknęła za rogiem.

I w tej samej chwili oboje niemalże wstrzymaliśmy oddech.

A zaraz potem stanęliśmy przy telefonie w kuchni.

Rolly wciąż dochodził do siebie po odniesionym poważnym urazie. Nadal leżał w szpitalu. W ten sposób Rona Wedmore nie miała kłopotów z jego odnalezieniem, żeby przedstawić mu zarzuty dotyczące zabójstwa Tess Berman oraz Dentona Abagnalla. Nawet sprawa śmierci Connie Gormley została na nowo otwarta, chociaż w tym wypadku znacznie trudniej było udowodnić mu winę. Jedyne świadki zabójstwa dziewczyny, Clayton, nie żył, a najważniejszy dowód zbrodni, czyli samochód Carruthersa z czasu wspólnych wypraw z Claytonem na ryby prawdopodobnie został już przerobiony na żyletki na jakimś złomowisku.

Za to jego żona Millicent wydzwaniwała do nas raz za razem z pogroźkami, wyzywając nas od kłamców i tłumacząc, że jej mąż nie popełnił żadnej zbrodni, a chciał tylko przenieść się na Florydę po przejściu na emeryturę, toteż ona będzie musiała wynająć adwokata, który w jej imieniu złoży na nas pozew za bezpodstawne oskarżenia pod adresem męża.

Wystąpiliśmy więc o zmianę numeru telefonu. I jego zastrzeżenie.

Poszukiwało. Wcześniej odbieraliśmy też kilka razy dziennie telefony od Pauli Malloy z redakcji Deadline, która bardzo chciała nakręcić drugą część reportażu z zakończeniem naszej historii. Nie odpowiadaliśmy na jej prośby, a gdy spostrzegłem ją wysiadającą z samochodu na naszym podjeździe, po prostu nie otworzyłem drzwi.

Przez jakiś czas musiałem chodzić ciasno obandażowany, żeby zrosły się żebra, a lekarz uznał, że Cynthia prawdopodobnie będzie musiała się poddać operacji plastycznej w celu usunięcia brzydkiej blizny na policzku. Nikt się bliżej nie zainteresował bliznami na naszej psychice.

Wciąż trwa wycenianie majątku Clayтона Sloana. Na pewno potrwa to jeszcze dość długo, ale nam się nie spieszy. Cynthia oświadczyła nawet, że nie chce ani grosza z pieniędzy ojca, mam jednak nadzieję, że zdołam ją przekonać w tej sprawie.

Vince Fleming został przewieziony ze szpitala w Lewiston do Milford. Jego życiu nic już nie zagraża.

Kiedy go odwiedziłem przedwczoraj, oznajmił, że Jane powinna dostać świadectwo z czerwonym paskiem. Odparłem, że się o to postaram.

Obiecałem mu też, że zatroszczę się o jej pierwsze kroki w karierze akademickiej, ale z tym mogą być pewne kłopoty ze względu na zmianę szkoły. Bo twardo postanowiłem się przenieść. Ostatecznie niewielu nauczycieli ma na sumieniu oskarżenie swojego przełożonego o dwa zabójstwa. Nie miałem złudzeń, że wpłynie to na otaczającą mnie atmosferę w gronie pedagogicznym.

Zadzwoił telefon. Cynthia chwyciła słuchawkę, jeszcze zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Tak, jasne... Dobrze... Wszystko gra? Obyło się bez kłopotów? Dobra... Daj mi porozmawiać z twoją nauczycielką...

Dzień dobry, pani Enders... Tak, oczywiście, mówiła, że wszystko w porządku... Dziękuję... Bardzo pani dziękuję... Zgadza się, bardzo wiele wszyscy przeszliśmy. Dlatego zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybym po lekcjach przyszła pod szkołę, żeby ją zabrać do domu. Przynajmniej dzisiaj... No tak... Jeszcze raz dziękuję... Tak, jasne. Do widzenia.

Odwiesiła słuchawkę i powiedziała:

- Nic się jej nie stało.

- Tak myślałem - odparłem.

Wspólnie uroniliśmy parę łez.

- Wszystko w porządku? - zapytałem w końcu.

Odwróciła się, sięgnęła po papierową chusteczkę i otarła oczy.

- Jasne. Nie napiłbyś się kawy?

- Chętnie - odparłem. - Nalej dwie. Muszę po coś iść.

Otworzyłem szafę w holu, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki, którą miałem na sobie tamtej strasznej nocy, i wyciągnąłem z niej kopertę. Wróciłem z nią do kuchni, gdzie Cynthia siedziała już nad parującym kubeczkim kawy, a drugi identyczny stał na moim zwykłym miejscu przy stole.

- Już ci osłodziłam - powiedziała, a ujrawszy kopertę, zapytała: - Co to jest?

Usiadłem i wyciągnąłem kopertę w jej stronę.

- Czekałem z tym na odpowiedni moment i doszedłem do wniosku, że właśnie nastał. Pozwól, że najpierw ci coś wyjaśnię.

Popatrzyła na mnie wzrokiem człowieka chorego, który oczekuje od lekarza ostatecznego wyroku.

- Nie masz się czego obawiać. Clayton, twój ojciec, o wszystkim mi powiedział i prosił, żebym przekazał te wyjaśnienia tobie.

- O co chodzi?

- Tamtej nocy, kiedy doszło do awantury między tobą a rodzicami, po której zamknęłaś się w sypialni i zasnąłaś kamiennym snem, twoją mamę ogarnęły wyrzuty sumienia. Wydaje mi się, że bardzo nie lubiła, gdy dochodziło do scysji między tobą i ojcem.

- Mylisz się - odrzekła szeptem moja żona. - Przede wszystkim chciała jak najszybciej załagodzić atmosferę w domu.

- Cóż, tak czy inaczej, napisała do ciebie... wiadomość. I zostawiła ją pod drzwiami twojego pokoju, zanim wyjechała z Toddem do tego całodobowego sklepu po arkusz brystolu.

Cynthia utkwiała wzrok w trzymanej przez mnie kopercie.

- Ale twój ojciec nie wpadł jeszcze w pojednawczy nastrój;

prawdę mówiąc, był po prostu wściekły, że musiał jechać i szukać cię na mieście, a gdy cię znalazł, siedziałaś w samochodzie Vince'a, z którego musiał cię wyciągać siłą. Zdecydował zapewne, że jest zdecydowanie za wcześnie na rozładowywanie domowej atmosfery. Dlatego po wyjeździe matki poszedł na górę, zabrał karteczkę leżącą pod drzwiami i schował do kieszeni.

Cynthia słuchała tego jak sparaliżowana.

- Później jednak, po burzliwych wydarzeniach kilku następnych godzin, uznał, że nie jest to zwykła wiadomość zostawiona córce przez matkę. Była to ostatnia wiadomość. - Zawiesiłem na chwilę głos. - Dlatego zachował ją, włożył do koperty, a tę ukrył w swojej skrzynce z narzędziami, przyklejoną od spodu do plastikowej tacki. Ukrył ją na wszelki wypadek, by któregoś dnia, jeśli los mu pozwoli, przekazać ją tobie. Dlatego nie jest to żadna notatka pożegnalna, ale i tak powinnaś się z nią zapoznać.

Położyłem kopertę na stole, już wcześniej otwartą przeze mnie, i przesunąłem w kierunku Cynthii.

Wyciągnęła ze środka złożoną kartkę, ale nie rozpostarła jej od razu. Uniosła złożoną do oczu, jakby zbierała w sobie siły do przeczytania wiadomości. Dopiero po paru sekundach powoli ją rozłożyła i spojrzała na tekst.

Rzecz jasna, znałem tę wiadomość niemal na pamięć. Przeczytałem ją kilkakrotnie już w piwnicy domu Sloanów w Youngstown. Bez trudu więc, podążając za spojrzeniem mojej żony, odtwarzałem w pamięci tekst:

Cześć, koteczku.

Pewnie będę spała jak zabita, kiedy wstaniesz i odnajdziesz tę karteczkę. Mam nadzieję, że nie zatrąłaś się poważnie. Bo dzisiejszego wieczoru popełniłaś kilka głupot.

Jestem jednak przekonana, że wszystkie nastolatki muszą przez to przejść.

Bardzo chciałabym Ci powiedzieć, że są to ostatnie głupoty, jakie w życiu popełnisz albo że była to ostatnia taka awantura między Tobą a mną czy Twoim ojcem, lecz oczywiście bym skłamała. Czekają Cię w życiu jeszcze gorsze głupoty i z pewnością dalsze rodzinne awantury. Czasami Ty będziesz w poważnym błędzie, kiedy indziej to my wyjdziemy z niesłusznego założenia.

Ale jedno powinnaś wiedzieć. Niezależnie od wszystkiego zawsze będę Cię bardzo kochać. Nie ma takiej rzeczy na świecie, która stłumiłaby we mnie miłość do Ciebie. Dlatego że jesteśmy ze sobą związane na zawsze. I tylko to się liczy.

Zawsze tak będzie. Nawet gdy już pójdziesz na swoje, zaczniesz żyć na własny rachunek, kiedy będziesz miała męża i własne dzieci (wyobrażasz to sobie?!), gdy moje kości rozsypią się w proch, nadal będę nad Tobą czuwała.

I może któregoś dnia poczujesz, że opiekuje się Tobą jakaś troskliwa dusza, tyle że kiedy się obejrzyysz, nikogo nie zobaczysz. Ale to będę ja. Będę Cię pilnować. I dbać o to, żebyś dalej napawała mnie wielką, bardzo wielką dumą. Będę przy Tobie przez całe Twoje życie, dziewczyno. Nie odstąpię Cię ani na krok. Buziaki.

Mama Popatrzyłem uważnie, jak Cynthia dobiega wzrokiem końca tekstu, a potem objąłem ją, przytuliłem i zaszlochałem razem z nią.

**PODZIĘKOWANIA** Jako człowiek, który porzucił studia chemiczne, jestem nadzwyczaj wdzięczny Barbarze Reid, specjalistce od metod badania DNA z Centrum Medycyny Sądowej w Toronto, która pomogła mi uporać się z kilkoma cennymi szczegółami w tej powieści. Jeśli cokolwiek pokręciłem, i tak nie zdobędę się, by zwalić winę na Barbarę.

Chciałbym też podziękować Billowi Masseyowi z Firmy Orion, Irwynowi Applebaumowi, Nicie Taublib oraz Danielle Perez z wydawnictwa Bantam Dell, jak również mojej wspaniałej agentce Helen Heller, za ich ciągłe wsparcie i niewyczerpaną wiarę we mnie.

Dziękuję także mojej ekipie domowej, Neecie, Spencerowi i Paige.

Linwood Barclay mieszka w Toronto z żoną i dwójką dzieci.

Od 1993 roku pisze felietony do „Toronto Star”.